

ELECTRA SYSTEMS

PERIODIC

EUROSTAR

CONSTRUCTION PROJECTS



ENTER 10 ON CARD

Czwarty protokół

(Przełożył Robert Kruszyński)

Część pierwsza

1

Ubrany na szaro mężczyzna spokojnie czekał i obserwował dom naprzeciwko.

Zgodnie ze starannie opracowanym wcześniej planem, zamierzał zagarnąć kolekcję brylantów “Glen” dokładnie o północy. Był przekonany, że mu się to uda, jeżeli brylanty będą w tym czasie nadal w sejfie obserwowanego mieszkania, a właściciele kolekcji pozostaną przez jakiś czas poza domem. Musiał jednak być tego absolutnie pewny. Toteż nadal cierpliwie czekał i obserwował. O wpół do ósmej jego wytrwałość została nagrodzona.

Wielka, obszerna limuzyna wynurzyła się z podziemnego parkingu domu, sunąc z mocą i elegancją równą sile i zwinności drapieżnego kota, którego nazwę noszą samochody tej marki. Zatrzymała się na chwilę w ciemnym wylocie podziemia budynku, gdy kierowca sprawdzał czy droga jest wolna, potem skręciła w ulicę i ruszyła w kierunku Hyde Park Corner.

Siedzący za kierownicą wynajętego volvo combi, zaparkowanego naprzeciw luksusowego domu mieszkalnego, Jim Rawlings, przebrany w wypożyczony uniform szofera odetchnął z ulgą. Obserwując dyskretnie drugą stronę ulicy, położonej w wytwornej dzielnicy Belgravia, zobaczył wreszcie to, na co tak długo i wytrwale czekał. Interesujący go mężczyzna prowadził sam swoją limuzynę. Jechał nią wraz ze swą żoną, która siedziała obok niego. Rawlings miał już włączony silnik. Było chłodno i musiał ogrzewać wnętrze długo stojącego samochodu. Teraz, przesuwając tylko dźwignię automatycznej skrzyni biegów na pozycję “drive”, wydostał się bez trudu z szeregu zaparkowanych wzdłuż ulicy aut i ruszył w ślad za daimlerem -

jaguarem.

Był jasny, rześki poranek. Nad Green Park, na wschodzie, szarzały już resztki rannego brzasku, ale latarnie uliczne jeszcze się paliły. Rawlings był na swoim punkcie obserwacyjnym od piątej rano, ale choć ulicą przeszło od tego czasu parę osób, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Żadnego z mieszkańców tej najbogatszej dzielnicy londyńskiego West Endu nie dziwi widok szofera czekającego wcześniej rano w dużym samochodzie, w którym leżą, widoczne z tyłu cztery walizy i zamykany kosz, a szczególnie jeśli ma to miejsce 31 grudnia. W tym dniu bowiem liczni zamożni mieszkańcy stolicy przygotowują się do wyjazdu poza miasto, żeby spędzić sylwestrowy wieczór w swych wiejskich rezydencjach.

Przy Hyde Park Corner był już tylko o pięćdziesiąt jardów za jaguarem, wpuścił więc przed siebie jakąś ciężarówkę, by rozdzieliła oba samochody. Na Park Lane przeżył chwilę zwątpienia w powodzenie swego planu; mieścił się tam oddział

Coutts Bank, więc obawiał się, że jadąca jaguarem para może zatrzymać się przy nim, by zdeponować brylanty w nocnym sejfie.

Przy Merble Arch, po raz drugi odetchnął z ulgą. Jadąca przed nim limuzyna nie zjechała na boczny pas, z którego mogłaby jeszcze skręcić z powrotem w Park Lane i podjechać pod bank. Jednak pojechała prosto dalej i przemknąwszy przez Great Cumberland Place wjechała potem w Gloucester Place, podążając cały czas na północ. Tak więc, mieszkańcy luksusowego apartamentu na ósmym piętrze Fontenoy House, nie zamierzali tym razem zdeponować swych kosztowności w Coutts Bank; albo mieli je w samochodzie i zabierali ze sobą na wieś, albo też zostawiali je na okres Nowego Roku w swym mieszkaniu. Rawlings był pewny, że w grę wchodzi ten drugi wariant.

Jechał za jaguarem aż do Hendon, i dopiero kiedy śledzony przez niego wóz wjechał na ostatni odcinek drogi przed wjazdem na autostradę M-1, zawrócił w kierunku centrum Londynu. Wszystko wskazywało na to, że właściciele kolekcji brylantów, zgodnie z jego oczekiwaniami, wybierali się do posiadłości brata panny domu, Księcia Sheffield, położonej w północnej części Yorkshire i oddalonej o dobre sześć godzin jazdy od Londynu. Miał więc do dyspozycji co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Znacznie więcej niż potrzebował. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że uda mu się “obrobić” mieszkanie w Fontenoy House, był przecież jednym z najlepszych włamywaczy w Londynie.

Przed dziesiątą rano zdążył odprowadzić volvo do firmy, w której je wynajął, zwrócić liberię w wypożyczalni strojów i odstawić puste walizki do podręcznego składziku. Był teraz z powrotem w swoim wygodnym i kosztownie urządzonej mieszkaniu, w niczym nie przypominającym przestępczej meliny i znajdującym się w Wandsworth, gdzie się urodził i wychował, na najwyższym piętrze, zaadaptowanego na cele mieszkalne, dawnego składu herbaty. Niezależnie od tego jak mu się powodziło, pozostał południowym londyńczykiem z krwi i kości. Chociaż w Wandsworth nie było tak elegancko jak w Mayfair, czy Belgravii, był tutaj “na swoich śmieciach”. Jak wszyscy ludzie jego pokroju nie lubił opuszczać swej dzielnicy. Tutaj czuł się względnie bezpieczny, choć wśród miejscowych przedstawicieli półświatka i policjantów znany był jako “twarz”, co w języku świata przestępczego oznaczało kryminalistę lub niebieskiego ptaka.

Jak wszyscy przestępcy i kombinatorzy, którym udaje się bezkarnie prowadzić nielegalną działalność i osiągać z niej duże zyski, starał się nie rzucać nikomu w oczy na swoim terenie. Jeździł niepozornym samochodem, a jedynym odstępstwem od tej zasady, na jakie sobie pozwolił, było właśnie to elegancko urządzone mieszkanie.

Wobec otaczających go przedstawicieli niższych warstw świata przestępczego stosował skuteczny kamuflaż. Na ich pytania, czym właściwie naprawdę się zajmuje, potrafił udzielać wymijających i ogólnikowych odpowiedzi. A choć policja słusznie domyślała się jego przestępczej działalności, miał dotąd - jeśli nie liczyć krótkiej, rocznej odsiadki w wieku kilkunastu lat - zupełnie czystą kartotekę. Jego wyraźna zamożność i bliżej nieokreślone źródła jej pochodzenia, budziły szacunek i podziw młodych adeptów przestępczej roboty, którzy chętnie oddawali mu drobne przysługi.

Nawet najgroźniejsi bandyci, napadający w biały dzień, z bronią w ręku, w celach rabunkowych, trzymali się od niego z daleka.

Oczywiście musiał mieć jakąś “fasadę”, czyli zajęcie będące pozornym źródłem dochodów. Wszystkie liczące się “twarze” prowadziły jakieś legalne interesy.

Do najlepszych należało posiadanie taksówki lub sklepu owocowo-warzywnego, albo firmy skupującej złom i odpady metali lub prowadzenie wielobranżowego biura pośrednictwa handlowego. Wszystkie tego typu “fasady” zapewniały możliwość operowania licznymi, ukrytymi dochodami i obracania gotówką; dysponowania wolnym czasem oraz dostęp do całego szeregu melin i podstawę do zatrudniania od czasu do czasu kilku osobistych “goryli”, czy “ochroniarzy” fasadowych firm. Są to na ogół twardzi faceci o ograniczonych umysłach ale o znacznej sile fizycznej, poszukujący pozornie uczciwej, stałej pracy, która pozwoliłaby ukryć ich główne dochody, które uzyskują wynajmując się dorywczo jako płatni bandyci.

Rawlings był naprawdę właścicielem przedsiębiorstwa zajmującego się skupem i przetwarzaniem odpadów metali oraz złomowaniem starych samochodów.

Zapewniało mu to niekontrolowany dostęp do dobrze wyposażonego warsztatu mechanicznego, do wszelkiego rodzaju metali, instalacji elektrycznych, przewodów i kwasu akumulatorowego. Mógł też korzystać z usług dwóch potężnie zbudowanych osiłków, których zatrudniał w podwójnym charakterze: jako pracowników warsztatu i jako goryli osobistej obstawy, na wypadek gdyby miał kiedyś jakieś poważniejsze kłopoty z miejscowymi przestępcami.

Rawlings wziął prysznic, ogolił się, i mieszając brązowy, trzcinowy cukier w drugiej już tego rana filiżance kawy, zabrał się do ponownego studiowania szkicu, który dostarczył mu Billy Rice.

Billy był jego uczniem, młodym dwudziestotrzyletnim adeptem przestępczej roboty, praktykującym dopiero w fachu włamywacza, który z czasem mógł stać się dobrym, a nawet bardzo dobrym fachowcem. Jako początkujący przestępca chętnie wykonywał zadania na zlecenie mistrza o ustalonej reputacji, tym bardziej, że dawało mu to szansę zdobycia bezcennej wiedzy i doświadczeń. Dwadzieścia cztery godziny wcześniej, Billy zapukał do drzwi apartamentu na ósmym piętrze Hontenoy House; miał na sobie liberię jednej z najdroższych i najlepszych kwiaciarni i trzymał w rękach duży bukiet. Dzięki tym rekwizytom, nie wzbudził podejrzeń siedzącego w hallu szwajcara w liberii, sam natomiast zanotował w pamięci dokładnie rozkład pomieszczeń, położenie dyżurki portiera i drogę prowadzącą do schodów.

Drzwi otworzyła mu osobiście jej lordowska wysokość, na której twarzy, na widok kwiatów, pojawił się wyraz przyjemnego zaskoczenia. Z dołączonego do bukietu bileciku wynikało że został on przysłany przez komitet Społecznego Funduszu Pomocy dla Weteranów; Lady Fiona była nie tylko jedną z patronek tej charytatywnej instytucji, lecz właśnie tego wieczora, 30 grudnia 1986, miała wziąć udział w organizowanym przez nią uroczystym balu. Rawlings zakładał, że nawet jeśli na tym balu wspomni ona o przysłanych jej kwiatach któremuś z członków komitetu, uzna on po prostu, że to jeden z pozostałych kolegów polecił je przesłać w imieniu całego grona.

Lady Fiona, stojąc w drzwiach, starannie przeczytała dołączony do kwiatów bilet i wykrzyknęła “Ach, jakie idealnie piękne!”, posługując się przy tym charakterystycznym dla ludzi jej sfery, nieco przesadnym tonem i akcentem, i odebrała bukiet. Wtedy Billy wyjął długopis i bloczek z pokwitowaniami. Pani domu, nie mogąc poradzić sobie równocześnie z trzema przedmiotami, ruszyła

w kierunku salonu, by odłożyć bukiet i zostawiła Billy'ego na kilkanaście sekund bez dozoru w niewielkim przedpokoju.

Jego doskonała aparycja była istnym darem losu. Dzięki niej stanowił

idealnego wykonawcę takich zadań. Sprawiał to chłopięcy wygląd, kędzierzawe, jasne włosy, niebieskie oczy i nieśmiały uśmiech. Sam skromnie przyznawał, że jest w stanie oczarować każdą londyńską panią domu w średnim wieku i wyciągnąć z niej wszelkie niezbędne informacje. Przed uważnym spojrzeniem jego błękitnych, jak u dziecka, oczu trudno było cokolwiek ukryć.

Jeszcze zanim nacisnął dzwonek, przez całą minutę lustrował dokładnie wzrokiem drzwi wejściowe i ich futrynę, oraz przylegające do nich fragmenty ścian korytarza. Szukał małego, nie większego niż orzech brzączyka, albo czarnego guzika, czy przełącznika, przy pomocy którego można było taki brzączyk włączyć. Dopiero stwierdziwszy z zadowoleniem, że nic takiego przy drzwiach nie ma, nacisnął

dzwonek.

Teraz, gdy pozostawiono go samego w przedpokoju, powtórzył poprzednie czynności, szukając brzączyka lub przełącznika na wewnętrznej futrynie i sąsiednich powierzchniach ścian. Ale i tu ich nie było. Zanim pani domu wróciła, żeby podpisać pokwitowanie, Billy wiedział już, że drzwi zabezpiecza wmontowany w boczną krawędź zamek i stwierdził z radością że jest to zamek typu Chubb, nie zaś typu Bramah, który ma opinię konstrukcji niepokonanej dotąd przez najlepszych włamywaczy.

Lady Fiona wzięła od niego bloczek oraz długopis i próbowała potwierdzić odbiór kwiatów. Nie mogło jej się to jednak w żadnym razie udać. Z długopisu dawno usunięto cały zapas tuszu i starannie wytarto najdrobniejsze jego resztki, sprawdzając wielokrotnie, że nie pozostawia śladów na czystej kartce papieru. Billy zaczął

gorączkowo przeproszać. Lady Fiona oznajmiła, że nie ma to żadnego znaczenia, bo z pewnością ma inny długopis w torebce, po czym ponownie wróciła w głąb mieszkania, przechodząc przez drzwi prowadzące do salonu. Billy tymczasem znalazł

wreszcie to, czego szukał. Drzwi wejściowe były jednak rzeczywiście podłączone do systemu alarmowego.

Z bocznej, wewnętrznej krawędzi otwartych drzwi, wysoko, po stronie zawiasów, wystawał maleńki stycznik. Dokładnie naprzeciw niego, wmontowane było we framugę niewielkie gniazdko stykowe. Billy wiedział, że musi się w nim mieścić mikroprzełącznik firmy Pye. Kiedy drzwi były zamknięte, dociskowy stycznik wypełniał całkowicie otwór gniazodka i zamykał obwód.

Jeśli system przeciw-włamaniowy jest odpowiednio nastawiony i włączony, mikroprzełącznik samoczynnie uruchamia alarm, kiedy obwód zostanie przerwany, to znaczy, gdy ktoś otworzy drzwi. W ciągu niespełna trzech sekund, Billy zdążył wyjąć z kieszeni tubkę szybkiego kleju, wcisnąć sporą jego porcję do otworu gniazodka z mikroprzełącznikiem, a potem zalepić otwór małą

kulką zmieszanej z klejem plasteliny. Po czterech dalszych sekundach, ta mieszanka stała się twarda jak kamień, izolując mikroprzełącznik od dociskowego styku, wystającego z krawędzi drzwi.

Kiedy Lady Fiona wróciła z podpisanym pokwitowaniem, sympatyczny młody człowiek stał oparty o framugę drzwi; wyprostował się z przepaszającym uśmiechem, ścierając równocześnie z opuszka kciuka resztki zaschniętej mieszanki. Po wykonaniu swego zadania, Billy przekazał Jimowi Rawlingsowi dokładny opis hallu, dyżurki portierów, usytuowania schodów i wind, drogi wiodącej do drzwi wejściowych do mieszkania, małego przedpokoju za nimi i tej części salonu, którą udało mu się zobaczyć.

Popijając kawę, Rawlings był już pewny, że przed czterema godzinami właściciel mieszkania wyniósł walizki na korytarz, a następnie wrócił do przedpokoju, żeby włączyć system alarmowy. Jak zwykle, urządzenie alarmowe nie wydało żadnego dźwięku. Zamknąwszy za sobą drzwi, przekręcił do końca klucz w specjalnym, zapadkowym zamku i był pewien, że system alarmowy został prawidłowo nastawiony i działa. W normalnych warunkach, dociskowy stycznik kontaktowałby z mikroprzełącznikiem firmy Pye. Z chwilą przekręcenia klucza, obwód zostałby zamknięty, co z kolei uruchomiłoby pracę całego systemu alarmowego. Ponieważ jednak stycznik został odizolowany od mikroprzełącznika, przynajmniej ta część systemu alarmowego, która miała chronić drzwi wejściowe, nie działała. Rawlings był

pewny, że potrafi się uporać z zamkiem w ciągu najwyżej trzydziestu minut.

Wewnątrz mieszkania zainstalowane będą z pewnością inne pułapki. Zakładał jednak, że gdy na nie natrafi, da sobie z nimi radę.

Pociągając ostatni łyk kawy, sięgnął po swą teczkę z wycinkami prasowymi.

Jak wszyscy złodzieje klejnotów bacznie śledził kolumny i rubryki z plotkami i kroniką towarzyską. Teczka, którą wziął do ręki, zawierała wyłącznie wycinki na temat imprez, na których pojawiała się Lady Fiona i kompletu jej wspaniałych brylantowych klejnotów, który miała na sobie również poprzedniego wieczora. Jeśli będzie to zależało tylko od Jima Rawlingsa - już po raz ostatni.

O ponad półtora tysiąca kilometrów na wschód od Londynu, stary człowiek, stojący w oknie największego pokoju frontowego mieszkania na trzecim piętrze domu przy ulicy Prospekt Mira 111, również rozmyślał o nadchodzącej północy.

Miała ona zwiastować dzień 1 stycznia 1987. Jego siedemdziesiąte piąte urodziny.

Minęło już dawno południe, lecz on był nadal w szlafroku; teraz już bardzo rzadko zdarzało się, by musiał wstawać wcześniej, robić szybko poranną toaletę i ubierać się starannie przed wyjściem do biura. Jego żona, Erita, o trzydzieści lat młodsza od niego Rosjanka, wybrała się do Parku Gorkiego na łyżwy, wraz z ich dwoma synami. Pozostał więc w mieszkaniu zupełnie sam.

Dostrzegł przez chwilę swoje odbicie w ściennym lustrze lecz to, co w nim zobaczył, nie sprawiło mu większej przyjemności niż rozmyślenia nad własnym życiem, a raczej nad tym, co z niego zostało. Twarz, zawsze pokryta zmarszczkami, była teraz głęboko nimi pobrużdżona. Włosy, niegdyś gęste i

ciemne, były już śnieżnobiałe, rzadkie i wiotkie. Jego skórę, skórę człowieka, który przez całe życie pił

ogromnie dużo alkoholu i palił jednego papierosa za drugim, pokrywały plamy i wykwyty. Patrzące na niego z lustra oczy jego własnego odbicia, także wyglądały beznadziejnie. Wrócił do okna i spojrział w dół, na zaśnieżoną ulicę. Kilka opatulonych, skulonych z zimna starych kobiet odgarniało śnieg, choć wiadomo było, że jeszcze tej nocy spadnie nowy.

Myślał teraz z zadumą, że minął już bardzo długi czas - dwadzieścia cztery lata, prawie co do jednego dnia - odkąd zrezygnował ze swego bezcelowego, bezczynnego wygnania w Bejrucie, żeby przyjechać tutaj. Nie było wówczas sensu zostawać tam dłużej, Nick Elliot i inni ludzie z Firmy poskładali już razem wszystkie fakty i odkryli prawdę; a on w końcu sam się im przyznał. Przyjechał więc wtedy tu, zostawiając żonę i dzieci, które mogły, gdyby zechciały, dołączyć do niego później.

Początkowo myślał że przybywa do nowego, prawdziwego domu, do swego wymarzonego, duchowego i moralnego domu. Rzucił się w wir nowego życia, gdyż szczerze wierzył w tę filozofię i jej ostateczne zwycięstwo. Dlaczego nie miał

wierzyć? Służył przecież w końcu tym ideom przez dwadzieścia siedem lat swego życia. W tym pierwszym okresie swego pobytu tutaj, w połowie lat sześćdziesiątych, czuł się szczęśliwy i potrzebny. Oczywiście musiał przejść długotrwałe przesłuchania, ale czuł że jest człowiekiem cieszącym się szacunkiem Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego. Był w końcu jedną z pięciu gwiazd radzieckiego wywiadu, największą z nich wszystkich, większą niż Burgess, MacLean, Blunt czy Blake, którzy tak samo jak on przeniknęli w głąb najtajniejszego rdzenia brytyjskiego establishmentu, by go następnie zdradzić.

Burgess, którego pijaństwa i ekscesy erotyczne przedwcześnie wpędziły do grobu, nie żył już w chwili jego przybycia. MacLean pierwszy stracił wszelkie złudzenia, ale wtedy przebywał już na stałe w Moskwie, zresztą najdłużej z nich, bo od roku 1951. W 1963 roku był, zupełnie zgorzkniały i rozgoryczony, odbijając to sobie na Melindzie, która porzuciła go w końcu, żeby przenieść się tu, do tego właśnie mieszkania. MacLean, sfrustrowany i pełen niechęci do świata, żył od tego czasu samotnie, dopóki nie zachorował na raka; w tym okresie otwarcie nienawidził już swoich gospodarzy, a oni jego. Blunt został zdemaskowany i okryty niesławą w Anglii. - Zostało nas więc tylko dwóch, Blake i ja, pomyślał stary człowiek. W jakiś sposób zazdrościł swemu koledze, do którego był zresztą zaproszony wraz z żoną na Sylwestra. Blake wydawał się całkowicie zasymilowany i szczerze zadowolony ze swego losu. Oczywiście ułatwiało mu to kosmopolityczne pochodzenie; jego ojciec był Holendrem, a matka Żydówką.

On sam nie miał szans na asymilację; wiedział o tym już po pierwszych pięciu latach. Opanował w tym czasie biegle język rosyjski, tak w mowie, jak i w piśmie, ale nadal zachował wyraźny angielski akcent. Poza tym doszło do tego, że znienawidził

społeczeństwo wśród którego przyszło mu żyć. Było ono mu całkowicie, nieodwracalnie i niezmiennie obce.

Nie to zresztą uważał za najgorsze; w ciągu siedmiu lat od chwili swego przybycia tutaj stracił

wszelkie złudzenia polityczne. Wszystko wokół stanowiło jedno wielkie kłamstwo, a on był wystarczająco inteligentny, żeby to dostrzec. Przeżył

młodość i wiek męski służąc kłamstwu; dla niego kłamał, dla niego zdradzał, dla niego wreszcie porzucił tamten "zielony i przyjazny kraj". I wszystko to robił dla uludy.

Przez całe lata, otrzymując z tytułu swego stanowiska wszystkie angielskie czasopisma i gazety, śledził w nich wyniki meczów krykieta, doradzając równocześnie jak prowokować strajki, oglądał w ilustrowanych magazynach wszystkie tak dobrze znane sobie miejsca, przygotowując równocześnie kampanie dezinformacyjne, które miały doprowadzić je do ruiny. Siedząc na stołku barowym w hotelu National, słuchał Anglików, śmiejących się i dowcipkujących w jego własnym języku, a równocześnie doradzał czołowym funkcjonariuszom KGB, nawet samemu przewodniczącemu, w jaki sposób można najbardziej zaszkodzić tej małej wyspie. I przez cały czas w ciągu tych minionych piętnastu lat ogarniała go gdzieś w głębi duszy ogromna rozpacz, której nawet alkohol, ani liczne kobiety nie były w stanie zagłuszyć. - Jest już za późno - tłumaczył sam sobie. - Nie mógłbym już tam nigdy wrócić. A jednak, a jednak...

Rozległ się dzwonek przy drzwiach. Zaskoczyło go to. Lokatorami bloku pod numerem 111 przy spokojnej, bocznej, choć położonej w centrum Moskwy uliczce Prospekt Mira, są głównie wysocy funkcjonariusze KGB i nieliczni pracownicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Nikogo z nich nie oczekiwał. Każdy gość z zewnątrz, przybywający do niego w odwiedzinach, musiałby zgłosić się najpierw w portierni. Nie mogła to także być Erita, miała przecież swoje własne klucze.

Kiedy otworzył drzwi, zobaczył, że stoi za nimi jakiś nieznany mu mężczyzna.

Był młody i starannie ubrany; miał na sobie dobrze skrojony, zimowy płaszcz i ciepłą, futrzaną czapkę bez żadnych dystynkcji. Na jego twarzy malowała się zimna obojętność, nie będąca jednak wynikiem działania lodowatego, wiejącego za oknem wiatru, bowiem wygląd jego butów dowodził, że nie brnął po ulicy przez zwały zlodowaciałego śniegu, lecz wysiadł tylko z ciepłego samochodu i przeszedł kilka kroków do ogrzanego wnętrza budynku. Jasne, niebieskie oczy nieznajomego spoglądały na starego człowieka całkowicie beznamiętnie, nie wyrażając ani sympatii, ani wrogości.

- Towarzysz pułkownik Kim Philby? - zapytał przybyły.

Philby był zaskoczony. Jedynie bliscy przyjaciele, do których oprócz państwa Blake należało może z pół tuzina innych osób, nazywali go Kim. Pozostali znali od wielu, wielu lat wyłącznie jego pseudonim. Tylko nieliczni członkowie ścisłego kierownictwa wiedzieli, że nazywa się Philby i jest pułkownikiem KGB w stanie spoczynku.

- Owszem.

- Jestem major Pawłow z Dziewiątego Zarządu, oddelegowany do pracy w zespole osobistych doradców Sekretarza Generalnego KPZR.

Philby znał Dziewiąty Zarząd KGB. Zapewniał on ochronę osobistą wszystkim członkom kierownictwa partii i budynkom w których mieszkali i pracowali. Jego funkcjonariusze, znani także

jako Gwardia Kremłowska, mieli charakterystyczne mundury: czapki z jaskrawo-niebieskimi otokami, szerokie epolety i wyłogi kołnierzy w tym samym kolorze - nosili je teraz już tylko pełniąc służbę wartowniczą wewnątrz budynków partyjnych i podczas oficjalnych uroczystości. A gdy występowali jako członkowie osobistej ochrony, nosili znakomicie skrojone ubrania cywilne; wszyscy byli bardzo sprawni fizycznie, doskonale wyszkoleni, całkowicie lojalni i uzbrojeni.

- Bardzo mi miło - powiedział Philby.

- To dla was, towarzyszu pułkowniku.

Major wyciągnął ku niemu długą, elegancką kopertę. Philby wziął ją do ręki.

- To również - dodał major, wręczając mu mały prostokątny kartonik, na którym widniał jakiś numer telefonu.

- Dziękuję - odrzekł Philby. Major bez słowa wykonał lekki skłon głową, odwrócił się w miejscu i ruszył w głąb korytarza. W kilka sekund później, Philby obserwował przez okno ruszającą sprzed frontowego wejścia do budynku lśniąca, czarna limuzyna marki czajka; której charakterystyczne numery rejestracyjne, zaczynające się od liter MOC, wskazywały, że jest to samochód należący do Komitetu Centralnego.

Jim Rawlings oglądał przez szkło powiększające fotografię zamieszczoną w jakimś snobistycznym czasopiśmie. Zdjęcie, wykonane mniej więcej przed rokiem, przedstawiało tę samą kobietę, którą widział tego rana wraz z mężem w samochodzie wyjeżdżającym z centrum Londynu. Stała w szeregu osób uczestniczących w uroczystości prezentacji obecnych na jakimś przyjęciu, odbywającym się zgodnie z dworskim ceremoniałem, patrząc jak jej sąsiadka wita się z księżniczką Aleksandrą. I miała na sobie właśnie te klejnoty, o które mu chodziło. Rawlings, który każde włamanie poprzedzał wielomiesięcznymi przygotowaniem, znał ich pochodzenie i historię lepiej, niż własną datę urodzenia.

W roku 1905, młody hrabia Margate powrócił z Afryki Południowej, przywożąc ze sobą cztery wspaniałe, ale nieoszlifowane diamenty. Kiedy w roku 1912

brał ślub, polecił londyńskiej firmie Cartier oszlifować je i oprawić, chciał bowiem dać je w prezencie swej młodej żonie. Cartier zlecił ich oszlifowanie firmie Aascher z Amsterdamu, której pracownicy cieszyli się opinią najlepszych szlifierzy w świecie, zwłaszcza odkąd udało im się tak wspaniale pociąć ogromny diament "Cullinan".

Owym czterem kamieniom nadano po oszlifowaniu kształt i formę dwóch, tworzących komplet par owalnych, pięćdziesięcioośmio-fasetowych brylantów. Przy czym, brylanty tworzące parę mniejszych kamieni ważyły po dziesięć karatów, a tworzące parę większych - po dwadzieścia karatów.

Przesłane z powrotem do Londynu, oszlifowane kamienie, firma Cartier oprawiła w białe złoto, dodając ornament złożony z czterdziestu o wiele mniejszych brylantów. Tak powstał komplet klejnotów składający się z tiary, w której środek wprawiono pierwszy z większych kamieni, wisiorka, którego główną ozdobą był drugi duży brylant, oraz dwóch kolczyków, ozdobionych

obydwoma mniejszymi brylantami. Zanim zakończono pracę nad kompletem, zmarł ojciec hrabiego, księżę Sheffield, a syn odziedziczył jego tytuł. Brylanty otrzymały nazwę "Glen", od rodzinnego zawołania domu książąt Sheffield.

Ósmy księżę Sheffield zmarł w 1936 roku, przekazując brylanty swemu synowi, który z kolei miał dwoje dzieci, urodzoną w roku 1944 córkę i o pięć lat młodszego syna. Właśnie ta córka, licząca obecnie czterdzieści dwa lata, była osobą której zdjęcie oglądał teraz przez szkło powiększające Jim Rawlings.

- Nie włożysz ich już więcej, kochana - powiedział głośno do siebie Rawlings.

Potem zaczął jeszcze raz sprawdzać sprzęt, który przygotował sobie na wieczór.

Harold Philby rozciął kopertę kuchennym nożem, wyciągnął z niej list, i rozłożył go na stole w saloniku. Zawartość koperty zrobiła na nim wrażenie: był to odręczny list od sekretarza generalnego KPZR, napisany - oczywiście po rosyjsku -

jego schludnym, nieco pedantycznym charakterem pisma.

Papier, podobnie jak koperta, był biały i lśniący i nie posiadał żadnego nagłówka. Sekretarz musiał więc napisać ten list w swoim prywatnym mieszkaniu przy Prospekcie Kutuzowa 26. Stał tam ogromny blok mieszkalny, który od czasów Stalina mieścił w swym przestrzennym wnętrzu moskiewskie apartamenty najwyższych dostojników partyjnych.

W prawym rogu wpisano: "środa przed południem, 31 grudnia 1986". Poniżej widniał następujący tekst:

Drogi Philby,

Dotarła do mojej wiadomości uwaga, jaką uczyniliście na pewnym przyjęciu, wydanym niedawno w Moskwie. Powiedzieliście mianowicie, że "stabilność polityczna Wielkiej Brytanii zawsze była w Moskwie przeceniana, a już chyba nigdy bardziej niż obecnie".

Chciałbym otrzymać od Was obszerniejsze rozwinięcie i wyjaśnienie tego stwierdzenia. Proszę nadać mu formę pisemną i skierować je osobiście do mnie, w jednym egzemplarzu, bez żadnych kopii i nie korzystając z pomocy sekretarek.

Kiedy Wasz materiał będzie gotowy, proszę zatelefonować pod numer który przekazał Wam major Pawłow i poprosić go do aparatu. We wskazanym terminie przyjedzie do Waszego mieszkania i odbierze Wasz raport.

Najlepsze życzenia z okazji Waszych jutrzejszych urodzin.

Szczerze oddany...

List kończył się podpisem.

Philby wolno wypuścił powietrze. A więc podczas wieczornego przyjęcia, wydanego 26-ego przez Kriuczkowa dla wyższych oficerów KGB, czynna była jednak aparatura podsłuchowa. Po części domyślał się tego wcześniej. Władimir Aleksandrowicz Kriuczkow, pierwszy zastępca przewodniczącego KGB i szef jego Pierwszego Głównego Zarządu, był człowiekiem sekretarza generalnego, oddanym mu całkowicie i bez reszty. Choć nadano mu stopień generała - pułkownika, nie rozpoczynał swej kariery w wojsku i nie był nawet kadrowym oficerem wywiadu. Był

typowym partyjnym aparaczką, jednym z ludzi zatrudnionych przez obecnego radzieckiego przywódcę w okresie, gdy pełnił on jeszcze funkcję przewodniczącego KGB.

Philby raz jeszcze przeczytał list i odłożył go na stół. Stary nie zmienił stylu -

pomyślał. List był krótki, wręcz lakoniczny, jasny i zwięzły; nie zawierał zawitych grzecznościowych zwrotów i nie zachęcał do wymiany zdań. Nawet wzmianka o urodzinach Philby'ego brzmiała niezwykle lakonicznie i miała dowieść zapewne tylko, że autor listu kazał sobie przynieść jego akta dla przypomnienia i niewiele więcej.

Mimo to Philby był poruszony. Osobisty list od tego lodowato chłodnego i zamkniętego w sobie człowieka stanowił coś niezwykłego i wielu ludzi trzęsłoby się z wrażenia, gdyby spotkał ich taki zaszczyt. Kiedyś, przed laty, było inaczej. Gdy obecny szef państwa radzieckiego został przewodniczącym KGB, Philby pracował

tam już od lat i był uważany za coś w rodzaju gwiazdora w swym zawodzie.

Wygłaszał odczyty na temat zachodnich agencji wywiadowczych, koncentrując swą uwagę szczególnie na brytyjskiej Secret Intelligence Service (SIS).

Jak wszyscy obejmujący nowe stanowiska działacze partyjni, którym powierzono kierowanie specjalistami z jakiejś dziedziny, nowy przewodniczący starał

się obsadzić czołowe stanowiska oddanymi sobie bezwzględnie ludźmi. Philby, choć szanowany i podziwiany jako jedna z pięciu gwiazd, zdał sobie sprawę, że patron na bardzo wysokim stanowisku może być w tym najbardziej zakonspirowanym światku niezwykle cenny. Przewodniczący zaś, człowiek wysoce inteligentny i kulturalny, okazywał niezwykle, graniczące wręcz z fascynacją, zainteresowanie Wielką Brytanią.

W ciągu wielu wspólnie przepracowanych lat, szereg razy prosił Philby'ego o interpretację lub analizę pewnych wydarzeń, które miały miejsce w Wielkiej Brytanii.

Wypytywał go też o różne osobistości i ich prawdopodobne reakcje wobec tych wydarzeń. Philby chętnie wykonywał jego polecenia. Miał wrażenie że przewodniczący KGB chce porównać z jego niezależną opinią docierające na jego biurko raporty "ekspertów od spraw brytyjskich", przygotowywane przez oficerów KGB i przez specjalistów zatrudnionych w jego dawnym miejscu pracy, w Wydziale Międzynarodowym Komitetu Centralnego, kierowanym wówczas przez Borisa Ponomariowa. Wielokrotnie także, w dyskretny sposób prosił Philby'ego o bezpośrednią radę w różnych sprawach, dotyczących Wielkiej Brytanii.

Upłynęło jednak sporo czasu, odkąd Philby miał okazję spotkać się w cztery oczy z nowym carem Wszechrosji. Ich ostatnie spotkanie miało miejsce na pożegnalnym przyjęciu, które wydał przewodniczący odchodząc z KGB. Wracał do pracy w Komitecie Centralnym, rzekomo po to, by objąć stanowisko jednego z sekretarzy, w istocie zaś po to, by w obliczu nieuchronnie zbliżającej się śmierci ówczesnego sekretarza generalnego przygotować się do zajęcia jego miejsca i za pomocą bardzo złożonej i przemyślanej gry zapewnić sobie sukcesję.

Jego rozmyślania przerwał powrót Erity i chłopców, którzy mieli twarze zaczerwienione od jazdy na łyżwach i jak zwykle robili dużo hałasu. W roku 1975, czyli w wiele lat po odejściu od niego Melindy MacLean, szefowie KGB uznali, że jego częste pijaństwa i przypadkowe przygody z prostytutkami przestały już być zabawne, przynajmniej w oczach decydującego o jego losach aparatu. Erita otrzymała rozkaz wprowadzenia się do jego mieszkania. Była pracownicą KGB, dość nietypową z uwagi na swe żydowskie pochodzenie, miała trzydzieści cztery lata, ciemne włosy i zrównoważony charakter. Pobrali się jeszcze w tym samym roku.

Dopiero po ślubie Erita odczuła działanie jego dużego uroku osobistego.

Zakochała się w nim naprawdę i wręcz odmówiła dalszego informowania KGB o jego poczynaniach. Oficer operacyjny, odpowiedzialny za kontakt z nią i przekazywanie informacji wrzucił ramionami, zameldował o tym swoim przełożonym i usłyszał od nich, że ma zapomnieć o całej sprawie. Chłopcy przyszedli na świat w dwa i trzy lata później.

- Coś ważnego, Kim? - spytała, dostrzegłszy jak stojąc przy stole, wsuwa list do kieszeni.

Przecząco potrząsnął głową.

Erita zajęła się więc na nowo zdejmowaniem z chłopców grubych, pikowanych kurtek. Ona jednak widziała wyraźnie, że jest czymś zaabsorbowany.

Była zbyt mądra, żeby nalegać, ale podeszła bliżej i pocałowała go w policzek.

- Proszę cię Kim, nie pij za dużo dziś wieczorem u Blake'ów - powiedziała.

- Spróbuję - odparł z uśmiechem.

W gruncie rzeczy, zamierzał pozwolić sobie na ostatnie wielkie pijaństwo.

Jako człowiek, który przez całe życie dużo pił, gdy zaczynał już pić na jakimś przyjęciu robił to zazwyczaj tak długo, jak długo był w stanie utrzymać się na nogach.

Całkowicie ignorował wielokrotne ostrzeżenia lekarzy, namawiających go do abstynencji. Pod wpływem ich perswazji przestał palić i to było już wystarczająco przykre. Ale nie zamierzał rezygnować dobrowolnie z alkoholu - wiedział, że potrafi nadal przestać pić, gdy tylko zechce i że po przyjęciu, na które wybiera się tego wieczora będzie musiał na jakiś czas zrobić przerwę.

Pamiętał dobrze, co powiedział przy stole podczas przyjęcia u Kriuczkowa i nie zapomniał przemyśleń które skłoniły go do wygłoszenia takiej opinii. Wiedział na bieżąco, co się dzieje i na co

się zanoszą wewnątrz brytyjskiej Partii Pracy. Inni również otrzymywali stosy nieopracowanych informacji wywiadowczych, które on studiował przez całe lata i które nadal mu dostarczano, co stanowiło wyjątkowe wyróżnienie, a może wyraz uznania dawnych zasług. Ale tylko on był naprawdę w stanie złożyć z poszczególnych elementów tych informacji logiczną całość, nanieść ją na kanwę swojej wiedzy o brytyjskiej psychologii społecznej i otrzymać w ten sposób prawdziwy obraz sytuacji. Jeśli zechce sformułować przekonująco rodzącą się stopniowo w jego umyśle wizję tej sytuacji, będzie musiał nadać swemu wewnętrznemu obrazowi odpowiednią formę słowną, żeby przygotować dla radzieckiego przywódcy jeden z najlepszych memoriałów, jakie kiedykolwiek wyszły spod jego pióra. Na czas weekendu może wysłać Eritę z chłopcami na dach. Zostanie sam w mieszkaniu i zacznie pisać w sobotę. Przedtem jednak pozwoli sobie na jeszcze jedno, ostatnie pijaństwo.

Jim Rawlings siedział tego wieczora od dziewiątej do dziesiątej za kierownicą innego już, mniejszego, także wynajętego samochodu, zaparkowanego pod Fontenoy House. Miał na sobie znakomicie skrojony smoking i znowu nie zwracał niczyjej uwagi. Obserwował bacznie światła w oknach mieszkań położonych na wyższych piętrach tego luksusowego domu. Mieszkanie, do którego zamierzał się dostać, tonęło oczywiście w ciemnościach, z zadowoleniem jednak stwierdził, że apartamenty znajdujące się bezpośrednio pod nim i nad nim, są rzęsiście oświetlone. Widząc wystrojonych gości, pojawiających się od czasu do czasu w oknach obydwu mieszkań, doszedł do wniosku, że w obu odbywają się noworoczne przyjęcia.

O dziesiątej, dyskretnie zaparkowawszy samochód w bocznej uliczce, oddalonej o dwie przecznice, wkroczył niespiesznie przez główne wejście do Fontenoy House. Przez cały czas wchodziło tam i wychodziło tyle osób, że drzwi były przymknięte tylko ale nie zamknięte na zamek. W hallu, po lewej stronie, dokładnie jak powiedział mu Billy Rice, mieściła się portiernia. Jeden z portierów, pełniący nocny dyżur, wpatrzony był w swój przenośny japoński telewizor. Wstał i podszedł do otwartych drzwi dyżurki, jakby chciał coś powiedzieć.

Rawlings niósł butelkę szampana przewiązaną wstążką zakończoną wielką kokardą. Pomachał przyjaźnie ręką, udając lekko podchmielonego.

- Dobry... wieczór! - zawołał do portiera. - No... i szczęśliwego Nowego Roku!

Jeśli stary portier zamierzał go nawet przedtem spytać kim jest, lub dokąd się wybiera, najwyraźniej zmienił zdanie. W budynku odbywało się tej nocy co najmniej sześć przyjęć. Przynajmniej połowa z nich miała charakter otwarty, więc jak mógł

sprawdzać listy zaproszonych gości?

- Och, dziękuję, sir. Szczęśliwego Nowego Roku, sir. - Odpowiedział

grzecznie, ale mężczyzna w smokingu zniknął już w głębi korytarza. Powrócił więc do swego telewizora.

Rawlings wszedł po schodach na pierwsze piętro, potem wjechał windą na ósme. Pięć minut po dziesiątej stał już pod drzwiami apartamentu którego szukał.

Zgodnie z meldunkiem Billy'ego nie było na nich brzęczyka, tylko zamek zapadkowy firmy Chubb. O jakieś pół metra nad nim zamontowany był, używany na co dzień zwykły zamek samozatraskujący, typu Yale.

Zamek firmy Chubb ma w sumie 17.000 wariantów i permutacji. Jest to zamek pięcizapadkowy, ale dla dobrego fachowca nie stanowi to problemu nie do pokonania, ponieważ żeby go otworzyć trzeba rozpracować tylko dwie i pół zapadki -

druga połowa mechanizmu jest identyczna, tylko ustawiona odwrotnie, aby klucz właściciela funkcjonował zawsze sprawnie, bez względu na to z której strony drzwi zostanie włożony w otwór zamka.

Porzuciwszy szkołę jako szesnastolatek, Rawlings przez dziesięć lat pracował

pod kierunkiem swego wuja Alberta w jego sklepie z narzędziami. Sklep ten stanowił

dobrą "fasadę" dla przestępczej działalności właściciela, który za młodych lat był

znanym i sprawnym włamywaczem. Młody Rawlings miał więc dostęp do wszystkich zamków jakie znajdowały się na rynku i do większości mniejszych sejfów. A ponieważ był chętny do nauki i pracowity, po dziesięciu latach nieustannych ćwiczeń pod fachowym okiem wuja Alberta, był w stanie otworzyć chyba prawie każdy z aktualnie produkowanych zamków.

Wyjął z kieszeni spodni pęk dwunastu wytrychów. Wszystkie wykonane były w jego własnym warsztacie. Kolejno wybrał i wypróbował trzy spośród nich, a wreszcie zdecydował się na użycie szóstego z rzędu. Włożył go w otwór zamka i zaczął nim delikatnie poruszać, aby wyczuć punkty oporu. Potem wyjął z kieszeni smokinga paczkę płaskich stalowych pilników i zaczął nimi obrabiać wykonane z nieco bardziej miękkiego metalu części wytrycha. Po dziesięciu minutach rozpracował już pierwsze dwie i pół zapadki, znał więc już układ, czyli "profil" zamka, który był

mu niezbędny do rozpracowania całego mechanizmu zapadkowego. Po dalszych piętnastu minutach odtworzył ten sam układ w odwrotnej konfiguracji. Wsunąwszy gotowy wytrych w otwór, zaczął go powoli i ostrożnie obracać w zamku.

Wytrych przekręcił się do samego końca. Jim odczekał sześćdziesiąt sekund, na wypadek, gdyby sporządzona przez Billy'ego blokada z mieszanki kleju i plasteliny wypadła z framugi drzwi. Ale alarm nie odezwał się. Odetchnął z ulgą i przy pomocy cienkiej szpilki z hartowanej stali przystąpił do otwierania zamka Yale. Po sześćdziesięciu sekundach drzwi otworzyły się bezszelestnie. W mieszkaniu było ciemno, ale w świetle padającym z korytarza widział zarysy pustego przedpokoju.

Było to kwadratowe pomieszczenie o powierzchni około dziesięciu metrów, całe wyłożone dywanem.

Jim podejrzewał, że pod dywanem znajdować się może czujnik naciskowy, ale wiedział, że nie może być ulokowany nazbyt blisko drzwi, żeby właściciel sam przez pomyłkę nie uruchomił alarmu. Wszedł do przedpokoju trzymając się jak najbliżej ściany, zamknął za sobą drzwi i zapalił światło.

Po lewej stronie znajdowały się na wpół przymknięte drzwi, za którymi dostrzegł umywalkę. Po prawej jeszcze jedne drzwi, zapewne od garderoby, w której ukryty był niewątpliwie wyłącznik alarmu. Ale Jim nie zamierzał się nim zajmować. Wyjął z wewnętrznej kieszeni smokinga parę kleszczy, pochylił się i oderwał od podłogi gładki brzeg dywanu. Pod nim dostrzegł

jeden czujnik naciskowy, ulokowany dokładnie w samym środku przedpokoju. Tylko jeden. Łagodnie odłożył dywan na miejsce, obszedł czujnik i otworzył, znajdujące się dokładnie naprzeciwko wejścia, podwójne drzwi. Jak poinformował go wcześniej Billy, prowadziły one do salonu.

Stał przez kilka minut w progu ciemnego pokoju, zanim odszukał wzrokiem przełącznik i zapalił światło. Było to ryzykowne, ale znajdował się osiem pięter nad poziomem ulicy, wiedział, że właściciele są w Yorkshire, a poza tym nie miał dość czasu by działać w pełnym przeciwwłamaniowych pułapek pokoju, przy świetle kieszonkowej latarki.

Prostokątny pokój o wymiarach około szesnaście na dwanaście jardów był

także cały pokryty dywanem i bogato umeblowany. Jim miał przed sobą ścianę z dużymi oknami, wychodzącymi na południe, czyli na ulicę. Po prawej stronie znajdował się marmurowy kominek z wmontowanym palnikiem gazowym i drzwi, wiodące zapewne do głównej sypialni. Po lewej, czyli w przeciwległej ścianie, dostrzegł podwójne drzwi; jedne, otwarte, wychodziły na korytarz prowadzący do sypialni gościnnych, drugie - wiodące chyba do jadalni lub kuchni - były zamknięte.

Stał jeszcze przez dziesięć minut bez ruchu, lustrując uważnie wzrokiem ścianę i sufit. Miał po temu wyraźny powód: w salonie mógł znajdować się nie zauważony przez Billy'ego czujnik alarmowy, reagujący na ciepło wydzielane przez ciało każdego wchodzącego do salonu człowieka lub na jego ruch. Gdyby rozległy się dzwonki alarmowe, mógł opuścić mieszkanie w ciągu trzech sekund. Ale alarmu nie było; system alarmowy składał się najwyraźniej z obwodu wmontowanego w drzwi, a także zapewne w ramy okienne (których i tak nie miał zamiaru dotykać) oraz z szeregu czujników naciskowych.

Był pewien, że sejf mieści się albo w tym pokoju, albo w głównej sypialni i że wmontowany jest w zewnętrzną ścianę domu, gdyż wewnętrzne ściany działowe nie były wystarczająco grube, by go pomieścić. Odnalazł go tuż przed jedenastą. Na dwumetrowym odcinku przeciwległej ściany, pomiędzy dwoma szerokimi oknami, znajdowało się lustro w złotej ramie; nie odstawało ono od ściany jak obrazy, których krawędzie ram rzucały na nią wąski cień, lecz przylegało do niej ściśle, jakby umocowano je na zawiasach.

Ponownie odrywając kleszczami brzeg dywanu od podłogi, przesuwając się ostrożnie wzdłuż ściany i obserwował cienkie przewody, prowadzące od listwy przyściennej do czujników naciskowych, ulokowanych gdzieś w środkowych rejonach pokoju.

Kiedy dotarł do lustra, zauważył, że jeden z tych czujników zamontowany jest tuż pod nim. Zastanawiał się czy go nie odłączyć, potem podniósł stojący obok niski, czarny stolik i ustawił go w taki sposób, żeby żadna z jego nóżek nie dotykała klepki pod którą umieszczony był przycisk. Wiedział teraz, że jeśli będzie trzymał się ścian, lub chodził po meblach (żaden mebel nie może stać na przycisku czujnika) ma zapewnione całkowite bezpieczeństwo poruszania się, bez ryzyka

uruchomienia alarmu.

Lustro dociskane było do ściany przez magnetyczny uchwyt, również podłączony przewodami do systemu alarmowego. Nie był to jednak dla Jima żaden problem. Wsunął cienki arkusz namagnetyzowanej stali pomiędzy dwa magnesy, z których jeden wmontowany był w ramę lustra, drugi zaś w ścianę. Przyciskając swój zastępczy obiekt do magnesu tkwiącego w murze, spokojnie uwolnił lustro ze ściennego uchwytu. Magnes wbudowany w ścianę nie zareagował; nadal miał kontakt z innym magneselem, więc nie nadał impulsu sygnalizującego przerwanie obwodu.

Rawlings uśmiechnął się. Miał przed sobą dobrze znany sejf ścienny Hamber, model D. Wiedział że jego drzwiczki wykonane są ze specjalnie utwardzonej, hartowanej stali, o grubości prawie półtora centymetra; że zawias jest pionowym prętem z hartowanej stali, wysuniętym z drzwi ku górze i ku dołowi, w taki sposób, że jego końce tkwią głęboko w obudowie sejfu. Mechanizm zabezpieczający składa się z trzech rygli z hartowanej stali, wysuwających się z drzwi i wchodzących w ramę na głębokość około czterech centymetrów. Za stalową obudowę drzwi mieściła się opancerzona metalowa puszka, o głębokości około 5 cm, osłaniająca trzy rygle zabezpieczające, pionowy rygiel kontrolny, który je uruchamiał i zamek szyfrowy, którego trzy pokrętła wystawały na zewnątrz i były wyraźnie widoczne.

Ale Rawlings nie zamierzał bynajmniej niepotrzebnie majstrować przy tych wszystkich urządzeniach. Istniał znacznie prostszy sposób - trzeba było przeciąć drzwi od góry do dołu na odcinku między pokrętłem a zawiasem. Wówczas główna część ich powierzchni - około 60 procent - w której tkwił zamek szyfrowy i trzy rygle wciśnięte w obudowę sejfu, pozostałaby nietknięta. Druga część, obejmująca około 40

procent powierzchni, dałaby się uchylić na tyle, że można byłoby wsunąć rękę do wnętrza sejfu i wy dostać całą jego zawartość.

Ostrożnie wrócił do przedpokoju, w którym zostawił swą butelkę szampana i przyniósł ją do pokoju. Pochyliwszy się nad stolikiem do kawy odkręcił dno spreparowanej butelki i wyjął z niej swój sprzęt: pudełeczko zawierające owinięty w watę elektryczny zapalnik, zestaw małych magnesów, zwój zwykłego, instalacyjnego 5-amperowego przewodu elektrycznego, i spory odcinek CLC.

Rawlings wiedział dobrze, że aby przeciąć stalową płytę ponad półcalowej grubości najlepiej posłużyć się systemem Monroego, nazwanym tak na cześć odkrywcy zasady "kształtowanego ładunku". To, co obecnie trzymał w ręku, nosiło nazwę Charge - Linear - Cutting, czyli w skrócie CLC. Był to pasek metalu, sztywny, ale dający się kształtować, zatopiony w warstwie plastikowego materiału wybuchowego. Produkt ten wyrabiany był w Anglii tylko przez trzy firmy, jedną państwową i dwie należące do sektora prywatnego. Oczywiście nabywać go mogli wyłącznie posiadacze trudno osiągalnego zezwolenia, ale Rawlings jako prawdziwy, zawodowy włamywacz, miał w jednej z prywatnych firm swojego człowieka -

przekupionego pracownika, który zaopatrywał go w ten materiał wybuchowy.

Szybko i fachowo przygotował odpowiedni odcinek CLC i przymocował go do zewnętrznej ściany drzwi sejfu, w taki sposób, że sięgał od górnej do dolnej krawędzi drzwi i przebiegał tuż obok

pokrętiła zamka szyfrowego. Do jednego końca tego odcinka podłączył zapalnik, z którego wystawały dwa skręcone, miedziane przewody. Rozłączył i wyprostował je, a później rozwarł jak tylko mógł najszerzej, aby uniknąć ewentualnego krótkiego spięcia. Potem przedłużył oba przewody dwoma odcinkami zwykłego kabla elektrycznego, zbiegającymi się u wylotu najzwyczajszej wtyczki do kontaktu.

Ostrożnie rozwijając kabel i trzymając się pod ścianami, wycofał się z pokoju na korytarz, który prowadził do pokoi gościnnych. Wiedział, że ściana korytarza ochroni go przed skutkami wybuchu. Szybkim krokiem wszedł do kuchni i napełnił

wodą dużą, polietylenową torbę, którą wyjął z kieszeni. Potem przymocował ją specjalnymi pinezkami do ściany w taki sposób, żeby wisiała tuż przed drzwiczkami sejfu i przygotowanym ładunkiem. Poduszki z piór - uczył go zawsze wuj Albert -

dobrze są dla ptaków i do telewizji. Nic nie amortyzuje wstrząsów tak skutecznie, jak woda.

Brakowało dwudziestu minut do północy. Przyjęcie, toczące się o piętro wyżej, stawało się coraz bardziej hałaśliwe. Nawet w tym luksusowym budynku, w którym dbano o zapewnienie spokoju mieszkańcom, słyszał wyraźnie podniesione głosy i odgłosy tańca. Ostatnią czynnością, jaką wykonał przed wyjściem z pokoju, było włączenie telewizora. Potem wyszedł na korytarz. Znalazł gniazdko elektryczne.

Upewnił się, że dopływ prądu do niego jest wyłączony i gniazdko nie jest pod napięciem, a następnie wetknął w nie wtyczkę swoich przewodów. Potem już tylko czekał.

Na minutę przed północą, hałas na górze stał się ogłuszający. Potem nagle ucichł, jakby ktoś donośnym głosem kazał obecnym zamilknąć. W zapadłej ciszy Rawlings słyszał dźwięki płynące ze stojącego w salonie, włączonego telewizora.

Tradycyjnie nadawany program ze Szkocji - ballady i tańce regionalne - zniknął z ekranu, a jego miejsce zajął statyczny obraz zegara umieszczonego na szczycie londyńskiej siedziby Parlamentu i błędnie nazywanego Big Benem. Za tarczą zegara wisiał olbrzymi dzwon, prawdziwy Big Ben. Komentator telewizyjny wypełniał

gadanią ostatnie sekundy przed północą, podczas gdy mieszkańcy całego królestwa napełniali kieliszki. Później zegar zaczął wybijać kwadransy.

Po czterech uderzeniach nastąpiła krótka przerwa. A potem przemówił Big Ben. Bang! - zabrzmiało donośnie pierwsze z jego dwunastu uderzeń, ogłaszających północ. Odbiło się ono echem w dwudziestu milionach domów w całym kraju, i wdarło się do mieszkania na dziewiątym piętrze Fontenoy House, gdzie zostało zagłuszone przez radosne wrzaski gości i dźwięki "Auld Lang Syne". Gdy pierwsze uderzenie dzwonu wstrząsnęło ósmym piętrem, Jim Rawlings przesunął wyłącznik gniazdka na pozycję: "ON".

Rozległ się stłumiony trzask, którego nikt poza nim nie usłyszał. Odczekał

szesnaście sekund, potem wyjął wtyczkę z kontaktu i uprzątną po drodze cały swój sprzęt, zaczął ostrożnie posuwać się z powrotem w stronę sejfu. Resztki dymu rozwiewały się już. Z plastikowej torby, zawierającej cztery litry wody, zostało tylko kilka wilgotnych plam na podłodze. Drzwi sejfu wyglądały tak, jakby jakiś olbrzym przerąbał je od góry do dołu tępą siekierą. Rawlings dmuchnięciem rozpedził

pozostałe jeszcze resztki dymu i osłoniętą rękawiczką dłonią pociągnął ku sobie mniejszą, odciętą przez wybuch część drzwi sejfu, uchylając ją nieco na zawiasach.

Metalowa puszka została rozerwana przez wybuch, ale wszystkie rygle zamontowane w większej, nienaruszonej części pancernych drzwi, tkwiły w swych tulejach. Część drzwi, którą uchylił, była na tyle duża, że mógł zajrzeć do wnętrza sejfu. Dostrzegł w nim kasetkę na gotówkę i aksamitny woreczek. Wyciągnął woreczek, rozwiązał

zaciskający jego wylot sznurek i wysypał zawartość na stolik.

Lśniły i błyszczały w odbitym świetle, jakby tlił się w ich wnętrzu ogień.

Diamenty "Glen". Rawlings zaczął chować resztę swego sprzętu do rzekomej butelki szampana. Ukrył w niej kable, pustą skrzynkę zapłonu, pinezki oraz pozostały fragment CLC - i nagle zdał sobie sprawę, że stoi w obliczu nieprzewidzianego problemu. Mógł zmieścić wisiołek i kolczyki w kieszeni spodni, ale tiara była szersza i wyższa niż przewidywał. Rozejrzał się wkoło, szukając pojemnika, który nie zwróciłby niczyjej uwagi. Znalazł go na samym wierzchu stojącego o kilka kroków dalej biurka.

Wysypał na fotel zawartość wytwornej, skórzanej walizeczki: kilka portfeli, karty kredytowe, pióra, notesy z adresami i plik jakichś prospektów.

Wszystko było w porządku. Teczka mieściła cały komplet brylantów, a także butelkę szampana, która mogłaby zwrócić czyjąś uwagę, gdyby miał ją w rękach wychodząc z przyjęcia. Rozejrzał się po raz ostatni po pokoju, zgasił światło, wyszedł

do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi. Gdy znalazł się na korytarzu, zamknął

ponownie drzwi wejściowe na zamek marki Chubba a w minutę później minął

portiernię i zniknął w nocnym mroku. Dyżurny portier nie podniósł nawet głowy.

Była już prawie północ, owego pierwszego, styczniowego dnia, gdy Harold Philby zasiadł przy stole w saloniku swego moskiewskiego mieszkania. Poprzedniego wieczora, na przyjęciu u Blake'ów, upił się zgodnie ze swym planem, ale nie sprawiło mu to przyjemności. Jego myśli były zbyt pochłonięte tekstem, który miał napisać. W

ciągu przedpołudnia przestał odczuwać skutki nieuniknionego kaca i teraz, kiedy Erita i chłopcy spali już, mógł w ciszy i spokoju rozważyć wszystkie aspekty sprawy.

Z drugiego końca pokoju rozległo się gruchanie. Philby wstał, podszedł do stojącej w rogu dużej

klatki i spojrzął przez jej pręty na gołębia, który miał jedną nogę w łupkach. Zawsze lubił zwierzęta - w Bejrucie miał oswojoną lisicę, a tutaj, w tym mieszkaniu, hodował całe stada kanarków i papug. Gołąb z trudem chodził po podłodze klatki, powłócząc usztywnioną nogą.

- Wszystko w porządku, mój stary - powiedział do niego przez pręty Philby. -

Niedługo je zdejmujemy i będziesz znowu mógł latać.

Wrócił do stołu. To musi być rzeczywiście dobre, powtórzył sobie po raz setny. Sekretarz generalny należał do ludzi, których trudno było oszukać i niebezpiecznie zawieść. Niektórzy z dowódców wojsk lotniczych, którzy w 1983 roku odegrali tak niesławną rolę w zestrzeleniu wykrytego nad terytorium ZSRR

koreańskiego samolotu pasażerskiego, skończyli na jego polecenie w zimnych grobach na lodowych polach Kamczatki. Choć nękany przez kłopoty zdrowotne i częściowo przykuty do inwalidzkiego wózka, był nadal niekwestionowanym władcą ZSRR. Jego słowo było prawem, jego umysł nadal miał ostrość brzytwy, a przed spojrzeniem jego wyblakłych oczu, nic nie dało się ukryć.

Philby zasiadł z ołówkiem w ręku nad kartką papieru i zaczął szkicować pierwszą wersję swego memorandum.

W cztery godziny później - choć w Londynie dochodziła dopiero północ -

właściciel mieszkania Fontenoy House, wysoki, siwiejący, wytworny, pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna wrócił samotnie do stolicy. Wprowadził

samochód do podziemnego garażu, otwierając jego wjazd przy pomocy plastikowej karty identyfikacyjnej, sam wniósł swoje walizki do windy i wjechał na ósme piętro.

Był w fatalnym nastroju.

Odbył sześciogodzinną podróż samochodem, opuściwszy dom swego szwagra o trzy dni wcześniej, niż zamierzał, po gwałtownej sprzeczce z żoną. Ta wysportowana, rozmiłowana w koniach kobieta, kochała życie na wsi, równie silnie, jak on go nienawidził. Uwielbiając samotne spacerunki po wrzosowiskach hrabstwa Yorkshire, nawet teraz, w środku zimy zostawiała go samego w domu, gdzie dotrzymywał mu towarzystwa jedynie jej brat, dziesiąty książę. Co w pewnym sensie jeszcze pogarszało jego położenie, gdyż jako człowiek dumny ze swej męskości, nie mógł bez irytacji znieść swego głębokiego przekonania, że jego obrzydliwy szwagier jest homoseksualistą.

Przyjęcie sylwestrowe okazało się dla niego ciężkim doświadczeniem; był

otoczony całkowicie przez bliskich przyjaciół swojej żony, którzy mówili wyłącznie o polowaniu, strzelaniu do rzutków i łowieniu ryb, a książę i jego podejrzani przystojni goście płci męskiej, przerywali ich opowieści wybuchami piskliwego, histerycznego śmiechu. Kiedy tego dnia rano pozwolił sobie na pewną uwagę wobec własnej żony, dostała ataku wściekłości. W rezultacie ustalili, że on pojedzie sam do Londynu, zaraz po podwieczorku, ona zaś zostanie, jak długo będzie miała ochotę, może nawet przez miesiąc.

Wszedł do przedpokoju swego mieszkania i zatrzymał się gwałtownie. System alarmowy powinien wydawać przez trzydzieści sekund regularnie się powtarzający, piskliwy dźwięk. Potem dopiero rozlegał się główny sygnał. Właściciel mieszkania miał więc dość czasu, by dotrzeć do skrzynki kontrolnej i wyłączyć specjalnym kluczem całe urządzenie. - Cholera - pomyślał - pewnie jest zepsuty. Otworzył drzwi garderoby i wyłączył system przy pomocy swego klucza. Potem wszedł do salonu i zapalił światło.

Stał w progu, zostawiwszy swoją walizkę w przedpokoju i patrzył na salon w niemym przerażeniu, z otwartymi ustami. Mokra plama wyparowała już pod wpływem ciepła, a telewizor nie był włączony. Ale od razu dostrzegł osmoloną ścianę i rozłupane drzwi sejfu. Kilkoma długimi krokami przeszedł przez pokój i zajrzał do wnętrza. Nie było wątpliwości: brylanty zniknęły. Rozejrzał się po pokoju i dostrzegł

zawartość swej walizeczki wysypaną na stojący przy kominku fotel oraz brzegi dywanu wyrwane spod listew podłogowych. Blady jak ściana, usiadł na drugim fotelu, stojącym obok kominka.

- Och, mój Boże - wyszeptał cicho. Wydawał się oszołomiony rozmiarami katastrofy; siedział na fotelu przez dziesięć minut, oddychając ciężko i patrząc tępo na zdemolowany pokój.

W końcu wstał i podszedł do telefonu. Drżącym palcem wskazującym nakręcił

jakiś numer. Przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w sygnał, ale po drugiej stronie nikt nie podnosił słuchawki.

Następnego ranka, tuż przed jedenastą, John Preston szedł Curzon Street w kierunku dyrekcji departamentu w którym był zatrudniony. Mieściła się ona tuż obok restauracji Mirabelle, ale tylko nieliczni pracownicy departamentu mogli sobie pozwolić na jądanie w tak drogim lokalu.

Dla większości urzędników państwowych ten piątek, dzielący Nowy Rok od weekendu, był dniem wolnym od pracy. Ale Brian Harcourt-Smith specjalnie prosił

go o przybycie do firmy tego dnia, więc szedł aby się z nim spotkać. Podejrzewał

zresztą, o czym chce z nim rozmawiać zastępca dyrektora generalnego MI-5.

W ciągu trzech ubiegłych lat, czyli przez większą część swej służby w MI-5, do której wstąpił dopiero latem 1981 roku, John Preston pracował w wydziale "F", zajmującym się obserwacją ekstremistycznych organizacji politycznych, zarówno lewicowych jak i prawicowych, badaniem ich działalności i werbowaniem agentów spośród ich członków. Przez ostatnie dwa lata pracował w Fą1, gdzie kierował sekcją D, której głównym przedmiotem zainteresowania było przenikanie elementów skrajnie lewicowych do brytyjskiej Partii Pracy. Owocem jego wysiłków był raport, który przedłożył dwa tygodnie wcześniej, tuż przed Bożym Narodzeniem. Był

zaskoczony, że jego raport został tak szybko przeczytany i przeanalizowany.

Zgłosił się u dyżurnego w recepcji i okazał swoją legitymację. Zanim pozwolono mu wjechać na

ostatnie piętro budynku, sprawdzono jego tożsamość i zatelefonowano do sekretariatu zastępcy dyrektora generalnego, by uzyskać potwierdzenie, że istotnie oczekują tam jego wizyty.

Żałował trochę, że nie będzie rozmawiał z samym dyrektorem generalnym.

Lubił sir Bernarda Hemmingsa, ale wszyscy pracownicy “piątki” wiedzieli dobrze, że stary jest chory i bywa w biurze coraz rzadziej. Podczas jego nieobecności kierowanie działalnością departamentu - ku niezadowoleniu co starszych jego pracowników -

spadało w coraz większym stopniu na barki jego ambitnego zastępcy.

Sir Bernard był pracownikiem “piątki” od niepamiętnych czasów. Tutaj zrobił

całą swą zawodową i życiową karierę. Swego czasu uczestniczył też w działalności operacyjnej. Rozumiał więc ludzi, którzy chodzili po ulicach, obserwowali podejrzanych, śledzili kurierów wrogich wywiadów i infiltrowali wywrotowe organizacje. Natomiast Harcourt-Smith został przyjęty do departamentu tuż po ukończeniu studiów (zresztą z pierwszorzędną lokatą) i przez cały czas pracował w dyrekcji, przenosząc się z wydziału do wydziału i pnąc się systematycznie po szczeblach kariery.

Zastępca dyrektora, jak zwykle nieskazitelnie ubrany, przyjął Prestona bardzo serdecznie w swoim gabinecie. Jego serdeczność wydała się Prestonowi nieco podejrzana. Słyszał anegdoty o ludziach, którzy witani byli równie ciepło, a w tydzień później znajdowali się na bruku. Harcourt-Smith posadził go w fotelu stojącym przed biurkiem, sam zaś zajął miejsce za nim. Raport Prestona leżał na blacie biurka.

- No więc, John, chodzi o ten twój raport. Rozumiesz oczywiście, że podszedłem do niego, jak do wszystkiego co robisz, niezwykle poważnie.

- Dziękuję - powiedział Preston.

- Do tego stopnia - ciągnął Harcourt-Smith, - że spędziłem większość urlopu noworocznego tu w moim gabinecie, czytając go ponownie i analizując jego treść.

Preston uznał, że mądrzej będzie chwilowo zachować milczenie.

- Jest on, jakby to powiedzieć, dość radykalny... nic nie owijałeś w bawełnę, co? Nasuwa się jednak pytanie, a jest to pytanie, które muszę sobie zadać, zanim nasz departament zaproponuje podjęcie jakichś działań wynikających z jego treści, czy to wszystko jest absolutnie prawdziwe? Czy można to potwierdzić? Jest to pytanie, na które ja też będę musiał odpowiedzieć.

- No wiesz, Brian, badanie tej sprawy zajęło mi dwa lata. Moi ludzie przeniknęli głęboko do wewnątrz, bardzo głęboko. Wszystkie fakty, na które się powołuję w raporcie, są autentyczne.

- Ach, John, nigdy nie kwestionuję żadnych prezentowanych przez ciebie faktów. Ale wnioski, które z nich wyciągasz...

- Są chyba oparte na zasadach logiki - odparł Preston.

- To wspaniała dziedzina wiedzy, sam ją kiedyś studiowałem - podjął

Harcourt-Smith. - Ale czy nie przyznasz, że nie zawsze posługuje się niewzruszonymi dowodami? Weźmy na przykład tę sprawę tutaj... - Znalazł w raporcie odpowiednie miejsce i zatrzymał palec na jednej linijce. - Ten MBR. Czy nie sądzisz, że brzmi to wszystko bardzo ekstremalnie?

- Ależ, tak, Brian. To rzeczywiście brzmi ekstremalnie. Ale mamy przecież do czynienia z ludźmi, którzy są ekstremistami.

- Nie wątpię, nie wątpię. Ale czy nie byłoby dobrze dołączyć do twojego raportu jednego egzemplarza tego MBR?

- O ile wiem nie istnieje on w formie pisemnej. Jest to zespół zamiarów, choć bardzo konkretnych zamiarów, zrodzony w głowach pewnych osób.

Harcourt-Smith cmoknął ustami w sposób oznaczający rozczarowanie.

- Zamiary... - powiedział takim tonem, jakby to słowo szczególnie go irytowało. - Tak, zamiary. Ale widzisz John, wielu ludzi żywi określone zamiary w stosunku do naszego kraju i nie wszystkie z nich są przyjazne. A my nie możemy proponować określonej polityki ani nie możemy podejmować konkretnych działań, czy przeciwdziałań opartych wyłącznie na tych zamiarach...

Preston chciał coś powiedzieć, ale Harcourt-Smith ciągnął dalej, wstając równocześnie z fotela, by dać do zrozumienia, że rozmowa jest skończona.

- Posłuchaj John, zostaw mi ten dokument jeszcze na jakiś czas. Zastanowię się nad nim i może poradzę się kilku osób, zanim zdecyduję, jak mógłbym go najlepiej wykorzystać, komu go przesłać. Nawiasem mówiąc, jak ci odpowiada praca w FQ1 (D)?

- Podoba mi się - odparł Preston, również wstając z miejsca.

- Być może będę miał dla ciebie coś, co będzie ci odpowiadać jeszcze bardziej

- oznajmił Harcourt-Smith.

Po wyjściu Festona, Harcourt-Smith wpatrywał się przez kilka minut w drzwi, za którymi zniknął jego podwładny. Wydawał się zatopiony w myślach.

Nie mógł po prostu wrzucić teczek z raportem, który wydawał mu się osobiście kłopotliwy i potencjalnie niebezpieczny, do krajarki tnącej papier na drobne strzępki.

Został mu on oficjalnie przekazany przez szefa sekcji. Miał w aktach odpowiednią sygnaturę. Myślał długo i intensywnie. W końcu wziął pióro, napełnione czerwonym atramentem, i napisał coś na grzbiecie teczek zawierającej raport Prestona. Potem zadzwonił po swoją sekretarkę.

- Mabel - powiedział, gdy stanęła w drzwiach. - Proszę cię, zanieś to osobiście do archiwum. I to natychmiast.

Dziewczyna zerknęła na grzbiet teczek. Widniały na niej litery NFA i inicjały Briana Harcourt-Smitha. Litery NFA zastępują w tej instytucji słowa "No Further Action" (Nie podejmować żadnych dalszych działań). Raport Prestona skazany został

na pogrzebanie w archiwalnych aktach.

2

Dopiero w niedzielę, 4 stycznia, właścicielowi mieszkania w Fontenoy House udało się zastać kogoś pod numerem, który nakręcał co godzinę przez trzy dni.

Rozmowa była krótka, ale doprowadziła do jego spotkania z człowiekiem, który odebrał telefon; odbyło się ono w godzinach południowych w zacisznym barze jednego z niezwykle dyskretnych hoteli West Endu.

Przybysz miał około sześćdziesięciu lat; był siwy, wytwornie choć nieco ekstrawagancko ubrany i wyglądał na urzędnika państwowego, którym zresztą w pewnym sensie istotnie był. Przyszedł jako drugi i zaraz po wejściu do baru zaczął się tłumaczyć.

- Strasznie mi przykro, że byłem nieuchwytny przez te trzy ostatnie dni -

powiedział. - Ale jako człowiek samotny, skorzystałem z zaproszenia przyjaciół, którzy zaproponowali, żebym spędził z nimi okres noworocznych świąt poza miastem. Ale o co chodzi?

Właściciel mieszkania opowiedział mu wszystko w krótkich, jasnych zdaniach. Miał dość czasu by zastanowić się dokładnie, jak ma przekazać informację o tym okropnym wydarzeniu i starannie dobierał słowa. Jego rozmówca słuchał tej opowieści z coraz posępniejszym wyrazem twarzy.

- Oczywiście, ma pan zupełną słuszność - stwierdził w końcu. - Ta sprawa może mieć poważne następstwa. Czy po powrocie, we czwartek wieczorem, zawiadomił pan policję?

- Nie. Uznałem, że lepiej będzie jeśli uprzednio porozmawiam z panem.

- No cóż, w pewnym sensie źle się stało. Ale teraz już i tak jest za późno.

Specjaliści z zakładu kryminologii mogliby stwierdzić, czy sejf został rozbity przed trzema, czy przed czterema dniami. Trudno byłoby im to wytłumaczyć. Chyba, że...

- Chyba, że co? - spytał z zainteresowaniem właściciel mieszkania. - Chyba, że oświadczyłby pan, iż lustro wisiało na miejscu, a wszystko było w pełnym porządku, więc dopiero po trzech dniach dostrzegł pan, że został pan obrabowany przez włamywacza.

- To niemożliwe - odparł właściciel mieszkania. - Brzegi dywanu były wszędzie poodrywane od podłogi. Ten sukinsyn musiał chodzić pod ścianami, żeby nie nadepnąć na czujnik naciskowy.

- No tak - mruknął jego rozmówca. - Chyba nie uwierzą w istnienie tak pedantycznego włamywacza, który nie tylko odwiesza lustro na miejsce, ale w dodatku przymocowuje na powrót dywan do podłogi. A więc nic z tego. Nie da się też chyba przekonać ich, że spędził pan te trzy dni gdzieś indziej?

- Ale gdzie? Przecież widziano by mnie gdzieś. Nikt tego nie potwierdzi. W

klubie? W hotelu? Musiałbym się zameldować.

- No właśnie. Nie, nic z tego nie wyjdzie. Na dobre, czy na złe - klamka zapadła. Jest już zbyt późno, by wzywać policję.

- Więc co u diabła mam zrobić? - spytał właściciel mieszkania. - Przecież muszę je odzyskać.

- Jak długo pańska żona pozostanie poza Londynem?

- Kto wie? Lubi siedzieć w Yorkshire. Mam nadzieję, że kilka tygodni.

- Musimy więc zastąpić uszkodzony sejf nowym, dokładnie takim samym. I zdobyć kopie brylantów "Glen". To wymaga czasu.

- Ale co będzie z tym, co zostało skradzione? - spytał niecierpliwie właściciel mieszkania. - Nie można pozwolić na to, żeby te klejnoty znajdowały się w cudzych rękach. Muszę je odzyskać.

- To prawda - potakująco kiwnął głową jego interlokutor. - Jak pan zapewne zdaje sobie sprawę, moi ludzie mają pewne kontakty w świecie handlarzy brylantami.

Każę przeprowadzić dochodzenie i odpowiednie poszukiwania. Te kamienie z pewnością zostaną przekazane do któregoś z głównych ośrodków obrotu brylantami, po to żeby je przeszlifowano. Nie można ich przecież sprzedać w obecnym kształcie.

Zbyt łatwo je rozpoznać. Spróbuję więc ustalić tożsamość włamywacza i odzyskać to, co ukradł.

Mężczyzna wstał i zaczął się przygotowywać do wyjścia. Jego przyjaciel, najwyraźniej głęboko zmartwiony, siedział nadal na swoim miejscu. Siwy mężczyzna był zresztą równie poruszony, ale potrafił lepiej ukrywać swoje uczucia.

- Proszę nie robić ani nie mówić nic, co mogłoby nam zaszkodzić. Zatrzymać żonę na wsi możliwie jak najdłużej. Zachowywać się zupełnie normalnie. Niech pan mi zaufa. Będę z panem w kontakcie.

Następnego dnia rano, John Preston znalazł się w tłumie osób powracających do centrum Londynu po zbyt długiej, pięciodniowej przerwie w pracy. Ponieważ mieszkał w South Kensington, najwygodniej było mu dojeżdżać do pracy metrem.

Wsiadł przy Goodge Street i przebył pozostałe pięćset metrów piechotą. Był nie rzucającym się w oczy czterdziestosześcioletnim mężczyzną, średniego wzrostu i tuszy; miał na sobie szary płaszcz przeciwdeszczowy, ale mimo chłodu nie nosił

kapelusza.

Tuż przed końcem Gordon Street, skręcił w bramę również nie rzucającego się w oczy budynku, który przypominał przeciętny biurowiec; był solidny, choć nie nowoczesny, i jak głosiła wywieszka, mieścił jakieś towarzystwo ubezpieczeniowe.

Dopiero po wejściu do hallu dostrzegało się różnice między tym budynkiem, a innymi, stojącymi w sąsiedztwie biurowcami.

Po pierwsze, w hallu urzędowali trzej portierzy - jeden przy wejściu, drugi w recepcji, trzeci przy drzwiach wiodących do wind. Wszyscy byli - jak na pracowników firmy ubezpieczeniowej - niezwykle wysocy i mocno zbudowani. Każdy przypadkowy przybysz, który pragnąłby ubezpieczyć się akurat w tej firmie i odmawiał pójścia do innej, przekonałby się w sposób dość dla siebie niemiły, że do wnętrza budynku mogą dostać się tylko osoby posiadające specjalną przepustkę, którą sprawdza komputer, ukryty pod pulpitem recepcji.

Brytyjska służba bezpieczeństwa, znana lepiej jako MI-5, mieści się nie w jednym budynku, lecz posiada cztery odrębne siedziby; jest to uciążliwe dla jej pracowników, ale podyktowane chęcią zachowania dyskrecji. Główna kwatera MI-5

znajduje się przy Charles Street, a nie w starej siedzibie w Leconfield House, o której z przyzwyczajenia piszą z reguły nadal dziennikarze.

Drugie co do wielkości biuro mieści się przy Gordon Street i nazywane jest po prostu "Gordon", na tej samej zasadzie, na jakiej o dyrekcji mówi się po prostu

"Charles". Pozostałe dwie siedziby, to budynek przy Cork Street (znany jako "Cork", i skromna przybudówka przy Marlborough Street, również biorąca nazwę od tej ulicy.

Departament podzielony jest na sześć wydziałów, rozrzuconych po wszystkich budynkach. Choć wywołuje to niekiedy zamieszanie, sekcje niektórych wydziałów mieszczą się dla większego bezpieczeństwa w różnych siedzibach. Aby uniknąć niepotrzebnego chodzenia w tę i z powrotem, mają one absolutnie bezpieczne połączenia telefoniczne, wyposażone w niezawodny system identyfikacji tożsamości rozmówcy.

Wydział "A" podzielony jest na następujące sekcje: programową; wyposażenia i sprzętu technicznego; gospodarczo-administracyjną; przetwarzania danych, biuro radcy prawnego, archiwum i służbę obserwacyjną. Ostatnia z wymienionych sekcji zatrudnia zupełnie specyficzny zespół ludzi, składający się z mężczyzn i (nielicznych) kobiet w różnym wieku i o różnym wyglądzie, tak pomysłowych i tak dobrze wyszkolonych, że można z nich skompletować najlepsze chyba na świecie grupy obserwacyjne, zajmujące się inwigilacją wskazanych osób w terenie. Nawet

"nieprzyjacielscy agenci" musieli nieraz przyznać, że obserwatorzy MI-5 są na własnym terenie w praktyce przeciwnikami nie do pokonania.

W odróżnieniu od tajnej służby wywiadowczej - Secret Intelligence Service -

(MI 6), zajmującej się działalnością wywiadowczą, która włączyła do swej terminologii zawodowej i wewnętrznego żargonu szereg amerykańizmów, służba bezpieczeństwa - Secret Service - (MI-5), czyli kontrwywiad wewnętrzny, posługuje się przeważnie żargonem zawodowym używanym dawniej w policji. Unika ona takich terminów jak "funkcjonariusz służby inwigilacyjnej" i nazywa pracowników zespołów zajmujących się inwigilacją, po prostu "obserwatorami".

Wydział "B", to sekcje: zatrudnienia; kadr; nadzoru i awansów; emerytur i finansów (płace i wydatki operacyjne).

Wydział "C" zajmuje się bezpieczeństwem służb państwowych, co obejmuje ochronę pracowników budynków rządowych oraz troskę o bezpieczeństwo tzw.

kontrahentów cywilnych (chodzi głównie o firmy prywatne wykonujące zlecenia z zakresu produkcji obronnej i łączności); bezpieczeństwem wojskowym (w ścisłej współpracy z wojskowymi wewnętrznymi służbami bezpieczeństwa Sił Zbrojnych) oraz sabotażem (konkretnym i potencjalnym).

Istniał niegdyś również Wydział "D", ale na mocy zawilej logiki, zrozumiałej tylko dla tych, którzy mieli okazję się z nią zetknąć bezpośrednio, pracując w świecie wywiadu, dawno już zmieniono jego kryptonim i obecnie nosi nazwę Wydziału "K".

Jest to jeden z najbardziej rozbudowanych wydziałów, a największą jego jednostkę stanowi sekcja radziecka, podzielona na trzy podsekcje: operacyjną, dochodzeniową i strategiczną. Kolejnymi jednostkami organizacyjnymi tego wydziału są sekcje: pozostałych państw bloku wschodniego - tzw. satelitów ZSRR (podzielona na trzy podsekcje, podobnie jak jednostka zajmująca się sprawami radzieckimi); badań, analiz i opracowań; oraz zajmująca się pracą z agentami.

Jak z tego wynika, zadaniem Wydziału "K" jest wykrywanie i obserwacja licznych agentów ZSRR i jego satelitów, którzy działają lub usiłują działać na terenie Anglii, będąc na co dzień pracownikami różnych ambasad, konsulatów, poselstw, misji handlowych, banków, agencji prasowych i biur handlowych, które dzięki tolerancyjnej polityce rządu brytyjskiego wobec obcych przedstawicielstw, rozsiane są po całej stolicy, a nawet (w przypadku konsulatów) po całym kraju.

Wydziałowi "K" podlega też skromne biuro oficera, który utrzymuje łączność między departamentem MI-5, a jego bliźniaczą służbą MI 6. Jest on w istocie funkcjonariuszem "szóstki", oddelegowanym na Charles Street i pełniącym funkcję oficera łącznikowego. Jego sekcja znana jest po prostu jako K. 7.

Wydział "E" (przy literze E wraca porządek alfabetyczny) zajmuje się międzynarodowym ruchem komunistycznym i jego zwolennikami, którzy przybywając do Wielkiej Brytanii mogliby prowadzić w niej szkodliwą dla kraju działalność oraz komunistami rodzimego chowu, zamierzającymi prowadzić analogiczną działalność za granicą. Sekcja dalekowschodnia Wydziału "E" utrzymuje oficerów łącznikowych w Hongkongu, New Delhi, Canberze i Wellington, zaś sekcji wszystkich pozostałych obszarów podlegają oficerowie łącznikowi w Waszyngtonie, Ottawie, Indiach Zachodnich i stolicach innych, zaprzyjaźnionych państw.

Wreszcie Wydziałowi "E", któremu podlegał - przynajmniej dotychczas - John Preston,

podporządkowane są sekcje: skrajnie lewicowych partii politycznych; skrajnie prawicowych partii politycznych; badań, analiz i opracowań; oraz zajmujące się pracą z agentami.

Wydział "F" mieści się w Gordon, na czwartym piętrze, i tam właśnie, do swego biura, zmierzał John Preston owego styczniowego ranka. Nie przypuszczał, żeby jego, złożony przed trzema tygodniami raport zapewnił mu przychyłność Briana Harcourt-Smitha na okres najbliższego miesiąca. Sądził jednak, że dotrze przynajmniej na biurko samego dyrektora generalnego, sir Bernarda Hemmingsa.

Był przekonany, że Hemmings zechce wówczas przekazać zawarte w nim informacje i częściowo hipotetyczne wnioski przewodniczącemu Połączonej Komisji Wywiadowczej albo stałemu podsekretarzowi stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych - Home Office - czyli ministerstwie sprawującym polityczny nadzór nad MI-5. Podsekretarz stanu zechce zapewne pokazać raport swemu ministrowi, który może z kolei zainteresować nim premiera.

Memorandum, które zastał na swoim biurku po przybyciu do biura dowodziło, że jego wcześniejsze rachuby się nie sprawdzą. Był zdecydowany obstawać przy stwierdzeniach zawartych w raporcie i wiedział, że jeśli dotrze on wyżej, będzie musiał odpowiedzieć na szereg pytań. Ale potrafiłby na nie odpowiedzieć i gotów był

to zrobić, ze względu na głębokie przekonanie, że ma słuszność. To znaczy, raczej mógłby na nie odpowiedzieć, jako szef Sekcji Wydziału F. 1 (D), nie zaś jako człowiek przeniesiony do innego wydziału.

Po jego ewentualnym przeniesieniu, jedyną osobą mogącą przypomnieć o istnieniu raportu Prestona byłby nowy szef F. 1 (D). Preston był jednak głęboko przekonany, że jego następcą na tym stanowisku będzie z pewnością mianowany jeden z najbardziej lojalnych protegowanych Harcourt-Smitha, i że człowiek taki nigdy nie zdecyduje się na podobny krok.

Zatelefonował do archiwum. Owszem, dokument został opatrzony sygnaturą i wpisany do rejestru. Zapisał numer sygnatury, na wypadek gdyby miał kiedyś w przyszłości powoływać się na swój raport.

- Co? Jakim prawem opatrzono go adnotacją NFA? - spytał z niedowierzaniem. - W porządku, przepraszam Charlie, wiem, że to nie od ciebie zależy. Pytałem tylko dlatego, że jestem tym trochę zaskoczony, to wszystko.

Odłożył słuchawkę i pogrążył się w myślach. W myślach tego rodzaju, jakich człowiek na jego stanowisku nie powinien kierować pod adresem swego przełożonego, nawet jeśli nie łączą ich więzy osobistej sympatii. Ale nie mógł się od nich uwolnić. Gotów był przyznać, że gdyby raport dotarł wyżej, jego treść zostałaby wcześniej czy później udostępniona Neilowi Kinnockowi, przywódcy opozycyjnej Partii Pracy, który nie byłby nim z pewnością zachwycony.

Niewykluczone było też, że Partia Pracy wygra najbliższe wybory, mające się odbyć w ciągu siedemnastu miesięcy, a Brian Harcourt-Smith żywi nadzieję, iż jednym z pierwszych posunięć nowego rządu będzie zatwierdzenie go na stanowisku dyrektora generalnego MI-5. Taktyka

polegająca na nie narażaniu się politykom piastującym ważne stanowiska, lub mogącym je objąć, nie była niczym nowym. Dla człowieka o słabym, chwiejnym charakterze, lub nadmiernie ambitnego, niechęć do przekazywania niepomyślnych wiadomości może być istotnym motywem zaniechania i bierności.

Wszyscy pracownicy służby pamiętali aferę z byłym dyrektorem generalnym, sir Rogerem Hollisem. Ta tajemnicza historia pozostawała dotąd nie do końca wyjaśniona, choć rzecznicy obu stron byli głęboko przekonani, że znają prawdę.

Jeszcze w roku 1962 i 1963, a więc na samym początku, Roger Hollis znał wszystkie szczegóły afery, która zyskała później rozgłos, jako afera Christine Keeler.

Na wiele tygodni, jeśli nie miesięcy, przed wybuchem skandalu, miał na biurku komplet dokumentów - meldunki o przyjęciach w Cliveden, o człowieku nazwiskiem Stephen Ward, który podsunął dziewczynę i informował o wszystkim swoich mocodawców, o tym, że radziecki attache Iwanow dzieli kochankę z brytyjskim ministrem obrony. A jednak zachował całkowitą bierność i choć dysponował coraz większą ilością dowodów, nie wypełnił swego obowiązku, to jest nie postarał się o poufne spotkanie z premierem ówczesnego rządu Haroldem Macmillanem.

Nie ostrzeżony przez niego w porę, Macmillan został uwikłany w paskudny skandal. Wynikła z tego afera ciągnęła się przez całe lato 1963 roku, szkodząc Wielkiej Brytanii w oczach własnych obywateli i całego świata; można by pomyśleć, że scenariusz wszystkich tych wydarzeń został napisany w Moskwie.

Mimo upływu wielu lat, nadal trwały spory: czy Roger Hollis był po prostu niekompetentnym fajtlapą, czy też w grę wchodziła gorsza, o wiele gorsza ewentualność...?

- Brednie! - mruknął pod nosem Preston i odpędził od siebie wszystkie dręczące go paskudne myśli. Raz jeszcze przeczytał leżące przed nim memorandum.

Był to osobisty list od szefa sekcji B. 4 (awansów), który zawiadamiał go, że z dniem dzisiejszym zostaje przeniesiony służbowo i otrzymuje nominację na szefa sekcji C. 1 (A). Jego list utrzymany był w przyjazno-życzliwym, osobistym tonie, którego używa się by złagodzić niemiłą treść.

“Z polecenia zastępcy dyrektora generalnego, który pragnie aby dla dobra naszej pracy wszystkie wolne stanowiska zostały w Nowym Roku, obsadzone... będę niezwykle wdzięczny, jeśli zechce Pan uporządkować najważniejsze sprawy sekcji i przekazać je niezwłocznie młodemu Maxwellowi - jeśli to możliwe w ciągu kilku dni... życzę serdecznie zadowolenia z pracy na nowym stanowisku...”

- Zawracanie głowy - pomyślał Feston. Wiedział, że oficjalna nazwa sekcji C.

1 brzmi: “Ochrona służb państwowych - personelu i budynków”, a litera “A” oznacza:

“w obrębie stolicy”. Miał więc odtąd czuwać nad bezpieczeństwem wszystkich ministerstw rządu Jej Królewskiej Mości.

- To robota dobra dla jakiegoś cholernego policjanta - mruknął z niechęcią i zaczął kolejno wzywać swoich dotychczasowych podwładnych, by się z nimi pożegnać.

Mniej więcej o dwa kilometry stamtąd, Jim Rawlings otwierał drzwi małego, lecz ekskluzywnego sklepu jubilerskiego, położonego przy bocznej uliczce i odległego o niespełna dwieście metrów od hałaśliwej i zatłoczonej Bond Street. W

sklepie panował półmrok, ale na dyskretnie oświetlonych, oszklonych półkach dostrzec można było osiemnastowieczne srebra, a pod szybą lady leżała biżuteria pochodząca z jakiejś minionej epoki. Widać było, że jest to firma specjalizująca się raczej w antykach, a nie w wyrobach współczesnych.

Rawlings miał na sobie wytworne, ciemne ubranie, jedwabną koszulę i stonowany krawat, a w ręku lśniącą, skórzaną walizeczkę. Stojąca za ladą dziewczyna obrzuciła go taksującym spojrzeniem. Ujrzała przed sobą trzydziestosześcioletniego, szczupłego i dobrze zbudowanego mężczyznę. Wyglądał trochę jak gentleman, a trochę jak człowiek, któremu lepiej nie wchodzić w drogę, co zawsze stanowi w sumie korzystne połączenie. Dziewczyna wyprostowała się i posłała mu olśniewający uśmiech.

- Czym mogę panu służyć?

- Chciałbym zobaczyć się z panem Zabłonskim. W prywatnej sprawie. - Jego południowolondyński, proletariacki akcent wskazywał wyraźnie, że raczej nie jest kandydatem na klienta.

Na twarzy dziewczyny odbił się wyraz zawodu.

- Czy jest pan przedstawicielem handlowym jakiejś firmy?

- Proszę mu powiedzieć, że chce z nim rozmawiać pan James - dodał

Rawlings.

W tym momencie w głębi sklepu otworzyły się lustrzane drzwi i stanął w nich Louis Zabłonsky. Był drobnym, zaszuszym, pięćdziesięciosześcioletnim mężczyzną, ale sprawiał wrażenie starszego.

- Pan James! - rozpromienił się cały w uśmiechu. - Jakże się cieszę, że pana widzę! Proszę do mnie. Co u pana słyhać? - Wprowadził Rawlingsa za ladę i wskazał mu drogę do swego, ukrytego w głębi gabinetu. - Wszystko w porządku, Sandra, ja sam się już panem zajmę, moja droga - oznajmił dziewczynie.

Po wejściu do małego, zagraconego pokoju, zamknął na klucz od zewnątrz lustrzane drzwi, przez które od tej strony widać było wewnątrz sklepu. Wskazał

Rawlingsowi krzesło, stojące obok autentycznego biurka, sam zaś zasiadł za nim, na obrotowym fotelu. Błat oświetlony był jednym, małym reflektorem. Zabłonsky spojrział na Rawlingsa wyczekująco.

- No więc, Jim, co tym razem narozrabiałeś?

- Mam coś dla ciebie, Louis, coś co ci się spodoba. Tylko nie mów mi że to tandeta. - Rawlings otworzył z trzaskiem swą walizeczkę.

- Ależ Jim, jakże mógłbym... - Zablonsky rozłożył ręce, ale słowa uwięzły mu w gardle, gdy zobaczył przedmioty, które Rawlings zaczął wykladać na blat. Kiedy już wszystkie znalazły się na biurku, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nie z niedowierzaniem.

- Brylanty "Glen" - wysapał w końcu. - Zwinąłeś kolekcję brylantów "Glen".

Nawet nie pisano o tym jeszcze w gazetach.

- Więc może właściciele dotychczas nie wrócili do Londynu - odparł

Rawlings. - Nie ogłoszono jeszcze alarmu. Wiesz że jestem dobrym fachowcem.

- Najlepszym, Jim, najlepszym. Ale brylanty "Glen"! Dlaczego mi nic nie powiedziałeś?

Rawlings wiedział, że wszyscy zainteresowani mieliby łatwiejsze zadanie, gdyby sprzedaż brylantów została zaplanowana przed ich kradzieżą. Ale zawsze działał po swojemu, to znaczy, bardzo ostrożnie. Nie ufał nikomu, nawet tak znakomitemu paserowi, jak Louis Zablonsky. Każdy paser, złapany przez policję z towarem i mający w perspektywie dłuższą odsiadkę, był w stanie kupić sobie bezkarność za doniesienie o planowanym napadzie. Zablonsky, choć nie spędził ani dnia w żadnym z więzień Jej Królewskiej Mości, znany był w Wydziale Przystępstw Scotland Yardu. Dlatego Rawlings nigdy nie informował go o swych planach i zawsze odwiedzał go bez uprzedzenia. I dlatego właśnie nie odpowiedział także i teraz na jego pytanie.

Zresztą, Zablonsky pochłonięty był już całkowicie podziwianiem brylantów połyskujących pełnym blaskiem na jego biurku. On również znał doskonale ich pochodzenie.

Dziewiąty książę Sheffield, który odziedziczył je w roku 1936, miał dwoje potomków - syna i córkę, lady Fionę Glen. Kiedy umarł w roku 1980, zapisał je w testamencie nie synowi, który odziedziczył po nim tytuł, lecz córce.

Jeszcze w roku 1974, kiedy jego syn miał dwadzieścia pięć lat, książę uświadomił sobie z przykrością i nie bez oporów, że jego syn jest - używając eufemistycznych określeń dziennikarzy redagujących kronikę towarzyską -

urodzonym kawalerem. Zrozumiał wtedy, że nie będzie nigdy żadnej młodej i ładnej hrabiny Margate czy księżnej Sheffield, która nosiłaby słynne brylanty "Glen".

Ofiarował je więc córce.

Zablonsky wiedział też, że po śmierci starego księcia, lady Fiona nosiła je niekiedy, z niechętnym przyzwoleniem towarzystwa ubezpieczeniowego, podczas dobroczynnych bali, które często zaszczycała swą obecnością. Najczęściej jednak leżały w miejscu, w którym spędziły już wiele lat: w ciemnym wnętrzu sejfu banku Coutts przy Park Lane. Zablonsky uśmiechnął się.

- Bal dobroczynny w Grosvenor House, tuż przed Nowym Rokiem? - zapytał.

Rawlings wzruszył ramionami. - Ach, niegrzeczny z ciebie chłopiec, Jim. Ale taki utalentowany i...

Zablonsky znał biegle polski, jidysz i hebrajski, choć jednak przeżył w Wielkiej Brytanii już czterdzieści lat, nie opanował do końca angielskiego i nadal mówił w tym języku z wyraźnym polskim akcentem. Ponieważ zaś uczył się angielskiego z podręczników napisanych przed wielu laty, używał nieraz sformułowań, które obecnie wydawały się rażąco pretensjonalne a w połączeniu z jego obcym, miękkim akcentem, nawet nieco pedalskie. Ale Rawlings wiedział, że Louis Zablonsky nie ma najmniejszych skłonności do homoseksualizmu. Wiedział też od jego żony, Beryl, że stary jubiler został jako chłopiec wykastrowany w jednym z niemieckich obozów koncentracyjnych.

Zablonsky nadal podziwiał brylanty, jak prawdziwy koneser zachwycający się mistrzowskim dziełem sztuki. Przypominał sobie mgliście przeczytaną gdzieś informację, że lady Fiona poślubiła w połowie lat sześćdziesiątych obiecującego młodego urzędnika państwowego, który teraz, w latach osiemdziesiątych był już wysokim dygnitarzem któregoś z ministerstw i że oboje mieszkali w West End, w wytwornym i luksusowym apartamencie, na którego utrzymanie pozwalał osobisty majątek pani domu.

- No więc co o tym myślisz, Louis?

- Jestem pełen podziwu, Jim. Naprawdę pełen podziwu. Ale jestem również zakłopotany. To nie są jakieś zwykłe brylanty. Każdy fachowiec z branży zaraz je rozpozna. Co mam z nimi zrobić?

- To ty mi powiedz, co można z nimi zrobić - odparł Rawlings.

Zablonsky bezradnie rozłożył ręce.

- Nie będę cię okłamywał, Jim. Powiem ci prawdę, prosto z mostu. Te brylanty są pewnie ubezpieczone na jakieś 750.000 funtów i tyle mniej więcej można by za nie dostać, sprzedając je legalnie na wolnym rynku, na przykład przez firmę Cartier. Ale, rzecz jasna, nie można ich sprzedać w taki sposób.

- Pozostają więc dwie możliwości. Można by znaleźć bardzo bogatego amatora, który zgodzi się kupić słynną kolekcję brylantów "Glen" wiedząc, że nigdy nie będzie mógł ich nikomu pokazać, ani przyznać się do ich posiadania. Musiałby to być zamożny kutwa, gotów zachwycać się ich widokiem w samotności. Są tacy ludzie, choć jest ich niewielu. Od takiej osoby można by uzyskać może połowę sumy jaką wymieniłem.

- Kiedy byłbyś w stanie znaleźć takiego kupca? - spytał Rawlings.

Zablonsky wzruszył ramionami.

- W tym roku, w przyszłym roku, kiedyś, a może nigdy. Nie można przecież w tej sprawie dać ogłoszenia do gazet.

- To za długo - stwierdził Rawlings. - A jaka jest druga możliwość?

- Wymontować je z oprawy - co od razu obniży ich wartość do około 600.000

funtów, przeszlifować je, i sprzedać oddzielnie jako cztery pojedyncze brylanty.

Można by za nie wziąć ze 300.000, ale szlifierz zażąda swojej działki. Gdybym ja sam miał ponieść wszystkie koszty, to chyba mógłbym dać ci za nie 100.000 - ale dopiero po załatwieniu całej sprawy. To znaczy po zakończeniu wszystkich transakcji.

- Więc ile możesz mi dać z góry? Nie umiem żyć świeżym powietrzem, Louis.

- A kto to potrafi? - odparł stary paser. - No dobrze, za tę złotą oprawę mogę wziąć ze 2000 funtów, sprzedając ją jako złom. Za czterdzieści małych brylantów, które można oficjalnie sprzedać na rynku, powiedzmy 12.000. Czyli będę w stanie szybko wycofać 14.000. Mogę wypłacić ci natychmiast, gotówką, połowę tej sumy.

Co ty na to?

Po półgodzinnych pertraktacjach dobili targu. Louis Zablonky wyjął ze swego sejfu 7000 funtów w gotówce. Rawlings otworzył walizeczkę i zaczął układać w niej pliki używanych banknotów.

- Ładna - mruknął Zablonky. - Sam sobie ją kupiłeś?

Rawlings przecząco potrząsnął głową.

- To część łupu - powiedział.

Zablonky cmoknął z dezaprobatą i pogroził Rawlingsowi palcem przed nosem.

- Pozbądź się jej, Jim. Nigdy nie zatrzymuj niczego, co pochodzi ze skoku.

Nie warto ryzykować.

Rawlings zastanowił się przez chwilę, kiwnął potakująco głową, pożegnał się i wyszedł.

John Preston spędził cały dzień, żegnając się ze wszystkimi członkami swojej grupy dochodzeniowej. Żegnali go z żalem, co sprawiło mu pewną satysfakcję.

Musiał też uporać się z różnymi papierami i przyjąć Bobby'ego Maxwella, który przyszedł by się z nim przywitać.

Preston znał swego następcę, choć nie łączyła ich zażyłość. Maxwell był dość sympatycznym, młodym człowiekiem, który pragnął zrobić karierę w "piątce" i doszedł do wniosku, że najłatwiej uzyska awans uczepiwszy się ogona wschodzącej gwiazdy, jaką był Brian Harcourt-Smith. Preston nie miał mu tego za złe.

On sam rozpoczął karierę w MI-5 stosunkowo późno; w roku 1981, mając 41

lat, został przeniesiony do tej służby wprost z wywiadu wojskowego. Wiedział, że nigdy nie osiągnie tu najwyższych stanowisk. Tacy jak on, spóźnieni przybysze, mogli zostać w najlepszym razie szefami sekcji.

Tylko od czasu do czasu, kiedy nie było odpowiedniego kandydata wśród pracowników departamentu, miejsce odchodzącego dyrektora generalnego powierzano komuś z zewnątrz; zawsze zresztą budziło to zastrzeżenia całego personelu "piątki". Ale zastępca dyrektora generalnego, dyrektorzy wszystkich sześciu wydziałów i kierownicy większości sekcji dobierani byli tradycyjnie spośród ludzi, którzy pracowali w MI-5 przez całe życie.

Preston uzgodnił z Maxwellem, że w poniedziałek zakończy niezbędną przy przekazywaniu mu sekcji robotę papierkową i spędzi cały wtorek zapoznając swego następcę ze szczegółami wszystkich prowadzonych aktualnie spraw. Potem rozstali się, wymieniwszy uprzejmości i ustalwszy, że spotkają się nazajutrz rano.

Zerknął na zegarek. Wiedział, że czeka go praca do późnych godzin nocnych.

Musiał wyjąć ze swojego służbowego sejfów wszystkie teczki z aktami bieżących spraw, przejrzeć te, które można było spokojnie odesłać do archiwum, a następnie przewertować, strona po stronie, wszystkie pozostałe, by móc następnego dnia rano wyjaśnić Maxwellowi czego one dotyczą.

Ale najpierw musiał wypić solidnego drinka. Zjechał windą do sutereny, gdzie w budynku Gordon znajdował się dobrze zaopatrzone i zaciszny bar.

Louis Zabłonski pracował przez cały wtorek zamknięty w swoim pokoju na zapleczu. Tylko dwukrotnie musiał z niego wyjść, by osobiście obsłużyć jakiegoś klienta. Tego dnia w sklepie panował niewielki ruch, co akurat było mu wyjątkowo na rękę.

Zdjąwszy marynarkę i podwinąwszy rękawy koszuli, ostrożnie wyłuskał

brylanty "Glen" z oprawy z białego złota. Cztery główne kamienie kolekcji, dwa dziesięciokaratowe diamenty zdobiące kolczyki, i dwa następne, stanowiące centralne ozdoby tiary i wisiorka, dały się wymontować dość łatwo. Zajął mu to niewiele czasu.

Po wyjęciu ich z opraw mógł się im dokładniej przyjrzeć. Były naprawdę piękne i płonęły migotliwym światłem. Miały białą niebieski odcień, zwany niegdyś

"Top River", ale według nowej, ujednoliconej terminologii fachowej mieściły się w kategorii "D-bezbłędne". Nacieszywszy się widokiem tych czterech klejnotów wrzucił

je do aksamitnego woreczka. Potem przystąpił do czasochłonnego zadania, polegającego na wyjęciu ze złotej oprawy czterdziestu mniejszych brylantów. W

padającym na blat biurka świetle, widać było niekiedy wyblakły pięciocyfrowy numer wytatuowany na jego lewym przedramieniu. Każdy, kto rozumiał wymowę tego rodzaju śladów przeszłości, wiedział, co oznacza ten numer. Tak tatuowano więźniów Oświęcimia.

Zablonsky urodził się w roku 1930, jako trzeci z kolei syn w polsko-

żydowskiej rodzinie warszawskiego jubilera. Miał dziesięć lat, kiedy do Polski wkroczyli Niemcy. W roku 1940, okupanci odcięli warszawskie getto od reszty miasta, zamykając w nim blisko 400.000 Żydów, skazanych na głodowe racje żywnościowe, grubo poniżej biologicznego minimum. 19 kwietnia 1943 roku, pozostali przy życiu mieszkańcy getta (których było jeszcze około 90.000), dowodzeni przez nielicznych już pozostałych wśród nich sprawnych fizycznie mężczyzn, rozpoczęli powstanie przeciwko Niemcom. Louis Zablonsky miał wtedy trzynaście lat, ale był tak chudy i wynędzniały, że mógł śmiało uchodzić za ośmiolatka.

Kiedy 16 maja getto zostało ostatecznie zajęte przez oddziały Waffen SS, dowodzone przez generała Juergena Stroopa, był jednym z nielicznych, którzy przeżyli masowe rozstrzeliwania. Większość mieszkańców (około 60.000 osób) zginęła jeszcze przed upadkiem powstania od kul lub pocisków artyleryjskich, przysypana gruzami walących się domów albo rozstrzeliwana przez Niemców.

Pozostała przy życiu mniejszość, składała się niemal wyłącznie ze starców, kobiet i dzieci. Zablonsky znalazł się wśród nich. Prawie wszyscy zostali wysłani do Treblinki i wymordowani.

Ale w wyniku jednego z owych przypadkowych zbiegów okoliczności, które decydują czasem o życiu lub śmierci, lokomotywa ciągnąca bydlęcy wagon, w którym jechał Zablonsky, popsuła się i została unieruchomiona. Wagon ten podczepiono do innego pociągu, który kończył bieg w Oświęcimiu.

Zablonsky, choć skazany na nieuchronną śmierć, nie zginął od razu po przyjeździe; oświadczył bowiem, że jest z zawodu jubilerem i został skierowany do pracy przy sortowaniu i ocenie biżuterii odbieranej Żydom przybywającym w nowych transportach. Pewnego dnia otrzymał wezwanie do obozowego szpitala i trafił w ręce uśmiechniętego blondyna, nazywanego przez więźniów "Aniołem". Człowiek ten, z maniackim uporem nadal przeprowadzał swe doświadczenia na genitaliach dorastających, żydowskich chłopców. I właśnie na stole operacyjnym doktora Mengele, Louis Zablonsky został bez znieczulenia wykastrowany.

Wyjął ze złotej oprawy ostatni z czterdziestu małych brylantów i obejrzał ją dokładnie, by się upewnić, czy żadnego nie pominął. Potem policzył brylanty i zaczął

je ważyć. Było ich czterdzieści; miały przeciętnie po pół karata, choć przeważnie ważyły nieco mniej. Nadawały się tylko do pierścionków zaręczynowych, ale można było za nie w sumie uzyskać około 12.000 funtów. Postanowił sprzedać je w Hatton Garden, centrum obrotu kamieniami szlachetnymi. Wyłącznie za gotówkę; znał

odpowiednich pośredników. Zaczął miażdżyć oprawę z białego złota, nadając jej postać bezkształtnej masy.

Pod koniec 1944 roku, ci którzy przeżyli Oświęcim, zmuszeni zostali do marszu na zachód. Zablonsky skończył w Bergen-Belsen, skąd, półżywy z wyczerpania, został w końcu wyzwolony przez oddziały brytyjskie.

Po intensywnej kuracji szpitalnej, dzięki poręczeniu pewnego rabina, zamieszkałego w północnej

dzielnicy Londynu, pozwolono mu przyjechać do Anglii, gdzie po dalszej rehabilitacji rozpoczął naukę w firmie jubilerskiej. W początku lat 60-tych porzucił swego pracodawcę by założyć własny sklep jubilerski na East End.

Po dalszych dziesięciu latach stał się właścicielem obecnego, znacznie lepiej prosperującego sklepu na West End, w centrum Londynu.

Jeszcze na East End, w dzielnicy doków, zaczął handlować kamieniami szlachetnymi przywozonymi przez marynarzy - szmaragdami z Cejlonu, diamentami z Afryki, rubinami z Indii i opalami z Australii. W połowie lat osiemdziesiątych mógł

już być uważany za bogatego człowieka, gdyż obie dziedziny działalności - legalna i nielegalna - przynosiły mu ogromne zyski. Był jednym z czołowych londyńskich paserów, a równocześnie wybitnym znawcą brylantów; mieszkał w dużym, własnym domu w dzielnicy Golders Green i cieszył się opinią szacownego członka i podpory tamtejszej gminy żydowskiej.

Kiedy oprawa z białego złota stała się już bezkształtną bryłą metalu, wrzucił ją do woreczka, w którym przechowywał inne kawałki złomu. Zwolnił Sandrę, zamknął

sklep, uprzątnął swój gabinet i wyszedł, zabierając z sobą cztery największe kamienie.

Po drodze do domu zatelefonował z automatu do Belgii i połączył się z człowiekiem mieszkającym w małym miasteczku Nijlen, leżącym niedaleko Antwerpii. Kiedy dotarł do siebie, zadzwonił do biura linii lotniczych British Airways i zarezerwował

sobie na następny dzień bilet do Brukseli.

Na południowym brzegu Tamizy, który wyglądał niegdyś jak cmentarzysko opuszczonych doków i rozpadających się nabrzeży, realizowano na początku lat osiemdziesiątych szeroko zakrojony program przebudowy. Pomiędzy zespołami nowo wzniesionych budynków pozostawiono całe enklawy nieużytków, puste obszary, na których wśród zachwaszczonej trawy leżą pochodzące z rozbiórki cegły i wszelkiego rodzaju śmieci. Pewnego dnia mają one ustąpić miejsca nowym blokom mieszkalnym, domom towarowym i wielopiętrowym parkingom, ale nikt bliżej nie wie, kiedy ten dzień nadejdzie.

W ciepłe dni na tych zaśmieconych, pustych placach biwakują miejscowi pijacy, a zamieszkali w południowej części Londynu przestępcy odwiedzają te opuszczone tereny, żeby spalić tu, nabyte nielegalnie przedmioty, których chcą się pozbyć.

Późnym wieczorem, we wtorek, 6 stycznia, Jim Rawlings szedł przez te rozległe, puste nieużytki, potykając się w ciemnościach o niewidoczne gruzy. Nikt go nie śledził, ale każdy przypadkowy obserwator zauważyłby, że niesie w jednym ręku dziesięciolitrowy kanister z benzyną, a w drugim zaś piękną, ręcznie wykonaną walizeczkę z cielęcej skóry.

Louis Zablonsky bez żadnych kłopotów przeszedł w środę rano przez wszystkie kontrole na londyńskim lotnisku Heathrow. W grubym płaszczu, miękkim tweedowym kapeluszu, z torbą

podróżną w rękę i wielką, wrzosewą fajką w zębach, wyglądał jak jeden z wielu businessmenów, odlatujących codziennie z Londynu do Brukseli.

Kiedy usiadł na swoim miejscu w samolocie, pochyliła się nad nim jedna ze stewardess.

- Przepraszam pana, sir, ale niestety nie wolno palić fajki w kabinie podczas lotu - powiedziała cicho.

Zablonsky, tłumacząc się stokrotnie, schował swoją wrzosewkę z ulgą do kieszeni. Nie czuł się zawiedziony. Po pierwsze, w ogóle nie palił; po drugie zaś, nawet gdyby przytknął do fajki zapalną, okazałoby się zapewne, że nie ma ona ciągu.

W jej główce, pod warstwą ubitego tytoniu, leżały cztery owalne brylanty, o pięćdziesięcioośmiofasetkowym szlifie.

Na lotnisku w Brukseli wynajął samochód i ruszył autostradą na północ; minął

Zaventem, w Mechelen skręcił w prawo, kierując się na północny wschód, w stronę Lier i Nijlen.

Przemysł diamentowy skoncentrowany jest w Belgii na terenie Antwerpii, a konkretnie w rejonie Pelikaanstraat, ulicy, na której mieszczą się sklepy i pracownie wielkich firm. Ale jak większość innych dziedzin przemysłu, również i ta branża opiera się częściowo na wielkiej ilości drobnych dostawców i podwykonawców, którzy działając w pojedynkę w swoich pracowniach, zajmują się na zlecenie wyrobem oprawek oraz czyszczeniem i szlifowaniem kamieni.

Niektórzy z tych podwykonawców, wśród których przeważają Żydzi, pochodzący najczęściej z Europy Wschodniej, mieszkają w Antwerpii. Ale dziesiątki owych małych warsztatów, kooperujących z dużymi antwerskimi firmami, mieszczą się także w regionie zwanym Kempen obejmującym kilka schludnych osad i położonym na wschód od Antwerpii. W samym centrum Kempen, tuż przy głównej drodze i linii kolejowej łączącej Lier z Herentals, leży wioska Nijlen.

W Nijlen, przy ulicy Molenstraat, mieszkał niejaki Raoul Levy, polski Żyd, który osiadł w Belgii po wojnie i który przypadkowo był kuzynem Louisa Zablonsky'ego. Pracował jako szlifierz diamentów i od śmierci żony mieszkał

samotnie w jednym z małych, schludnych, parterowych domków z czerwonej cegły, zamykających od zachodu ulicę Molenstraat. Na tyłach budynku mieścił się jego warsztat. Tu właśnie zmierzał Zablonsky, który dotarł do swego kuzyna tuż po zakończeniu przerwy obiadowej.

Targowali się przez godzinę, zanim ostatecznie ustalili warunki umowy. Levy zobowiązał się przeszlifować brylanty w taki sposób, żeby uniemożliwić ich identyfikację, tracąc jak najmniej na ich wadze. Miał za to otrzymać 50.000 funtów -

połowę z góry, połowę po sprzedaży czwartego brylantu. Zablonsky opuścił Nijlen i powrócił do Londynu.

Raoul Levy był dobrym fachowcem, ale miał jeden problem: dokuczała mu samotność. Co tydzień

pozwalając więc sobie na jeden mały wypad z domu. Wsiadał w pociąg do Antwerpii i szedł do swej ulubionej kawiarni, w której spotykali się wszyscy jego zaprzyjaźnieni koledzy po fachu, by porozmawiać o sprawach zawodowych. W trzy dni po wizycie Zablonsky'ego, Raoul Levy pojechał tam, jak zwykle, i rozmawiał o sprawach zawodowych, o jeden raz za dużo.

Podczas gdy Louis Zablonsky bawił w Belgii, John Preston instalował się w swym nowym gabinecie, na drugim piętrze tego samego budynku w którym dotąd pracował. Był zadowolony, że nie musi przenosić się z Gordona do innej siedziby.

Jego poprzednik przeszedł na emeryturę pod koniec minionego roku i jego obowiązki pełnił od kilku dni zastępca szefa C. 1 (A), żywiący niewątpliwie nadzieję, że to on właśnie obejmie kierownicze stanowisko. Ale nie okazując rozczarowania, sumiennie wyjaśnił Prestonowi na czym polegają jego nowe obowiązki, które samemu zainteresowanemu wydały się żmudnym kieratem.

Po południu, Preston został sam w swoim gabinecie i wziął się do czytania listy budynków ministerialnych, które znajdowały się pod nadzorem kierowanej przez niego sekcji A. Lista była dłuższa niż się spodziewał, ale większość budynków nie wymagała szczególnie gorliwej ochrony służby bezpieczeństwa. Kłopotliwe mogły być jedynie przecieki informacji. Ponieważ wśród aktywistów związków zawodowych zrzeszających urzędników państwowych było wielu ludzi reprezentujących skrajnie lewicowe poglądy polityczne, istniało szczególne ryzyko przecieków treści dokumentów dotyczących cięć w zakresie świadczeń socjalnych. Ale tymi sprawami zajmowały się zwykle wewnętrzne służby ochrony, istniejące przy poszczególnych ministerstwach.

Z punktu widzenia Prestona najważniejsze były urzędy otrzymujące ściśle tajne dokumenty; Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Urząd Rady Ministrów i Ministerstwo Obrony. Każdy z nich posiadał jednak dość sprawnie funkcjonujący wewnętrzny system ochrony. Preston westchnął. Potem rozpoczął długą serię telefonów, których celem było umówienie terminów spotkań zapoznawczych z szefami komórek ochrony działających przy najważniejszych ministerstwach.

W przerwach między telefonami, zerkał na stos dokumentów, które zabrał ze swojego dawnego biura, mieszczącego się dwa piętra wyżej. Czekał na telefon od jakiegoś chwilowo zajętego urzędnika, wstał z fotela, otworzył swoją nową, służbową kasę pancerną i kolejno układał w niej teczki z aktami. Ostatnia teczka zawierała jego własną kopię raportu, który złożył w poprzednim miesiącu. Nie licząc oryginału, który ugrzązł w archiwum, był to jedyny istniejący egzemplarz tego dokumentu. Preston wzruszył ramionami i schował teczkę w głębi kasy. Zdawał sobie sprawę, że zapewne nikt już nigdy nie przeczyta jego raportu, ale nie widział powodu, dla którego nie miałby go sobie zatrzymać na pamiątkę. Bądź co bądź, włożył w jego opracowanie cholernie dużo pracy.

3

Moskwa

Środa, 7 stycznia 1987 r. Od: H.A.R. Philby Do: Sekretarza Generalnego KPZR

Pozwólcie mi zacząć, Towarzyszu Sekretarzu Generalny, od przypomnienia krótkiego rysu najnowszej historii brytyjskiej Partii Pracy oraz stopniowej penetracji i ostatecznego zdominowania

jej przez radykalną lewicę w ciągu minionych dwudziestu pięciu lat. Sądzę, że jedynie chronologiczna analiza pozwoli spojrzeć z właściwej perspektywy na wydarzenia ostatnich lat i zamierzenia na najbliższe miesiące.

Od czasu wszczęcia Hughowi Gaitskellowi niewykrywalnej toksyny wirusowej, która ostatecznie spowodowała jego śmierć rozwój brytyjskiej Partii Pracy przybrał tak korzystny kierunek, jak gdyby scenariusz wydarzeń pisano tu, w Moskwie.

Należy oczywiście pamiętać, że w Partii Pracy zawsze istniało skrzydło zdecydowanie proradzieckie, wierne ideom marksizmu-leninizmu. Lecz najczęściej w dotychczasowych dziejach Partii stanowiło ono znikomą mniejszość, która nie była w stanie znacząco wpływać na bieg wypadków, decyzje polityczne ani, co najistotniejsze, na dobór kandydatów do władz i wybór przywódców partyjnych.

Dopóki decydujący wpływ na Partię wywierała stanowczość Clementa Attlee, czy osobista pasja Hugh'a Gaitskella, sytuacja ta nie mogła ulec zmianie.

Obaj ci ludzie utrzymywali w mocy listę proskrypcyjną, na której znajdował

się wykaz ugrupowań głoszących idee rewolucyjne i postępowe, od marksizmu-leninizmu po trockizm, wyklęte przez labourzystów. Członków tych ugrupowań nie przyjmowano w szeregi Partii Pracy, nie mówiąc już o możliwości pełnienia przez nich jakichkolwiek funkcji partyjnych.

Po śmierci Hugh'a Gaitskella, który w roku 1960 poderwał z miejsc uczestników Konferencji w Scarborough swym wezwaniem, by "walczyć, walczyć i jeszcze raz walczyć" o zachowanie (tradycyjnego) ducha partii, zmarł zaś w styczniu 1963 roku, funkcja przywódcy przeszła w ręce Harolda Wilsona, który piastował ją przez trzynaście lat. Był człowiekiem całkowicie zdominowanym przez dwie negatywne cechy charakteru, które miały niemały wpływ na to, co działo się w partii przez owe trzynaście lat.

W przeciwieństwie do Attlee'ego cechowała go prawie bezgraniczna próżność.

A w odróżnieniu od Gaitskella, był skłonny do wszelkich, nawet najdalej idących ustępstw, byle tylko uniknąć walki. Zdając sobie sprawę z tej sytuacji, nasi przyjaciele w partii rozpoczęli od dawna oczekiwaną, choć bardzo ostrożną kampanię głębszego i liczniejszego przenikania do struktur Partii Pracy.

Był to długotrwały, bardzo trudny proces.

Następnie, w 1972 roku nasi proradzieccy przyjaciele w Krajowym Komitecie Wykonawczym (który odtąd będę określał skrótowo NEC) stworzyli znaczący przyczółek, doprowadzając do uchwalenia rezolucji wykreślającej z obowiązującej listy proskrypcyjnej tak zwany Oddział Studiów nad Pracą. Ów oddział, mimo umyślnie mylącej nazwy, nie miał nic wspólnego z Partią Pracy. Był ugrupowaniem kontrolowanym przez komunistów. Szczęśliwie, posunięcie to nie zostało storpedowane przez centrystów. W rok później, czyli w 1973, przedstawicielom radykalnej lewicy w NEC udało się całkowicie znieść listę proskrypcyjną.

Efekt przerósł oczekiwania grupy marksistów-leninistów wewnątrz Partii.

Niewielu było wówczas wśród nich ludzi młodych. Większość należała do grupy, która wybrała proradziecką orientację marksistowsko-leninowską, jeszcze w latach trzydziestych. Musieli stale umacniać swą pozycję wewnątrz partii. Wiedzieli, że bardzo wielu ich dawnych zwolenników zostało z partii wykluczonych, a jednocześnie wyrosło całkiem nowe pokolenie działaczy Radykalnej Lewicy, szukających politycznego zaczepienia. Kiedy zlikwidowano ortodoksyjne ograniczenia wewnętrzne, dotyczące przyjmowania członków, oni właśnie, starzy i młodzi, gromadnie wstępowali w szeregi Partii Pracy.

Z biegiem lat, większość starej lewicowej kadry partyjnej, podtrzymującej płomień walki w beznadziejnych, jak się zdawało, czasach Attlee'ego i Gaitskella, musiała odejść na emeryturę. Lecz przedtem zdążyli jeszcze wykonać swe zadanie, otwarli od wewnątrz dostęp do partii ludziom o radykalnie lewicowych poglądach.

Teraz nowe pokolenie jej członków, które należało do młodzieży piętnaście lat temu, dziś już dojrzałe, tworzy radykalną lewicę Partii Pracy. Nie tylko stanowi w niej znaczną siłę, lecz również kontroluje niemal wszystkie jej szczeble.

Od roku 1973 aż do dzisiaj, mający kluczowe znaczenie NEC, jedynie na krótko wymykał się spod kontroli radykalno-lewicowej większości i właśnie dzięki zręcznemu wykorzystaniu wpływów lewicy w tym organie wykonawczym, statut partii oraz skład jej kierowniczych gremiów zostały zasadniczo zmienione.

Tu krótka dygresja, Towarzyszu Sekretarzu Generalny, w celu dokładniejszego wyjaśnienia, kogo określam mianem "naszych przyjaciół" w brytyjskiej Partii Pracy i w ruchu związkowym. Zaliczam do tej grupy dwie kategorie: naszych w pełni świadomych zwolenników i zwolenników nieświadomych. Kategoria pierwsza nie dotyczy skrajnych lewaków, ani trockistowskich rewizjonistów, nie akceptowanych przez Moskwę, choć co prawda z różnych powodów. Do pierwszej kategorii zaliczam ugrupowania ultralewicowe. Są to zagorzali zwolennicy idei marksizmu-leninizmu, którzy nie zgadzają się by nazywać ich komunistami tylko dlatego, że sugerowałoby to ich przynależność do całkiem nie liczącej się Brytyjskiej Partii Komunistycznej. Są to jednakże wypróbowani przyjaciele Związku Radzieckiego. W dziewięciu przypadkach na dziesięć będą działać zgodnie z intencjami Moskwy, nawet gdyby te intencje nie zostały głośno wyrażone, a równocześnie będą twierdzić z przekonaniem, że działają zgodnie z własnym sumieniem, bądź w imię brytyjskiej racji stanu.

Drugą grupę, obecnie dominującą w Partii Pracy, stanowi radykalna lewica. Są to ludzie głęboko oddani, politycznie i emocjonalnie, sprawie socjalizmu, tak dalece lewicowo pojmowanego, że właściwie także zgodnego z ideałami marksistowsko-leninowskimi, którzy w rozmaitych okolicznościach, również nieprzewidzianych, całkiem spontanicznie będą reagować w sposób zbliżony lub pokrywający się z dążeniami i celami radzieckiej polityki zagranicznej wobec Wielkiej Brytanii i jej zachodnich sojuszników. Tym ludziom nie potrzeba żadnych instrukcji. Byliby wręcz oburzeni podobnymi propozycjami. Działając świadomie lub nieświadomie, powodowani własnymi przekonaniem lub specyficznym patriotyzmem, pragnieniem destrukcji, dążeniem do uzyskania osobistego awansu, obawą przed naciskami, własnym poczuciem wartości, czy też po

prostu instynktem stadnym - będą się zachowywać w sposób w pełni odpowiadający radzieckim interesom. Wszyscy działają na rzecz kształtowania naszych wpływów w Wielkiej Brytanii.

Wszyscy także, rzecz jasna, deklarują swe dążenie do demokracji. Znaczenie słowa “demokracja” kojarzy się przeważającej większości współczesnych Brytyjczyków z pluralistycznym (wielopartyjnym) państwem, którego władze wyłaniane są w wyniku wyborów powszechnych, w tajnym głosowaniu, odbywającym się co pewien czas. Zaś nasi przyjaciele z Radykalnej Lewicy, których życie bez reszty wypełnia działalność na rzecz realizacji ideałów lewicowych, głoszą oczywiście pochwałę demokracji ograniczonej, mając na myśli “demokrację zaangażowanych elit”, w której kierownicza rola przypadłaby im samym lub myślącym podobnie do nich. Szczęśliwie, prasa brytyjska nie kwapi się, by to nieporozumienie korygować.

Towarzyszu Sekretarzu Generalny, zamierzam obecnie omówić ostateczne rozwiązanie kwestii, która przez wiele lat rozbijała jedność działania radykalnej lewicy w brytyjskim ruchu laburzystowskim. Jest to kwestia dwóch równoległych koncepcji “drogi do socjalizmu”, głoszonych przez brytyjską radykalną lewicę od dziesięcioleci. Rozstrzygnął ją dopiero przełomowy rok 1976, czyli wydarzenia sprzed niemal dziesięciu lat.

Bliźniacze, choć rywalizujące ze sobą koncepcje rozwoju radykalnej lewicy w Wielkiej Brytanii nazywano “parlamentarną” oraz “wielkoprzemysłową” drogą do socjalizmu. Zwolennicy pierwszej z nich dostrzegali największe szanse w centrystycznym opanowaniu brytyjskiej Partii Pracy, która wówczas miałaby stać się instrumentem służącym do zdobycia władzy i stworzenia prawdziwie rewolucyjnego społeczeństwa. Z kolei drudzy upatrywali szans zwycięstwa w masowej mobilizacji klasy robotniczej w ramach związków zawodowych, planując następnie wyprowadzenie robotników na ulice i stworzenie rewolucyjnego społeczeństwa tą drogą.

Nie należy zapominać, że w Wielkiej Brytanii rzeczywistą kolebkę marksizmu-leninizmu stanowił zawsze ruch związkowy. Przede wszystkim zaplecze lewicy w związkach było zawsze liczebniejsze, niż w parlamentarnej Partii Pracy. I dlatego, przez całe lata, właśnie strona związkowa prowadziła najbardziej aktywną działalność, której kulminacją stał się jej ogromny sukces w 1976 roku.

Kiedy po upadku rządu Heatha, w 1974 roku Wilson powrócił do władzy, wiedział już, że nie zdoła oprzeć się związkom. Jeśli dojdzie do konfrontacji, Partia się rozpadnie, a on sam straci urząd. Zresztą wówczas cała Wielka Brytania szybko szła w kierunku gospodarczego dna w dziedzinie produkcji przemysłowej, handlu i finansów, z powodu strajków ogłaszanych przez związki, rosnących roszczeń płacowych, spadku produkcji, spirali kosztów wytwarzania i niebywałego wzrostu podatków od dochodów osobistych.

W kwietniu 1976 roku Harold Wilson do reszty utracił kontrolę nad związkami i nad gospodarką. Nadchodziła katastrofa gospodarcza, ekonomiści doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Wilson złożył rezygnację, podając jako oficjalną przyczynę zły stan zdrowia i jego miejsce zajął James Callaghan.

Po upływie trzech miesięcy Wielka Brytania znajdowała się już na krawędzi bankructwa i nie mogła się obejść bez dużej i szybko udzielonej pożyczki z Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Jednak Fundusz pozostawał nieugięty: należało spełnić najpierw określone warunki. W październiku,

na dorocznej Konferencji Partii Pracy, brytyjski minister skarbu musiał dosłownie błagać potężnych przywódców związkowych o powstrzymanie się od wygórowanych nacisków na płace i o akceptację cięć w wydatkach sektora publicznego.

Philby wstał i podszedł do okna. Dobrze pamiętał dramaty tamtej jesieni i aż westchnął z żalem. Pełnił wówczas rolę dyskretnego słuchacza i zaufanego doradcy, kiedy brytyjscy związkowcy nawiązywali kontakty i otrzymywali z Moskwy instrukcje, co należy robić. Szkoda, wiedział bowiem, że od czasu Wojny Domowej w siedemnastym wieku Wielka Brytania nie była nigdy tak bliska poddania się rządowi rewolucyjnemu i już nigdy potem nie zaistniała realna możliwość wprowadzenia w tym kraju rządów pozaparlamentarnych. Z powrotem usiadł przy maszynie do pisania.

Z niemiejszym żalem, niż ja przypomnicie sobie zapewne, Towarzyszu Sekretarzu, że niestety Moskwa musiała doradzić wówczas związkom, by posłuchały apelu rządu Callaghana o zachowanie umiaru. W ciągu dwóch tygodni załamał się bojowy duch związkowców, w wyniku czego zawarta została umowa społeczna między rządem i związkami zawodowymi.

Sami Brytyjczycy dotychczas nie rozumieją dlaczego. Pozwolę sobie więc jeszcze raz powtórzyć, co jest Wam wprawdzie doskonale znane, lecz zagadnienia, jakie poruszę w dalszej części, bezpośrednio się z tym wiążą.

Prośbę ministra skarbu istotnie trzeba było wówczas poprzeć, a ryzyko wyprowadzenia milionów robotników na ulice, w celu konfrontacji z własną policją i wojskiem, musiało zostać odrzucone. Był i nadal jest tylko jeden powód po temu. Jak przekonywająco dowodził wówczas profesor Kryłow, cała dotychczasowa historia uczy nas, że silne systemy demokratyczne tylko wówczas można obalić przy pomocy masowych wystąpień, jeśli policja i armia są w wystarczającym stopniu opanowane przez siły rewolucyjne i można oczekiwać, że znaczna część oddziałów odmówi wykonywania rozkazów swoich oficerów, przechodząc na stronę demonstrantów.

To właśnie nie powiodło się w Wielkiej Brytanii. Mimo ponawianych na przestrzeni lat wysiłków w celu zapewnienia wojsku i policji prawa do

“organizowania się” w związkach zawodowych (tj. infiltracji tych zmilitaryzowanych struktur przez działaczy związkowych), nigdy nie udało się tego w Wielkiej Brytanii osiągnąć. Opieraliśmy się wówczas na założeniu, o którego trafności jestem nadal przekonany, że brytyjscy żołnierze i policjanci pozostaną lojalni wobec Królowej, Tronu, Korony (nieważne jak te symbole władzy państwowej nazwiemy) i będą nadal wykonywać rozkazy swoich oficerów.

Gdyby jednak nawet taki plan przeprowadzono, próba zmiany kierunku brytyjskiej historii pod dyktando ulicy, zamiast przez Izby Parlamentu, skazana byłaby na niepowodzenie. Klęska zaś takiego przedsięwzięcia cofnęłaby sprawę, której oddani są nasi prawdziwi przyjaciele, o dobre kilkadziesiąt lat.

Od tamtej pory, dokładano wszelkich starań, by wypełnić ową lukę w możliwościach rewolucyjnych Wielkiej Brytanii i zalegalizować działalność związkową w szeregach policji i wojska. Jednakże bez rezultatu. James Callaghan, były konsultant Federacji Sił Porządkowych nie chciał o tym słyszeć.

Wraz z dojściem do władzy Margaret Thatcher w maju 1979 roku, cała sprawa została absolutnie przekreślona.

Nasi przyjaciele robili, co mogli. Od chwili przejęcia kontroli nad licznymi ośrodkami władzy w większych miastach, na wszystkich szczeblach od góry do dołu, sami lub posługując się rozwydrzoną młodzieżą z odłamów lewackich ugrupowań trockistowskich, jako oddziałami szturmowymi, prowadzili w prasie i innych środkach przekazu nieustanną kampanię oczerniania, szkalowania i osłabiania autorytetu brytyjskich sił porządkowych. Celem tej kampanii było zachwianie bądź

całkowite podważenie zaufania społeczeństwa brytyjskiego do własnej policji, która jest niestety nadal najbardziej uprzejma i zdyscyplinowana na świecie.

Jej rezultaty okazały się bardzo nierówne; zanotowano gdzieniegdzie sukcesy polegające na rozdmuchaniu lokalnych skarg, bądź prawdziwych nadużyć, takich jak korupcja czy brutalność policjantów, lub na sprawnej organizacji sporadycznych zamieszek. Lecz ogólnie biorąc, brytyjska klasa robotnicza pozostaje irytująco przywiązana do tradycyjnie pojmowanych zasad prawa i porządku, zaś klasy średnie w dalszym ciągu nie szczędzą poparcia policji.

Przypomniałem wszystkie powyższe fakty jedynie po to, by uzasadnić następującą tezę: “Wielkoprzemysłowa” droga do socjalizmu, masowa mobilizacja milionów ludzi na ulicach w celu obalenia wybieralnego rządu, nie ma żadnej przyszłości. Przyszłe zmiany są możliwe tylko przy zastosowaniu “drogi parlamentarnej”, spokojniejszej, mniej spektakularnej, lecz w ogólnym rachunku znacznie skuteczniejszej.

Właśnie owo długoletnie podążanie drogą parlamentarną w stronę prawdziwego, rewolucyjnego socjalizmu sprawiło, że ten cel jest dziś w zasięgu ręki.

Można było zejść tak daleko dzięki udanej kampanii zdobywania wpływów w Partii Pracy przez radykalną lewicę od wewnątrz. Dzięki kilku istotnym zmianom w statucie, oraz dobrem efektom głęboko samokrytycznej oceny i zmianom programowym, których nasi wypróbowani przyjaciele zmuszeni byli dokonać po katastrofie wyborczej z roku 1983.

W następstwie ostatecznego odrzucenia “drogi wielkoprzemysłowej” jesienią 1976 roku, nasi przyjaciele w Partii Pracy o marksistowsko-leninowskiej orientacji mogli całkowicie poświęcić się walce o potajemne opanowanie całej partii, co stało się możliwe, dzięki zniesieniu trzy lata wcześniej listy proskrypcyjnej.

Partia Pracy, niczym trójnog, opierała się zawsze na trzech filarach: na związkach zawodowych, na swych oddziałach terenowych w okręgach wyborczych (po jednym w każdym okręgu wyznaczonym przez brytyjską ordynację wyborczą), oraz na swej parlamentarnej reprezentacji, czyli grupie posłów z ramienia tej partii, którzy są aktualnie członkami Parlamentu w wyniku ostatnich wyborów powszechnych. Przywódcą Partii mianuje się zawsze kogoś należącego do tej ostatniej grupy.

Związki zawodowe są najpotężniejszym z wymienionych trzech ogniw i swoje wpływy polityczne realizują dwojako. Po pierwsze, finansują działalność partii, zapożyczając jej kasę składkami na cele polityczne, potrącanymi z wypłat milionów robotników. Po drugie, na dorocznej konferencji partyjnej

dysponują "blokami głosów" oddawanymi przez krajowe zarządy związków zawodowych w imieniu milionów nie pytanych o nic członków. Owe "głosy blokowe" mogą zapewnić uchwalenie praktycznie każdej rezolucji i wybór do jednej trzeciej składu najważniejszego organu Partii Pracy - Krajowego Komitetu Wykonawczego (NEC).

Krajowe zarządy związków zawodowych ze swoim prawem głosu mają kluczowe znaczenie w mechanizmach partyjnych. W ich skład wchodzi etatowi działacze oraz kierownictwa, decydujące o polityce związków. Zarządy stoją na szczycie piramidy, której środek tworzą przywódcy okręgowych struktur związkowych, zaś podstawę - przywódcy struktur branżowych. Dlatego skuteczne przejęcie przez działaczy radykalnej lewicy jak największych obszarów wpływów w związkach zawodowych było podstawowym zadaniem, które zresztą zostało wykonane.

Wielkim sprzymierzeńcem w poczynaniach naszych przyjaciół, była zawsze bierność szeregowych członków związków zawodowych, mających najczęściej umiarkowane poglądy. Nie można przecież wymagać od szeregowych związkowców uczestnictwa we wszystkich zebraniach, dlatego działacze, zawsze obecni, zdołali przejąć kontrolę nad tysiącami oddziałów branżowych, setkami okręgów i stali się elitą krajowych zarządów. W chwili obecnej, dziesięć największych związków, spośród osiemdziesięciu afiliowanych przy Partii Pracy, kontroluje ponad połowę głosów całego krajowego ruchu związkowego. Dziewięć spośród tych dziesięciu kontrolowane jest dziś przez radykalną lewicę, w porównaniu z zaledwie dwoma znajdującymi się pod jej wpływami w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych.

Wszystko to zostało załatwione ponad głowami milionów brytyjskich robotników, przez nie więcej niż dziesięć tysięcy zaangażowanych w naszą sprawę ludzi.

Zasadnicze znaczenie głosów związkowych pod kontrolą Radykalnej Lewicy będzie widoczne wyraźniej, kiedy w dalszej części przedstawię Kolegium Elektorów dokonujące wyboru nowego przywódcy całej Partii; związki posiadają w tym tak zwanym kolegium czterdzieści procent głosów.

Kolejny temat, to oddziały terenowe Partii Pracy w okręgach wyborczych. Ich trzon stanowią zarządy generalne, które poza zajmowaniem się codziennymi sprawami życia partyjnego w danym okręgu, posiadają inną ważną funkcję: wybierają kandydata z ramienia Partii Pracy do wyborów parlamentarnych. W ciągu dekady 1973--1983 młodzi aktywiści skrajnej lewicy zasilali szeregi wyborców Partii Pracy i poprzez wytrwałe uczestnictwo w nudnych zebraniach o słabej frekwencji wyparli dawnych przywódców z zarządów generalnych terenowych oddziałów partii, zdobywając je jeden po drugim.

W miarę stopniowego przejmowania kontroli nad okręgami wyborczymi przez radykalną lewicę, deputowani - przeważnie centryści - reprezentujący owe okręgi zajmowali także coraz bardziej radykalne stanowiska. Dla zapewnienia pełnego triumfu radykalnej lewicy należało osłabić, a w zasadzie nawet wykorzystać niezależność sumienia deputowanego, ze strażnika interesów wszystkich wyborców przeobrazić go w posłusznego wysłannika własnego zarządu.

Cel ten został przez radykalną lewicę błyskotliwie zrealizowany w Brighton w roku 1979, i to wraz z przyjęciem nowej zasady, która wymaga corocznego zatwierdzania (bądź niezatwierdzania) deputowanych przez macierzyste zarządy.

Zasada ta spowodowała masowe przegrupowanie sił. Cała grupa centrystów odłączyła się, by stworzyć Partię Socjaldemokratyczną, inni nie zostali zatwierdzeni i wycofali się z polityki, kilku wybitnych centrystów zmuszono do rezygnacji. Wciąż jednak parlamentarna frakcja Partii Pracy, poniżona i przerzedzona, odgrywała zasadniczą rolę w jednej sprawie: tylko deputowani do Parlamentu mogli dokonywać wyboru przywódcy Partii Pracy. Oprócz opanowania wszystkich trzech głównych struktur Partii trzeba było jeszcze podjąć próbę przejęcia także tych uprawnień. Cel ten został

osiągnięty w 1981 roku, znów dzięki staraniom radykalnej lewicy, wraz z ustanowieniem Kolegium Elektorów, w którym 30 procent głosów należy do frakcji parlamentarnej, 30 procent do oddziałów terenowych partii i 40 procent do związków zawodowych. Kiedy zajdzie potrzeba, Kolegium wybiera przywódcę partii wtedy i w taki sposób jaki uznaje za najwygodniejszy. Może też go co roku zatwierdzać. To ostatnie żądanie ma zasadnicze znaczenie w świetle planów znajdujących się w trakcie realizacji, które omówię poniżej.

Opisywana tu walka o przejęcie kontroli nad partią doprowadza nas do momentu wyborów powszechnych w 1983 roku. Proces infiltracji był już wtedy niemal całkiem zakończony, lecz nasi przyjaciele popełnili dwa błędy, polegające na odejściu od leninowskiej doktryny ostrożności i maskowania. Wystąpili w sposób zbyt otwarty, zbyt widoczny, dążąc zbyt szybko do zwycięstwa w tych zmaganiach - i zwołanie przedterminowych wyborów zaskoczyło ich w pół drogi. Radykalna lewica potrzebowała jeszcze jednego roku na konsolidację, uspokojenie nastrojów, wypracowanie jednolitej platformy. Ten rok nie był jej dany. Partia, przedwcześnie okiełznana przez radykalno-lewicowy, najbardziej skrajny manifest w swej historii, poszła w rozsypkę. Co gorsza, brytyjska opinia publiczna zobaczyła prawdziwe oblicze radykalnej lewicy.

Jak Wam wiadomo, wybory z 1983 roku zdawały się kompletną klęską Partii Pracy, wówczas już zdominowanej przez radykalną lewicę. Osobiście jednak śmiem twierdzić, że stały się dla niej niespodziewanym błogosławieństwem. Doprowadziły bowiem do przyjęcia linii nieustępliwego, samokrytycznego realizmu, jaką nasi przyjaciele świadomie narzucili swoim poczynaniom w ciągu ostatnich czterdziestu miesięcy.

Krótko mówiąc, z ogólnej liczby sześciuset pięćdziesięciu okręgów wyborczych w Wielkiej Brytanii, w 1983 roku Partia Pracy wygrała tylko w dwustu dziewięciu. Lecz wygląda to źle tylko na pierwszy rzut oka. Przede wszystkim, na dwustu dziewięciu deputowanych z ramienia Partii Pracy, stu opowiadało się wyraźnie po stronie lewicy, zaś czterdziestu spośród nich należy do radykalnej lewicy.

Pozornie niewielu, lecz przecież dzisiejsza frakcja Partii Pracy w Parlamencie jest najbardziej lewicowym z ugrupowań zasiadających kiedykolwiek w Izbie Gmin.

Po drugie, porażka wyborcza przywołała do porządku wszystkich głupców, którzy myśleli, że walkę o całkowite przejęcie kontroli mają już za sobą. Pojęli wkrótce, że po latach trudnej, lecz nieodzownej kampanii na rzecz opanowania stanowisk partyjnych, prowadzonej przez naszych przyjaciół od roku 1979 do 1983, nadszedł czas odbudowy jedności i wzmacniania nadkruszonej bazy poparcia na szczeblu terenowym, z uwagi na przyszłe wybory. Program ten przyjęto z inspiracji radykalnej lewicy na Konferencji Partyjnej w październiku 1983 roku. Jest on konsekwentnie

realizowany od tego czasu, aż do chwili obecnej.

Po trzecie, dostrzeżono konieczność powrotu do tajności działania, którą Lenin zalecał wszystkim wiernym naszej idei, prowadzącym działalność w społeczeństwie burżuazyjnym. Dlatego motywem przewodnim we wszystkich działaniach radykalnej lewicy podczas ostatnich czterdziestu miesięcy stała się z powrotem zasada ukrywania zamiarów, która tak dobrze sprawdziła się w latach siedemdziesiątych. Nastąpił przy tym pozorny odwrót od skrajnych poglądów na rzecz wyraźnego i zaskakującego umiarkowania. Wymagało to ogromnej samodyscypliny, lecz znów towarzysze znakomicie spisali się pod tym względem.

Od października 1983 roku radykalna lewica przywdziewa stopniowo lecz skutecznie szaty kurtuazji, tolerancji i umiarkowania; nieustannie kładzie nacisk na zasadnicze znaczenie jedności partii i dla osiągnięcia tego celu poczyniono wiele niemożliwych dotychczas ustępstw w zakresie ideologii Radykalnej Lewicy. Zarówno skrzydło centrystów - uradowane i przyjazne - jak i media, najwyraźniej przyjęły za dobrą monetę nowe, uładzone oblicze naszych przyjaciół, marksistów-leninistów.

Już bardziej dyskretnie także sfinalizowano przejęcie kontroli nad partią.

Wszystkie kluczowe komitety znajdują się obecnie w rękach radykalnej lewicy, lub w razie konieczności mogą zostać w każdej chwili opanowane przez nią po zwołaniu nadzwyczajnego zebrania. Jest tu jednak pewne poważne zastrzeżenie: zadowalano się zwykle pozostawieniem funkcji przewodniczących komitetów w rękach kogoś z nieradykalnej lewicy, lub nawet gdzieś tam, jeśli zapewniona jest przytłaczająca przewaga w głosowaniu, w rękach centrysty.

Centryści także z wyjątkiem może dwunastu sceptyków, zostali skutecznie rozbrojeni dzięki niedawno wypracowanej jedności, oraz dzięki zaprzestaniu tępienia ich przez lewicę. W każdym razie żelazna pięść jest dobrze ukryta w jedwabnej rękawiczce.

Na poziomie okręgów wyborczych, bez rozgłosu kontynuowano infiltrację partii przez elementy z kręgu radykalnej lewicy. Opinia publiczna i środki masowego przekazu nie poświęcały temu zjawisku zbyt wiele uwagi. Ten sam proces zachodził

w ruchu związkowym, jak już zresztą wspominałem. Osiem związków spośród wielkiej dziesiątki, oraz połowa pozostałych siedemdziesięciu, należy teraz do radykalnej lewicy. Tutaj również starano się nie nadawać sprawie rozgłosu - inaczej niż przed rokiem 1983.

Reasumując, Partia Pracy Wielkiej Brytanii jest obecnie niemal w całości opanowana przez radykalną lewicę, albo bezpośrednio, albo przez figurantów z grona nieradykalnej lewicy, bądź zastraszonych centrystów, lub pośrednio poprzez możliwość zwołania nadzwyczajnego posiedzenia danego komitetu. Mimo to, ani szeregowi członkowie partii, ani związki, ani środki przekazu i szerokie masy wyborców nie wydają się zdawać sobie z tego w pełni sprawę.

Jeśli chodzi o pozostałe zagadnienia, radykalna lewica przez ostatnie czterdzieści miesięcy rozegrała przygotowania do wyborów niczym kampanię militarną. Aby zdobyć zwykłą większość w brytyjskim parlamencie, potrzeba 325

mandatów, powiedzmy 330. Radykalna lewica posiada już dziś 210 "jak w banku".

Pozostałe 120, utracone w roku 1979 lub 1983, uważa się za możliwe do odzyskania, w związku z czym stanowią one bezpośredni cel walki wyborczej.

W życiu politycznym Wielkiej Brytanii występuje pewna prawidłowość: po upływie dwóch kadencji rządów tej samej partii, społeczeństwo najwyraźniej uważa, że powinna nastąpić zmiana, nawet jeśli dotychczasowy rząd wciąż cieszy się względną popularnością. Lecz Brytyjczycy są zwolennikami zmian tylko wówczas, jeśli ufają, że ich kierunek jest właściwy. Od czterdziestu miesięcy celem Partii Pracy było odzyskiwanie społecznego zaufania, dzięki przemyślnej taktyce naszych przyjaciół w jej szeregach.

Według ostatnich badań opinii publicznej, kampania zakończyła się zdecydowanym sukcesem, gdyż różnica w popularności między rządzącymi konserwatystami a Partią Pracy wynosi zaledwie kilka procent. Mając na uwadze, iż w brytyjskim systemie wyborczym osiemdziesiąt drugorzędnych mandatów decyduje o wyniku wyborów, zaś owe mandaty mogą przypaść którejkolwiek ze stron, dzięki piętnastoprocentowej fluktuacji głosów, Partia Pracy ma poważne szanse powrotu do steru rządów po następnych wyborach powszechnych w Wielkiej Brytanii.

Towarzyszu Sekretarzu Generalny, w kolejnym, zamykającym całość opracowaniu, zamierzam ukazać, w jaki sposób - jeśli zajdzie potrzeba - nasi przyjaciele z radykalnej lewicy planują obalić przywódcę Partii Pracy, Neila Kinnocka, w godzinie jego triumfu i narzucić Wielkiej Brytanii pierwszego w dziejach premiera marksistę-leninistę, wraz z prawdziwie rewolucyjnym programem ustawodawczym.

Z poważaniem

Harold Adrian Russel Philby

4

Do Raoula Levy'ego przybyło niespodziewanie czterech mężczyzn. Wszyscy byli wysocy i silnie zbudowani. Przyjechali dwoma samochodami. Pierwszy wóz przystanął pod domem Levy'ego przy Molenstraat, a drugi zatrzymał się sto metrów dalej.

Z pierwszego samochodu wysiadło dwóch z nich. Energicznym krokiem, bez hałasu, przeszli po niewielkim podejździe do frontowych drzwi. Obydwaj kierowcy czekali, z pogaszonymi światłami i włączonymi silnikami. Noc była nieprzyjemna, tuż po siódmej wieczór, dawno po zmroku i nikt o tej porze piętnastego stycznia nie chodził ulicą Molenstraat.

Ci dwaj, którzy zapukali do frontowych drzwi, byli zdecydowani i rzeczowi; tacy ludzie nie lubią tracić czasu, gdy trzeba coś załatwić i uważają, że im szybciej skończą, tym lepiej. Nie przedstawili się, kiedy Levy im otworzył. Po prostu weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi. Levy, pragnąc zaprotestować, ledwo zdołał wydobyć jęk z gardła, gdyż cztery sztywne palce trafiły go w splot słoneczny.

Potężnie zbudowani mężczyźni narzucili mu płaszcz na ramiona, wcisnęli na głowę kapelusz, zatrzasnęli drzwi na zapadkę i z wprawą poprowadzili go przez podjazd do samochodu, którego tylne drzwi otworzyły się na ich widok. Odjeżdżali z Levym wciśniętym między nimi na tylnym siedzeniu, po upływie dwudziestu sekund od przyjazdu.

Zabrali go niedaleko, do Kesselse Heide, dużego parku położonego na północny wschód od Nijlen, gdzie na obszarze dwudziestu hektarów, wśród traw i wrzosów, dębów i różnych drzew iglastych, nie było żywej duszy. Spory kawałek od drogi, pośrodku wrzosowiska oba samochody stanęły. Kierowca drugiego pojazdu, który miał poprowadzić przesłuchanie, wśliznął się na wolne miejsce z przodu i skinął

na swoich dwóch współpracowników. Ten z prawej strony Levy'ego otoczył

niepozornego szlifierza diamentów ramionami, żeby go unieruchomić i ręka w rękawiczce złapała Levy'ego za twarz. Drugi mężczyzna wyjął ciężkie szczypce, uchwycił lewą dłoń Levy'ego i zrećnie zmiażdżył trzy stawy, jeden po drugim.

Bardziej od szarpiącego bólu przeraził Levy'ego fakt, że nie zadają mu żadnych pytań. Jak gdyby nic ich nie interesowało. Kiedy staw czwartego palca trzaskał miażdżony szczypcami, Levy pragnął tylko jednego: żeby mu zadano jakieś pytanie.

Prowadzący przesłuchanie wygodnie rozparty na przednim siedzeniu kiwnął

głową niedbale. - Chcesz mówić? - spytał.

Z rękawiczką na ustach, Levy przytakiwał zawzięcie. Uwolniono mu usta.

Levy wydał z siebie przeciągły, bulgoczący wrzask. Zamilkł i wtedy przesłuchujący wycedził:

- Diamenty. Z Londynu. Gdzie są?

Mówił po flamandzku, lecz z wyraźnie obcym akcentem. Levy powiedział mu bezzwłocznie. Żadne pieniądze nie wyrównają mu utraty dłoni, z pracy których żyje.

Przesłuchujący trzeźwo rozważył otrzymaną informację.

- Klucze - powiedział.

Były w kieszeni spodni Levy'ego. Prowadzący przesłuchanie zabrał je i wysiadł z samochodu. Parę sekund później, drugi samochód odjechał z chrzęstem po skrzypiącej trawie w stronę drogi. Nie było go przez pięćdziesiąt minut.

W tym czasie Levy skamlał podtrzymując strzaskaną rękę. Mężczyźni po obu stronach zachowywali się wobec niego zupełnie obojętnie. Kierowca siedział i gapił

się przed siebie, ręce w rękawiczkach trzymał oparte na kierownicy. Kiedy prowadzący przesłuchanie do nich dołączył, słowem nie wspominał o czterech kamieniach, które obecnie

znajdowały się w jego kieszeni. Rzucił tylko:

- Ostatnie pytanie. Kto je przyniósł?

Levy potrząsnął głową. Przesłuchujący westchnął niezadowolony z takiej niepotrzebnej straty czasu i skinął na człowieka z prawej strony Levy'ego. Potężnie zbudowani mężczyźni zamienili się rolami. Ten z prawej ujął szczypce i prawą dłoń Levy'ego. Po zmiżdżeniu dwóch stawów drugiej dłoni, Levy im powiedział.

Przesłuchujący miał jeszcze parę krótkich pytań uzupełniających, po czym zdawał się usatysfakcjonowany. Opuścił samochód i przesiadł się do swego. Oba wozy, jeden za drugim, wtoczyły się z powrotem na drogę. Wracali do Nijlen.

Kiedy przejeżdżali koło jego domu Levy zauważył, że drzwi są zamknięte i światło się nie pali. Miał nadzieję, że tam go wypuszczą, lecz tak się nie stało. Minęli centrum miasta, jadąc dalej na wschód. Za oknami samochodu przesuwały się światła kafejek, które jarzyły się ciepło i przytulnie w mroźnym powietrzu - lecz nikt nie wybiegał na ulicę. Levy widział nawet niebieski neon ze słowem "Politie" nad komisariatem naprzeciw kościoła, jednak nikt nie ukazał się w drzwiach.

Trzy kilometry na wschód od Nijlen, ulica Looy Straat przecina linię kolejową w miejscu, gdzie trasa z Lier do Herentals biegnie prosto jak strzeł i wielkie lokomotywy spalinowe przejeżdżają tędy z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Po obu stronach przejazdu stoją wiejskie zabudowania. Oba samochody zatrzymały się w pobliżu torów, gasząc światła i silniki.

Kierowca bez słowa otworzył skrytkę przed sobą, wyjął butelkę i wręczył

kolegom z tyłu. Jeden z nich zatkał Levy'emu nos, a drugi wlewał białą wódkę miejscowego wyrobu wprost do dławiącego się gardła. Kiedy butelka opróżniła się w trzech czwartych - przestali i puścili go. Raoul Levy zaczął odpływać w trans alkoholowy. Nawet ból mieco zelżał. Trzej mężczyźni w samochodzie i ten z przodu po prostu czekali.

Kwadrans po jedenastej przesłuchujący wysiadł z pierwszego samochodu i coś mruknął przez szybę. Levy był już wtedy zupełnie nieprzytomny, choć jego ciało wykonywało czasem nieskoordynowane ruchy. Siedzący przy nim mężczyźni wyciągnęli go z samochodu i powlekli w kierunku torów. Dwadzieścia po jedenastej jeden z nich uderzył go w głowę metalowym prętem i Levy umarł. Położyli go na jednej z szyn, układając głowę i dłonie w jednej linii.

Hans Grobbelaar prowadził ostatni nocny ekspres z Lier - odjazd punktualnie dwudziesta trzecia zero dziewięć, jak zwykle. To jego zwykła trasa i przed pierwszą będzie już w swoim domu w Herentals, w ciepłym łóżku. Ciągnął skład towarowy bez postojów i minął Nijlen o czasie: była dwudziesta trzecia dziewiętnaście. Po kilku rozjazdach nabrał prędkości i zbliżał się do prostej za krzyżówką z Looy Straat z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę; reflektor jego lokomotywy numer 6268 zapewniał mu stumetrową widoczność.

Tuż przed Looy Straat zauważył pokurczoną postać leżącą na torach i gwałtownie włączył hamowanie. Spod kół posypały się iskry. Pociąg towarowy zaczął

zwalniać, lecz na próżno. Z otwartymi ustami maszynista patrzył przez szybę jak światło reflektora ogarnia leżącą postać. Dwaj ludzie z jego brygady mieli już takie wypadki; samobójca czy pijak - nigdy nie wiadomo. Jedziesz na takim sprzęcie, że nawet nie czujesz wstrząsu - mówili. Nie poczuł. Lokomotywa skrzypiąc przemknęła tamtędy i potoczyła się dalej, zwalniając tylko do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Kiedy się w końcu zatrzymał, nie mógł na to patrzeć. Pobiegł do któregoś domostwa i wszczął alarm. Jak przyjechała policja z latarniami, miazga spod kół

przypominała truskawkowy dżem. Hans Grobbelaar nie dotarł do domu przed świtem.

Tego samego ranka, lecz cztery godziny później, John Preston wszedł do hallu Ministerstwa Obrony w Whitehall, zbliżył się do recepcji i użył swojej uniwersalnej przepustki jako identyfikatora. Po nieodzownym telefonie, sprawdzającym czy istotnie jest umówiony, wprowadzono go do windy i następnie, po przebyciu kilku korytarzy, do gabinetu szefa bezpieczeństwa wewnętrznej służby Ministerstwa, wysoko na piętrze na tyłach budynku, z widokiem na Tamizę.

Generał brygady Bertie Capstick niewiele zmienił się od czasu, kiedy Preston widział go ostatnio, przed laty w Ulsterze. Zwalisty, rumiany, zawsze pogodny i z pyzată twarzą, bardziej przypominał farmera niż żołnierza. Na powitanie ryknął

donośnie:

- Johnny, chłopcze, kopę lat! Zapraszam, zapraszam.

Chociaż tylko o dziesięć lat starszy od Prestona, Bertie Capstick miał zwyczaj zwracać się do niemal wszystkich młodszych od siebie ludzi per "chłopcze", przez co kojarzył się zaraz z dobrotliwym wujaszkiem, wrażenie to zresztą potwierdzał jego wygląd. Kiedyś jednak był nieustraszonym żołnierzem: robił wypadki w głąb terytoriów zajmowanych przez terrorystów w czasie kampanii malajskiej. A później dowodził grupą ekspertów od infiltracji w dżunglach Borneo, podczas wypadków, które nazywa się dziś interwencją w Indonezji.

Capstick posadził gościa i z szafki na akta wyjął butelkę wybornej whisky. -

To co, po kropelce?

- Za wcześnie - wymawiał się Preston. - Dopiero minęła jedenasta.

- Jakie tam wcześnie. Za dawne czasy! I tak kawę dają tu paskudną.

Capstick usadowił się wreszcie i przysunął Prestonowi szklanekę po blacie swego biurka. - No, co tam, chłopcze? Jak cię usadzili?

Preston się skrzywił. - Mówiłem ci przez telefon, w co mnie wrobili - odrzekł.

- Cholerna policyjna robota. Nie piję tu do ciebie, Bertie.

- Tak, ze mną to samo, Johnny. Na zieloną trawkę. Co prawda jestem emerytowanym oficerem w stanie spoczynku, więc nie mogę narzekać. Dostałem emeryturę jak skończyłem pięćdziesiąt pięć lat i udało mi się wtedy zaczepić tutaj. Nie mam najgorzej. Rano się przytelepię pociągiem, sprawdzę czy wszystko gra zgodnie z przepisami i czy nikt nie podskakuje, później wracam do domu, do żonki. Mogło być gorzej. W każdym razie wypijmy za dawne czasy.

- Zdrowie - rzekł Preston. Wypili.

W dawnych czasach nie było znów tak wesoło - pomyślał Preston. Kiedy ostatnio widział Bertie'go Capsticka sześć lat temu, jeszcze jako pułkownika, ów pozornie dobroduszny oficer był wicedyrektorem wywiadu wojskowego w Irlandii Północnej i miał swoją bazę w szarym kompleksie zabudowań w Lisburn, gdzie komputerowa baza danych w każdej chwili może zaspokoić ciekawość pytającego o to, który z bojowników IRA podrapał się właśnie w ucho.

Preston był jednym z jego chłopców; pracował po cywilnemu jako zakonspirowany agent i często bywał w samym gnieździe IRA, gdzie nawiązywał

kontakty z informatorami, albo przejmował zawartość skrytek. Właśnie Bertie Capstick lojalnie bronił go przed wścibskimi urzędnikami z Holrood House po wpadce, kiedy Preston omal nie został zabity podczas misji wykonywanej na zlecenie Capsticka.

Zdarzyło się to dwudziestego ósmego maja 1981 roku i gazety następnego dnia zamieściły o tym jedynie krótką wzmiankę. Preston w nieoznakowanym wozie dotarł do dzielnicy Bogside w Londonderry, zdążając na spotkanie z informatorem.

Może gdzieś na górze był przeciek, może namierzono samochód, którym jechał, a może jego twarz została rozpracowana przez kontrwywiad IRA - przyczyn nie udało się ustalić. W każdym razie nastąpiła wpadka. Kiedy tylko znalazł się w obrębie twierdzy republikanów, z bocznej ulicy wyskoczył wóz pełen uzbrojonych ludzi i zaczął mu deptać po piętach.

Natychmiast spostrzegł ich we wstecznym lusterku i od razu odwołał

spotkanie. Lecz ci z IRA chcieli czegoś więcej. Kiedy znalazł się w samym środku irlandzkiego getta, samochód zajechał mu drogę i tamci wyskoczyli: dwóch z karabinami maszynowymi, jeden z pistoletem.

Preston mógł uciec tylko do nieba lub do piekła, dlatego przejął inicjatywę.

Był bez szans i ku zaskoczeniu atakujących, błyskawicznie wypadł ze swego wozu w momencie, gdy blachę nadwozia dziurawiły serie z broni maszynowej. Miał w ręku trzynastostrzałowego browninga dziewięć milimetrów nastawionego na ogień ciągły.

Rąbnął na bruk, ale dał im popalić. Zamachowcy spodziewali się, że umrze z godnością i nie zachowali odstępów.

Szybką serią położył dwóch w biegu, trzeciemu wyrwał kawał szyi. Kierowca z IRA puścił sprzęgło i zniknął w chmurze dymu z piskiem opon. Preston dostał się w bezpieczne miejsce, do budynku pod

nadzorem czterech ludzi z SAS, którzy trzymali go aż do przyjazdu Capsticka i ten dopiero zabrał go do domu.

Oczywiście nie uszło mu to na sucho - pytania, przesłuchania, zaniepokojenie

“góry”. Mowy nie było o dalszej pracy. Został całkowicie i na zawsze spalony, jak mówią w jego branży, czyli zidentyfikowano go. Przestał być przydatny. Kierowca, który wyszedł cało, wszędzie rozpozna jego twarz. Nie dali mu nawet wrócić do własnej jednostki komandosów w Aldershot. Kto wie, ilu członków IRA kręci się w Aldershot?

Zaproponowali mu przeniesienie do Hongkongu. Wtedy Bertie Capstick pogadał z jednym kumplem. Znalazło się trzecie wyjście. Koniec kariery wojskowej w wieku czterdziestu jeden lat, w stopniu majora i późny angaż do MI-5. Poszedł na to.

- Masz coś konkretnego? - spytał Capstick.

Preston pokręcił głową.

- Po prostu nuda spotkań zapoznawczych - powiedział.

- Nie martw się, Johnny. Teraz już wiem, że to twoja robota. Zadzwoń, jeśli wyskoczy mi coś większego niż problem z kradzieżą składkowego funduszu na prezenty świąteczne. Ale powiedz, jak tam Julia?

- Niestety, odeszła. Trzy lata temu.

- Przykro mi, nie wiedziałem - twarz Bertiego Capsticka wyrażała szczerzy smutek. - Znalazła sobie kogoś?

- Nie. Wtedy jeszcze nie. Teraz chyba kogoś ma, tak myślę. To przez tę robotę... Wiesz jak jest.

Capstick pokiwał głową ze współczuciem. - Moja Betty jednak dobrze to znosiła - powiedział w zamyśleniu. - Pół życia spędziłem poza domem. A ona zawsze czekała. Żeby nie wiem co. W każdym razie to nie życie dla kobiety. Ja to znam. Nie raz widziałem. Ale szkoda. Widujesz chłopaka?

- Od czasu do czasu - przyznał Preston.

Capstick nie mógł dotknąć bardziej bolesnej struny w jego świadomości. W

swoim ciasnym kawalerskim mieszkanku na South Kensington, Preston trzymał dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało jego i Julię w dniu ślubu; miał wtedy dwadzieścia sześć lat, stał w pełnej gali w mundurze swojej Brygady Spadochroniarzy, a ona, dwudziestoletnia, cała w bieli. Na drugim był jego syn, Tommy, za którego oddałby życie.

Mieszkali jak inne małżeństwa wojskowych, w kolejnych przydzielonych mu mieszkaniach służbowych dla żonatych oficerów w różnych garnizonach, a w osiem lat po ślubie urodził się Tommy. Przyjście na świat syna całkowicie zadowoliło Johna Prestona, lecz nie wystarczało jego

żonie. Wkrótce Julii znudziły się obowiązki macierzyńskie, połączone z samotnością podczas jego wyjazdów i zaczęła narzekać na brak pieniędzy. Namawiała go, żeby rzucił wojsko i poszedł zarabiać więcej do cywila; nie umiała pojąć, że on kocha swoją pracę i nuda przy biurku w firmie handlowej czy w przemyśle raz dwa by go zniszczyła.

Przeniósł się do wywiadu, lecz to tylko pogorszyło sprawę. Wysłali go do Ulsteru, gdzie nie wolno było zabierać żon. Potem zszedł do podziemia i wszelkie kontakty ustały. Po incydencie w Bogside, Julia powiedziała otwarcie, o co jej chodzi.

Spróbowali jeszcze raz, zamieszkali na przedmieściach, on zaczął pracę dla "piątki" i wracał co wieczór do Sydenham. Odpadła kwestia rozłąki, ale ich małżeństwo i tak się rozpadało. Julia potrzebowała więcej niż mógł zarobić; zbyt późno zaczął pracę w MI-5, by zarabiać lepiej.

Zatrudniła się jako recepcjonistka w domu mody na West Endzie, podczas gdy Tommy, ósmiolatek, na jej żądanie poszedł do płatnej prywatnej szkoły w pobliżu ich skromnego domu. I przestało im starczać na cokolwiek. W rok później odeszła na dobre, zabierając ze sobą Tommy'ego. Dowiedział się, że mieszka teraz ze swoim szefem, który mógłby być jej ojcem, ale on przynajmniej zapewnia jej życie na poziomie i szkołę z internatem dla Tommy'ego. Ostatnio z rzadka tylko widywał

swego dwunastoletniego syna.

Proponował jej rozwód, jednak nie chciała się zgodzić. Po trzyletniej separacji dostałby rozwód tak czy owak, lecz zagroziła, że ponieważ on nie daje rady łożyć na szkołę chłopca i do tego płacić alimenty, ona wystąpi o przyznanie jej wyłącznego prawa do opieki nad Tommym. Nie miał wyjścia i wiedział o tym. Pozwalała mu zabierać Tommy'ego na tydzień podczas ferii i dodatkowo na dwie niedziele w trakcie roku szkolnego.

- Słuchaj, muszę lecieć, Bertie. Wiesz, gdzie mnie szukać, jak ci wyskoczy jakaś większa afera.

- Oczywiście, oczywiście - Bertie Capstick poczłapał za nim do drzwi. -

Uważaj na siebie, Johnny. Niewielu nas, naprawdę porządnych facetów, zostało.

Pożegnali się z uśmiechem i Preston pojechał z powrotem na Gordon Street.

Louis Zablonksy znał facetów, którzy przyjechali furgonetką i zapukali do jego drzwi w późny sobotni wieczór. Siedział w domu sam, i jak zwykle w soboty; Beryl weszła i wrócić miała dopiero nad ranem. Podejrzewał, że oni o tym wiedzieli.

Kiedy rozległo się pukanie, oglądał nocny film w telewizji i niczego się nie spodziewał. Otworzył i tamci wtargnęli do przedpokoju, zamykając za sobą drzwi.

Było ich trzech. Nie przypominali czwórki mężczyzn, którzy dwa dni wcześniej złożyli wizytę Raoulowi Levy'emu (zresztą nie wiedział nic o wypadku, bo nie czytał

belgijskich gazet). Byli wynajętymi osiłkami z londyńskiego East Endu, w żargonie podziemia określanymi mianem "Cepów".

Dwóch brutalnych, prymitywnych zbirów z zakazanymi gębami wykonywało każdy rozkaz trzeciego, który był drobnym, krostowatym blondynem z tłustymi włosami. Zablonsky nie znał ich osobiście - po prostu wiedział, co to za jedni, pamiętał ich z obozu, odzianych w mundury. Dlatego z góry się poddał. Rozumiał, że opór nie ma sensu. Ci faceci zawsze zrobią co zechcą z takimi ludźmi jak on. Ani czynny opór, ani próśby nic nie działają.

Wepchnęli go z powrotem do pokoju i wcisnęli w fotel. Jeden z osiłków stanął

za oparciem, nachylił się i przytrzymał Zablonsky'ego. Drugi stał obok głaszcząc ręką zaciśniętą pięść. Blondyn podsunął sobie stółek naprzeciw fotela, przysiadł na nim i przyjrzał się twarzy jubilera.

- Walnij go - rozkazał.

Facet z prawej grzmotnął Zablonsky'ego ciężką pięścią w usta. Miał mosiężny kastet. Dół twarzy jubilera rozprysł się krwawą miazgą wybitych zębów i poszarpanych warg.

Blondas się uśmiechnął. - Nie tam - strofował łagodnie. - On ma przecież mówić. Trochę niżej.

Bandzior ulokował dwa kolejne miażdżące ciosy w klatce piersiowej Zablonsky'ego. Trzasnęły żebra. Z ust jubilera dobył się przeciągły jęk. Blondas znów się uśmiechnął. Lubił jak oni wydają odgłosy.

Zablonsky bezsilnie próbował się szarpać, ale nic to nie dało. Muskularne ramiona zza oparcia przytwierdzały go do fotela, tak samo jak inne ręce rozciągały go na kamiennej ławie dawno temu w południowej Polsce, a jasnowłosa mężczyzna pochylał się nad nim z uśmiechem.

- Nieładnie, Louis - zanucił blondyn. - Zrobiłeś przykrość memu przyjacielowi. On wie, że masz coś, co jest jego i on to chce z powrotem.

Powiedział jubilerowi, o co mu chodzi. Zablonsky z trudem przełknął krew wypełniającą mu usta. - Nie tutaj - wychrypiał.

Blondyn chwilę pomyślał. - Rozejrzyjcie się - nakazał swoim kompanom. - On nie będzie przeszkadzał. Zróbcie kipsisz.

Dwóch bandziorów zabrało się do przetrząsania domu, zostawiając blondyna z jubilerem w pokoju. Byli dokładni i zajęło im to godzinę. Kiedy skończyli przegląd szafek, szuflad, szpar i zakamarków, wszystko było wywrócone do góry nogami.

Blondas zabawiał się w tym czasie szturchaniem staruszka w połamane żebra. Tuż po północy, zbiry wróciły po przeglądzie strychu.

- Ni ma - oświadczył jeden z nich.

- Więc u kogo to jest, Louis? - spytał blondyn.

Usiłował nie mówić, bili go więc dopóki nie odpowiedział. Kiedy ten stojący za oparciem go puścił, Zabłonsky padł do przodu na dywan i przewrócił się na bok.

Zsiniął na twarzy, oczy wyszły mu na wierzch i oddychał płytko, z trudem łapiąc powietrze. Trzej mężczyźni stanęli nad nim i patrzyli.

- On dostał zawału - stwierdził jeden z pewnym zaciekawieniem. - Zaraz się przekręci.

- Za mocno mu przyłożyłeś, może nie? - zauważył złośliwie blondyn. - Dobra, idziemy. Mamy nazwisko.

- On twoim zdaniem nie zalewał? - spytał któryś z kompanów.

- Wyśpiewał co trzeba już godzinę temu - odparł blondas.

Cała trójka opuściła dom, wgramoliła się do furgonetki i odjechała. Po drodze na południe z Golders Dreen jeden z bandziorów zapytał:

- To co teraz zrobimy?

- Zamknij się, muszę pomyśleć - rzekł blondyn.

Drobny sadysta lubił widzieć się w roli przebiegłego dowódcy bandziorów. W

istocie umysł miał dość ograniczony i teraz był w kropce. Z jednej strony kontrakt przewidywał odwiedzinę u jednego człowieka i odzyskanie skradzionej własności. Z

drugiej strony - niczego nie odzyskali. Koło Regent's Parku dostrzegł budkę telefoniczną.

- Podjedź tam - powiedział. - Muszę zadzwonić.

Człowiek, który go wynajął, podał mu numer telefonu innej budki telefonicznej i trzy dokładne godziny, kiedy mogli dzwonić. Pierwsza wyznaczona godzina przypadała już za parę minut.

Beryl Zabłonsky wróciła po uciechach sobotniego wieczoru koło drugiej w nocy. Zaparkowała po drugiej stronie ulicy i weszła do domu zdziwiona, że światło jeszcze się pali.

Żona Louisa Zabłonsky'ego była miłą żydowską dziewczyną ze środowiska robotniczego, która wcześniej pojęła, że zbyt wiele oczekiwać od życia mogą tylko egoiści i głupcy. Przed dziesięcioma laty, kiedy skończyła dwadzieścia pięć, Zabłonsky wyłowił ją z drugiego rzędu tancerek w beznadziejnym musicalu i poprosił

o rękę. Powiedział jej o swojej niemożności, a jednak ona przyjęła oświadczyzny.

To dziwne, ale tworzyli dobraną parę. Był niesamowicie poczciwy i pobłażał

jej niczym ojciec. Ona zaś przywiązała się do niego prawie jak rodzona córka. Dał jej wszystko, co

mógł - piękny dom, stroje, błyskotki, pieniądze na drobne wydatki i poczucie bezpieczeństwa, a ona przyjęła to z wdzięcznością.

Jednej rzeczy co prawda nie mógł jej dać, lecz okazywał wyrozumiałość i tolerancję. Prosił tylko o jedno: żeby mu nie mówić kto to taki ani nie zapraszać na spotkania z nim. W wieku trzydziestu pięciu lat Beryl była dorodną, nieco wyzywającą, lecz zdecydowanie atrakcyjną kobietą, z tych, co pociągają młodszych mężczyzn, których uczucia Beryl odwzajemniała z ochotą. Wynajęła sobie małe mieszkanie na West Endzie, gdzie bezwstydnie oddawała się uciechom sobotnich nocy.

W dwie minuty po wejściu do domu, Beryl Zablonsky z płaczem podawała przez telefon swój adres pogotowiu. Przyjechali po sześciu minutach, wzięli umierającego mężczyznę na nosze i usiłowali zatrzymać go na tym świecie przez całą drogę do szpitala Royal Free. Beryl jechała z nim karetką. Po drodze odzyskał na chwilę przytomność i gestem przywołał ją bliżej krwawiących ust. Nadstawiła ucha i udało jej się uchwycić parę słów, po których zmarszczyła brwi, zaskoczona. Nie powiedział już nic więcej. Kiedy dojechali do Hamstead, Louis Zablonsky stanął

jeszcze jeden przypadek "zejścia podczas przewozu".

Beryl Zablonsky wciąż jeszcze czuła słabość do Jima Rawlingsa. Miała z nim krótki romans przed siedmiu laty, zanim się ożenił. Wiedziała, że jego małżeństwo się rozpadło i Jim mieszka teraz sam, w mieszkaniu na ostatnim piętrze w Wandsworth, a numer jego telefonu wykrecała na tyle często, by go zapamiętać.

Kiedy się dodzwoniła, wciąż nie mogła powstrzymać łez i z początku Rawlings, wyrwany ze snu w środku nocy, z trudnością kojarzył, kto mówi. Dzwoniła z automatu na oddziale powypadkowym i ciągle odzywał się sygnał, żeby wrzucić monetę. Rawlings doszedł wreszcie, kto dzwoni i słuchał wiadomości z rosnącym niedowierzaniem.

- Nic więcej nie mówił... tylko to? Dobrze, złotko. Słuchaj, cholernie mi przykro. Wpadnę do ciebie, jak się sprawa wyjaśni. Powiesz mi, czy mogę jakoś pomóc. Aha, Beryl... dzięki.

Rawlings odłożył słuchawkę, zastanowił się chwilę i odbył dwie rozmowy, jedną po drugiej. Ronnie, ten z warsztatu, dotarł pierwszy, a Syd w dziesięć minut po nim. Obaj, zgodnie z instrukcją, mieli przy sobie narzędzia. Przybyli w samą porę.

Nieproszeni goście zaczęli wspinać się na ósme piętro ledwie kwadrans później.

Blondas nie chciał przyjmować drugiego kontraktu, lecz dodatkowa forsa, jaką gwarantował głos w słuchawce, była nie do pogardzenia. On i jego kumple działali na East Endzie i nie znosili wypadków za rzekę, na południe. O konflikcie pomiędzy gangami z East Endu i południa krążą legendy w podziemnym świecie stolicy; wycieczka południowca "na drugi brzeg", albo przypadek odwrotny, może się zawsze skończyć wielką chryją. Blondas jednak uznał, że o wpół do czwartej nad ranem będzie na tyle cicho i spokojnie, że po skończonej robocie zdąży wrócić na własne śmieci, zanim go namierzą.

Kiedy Jim Rawlings otworzył drzwi, ciężka łapa pchnęła go w głęb korytarza prowadzącego do

pokoju. Dwóch zbirów wpadło przodem, a blondyn zamykał

pochód. Rawlings wycofał się korytarzem, żeby wszyscy zdążyli wejść. Jak tylko blondas zatrzasnął za sobą drzwi, z kuchni wyskoczył Ronnie i rozłożył pierwszego ciosem rękojęści kilofa. Syd w pośpiechu wypadł z szafy na ubrania i wypróbował

klucz płaski na czaszce drugiego gościa. Obaj trafieni runęli jak powalone byki.

Blondas mocował się z zapadką u drzwi, próbując ująć cało na klatkę schodową, kiedy Rawlings, przestępując leżące ciała, chwycił go za frak i trzasnął

jego twarzą w oszklony portret Matki Boskiej, przez co nieduży facet wszedł w najbliższy w swoim życiu kontakt z religią. Pękła szyba i blondas zarobił parę odprysków w krostowatą gębę.

Ronnie i Syd wiązali obu bandziorów, podczas gdy Rawlings włókł blondasa do pokoju. Parę minut później blondynek, podtrzymywany za nogi przez Ronnie'ego i w pasie przez Syda, wystawał na zewnątrz z widokowego okna na ósmym piętrze.

- Widzisz ten parking poniżej? - Rawlings zadał mu pytanie.

Mimo ciemności zimowej nocy, facet zdołał dostrzec odblask latarni na samochodach hen w dole. Kiwnął głową.

- No więc za kwadrans ten parking zaroi się od gapiów. Dookoła plastikowej płachty. Zgadnij kto będzie pod nią leżał, rozkwaszony na miazgę?...

Blondas, zdając sobie sprawę, że spodziewaną długość jego życia liczy się już tylko w sekundach, krzyknął z dołu: - Dobra, będę śpiewał.

Wciągnęli go i usadzili na krześle.

Próbował się przymilać.

- Słuchaj, łaskawco, znasz reguły gry. Wynajęli mnie, nagrali robotę. Miałem odzyskać, co ktoś podprowadził.

- Starszy gość w Golders Green - rzucił Rawlings.

- No... owszem, z niego wyszło, że ty to masz, dlategośmy przyszli.

- To był mój kumpel. Nie żyje.

- Łaskawco, tak mi przykro. Nie wiedziałem, że niedomaga na serce. Chłopaki stuknęli go może ze dwa razy.

- Łzesz, padalcu. Roznieśli mu szczęką po całej chałupie i złamali żebra.

Czego szukacie?

Blondas mu powiedział.

- Co? - pytał Rawlings z niedowierzaniem.

Blondas powtórzył.

- Nie pytaj, łaskawco. Płacą mi żeby znaleźć. Albo chociaż doszedł, co się z tym stało.

- No cóż - stwierdził Rawlings. - Noszę się z zamiarem wstawienia ciebie i twoich kumpli do Tamizy jeszcze przed świtem, w eleganckich betonowych gatkach.

Tyle, że nie potrzebuję rozróby. Dlatego was puszcze. Powiedz zleceniodawcy, że była pusta. Kompletnie pusta. Spaliłem ją... na popiół. Nic nie zostało. Chyba nie myślisz, że trzymałbym trefną pamiątkę wykonanej roboty? Jeszcze na tyle nie zdurniałem. A teraz wynoś się.

Przy drzwiach Rawlings zawrócił Ronnie'ego na dwa słowa.

- Odprowadźcie ich na drugi brzeg. I zrobisz tej gnidzie prezent ode mnie, za staruszka, dobra?

Ronnie kiwnął głową. Parę minut później, na parkingu, bandzior, który bardziej ucierpiał, wylądował z tyłu swojej furgonetki, w dalszym ciągu związany.

Drugi, półprzytomny, znalazł się za kierownicą i musiał prowadzić. Blondasa cisnęli na przednie siedzenie z połamanymi rękami na kolanach. Ronnie i Syd eskortowali ich do mostu Waterloo, następnie zawrócili do domu.

Jim Rawlings nie mógł wyjść ze zdumienia. Zaparzył sobie filiżankę kawy i usiadł, żeby sprawę przemyśleć.

Rzeczywiście miał zamiar spalić walizkową aktówkę gdzieś w gruzach. Ale ona była tak pięknie ręcznie wykonana i wykończona, gładko wypolerowana skóra lśniła metalicznie w płomieniach ogniska. Obejrzał ją dokładnie w poszukiwaniu jakiegoś napisu czy oznakowania. Niczego nie dostrzegł. Wbrew rozsądkowi i ostrzeżeniom Zablonsky'ego postanowił aktówkę zatrzymać.

Poszedł do pawlacza i zdjął ją stamtąd. Tym razem zabrał się do oględzin jak zawodowy włamywacz. Dziesięć minut zajęło mu znalezienie ozdobnej główki od ćwieka na spodzie, od strony zawiasów, która przesunęła się pod silnym naciskiem kciuka. Z wnętrza walizki dobiegł cichy trzask. Po otwarciu okazało się, że jedna ścianka odstaje na pół cala. Podważył ją nożem do papieru i zajrzał do środka płaskiej skrytki za fałszywą ścianką. Obcęgami wyciągnął znajdujące się tam dziesięć arkuszy papieru.

Rawlings nie znał się kompletnie na dokumentach rządowych, lecz potrafił

odczytać i pojąć sygnaturę Ministerstwa Obrony, zaś słowa "Top Secret" zrozumiałe są w każdym języku. Opadł na krzesło i cicho gwizdnął.

Rawlings był włamywaczem i złodziejem, lecz podobnie jak większość przedstawicieli londyńskiego świata przestępczego, ani myślał pozwolić, by ktoś

“fajdał na jego kraj”. Wiadomo, że więźniowie odsiadujące wyroki za zdradę, podobnie jak gwałciciele nieletnich, muszą być trzymani osobno, ponieważ

“zawodowcy”, znalazłszy się w towarzystwie takiego osobnika, zdolni są trwale go uszkodzić.

Rawlings wiedział, czyje mieszkanie obrobił, lecz jak dotychczas włamania nie zgłoszono i podejrzewał, że z powodów, których dopiero zaczął się domyślać, sprawa nigdy nie wyjdzie na jaw. Dlatego nie zamierzał robić wokół niej szumu. Z

drugiej strony, po śmierci Zabłonsky'ego, diamenty prawdopodobnie diabli wzięli, razem z jego działką od ich wartości. Poczł przyłył nienawiści do właściciela mieszkania.

Zdążył dotknąć pliku papierów bez rękawiczek, a wiedział, że w rejestrze znajdują się jego odciski palców. Nie śmiał się ujawniać, dlatego zmuszony był

przetrzeć arkusze gałgankiem, ścierając jednocześnie odciski palców zdrajcy.

Tej samej niedzieli po południu wrzucił zwykłą, brązową kopertę - solidnie zaklejoną i z nadmiarem znaczków - do skrzynki w Elephant And Castle. Listy wybierano dopiero w poniedziałek rano i przesyłka miała dotrzeć do adresata nie wcześniej niż we wtorek.

Tego dnia, dwudziestego stycznia, brygadier Bertie Capstick zadzwonił do Johna Prestona na Gordon Street. Jego głos wcale nie brzmiał dobroduszenie.

- Johnny, pamiętasz naszą rozmowę sprzed paru dni? Że jak wyskoczy jakaś afera... No i wyskoczyła. Nie idzie o fundusz gwiazdkowy. To grubsza sprawa, Johnny. Ktoś mi przysłał pocztą jedną rzecz. Nie, nie bombę, chociaż to może rąbnąć jeszcze gorzej. Wygląda na to, Johnny, że mamy tu przeciek. I to na samej górze. To znaczy, że sprawa jest w gestii twojego wydziału. Myślę, że powinieneś wpaść i rzucić na to okiem.

Tego samego ranka, pod nieobecność właściciela, lecz na jego wezwanie, dwóch robotników przy pomocy otrzymanych kluczy dostało się do mieszkania na ósmym piętrze w Fontenoy House. W ciągu dnia rozkuli ścianę, wyjęli uszkodzony sejf typu Hamber i zastąpili go identycznym modelem. Do wieczora zdążyli załatać ścianę i przywrócić jej powierzchni poprzedni wygląd. Następnie opuścili budynek.

5

Dopiero w poniedziałek, dziewiętnastego stycznia, kiedy chłopcy wrócili ze szkoły, a Erita wyszła po zakupy, Harold Philby mógł zabrać się do opracowywania ostatecznej wersji dalszego ciągu raportu sekretarza generalnego. Nie dostał

potwierdzenia odbioru pierwszej części ani żadnych informacji co do oceny, z jaką się spotkała. Wszystko zależało teraz od rewelacji zamieszczonych w drugim opracowaniu, które miały przekonać

radzieckiego przywódcę do opinii autora. H. A.

R. Philby Do Sekretarza Generalnego KC KPZR

Przedstawiam drugą i ostatnią część mojego opracowania, sporządzanego na Waszą prośbę wyrażoną ostatniego dnia ubiegłego roku.

Siódmego maja 1981 roku miliony londyńczyków udały się do urn, wybierając nowy skład Rady Miejskiej. Na czele Rady stała wówczas grupa konserwatystów, której przewodniczył sir Horace Cutler. Grupa kandydatów z ramienia Partii Pracy stanęła do wyborów pod przywództwem Andrew McIntosha, cieszącego się wielką popularnością polityka tradycyjnego labourzysty-centrysty. Po zamknięciu lokali wyborczych i podliczeniu głosów okazało się, że Partia Pracy wygrała. McIntosh został nowym przewodniczącym Rady Miejskiej.

W ciągu szesnastu godzin - nie dni czy tygodni, lecz godzin - Andrew McIntosh został pozbawiony kierowniczej funkcji na odbytym przy zamkniętych drzwiach zebraniu wewnętrznego komitetu grupy labourzystowskiej i zastąpiony przez działacza o daleko bardziej lewicowych poglądach, Kena Livingstone'a, o którym dotąd słyszało może z pięć procent londyńczyków. Nastąpił prawdziwie mistrzowski zamach stanu, z którego sam Lenin byłby dumny. Okres poprzedzających tę operację przygotowań nie był jednak mierzony w godzinach - długie tygodnie i miesiące zajęło utworzenie sojuszu dzielnicowych delegatów z ramienia radykalnej lewicy, którzy minimalną większością głosów usunęli McIntosha, co w dużym stopniu zawdzięczać należy samemu Livingstone'owi.

Ów niepozorny, trudny do zapamiętania, niski człowiek, o nosowym głosie, okazał się wytrawnym politykiem orientacji skrajnolewicowej. Livingstone został

robotnikiem w wieku kilkunastu lat i całe życie pracował, mieszkał w ciasnym małym mieszkanku (aż do chwili kiedy został wybrany przewodniczącym Rady). Pozbawiony jest rodziny, życia towarzyskiego czy rozrywek - polityka to jego pasja, której oddaje się bez reszty przez cały czas. Nie ma takiego zebrania, z pozoru mało ważnego, na które by nie przybył. Jest zawsze obecny, popiera, przemawia, szuka najmniejszej okazji, by zrobić komuś przysługę, lub przekonać nowego delegata, co zaowocuje w przyszłości.

W rezultacie, wykorzystując swoją bazę w Radzie jako odskocznię, w pięć lat zdołał stworzyć własną machinę polityczną skrajnej lewicy, która obecnie rozciąga się na cały kraj, sięgając daleko poza Londyn. Jako deputowany do Parlamentu, zasiadający tam od roku, skutecznie wyparł Anthony'ego Wedgwood Benna.

Błyskotliwie rozgrywając sytuację w kierownictwie Komitetu, stał się czołową postacią w procesie przejmowania kontroli nad brytyjską Partią Pracy przez radykalną lewicę.

Przypominam te fakty, ponieważ zamach stanu dokonany przez Livingstone'a stanowi model, na którym opiera się plan ostatecznego przejęcia przez lewicę władzy nad całą Partią Pracy, co ma się dokonać w parę dni po zwycięstwie wyborczym, zamiast przed wyborami. Zaś określenie "zamach stanu" nie jest tu przesadą. Miasto Londyn liczy ponad jedenaście milionów mieszkańców, dwadzieścia procent brytyjskiej populacji i dorównuje wielkością takim mini-państwom jak

Lichtenstein albo Luksemburg, a jego budżet przewyższa budżety osiemdziesięciu państw spośród stu pięćdziesięciu należących do ONZ.

Przejdźmy do szczegółów. W obrębie elity radykalnej lewicy Partii Pracy i związków zawodowych istnieje dwudziestoosobowa grupa, którą można nazwać reprezentacją ultralewicowego skrzydła.

Nie można jej traktować jak komitetu, ponieważ poza prywatnymi kontaktami rzadko lub nawet w ogóle nie spotykali się publicznie w jednym miejscu. Każdy z nich spędził życie na mozolnej wspinaczce do góry po szczeblach aparatu, każdy stworzył sobie możliwości manipulacji sięgające daleko poza zakres władzy wynikający z pełnionego stanowiska. Wszyscy są "ideowcami" oddanymi sprawie marksizmu-leninizmu.

Ogółem jest ich dwadzieścioro: dziewiętnastu mężczyzn i jedna kobieta.

Dziwiewięciu działa w związkach, sześcioro (łącznie z kobietą) zasiada w Parlamencie z ramienia Partii Pracy, plus dwóch naukowców, jeden szlachcic, prawnik i wydawca.

Oni właśnie dokonają zamachu.

Zanim wyjawię ich konkretne zamierzenia, muszę jednak poczynić ostatnią dygresję, żeby wyjaśnić, w jaki sposób dokonuje się wyboru lidera Partii Pracy i jak go można obalić przy pomocy niedawno znowelizowanych zasad statutu. Od chwili wprowadzenia Kolegium Elektorskiego w roku 1980, aż do ubiegłego roku, utrzymywano zasadę, że po wyborach, lista kandydatów na stanowisko przywódcy Partii zostaje zamknięta w trzydzieści dni po złożeniu przysięgi przez członków Parlamentu.

Wówczas, w ciągu trzech miesięcy konkurujący kandydaci mogą zgłaszać swoje pretensje, aż zbierze się Kolegium Elektorskie. W przypadku zwycięstwa labourzystów, procedura ta nigdy nie działałaby na korzyść kandydata, który chce obalić nowo wybranego, triumfującego przywódcę.

Lecz w 1986 zaproponowana została maleńka "poprawka" i przeszła dosłownie o włos. Według tej nowej zasady, nowo mianowany triumfujący premier z ramienia Partii Pracy musi zostać zatwierdzony jako przywódca - szybko i skutecznie

- za pomocą następujących środków: bez względu na porę roku, w jakiej odbywają się wybory powszechne, w razie zwycięstwa Partii Pracy, wszelkie kandydaty na stanowisko przywódcy partii muszą być złożone w ciągu trzech dni od daty ogłoszenia wyników wyborów. Wówczas odbywa się nadzwyczajne zebranie Kolegium Elektorów, najpóźniej w tydzień od ogłoszenia wyników głosowania.

Po "wyborze" przywódcy Partii Pracy w trakcie posiedzenia Kolegium Elektorskiego, na dwa lata zawieszona zostaje prawo do ubiegania się o to stanowisko i tym samym następuje odroczenie otwartego sporu. Tym, którzy wahali się, z udzieleniem poparcia dla owej poprawki wykazano, że cała procedura stanowi zwykłą formalność: zwycięski przywódca partii, oczekujący zaproszenia do Pałacu Buckingham w celu przyjęcia z rąk królowej obowiązku sformowania nowego rządu, zostanie z łatwością zaaprobowany bez głosów sprzeciwu. Zapewniono niedowiarków, że to przecież niemożliwe, by ktokolwiek rywalizował ze zwycięzcą.

W istocie zamierzenia są wręcz odwrotne. Tuż po zwycięstwie Partii Pracy w wyborach, zanim triumfujący przywódca otrzyma zaproszenie do pałacu, na nadzwyczajnym zebraniu Kolegium Elektorskiego zostanie mianowany kontrkandydat. Będzie nim uzgodniony wcześniej kandydat radykalnej lewicy, który zostanie pierwszym premierem Wielkiej Brytanii oddanym sprawie marksizmu-leninizmu.

Wywoła to oburzenie w całej partii i w kraju. Lecz tylko jedna ze stron będzie w pełni przygotowana do walki. Ostateczny przywódca partii będzie miał do czynienia z elementami centrowymi i umiarkowanymi w stanie kompletnej dezorientacji. Radykalna lewica użyje wszelkich chwytów, by zapewnić trwałą wybór wiadomego kandydata - i zwycięży.

To pierwsze, związki zawodowe. Niektóre związki, zanim oddadzą głos w Kolegium Elektorów, zobowiązane są do zasięgania opinii szeregowych członków w ankiecie rozsyłanej pocztą. Inne znów - poprzez zebrania branżowe, jeszcze inne na krajowym zjeździe delegatów. Lecz w ciągu czterech dni konsultacja jest niemożliwa do przeprowadzenia. Zarządy krajowe będą zmuszone oddać głos w imieniu wszystkich członków bez jakiegokolwiek konsultacji, zaś jak już wykazałem uprzednio, w zarządach zasiadają głównie przedstawiciele radykalnej lewicy.

Po drugie okręgi wyborcze. Oblicza się, że połowa będzie głosować na nowego kandydata; kampania wspomagana będzie wypuszczeniem fałszywego listu, napisanego rzekomo przez przywódcę partii do działaczy na szczeblu terenowym. W

liście tym nowy przywódca wyrazi wolę zerwania ze starą metodą, zgodnie z którą prawo głosu przy wyborze lidera przypada wyłącznie reprezentantom partii w Parlamencie, z pominięciem okręgów wyborczych.

Wreszcie - frakcja partii w łonie Parlamentu. Ponieważ nowo wybrani deputowani, w tym znaczna liczba ludzi radykalnej lewicy, zdają sobie sprawę, że swe fotele zawdzięczają zarządom w okręgach wyborczych, oblicza się, że co najmniej połowa poprze nowego przywódcę, nie mając żadnych zobowiązań wobec poprzedniego. Przewaga ze strony związków przechyli szalę na rzecz nowego lidera.

Do niedawna istniała poważna wątpliwość dotycząca powyższych planów. Jak zareaguje Korona? W wyniku głębokich przemyśleń, uzyskano odpowiedź, do której osobiście się przychyliam: reakcja nie nastąpi. Z dwóch powodów. Po pierwsze -

precedens. Kiedy w kwietniu 1976 roku Harold Wilson złożył dymisję z urzędu, królowa zmuszona była odczekać dwa tygodnie, zanim poznała swego nowego premiera, by móc go zaprosić do pałacu Buckingham na ceremonię całowania rąk. W

naszym przypadku oczekiwanie wyniesie dziesięć dni. Po drugie - konstytucja.

Ponieważ Korona, jako strażnik (niepisanej) konstytucji brytyjskiej nie zgłosiła zastrzeżeń odnośnie kolejnych reform statutu Partii Pracy podczas ich wprowadzania, królewscy doradcy będą zmuszeni zauważyć, że krytyka statutu partii w momencie, kiedy trzeba wcielać jego postanowienia w życie, zostanie uznana za wyraźnie tendencyjną. Do tego stopnia, że może nawet spowodować kryzys

monarchii.

W ten sposób nowy przywódca partii i zarazem premier otrzyma carte blanche i z poparciem gabinetu dobranego według swego uznania natychmiast rozpocznie realizację nowych zamierzeń legislacyjnych. Krótko mówiąc, ludność odda swe głosy na rząd pozornie utrzymujący się w tradycji nieradykalnej lewicy bądź reformizmu, natomiast okaże się, że władzę objął reżim radykalnolewicowy i to bez przykrojonej konieczności stawiania do wyborów.

Jeśli chodzi o program zamierzeń legislacyjnych, o którym wspomniałem, obejmuje on dwadzieścia niezbędnych posunięć, ze zrozumiałych względów nie spisanych dotąd na papierze. Niektóre z tych posunięć już w chwili obecnej stanowią integralną część manifestu programowego Partii Pracy, inne zostały uwzględnione w łagodniejszej formie, jeszcze inne zgłaszano na poprzednich Konferencjach Partii Pracy, lecz nie zatwierdzono ich ostatecznie, choć przez ostatnie dziesięć lat stopniowo rosła liczba głosów poparcia. Wszystkie pozostałe zamierzenia były w różnych momentach zgłaszane przez radykalnolewicowe skrzydło Partii Pracy, na przestrzeni ostatniego dwudziestolecia.

Dwudziestopunktowy plan znany jest pod nazwą Manifestu Brytyjskiej Rewolucji, w skrócie MBR. Poniżej wymieniam pełne dwadzieścia propozycji, wraz z objaśnieniami w celu wyjaśnienia istoty kryjących się za nimi zamierzeń. Łatwo zauważyć, iż pierwsze piętnaście posunięć dotyczy brytyjskich spraw wewnętrznych i nie ma bezpośredniego odniesienia do polityki radzieckiej, choć nie sposób pominąć znaczenia społecznego chaosu i ekonomicznej zagłady Wielkiej Brytanii. Za to ostatnie pięć punktów w znacznym stopniu dotyczy Związku Radzieckiego, gdyż stanowi zapowiedź niepomiernych korzyści politycznych. Oto plan MBR: 1. Całkowita likwidacja sektora prywatnego w służbie zdrowia. Wszystkie prywatne kliniki i szpitale, wraz z zapleczem, wyposażeniem oraz personelem zostają przejęte przez państwo, przy ewentualnym wypłaceniu odszkodowań, w formie i trybie które zostaną ustalone odrębnie.

2. Całkowita likwidacja sektora prywatnego w szkolnictwie. Szkoły wszelkiego typu - budynki wraz z przyległym terenem, wyposażenie i sprzęt - zostają wchłonięte przez sektor państwowy, znów z możliwością odszkodowań w trybie i formie jak wyżej.

3. Nacjonalizacja czterech głównych banków emisyjnych oraz dwudziestu czołowych banków komercyjnych, z jednoczesną regulacją prawną, która zakłada objęcie upaństwowieniem również innych banków, jeśli rozrosną się one do odpowiedniej wielkości. Zakaz przekazywania funduszy i depozytów z banków sektora publicznego do banków prywatnych.

4. Nacjonalizacja pięciuset wiodących przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, pozostających obecnie w sektorze prywatnym. Odszkodowanie zależeć będzie od wartości kapitału akcyjnego w trzy miesiące od upaństwowienia, zaś jego wypłata nastąpi w postaci dziesięcioletnich obligacji skarbu państwa.

5. Natychmiastowe rozwiązanie Izby Lordów wraz z jej prawem weta w procesie ustawodawczym. Postulat ten Partia Pracy uwzględnia w swym programie już od kilku lat, łącznie z klauzulą o zniesieniu weta. Na szczęście większość Brytyjczyków nie dostrzega haczyka zawartego w tym sformułowaniu. W

rzeczywistości Izba Lordów jest zdolna jedynie opóźnić proces legislacyjny zobowiązując Izbę Gmin do poprawienia lub ponownego przedyskutowania projektu ustawy. Zachowuje istotne prawo weta w jednym tylko przypadku. Zgodnie z paragrafem drugim Ustawy Parlamentarnej z roku 1911, Lordowie utracili prawo weta we wszystkich przypadkach z wyjątkiem sytuacji, kiedy Izba Gmin chce przedłużyć swoją kadencję z własnej inicjatywy. Dlatego też zniesienie powyższych uprawnień ma dla naszych brytyjskich przyjaciół kluczowe znaczenie. Rewolucja w Wielkiej Brytanii nie może przecież zostać zatrzymana lub odwrócona na skutek kaprysu wyborców. W związku z tym, nie wolno dopuścić do kolejnych wyborów powszechnych, co zostanie łatwo zagwarantowane przyjęciem Ustawy o Nadzwyczajnych uprawnieniach, która umożliwi wydłużanie kadencji w nieskończoność.

6. Utworzenie Narodowego Komitetu Nadzoru Publikacji. Komitet będzie miał swoją siedzibę w stolicy oraz delegatury w każdym wydawnictwie i redakcji w terenie. W skład terenowych Komitetów Nadzoru wejdzie jeden przedstawiciel redakcji, jeden członek związku drukarzy i jeden delegat lokalny, mianowany przez Centralne Biuro. Decyzje na temat tego, co powinno być drukowane, zależeć będą od zwykłej większości głosów w ramach trzyosobowego gremium. Wydawca będzie uczestniczył w jego posiedzeniach jako obserwator.

7. Powołanie nowej Krajowej Rady do spraw Radia i Telewizji, która zastąpi Komisję zarządzającą BBC, Kartę BBC, oraz Niezależną Radę Programów Radia i Telewizji. Rada będzie upoważniona do doboru treści wszystkich programów, a także selekcji osób zatrudnionych w redakcjach radiowych i telewizyjnych.

8. Stworzenie Krajowej Rady do spraw reformy sądownictwa, rzekomo w celu usprawnienia uciążliwej i opieszalej procedury prawnej, zaś naprawdę w celu usunięcia niewygodnych sędziów, powołania ich następców, skrócenia bądź

wyeliminowania znacznej części procedury odwoławczej, oraz wprowadzenia zasady tajności rozpraw o wykroczenia przeciwko porządkowi publicznemu i o działania antyspołeczne.

9. Powołanie Krajowej Rady Nadzoru Szkolnictwa z uprawnieniami weta wobec wszelkich decyzji o zatrudnieniu wykładowców, nauczycieli i dyrektorów szkół, oraz z zadaniem dokonania rewizji programów nauczania, by zapewnić szerszy zakres socjalistycznych treści w programach szkół wszystkich typów.

10. Przeprowadzenie Ustawy o Związkach Zawodowych (obejmujących także wojsko i policję), która wymaga obowiązkowej przynależności związkowej od wszystkich funkcjonariuszy policji i żołnierzy, oraz ustanawia dopuszczalność pełnienia funkcji organizatorów i instruktorów związkowych przez osoby cywilne. W

sytuacji monopolu związkowego jest rzeczą oczywistą, że wydalenie ze związku wymaga jednoczesnego złożenia rezygnacji z dalszej służby.

11. Przeprowadzenie Ustawy o Uprawnieniach Policji. Podporządkuje ona wszystkie siły policyjne lokalnej instytucji nadzorującej, utworzonej spośród postępowych elementów w terenowej administracji i ruchu zawodowym. Instytucja nadzorująca będzie uprawniona do mianowania oficerów policji od komendanta aż do stopnia sierżanta, oraz posiadać będzie głos decydujący przy

określaniu strategii i taktyki pracy policji lokalnej.

12. Przeprowadzenie Ustawy o Porządku Publicznym (Ochronie Obywateli), która przewiduje przede wszystkim powołanie milicji robotniczej, mającej zastąpić lokalne siły porządkowe. Milicja będzie wspomagać miejscową policję w zakresie utrzymania porządku publicznego, a przede wszystkim zapewniać bezpieczeństwo demonstracjom pro rządowym oraz rozwijać elementy antyspołeczne, głoszące odmienne poglądy.

13. Przywrócenie Ustawy o Kontroli Wymiany Walut, co mówi samo za siebie. Nie da się uniknąć konieczności całkowitego zakazu wywożenia z kraju wszelkich funduszy i majątku.

14. Przeprowadzenie Ustawy o Rejestracji Własności Prywatnej, która wymaga zgłaszania wszelkich dóbr: posiadłości ziemskich, obrazów, biżuterii, przedmiotów wartościowych, akcji, udziałów, depozytów, środków lokomocji, funduszy emerytalnych, budynków itd. w celu ich opodatkowania bądź

natychmiastowej nacjonalizacji.

15. Przeprowadzenie Ustawy o Dopuszczalnych Kierunkach Inwestowania, wymagającej rejestracji wszelkich funduszy, jakimi dysponują przedsiębiorstwa w rodzaju towarzystw ubezpieczeniowych. Chodzi o to, by przyszłe inwestycje ukierunkować zgodnie z zamierzeniami rządu, poprzez obowiązkowe opiniowanie projektów u ekspertów rządowych.

16. Natychmiastowe wystąpienie z EWG, bez względu na istniejące zobowiązania traktatowe.

17. Bezwzględna redukcja wszystkich konwencjonalnych sił zbrojnych Wielkiej Brytanii do jednej piątej obecnego stanu.

18. Natychmiastowe wycofanie i zniszczenie w całości brytyjskiego arsenału atomowego, oraz rozwiązanie obydwu Instytutów Badania Broni Eksperymentalnej w Harwell i Aldermaston.

19. Niezwłoczne wydalenie z Wielkiej Brytanii wszystkich jednostek armii Stanów Zjednoczonych: sił konwencjonalnych i nuklearnych, wszystkich żołnierzy oraz sprzętu.

20. Natychmiastowe wystąpienie z NATO z jednoczesnym wypowiedzeniem układu.

Nie ma potrzeby podkreślać, Towarzyszu Sekretarzu Generalny, że realizacja ostatnich pięciu propozycji zniweczy system obronny zachodniego sojuszu na długie lata, jeśli nie na zawsze. Oczywiście wszystko, co przedstawiłem i omówiłem w obydwu raportach, zależy od pełnej realizacji zamierzeń w następstwie zwycięstwa Partii Pracy, dla którego następne wybory, przewidziane na początek 1988 roku, mogą stanowić ostatnią okazję. Właśnie powyższe sprawy miałem na myśli wygłaszając na kolacji u Generała Kriuczkowa uwagę, iż stabilność polityczna Wielkiej Brytanii jest przez Moskwę nieustannie przeceniana, zwłaszcza w ostatnim okresie. Z poważaniem Harold Adrian Russell Philby

Odpowiedź sekretarza generalnego na drugie i zarazem ostatnie pismo nadeszła zaskakująco szybko, ku zadowoleniu autora. W niecały dzień po tym, jak Philby złożył swoje opracowanie na ręce majora

Pawłowa, młody oficer z Dziewiątego Zarządu, o zimnym, nieprzeniknionym spojrzeniu, zjawił się ponownie.

Trzymał w ręku szarą kopertę, którą wręczył Philby'emu bez słowa, robiąc w tył zwrot.

Był to jeszcze jeden pisany odręcznie list od sekretarza generalnego - osobisty, choć krótki i rzeczowy jak zwykle.

Przywódca radziecki dziękował w nim swemu przyjacielowi Philby'emu za włożony w przygotowanie opracowań wysiłek. Osobiście potwierdzał, iż treści zawarte w obu raportach znakomicie odpowiadają prawdzie. W konsekwencji wyrażał

pogląd, że sprawa zwycięstwa Partii Pracy w najbliższych wyborach powszechnych zyskuje rangę najwyższego priorytetu dla ZSRR. Powołał w związku z tym mały komitet doradczy, odpowiadający wyłącznie przed nim samym, z którym konsultować będzie przebieg dalszych wydarzeń. Życzył sobie i polecał Haroldowi Philby'emu by wziął czynny udział w pracach komisji.

6

Preston siedział w biurze bardzo zmartwionego Bertiego Capsticka i uważnie czytał dziesięć arkuszy fotokopii rozłożonych na biurku.

- Ilu ludzi dotykało tej koperty? - zainteresował się.

- Listonosz, oczywiście. Bóg raczy wiedzieć, ilu pracowników w rozdzielni poczty. Pracownicy biur na parterze tego budynku, goniec przynoszący poranną pocztę i ja sam. Nie sądzę, żebyś miał dużo pociechy z tej koperty.

- A papierów w kopercie?

- Nikt oprócz mnie, Johnny. Oczywiście, nie wiedziałem co to za papiery, dopóki ich nie wyciągnąłem z koperty.

Preston zamyślił się przez chwilę. - Poza odciskami palców osoby, która je wysłała, mogą na nich być, jak przypuszczam, odciski palców osoby, która je zabrała.

Będę musiał poprosić Scotland Yard o sprawdzenie odcisków, chociaż osobiście nie wiąże z tym dużo nadziei. Jeżeli chodzi o zawartość, to wygląda mi to na materiały dostępne tylko na wysokich szczeblach.

- Na najwyższych - powiedział Capstick ponuro. - Cały materiał jest super tajny. Część dotyczy naszych sojuszników z NATO; alternatywne plany NATO

dotyczące obrony przed ewentualnymi zagrożeniami ze strony radzieckiej.

- W porządku - zgodził się Preston - prześledźmy wszystkie możliwości.

Uzbrój się w cierpliwość. Przypuśćmy, że papiery zostały odesłane przez lojalnego obywatela, który, z takich czy innych powodów, nie chciał ujawnić swojej tożsamości.

To się zdarza; ludzie nie chcą być w nic zamieszani. Gdzie taka osoba mogła je znaleźć? W dyplomatce pozostawionej w szatni, w restauracji lub jakimś klubie?

Capstick pokręcił przecząco głową.

- Nie w sposób legalny, Johnny. Ten materiał pod żadnym pozorem nie powinien opuścić naszego budynku, chyba, że w zalakowanym worku przeznaczonym dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych lub gabinetu premiera. Nikt nie meldował, o żadnych próbach manipulowania przy workach z pocztą Kancelarii. Ponadto, gdyby papiery opuściły budynek legalnie, widniałaby na nich odpowiednia adnotacja o miejscu przeznaczenia. Ci, którzy nawet od niedawna mają dostęp do takich materiałów, znają przepisy. Nikomu, ale to nikomu, nie wolno zabierać takich materiałów do przestudiowania w domu. Czy taka odpowiedź ci wystarczy?

- W zupełności - powiedział Preston. - Materiał został nadesłany spoza Ministerstwa, więc musiał być zabrany nielegalnie. Poważne niedopatrzenie, czy zamierzone usiłowanie przecieku?

- Spójrz na daty sporządzenia tych papierów - zauważył Capstick. - Dziesięć arkuszy pokrywa cały miesiąc. Nie ma mowy, żeby wszystkie razem znalazły się na czyimś biurku w ciągu jednego dnia. Ktoś musiał je zbierać przez pewien czas.

Preston ujął papiery przez chusteczkę do nosa i wsunął je delikatnie do koperty, w której zostały nadesłane. - Będę musiał je zabrać na Charles Street, Bertie.

- Mogę skorzystać z twojego telefonu?

Zatelefonował na Charles Street i poprosił o bezpośrednie połączenie z biurem Sir Bernarda Hemmingsa; dyrektor generalny był u siebie i po chwili zwłoki, jak również nalegania ze strony Prestona, odebrał telefon osobiście. Preston poprosił o spotkanie w cztery oczy za kilka minut i dostał na to zgodę. Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Capsticka.

- Bertie, na razie nic nie rób i nic nikomu nie mów. Zachowuj się tak jak w każdy normalny dzień pracy - oznajmił Preston. - Będę z tobą w kontakcie.

Opuszczenie ministerstwa z dokumentami bez eskorty nie wchodziło w rachubę. Capstick dał mu do ochrony jednego z komisarzy z hallu frontowego, krzepkiego byłego gwardzistę.

Preston opuścił ministerstwo z dokumentami w dyplomatce i wziął taksówkę do Clarges Apartments; patrzył jak taksówka odjeżdżała wzdłuż ulicy nim ruszył, by piechotą pokonać ostatnie dwieście jardów wzdłuż Clarges Street do Charles Street i swojego głównego biura, gdzie mógł zwolnić eskortę. Sir Bernard przyjął go w dziesięć minut później.

Stary łowca szpiegów miał zszarzałą twarz, jak człowiek cierpiący często silne bóle, co było zgodne

z prawdą. Choroba która go toczyła, nie dawała się dostrzec postronnemu obserwatorowi, ale wyniki badań nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości. Lekarze dawali mu jeszcze rok życia i nie podejmowali się operacji. Od pierwszego września miał przejść na emeryturę, a wliczając w to prawo do wykorzystania ostatniego urlopu, mógł odejść już w połowie lipca, sześć tygodni przed swymi sześćdziesiątymi urodzinami.

Gdyby nie osobiste obowiązki, które spoczywały na nim, odszedłby już wcześniej. Miał drugą żonę i pasierbicę, za którą ten bezdietny mężczyzna świata nie widział. Dziewczynka chodziła jeszcze do szkoły. Wcześniejsze odejście oznaczało poważnie okrojona emeryturę, co postawiłoby wdowę i dziewczynkę w trudnej sytuacji materialnej. Mądrze czy nie, starał się dociągnąć do ustawowej daty przejścia w stan spoczynku, żeby otrzymać emeryturę w pełnym wymiarze. Przepracował całe życie w tej instytucji a nie miał żadnych innych zasobów, które mógłby pozostawić rodzinie.

Preston krótko i zwięźle wytłumaczył mu co się wydarzyło tego ranka w Ministerstwie Obrony; przedstawił również opinię Capsticka, którego zdaniem dokumenty mogły wydostać się z Ministerstwa tylko w wyniku działania z premedytacją.

- O mój Boże, jeszcze jeden - wymamrotał sir Bernard. Mimo upływu lat nadal napełniało go goryczą wspomnienie sprawy Vassalla i Prim'ea, jak również kwaśna reakcja Amerykanów, kiedy ich powiadomiono o całej sprawie. - No więc, John, od czego chcesz zacząć?

- Powiedziałem Capstickowi, żeby na razie siedział cicho - powiedział

Preston. - Jeżeli w ministerstwie jest zdrajca, to pozostaje jeszcze inna zagadka. Kto nam odesłał dokumenty? Przechodzień, przypadkowy złodziejaszek, żona dręczona wyrzutami sumienia? Nie wiemy. Gdybyśmy odszukali tę osobę, moglibyśmy się dowiedzieć skąd mieli te papiery, co poważnie zawęziłoby dochodzenie. Nie wiążę zbytniej nadziei z kopertą - zwykły brązowy papier, takie koperty można dostać w tysiącach punktów sprzedaży, zwykłe stemple, adres wypisany drukowanymi literami pisakiem; dotyczyło jej mnóstwo anonimowych ludzi. Ale papiery wewnątrz koperty mogły zachować na sobie odciski palców. Chciałbym, żeby Scotland Yard sprawdził

wszystkie kartki, oczywiście, pod kontrolą. Po sprawdzeniu zastanowimy się nad dalszym postępowaniem.

- Prawidłowe rozumowanie. Zajmiesz się tą stroną sprawy - polecił sir Bernard. - Będę musiał powiadomić Tonny'ego Plumba i, może, Perry'ego Jonesa.

Postaram się z nimi spotkać podczas lunchu. Zależy to, oczywiście, od tego co sądzi Perry Jones, ale musimy zestawić skład JIC do rozpatrzenia tej sprawy. Prowadź

sprawę dalej od twojego końca, John, i bądź ze mną w kontakcie. Jeżeli Scotland Yard coś znajdzie, chcę o tym wiedzieć.

Scotland Yard chętnie zgodził się pomóc i dał Prestonowi do dyspozycji jednego z najlepszych techników laboratoryjnych. Preston stał obok cywila, który dokładnie pokrywał proszkiem każdą kartkę osobno. Mężczyzna nie mógł nie zauważyć nagłówka "Ścisłe tajne" na każdym arkuszu.

- Ktoś był niegrzeczny w Whitehall? - spytał żartobliwie.

Preston zaprzeczył ruchem głowy.

- Raczej głupi i leniwy - skłamał. - Cały ten klops powinien znaleźć się w szatkownicy, a nie w koszu na śmieci. Urzędnik odpowiedzialny za to dostanie porządnie po łapach, jeżeli tylko odkryjemy, czyje to łapy.

Technik stracił zainteresowanie. Kiedy skończył, pokręcił przecząco głową.

- Nic tu nie ma - stwierdził - czyste jak łąza. Jedno jest pewne. Dokumenty zostały wytarte. Oczywiście jest jedna para wyraźnych odcisków, pewnie pańskich.

Preston skinął głową. Nikt nie musiał wiedzieć, że te odciski należały do brygadiera Capsticka.

- Należy na to zwrócić uwagę - podkreślił technik. - Ten rodzaj papieru świetnie przyjmuje i zachowuje odciski palców przez tygodnie, może miesiące.

Powinna tu być przynajmniej jeszcze jedna para odcisków, może więcej. Na przykład odciski urzędnika, który dotykał dokumentów przed panem. Ale nie ma tu nic więcej.

Przed wyrzuceniem do kosza na śmieci dokumenty wytarł ktoś kawałkiem materiału.

Widać ślady włókna, ale żadnych linii papilarnych. Przykro mi.

Preston nie facygował się, żeby pokazać mu kopertę. Ktokolwiek wytarł kartki, nie pozostawiłby odcisków na kopercie. Co więcej, koperta zadałaby kłam jego historyjce o niedbałym urzędniku. Pozbierał dziesięć poufnych kartek i wyszedł.

Pomyślał, że Capstick miał rację. Jest przeciek i to paskudny. Była trzecia rano; wrócił na Charles Street i czekał na sir Bernarda. Nie bez nalegania, Hemmings umówił się na lunch z sir Anthonym Plumbem, przewodniczącym Wspólnego Komitetu d/s Wywiadu, JIC, i sir Peregrinem Jonesem, stałym podsekretarzem w Ministerstwie Obrony. Spotkali się w prywatnym pokoju w klubie St. James.

Pozostali dwaj wyżsi urzędnicy państwowi zaniepokojeni byli pilnością wezwania na spotkanie z dyrektorem generalnym "piątki" i w zamyśleniu zamawiali lunch. Kiedy kelner wyszedł, sir Bernard powiedział im, co się wydarzyło. Obydwaj stracili apetyt.

- Szkoda, że Capstick nic mi nie powiedział - odezwał się sir Perry Jones z lekką urazą w głosie. - Nic przyjemnego dowiedzieć się o tym w ten sposób.

- Sądzę - tłumaczył sir Bernard - że mój człowiek, Preston, prosił go o zachowanie dyskrecji przez pewien czas, ponieważ jeżeli jest przeciek na wysokim szczeblu w ministerstwie, to nie wolno nam ostrzec tego człowieka, że dokumenty trafiły z powrotem w nasze ręce.

Sir Peregrine chrząknął, lekko udobruchany.

- Jak sądzisz, Perry? - spytał Plumb. - Czy ten materiał mógł wydostać się z ministerstwa w formie fotokopii w jakiś niewinny sposób, czy z powodu niedbalstwa?

Najwyższy urzędnik państwowy w Ministerstwie Obrony zaprzeczył ruchem głowy.

- Przeciek wcale nie musi być na tak wysokim szczeblu - stwierdził

stanowczo. - Wszyscy piastujący najwyższe stanowiska mają osobisty personel.

Istnieje konieczność robienia kopii dokumentów - czasem trzech, czterech ludzi musi widzieć oryginał. Ale kopie są numerowane, a potem szatkowane na kawałeczki. Trzy rozdzielone do użycia i te same trzy wracają do zniszczenia po użyciu. Kłopot polega na tym, że wyższy urzędnik państwowy nie jest w stanie sam osobiście niszczyć wszystkich swoich dokumentów. Zazwyczaj robi to ktoś z jego personelu. Ludzie ci są, oczywiście, dokładnie, sprawdzeni, ale nie istnieje system absolutnie doskonały.

Rzecz w tym, że te kopie były zbierane przez cały miesiąc - od pierwszego arkusza do ostatniego - a tego nie można kłaść na karb przypadku czy zaniedbania. To musiało być celowe działanie. Niech to diabli... Położył nóż i widelec na prawie nietkniętym daniu. - Przykro mi Tony, ale zdaje mi się, że to jest bardzo poważna sprawa.

Sir Tony Plumb wyglądał jak chmura gradowa. - Sądzę, że będę zmuszony powołać do życia wąski podkomitet JIC - oświadczył. - Na tym etapie, bardzo wąski, nikt poza Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, Ministerstwem Spraw Zagranicznych, Ministerstwem Obrony, sekretarzem Gabinetu Premiera, szefami

“piątki” i “szóstki” i kimś z Kwatery Głównej łączności rządu (GCHQ). To jest najbardziej ograniczony skład, niezbędny w tym wypadku.

Uzgodnili, że spotkanie podkomitetu, który miał utworzyć, odbędzie się następnego dnia rano, jak również, że Hemmings zawiadomi ich o tym, czy Prestonowi dopisało szczęście w Scotland Yardzie. Po tych uzgodnieniach pożegnali się.

Występując w pełnym składzie, JIC jest dość licznym komitetem. Poza przedstawicielami pół tuzina ministerstw i kilku agencji, trzech rodzajów wojsk, wywiadu i kontrwywiadu, w jego skład wchodzi urzędujący w Londynie przedstawiciele odpowiednich służb Kanady, Australii i Nowej Zelandii, i, oczywiście amerykańskiej CIA.

Plenarne spotkania należą do rzadkości i mają dość formalny charakter.

Częściej praktykowane jest zwoływanie posiedzeń ograniczonych podkomitetów, ponieważ ich uczestnicy, zajmujący się tylko danym problemem, przeważnie znają się osobiście i są w stanie zrobić więcej w krótszym czasie.

Podkomitet zwołany na 21 stycznia przez Tony'ego Plumba, przewodniczącego JIC i osobistego koordynatora premiera d/s wywiadu, miał

kryptonim Paragon. Posiedzenie rozpoczęło się o dziesiątej rano w pokoju odpraw Urzędu Gabinetu premiera, znanego jako COBRA, dwa piętra pod ziemią Urzędu na Whitehall; była to sala konferencyjna - klimatyzowana, dźwiękoszczelna i codziennie sprawdzana w celu wykrycia ewentualnego podsłuchu.

Z technicznego punktu widzenia gospodarzem posiedzenia był sekretarz gabinetu, sir Martin Flannery, który przez szacunek zrezygnował z przewodniczenia naradzie na rzecz sir Anthony'ego. Sir Perry Jones reprezentował Ministerstwo Obrony, sir Patrick (Paddy) Strickland - Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a sir Hubert Villiers - Ministerstwo Spraw Wewnętrznych sprawujące nadzór polityczny nad MI 5.

Kwatera Główna łączności rządu (GCHQ), największe w kraju centrum prowadzenia nasłuchu, znajdujące się w Gloucestershire; w wieku wysokorozwiniętej techniki mające tak wielkie znaczenie, że stanowiło jakby państwo w państwie w służbie wywiadowczej, wysłała na posiedzenie zastępcę dyrektora generalnego, ponieważ sam DG był na urlopie.

Sir Bernard Hemmings przybył z Charles Street w asyście Briana Harcourt-Smitha. - Sądziłem, że lepiej będzie jak Brian uzyska pełny obraz sytuacji - wyjaśnił

Hemmings sir Anthony'emu. Każdy mógł sobie dośpiewać resztę - gdybym nie mógł być obecny na kolejnym posiedzeniu.

Ostatnim z obecnych, siedzącym nieruchomo przy końcu długiego stołu naprzeciwko Plumba, był sir Nigel Irvine, szef Secret Intelligence Service albo inaczej MI 6.

To dziwne, ale chociaż MI 5 ma dyrektora generalnego, to MI 6 jest kierowana przez szefa znanego w całym wywiadzie i w Whitehall po prostu jako "C", bez względu na nazwisko. Jeszcze dziwniejsze jest to, że "C" nie oznacza Szefa.

Pierwszym Szefem MI 6 był Mansfield Cumming i to "C" jest inicjałem jego nazwiska. W swoich powieściach o Jamesie Bondzie, Ian Fleming, jak zawsze pełen ironii, przyjął inicjał imienia "M" dla oznaczenia Szefa.

W sumie za stołem zebrało się dziewięciu mężczyzn, siedmiu z tytułem szlacheckim, którzy w swoich rękach posiadali większą władzę i wpływy niż jakakolwiek inna siódemka w królestwie. Znali się dobrze nawzajem i mówili sobie po imieniu. Każdy z nich mógł zwracać się do obu zastępców dyrektorów generalnych (DDG) po imieniu, podczas gdy każdy z DDG tytułował każdego ze starszych rangą

"sir". Rozumiało się to samo przez się.

Sir Anthony Plumb rozpoczął spotkanie od zwięzłego opisu odkrycia poprzedniego dnia, co wywołało pomruki konsternacji, i oddał głos Hemmingsowi.

Szef "piątki" dorzucił więcej szczegółów włącznie z negatywnym wynikiem analizy daktyloskopijnej w Scotland Yardzie. Perry Jones upierał się w swojej konkluzji, że dokumenty nie mogły wydostać

się poza ministerstwo przypadkiem lub z powodu niedopatrzania. Musiało to być zamierzone i utajone działanie.

Kiedy skończył mówić przy stole zapanowała cisza. Nad zebranymi unosiły się jak widmo dwa słowa. Ocena strat. Jak długo to trwało? Ile dokumentów zginęło?

Komu zostały przekazane? (Chociaż odpowiedź na to pytanie wydawała się dość oczywista). Jakiego rodzaju dokumenty przepadły? Jakie straty poniosła Wielka Brytania i sojusz NATO? I jak, do diabła, powiemy o tym sojusznikom?

- Kogo przydzieliliś do prowadzenia tej sprawy? - spytał Hemmingsa sir Martin Flannery.

- Nazywa się John Preston - powiedział Hemmings. - Jest z C.-1 (K).

Człowiek z ministerstwa, brygadier Capstick wezwał go kiedy nadeszła poczta z przesyłką.

- Można by, wyznaczyć kogoś bardziej... doświadczonego - zasugerował Brian Harcourt-Smith.

Sir Bernard zmarszczył brwi.

- John Preston wstąpił do służby niedawno - wyjaśnił. - Jest z nami od sześciu lat. Mam do niego pełne zaufanie.

- Istnieje jeszcze inny powód. Musimy zakładać, że przeciek jest zamierzony.

Perry Jones posępnie przytaknął skinieniem głowy.

- Możemy również zakładać - ciągnął Hemmings - że osoba która jest za to odpowiedzialna - będę go lub ją nazywał Chummy - zdaje sobie sprawę z utraty tych dokumentów. Możemy mieć nadzieję, że Chummy nie wie o tym, że zostały odesłane anonimowo do ministerstwa. Mimo to, Chummy jest, prawdopodobnie, zaniepokojony i siedzi jak mysz pod miotłą. Gdybym wypuścił na niego całą sforę szpicli, Chummy wiedziałby, że to już koniec. Ostatnią rzeczą której nam potrzeba jest to, żeby wymknął się cichaczem i zagrał główną rolę na międzynarodowej konferencji prasowej w Moskwie. Póki co, proponuję nie robić szumu i poczekać na wczesne znalezienie nici prowadzącej do kłębka. Jako nowo mianowany pracownik C.-1 (A), Preston może, nie budząc niczyich podejrzeń, przejść się po ministerstwach i w rutynowy sposób sprawdzić jak przestrzegane są przepisy procedury zachowania tajemnicy. Lepszego pretekstu nie znajdziemy. Przy odrobinie szczęścia, Chummy nawet nie zwróci na to uwagi.

Przy swoim końcu stołu, sir Nigel Irvine skinął głową. - To brzmi rozsądnie - powiedział.

- Jest jakaś szansa, żeby czegoś się dowiedzieć przez jedno z twoich źródeł informacji, Nigel? - spytał Anthony Plumb.

- Rozejrzę się - odparł z rezerwą. Andriejew, pomyślał, będzie musiał

zaaranżować spotkanie z Andriejewem. - A co z naszymi dzielnymi sojusznikami?

- Poinformowanie ich wszystkich lub tylko niektórych z nich, spadnie prawdopodobnie na ciebie - przypomniał Plumb Irvine'owi - jakie jest, więc twoje zdanie?

Sir Nigel sprawował swój urząd od siedmiu lat, a ten rok był ostatnim w jego kadencji. Subtelność, doświadczenie i beznamietność zaskarbiły mu wysoką ocenę wśród sprzymierzonych służb wywiadowczych Europy i Ameryki Północnej. Jednak wcale nie uśmiechało mu się zostać zwiastunem takich nowin. Nie najlepszy ruch na wyjście z gry.

Myślał o Alanie Foxie, zgryźliwym i czasem sarkastycznym starszym oficerze łącznikowym CIA w Londynie. Ten zapewne będzie się rozwodził nad całą sprawą, jakby podano mu obiad z pięciu dań. Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Zgadzam się z Bernardem. Chummy musi się potężnie niepokoić. Nie należy się spodziewać, żeby w ciągu następnych paru dni przywłaszczył sobie zaraz następny plik super tajnych dokumentów. Wypadałoby iść do naszych sojuszników już z jakimiś wynikami, z jakąś oceną strat. Chciałbym zaczekać i przekonać się co potrafi ten Preston. Przynajmniej kilka dni.

- Ocena strat należy do sedna sprawy - przytaknął sir Anthony. - Ale jej dokonanie wydaje się prawie niemożliwe dopóki nie odszukamy Chummy'ego i nie skłonimy do udzielenia odpowiedzi na kilka pytań. Więc, jak na razie, uzależnieni jesteśmy od postępów dochodzenia Prestona.

- Brzmi to jak tytuł książki - wymamrotał ktoś z zebranych, kiedy wszyscy się rozchodzili. Stali podsekretarze pośpieszyli powiadomić o sprawie, ściśle poufnie, swoich ministrów, a sir Martin Flannery wiedział, że czeka go kilka niezbyt miłych chwil z groźną panią Margaret Thatcher.

Następnego dnia, w Moskwie, miało miejsce inauguracyjne posiedzenie innego komitetu.

Major Pawłow zatelefonował zaraz po obiedzie i powiedział, że przyjedzie po towarzysza pułkownika o szóstej; towarzysz sekretarz generalny KPZR chce go widzieć. Philby przypuszczał (zupełnie słusznie), że zawiadomienie go o spotkaniu z pięciogodzinnym wyprzedzeniem miało na celu to, żeby zjawił się trzeźwy i przyzwoicie ubrany.

O tej porze drogi zatkałe były sznurami wlokących się pojazdów, z powodu gęsto sypiącego śniegu, ale czajka z numerami rejestracyjnymi MOC pędziła środkowym pasem jezdni zarezerwowanym dla własti, dla elity, dla grubych ryb w morzu tego, czym stało się wymarzone przez Marksa bezklasowe społeczeństwo; zbiorowością o rygorystycznie zbudowanej strukturze i tak podzielonym na klasy jak tylko mogła być rozległa, hierarchiczna biurokracja.

Kiedy minęli hotel Ukraina, Philby pomyślał, że może jadać aż do samej daczy w Usowie, ale po przejechaniu niecałego kilometra samochód skręcił w stronę zagrodzonego wjazdu do olbrzymiego, ośmiopiętrowego budynku przy Prospekcie Kutuzowa numer 26. Philby był zdumiony; wejście do budynku, w którym mieszkali członkowie Biura Politycznego należało do rzadkich zaszczytów.

Na chodniku przed budynkiem kręcili się wywiadowcy z Dziewiątego Zarządu, ale ci którzy stali przy stalowej bramie wjazdowej byli umundurowani: grube, szare płaszcze, futrzane czapki z opuszczonymi nausznikami i błękitnymi insygniami Gwardii Kremłowskiej. Major Pawłow wylegitymował się, po czym stalowa brama została szeroko otwarta. Czajka bezszelestnie wjechała na pusty, kwadratowy dziedziniec i zaparkowała.

Major w milczeniu wprowadził go do budynku; przeszli jeszcze dwa punkty kontrolne i stanowiska detektora ukrytych metalowych przedmiotów jak również skaner promieni X, i wsiedli do windy. Wysiedli na trzecim piętrze, które w całości należało do sekretarza generalnego. Major Pawłow zapukał do drzwi; otworzył im majordom, ubrany na biało, i gestem zaprosił Philby'ego do środka. Milczący major cofnął się i drzwi zamknęły się za Philbym. Szwajcarzy odebrali od niego płaszcz i kapelusz i wprowadzili go do wielkiej bawialni w której było bardzo ciepło, ponieważ starzy ludzie ciągle marzną, i która, o dziwo, umeblowana była z bardzo prostym smakiem.

W przeciwieństwie do Leonida Breżniewa, który lubował się w ozdóbkach, w rokoko z całym jego przepychem, ten sekretarz generalny dał się poznać jako człowiek o bardzo ascetycznym guście. Meble były ze szwedzkiego albo fińskiego jasnego drewna, skromne, o prostych liniach i funkcjonalne. Prócz dwóch, niewątpliwie bezcennych dywanów z Buchary, w pokoju nie było nic antycznego.

Znajdował się tam niski stół do kawy, przy którym stały cztery fotele, a u szczytu stołu było puste miejsce na brakujący piąty fotel. Oprócz niego, w pokoju znajdowało się trzech mężczyzn; wszyscy stali, ponieważ nikt nie śmiał usiąść bez pozwolenia.

Philby znał ich wszystkich - przywitani się skinieniem głowy.

Jednym z nich był profesor Władimir Ilicz Kryłow. Wykładał historię współczesną na Uniwersytecie Moskiewskim. Jego autorytet wynikał z tego, iż był

chodzącą encyklopedią wiadomości o socjalistycznych i komunistycznych partiach Europy Zachodniej, ze szczególnym uwzględnieniem Wielkiej Brytanii. Co ważniejsze, był jednym z członków Rady Najwyższej, marionetkowego, jednopartyjnego Parlamentu ZSRR, członkiem Akademii Nauk i częstym konsultantem Wydziału Zagranicznego Komitetu Centralnego, którym kiedyś kierował sekretarz generalny.

Mężczyzną ubranym po cywilnemu, ale noszącym się jak wojskowy, był

generał Piotr Siergiejewicz Marczenko, którego Philby znał tylko trochę, lecz wiedział, że był jednym z wyższych rangą oficerów GRU, własnego wywiadu radzieckich sił zbrojnych. Marczenko uznawany był za eksperta do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego i tego co było jego przeciwieństwem, destabilizacji, specjalizującym się w demokracjach Europy Zachodniej, który spędził połowę życia studiując ich siły bezpieczeństwa wewnętrznego i systemy polityczne.

Trzecim był dr Józef Wiktorowicz Rogow, również akademik, specjalista w dziedzinie fizyki. Jednak sławę zawdzięczał innemu tytułowi, był arcymistrzem szachowym. Znano go jako jednego z nielicznych osobistych przyjaciół sekretarza generalnego; człowieka, którego radziecki przywódca

wzywał kilkakrotnie w przeszłości, kiedy odczuwał potrzebę odwołania się do tego niezwykłego umysłu przy planowaniu poszczególnych etapów niektórych operacji.

Czterej mężczyźni stali tak dwie minuty, kiedy podwójne drzwi w drugim końcu pokoju otworzyły się, żeby przepuścić niekwestionowanego władcę ZSRR, jej dominiów, satelitów i kolonii.

Siedział w wózku inwalidzkim, popychanym przez wysokiego stewarda w białej marynarce. Wózek zatrzymał się w wolnym miejscu u szczytu stołu.

- Proszę siadać - powiedział sekretarz generalny.

Philby był zaskoczony zmianami, które zaszły w wyglądzie tego człowieka. W

wieku siedemdziesięciu pięciu lat twarz i grzbiety dłoni upstrzone były starczymi plamami i przebarwionymi żyłkami. Operacja na otwartym sercu w 1985 roku jak się wydawało przyniosła pożądany efekt, a rozrusznik serca spełniał swoje zadanie.

Mimo to, wyglądał na słabowitego.

Białe włosy, grube i połyskliwe na portretach w święto 1-go Maja, nadających mu wygląd ulubionego lekarza domowego, prawie zupełnie powypadały. Brązowe smugi biegły dookoła oczu. O milę na przedłużeniu Prospektu Kutuzowa, niedaleko starej wioski Kunczewo, w samym sercu brzozowego lasu, ukryty za dwumetrową drewnianą palisadą, otaczającą teren o rozległej powierzchni, stał hiper ekskluzywny szpital Komitetu Centralnego. Był zmodernizowaną i rozbudowaną wersją Kliniki Kunczewo.

Na terenie szpitala stała stara dacza Stalina, zadziwiająco skromny pawilon gdzie tyran spędzał tak wiele czasu i, gdzie, w końcu, zakończył życie. Cały pawilon został przebudowany na najnowocześniejszy oddział intensywnej opieki medycznej, przeznaczony dla jednego tylko człowieka, który z inwalidzkiego wózka badał teraz wzrokiem każdego z obecnych.

W dacy Kunczewo dyżurowało dzień i noc sześciu najlepszych specjalistów, gotowych na każde wezwanie. Tam co tydzień udawał się na zabieg sekretarz generalny. Bez wątplenia, to oni utrzymywali go przy życiu, nie wiele więcej już dla niego mogli zrobić.

Jednak, jego umysł ukryty za chłodnym spojrzeniem oczu, był ciągle sprawny.

Nosił okulary w złotej oprawce; rzadko mrugał oczami, a kiedy to robił, poruszał powiekami powoli, jak drapieżny ptak.

Nie tracił czasu na zbędne wstępy. Philby wiedział, że nigdy tego nie robił.

Skinąwszy głową w stronę pozostałej trójki, powiedział: - Towarzysze czytali oba memoranda naszego przyjaciela, towarzysza pułkownika Philby'ego.

Było to stwierdzenie raczej niż pytanie, ale cała trójka skinęła potakująco głowami.

- Nie będzie więc dla was zaskoczeniem, że uważam zwycięstwo brytyjskiej Partii Pracy, i, dalej idąc jej ultralewicowego skrzydła, za najżywotniejszy z radzieckich interesów. Moim życzeniem jest, abyście we czterech utworzyli bardzo wąski i poufny komitet doradczy, który przedstawi mi wszelkie sposoby, jakie wam przyjdą do głowy, które mogłyby umożliwić nam przyczynienie się do tego zwycięstwa, oczywiście, w najściślejszej tajemnicy. - Z nikim nie wolno wam o tym rozmawiać. Jeżeli w ogóle powstaną jakieś dokumenty, mają być sporządzane przez was osobiście, a notatki mają być palone. Spotkania będą się odbywać w domach prywatnych. Nie będziecie się pokazywać razem na forum publicznym. Z nikim więcej nie wolno się wam konsultować. Sprawozdania będziecie składać mnie osobiście, uprzedzając za każdym razem telefonicznie majora Pawłowa. Wyznaczę wtedy spotkanie, na którym będziecie mogli przedstawić Wasze propozycje.

Dla Philby'ego było oczywiste, że radziecki przywódca traktował poufność całej sprawy bardzo poważnie. Mógł zorganizować to spotkanie w swoich biurach w budynku Komitetu Centralnego, dużym szarym bloku na Nowej Płoszczadzi, gdzie pracowali wszyscy radzieccy przywódcy od czasów Stalina. Ale wówczas inni członkowie Biura Politycznego mogli spotkać ich przybywających lub odjeżdżających i w ten sposób dowiedzieć się o tym spotkaniu. Było oczywiste, że sekretarz generalny formował tym razem komitet, który miał służyć całkowicie i wyłącznie jemu i że zdecydowanie nie chciał aby ktokolwiek o tym się dowiedział.

Pozostawała jeszcze jedna dziwna rzecz. Nie licząc jego samego, a on przecież był na emeryturze, nikt z KGB nie uczestniczył w spotkaniu, a przecież Pierwszy Główny Zarząd był w posiadaniu paratomowego zasobu danych o Wielkiej Brytanii.

Posiadał też specjalistów zajmujących się tą dziedziną. Z przyczyn znanych tylko jemu samemu, przebiegły przywódca postanowił trzymać całą sprawę poza służbą, której był kiedyś przewodniczącym.

- Czy są jakieś niejasności?

Philby podniósł rękę do góry. Sekretarz Generalny dał mu skinieniem głowy znak, żeby pytał.

- Towarzyszu sekretarzu generalny, zawsze sam prowadziłem swoją wołgę, ale od czasu wylewu w zeszłym roku, lekarze zabronili mi prowadzić samochód. Teraz wozi mnie żona. Ale w tej sytuacji, ze względu na zachowanie tajemnicy...

- Przydzielę wam kierowcę z KGB, na ten czas - miękko powiedział sekretarz generalny. Pozostała trójka miała stałych kierowców, z racji pełnionych funkcji.

Nic więcej nie pozostało do omówienia. Na dany głową znak, steward wyprowadził wózek z jego właścicielem przez te same drzwi. Czterech doradców powstało i gotowało się do wyjścia.

Dwa dni później, w podmiejskiej dacy jednego z dwóch akademików, Komitet Albion zabrał się ostro do pracy.

Brzmi to trochę jak cytat z książki, ale Preston istotnie poczynił pewien postęp. Nawet podczas inauguracyjnego posiedzenia Paragonu, siedział głęboko zaszyty w Kancelarii, w podziemiach

Ministerstwa Obrony.

- Bertie - zwrócił się do Brygadiera Capsticka - dla tutejszego personelu jestem nową miotłą do robienia porządków, cholernym pedantem czepiającym się wszystkich. Powiedz im, że po prostu nowy facet chce się zasłużyć przełożonym.

Rutynowe kontrole procedury, nic specjalnego, zwykle z powodu drobiazgowej kontroli.

Capstick odegrał znakomicie swoją rolę, trąbiąc dookoła, że nowy szef C.-1

(A) szwendał się po wszystkich ministerstwach, żeby pokazać jaki to z niego pracuś.

Urzednicy Kancelarii wznosili tylko oczy do nieba i szli mu na rękę z ledwie ukrywanym rozdrażnieniem. To jednak umożliwiło Prestonowi dostęp do akt, do informacji kto je wypożyczał i zwracał, a co najważniejsze, w jakich terminach.

Wcześniej dokonał dość istotnego odkrycia. Wszystkie dokumenty poza jednym, były dostępne w Ministerstwie Spraw Zagranicznych lub w Urzędzie Gabinetu premiera, ponieważ dotyczyły sojuszników Wielkiej Brytanii w NATO, jak również obszarów zespolonego reagowania NATO na całą gamę ewentualnych radzieckich inicjatyw. Ale jeden dokument nie wyszedł poza ministerstwo. Stały podsekretarz, sir Peregrine Jones, powrócił ostatnio z Waszyngtonu, gdzie prowadził

rozmowy w Pentagonie na temat wspólnego patrolowania Morza Śródziemnego, Środkowego i Południowego Atlantyku, oraz oceanu Indyjskiego przez brytyjskie i amerykańskie atomowe łodzie podwodne. Przygotował projekt sprawozdania z rozmów i rozesłał go pomiędzy wysoką rangą urzędników ministerstwa. Fakt znalezienia się fotokopii także tego sprawozdania wśród skradzionych dokumentów oznaczał, że przeciek znajdował się właśnie w tym ministerstwie.

Preston zajął się analizą dystrybucji super tajnych dokumentów na przestrzeni całych miesięcy. Okazało się, że odesłane dokumenty, od pierwszego do ostatniego arkusza, pochodziły z okresu czterech miesięcy. Nie ulegało wątpliwości, że prócz nich, przez biurko każdego z mających dostęp do tych tajemnic, przewijały się również inne papiery. Złodziej, wybierał więc jedynie to, czego potrzebował.

Pod koniec drugiego dnia Preston ustalił, że tylko dwudziestu czterech ludzi mogło mieć dostęp do wszystkich dziesięciu dokumentów. Następnie, zaczął

sprawdzać nieobecności w biurze, wyjazdy za granicę, przypadki zachorowań na grypę, eliminując tych, którzy nie mogli mieć dostępu do dokumentów w okresie popełnienia kradzieży.

Dwie rzeczy krępowały jego ruchy: musiał udawać, że interesuje się również wypożyczaniem innych akt, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi akurat na te dziesięć sprawdzanych dokumentów. Nawet urzednicy Kancelarii plotkują, a przeciek mógł

znajdować się na poziomie jakiejś sekretarki, czy maszynistki, która mogła wyciągać informacje od kogoś z urzędników w czasie przerwy na kawę lub lunch. Po drugie, nie mógł przeniknąć na najwyższe piętra, żeby sprawdzić, ile kopii każdego z oryginałów wykonano. Wiedział o

powszechnej praktyce obiegu super tajnych dokumentów z oficjalnym zaznaczeniem nazwisk osób dla których one były przeznaczone ale każdy z adresatów mógł zechcieć na przykład zasięgnąć rady kolegi.

Wykonywano wtedy fotokopie, nadawano jej kolejny numer i przekazywano wskazanej osobie. W chwili zwrotu fotokopia była niszczone, albo, jak w tym wypadku, nie. Następnie, oryginał dokumentu wracał do Kancelarii. Jednakże niejedna para oczu mogła widzieć fotokopie.

Żeby rozwiązać ten drugi problem wrócił do ministerstwa po zmroku w towarzystwie Capsticka i spędził tam dwie noce na górnych piętrach, gdzie w tym czasie nie było nikogo, poza sprzątaczkami, które nie interesowały się tym co robią, sprawdzając ilość sporządzonych fotokopii. Umożliwiło to dalszą eliminację podejrzanych na przykład wtedy, gdy któryś z wyższych urzędników nie sporządzał żadnych kopii z dokumentu, który wracał do Kancelarii. 27 stycznia zameldował się na Charles Street z wykazem wyników dotychczasowego dochodzenia.

Przyjął go Harcourt-Smith, ponieważ sir Bernard znowu był poza biurem.

- Cieszę się, że coś dla nas masz, John - przywitał go Harcourt-Smith. -

Miałem dwa telefony od Anthony'ego Plumba. Zdaje się, że ludzie z Paragonu go przyciskają. Strzelaj.

- Po pierwsze - powiedział Preston - same dokumenty. Były starannie wybierane jakby nasz złodziej brał tylko to, o co go poproszono. To wymaga znajomości rzeczy. Sądzę, że to naprawdę wyklucza niski rangą personel. Ktoś taki działałby na zasadzie sroki, łapiąc co mu się nawinie pod rękę. Jest to domniemanie, które jednak zawęża zakres dochodzenia. Według mnie, w grę wchodzi ktoś z doświadczeniem i pełną świadomością znaczenia treści dokumentów. Wyklucza to niższych urzędników i posłańców. Tak czy inaczej, w Kancelarii nie ma przecieku.

Żadnych naruszonych pieczęci na workach, nielegalnych wypożyczeń, czy kopiowania dokumentów.

Harcourt-Smith pokiwał głową. - Uważasz, więc, że przeciek jest wyżej?

- Właśnie, Brian, takie jest moje zdanie. Podam ci teraz drugi powód, dla którego tak sądzą. Spędziłem dwie noce sprawdzając każdą wykonaną kopie. Nie ma żadnych rozbieżności. Pozostaje tylko jedno. Niszczenie fotokopii. Ktoś miał do poszatkowania trzy kopie, a zniszczył tylko dwie, przemycając trzecią poza budynek.

Teraz kolej na liczbę wyższych rangą urzędników, którzy mogli to zrobić.

- Dwudziestu czterech miało dostęp do wszystkich dziesięciu dokumentów.

Sądzę, że mogę wykluczyć dwunastu którzy otrzymali tylko kopie, każdy po jednej, na zasadzie - proszę cię o radę. Reguły są zupełnie jasne. Człowiek otrzymujący fotokopie na tej zasadzie musi ją zwrócić temu od kogo ją dostał. Zatrzymanie kopii dla siebie byłoby niezgodne z regułą i wzbudziłoby podejrzenie. Zatrzymanie dziesięciu w ogóle nie wchodzi w rachubę. Prowadzi to z

powrotem do tej dwunastki która miała oryginały wypożyczone z Kancelarii.

- Trzech z nich nie było w pracy, z różnych powodów, w dniach wypożyczenia oryginałów oznaczonych na fotokopiach, które nam odesłał anonimowy nadawca. Ci ludzie wypożyczali dokumenty w inne dni i musimy ich wykluczyć. Zostaje nam dziewięciu.

- Czterech z tej dziewiątki nigdy nie dawało dokumentów do sporządzenia kopii po to, żeby zasięgnąć czyjejś rady a, oczywiście, kopiowanie bez pozwolenia i odnotowania jest całkowicie wykluczone.

- Pozostało ci pięciu - wymamrotał Harcourt-Smith.

- Dokładnie. To co teraz powiem, to tylko domysły, ale w tej chwili nie mam nic lepszego. W okresie który nas interesuje, trzech z tej piątki miało na swoich biurkach inne dokumenty o podobnym charakterze, jak te skradzione, dokumenty o wiele bardziej interesujące, których jednak nie zabrano. Chociaż na logikę, należało je ukraść. Pozostaje mi więc dwóch ludzi. Nic pewnego, pierwsi podejrzani.

Pchnął przez biurko dwie teczki z aktami w stronę Harcourt-Smitha, który spojrzał na nie z ciekawością. - Sir Richard Peters i pan George Berenson - przeczytał

adnotacje na teczkach. - Pierwszy to asystent Podsekretarza odpowiedzialnego za politykę międzynarodową i przemysłową; drugi jest zastępcą szefa Zaopatrzenia Militarne. Oczywiście obaj mają własny personel.

- Tak.

- Ale nie umieściłeś ich personelu na liście podejrzanych? Mogę spytać, dlaczego?

- Oni są podejrzani - stwierdził Preston. - Ta dwójka, prawdopodobnie zlecała im wykonanie i niszczenie kopii. Tylko, że to rozszerza całą siatkę do tuzina osób.

Gdyby udało się oczyścić z podejrzeń tych dwóch najważniejszych ludzi, to złapanie w pułapkę podwładnego z pomocą szefa jednostki organizacyjnej wydaje się dziecinną igraszka. Chciałbym zacząć od tej dwójki.

- O co prosisz? - spytał Harcourt-Smith.

- Pełny tajny nadzór nad obydwoma, przez określony czas, włącznie z kontrolowaniem poczty i podsłuchem telefonicznym - oznajmił stanowczo Preston.

- Zwrócę się do Komitetu Paragon - odparł Harcourt-Smith. - Ale są to ludzie mający bardzo wysokie stanowiska. Byłoby lepiej, żebyś się nie mylił.

Drugie posiedzenie Paragonu odbyło się tego samego dnia, późnym popołudniem w pomieszczeniu COBRA. Harcourt-Smith przewodniczył mu w zastępstwie sir Bernarda Hemmingsa. Każdy z obecnych otrzymał tekst raportu Prestona. Wysocy urzędnicy czytali sprawozdanie w milczeniu.

Kiedy skończyli, Plumb zapytał:

- No i co?

- Wydaje się logiczne - zauważył Hubert Villiers.

- Sądzę, że pan Preston sprawił się dobrze w tak krótkim czasie - zauważył sir Nigel Irvine.

Harcourt-Smith uśmiechnął się blado. - Oczywiście, może się okazać, że to żadna z obu tych osób piastujących bardzo wysokie stanowiska - powiedział. - Młoda urzędniczka, której zlecono niszczenie kopii, mogła równie dobrze zabrać te dziesięć dokumentów.

Brian Harcourt-Smith był wytworem bardzo podrzędnej szkoły i z tego powodu, zupełnie niepotrzebnie, miał żal do całego świata o niesprawiedliwość losu.

Pod powierzchowną warstewką oglady kryła się potencjalna niechęć do wszystkich, którzy, jego zdaniem, zostali lepiej potraktowani przez fortunę. Przez całe życie żywił

niechęć do naturalnej łatwości obcowania z otoczeniem, którą ci, których teraz miał

przed sobą potrafili przenieść na grunt pracy zawodowej. Niechęcią napełniała go ich niekończąca się i przeplatająca się misternie nawzajem sieć kontaktów i przyjaźni -

często powstałych dawno temu w szkołach, uniwersytetach lub pułkach służby czynnej, - z której mogli korzystać, kiedy tylko chcieli. Nazywało się to "sitwą starych kumpli" lub "magicznym kręgiem", a największą niechęcią napawał go fakt, że do żadnego z nich nie należał.

Pewnego dnia, powtarzał to sobie wiele razy, kiedy już zajmie fotel dyrektora generalnego i otrzyma tytuł szlachecki, zasiądzie wśród tych ludzi jak równy między równymi i będą go słuchać, naprawdę będą słuchać tego, co ma im do powiedzenia.

Siedzący przy stole naprzeciw, sir Nigel Irvine, człowiek niezwykle spostrzegawczy, napotkał wyraz oczu Harcourta-Smitha i poczuł pewien niepokój.

Ten człowiek zbyt łatwo wpada w gniew, pomyślał. Irvine był rówieśnikiem Bernarda Hemmingsa z którym znali się od bardzo dawna. Zastanawiał się nad sprawą sukcesji po Hemmingsie, która miała stać się faktem na jesieni. Rozmyślał nad agresją tkwiącą gdzieś głęboko w osobowości Harcourta-Smitha, nad jego starannie ukrywaną ambicją, jak również nad tym, do czego obie te cechy charakteru mogą doprowadzić, lub może, do czego już doprowadziły.

- Panowie, usłyszeliśmy czego potrzebuje pan Preston - powiedział Anthony Plumb. - Ścisły nadzór. Czy ma na to waszą zgodę?

Wszystkie ręce uniosły się w górę - jednogłośnie uzyskał zgodę.

Każdego piątku w MI-5 odbywa się konferencja nazywana "giełdą".

Przewodniczy dyrektor "K", szef połączonych sekcji. Podczas giełdy inni dyrektorzy wydziałów zgłaszają swoje zapotrzebowanie na to, co w ich mniemaniu potrzebują -

finanse, usługi techniczne i nadzór nad ich najważniejszymi podejrzanymi.

Największe zapotrzebowanie jest zawsze na obserwatorów, którymi kieruje całkowicie dyrektor "A". Ale w tym tygodniu giełda została ogołocona z obserwatorów. Ci którzy byli obecni na konferencji w piątek, 30 stycznia, skonstatowali, że nie było żadnych rezerw. Dwa dni wcześniej Harcourt-Smith, na życzenie Paragonu, przydzielił Prestonowi tytu obserwatorów ilu potrzebował.

Licząc po sześciu obserwatorów w grupie (czterech tworzyło tak zwane

"pudełko", a dwóch siedziało w zaparkowanych samochodach) i po cztery zespoły zmieniające się co dwadzieścia cztery godziny, plus dwóch ludzi do nadzoru, Preston zabrał w sumie czterdziestu ośmiu wywiadowców, którzy musieli przerwać wykonywanie innych zadań. Spowodowało to trochę niezadowolenia, ale nikt nie mógł na to nic poradzić.

- Macie dwa obiekty - poinformowali oficerowie operacyjni w czasie odprawy w Cork poszczególne zespoły - ten i ten. Jeden jest żonaty ale jego żona przebywa obecnie poza Londynem, na wsi. Mieszkają w apartamencie na West Endzie i zazwyczaj, codziennie rano facet idzie piechotą około dwa kilometry ze swego domu do ministerstwa. Drugi obiekt jest kawalerem i mieszka pod Edenbridge w hrabstwie Kent. Codziennie dojeżdża do pracy pociągiem. Zaczynamy od jutra.

Służby techniczne zajęły się założeniem podsłuchu telefonicznego i przeglądaniem poczty; w ten sposób Richard Peters i George Berenson znaleźli się pod lupą. Przybyli za późno, żeby zauważyć posłańca, który doręczył pakunek do Fontenoy House. Wracając do domu z pracy, adresat odebrał pakunek od odźwiernego w hallu. Znajdowała się w nim dokładna kopia kolekcji klejnotów Glen, wykonana z cyrkonii. Następnego dnia, kopia została zdeponowana w Coutts Bank.

7

Piątek, i do tego trzynastego, uważany jest za pechowy dzień, ale Prestonowi, właśnie na odwrót, przyniósł szczęście. Żmudne śledzenie obu wyższych rangą urzędników państwowych przyniosło pierwszy przełom w dochodzeniu.

Nadzór trwał przez szesnaście dni i nie dał żadnych rezultatów. Obaj mężczyźni mieli utarte zwyczaje i żaden z nich nie spodziewał się, że jest śledzony, dzięki czemu obserwatorzy mieli łatwe, ale nudne zadanie.

Londyńczyk wychodził z mieszkania przy Belgravia codziennie o tej samej godzinie, szedł do Hyde Park Corner, skręcał schodząc w dół Constitution Hill i przechodził przez St. Jame's Park. Tak docierał do Horse Guards Parade, przechodził

na drugą stronę, mijał Whitehall i już był w ministerstwie. Czasami wychodził na lunch a czasami zjadał go w biurze. Większość wieczorów spędzał w domu albo w swoim klubie.

Ten, który dojeżdżał do pracy, mieszkał samotnie w malowniczym domu pod Edenbridge. Codziennie

łapał pociąg o tej samej godzinie i pieszo szedł prosto do Ministerstwa od Charing Cross Station. Obserwatorzy "odprowadzali" go do domu każdego wieczora i szczękali zębami z zimna przez całą noc, aż zmieniała ich pierwsza dzienna grupa. Żaden z mężczyzn nie zrobił nic podejrzanego. Kontrola poczty i podsłuch telefoniczny, zastosowane wobec obu mężczyzn, nie ujawniły nic prócz zwykłych rachunków, osobistej korespondencji, banalnych telefonów, jak również skromnego i godnego szacunku życia towarzyskiego. Tak było do trzynastego lutego.

Jako kierujący operacją, Preston urzędował w centrali łączności radiowej w suterenie przy Cork Street, kiedy nadeszła telefoniczna wiadomość od zespołu "B" inwigilującego Richarda Petersa.

- Joe łapie taksówkę. Jesteśmy za nim w samochodach.

W żargonie obserwatorów inwigilowany obiekt to zawsze "Joe", "Chummy" lub "nasz przyjaciel".

Kiedy zespół "B" zszedł ze zmiany, Preston usiadł, żeby pogadać z prowadzącym zespół Harrym Burkinshawem. Był to niski, pulchny mężczyzna w średnim wieku, który godzinami potrafił pozostawać wtopiony w tło londyńskiej ulicy, ale mógł z niewiarygodną szybkością ruszyć w każdej chwili za obiektem, który usiłował mu się wymknąć.

Ubrany był w marynarkę z grubego materiału w szkocką kratę, na głowie miał

filcowy kapelusz z okrągłym denkiem, przez ramię przewiesił płaszcz przeciwdeszczowy, a na jego szyi widniał aparat fotograficzny jak u zwykłego amerykańskiego turysty. Jak u wszystkich obserwatorów kapelusz, marynarka i płaszcz były z miękkiego materiału i dwustronne, co umożliwiało sześć kombinacji wyglądu zewnętrznego. Obserwatorzy bardzo sobie cenią swoje rekwizyty i całą gamę ról, w które potrafią wejść w ciągu kilku sekund.

- No więc, co się wydarzyło, Harry? - spytał Preston.

- Wyszedł z ministerstwa o normalnej porze. Zlokalizowaliśmy go i wzięliśmy w środek pudełka. Ale zamiast iść w tym samym kierunku co zwykle, doszedł aż do Trafalgar Square i zatrzymał taksówkę. Nasza zmiana dobiegała końca.

Zaalarmowaliśmy kolegów z ruchomej zmiany, żeby zostali na miejscu, a sami ruszyliśmy za taksówką. Zwolnił taksówkę przy delikatesach Panzera na Bayswater Road i dał nura w Clancride Gardens. W połowie ulicy szybko wszedł w podwórze domu stojącego przy ulicy i zszedł po schodkach do sutereny. Jeden z moich chłopców był dość blisko, żeby zauważyć, że schodki kończyły się drzwiami do mieszkania w suterenie. Wpadł w te drzwi. Mój chłopak musiał się stamtąd ruszyć zaraz potem, ponieważ Joe znowu się pokazał i wchodził na górę. Wrócił na Bayswater Road, znowu wziął taksówkę i wrócił na West End. Potem znowu wrócił

do zwykłego rozkładu dnia. Przekazaliśmy go rezerwowej zmianie przy końcu Park Lane.

- Ile czasu spędził na dole schodów do sutereny?

- Trzydzieści, czterdzieści sekund - powiedział Burkinshaw. - Albo ktoś go wpuścił do środka

cholernie szybko, albo miał własny klucz. Nikt nie zapalił światła w mieszkaniu. Wyglądało na to, że wpadł zabrać pocztę albo sprawdzić czy coś do niego przyszło.

- Co to za dom?

- Brudny dom i brudna suterena. Rano wszystko znajdzie się w raporcie ze zmiany. Mogę już odejść? Nóg nie czuję.

Preston spędził cały rano rozmyślając nad tym co zaszło. Czegóż, u licha, mógł Richard Peters szukać w obskurnym mieszkaniu w Bayswater? Tylko przez czterdzieści sekund? Zbyt mało czasu, żeby się z kimś spotkać. Zabrać pocztę? Albo zostawić wiadomość? Zarządził inwigilację budynku i w ciągu godziny przed wskazanym domem stał samochód, w którym siedział człowiek z aparatem fotograficznym.

Koniec tygodnia, to koniec tygodnia. Preston mógłby poruszyć władze cywilne i zaprząć je do roboty w sobotę i niedzielę, żeby zebrać informacje o tym mieszkaniu, ale takie postępowanie nie pozostałoby bez echa. A to była super tajna inwigilacja.

Postanowił zaczekać do poniedziałku.

Komitet Albion wybrał profesora Kryłowa na przewodniczącego i swojego rzecznika, więc jemu przypadło zawiadomienie majora Pawłowa, że komitet jest gotów do przedstawienia swoich rozważań sekretarzowi generalnemu. Było to w sobotę rano. W ciągu kilku godzin cała czwórka została powiadomiona, że ma się zameldować w dacy towarzysza sekretarza generalnego w Usowie.

Pozostała trójka przyjechała własnymi samochodami. Major Pawłow wiozł

Philby'ego sam, zwolniwszy na tę okazję kierowcę Gregoriewa z KGB, którego przydzielono Philby'emu jakieś dwa tygodnie temu.

Na zachód od Moskwy, po drugiej stronie mostu Uspienskoje, tuż nad brzegami rzeki Moskwy, znajduje się kompleks sztucznych wiosek wokół których zgrupowane są dacje wysokopostawionych i potężnych ludzi w radzieckim społeczeństwie. Nawet w tym miejscu zasady hierarchii i podziału są ściśle przestrzegane. W wiosce Peredelkino znajdują się dacje artystów, akademików i wojskowych; w Żukowce - mają domy członkowie Komitetu Centralnego i wszyscy poniżej Biura Politycznego; ale ludzie u samego szczytu tej piramidy mają dacje wokół Usowa, które są najbardziej ekskluzywne.

Oryginalna rosyjska dacza była zwykłym domem na wsi, podczas gdy obecne stanowiły rezydencje pełne luksusu, otoczone setkami akrów lasu sosnowego i brzoźowego; cały teren patrolowany był przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez kohorty goryli z Dziewiątego Zarządu dla zapewnienia absolutnej prywatności i bezpieczeństwa dla władzy.

Philby wiedział, że każdy członek Biura Politycznego z chwilą wyniesienia na tę funkcję, miał prawo do trzech rezydencji. Rodzinnego mieszkania na Prospekcie Kutuzowa, które pozostawało przy rodzinie na zawsze, chyba, że wysokopostawiony dostojnik popadł w niełaskę. Oficjalna willa na

Wzgórzach Leninowskich, pełna służby i wszelkich wygod, ze stałym podsłuchem i rzadko używana, chyba, że w celu podejmowania dygnitarzy zagranicznych. Następną w kolejności jest dacza położona w lasach na zachód od Moskwy, którą nowo mianowana gruba ryba może zaprojektować i zbudować wedle własnego upodobania. Dochodzi do tego jeszcze letnie ustronie, znajdujące się często na Krymie nad Morzem Czarnym. Jednak, Sekretarz Generalny kazał wznieść sobie letnią rezydencję w Kisłowodsku, miejscowości uzdrowiskowej na Kaukazie, słynącej z wód mineralnych, stosowanych przy leczeniu dolegliwości brzusznych.

Philby nigdy nie był w daczynie sekretarza generalnego w Usowie. Z okna zajeżdżającej pod dom czarjki, w ten mroźny wieczór, zauważył, że budynek był długi i niski, zbudowany z ociosanego kamienia, pokryty gontem i mający w sobie wiele z prostoty stylu skandynawskiego, jak meble, które widział na Prospeckie Kutuzowa.

Temperatura w środku była bardzo wysoka. Sekretarz Generalny przyjął ich w przestronnym pokoju gościnnym, gdzie było jeszcze cieplej od polan buzujących w rozpalonym kominku. Po formalnościach ograniczonych do minimum, sekretarz generalny gestem zaprosił profesora Kryłowa do przedstawienia wyników rozważań Komitetu Albion.

- Jak się zdążycie zorientować, towarzyszu sekretarzu generalny, skoncentrowaliśmy się na znalezieniu sposobu na zwrócenie uwagi części wyborców brytyjskich, nie mniejszej niż dziesięć procent całej populacji, na dwa kardynalne punkty widzenia: jednym jest masowy spadek zaufania do obecnego rządu konserwatystów; drugim - że w wyborze rządu Partii Pracy leżą ich najlepsze szanse na zadowolenie i poczucie bezpieczeństwa.

Dla uproszczenia tych poszukiwań zadaliśmy sobie pytanie, czy nie istnieje może jakiś jeden aspekt, który można zdominować lub taki, który można uczynić dominującym elementem całej kampanii wyborczej. Po dogłębnej analizie wszyscy doszliśmy do zgodnego wniosku, że żaden czynnik ekonomiczny: zwolnienia z pracy, zamykanie fabryk, rozszerzająca się automatyzacja w przemyśle, czy też nawet cięcia w sektorze usług publicznych - nie są w stanie zapewnić nam tego, czego chcemy.

Naszym zdaniem pozostaje tylko jedno: najważniejszy, polityczny czynnik, wywołujący największe emocje w Wielkiej Brytanii i w całej Europie Zachodniej w obecnych czasach. Jest to kwestia rozbrojenia nuklearnego. W tę sprawę zaangażowane są miliony ludzi na Zachodzie. U podłoża tej kwestii leży zbiorowy strach i w tym kierunku, sądzimy, należy skierować główne uderzenie; ten aspekt powinniśmy potajemnie wykorzystać.

- Macie jakieś konkretne propozycje? - spytał sekretarz generalny jedwabistym głosem.

- Znane są wam, towarzyszu sekretarzu generalny dotychczasowe wysiłki w tym kierunku. Już nie miliony, ale miliardy rubli poszły na zachętę dla różnych antynuklearnych lobby po to, żeby przekonywały narody Europy Zachodniej, że jednostronne rozbrojenie atomowe zapewni im najlepsze widoki na zachowanie pokoju. Nasze potajemne wysiłki przyniosły godne uwagi rezultaty, które jednak, mają się nijak do tego co w obecnej chwili należy znaleźć i osiągnąć. - Brytyjska Partia Pracy, jako jedna z czterech partii startujących w następnych wyborach, jest oddana sprawie jednostronnego rozbrojenia nuklearnego. Naszym zdaniem należy obecnie usunąć wszystkie bariery,

uruchomić fundusze, dezinformację i propagandę, żeby zdobyć głosy tych przynajmniej dziesięciu procent wahających się brytyjskich wyborców, żeby ich przekonać, że głos oddany na Partię Pracy jest głosem oddanym na pokój.

Cisza w której oczekiwali na reakcję sekretarza generalnego była nieomal dotykalna. W końcu przemówił. - Czy wysiłki poczynione przez nas przez osiem lat -

o których mówiliście - odniosły zamierzony skutek?

Profesor Kryłow wyglądał jakby został trafiony pociskiem powietrze-powietrze. Philby uchwycił nastrój radzieckiego przywódcy i pokręcił przecząco głową. Sekretarz generalny dostrzegł ten gest i mówił dalej:

- Przez osiem lat poczyniliśmy znaczne wysiłki na rzecz zachwiania zaufania do tej sprawy. To prawda, że w dniu dzisiejszym ruchy unilaterialistów są tak lewicowe, że, w taki lub inny sposób, znalazły się pod kontrolą naszych przyjaciół i służą naszym celom. Cała kampania przyniosła w rezultacie bogaty plon w postaci rzeszy wpływowych sympatyków. Ale...

Nagle sekretarz generalny ze złością uderzył dłońmi w oparcie inwalidzkiego wózka. Gwałtowny gest ze strony człowieka normalnie zimnego jak lód, głęboko wstrząsnął czwórką słuchających go mężczyzn.

- Nic się nie zmieniło - wykrzyknął sekretarz generalny. Uspokoił się i mówił

dalej swoim zwykłym tonem. - Pięć lat temu, cztery lata temu, wszyscy eksperci Komitetu Centralnego, specjaliści w uniwersytetach i grupach studyjnych KGB

zapewniali nas że ruchy unilaterialistów były tak potężne, że mogą powstrzymać rozprzestrzenianie i zainstalowanie pocisków Cruise i Pershing. Uwierzaliśmy im.

Zostaliśmy wprowadzeni w błąd. W Genewie obstawaliśmy przy swoim przekonani przez własną propagandę, że jeżeli nie ustąpimy przez wystarczająco długi czas, rządy Europy Zachodniej ugną się przed "pokojuowymi" demonstracjami, które potajemnie wspieraliśmy, i odmówią zainstalowania na swym terytorium Pershingów i Cruisów.

Ale w końcu rakiety zostały zainstalowane i byliśmy zmuszeni zerwać rozmowy.

Philby skinął potakująco głową, wyglądając tak skromnie jak mu wypadało. W

1983 nadstawił głowę w swoim opracowaniu, gdzie sugerował, że "pokojuowe" ruchy na Zachodzie, mimo modnych, hałaśliwych demonstracji, nie są w stanie zmienić wyniku wyborów ani też skłonić jakkolwiek rząd do zmiany zdania. Okazało się, że miał rację. Miał wrażenie, że dobrze przewidywał rozwój wydarzeń.

- To nadal boli, towarzysze, jak jątrząca się rana - powiedział sekretarz generalny. - Teraz jeszcze proponujecie mi więcej tego samego. Towarzyszu pułkownikowi Philby, jakie są wyniki ostatnich badań opinii publicznej w Wielkiej Brytanii na ten temat?

- Obawiam się, że nie są dobre - powiedział Philby. - Według ostatnich badań, dwadzieścia procent Brytyjczyków opowiada się za jednostronnym rozbrojeniem nuklearnym. Ale nawet te dane są mylące. Wśród klasy robotniczej, tradycyjnie głosującej na Partię Pracy, ten procent jest niższy. Jest to przygnębiający fakt, towarzyszu sekretarzu generalny, ale brytyjska klasa robotnicza należy do najbardziej konserwatywnych na świecie. Według sondaży jest również jedną z najbardziej patriotycznie nastawionych grup społecznych, w tradycyjalistycznym tego słowa znaczeniu. Podczas wydarzeń na Falklandach, nieprzejednani działacze związków zawodowych w stoczniach, cisnęli kodeks pracy do kąta, i pracowali przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby tylko okręty wojenne były gotowe do wyjścia w morze.

Przykro mi, ale jeżeli mamy stanąć twarzą w twarz z brutalną rzeczywistością, to trzeba sobie powiedzieć, że brytyjski człowiek pracy od dawna przestał widzieć w nas najlepsze zabezpieczenie jego interesów, a przynajmniej nie uważa, że może im sprzyjać osłabienie brytyjskiego systemu obronnego. Nie ma najmniejszych podstaw, żeby spodziewać się, że teraz zmieni zdanie.

- Stanąć twarzą w twarz z brutalną rzeczywistością - o to właśnie prosiłem ten komitet - podkreślił Sekretarz Generalny. Znowu zamilkł na kilka minut. - Odejdźcie, Towarzysze. Wracajcie do waszych rozważań. I przynieście mi plan konkretnego działania, który potrafi wykorzystać, jak nigdy dotąd, ten zbiorowy strach o którym wspomnieliście; coś co przekona nawet najbardziej zrównoważonych obywateli, żeby głosowali za usunięciem broni atomowej z ich ziemi. A tym samym, żeby oddali głos na Partię Pracy.

Kiedy wszyscy wyszli, stary Rosjanin podniósł się i podszedł o lasce do okna.

Patrzył na łamiący się pod śniegiem brzozy las. Gdy sięgnął po władzę, jeszcze przed pogrzebem swego poprzednika, był osobiście zaangażowany w realizację pięciu dokonań w trakcie swojej kadencji.

Chciał, żeby pamiętano go jako tego człowieka, który zwiększył produkcję żywności i jej sprawny rozdział; który podwoił produkcję towarów konsumpcyjnych i ich jakość przez zakrojoną na olbrzymią skalę modernizację chronicznie kulejącego przemysłu; który wzmocnił dyscyplinę partyjną na wszystkich szczeblach; który wyplenił korupcję której pazury szarpały wszystkie organy kraju; i który zapewnił

ostateczną supremację w ludziach i broni nad niezliczonymi wrogami jego kraju.

Cztery lata po dojściu do władzy wiedział, że nie udało mu się żadne z zamierzonych dokonań.

Był starym i schorowanym człowiekiem; wiedział, że czas ucieka. Zawsze szczyił się tym, że był pragmatykiem, realistą działającym w ramach surowej marksistowskiej ortodoksji. Ale nawet pragmatycy miewają marzenia, a starcy są próżni. Jego próżność była prosta: pragnął jednego gigantycznego triumfu, wielkiego momentu, który byłby tylko i wyłącznie jego dziełem. W tę mroźną, zimową noc tylko on sam wiedział jak bardzo tego pragnął.

Tej niedzieli Preston przechadzał się obok domu na Clanricide Gardens, ulicy biegnącej na północ od Bayswater Road. Burkinshaw miał rację; zobaczył jeden z tych niegdyś okazałych,

pięciokondygnacyjnych domów w stylu wiktoriańskim, które mocno podupadły; właściciele wynajmowali lokatorom jednopokojowe mieszkania.

Mały fronton budynku zarośnięty był zielskiem; pięć stopni prowadziło do drzwi nad ulicą. Z frontowego podestu schody biegły w dół do mieszkania w suterenie. Znowu zastanawiał się, dlaczego wysoki urzędnik państwowy i rycerz orderu miałby składać wizyty w tak obskurnym miejscu.

Wiedział, że gdzieś w zasięgu wzroku musiał być cichociemny, prawdopodobnie siedział w zaparkowanym pojeździe, trzymając w pogotowiu aparat fotograficzny z teleobiektywem. Nie próbował go umiejscowić chociaż wiedział, że sam zostanie zauważony. (W poniedziałkowym raporcie widniał jako "nierozpoznany osobnik" który przechodząc obok o 11-21 przejawiał pewne zainteresowanie budynkiem. Dzięki za nic, pomyślał).

W poniedziałek rano odwiedził lokalny ratusz i przejrzał listę podatników z tej ulicy. Pod tym adresem widniał tylko jeden gospodarz domu, niejaki pan Michael Z.

Mifsud. Ucieszyło go to Z; nie mogło być wielu o takim nazwisku. Wezwany przez radio obserwator, pełniący służbę na Clancride Gardens, przemknął się przez ulicę i sprawdził nazwiska obok przycisków dzwonek do drzwi. M. Mifsud zajmował

parter. Właściciel-lokator, pomyślał Preston, wynajmujący resztę umeblowanych mieszkań lokatorom; mieszkańcy nieumeblowanych lokali sami płacili podatki lokalne.

Późnym popołudniem sprawdził nazwisko Michael Z. Mifsud na komputerze w wydziale Imigracyjnym w Croydon. Jak wskazywało nazwisko, pochodził z Malty, skąd przybył do kraju trzydzieści lat temu. Żadnych danych, tylko piętnaście lat temu przy nazwisku postawiono znak zapytania. Nikt nie próbował tego wyjaśnić.

Wyjaśnienie znalazło się w kartotece kryminalnej Scotland Yardu; niewiele brakowało, żeby faceta deportowano. Skończyło się na tym, że odsiedział dwa lata za utrzymywanie się z nierządu. Po lunchu, Preston udał się na Charles Street, żeby zobaczyć się z Armstrongiem z finansów.

- Czy jutro mogę wcielić się w inspektora Izby Skarbowej? - spytał.

Armstrong westchnął. - Spróbuję to załatwić. Zatelefonuj przed końcem pracy.

Następnie udał się do radcy prawnego. - Mógłbyś załatwić z Wydziałem Specjalnym (SB) nakaz rewizji pod tym adresem? Potrzebuję również sierżanta SB

gotowego na wezwanie telefoniczne jak będę go potrzebował.

MI-5 nie jest uprawniony do dokonania aresztowania. Prawo aresztowania obywatela ma tylko oficer policji z wyjątkiem niebezpieczeństwa, kiedy aresztowanie jest dopuszczalne. Kiedy MI-5 chce kogoś zgarnąć, Wydział Specjalny zazwyczaj idzie mu na rękę.

- Nie zamierzasz się włamywać? - spytał prawnik podejrzliwie.

- Pewnie, że nie - powiedział Preston. - Chcę zobaczyć jak lokator z tego mieszkania zjawi się, wejść do środka i przeprowadzić rewizję. Aresztowanie może być konieczne, w zależności od wyników rewizji. Dlatego potrzebny mi jest ten sierżant.

- Dobrze - westchnął prawnik - porozumiem się z naszym zaufanym sędzią.

Jutro rano dostaniesz jedno i drugie.

Tuż przed piątą tego samego popołudnia Preston odebrał legitymację Izby Skarbowej z sekcji Finansów. Armstrong dał mu jeszcze karteczkę z numerem telefonicznym. - Jeżeli będą jakieś niejasności, niech podejrzany zatelefonuje pod ten numer. To jest telefon do Izby Skarbowej w Willesden Green. Poproś do aparatu pana Charnleya. Poręczy za ciebie. ~A propos, nazywasz się Brent.

- Właśnie widzę - powiedział Preston.

Pan Michael Z. Mifsud, z którym przeprowadzono rozmowę następnego dnia rano nie należał do zbyt uprzejmych. Nieogolony, w podkoszulku w paski, był

gburowaty i nieusłużny, ale wpuścił Prestona do obskurnej bawialni.

- Co ty mi mówić? - protestował Mifsud. - Jaki dochód? Deklaruję wszystko co zarabiam.

- Zapewniam pana, panie Mifsud, że to tylko wrywkowa kontrola. Nic szczególnego. Zgłasza pan wszystkie opłaty za komorne, nie ma pan nic do ukrycia.

- Nie mam nic do ukrycia, więc załatwiajcie to z moim księgowym -

powiedział Mifsud prowokacyjnie.

- Jeśli pan chce, mogę to zrobić - zgodził się Preston. - Ale zapewniam, że możemy tak poprowadzić sprawę, że honorarium księgowego okaże się w końcu wcale pokaźną sumką. Będę z panem szczery - jeżeli komorne jest w porządku, zostawię pana w spokoju i pójdę sprawdzić kogoś innego. Ale, jeżeli, Boże uchovej, któreś z tych mieszkań jest wynajmowane dla celów niemoralnych to już będzie inna sprawa. Mnie osobiście obchodzi tylko podatek dochodowy. Jednak z racji sprawowanej funkcji będę musiał zawiadomić o wszystkim policję. Pan wie co znaczy ciągnięcie zysków z czynów niemoralnych?

- Co mieć na myśli? - zaprotestował Mifsud. - Tu nie być niemoralne zarobki.

Wszyscy porządni tu mieszkać. Płacą komorne, ja płacę podatki. Wszystko.

Jednak twarz pobrała mu o jeden odcień; zrzędząc wyjął księgi opłat za komorne. Preston udawał, że wszystkie go interesują. Zauważył, że suterene wynajmował jakiś pan Dickie za 40 funtów tygodniowo. Uzyskanie wszystkich szczegółów zajęło godzinę. Mifsud nigdy nie widział lokatora sutereny. Płacił

gotówką, regularnie jak zegarek. Znalazł się oryginalny dokument najmu, podpisany przez pana Dickie'go. Wychodząc z mieszkania, Preston zabrał dokument ze sobą mimo protestów pana Mifsuda. Przed lunchem dostarczył go grafologom ze Scotland Yardu razem z próbkami pisma i podpisu Sir Richarda Petersa. Przed końcem urzędowania otrzymał telefon ze Scotland Yardu. To samo pismo, tylko zmienione.

Tak więc, pomyślał Preston, Peters sam finansuje swoją garsonierę. Na zaciszne spotkania ze swoim kontrolerem? Najprawdopodobniej. Preston wydał

rozkazy: gdyby Peters skierował się ponownie do tego mieszkania, należy go natychmiast o tym powiadomić, bez względu na to, gdzie by się nie znajdował.

Nadzór nad mieszkaniem był kontynuowany na wypadek, gdyby zjawił się tam ktoś inny.

Środa ciągnęła się niemiłosiernie, zaczął się czwartek. Po wyjściu z Ministerstwa, Richard Peters znowu zatrzymał taksówkę i udał się w kierunku Bayswater. Obserwatorzy znaleźli Prestona w barze przy Gordon Street, skąd zatelefonował do Scotland Yardu i wyciągnął przydzielonego mu sierżanta ze stołówki. Przez telefon podał mu adres. - Spotkamy się na chodniku naprzeciwko domu, tak szybko jak będziesz mógł, tylko bez hałasu - rozkazał.

Zebrawali się wszyscy w zimnej ciemności na chodniku przed podejrzanym domem. Preston zwolnił taksówkę dwieście jardów wcześniej. Człowiek z Wydziału Specjalnego przyjechał służbowym samochodem bez żadnych oznakowań. Kierowca czekał ze zgaszonymi światłami za rogiem ulicy. Detektyw sierżant Lander okazał się młody i trochę "zielony"; to był jego pierwszy wypad z ludźmi z "piątki" i wydawało się, że mu to imponuje. Z cienia wyłonił się Harry Burkinshaw.

- Jak długo tam jest, Harry?

- Pięćdziesiąt pięć minut - powiedział Burkinshaw.

- Ktoś go odwiedził?

- Nikt.

Preston wyjął nakaz rewizji i pokazał go Landerowi. - W porządku, wchodzimy do środka - zakomenderował.

- Jest możliwość, że będzie stawiał opór, sir? - spytał Lander.

- O, nie sądzę - powiedział Preston. - To urzędnik państwowy w średnim wieku. Mogłoby mu się coś stać.

Przeszli na drugą stronę ulicy i po cichu zbliżyli się do suterenu. Za zasłonami paliło się słabe światło. Po cichu zeszli schodami do wejścia i Preston nacisnął

dzwonek przy drzwiach. Rozległ się stuk obcasów i drzwi otworzyły się. W

padającym z mieszkania świetle stała kobieta.

Na widok obu mężczyzn z grubo pomalowanych czerwoną szminką ust znikł

uśmiech. Usiłowała zatrzaskać drzwi, ale Lander pchnął je mocno, odsunął ją łokciem na bok, i wpadł do mieszkania.

Nie była już pierwszej młodości, ale zrobiła co mogła. Pofalowane czarne włosy sięgały do ramion po obu stronach mocno wymalowanej twarzy. Nie pożałowała tuszu do rzęs i cieni do oczu, różu na policzki i grubej krechy czerwonej szminki na ustach. Zanim zdążyła zakryć poły rozchylonej podomki, Preston zauważył czarne pończochy z podwiązkami i obcisły gorset z czerwonymi wstążkami.

Poprowadził ją za łokieć przez hall do bawialni i posadził. Wbiła wzrok w dywan. Siedzieli w milczeniu, podczas gdy Lander przeszukiwał mieszkanie. Lander wiedział, że uciekinierzy czasem chowali się pod łóżko, albo do szafy. Wykonał dobrą robotę. Po dziesięciu minutach pojawił się trochę skonfundowany z głębi mieszkania.

- Ani śladu po nim, sir. Musiał dać drapaką przez tylne wejście i dalej przez ogródki na następną ulicę.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi frontowych.

- Pańscy ludzie, sir? - zwrócił się Lander do Prestona.

Preston zaprzeczył ruchem głowy. - Moi nie dzwoniłoby tylko raz.

Lander poszedł otworzyć drzwi. Preston usłyszał przekleństwo i odgłos uciekających stóp. Okazało się później, że jakiś mężczyzna zbliżył się do drzwi, a na widok detektywa który je otworzył, próbował uciekać. Ludzie Burkinshawa dopadli go na górze i trzymali, dopóki nie nadbiegł Lander i założył mu kajdanki. Wtedy mężczyzna uspokoił się i policjanci zabrali go do samochodu.

Preston siedział z kobietą wsłuchując się w oddalające się odgłosy zamieszania. - To nie jest aresztowanie - powiedział cicho - ale sądzę, że powinniśmy pojechać do centrali, nieprawdaż?

Kobieta skinęła głową nieszczęśliwie. - Czy mogę się przedtem przebrać?

- Sądzę, że to dobry pomysł, sir Richardzie - stwierdził Preston.

W godzinę później krzepki, ale bardzo wesolutki kierowca ciężarówki został

wypuszczony z komisariatu Paddington Green, gdzie go poważnie ostrzeżono przed konsekwencjami wynikającymi z odpowiadania na ogłoszenia randek w ciemno, publikowanymi w periodykach dla dorosłych.

John Preston odwiózł sir Richarda Petersa na wieś, do północy słuchał tego co tamten miał mu do powiedzenia, wrócił do Londynu i resztę nocy spędził na pisaniu sprawozdania. Jego raport znalazł

się przed każdym członkiem Komitetu Paragon, który zebrał się na posiedzenie o jedenastej rano w piątek. Ogólną reakcją było zdumienie połączone z odrazą.

Niech to diabli, pomyślał sir Martin Flannery, sekretarz gabinetu, najpierw Hayman, potem Trestrail i Dunnett, a teraz ten. Czy ci nieszczęśnicy nie mogą trzymać rozporków zapiętych na ostatni guzik?!

- Dość przerażająca sprawa - powiedział sir Hubert Villiers z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

- Nie sądzę, żebyśmy chcieli go zobaczyć znowu w Ministerstwie - odezwał

się sir Perry Jones z Ministerstwa Obrony.

- Gdzie jest teraz? - sir Anthony Plumb zapytał dyrektora generalnego MI-5, który siedział obok Briana Harcourt-Smitha.

- W jednym z naszych domów na wsi - odparł Bernard Hemmings. -

Zatelefonował już do Ministerstwa, rzekomo ze swojego domku pod Edenbridge, i oznajmił, że wczoraj wieczorem poślizgnął się na kawałku lodu i złamał nogę w kostce. Powiedział, że ma założony gips i nie będzie go w pracy przez dwa tygodnie.

Tak zalecili lekarze. Jak na razie, to powinno wystarczyć dla uniknięcia plotek.

- Czy nie umyka nam jedno istotne pytanie? - powiedział półgłosem sir Nigel Irvine z MI-6. - Pomijając jego niezwykle upodobania, czy to jest nasze źródło przecieku?

Brian Harcourt-Smith przełknął ślinę.

- Przesłuchanie dopiero się rozpoczęło, panowie - ale nie wydaje się prawdopodobne, że to on. Z pewnością istnieje jakaś możliwość, bo stanowi idealny materiał do werbunku przez szantaż.

- Podstawowe znaczenie ma teraz czas - wtrącił sir Patrick Strickland z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. - Nadal wisi nad nami sprawa oceny strat, a do mnie należy odpowiedź na pytanie co i kiedy powiemy naszym sojusznikom.

- Moglibyśmy, hm... zintensyfikować przesłuchania - zasugerował Harcourt-Smith. - Jestem przekonany, że w ten sposób mielibyśmy odpowiedź w ciągu doby.

Zapanowało krępujące milczenie. Myśl o tym, że jeden z ich kolegów, bez względu na to, co zrobił, miałby być wzięty w obroty przez zespół "twardzieli", nie była przyjemna. Martin Flannery poczuł, że robi mu się niedobrze. Miał głęboką osobistą awersję do przemocy.

- Z pewnością nie ma takiej potrzeby na tym etapie? - spytał.

Sir Nigel Irvine uniósł głowę znad sprawozdania.

- Bernard, ten Preston, oficer dochodzeniowy, wydaje się całkiem dobry.

- Bo taki jest - zapewnił sir Bernard Hemmings.

- Zastanawiałem się właśnie - ciągnął Irvine z pozorną nieśmiałością - ...że przecież zaraz po wydarzeniach w Bayswaters spędził dobre kilka godzin z Prestonem. Może pomogłoby to naszemu komitetowi, gdybyśmy mieli sposobność wysłuchania tego, co nam powie.

- Dziś rano osobiście uzyskałem od niego wszystkie szczegółowe informacje -

gwałtownie wtrącił Harcourt-Smith. - Z pewnością mogę udzielić odpowiedzi na każde pytanie dotyczące tego co, się wydarzyło.

Szef "szóstki" rozpląwał się w przeprosinach.

- Ależ, drogi Brianie, nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości -

powiedział. - Tylko chodzi o to, że..., cóż... czasami wrażenie jakie robi podejrzany podczas przesłuchania, nie daje się przelać adekwatnie na papier. Nie znam opinii tego komitetu, ale mamy podjąć decyzję co do następnego posunięcia. Pomyślałem, po prostu, że wysłuchanie jedyne go człowieka, który rozmawiał z Petersem może nam pomóc.

Zebrani wokół stołu, jeden po drugim, skinęli potakująco głowami. Hemmings wysłał widocznie poirytowanego Harcourt-Smitha do telefonu, żeby wezwał Prestona.

Podczas gdy zebrani oficjele czekali, podano kawę. Trzydzieści minut później, wprowadzono Prestona. Zebrani wysocy urzędnicy państwowi przyglądali mu się z pewnym zaciekawieniem. Posadzono go pośrodku stołu, obok jego dyrektora generalnego, a BDDG, sir Anthony Plumb, wyłuszczył dylemat Komitetu.

- Chodzi nam dokładnie o to, co się między wami wydarzyło? - zagadnął sir Anthony.

Preston myślał przez chwilę.

- W samochodzie, w drodze na wieś, załamał się kompletnie - stwierdził

Preston. - Aż do tej chwili trzymał się dobrze, chociaż był pod wpływem wielkiego stresu. Oprócz nas w samochodzie nie było nikogo, sam prowadziłem. Wtedy zaczął

plakać i mówić.

- Tak - odpowiedział Sir Anthony - i co mówił?

- Przyznał się do upodobania do fetysyzmu transwestyty, ale wydawał się zaskoczony oskarżeniem o zdradę. Gorąco temu zaprzeczał przez cały czas, aż do chwili kiedy przekazałem go opiekunom.

- Pewnie, że zaprzeczał - powiedział Harcourt-Smith. - Co mu pozostało, ale to ciągle może być właśnie on.

- Rzeczywiście, to może być on - zgodził się Preston.

- Ale jakie jest twoje wrażenie, wewnętrzne odczucie? - zapytał półgłosem sir Nigel Irvine.

Preston zaczerpnął głęboko powietrza. - Panowie, nie sędzę, że to on.

- Możemy wiedzieć, dlaczego tak uważasz? - spytał sir Anthony.

- Jak implikuje sir Nigel, to jest tylko wewnętrzne odczucie - przyznał Preston.

- Spotkałem dwóch ludzi, którym świat zawalił się na głowę i którzy byli przekonani, że nie bardzo mają po co dalej żyć. Kiedy ludzie w takim stanie psychicznym zaczynają mówić, to, przeważnie, mówią wszystko do końca. Tacy jak Philby albo Blunt, ludzie o niezwykle zimnej krwi, mogą to przetrzymać. Ale to są ideowi zdrajcy, marksiści z przekonania. Gdyby sir Richard Peters został zmuszony do zdrady szantażem, to, moim zdaniem, albo by się do tego przyznał, widząc jak jego domek z kart się wali, albo, przynajmniej, nie zdziwiłby się oskarżeniu o zdradę. W

rzeczywistości okazał kompletne zdziwienie; mógł grać, ale sędzę, że w tym momencie nie był w stanie udawać. Jeżeli się mylę, to powinien dostać Oscara.

Jak na wystąpienie niższego rangą oficera w obliczu Komitetu Paragon, była to długa przemowa, po której zapanowała chwila ciszy. Harcourt-Smith przeszywał

wzrokiem Prestona. Sir Nigel przypatrywał mu się z zainteresowaniem. Z racji sprawowanego urzędu wiedział o incydencie w Londonderry, który spalił przybraną tożsamość Prestona jako agenta wojsk lądowych. Zauważył również spojrzenie Harcourt-Smitha i zadumał się nad tym, dlaczego zastępca dyrektora generalnego

“piątki” wydawał się nie lubić Prestona. Sam miał o tym człowieku dobre zdanie.

- Co ty o tym myślisz? - spytał Plumb.

Irvine przytaknął głową.

- Sam również byłem świadkiem kompletnego załamania ogarniającego zdrajcę po ujawnieniu. - Vassal i Prime, obaj słabi psychicznie, obaj wyśpiewali wszystko, kiedy domek z kart się rozpadł. Więc jeżeli to nie Peters, pozostaje nam George Berenson.

- To już miesiąc - utyskiwał Patrick Strickland. - Tak, czy inaczej, musimy w końcu znaleźć sprawcę przecieku.

- Sprawcą może wciąż być osobisty asystent lub sekretarz jednego z tych dwóch - zauważył Perry Jones. Mam rację, panie Preston?

- Jak najbardziej, sir - potwierdził Preston.

- Zgadza się więc, że musimy albo oczyścić z podejrzeń George'a Berensona albo udowodnić, że

to jest właśnie nasz człowiek - stwierdził sir Patrick z pewnym rozdrażnieniem. - Nawet jeżeli jest czysty, pozostaje nam Peters. A jeżeli on nie zechce mówić, to znów jesteśmy w punkcie wyjścia.

- Czy mogę coś zaproponować? - spytał Preston cichym głosem.

Wywołało to pewne zdziwienie. Nie wezwano go tutaj po to, żeby przedstawiał swoje propozycje. Jednak sir Anthony Plumb był uprzejmym człowiekiem. - Proszę bardzo - zgodził się.

- Te dziesięć dokumentów, które zwrócił anonimowy nadawca, komponuje się w pewien układ tematyczny - powiedział Preston. Zebrani przy stole skinęli głowami.

- Siedem z nich - ciągnął Preston - dotyczyło dyspozycji marynarki Wielkiej Brytanii i NATO operujących na północnym i południowym Atlantyku. Ten zakres planowania strategicznego NATO wydaje się szczególnie interesować naszego informatora i tych, którzy go prowadzą. Czy nie byłoby możliwe spowodowanie, żeby na biurku pana Berensona znalazł się tak "smakowity" dokument, że, jeżeli on jest tym sprawcą przecieku, nie mógłby się oprzeć, żeby zachować kopię i usiłować ją przekazać dalej?

Kilka głów przy stole przytaknęło w zamyśleniu.

- Wykurzyć lisa z jamy, o to chodzi? - zadumał się Bernard Hemmings. - Co o tym myślisz, Nigel?

- Wiesz dobrze, co myślę. Wiesz, że mi się to podoba. To się może udać. - Czy da się to zrobić, Perry?

Sir Perry Jones zacisnął usta. - Prawdę mówiąc, można to zrobić w bardziej przekonujący sposób niż myślisz - zauważył. - Kiedy byłem w Ameryce, poddano pod dyskusję myśl, której jeszcze nie przekazywałem dalej, że pewnego dnia możemy być zmuszeni zwiększyć nasze możliwości bunkrowania paliwa i żywności w naszych bazach na Wyspie Wniebowstąpienia, włącznie z obsługą naszych atomowych łodzi podwodnych. Amerykanie byli tym bardzo zainteresowani i sugerowali, że mogą partycypować w kosztach, jeżeli również skorzystaliby z tych udogodnień.

Oszczędziłoby to naszym łodziom podwodnym zawijania do Faslane i tych bezustannych demonstracji, a Jankesi nie musieliby wracać po uzupełnienie do Norfolk w Wirginii.

- Sądzę, że mógłbym spreparować bardzo poufne, osobiste opracowanie, podnosząc ten pomysł do rangi uzgodnionej decyzji politycznej i puścić je przez cztery czy pięć biur, włącznie z biurkiem Berensona.

- Czy kompetencje Berensona pozwalają na zajmowanie się, w normalnej sytuacji, tego typu dokumentami? - spytał sir Patrick Strickland.

- Oczywiście - odparł Jones. - Jest zastępcą szefa Zaopatrzenia Militarne, jego sekcja odpowiada także za nuklearny aspekt tych zakupów. Musiałby otrzymać ten dokument wraz z trzema czy czterema innymi osobami. Kilka kopii sporządzi się tylko dla oczu najbliższych kolegów. Po zwróceniu zostaną zniszczone, a oryginał

wraca do mnie, dostarczony osobiście.

Komitet postanowił, że opracowanie na temat Wyspy Wniebowstąpienia wyląduje na biurku Berensona we wtorek.

Kiedy wychodzili z Urzędu Gabinetu Premiera, sir Nigel Irvine zaprosił

Hemmingsa na lunch.

- Dobry jest ten Preston - zasugerował Irvine. - Podoba mi się jego wygląd.

Jest lojalny w stosunku do ciebie?

- Mam wszelkie podstawy, żeby tak sądzić - odparł zaskoczony sir Bernard.

Aha, to wiele wyjaśnia, pomyślał "C" enigmatycznie.

Tę niedzielę, dwudziestego drugiego, brytyjski premier spędziła w swojej oficjalnej wiejskiej rezydencji, Chequers, w hrabstwie Buckinghamshire. Z

zachowaniem absolutnej poufności zwróciła się do trzech najbliższych doradców w gabinecie i do przewodniczącego swojej partii, żeby przyjechali na prywatne spotkanie.

To co miała do powiedzenia, dało im bardzo dużo do myślenia. W czerwcu upływały cztery lata sprawowania przez nią urzędu w drugiej kadencji. Zamierzała odnieść zdecydowane zwycięstwo w trzeciej z kolei kampanii wyborczej. Wskaźniki gospodarcze sugerowały spadek koniunktury na jesieni wraz z żądaniami podwyżek płac. Można było oczekiwać strajków. Nie życzyła sobie żadnego powtórzenia "zimy niezadowolenia" z 1978 roku, kiedy to fala przestojów w pracy nadwątlila wiarygodność rządu Partii Pracy i doprowadziła do jego upadku w maju 1979.

Ponadto, przy 20 procentach elektoratu popierającego, według badań opinii publicznej, sojusz socjaldemokratów i liberałów, Partia Pracy, dzięki nowo wykreowanemu obrazowi jedności i umiarkowania, zwiększyła swoje poparcie wyborców do 37 procent, tylko o sześć punktów mniej od konserwatystów. A różnica zmniejszyła się. Krótko mówiąc, chodziło jej o szybkie wybory w czerwcu, ale bez szkodliwych spekulacji, które poprzedziły i przyspieszyły jej decyzję w 1983 roku.

Niespodziewane, zaskakujące dla wszystkich oświadczenie publiczne i trzytygodniowa kampania wyborcza to właśnie było to czego sobie życzyła, nie w 1988, i nawet nie jesienią 1987, ale tego lata.

Zobowiązała swoich kolegów do milczenia, ale sama już wybrała ostateczną datę, przedostatni czwartek czerwca, osiemnastego.

W poniedziałek sir Irvine Nigel miał spotkanie z Andriejewem. Odbyło się przy zachowaniu ścisłej tajemnicy i wszelkich środków ostrożności na Hampstead Heath. Całe wrzosowisko roiło się od ludzi Irvina, którzy mieli upewnić się, że Andriejew sam nie był inwigilowany przez agentów kontrwywiadu z ambasady radzieckiej. Okazało się, że był czysty. Brytyjski nadzór nad dyplomata

radzieckim został odwołany.

Sir Nigel Irvine prowadził Andriejewa jako Sprawę Dyrektora. Są to rzadkie przypadki, ponieważ ludzie piastujący tak wysokie stanowisko w służbie (każdego rodzaju) jakie miał sam Szef, zwykle nie prowadzą agentów. Może się tak jednak zdarzyć, kiedy agent jest wyjątkowo ważny albo kiedy został zwerbowany, zanim jego kontroler został szefem służby i agent odmawiał prowadzenia przez inną osobę. Taki był właśnie problem z Andriejewem.

W lutym 1972 roku Nigel Irvine, wtedy jeszcze zwykły pan Irvine, był szefem placówki wywiadowczej w Tokio. Właśnie tego miesiąca japońskie siły antyterrorystyczne postanowiły zlikwidować główną siedzibę fanatycznej, ultralewicowej frakcji Czerwonej Armii znajdującej się w willi na zaśnieżonych stokach Mount Otakine, w miejscu zwanym Asama-so. Zadanie wykonała w rzeczywistości Agencja Narodowej Policji, ale pod dowództwem siejącego postrach szefa jednostek antyterrorystycznych, pana Sassa, który był jednym z przyjaciół

Irvina.

Odwołując się do doświadczenia nabytego przez oddziały szturmowe brytyjskiej SAS, Irvine był w stanie doradzić panu Sassa, a niektóre z jego sugestii uratowały życie niejednego Japończyka. Świadomy ściśle przestrzeganej neutralności swojego kraju, pan Sassa nie mógł odwdziaczyć się Irwinowi w żaden praktyczny sposób. Jednak, miesiąc później, podczas dyplomatycznego cocktail party, błyskotliwy i subtelny Japończyk pochwycił wzrok Irvina i skinął głową w kierunku rosyjskiego dyplomaty po przeciwnej stronie pokoju. Potem uśmiechnął się, i odszedł dalej. Irvine skupił uwagę na Rosjaninie i odkrył, że niedawno przybył do Tokio i nazywał się Andriejew.

Irvine polecił go śledzić i odkrył, że głupiec miał potajemny romansik z Japonką, za co, gdyby romans się wydał, byłby błyskawicznie spalony wśród swoich.

Oczywiście, Japończycy już o tym wiedzieli, ponieważ każdy radziecki dyplomata w Tokio jest dyskretnie śledzony w chwili gdy opuszcza ambasadę.

Irvine zastawił "słodką" pułapkę, zdobył odpowiednie zdjęcia i nagrania, w końcu zaatakował Andriejewa przy pomocy techniki, którą można nazwać bij-zabij-chwytaj. Rosjanin omal nie zemdlął sądząc, że dopadli go jego ludzie. Wciągając spodnie zgodził się mówić z Irvinem. Był niezłą zdobyczą. Po pierwsze należał do Zarządu Nielegalnych KGB, po drugie był człowiekiem Linii N.

Pierwszy Naczelny Zarząd KGB, odpowiedzialny za wszystkie operacje zagraniczne, jest podzielony na Zarządy, Departamenty Specjalne i Departamenty Zwykłe. Zwykły agent radzieckiego KGB, działający pod przykrywką dyplomatyczną, należy do jednego z departamentów "terytorialnych" - tak się składa, że Departament Siódmy zajmuje się Japonią. Na placówkach zagranicznych nazywają ich Linia PR.

Do zadań tego personelu należy zbieranie zwykłych informacji, nawiązywanie potrzebnych kontaktów, studiowanie publikacji technicznych, itd.

Ale w samym sercu Pierwszego Naczelnego Zarządu mieści się Zarząd "S", czyli Nielegalni, który nie ma żadnych ograniczeń terytorialnych. Ludzie z tego Zarządu szkolą "nielegalnych" agentów, tych bez immunitetu dyplomatycznego, którzy wysyłani są na miejsce akcji z fałszywymi papierami, z dobrze spreparowaną historią życia, dla wykonania tajnych misji. Nielegalni działają poza ambasadą.

Niemniej jednak, w każdej rezydenturze KGB we wszystkich radzieckich ambasadach, jest zwykle jeden pracownik Zarządu "S"; których na placówkach zagranicznych nazywają ludźmi Linii N. Ci pracownicy zajmują się wyłącznie specjalnymi zadaniami, często prowadząc agentów z krajów przeciwko którym szpiegują, lub udzielając pomocy technicznej i wsparcia nielegalnemu przybywającemu w głębokiej tajemnicy z radzieckiego bloku.

Andriejew należał do Zarządu "S". Co dziwniejsze, nie był ekspertem od spraw Japonii jak jego koledzy z Siódmego Departamentu w ambasadzie. Był

ekspertem od języka angielskiego, a jedyny powód wysłania go do Japonii stanowiło nawiązanie kontaktu ze starszym sierżantem lotnictwa amerykańskiego, którego łowcy talentów znaleźli w San Diego i przenieśli do wspólnej bazy lotniczej USA i Japonii na Tashikawa.

Nie mając najmniejszej szansy na wytłumaczenie się przed swoimi przełożonymi w Moskwie, Andriejew zgodził się pracować dla Irvine'a. Ten wygodny układ dobiegł końca, kiedy amerykański sierżant doprowadzony do granic wytrzymałości, skończył z sobą w niezbyt estetyczny sposób przy pomocy służbowego rewolweru w latrynie przy stołówce i Andriejew został pośpiesznie odesłany do Moskwy. Irvine myślał o spaleniu tego kontaktu przed wysłaniem, ale odstąpił od tej myśli.

Po raz drugi Andriejew wypłynął w Londynie. Sześć miesięcy wcześniej przez biuro sir Nigela przewinął się pakiet nowych fotografii, wśród których widniało zdjęcie Rosjanina. Po przeniesieniu z Zarządu "S" z powrotem do pracy w Linii PR, Andriejew został akredytowany jako drugi sekretarz ambasady radzieckiej. Sir Nigel znowu zarzucił haczyk. Andriejew nie miał innego wyboru prócz pójścia na współpracę, ale odmówił prowadzenia przez innego kontrolera. Tak więc dla sir Nigela został Sprawą Dyrektora.

W sprawie przecieku w brytyjskim Ministerstwie Obrony nie miał wiele do zaoferowania. O niczym takim nie wiedział. Jeżeli przeciek istniał, to człowiek z ministerstwa mógł być kontrolowany osobiście przez nielegalnego agenta-rezydenta w Wielkiej Brytanii, mającego bezpośredni kontakt z Moskwą, lub też mógł go prowadzić jeden z trzech ludzi Linii N w ambasadzie. Ale ci ludzie nie rozmawialiby o sprawie tej wagi przy kawie w stołówce. Osobiście nic nie słyszał na ten temat, ale będzie miał oczy i uszy otwarte. Po tym uzgodnieniu obaj mężczyźni na Hampstead Heath pożegnali się.

Opracowanie na temat Wyspy Wniebowstąpienia zostało rozdzielone przez sir Peregrine Jonesa, który przygotowywał je przez cały poniedziałek. Przedstawiono je czterem ludziom. Bertie Capstick zgodził się przychodzić do ministerstwa co noc, żeby sprawdzić ilość zgodnie z prawem sporządzonych fotokopii. Preston powiedział

swoim cichociemnym, że gdyby George Berenson nawet podrapał się w nos, mają go natychmiast

zawiadomić. To samo powiedział ekipie przechowującej pocztę i postawił w pełnym pogotowiu speców od podsłuchu telefonicznego. Zaczęło się oczekiwanie.

8

Pierwszego dnia nie wydarzyło się nic. Tej samej nocy Bertie Capstick i John Preston udali się do Ministerstwa Obrony, kiedy cały personel spał, i sprawdzili ilość sporządzonych fotokopii. Było ich siedem: trzy osobiście przez George'a Berensona, po dwie przez każdego z dwóch innych dygnitarzy, którzy otrzymali opracowanie na temat Wyspy Wniebowstąpienia, czwarty nie robił żadnych fotokopii.

Wieczorem drugiego dnia pan Berenson zrobił coś dziwnego. Cichociemni zameldowali, że w środku wieczoru wyszedł z mieszkania przy Belgravia i udał się do stojącej w sąsiedztwie budki telefonicznej. Nie rozpoznali numeru, który nakręcił, ale powiedział tylko kilka słów, odłożył słuchawkę i wrócił do domu. Dlaczego miałby to robić ktoś, zastanawiał się Preston, kto ma w domu doskonale sprawny telefon, o czym Preston mógł osobiście zaświadczyć jako że sam miał ten telefon na podsłuchu.

Trzeciego dnia, w czwartek, George Berenson wyszedł z ministerstwa o zwykłej porze, złapał taksówkę i udał się do St John's Wood. Przy High Street w tej parafii znajdowała się lodziarnia połączona z kawiarenką, gdzie panowała trochę wiejska atmosfera. Urzędnik Ministerstwa Obrony wszedł do środka, usiadł i zamówił

lody z owocami i śmietanką, jedną ze specjalności zakładu.

John Preston siedział w suterenie przy Cork Street, gdzie mieściła się centrala łączności radiowej, i słuchał meldunku dowódcy zespołu cichociemnych. Nadawał

Len Steward kierujący zespołem "A".

- Dwóch moich ludzi jest w środku - zameldował - dwóch następnych obok na ulicy. Plus dwa samochody.

- Co on tam robi? - spytał Preston.

- Stąd nie widzę - powiedział Steward przez własny nadajnik. - Muszę poczekać, aż moi ludzie wewnątrz znajdą sposobność, żeby mi to przekazać.

Tymczasem, pan Berenson, wciśnięty w kąt przepierzenia oddzielającego stoliki, zjadał lody z owocami i śmietanką kończąc rozwiązywać krzyżówkę w egzemplarzu "Daily Telegraph", który wyjął uprzednio ze swojej dyplomacji. Nie zwracał uwagi na ubraną w jeans od stóp do głów parę studentów migdalących się w kącie.

Po upływie trzydziestu minut Berenson poprosił o rachunek, poszedł z nim do kasy, zapłacił i wyszedł.

- Jest z powrotem na ulicy - zameldował Len Steward - moja dwójka została w środku. Idzie wzdłuż

High Street. Chyba szuka taksówki. Teraz widzę moją dwójkę wewnątrz lodziarni. Płacą przy kasie.

- Możesz się dowiedzieć, co on tam robił? - spytał Preston. W całym epizodzie było coś dziwnego, pomyślał. To akurat mogła być specjalistyczna lodziarnia, ale w Mayfair i na West End, w prostej linii od ministerstwa do Belgravia były przecież inne. Po co jechać na północ od Regent's Park do St Johns Wood, żeby zjeść lody?

Z nadajnika ponownie dobiegł głos Stewarda. - Nadjeżdża taksówka.

Zatrzymuje ją. Nie rozłączaj się, są już moi ludzie z lodziarni.

Po krótkiej przerwie w nadawaniu, usłyszał:

- Wychodzi na to, że zjadł lody, skończył krzyżówkę w "Daily Telegraph", zapłacił i wyszedł.

- Gdzie jest ta gazeta? - spytał Preston.

- Zostawił ją kiedy skończył... Chwileczkę... Potem przyszedł właściciel lodziarni, wytarł stolik, zabrał brudną miseczkę i gazetę do pomieszczeń kuchennych... Siedzi w taksówce która powoli odjeżdża. Co robimy... zostajemy przy nim?

Preston myślał jak szalony. Harry Burkinshaw i zespół "B" dostali kilka dni odpoczynku po zdjęciu ich z karku sir Richarda Petersa. Całymi tygodniami pracowali na deszczu, w zimnie i we mgle. Teraz tylko jeden zespół był na służbie. Jeżeli podzieli zespół i zgubi Berensona, który spotka swój kontakt gdzie indziej, Harcourt-Smith każe z niego drzeć pasy. Podjął decyzję.

- Len, niech jeden wóz z kierowcą siedzi na ogonie taksówce. Wiem, że to nie wystarczy kiedy zechce się wysliznąć na piechotę, ale kieruj resztę ludzi do lodziarni.

- Zrobi się - powiedział Len Steward i przerwał łączność.

Preston miał szczęście. Taksówka pojechała prosto do klubu Berensona na West End i tam go zostawiła. Obserwowany wszedł do środka, ale jego kontakt 8

może już tam być, pomyślał Preston.

Len Steward wszedł do lodziarni i posiedział tam do zamknięcia popijając kawę i czytając "The Standard". Nic się nie wydarzyło. Przed zamknięciem poproszono, żeby wyszedł i tak zrobił. Czterej ludzie z jego zespołu, powyżej i poniżej lodziarni widzieli jak personel wychodzi z pracy, jak właściciel zamyka zakład, i jak pogasły światła.

Z Centrali przy Cork Street Preston usiłował załatwić podsłuch na telefonie lodziarni i "wygrzebać" coś o jej właścicielu. Okazał się nim signor Benotti, legalny imigrant z Neapolu prowadzący życie bez najmniejszej skazy przez dwadzieścia lat.

Do północy miał podsłuch telefoniczny w lodziarni i na prywatnym telefonie Benotti'ego w Swiss Cottage. Rezultaty były żadne.

Preston spędził bezsenłą noc przy Cork Street. O ósmej wieczorem zjawiła się zmiana Stewarda, która obserwowała lodziarnię i dom Benottiego przez całą noc. O

dziewiątej rano w piątek Benotti poszedł pieszo do lodziarni i o dziesiątej otworzył interes. O tej samej godzinie inwigilację przejął Len Steward wraz z dzienną zmianą.

O jedenastej Steward zameldował.

- Przed frontowymi drzwiami stoi mały samochód dostawczy - powiedział

Prestonowi. - Zdaje się, że kierowca ładuje do samochodu galonowe pojemniki z lodami. Wygląda, że prowadzą dostawę do domu klienta.

Preston mieszał dwudziestą filiżankę okropnej kawy. W głowie miał watę z braku snu.

- Wiem - stwierdził - ktoś już o tym wspominał przez telefon. Niech jeden samochód i dwóch ludzi zostanie, żeby pilnować bagażówki. Niech zanotują każdego odbiorcę który otrzymał dostawę.

- To mi zostawia jeden samochód i dwóch ludzi, włącznie ze mną, tutaj -

zauważył Steward. - Robi się tu cholernie cienko.

- Na Charles Street właśnie odbywa się giełda. Spróbuję załatwić jeszcze jeden zespół - oświadczył Preston.

Tego ranka furgonetka dostarczyła lody do dwunastu klientów, wszyscy mieszkali w rejonie St John's Wood-Swiss Cottage, a dwa adresy sięgały na południe aż do Marylenbone. Niektóre dostawy były do bloków mieszkalnych, gdzie Cichociemnym niełatwo było pozostać niezauważonymi, ale zdołali zanotować wszystkie adresy. Furgonetka wróciła do lodziarni.

Po południu nie było żadnych dostaw do domu.

- Możesz podrzucić tę listę na Cork Street w drodze do domu? - Preston spytał

Stewarda.

Tego samego wieczoru zespół prowadzący podsłuch telefoniczny zameldował, że Berenson miał cztery telefony kiedy był w domu, włącznie z jednym, w którym okazało się, że ktoś pomylił numer. Gospodarz sam nigdzie nie dzwonił. Wszystkie rozmowy były nagrane na taśmie. Czy Preston nie zechciałby przesłuchać taśmy? Nie było na niej nic podejrzanego. Pomyślał, że i tak może przesłuchać nagranie.

W sobotę rano Preston spróbował trudnego przedsięwzięcia opartego na daleko idącej supozycji. Uzbrojony w magnetofon, przygotowany odpowiednio przez ludzi z technicznego wsparcia, stosując różne wymówki dla gospodarzy, zatelefonował do każdego odbiorcy lodów, prosząc do telefonu męża, jeżeli telefon odebrała kobieta. Ponieważ była sobota, wszyscy prócz jednego byli w domu.

Jeden głos wydał mu się jakby znajomy. Co to było? Odcień akcentu? Gdzie już go słyszał? Sprawdził nazwisko gospodarza, ale nic mu nie mówiło.

W zamyśleniu jadł lunch w kawiarni niedaleko Cork Street. Skojarzenie przyszło mu do głowy przy kawie. Pośpiesznie wrócił na Cork Street i ponownie przesłuchał taśmy. Możliwe; nie definitywne, ale możliwe.

Wśród rozlicznych urzędów swojego wydziału kryminalistyki, Scotland Yard posiada sekcję analizy głosu, która jest przydatna kiedy "obiekt" przestępczy, którego telefon jest na podsłuchu, zaprzecza, że głos na danej taśmie należy do niego. MI-5, nie mając takich udogodnień, musi polegać w takich przypadkach na Scotland Yardzie, a współpraca tego rodzaju jest realizowana zwykle przez Wydział Specjalny.

Preston zatelefonował do detektywa sierżanta Landera, zastał go w domu i to właśnie Lander zorganizował priorytetowe spotkanie w sekcji analizy głosu Scotland Yardu tego samego popołudnia. Tylko jeden technik był osiągalny; wściekły, że musi przerwać oglądanie meczu futbolowego w telewizji, żeby przyjść do pracy, zdecydował się w końcu na przyjście. Chudy młokos w okularach z mocnymi soczewkami przegrał taśmy Prestona z pół tuzina razy, obserwując świecący wykres na ekranie oscyloskopu, wznoszący się i opadający przy najdrobniejszej zmianie nasilenia i barwy głosu.

- Ten sam głos - oznajmił w końcu - nie ma najmniejszych wątpliwości.

W niedzielę Preston zidentyfikował właściciela głosu z akcentem przy pomocy Listy Dyplomatycznej. Zatelefonował również do przyjaciela na wydziale nauk ścisłych Londyńskiego Uniwersytetu, zepsuł mu wolny dzień prosząc o poważną przysługę i, na koniec, zatelefonował do domu Sir Bernarda Hemmingsa w Surrey.

- Sądzę, że mam coś, co powinniśmy przedstawić Komitetowi Paragon, sir -
oświadczył. - Na przykład jutro rano.

Komitet Paragon zebrał się o jedenastej i sir Anthony Plumb zwrócił się do Prestona, żeby przedstawił swój raport. Panowała atmosfera oczekiwania mimo tego, że sir Bernard Hemmings miał grobową minę.

Preston, streszczając się maksymalnie, przedstawił wydarzenia pierwszych dwóch dni po rozdysponowaniu opracowania na temat Wyspy Wniebowstąpienia.

Zainteresowanie zebranych wzbudziła wiadomość o tym, że Berenson wykonał dziwny i bardzo krótki telefon z ulicznej budki telefonicznej w środę wieczorem.

- Czy nagraliście tę rozmowę? - spytał Sir Peregrine Jones.

- Nie, sir, nie mogliśmy podejść dostatecznie blisko - odparł Preston.

- Po co więc wykonał ten telefon?

- Sądzę, że pan Berenson zawiadomił swojego kontrolera o zbliżającym się przekazaniu materiału, prawdopodobnie posługując się szyfrem określającym czas i miejsce.

- Macie na to jakiś dowód? - spytał Hubert Villiers z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

- Nie, sir.

Preston opisał następnie wypad do lodziarni, pozostawienie na stoliku egzemplarza "Daily Telegraph", jak również fakt zabrania gazety osobiście przez właściciela zakładu.

- Czy udało się wam odzyskać gazetę? - spytał Paddy Strickland.

- Nie, sir, wtargnięcie do lodziarni w tym momencie mogło spowodować aresztowanie Benotti'ego i, być może, Berensona. Benotti mógłby przysiąc, że jest zupełnie niewinny, gdyż nie miał pojęcia, że w gazecie coś jest, a Berenson mógł się jedynie przyznać, że popełnił okropną nieostrożność.

- Ale pana zdaniem przekazanie materiału miało miejsce w lodziarni? - spytał

Plumb.

- Jestem tego pewien - rzekł sucho Preston. Opowiedział o dostawie galonowych pojemników z lodami do domów klienta następnego ranka, o tym jak zdobył próbki głosu jedenastu odbiorców, jak również o "pomyłkowym" telefonie, który Berenson odebrał tego samego wieczoru.

- Głos człowieka, który wtedy wykręcił jego numer i ustalił, że uzyskał

połączenie, a potem przeprosił i się rozłączył - był głosem jednego z odbiorców dostawy do domu.

Przy stole zapanowało milczenie.

- Czy mógł to być zbieg okoliczności? - spytał z powątpiewaniem Hubert Villiers. - W tym mieście jest mnóstwo pomyłkowych połączeń telefonicznych. Sam ciągle odbieram takie pomyłkowe telefony.

- Wczoraj skonsultowałem się z przyjacielem, który ma dostęp do komputera -

odparł Preston spokojnie. - Komputer wyliczył, że istnieje jedna szansa na ponad milion, żeby człowiek w dwunastomilionowym mieście, który idzie do lodziarni na lody owocowe ze śmietanką, a ta lodziarnia następnego dnia rano dostarcza lody do domu dwunastu klientów, odebrał przed północą tego samego dnia pomyłkowy telefon od jednego z tych klientów. Telefon wykonany w piątek wieczorem był

potwierdzeniem bezpiecznego otrzymania przekazanych materiałów.

- Proszę słuchać, czy dobrze to zrozumiałem - wtrącił się Perry Jones. -

Berenson dostał z powrotem od swoich trzech kolegów fotokopie mojego fikcyjnego opracowania i udał, że je wszystkie zniszczył. W rzeczywistości, jedną zatrzymał.

Włożył ją w gazetę, którą pozostawił w lodziarni. Właściciel zakładu zawinął tajny dokument w plastik i następnego ranka dostarczył go w pojemniku z lodami do domu kontrolera. Kontroler dał znać Berensonowi, że przesyłkę otrzymał.

- Według mnie, tak właśnie było - stwierdził Preston.

- Jedna szansa na milion - zastanawiał się Plumb. - Nigel, co o tym sądzisz?

Szef SIS zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie wierzę w szansę jedną na milion - powiedział. - Nie w naszej branży, co, Bernard? To był regularny przerzut, od źródła do kontrolera via pan Benotti. John Preston trafił w dziesiątkę. Moje gratulacje. Nasz człowiek to Berenson.

- Co zrobiono dalej od chwili ustalenia tego kontaktu, panie Preston? - spytał

sir Anthony.

- Przeniosłem inwigilację z Berensona na jego kontrolera - odparł Preston. -

Zidentyfikowałem go. Dziś rano dołączyłem do cichociemnych i śledziłem go od mieszkania w Marylebone, jest kawalerem i mieszka sam, aż do biura. To zagraniczny dyplomata. Nazywa się Jan Marais.

- Jan? Chyba czeskie imię - zauważył Jones.

- Niezupełnie - wycedził Preston posępnie. - Jan Marais jest akredytowanym dyplomatą należącym do personelu ambasady Republiki Afryki Południowej.

Nastąpiła pełna zaskoczenia i niedowierzania cisza. Sir Paddy Strickland, którego język nie był przedmiotem zazdrości dyptomatów, zaklął półgłosem: - Jasna cholera.

Wszystkie oczy zwróciły się na Nigela Irvina. Siedział przy końcu stołu do głębi poruszony. Jeżeli to prawda, pomyślał, wyrwę mu jaja na oliwki do cocktailu.

Miał na myśli generała Henry'ego Pienaara, szefa Południowo-afrykańskiej Narodowej Służby Wywiadowczej CNJS, która była sukcesorką nieodżałowanej BOSS. Wynajęcie przez Południowych Afrykanerów kilku londyńskich rzezimieszków, żeby włamali się do archiwów Afrykańskiego Kongresu Narodowego, to była jedna sprawa, ale prowadzenie szpiega w samym środku brytyjskiego Ministerstwa Obrony - oznaczało wypowiedzenie wojny między wywiadami.

Sądzę, panowie, że z waszym łaskawym przyzwoleniem, muszę prosić o kilka dni na nieco dokładniejsze rozpoznanie tej sprawy - oświadczył Nigel.

Dwa dni później, czwartego marca, jeden ze starszych rangą ministrów Gabinetu, któremu pani Thatcher zwierzyła się poufnie ze swojego zamiaru kandydowania we wczesnych wyborach powszechnych, jadł śniadanie z żoną w ich eleganckim miejskim domu w Holland Park, Londyn. Żona wertowała plik broszurek polecających atrakcyjne spędzenie urlopu.

- Korfu jest przyjemna - zaczęła - albo Kreta.

Nie słysząc odpowiedzi, dalej upierała się przy temacie.

- Kochanie, tego lata powinniśmy spróbować wyjechać na dwa tygodnie pełnego wypoczynku. Przecież już od dwóch lat nigdzie nie byliśmy. Może by tak w czerwcu? Przed sezonem, ale pogoda jest wtedy najlepsza.

- Czerwiec odpada - oznajmił minister nie podnosząc wzroku.

- Ale czerwiec jest piękny - zaprotestowała.

- Czerwiec odpada - powtórzył - każdy inny miesiąc, ale nie czerwiec.

Jej oczy rozszerzyły się. - Dlaczego czerwiec jest taki ważny?

- Nieważne.

- Ty stary, szczwany lisie - powiedziała bez tchu. - Chodzi o Margaret, prawda. Tylko mała, prywatna rozmówka w Chequers w zeszłą sobotę. Chciała pojechać na wieś odpocząć. Akurat ci uwierzyłam.

- Sza - próbował ją uspokoić, ale po dwudziestu pięciu wspólnie przeżytych latach wiedziała, kiedy ma rację.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Emma, ich córka, stoi w drzwiach. -

Wychodzisz, skarbie? - zapytała.

- Taa - odparła niechętnie dziewczyna - do zobaczenia.

Emma Lockwood miała dziewiętnaście lat, studiowała sztukę w college'u, i z pełnym młodzieńczym entuzjazmem rzuciła się w wir radykalnej polityki.

Nienawidziła politycznych przekonań swojego ojca i stylem życia starała się przeciwko nim protestować. Mimo sprzeciwu rodziców nie opuściła żadnej demonstracji przeciwko broni nuklearnej. Jedną z form jej osobistego protestu było spanie z Simonem Devine, wykładowcą w politechnicznym college'u, którego poznała w czasie jednej z demonstracji.

Daleko mu było do wspaniałego kochanka, ale imponował jej płomiennym trockizmem i patologiczną nienawiścią do "burżuazji", która, jak się wydawało, obejmowała wszystkich którzy nie zgadzali się z jego przekonaniem. Ci którzy nie zgadzali się bardziej skutecznie niż burżuazja, mieli łatkę

faszystów. Tego wieczoru, w jego kawalerce, zwierzyła mu w tajemnicy to, co udało jej się podsłuchać stojąc w drzwiach pokoju, gdzie rodzice jedli śniadanie.

Devine był członkiem kilku rewolucyjnych grup studenckich i pisał artykuły do agitek skrajnej lewicy, które były pełne ognia, ale nakład miały niewielki. Dwa dni później powtórzył drogocenną wiadomość, uzyskaną od Emmy Lockwood, podczas rozmowy z jednym z redaktorów, małej, jednoarkuszowej gazetki, dla której wysmażył artykuł wzywający wszystkich, miłujących wolność robotników fabryki samochodów w Cowley, do zniszczenia linii produkcyjnej z powodu wyrzucenia jednego z nich z pracy na zbity łeb za kradzież.

Redaktor poradził Devine'owi, że plotka nie wystarczy do opublikowania artykułu na ten temat, ale miał omówić tę informację z kolegami i doradził Simonowi, żeby zatrzymał wiadomość dla siebie. Kiedy Devine wyszedł, redaktor rzeczywiście, omówił sprawę z jednym z kolegów, swoim łącznikiem, a ten z kolei przekazał to do kontrolera w rezydenturze KGB wewnątrz ambasady radzieckiej. Dziesiątego marca informacja dotarła do Moskwy. Devine byłby przerażony. Jako gorący zwolennik wzywania Trockiego do natychmiastowej, światowej rewolucji, nienawidził Moskwy i wszystkiego, czego była symbolem.

Sir Nigelem wstrząsnęło ujawnienie faktu, że jeden z najniebezpieczniejszych szpiegów w brytyjskim establishmencie był prowadzony przez południowo afrykańskiego dyplomatę i zdecydował się na jedyną opcję jaka mu pozostała -

bezpośrednie zwrócenie się po wyjaśnienia do południowo afrykańskiej NIS.

Powiązanie pomiędzy brytyjską SIS i południowo afrykańską NIS (i jej poprzedniczką BOSS) mogło być określone przez polityka każdego z tych krajów jako nieistniejące. Bliższe prawdy byłoby określenie "na odległość wyciągniętej ręki".

Powiązanie istnieje, ale z przyczyn politycznych nie jest łatwe.

Ze względu na powszechną niechęć do doktryny apartheidu, kolejne rządy brytyjskie zawsze kręciły nosem na to powiązanie rządu Partii Pracy bardziej niż konserwatyści. Za kadencji labourzystów, w latach 1964--1979, pozwolono na istnienie tego powiązania, o dziwo, z powodu zagmatwanej sytuacji w Rodezji.

Premier labourzystów, Harold Wilson, zgadzał się z tym, że potrzebuje wszystkich możliwych informacji o Rodezji Iana Smitha, żeby nałożyć swoje sankcje, a większość danych była w rękach Południowych Afrykanerów. Zanim było po wszystkim, Konserwatyści wrócili do władzy w maju 1979 i współpraca była kontynuowana, tym razem z powodu kłopotów w Namibi i Angoli, gdzie, co trzeba przyznać, Południowi Afrykanerzy mieli swoje siatki.

Ponadto, powiązanie działało w obie strony. To Brytyjczycy dostali cynk od Niemców Zachodnich o wschodnioniemieckich powiązaniach żony południowoafrykańskiego komandora, Dietera Gerhardta - został później aresztowany jako szpieg radzieckiego bloku. Brytyjczycy uprzedzali również Południowych Afrykanerów o parze radzieckich "nielegalnych", kierujących się do Południowej Afryki; mieli do dyspozycji encyklopedyczne akta dotyczące tego rodzaju gentlemanów.

Nieprzyjemny zgrzyt nastąpił w 1967 roku, kiedy jeden z agentów BOSS, niejaki Norman Blackburn, pracujący jako barman w Zambezi Club, wypróbował

swój talent uwodziciela na jednej z Ogrodowych Dziewcząt. Są to sekretarki pracujące na Downing Street 10, nazywane tak, ponieważ pracują w pokoju z widokiem na ogród.

Zakochana po uszy Helen (imię wystarczy, ponieważ dawno już założyła własną rodzinę) przekazała Blackburnowi kilka tajnych dokumentów zanim romans się wydał. Zepsuło to powietrze i utwierdziło Harolda Wilsona w przekonaniu, że cokolwiek się nie udało, od korkowanego wina do marnego urodzaju, winna była BOSS.

Później współpraca przybrała bardziej cywilizowaną formę. I tak, Brytyjczycy mają szefa placówki wywiadowczej, o którym NIS jest poinformowana, normalnie rezydującego w Johannesburgu. Brytyjczycy nie stosują żadnych "czynnych środków" na terytorium Południowej Afryki. Afrykanerzy mają kilku agentów w ambasadzie w Londynie, o których wie SIS, i kilku poza ambasadą, z których MI-5 nie spuszcza oka.

Zadaniem tych drugich jest śledzenie na bieżąco działalności rozmaitych południowoafrykańskich organizacji rewolucyjnych jak ANC, SWAPO itd... Jak długo Afrykanerzy ograniczają swoje działanie do tego obszaru, pozostawieni są sami sobie.

Właśnie brytyjski szef placówki wywiadowczej w Johannesburgu postarał się o osobiste widzenie z generałem Henrym Pienaaem i zameldował Londynowi o tym, co szef NIS miał mu do powiedzenia. Sir Nigel zwołał zebranie Komitetu Paragon na dziesiątego marca.

- Wielki i łaskawy generał Pienaar zaklina się na wszystko co dla niego jest święte, że nic nie wie o Janie Marais. Twierdzi, że Marais nigdy dla niego nie pracował i nie pracuje.

- Mówi prawdę? - spytał Paddy Strickland.

- W tej grze nigdy nie należy na to liczyć - powiedział Irvine. - Ale może tak być. Po pierwsze, wiedziałby już od trzech dni, że zdemaskowaliśmy Maraisa. Jeśli Marais to jego człowiek, wiedziałby, że nasza zemsta byłaby bezlitosna. Nie ruszył

stąd żadnego ze swoich ludzi, co, jak sędzę, by zrobił gdyby był winny.

- Więc czym, do diabła jest Marais? - zdenerwował się Jones.

- Pienaar twierdzi, że chciałby o tym wiedzieć tak samo jak my - odpowiedział

"C". - W rzeczy samej, zgodził się na moje życzenie, aby jeden z naszych dochodzeniowych zapolował wspólnie z jego ludźmi. Chcę tam kogoś wysłać.

- Jak obecnie stoimy ze sprawą Berensona i Maraisa? - spytał Plumb Harcourt-Smitha reprezentującego "piątkę".

- Obaj są pod dyskretną obserwacją, ale nic nie zrobiono, żeby im się dobrać do skóry. Żadnych

włamań do ich mieszkań. Tylko kontrola poczty, podsłuch telefoniczny i cichociemni przez całą dobę - odparł wiceszef "piątki".

- Ile czasu ci potrzeba, Nigel? - spytał Plumb.

- Dziesięć dni.

- Niech będzie, ale nie więcej. Za dziesięć dni musimy przyskrzynić Berensona tym co mamy i rozpocząć ocenę strat z jego dobrowolną lub niedobrowolną współpracą.

Następnego dnia Sir Nigel Irvine zatelefonował do Hemmingsa do domu pod Farnham, gdzie choroba zamknęła go w czterech ścianach.

- Bernard, chodzi mi o tego twojego człowieka, Prestona. Wiem, że to trochę niezwykle - mógłbym wysłać jednego z moich ludzi i tak dalej. Ale podoba mi się jego styl. Możesz go wypożyczyć na ten wypad do Południowej Afryki?

Sir Bernard wyraził zgodę. Preston odleciał do Johannesburga w nocy z 12 na 13 marca. Wiadomość o jego wyjeździe dotarła do Briana Harcourt-Smitha, gdy samolot znajdował się już w powietrzu. Był zły jak cholera, ale wiedział, że decyzję podjęto na wyższym szczeblu.

Komitet Albion zameldował się do sekretarza generalnego wieczorem, dwunastego i został przyjęty w jego mieszkaniu na Prospekcie Kutuzowa.

- I co, proszę was, macie dla mnie? - cicho spytał radziecki przywódca.

Profesor Kryłow, jako przewodniczący komitetu, zrobił gest w stronę arcymistrza Rogowa, który otworzył leżący przed nim folder i zaczął czytać.

Jak zawsze w obecności sekretarza generalnego, Philby odczuwał szacunek, lęk nawet, wywołane przez nieokiełznaną, bezgraniczną władzę tego człowieka. W

czasie badań naukowych, przeprowadzanych przez Komitet, samo wymienienie jego nazwiska, jako nieodwołalnego autorytetu, umożliwiło im załatwienie wszystkiego, czego potrzebowali, bez zadawania najmniejszych pytań. Jako student mechanizmu władzy i jej użycia, Philby podziwiał bezwzględny i przebiegły sposób, w jaki Sekretarz Generalny zapewnił sobie absolutną władzę nad najdrobniejszym pędem życia w Związku Radzieckim.

Wiele lat wcześniej, kiedy powierzano mu kluczową pozycję przewodniczącego KGB był człowiekiem nie Breżniewa, lecz niezbyt znanego ogółowi "twórcy królów" w Biurze Politycznym, ideologa partii, Michaiła Susłowa.

W oparciu o tę cząstkową niezależność od Breżniewa i swoją osobistą klikę postarał

się o to, że KGB nigdy nie stała się potulnym pieskiem Breżniewa. Kiedy w maju 1982 roku, gdy Susłow już nie żył, a Breżniew był umierający, odszedł z KGB, żeby ponownie zasiąść w Komitecie Centralnym. Nie popełnił tego samego błędu co jego poprzednik.

Fotel przewodniczącego KGB przydzielił generałowi Fiedorczukowi, który był

jego osobistym zausznikiem. Działając wewnątrz partii, sekretarz generalny umocnił

swoją pozycję w Komitecie Centralnym i cierpliwie przeczekał krótkie ery panowania Andropowa i Czernienki, aż do momentu ewentualnego wyniesienia na najwyższe stanowisko. W ciągu kilku miesięcy od tego awansu zagarnął dla siebie wszystkie źródła władzy: partię, siły zbrojne, KGB i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, MWD. Mając wszystkie asy w ręku zabezpieczył się przed opozycją lub spiskiem.

- Obmyśliliśmy plan, towarzyszu sekretarzu generalny - powiedział Rogow, używając formalnego tytułu, ponieważ nie byli sami. - Jest to konkretny plan, czynny środek, propozycja spowodowania takiej destabilizacji wśród Brytyjczyków, że błędnie przy niej Sarajewo i pożar w Berlińskim Reichstagu. Nazwaliśmy go Planem Aurora.

Przeczytanie wszystkich szczegółów zabrało mu godzinę. Od czasu do czasu podnosił oczy, żeby dostrzec jakąś reakcję ze strony słuchającego, ale sekretarz generalny był mistrzem nad mistrze znacznie bardziej skomplikowanej gry niż szachy i z jego twarzy nie można było nic wyczytać. W końcu, dr Rogow skończył. Wszyscy czekali w milczeniu.

- Jest z tym związane pewne ryzyko - powiedział sekretarz generalny cicho. -

Jakie są gwarancje, że plan nie wybuchnie nam w ręku jak pewne... inne operacje?

Nie wypowiedział tego słowa, ale wszyscy wiedzieli co ma na myśli. W czasie ostatniego roku swojej kadencji w KGB został głęboko wstrząśnięty ponurym niepowodzeniem w sprawie Wojtyły. Potrzeba było trzech lat, żeby gromy i oskarżenia ucichły, a sprawa spowodowała taki rozgłos na całym świecie, jakiego ZSRR z pewnością nie potrzebował.

Wczesną wiosną 1981 roku bułgarska tajna służba zameldowała, że jej agenci, złowili wśród tureckiej społeczności w Niemczech Zachodnich, dziwną rybę. Z

powodów etnicznych, kulturalnych i historycznych, Bułgarzy, najbardziej lojalni i usłudni ze wszystkich satelitów Rosji, byli głęboko zaangażowani w sprawy Turcji i Turków. Człowiek który wpadł im w ręce był zaprzysiężonym terrorystą.

Wyszkolonym przez skrajną lewicę w Libanie; mordercą, zaangażowanym przez tureckich ultrapravicowych Szarych Wilków, uciekinierem z tamtejszego więzienia.

Przepelniało go obsesyjne pragnienie zabicia papieża. Czy mają wrzucić Mehmeta Ali Agcę z powrotem do oceanu, czy też zaopatrzyć go w fundusze, fałszywe dokumenty, broń i niech próbuje?

W normalnych okolicznościach odpowiedź KGB byłaby ostrożna: zabić go.

Ale okoliczności nie były normalne. Karol Wojtyła, pierwszy polski papież jakiego miał świat, stanowił jedno z poważniejszych zagrożeń. W Polsce wrzało; komunistyczna władza mogła w każdej chwili być rozszarpana na kawałki przez dysydencki ruch Solidarność.

Wojtyła już raz odwiedził Polskę, a wyniki tej wizyty były, z radzieckiego punktu widzenia, katastrofalne. Należało go powstrzymać lub zdyskredytować. KGB

odpowiedziało Bułgarom: działajcie, ale my nie chcemy o niczym wiedzieć. W maju 1981 z pieniędzmi, fałszywymi dokumentami i bronią, Agca został wysłany pod eskortą do Rzymu, gdzie skierowano go we właściwym kierunku i darowano mu głowę. W rezultacie wielu straciło swoje.

- Z całym należnym szacunkiem, ale nie sądzę, że te dwie operacje można porównać - powiedział dr Rogow, który był głównym autorem Planu Aurora i zamierzał go bronić. - Sprawa Wojtyły nosiła cechy katastrofy z trzech powodów: obiekt nie zginął; zamachowiec został wzięty żywcem; a co najważniejsze, w całej operacji brakowało, na miejscu wykonania, wysoce rozwiniętej dezinformacji, która pozwoliłaby zrzucić całą winę na ekstremalną prawicę włoską lub amerykańską.

Brakowało powracającej fali niosącej ze sobą wiarygodne dowody, dostępne środkom masowego przekazu, które przekonałyby świat, że to właśnie prawica stała za Agcą.

Sekretarz generalny pokiwał głową jak stary jaszczur.

- W przypadku tego planu - kontynuował Rogow - sytuacja jest inna. Każde stadium ma zabezpieczenia dla nieprzewidzianych sytuacji i ślepe końce. Wykonawcą ma być najwyższej klasy zawodowiec, który sam pozbawi się życia zanim zostanie pojmany. Wszystkie fizyczne przedmioty mają niewinny wygląd i żaden nie wskazuje na to, że zostały wykonane w ZSRR. Oficer odpowiedzialny za realizację planu nie może przeżyć jego wykonania. Istnieją jeszcze podplany prowadzące do złożenia winy w sposób zdecydowany i przekonywujący na Amerykanów.

Sekretarz generalny zwrócił się do generała Marczenko. - Czy to zda egzamin?

- zapytał.

Trzej członkowie komitetu czuli się nieswojo. Byłoby im łatwiej uchwycić w lot reakcję sekretarza generalnego, a potem się z nią zgodzić. Ale nie dał nic po sobie poznać.

Marczenko nabrał głęboko powietrza i skinął głową. - Plan jest wykonalny -

zgodził się. - Sądzę, że uruchomienie go zajęłoby od dziesięciu do szesnastu miesięcy.

- Towarzyszu Pułkowniku? - spytał sekretarz generalny Philby'ego.

Jąkanie Philby'ego było coraz wyraźniejsze w miarę mówienia. Zawsze tak reagował pod wpływem stresu. - Jeżeli chodzi o ryzyko, to nie jestem tym, który może je najlepiej ocenić. To samo dotyczy mojej znajomości przedmiotu, jeżeli chodzi o techniczną wykonalność. Co do skutków - bez wątpienia skłoni to dziesięć procent brytyjskich wyborców do tego, żeby oddali głosy na Partię Pracy.

- Towarzysz profesor Kryłow?

- Muszę się temu przeciwstawić, towarzyszu sekretarzu generalny. Uważam plan za niezwykle

ryzykowny i w wykonaniu i w ewentualnych konsekwencjach. Jest całkowicie sprzeczny z warunkami Czwartego Protokołu. Jeżeli te zostaną kiedykolwiek pogwałcone, wszyscy możemy ucierpieć.

Sekretarz generalny wydawał się być pogrążony w rozmyślaniach, których nikt nie śmiał zakłócić. Oczy zasłonięte powiekami przez parę minut pozostawały pełne zadumy, za połyskującymi szklami okularów. Po chwili uniósł głowę. - Poza tym pokojem nie ma żadnych notatek, nagrań magnetofonowych ani najmniejszych skrawków tego planu?

- Żadnych - przytaknęli czterej członkowie komitetu.

- Zbierzcie teczki i foldery i podajcie je tutaj - rozkazał sekretarz generalny.

Kiedy polecenie zostało wykonane, kontynuował swoim zwykłym, monotonnym głosem. - Cały plan jest nierozważny, szalony, awanturniczy i niebezpieczny jak to tylko możliwe - zaczął. Ten komitet zostaje rozwiązany. Macie wrócić do swojej pracy i nigdy słowem nie wspomnieć ani o Komitecie Albion ani o Planie Aurora.

Nadal siedział na swoim miejscu ze wzrokiem utkwionym w stół, kiedy czterej potulni, upokorzeni mężczyźni wychodzili jeden za drugim. Unikając nawzajem swojego wzroku, w milczeniu założyli płaszcze i kapelusze i zostali odprowadzeni na dół do swoich samochodów.

Na pustym dziedzińcu każdy wsiadł do własnego auta. Siedząc w swojej wołdze, Philby czekał, aż kierowca Gregoriew zapuści silnik, ale ten po prostu siedział za kierownicą. Pozostałe trzy limuzyny przesunęły się przez dziedziniec i pod sklepieniem bramy wjazdowej wyjechały na bulwar. Ktoś zapukał o szybę. Philby opuścił ją i ujrzał twarz majora Pawłowa.

- Pozwólcie ze mną, proszę, towarzyszu pułkowniku.

Serce Philby'ego zamarło. Zrozumiał teraz, że zbyt dużo wiedział; był

jedynym obcokrajowcem w tej grupie. Sekretarz generalny znany był z tego, że wiązał

luźne końce raczej permanentnie. Poszedł z powrotem do budynku za majorem Pawłowem. Dwie minuty później wprowadzono go z powrotem do bawialni sekretarza generalnego. Stary człowiek nadal siedział w wózku inwalidzkim przy długim stole do kawy. Gestem zaprosił Philby'ego, żeby usiadł. Drżąc na całym ciele, brytyjski zdrajca zajął wskazane miejsce.

- Co naprawdę sądzisz o tym planie? - miękko zapytał sekretarz generalny.

Philby z trudem przełknął ślinę.

- Pomysłowy, śmiały, ryzykowny, ale jeżeli się powiedzie, skuteczny -

stwierdził.

- Jest genialny - oświadczył półgłosem stary przywódca. I zostanie urzeczywistniony pod moim osobistym patronatem. Będzie to tylko wyłącznie moja operacja, a ty będziesz w niej bezpośrednio

zaangażowany.

- Czy mogę spytać o jedną rzecz? - Philby zebrał się na odwagę.

- Dlaczego ja? Jestem obcokrajowcem; mimo tego, że przez całe życie służyłem Związkowi Radzieckiemu i przeżyłem tutaj jedną trzecią mojego życia - to i tak nim jestem.

- I właśnie o to chodzi - odparł sekretarz generalny. - Nikt prócz mnie za tobą nie stoi. Nie mógłbyś zacząć spiskować przeciwko mnie. Na jakiś czas rozstaniesz się z żoną i rodziną. Zwolnisz kierowcę. Zamieszkas w pokojach gościnnych w mojej dacy w Usowie. Następnie stworzysz zespół, który wprowadzi w życie Plan Aurora.

Otrzymasz wszelkie uprawnienia jakie będą ci niezbędne: będą wychodziły z mojego biura w Komitecie Centralnym. Sam nigdy nie będziesz się pokazywał.

Nacisnął brzęczek pod stołem.

- Przez cały czas będziesz pracować pod okiem tego człowieka. Sądzę, że go znasz.

Drzwi otworzyły się. Pojawiło się w nich zimne oblicze majora Pawłowa.

- Jest bardzo inteligentny i niezwykle podejrzliwy - oświadczył sekretarz generalny z aprobatą. - Jest także absolutnie lojalny. Tak się składa, że to mój kuzyn.

Kiedy Philby wstawał, żeby pójść za majorem, sekretarz generalny podał mu kawałek kartki. Była to notatka z Pierwszego Naczelnego Zarządu, przeznaczona osobiście dla sekretarza generalnego KPZR. Philby spojrzał z niedowierzaniem.

- Tak - odparł na milczące pytanie sekretarz - otrzymałem to wczoraj. Nie będziesz miał tych dziesięciu czy szesnastu miesięcy, o których wspomniał generał

Marczenko. Okazuje się, że pani Thatcher zamierza wykonać swój ruch w czerwcu.

Nasz musimy wykonać tydzień wcześniej.

Philby powoli wypuścił powietrze. W 1917 trzeba było dziesięciu dni, żeby przeprowadzić Rewolucję Październikową. Brytyjski farbowany lis wszechczasów miał do dyspozycji dokładnie dziewięćdziesiąt dni, żeby zapewnić powodzenie rewolucji w Wielkiej Brytanii.

Część druga

9

Gdy John Preston lądował na Lotnisku Jana Smutsa trzynastego, czekał na niego Dennis Grey, szef posterunku, wysoki, chudy blondyn. Z tarasu obserwowało jego przybycie dwóch ludzi z południowoafrykańskiej NIS, którzy jednak nie podeszli bliżej.

Kontrola celna i imigracyjna były tylko formalnością i pół godziny po tym, jak samolot dotknął ziemi, dwaj Anglicy jechali szybko na północ, do Pretorii.

Preston z ciekawością przyglądał się krajobrazowi wyżynnych stepów; nie miało to wiele wspólnego z jego wyobrażeniami o Afryce - zwykła, nowoczesna sześciopasmowa autostrada o czarnej nawierzchni, biegnąca przez nagą równinę, z widocznymi tu i ówdzie, po obu stronach, nowoczesnymi farmami i fabrykami w stylu europejskim.

- Zarezerwowałem panu miejsce w Burgerspark - odezwał się Grey. -

Powiedziano mi, że w centrum Pretorii woli pan zatrzymać się w hotelu, niż w rezydencji.

- Tak, dziękuję.

- Najpierw pojedziemy i zameldujemy się. Spotkanie z Bestią mamy umówione na jedenastą.

Ten niezbyt czuły tytuł został kiedyś oryginalnie nadany Van Den Bergowi, generałowi policji i szefowi byłego Biura Bezpieczeństwa Państwowego - BOSS. Po tak zwanej aferze Muldergate w 1979 roku, nieszczęśliwy mariaż południowoafrykańskiego wywiadu państwowego i służby bezpieczeństwa został

rozwiązany, ku wielkiej uldze zawodowych oficerów wywiadu i Służby Zagranicznej, z których niektórzy mieli ciągle kłopoty spowodowane przez taktykę pięści stosowaną przez BOSS.

Wywiad został zreorganizowany pod nazwą Narodowa służba Wywiadowcza (NIS) i na jej czele stanął generał Henry Pienaar, który przeszedł tam ze stanowiska szefa wywiadu wojskowego. Nie miał stopnia generała policji, ale wojskowego i chociaż nie był przez całe życie oficerem wywiadu tak jak sir Nigel Irvine, lata pracy w wywiadzie wojskowym nauczyły go, że różnymi drogami można dojść do tego samego celu. Generał Van Den Berg przeszedł na emeryturę, ciągle jednak gotów powiedzieć każdemu, kto chciałby go posłuchać, że "ręka Boża jest nad nim". Niezbyt grzecznie Anglik przeniósł swój pseudonim na generała Pienaara.

Preston zameldował się w hotelu, położonym na ulicy Van Der Wald, zrzucił

bagażę, szybko umył się i ogolił i o wpół do jedenastej dołączył do Greya czekającego w hallu i pojechali do Union Building.

Siedziba większości członków rządu RPA jest wielkim, długim brunatno-

żółtym, dwupiętrowym budynkiem z piaskowca, którego długi na czterysta jardów front zdobi poczwórna kolumnada. Stoi on w centrum Pretorii, na wzgórzu z widokiem na południe, w poprzek doliny, po której dnie biegnie Kerk Straat, a z esplanady na froncie roztacza się panoramiczny widok na dolinę na brązowe wzgórza na stepach, na których szczycie znajduje się przysadzisty, kwadratowy Vortrekker Monument.

W recepcji Dennis Grey pokazał swój dowód osobisty i wspomniał o spotkaniu. Po kilku minutach pojawił się młody urzędnik i zaprowadził ich do biura generała Pienaara. Kwatera główna szefa NIS

znajduje się na najwyższym piętrze w zachodnim końcu budynku. Grey i Preston zostali poprowadzeni przez niekończące się korytarze, ozdobione, jak się okazało, typowym brązowo-kremowym motywem używanym przez południowoafrykańską administrację, mocno kontrastującym z ciemną boazerią. Biuro generała jest na końcu ostatniego korytarza, mając po prawej stronie pomieszczenie, w którym siedzą dwie sekretarki, a po lewej inne biuro, w którym urzędują dwaj oficerowie sztabowi.

Urzędnik zapukał, poczekał na opryskliwe "wejść" i wprowadził brytyjskich gości do środka. Było to dość ciemne, oficjalne biuro, ze stojącym naprzeciw drzwi dużym, oczywiście lśniącem biurkiem i czterema obitymi skórą fotelami, ustawionymi wokół niskiego stołu pod oknami, z których rozciągał się widok na Kerk Straat i przez dolinę na wzgórza. Na ścianach wisiało sporo, jak się wydawało, map operacyjnych, bojaźliwie zakrytych zielonymi zasłonami.

Generał Pienaar, duży, ciężki mężczyzna, wstał gdy wchodzili i podszedł, by podać im rękę. Grey dokonał prezentacji i generał zaprosił ich do zajęcia miejsc w fotelach. Podano kawę, ale konwersacja utrzymywała się na poziomie pogawędki o drobiazgach. Grey zrozumiał niewypowiedzianą aluzję, pożegnał się i wyszedł.

Generał Pienaar przez jakiś czas przyglądał się Prestonowi.

- A więc, panie Preston - odezwał się prawie czystą angielszczyzną - jeśli chodzi o sprawę naszego dyplomaty Jana Maraisa, to powiedziałem już sir Nigelowi i teraz mówię panu, że on nie pracuje dla mnie, ani dla mojego rządu, w każdym razie nie jako kontroler agentów w Wielkiej Brytanii. Jest pan tutaj, aby spróbować dowiedzieć się, dla kogo on rzeczywiście pracuje?

- To moje zadanie, panie generale, jeśli tylko będę w stanie.

Pienaar kilkakrotnie pokiwał głową.

- Dałem sir Nigelowi słowo, że otrzyma pan tutaj naszą pełną współpracę i dotrzymam go.

- Dziękuję panu, generale.

- Mam zamiar przydzielić panu jednego z moich oficerów sztabowych.

Pomoże panu we wszystkim, czego będzie pan potrzebował - otrzymać akta, które chciałby pan przejrzeć, przetłumaczyć w razie potrzeby. Mówi pan choć trochę językiem afrikaans?

- Nie, panie generale, ani słowa.

- Trzeba więc będzie przetłumaczyć jakieś pisma, może potłumaczyć trochę ustnie.

Nacisnął brzęczyk na stole. Po paru sekundach drzwi otworzyły się i stanął w nich mężczyzna tej samej postury, co generał, ale dużo młodszy. Preston ocenił go na trzydziestkę z hakiem. Miał włosy koloru imbiru i żółtawe brwi.

- Przedstawiam panu kapitana Andriesa Viljoena. Andy, to jest pan John Preston z Londynu, z którym

będziesz pracował.

Preston wstał, by wymienić z przybyłym uścisk dłoni. Wyczuł w młodym Afrykanerze lekko zawoalowaną wrogość, być może odbicie lepiej maskowanych uczuć jego zwierzchnika.

- Oddałem panom do dyspozycji pokój w tym korytarzu - oznajmił generał

Pienaar. - No, nie traćmy więcej czasu, panowie. Proszę, róbcie swoje.

Gdy zostali sami w przydzielonym im biurze, Viljoen zapytał:

- Od czego chciałby pan zacząć, panie Preston?

Preston westchnął w duchu. Nieformalne zwracanie się do siebie po imieniu w Charles i Gordon bardzo ułatwiało pracę.

- Akta osobowe Jana Maraisa, jeśli będzie pan łaskaw, kapitanie Viljoen.

Twarcz kapitana wyraźnie błyszczała triumfem, gdy wyjmował teczkę z szuflady biurka.

- Oczywiście już je przeglądaliśmy - powiedział. - Wyciągnąłem to kilka dni temu z Rejestru Osobowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. - Położył przed Prestonem grubą, obitą skórą teczkę.

- Streszczę panu informacje, jakie udało nam się z tego zebrać, jeśli to panu pomoże: Marais wstępuje do Południowoafrykańskiej służby zagranicznej w Cape Town wiosną 1946 roku. Pracuje tam od czterdziestu lat, nawet trochę więcej, i w grudniu ma przejść na emeryturę. Pochodzi z czystego środowiska Arykanerów i nigdy nie wzbudził najmniejszych podejrzeń. Dlatego właśnie tak zagadkowe wydaje się jego zachowanie w Londynie.

Preston skinął głową. Nie trzeba mu było tłumaczyć tego jaśniej - panowało tu przekonanie, że to Londyn popełnił błąd. Otworzył akta - wśród dokumentów leżących na wierzchu był plik kartek zapisanych ręcznie po angielsku.

- To - odezwał się Viljoen - jego ręcznie napisana autobiografia, wymagana od kandydatów do Służby Zagranicznej. W tamtych czasach, gdy u władzy była Partia Zjednoczona, kierowana przez Jana Smutsa, angielski był w dużo powszechniejszym użyciu, niż obecnie. Dzisiaj taki dokument byłby napisany w afrikaans, choć oczywiście kandydaci muszą biegle posługiwać się obydwoma językami.

- W takim razie myślę, że od tego powinniśmy zacząć - powiedział Preston. -

Gdy będę czytał, czy mógłby pan zrobić streszczenie jego kariery w Służbie?

Zwłaszcza placówki zagraniczne, gdzie, kiedy i jak długo?

- W porządku - skinął głową Viljoen. - Jeśli rzeczywiście jest skorumpowany, jeśli jest zdrajcą, prawdopodobnie stało się to gdzieś za granicą.

Akcent, który Viljoen położył na “jeśli” wystarczająco jasno dał do zrozumienia jego powątpiewanie, a destrukcyjny wpływ cudzoziemców na dobrych Afrykanerów wyrażony został w wymowie słów “za granicą”.

Preston zaczął czytać.

Urodziłem się w sierpniu 1925 roku w małym rolniczym mieście Duiwelskloof w Północnym Transwalu, jako jedyny syn farmera z doliny Mootseki, położonej zaraz za miastem. Mój ojciec, Laurens Marais był czystym Afrykanerem, ale matka, Mary, była pochodzenia angielskiego. Jak na tamte czasy było to niezwykle małżeństwo, ale dzięki temu wychowałem się mówiąc płynnie zarówno po angielsku jak i afrikaans.

Ojciec był znacznie starszy niż matka, która będąc słabego zdrowia zmarła, gdy miałem dziesięć lat, w czasie jednej z epidemii tyfusu, przechodzących wtedy co jakiś czas przez ten region. Gdy się urodziłem, ojciec miał czterdzieści sześć lat, a matka tylko dwadzieścia pięć. Uprawiał głównie ziemniaki i tytoń, miał też trochę kurczaków, gęsi, indyków, krów, owiec i pszenicy. Przez całe życie był gorącym zwolennikiem Partii Zjednoczonej, a mnie nadano imię na pamiątkę marszałka Jana Smutsa.

Preston przerwał.

- Chyba to wszystko nie mogło w jakikolwiek sposób zaszkodzić jego kandydaturze? - podsunął.

- Absolutnie - odparł Viljoen dokładnie przeglądając papiery. - Partia Zjednoczona była wtedy ciągle u władzy. Partia Narodowa zdobyła kraj dopiero w 1948.

Preston czytał dalej.

W wieku lat siedmiu poszedłem do miejscowej szkoły w Duiwelskloof, a od dwunastego roku życia kontynuowałem naukę w Merensky High, powstałej pięć lat wcześniej. Po wybuchu wojny, w 1939, mój ojciec, który był zagorzałym wielbicielem Wielkiej Brytanii i Imperium, śledził za pomocą radia wszystkie wiadomości na temat wojny w Europie, siedząc wieczorami po pracy na werandzie.

Po śmierci matki staliśmy się sobie jeszcze bardziej bliscy i ja też wkrótce zacząłem marzyć o wzięciu udziału w wojnie. Dwa dni po moich osiemnastych urodzinach, w sierpniu 1943 roku, pożegnałem się z ojcem i pojechałem pociągiem do Pietersburga, gdzie przesiadłem się na kierunek południowy do Pretorii. Ojciec odwiązał mnie do Pietersburga i tam widziałem go po raz ostatni, jak stał i machał mi jadącemu na wojnę. Następnego dnia poszedłem do Kwatery Głównej Obrony w Pretorii, zostałem formalnie zaprzysiężony, zapisany i wysłany do obozu Roberts Heights w celu podstawowego przeszkolenia, wyekwipowania, musztry i nauki posługiwania się bronią ręczną. Tam też zgłosiłem się na ochotnika, by dostać czerwone patki.

- Co to znaczy “dostać czerwone patki”? - zapytał Preston.

Viljoen spojrzał znad swojej pisaniny.

- W tamtych czasach tylko ochotnicy mogli być wysyłani do walk poza granicami Afryki Południowej

- powiedział. - Nie można było nikogo zmuszać. Ci ochotnicy nosili czerwone patki.

Z Roberts Heights zostałem przydzielony do Witwatersrand Rifles (De La Rey Regiment, które po stratach pod Tobrukiem zostały połączone i utworzyły oddział

Wits) De La Rey. Wysłano nas pociągiem do obozu przejściowego w Hay Paddock, niedaleko Pietersburga, i dołączono do posiłków dla Szóstej Dywizji Południowoafrykańskiej, czekającej na transport do Włoch. W końcu zostaliśmy wszyscy zaokrętowani w Durbanie na statek "Duchess of Richmond", przewiezieni przez Kanał Sueski i w końcu stycznia wysadzeni w Tarencie.

Większą część włoskiej wiosny posuwaliśmy się na północ w kierunku Rzymu, przez który przeszliśmy z Szóstą Dywizją, składającą się wtedy z Dwunastej Południowoafrykańskiej Brygady Zmotoryzowanej i Jedenastej Południowoafrykańskiej Brygady Pancерnej, po czym zaczęliśmy marsz na Florencję.

Trzynastego lipca byłem za Monte Binichi w górach Chianti z patrolem zwiadowczym Kompanii C. W gęsto zalesionym terenie oddzieliłem się przypadkiem od reszty patrolu, gdy zrobiło się ciemno i po kilku minutach zostałem otoczony przez niemieckie oddziały Dywizji Hemranna Goeringa. Jak to mówią, wpadłem jak śliwka w kompot.

Miałem szczęście, że uszedłem z życiem, ale wsadzili mnie na ciężarówkę z kilkoma innymi alianckimi jeńcami i zabrali do "klatki", czyli obozu tymczasowego w miejscu zwanym La Tarina, na północ od Florencji. Najstarszym rangą podoficerem południowoafrykańskim był tam, jak sobie przypominam, starszy sierżant Snyman.

Nie miało to trwać długo. Gdy alianci przechodzili przez Florencję, zostaliśmy poddani brutalnej nocnej ewakuacji. Panował wielki chaos. Niektórzy więźniowie próbowali uciec i zostali zastrzeleni. Zostawiono ich leżących na drodze i ciężarówki przejeżdżały po nich. Z samochodów przeniesiono nas do bydłowych wagonów i całymi dniami jechaliśmy na północ, przez Alpy, aż w końcu dotarliśmy do obozu jeńców wojennych w Moosberg, dwadzieścia pięć mil na północ od Monachium.

To też nie trwało długo. Zaledwie po dwóch tygodniach, mniej więcej połowę z nas wyprowadzono z Moosberg do najbliższej stacji kolejowej i ponownie załadowano do bydłowych wagonów. Prawie zupełnie bez jedzenia i picia przez sześć dni i nocy jechaliśmy przez Niemcy i w końcu sierpnia 1944 zostaliśmy znowu wysadzeni z pociągu i poprowadzeni do innego, dużo większego obozu. Zwano go, jak odkryliśmy, Stalag 344; znajdował się on w Łambinowicach, niedaleko Wrocławia, na ówczesnym Śląsku. Myślę, że Stalag 344 był najgorszy ze wszystkich.

Trzymano tam jedenaście tysięcy alianckich jeńców wojennych, którzy, jako że racje były praktycznie głodowe, utrzymywali się przy życiu głównie dzięki paczkom Czerwonego Krzyża.

Ponieważ byłem wtedy kapralem, musiałem dołączyć do grup roboczych i codziennie, razem z wieloma innymi, wysyłano mnie ciężarówką do pracy w oddalonej o dwanaście mil fabryce paliw syntetycznych. Zima na Śląsku była ostra.

Pewnego dnia, zaraz przed Bożym Narodzeniem, nasza ciężarówka zepsuła się.

Dwóch jeńców, trzymany na muszce przez niemieckich strażników, próbowało ją naprawić, a kilku z nas pozwolono zeskoczyć z tyłu wozu. Młody południowoafrykański żołnierz obok mnie rzucił okiem na sosnowy las oddalony zaledwie o trzydzieści jardów i spojrzał na mnie podnosząc brew. Nigdy nie będę wiedział, dlaczego to zrobiłem, ale w następnej chwili obaj biegliśmy przez głęboki prawie po pas śnieg, podczas gdy nasi towarzysze popychali niemieckich strażników, by uniemożliwić im celowanie. Żywi dotarliśmy do linii drzew i biegliśmy dalej w głąb lasu.

- Chce pan wyjść na lunch? - zapytał Viljoen. - Mamy tu bufet.

- Myśli pan, że mogliby nam przynieść kanapki i kawę tutaj?

- Jasne, zadzwonię i poproszę.

Preston wrócił do opowieści Jana Maraisa.

Wkrótce odkryliśmy, że wpadliśmy z deszczu pod rynnę, tyle że nie była to woda, a zamarzające piekło, w którym temperatura nocą spadała do trzydziestu stopni poniżej zera. Stopy mieliśmy owinięte papierem, ale ani to ani nasze płaszcze nie chroniły nas przed zimmem. Po dwóch dniach byliśmy bardzo osłabieni i bliscy poddania się. Drugiej nocy próbowaliśmy spać w zawalonej stodole, kiedy gwałtownie wytrącono nas ze snu. Myśleliśmy, że to hitlerowcy, ale znając afrikaans zrozumiałbym parę niemieckich słów, a te głosy nie były niemieckie. Były polskie -

odkryła nas grupa polskich partyzantów. O mało nas nie zastrzelili jako niemieckich dezertersów, ale krzyknąłem, że jesteśmy Anglikami i jeden z nich chyba zrozumiał.

Wyglądało na to, że większość mieszkańców miast takich jak Wrocław czy Łambinowice było z pochodzenia Niemcami, a chłopcy byli narodowości polskiej, i w miarę posuwania się naprzód armii rosyjskiej wielu z nich poszło do lasów, by nękać wycofujących się hitlerowców. Były dwa rodzaje partyzantów - komuniści i katolicy.

Mieliśmy szczęście, bo przejęła nas grupa żołnierzy katolickich. Trzymali nas przez tę ostrą zimę, podczas gdy na wschodzie grzniały rosyjskie działa a ofensywa zbliżała się coraz bardziej. Wtedy, w styczniu, mój towarzysz dostał zapalenia płuc -

próbowałem go pielęgnować, ale, nie leczony antybiotykami, umarł i pochowaliśmy go w lesie.

Preston markotnie chrupał kanapki i popijał kawę. Zauważył, że zostało jeszcze tylko kilka stron.

W marcu 1945 roku doszło nagle do nas wojsko rosyjskie. Słysząc było w lasach ich pojazdy pancerne z grzmiotem przesuwające się na zachód. Polacy postanowili zostać w ukryciu, ale ja nie mogłem już tego wytrzymać. Wskazali mi drogę i pewnego ranka, z podniesionymi rękami, wyszedłem spośród drzew i poddałem się grupie rosyjskich żołnierzy.

Początkowo myśleli, że jestem Niemcem i o mało co mnie nie zastrzelili.

Polacy jednak kazali mi krzyknąć "angijski", co też w kółko powtarzałem. Podnieśli karabiny i zawołali jakiegoś oficera. Nie mówił po angielsku, ale po dokładnym obejrzeniu mojej plakietki na szyi powiedział coś do swoich żołnierzy, a ci stali się bardzo mili. Jeśli jednak miałem nadzieję na szybką repatriację, znowu byłem w błędzie. Przekazali mnie NKWD.

Przez pięć miesięcy, w serii wilgotnych i lodowatych cel, poddawano mnie brutalnemu traktowaniu. Cały czas przebywałem w samotnej celi. Ciągłe mnie przesłuchiowano i wymuszano zeznania, usiłując namówić mnie do przyznania się, że jestem szpiegiem. Odmawiałem i nagiego odsyłano mnie z powrotem do celi. Pod koniec wiosny (wojna kończyła się już w Europie, ale nie wiedziałem o tym) moje zdrowie całkowicie podupadło i dostałem siennik do spania i trochę lepsze jedzenie, choć ciągle niejadalne według południowoafrykańskich standardów.

Potem ktoś musiał coś powiedzieć na górze. W sierpniu 1945 roku, bardziej umarły niż żywy, zostałem przewieziony wiele mil i w końcu w Poczdamie przekazany armii brytyjskiej. Anglicy byli bardziej życzliwi niż mógłbym opisać i po spędzeniu pewnego czasu w wojskowym szpitalu pod Bielefeld, zostałem odesłany do Anglii. Następne trzy miesiące spędziłem w szpitalu w Killearn, na północ od Glasgow, po czym w grudniu 1945 wypłynąłem z Southampton na statku "Ile de France" w kierunku Cape Town, gdzie dopłynąłem w końcu kwietnia tego roku.

Właśnie w Cape Town dowiedziałem się o śmierci mego drogiego ojca, jedynej bliskiej osoby, jaką miałem na świecie. Popadłem w taką rozpacz, że stan mojego zdrowia ponownie gwałtownie się pogorszył i zostałem przyjęty do Szpitala Wojskowego Wynberga, tu w Cape Town, gdzie przebywałem przez dwa miesiące.

Teraz zostałem już wypisany, otrzymałem świadectwo zdrowia i niniejszym ubiegam się o przyjęcie mnie do Służby Zagranicznej Południowej Afryki.

Preston zamknął akta i Viljoen spojrzął na niego.

- Cóż - odezwał się Południowy Afrykańczyk - od tego czasu robił poważną i nienaganną, jeśli nie efektywną, karierę, dochodząc do stanowiska Pierwszego Sekretarza. Był na ośmiu posadach zagranicznych, wszystko w krajach zdecydowanie prozachodnich. To sporo, choć z drugiej strony jest on kawalerem, a to może ułatwić życie w służbie, z wyjątkiem godności ambasadora czy ministra, gdzie mniej lub bardziej wymaga się małżonki. Ciągłe pan uważa, że gdzieś po drodze uległ korupcji?

Preston wzruszył ramionami.

Viljoen pochylił się nad teczką i postukał w nią.

- Widzi pan, co te ruskie sukinsyny mu zrobiły? Dlatego właśnie myślę, że pan się myli, panie Preston. Po prostu lubi lody i wykręcił zły numer telefonu. Przypadek.

- Może - rzucił Preston. - A jednak w tym życiorysie coś mi nie gra.

Kapitan Viljoen pokręcił głową.

- Mamy te akta w rękach, odkąd tylko pański sir Nigel skontaktował się z generałem. Przeglądaliśmy je na wszystkie strony. Absolutnie wszystko się zgadza.

Każde nazwisko, data, miejsce, obóz wojskowy, jednostka, kompania, aż do najdrobniejszych szczegółów. Nawet to, co uprawiali przed wojną w dolinie Mootseki. Tamtejsi rolnicy potwierdzili. Teraz sadzą pomidory i gruszki avocado, ale w tamtych czasach mieli ziemniaki i tytoń. Nikt nie mógłby zmyślić tej historii. Nie, nawet jeśli w ogóle zrobił coś nie tak, w co wątpię, to było to gdzieś za granicą.

Preston wyglądał posępnie. Za oknami zapadał zmierzch.

- W porządku - powiedział Viljoen. - Jestem tu, by panu pomóc. Gdzie teraz chce pan zacząć?

- Chciałbym zacząć tam, gdzie jest początek całej sprawy - odparł Preston - to miejsce, Duiwelskloof, czy to daleko?

- Jakies cztery godziny jazdy. Chce pan tam jechać?

- Tak, proszę. Czy moglibyśmy wyruszyć wcześniej? Powiedzmy o szóstej jutro rano?

- Wezmę samochód i będę pod pańskim hotelem o szóstej - oznajmił Viljoen.

Jest to spory kawał drogi na północ, w kierunku Zimbabwe, ale szosa jest nowoczesna a Viljoen wziął chevaira bez oznakowań, samochód zwykle używany przez NIS. Błyskawicznie połykał on mile przez Nylstroom i Potgietersrus do Pietersburga, gdzie dojechali w trzy godziny. Jazda dała Prestonowi okazję ujrzenia wielkich, bezkresnych horyzontów Afryki, które zawsze robią wrażenie na przybyszu z Europy, przyzwyczajonemu do mniejszych rozmiarów.

W Pietersburgu skręcili na wschód i przez trzydzieści mil pruli przez płaskie półstopy i nowe bezgraniczne horyzonty pod błękitem nieba, aż dotarli do stromizny zwanej Wzgórzami Byka, którą półstep opadał do Doliny Mootseki. Gdy zaczęli mknąć w dół krętej pochyłości, Preston ze zdumieniem wstrzymał oddech - daleko w dole leżała dolina, bogata i pokryta bujną roślinnością, a jej otwarte dno usiane było tysiącem afrykańskich chat w kształcie uli, zwanych rondavelami, otoczonych zagrodami, wybiegami dla bydła i poletkami kukurydzy. Część rondaveli sterczała na zboczu Buffelberg, ale większość była porozrzucana po dnie Mootseki. Drzewny dym wirującym ruchem wylatywał przez ich centralnie umieszczone dziury w dachach i nawet z tej wysokości i odległości Preston mógł dostrzec afrykańskich chłopców, pasących małe stadka garbatego bydła i kobiety pochylone nad grządkami w swych ogródkach.

To jest wreszcie afrykańska Afryka, pomyślał. Musiała wyglądać tak samo, gdy impis z Mzilikazi, założyciel narodu Matabele, maszerował na północ uciekając przed gniewem Chaki Zulu, przeszedł Limpopo i odnalazł królestwo ludzi z długimi tarczami.

Droga wiła się w dół stromizny i wpadała do Mootseki. W poprzek doliny wznosił się inny łańcuch wzgórz z głęboką rozpadliną pośrodku, przez którą biegła droga. To właśnie była ta szczyrbka, Diabelska Szczerba, Duiwelskloof.

Dziesięć minut później byli już w rozpadlinie i wolno sunęli obok nowej szkoły podstawowej, wzdłuż Botha Avenue, głównej ulicy tego małego miasteczka.

- Dokąd chce pan jechać? - spytał Viljoen.

- Gdy stary farmer Marais zmarł, na pewno zostawił po sobie jakiś testament -

dumał Preston. - I musiał on zostać wykonany, a to oznacza prawnika. Czy możemy się dowiedzieć, czy jest jakiś adwokat w Duiwelskloof i czy przyjmuje w sobotę rano?

Viljoen zajechał na podjazd warsztatu samochodowego Kirstens Garage i wskazał na leżący po drugiej stronie ulicy hotel Imp Inn.

- Niech pan pójdzie, napije się kawy i zamówi też jedną dla mnie. Ja zatankuję i popytam naokoło.

Pięć minut później dołączył do Prestona w hotelowym hallu.

- Jest jeden prawnik - oznajmił popijając kawę - pochodzenia angielskiego.

Nazywa się Benson. To zaraz tam, po drugiej stronie ulicy, dwa kroki od warsztatu. I prawdopodobnie będzie u siebie dziś rano. Chodźmy.

Bensona rzeczywiście zastali w biurze. Viljoen błysnął jego sekretarce przed oczami swą plastikową legitymacją, co odniosło natychmiastowy skutek. Powiedziała coś w afrikaans do interkomu i natychmiast zostali wprowadzeni do biura Bensona, przyjaznego rumianego człowieka w płowym garniturze. Przywitał ich obu w afrikaans, na co Viljoen odezwał się swoim silnie akcentowanym angielskim:

- To jest pan Preston. Przyjechał z Londynu, z Anglii. Chciałby zadać panu kilka pytań.

Benson poprosił, aby usiedli, a sam z powrotem zajął miejsce za biurkiem.

- Proszę - wskazał ręką - wszystko, co będę mógł dla panów zrobić.

- Może mi pan powiedzieć, ile ma pan lat? - zapytał Preston.

Benson spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Przebył pan całą tę drogę z Londynu, żeby zapytać, ile mam lat? Jeśli chodzi o ścisłość, mam pięćdziesiąt trzy.

- Więc w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym miałby pan dwanaście?

- Tak.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, kto był wtedy prawnikiem tu, w Duiwelskloof?

- Oczywiście. Mój ojciec. Cedric Benson.

- Czy on żyje?

- Tak. Jest już po osiemdziesiątce i przekazał mi biuro piętnaście lat temu. Ale całkiem dobrze się trzyma.

- Czy można by z nim porozmawiać?

W odpowiedzi Benson sięgnął po telefon i nakręcił numer. Musiał odebrać jego ojciec, bo prawnik wyjaśnił, że przyjechali goście, jeden z Londynu, którzy chcieliby z nim pogadać. Po chwili odłożył słuchawkę.

- Mieszka jakieś sześć mil stąd, ale ciągle jeździ samochodem, ku przerażeniu innych użytkowników drogi. Mówi, że zaraz tu będzie.

- A w międzyczasie - zagadnął go Preston - czy mógłby pan zajrzeć do swoich akt z roku czterdziestego szóstego i zobaczyć, czy pan, a raczej pański ojciec, wykonywał ostatnią wolę miejscowego farmera, niejakiego Laurensa Maraisa, który zmarł w styczniu tamtego roku?

- Spróbuję - powiedział Benson junior. - Oczywiście ten pan Marais mógł

mieć prawnika z Pietersburga, choć miejscowi ludzie raczej rzeczywiście byli

“miejscowi” w tamtych czasach. Pudełko z rokiem czterdziestym szóstym musi gdzieś tu być. Przepraszam.

Wyszedł z biura. Sekretarka przyniosła kawę. Po dziesięciu minutach na zewnątrz dały się słyszeć jakieś głosy. Dwaj Bensonowie weszli razem, syn niósł

zakurzone tekturowe pudełko. Starszy pan miał na głowie białe kędziory i wyglądał

tak zwawo jak młody żrebak. Po wstępach i powitaniach Preston przedstawił swój problem.

Bez słowa starszy z Bensonów zajął krzesło za biurkiem, zmuszając syna do postawienia jeszcze jednego. Włożywszy na nos okulary, przypatrywał się znad nich gościom.

- Pamiętam Laurensa Maraisa - oświadczył. - I rzeczywiście zajmowaliśmy się jego testamentem, gdy umarł. Sam to robiłem.

Syn podał mu zakurzony i wyblakły dokument związany różową wstążką.

Stary zdmuchnął kurz, odwiązał wstążkę i rozłożywszy go zaczął czytać po cichu.

- A ta, teraz sobie przypominam. Był wdowcem. Żył samotnie. Miał jednego syna, Jana. Tragiczny wypadek. Chłopak właśnie wrócił z drugiej wojny światowej.

Laurens Marais jechał do Cape Town, by go odwiedzić, kiedy zmarł. Tragiczne.

- Może mi pan powiedzieć o spadku? - poprosił Preston.

- Wszystko zostawił synowi - odparł krótko Benson. - Farma, dom, sprzęt, wyposażenie domu. Och, poza tym zwykłe małe zapisy pieniężne dla tubylców -

robotników, przysięgłego w sądzie i te rzeczy.

- Żadnych zapisów osobistych, nic natury osobistej? - nalegał Preston.

- Hm. Tu jest jeden - "Mojemu staremu i dobremu przyjacielowi Joopowi Van Rensbergowi mój komplet szachów z kości słoniowej na pamiątkę wielu miłych wieczorów, które spędziliśmy grając razem na farmie". To wszystko.

- Czy syn był już z powrotem w Południowej Afryce, gdy umarł ojciec? -

spytał Preston.

- Na pewno. Stary Laurens jechał zobaczyć się z nim. W tamtych czasach trwało to cholernie długo. Nie było samolotów. Jechało się pociągiem.

- Czy zajmował się pan sprzedażą farmy i innych dóbr, panie Benson?

- Sprzedaż przeprowadzili na miejscu licytatorzy. Wszystko poszło do Van Zylów. Kupili całość. Cała ta ziemia należy teraz do Bertie Van Zyl. Ale ja też tam byłem jako główny wykonawca testamentu.

- Czy istniały jakieś osobiste pamiątki, które nie zostały sprzedane? -

dopytywał się Preston.

- Stary człowiek zmarszczył brwi.

- Niewiele. Poszło wszystko. O, przypominam sobie, że był jakiś album z fotografiami. Nie miał on żadnej wartości handlowej. Chyba dałem go panu Van Rensbergowi.

- Kto to był?

- Dyrektor szkoły - wtrącił się do rozmowy syn. - Uczył mnie, zanim poszedłem do Merensky High. Prowadził starą szkołę na farmie, zanim zbudowali podstawówkę. Wtedy przeszedł na emeryturę, tu w Duiwelskloof.

- Żyje jeszcze?

- Nie, umarł jakieś dziesięć lat temu - odparł drugi Benson. - Byłem na pogrzebie.

- Ale miał córkę - przypomniał jego syn - Cissy. Chodziła ze mną do Merensky. Musi być w tym wieku co ja.

- Wie pan, co się z nią stało?

- Oczywiście. Wyszła za mąż wiele lat temu. Za właściciela tartaku przy drodze do Tzannen.

- Jeszcze jedno pytanie - Preston zwrócił się do starego prawnika. - Dlaczego wyprzedaliście majątek? Czy syn go nie chciał?

- Najwidoczniej nie - odparł zapytany. - Był wtedy w szpitalu wojskowym Wynberga. Przesłał mi telegram. Dostałem jego adres od władz wojskowych, a oni poręczyli za jego tożsamość. W swoim telegramie prosił mnie o spieniężenie całego majątku i przesłanie mu pieniędzy.

- Nie przyjechał na pogrzeb?

- Nie było czasu. W styczniu jest u nas pełnia lata. W tamtych czasach trudno było o kostnicę. Ciało trzeba było grzebać od razu. Właściwie, nie przypuszczam, żeby w ogóle kiedykolwiek tu wrócił. To zrozumiałe. Jeśli ojciec nie żył, nie było po co wracać.

- Gdzie Laurens Marais jest pochowany?

- Na cmentarzu na wzgórzu - odparł Benson senior. - To wszystko? W takim razie polecę na lunch.

Klimat po wschodniej i zachodniej stronie gór w Duiwelskloof różni się zdecydowanie. Na zachód od łańcucha opady deszczu na Mootseki wynoszą około 20

cali rocznie. Po stronie wschodniej wielkie chmury zbijają się nad Oceanem Indyjskim, płyną przez Mozambik i Park Mrugera i wpadają na góry, w związku z czym wschodnie zbocza otrzymują rocznie 80 cali deszczu. Po tej stronie przemysł

rozwinął się w oparciu o lasy niebieskich drzew gumowych. Sześć mil w górę drogi na Tzaneen Viljoen i Preston znaleźli tartak pana du Plessis. Drzwi otworzyła jego żona, córka dyrektora szkoły, pulchna rumiana kobieta w wieku około 50 lat, z rękoma i fartuchem w mące. Była właśnie w trakcie pieczenia. Uważnie wysłuchiwała ich sprawy, po czym pokręciła głową.

- Pamiętam siebie jako małą dziewczynkę chodzącą na tę farmę i ojca grającego w szachy z panem Laurenssem - powiedziała. - To było gdzieś w czterdziestym czwartym i czterdziestym piątym. Pamiętam komplet szachów z kości słoniowej, ale nie album.

- Nie odziedziczyła pani majątku ojca po jego śmierci? - zapytał Preston.

- Nie - odparła pani du Plessis. - Widzi pan, moja matka zmarła w 1955, zostawiając tatusia wdowcem. Opiekowałam się nim sama, póki nie wyszłam za mąż w 1958, gdy miałam dwadzieścia trzy lata. Nie mógł sobie jednak sam poradzić. W

domu miał zawsze straszny rozgardiasz. Staralam się chodzić mu gotować i sprzątać, ale gdy przyszły

na świat dzieci, to już było za dużo. Wtedy, w 1960 roku, owdowiała z kolei jego siostra, moja ciotka. Mieszkała w Pietersburgu. Sensowne było, żeby przyjechała i zamieszkała z moim ojcem i opiekowała się nim - i tak też zrobiła.

Zanim umarł, poprosiłam go, aby wszystko zostawił jej - dom, meble, i tak dalej.

- Co się stało z ciotką?

- O, ciągle tam mieszka. To skromny parterowy domek zaraz za Imp Inn w Duiwelskloof.

Zgodziła się im towarzyszyć. Ciotkę, panią Winter, zastali w domu - ruchliwą, przypominającą wróbla damę z ufarbowanymi na niebiesko włosami. Gdy usłyszała, z czym przyszli, podeszła do kredensu i wyciągnęła płaskie pudełko.

- Biedny Joop bardzo lubił tym grać - stwierdziła. Były to szachy z kości słoniowej.

- Czy o to wam chodzi?

- Nie całkiem - odparł Preston. - Bardziej o album ze zdjęciami.

Wyglądała na zdziwioną.

- Na strychu jest jakieś pudełko starych rupieci - powiedziała. - Powędrowało tam po jego śmierci. Same papiery i rzeczy z czasów, gdy był dyrektorem.

Andries Viljoen wszedł na poddasze i zniósł pudełko. Pod poźółkłymi sprawozdaniami szkolnymi leżał album rodzinny Maraisów. Preston powoli go przekartkował. Wszystko tam było - słabowita, ale śliczna panna młoda z 1920, nieśmiało uśmiechnięta matka z 1930, srogo patrzący chłopak siedzący okrakiem na swym pierwszym kucu, ojciec z fajką w zębach usiłujący nie wyglądać zbyt dumnie z synem przy boku i rzędem królików na trawie przed nimi. Na końcu było jeszcze czarnobiałe zdjęcie przedstawiające chłopaka w ubraniu do gry w krykieta, przystojnego siedemnastolatka, podbiegającego do bramki, by rzucić kulą. Podpis głosił: "Janni, kapitan drużyny krykieta, Morensky High 1943". To była ostatnia szansa.

- Mogę to zatrzymać? - spytał Preston.

- Naturalnie - odparła pani Winter.

- Czy pani zmarły brat kiedykolwiek rozmawiał z panią o panu Marais?

- Czasami. Przez lata byli bardzo dobrymi przyjaciółmi.

- Czy kiedykolwiek wspominał, na co Marais zmarł?

Zrobiła niezadowoloną minę.

- Nie powiedzieli panu w biurze adwokackim? Ech. Stary Cedric chyba zupełnie traci rozum. To był

wypadek, a ten który go potrącił, uciekł, Joop mi mówił.

Stary Marais zatrzymał się chyba, by naprawić przebite opony, i został potrącony przez przejeżdżającą ciężarówkę. W swoim czasie uważano, że to jacyś pijani Kafarowie... oj... - zakryła dłonią usta i spojrzała na Viljoena z zakłopotaniem. - Nie powinnam tego więcej mówić. No, tak czy siak, nigdy się nie dowiedziano, kto prowadził tę ciężarówkę.

W drodze powrotnej ze wzgórza na główną drogę przejeżdżali obok cmentarza i Preston poprosił, by Viljoen stanął. Było to małe, spokojne miejsce, wysoko nad miastem, z rosnącymi na skraju sosnami i jodłami, z dominującym na środku starym drzewem mwataba o rozszczepionym pniu i otoczone żywopłotem z poinsecji. W

jednym rogu znaleźli pokryty mchem kamień. Zeskrobując mech Preston zauważył

wyryty w granicie napis - "Laurens Marais 1879--1946. Ukochany mąż Mary i ojciec Jana. Niech spoczywa w Panu. Pokój jego duszy".

Preston podszedł do żywopłotu, urwał gałązkę jaskrawej poinsecji i położył ją na kamieniu. Viljoen przyglądał mu się ze zdziwieniem.

- Teraz chyba do Pretorii - rzucił Preston.

Gdy jadąc drogą z Mootseki wspinali się na Buffelberg, Preston obejrzał się, by popatrzeć na dolinę. Ciemnoszare chmury burzowe skłębiły się za Diabelską Szczerbą. W miarę, jak patrzył, zbliżały się, ukrywając małe miasteczko i jego makabryczną tajemnicę, znaną tylko temu Anglikowi w średnim wieku. Preston odwrócił się ponownie i zasnął.

Tego wieczoru Harold Philby został przewieziony pod eskortą z apartamentów gościnnych do salonu sekretarza generalnego, gdzie radziecki przywódca czekał na niego. Philby położył przed starym człowiekiem kilka dokumentów.

Sekretarz generalny przeczytał je i odłożył.

- Zaangażowano niewielu ludzi - zauważył.

- Proszę mi pozwolić uczynić dwie istotne uwagi, towarzyszu sekretarzu generalny. Po pierwsze, ze względu na nadzwyczajnie poufny charakter Planu Aurora, uznałem za rozsądne ograniczyć liczbę uczestników do absolutnego minimum. W

razie czego jeszcze mniej osób wiedziałoby, o co naprawdę chodzi.

Po drugie, choć jest to nie mniej ważne, z powodu niezwykle krótkiego czasu, trzeba będzie w pewnym stopniu zrezygnować z perfekcyjności. Tygodnie czy nawet miesiące pouczeń, zazwyczaj wymagane przy jakiejś ważnej akcji, będą musiały być skrócone do dni.

Sekretarz generalny wolno pokręcił głową.

- Niech pan więc wytłumaczy, dlaczego potrzebuje pan tych ludzi.

- Kluczem do całej operacji - ciągnął Philby - jest komisarz wykonawczy, człowiek który pojedzie do Wielkiej Brytanii i który przeprowadzi Aurorę. Jego potrzeby zaspokajać będzie dwunastu kurierów, czy też "mułów". Będą oni musieli przemycać wiadomości, albo przez punkt celny, albo - przy nadarzającej się okazji -

przez niekontrolowane przejścia graniczne. Żaden z nich nie będzie wiedział, co przewozi ani dlaczego - każdy będzie miał do zapamiętania miejsce i czas spotkania, plus dodatkowo - punkt rezerwowy - na wypadek nienawiązania kontaktu. Każdy przekaże przesyłkę komisarzowi wykonawczemu, po czym wróci na nasze terytorium, gdzie zostanie natychmiast całkowicie odizolowany. Będzie jeszcze jeden człowiek, oprócz komisarza wykonawczego, który nigdy nie wróci. Ale żaden z nich nie powinien o tym wiedzieć. Kurierami dowodzić będzie komisarz wysyłkowy, którego obowiązkiem będzie dopilnować, by przesyłki dotarły do komisarza wykonawczego w Anglii. Będzie mu pomagał komisarz zaopatrzenia, odpowiedzialny za zorganizowanie materiałów do doręczenia. Ten człowiek będzie miał czterech podwładnych, każdego ze specjalną funkcją. Jeden będzie przekazywał kurierom dokumentację i załatwiał im transport; drugi zajmie się otrzymywaniem sprzętu; trzeci będzie dostarczał obrobione i zmontowane podzespoły, a czwarty zapewni łączność.

Będzie konieczne, aby komisarz wykonawczy mógł poinformować nas o postępach, problemach i., przede wszystkim, o chwili, w której będzie gotowy do przeprowadzenia akcji, my zaś musimy mieć możliwość przekazania mu ewentualnych zmian w planie, i oczywiście, rozkazów niezbędnych do jego wykonania.

Jeśli chodzi o łączność, jest jeszcze jedna sprawa. Ze względu na brak czasu, nie będzie możliwe posługiwanie się normalnymi kanałami, to jest listownie, czy przez osobiste spotkanie. Możemy skontaktować się z komisarzem wykonawczym wysyłając zakodowane sygnały Morse'a na zwykłym zakresie fal Radia Moskwa. Żeby jednak i on był w stanie złapać nas w razie nagłej potrzeby, musi mieć nadajnik, gdzieś w Anglii. Jest to sposób przestarzały i ryzykowny, przeznaczony w zasadzie na czas wojny, ale będzie tu konieczny. Zobaczysz pan, że wspomniałem o tym.

Sekretarz generalny ponownie przekartkował dokument, zaznajamiając się z wykonawcami potrzebnymi do realizacji planu. W końcu spojrzał w górę.

- Dostaniecie tych swoich ludzi - powiedział. - Każę ich wyszukać, jednego po drugim, najlepszych jakich mamy i przenieść do zadań specjalnych. Jeszcze jedno.

Nie życzę sobie, aby ktokolwiek związany z Aurorą kontaktował się w jakiegokolwiek formie z ludźmi KGB w naszej rezydenturze w ambasadzie w Londynie. Nigdy nie wiadomo, kogo mają na oku, albo... - jaka by nie była jego inna obawa, nie wypowiedział jej. - To wszystko.

Na prośbę Prestona Viljoen spotkał się z nim następnego ranka na drugim piętrze Union Building. Ponieważ była to niedziela, mieli cały budynek tylko dla siebie.

- No, co dalej? - spytał kapitan Viljoen.

- Przeleżałem całą noc myśląc - odparł Preston - i doszedłem do wniosku, że coś tu jest nie tak.

- Spał pan całą drogę powrotną z północy - zauważył ponuro Viljoen. - Ja musiałem prowadzić.

- No, ale pan jest w dużo lepszej formie.

Sprawiło to przyjemność kapitanowi, dumnemu ze swej kondycji, którą regularnie ćwiczył. Stracił jakoś swoją sztywność.

- Chcę dotrzeć do tego drugiego żołnierza - oświadczył Preston.

- Jakiego drugiego żołnierza?

- Tego, z którym Marais uciekł. Nigdy nie wspominał jego nazwiska. Tylko

“ten drugi żołnierz” lub “mój towarzysz”. Dlaczego nie podał nazwiska?

Viljoen wzruszył ramionami.

- Widocznie nie uważał tego za konieczne. Na pewno powiedział władzom w Szpitalu Wynberga, żeby można było dać znać najbliższym krewnym.

- Wiadomość ustna - zastanawiał się Preston. - Oficerowie, którzy ją usłyszeli, pewnie szybko rozproszyli się do cywila. Zostaje tylko pisemne sprawozdanie, a w nim nie ma nazwiska. Chcę odszukać tego żołnierza.

- Ależ on nie żyje - zaprotestował Viljoen. - Od czterdziestu dwóch lat leży w grobie w polskim lesie.

- To chcę dowiedzieć się, kim był.

- Gdzie, do diabła, mamy zacząć?

- Marais mówi, że przeżyli w tym obozie głównie dzięki paczkom Czerwonego Krzyża - odezwał się Preston, jakby głośno myśląc. - Mówi też, że uciekli przed samym Bożym Narodzeniem. To na pewno rozzłościło trochę Niemców.

Najczęściej karano cały blok - utrata przywilejów, w tym paczek żywnościowych.

Każdy z tego bloku prawdopodobnie zapamiętał te święta na resztę życia. Czy możemy znaleźć kogoś, kto tam był?

W Południowej Afryce nie ma związku byłych jeńców wojennych, ale istnieje stowarzyszenie weteranów wojny, ograniczone do tych, którzy brali udział w walce.

Nazywa się to Pamiętny Szyk Blaszaných Kapeluszy. Miejsce spotkań każdej filii tej organizacji zwane jest "łuską", a przewodniczący oficer to Stary Bill. Używając dwóch telefonów, Preston i Viljoen zaczęli wydzwaniać po wszystkich "łuskach" w RPA, usiłując znaleźć kogoś, kto siedział w Stalagu 344.

Było to nużące zadanie. Z jedenastu tysięcy alianckich więźniów w tym obozie, zdecydowana większość pochodziła z Anglii, Kanady, Australii, Nowej Zelandii czy Stanów. Południowych Afrykańczyków było niewiele.

Ponadto wielu zmarło w następnych latach. Część członków stowarzyszenia bawiła na polach golfowych, inni daleko od domu. Zaprzeczano im z żalem, lub dawano mnóstwo dobrych rad, które okazywały się ślepych uliczkami. O zachodzie słońca przerwali i zaczęli od nowa w poniedziałek rano. Przed samym południem Viljoen coś załapał - miało to postać emerytowanego pakowacza mięsa w Cape Town.

Kapitan, który rozmawiał w afrikaans, przykrył ręką słuchawkę.

- Facet tutaj mówi, że był w Stalagu 344.

Preston wziął od niego aparat.

- Pan Anderson? Tak, nazywam się Preston. Szukam pewnych informacji na temat Stalagu 344... Dziękuję, to bardzo miło... tak, wierzę, że pan tam był. Czy pamięta pan Boże Narodzenie czterdziestego czwartego? Dwóch młodych Południowych Afrykańczyków uciekło z pracującej na zewnątrz grupy roboczej... a, przypomina pan sobie. Tak, jestem pewien, że to było okropne... Czy przypomina pan sobie ich nazwiska? Ach, nie w ich baraku? Nie, oczywiście. A może pamięta pan nazwisko najstarszego rangą południowoafrykańskiego podoficera? Dobrze, starszy sierżant Roberts. A imię?... Proszę, niech pan spróbuje sobie przypomnieć. Co?

Wally. Jest pan tego pewien? Naprawdę bardzo dziękuję.

Odłożył słuchawkę.

- Starszy sierżant Wally Roberts. Pewnie Walter Roberts. Czy możemy pójść do archiwum wojskowego?

Południowoafrykańskie archiwum wojskowe podlega z jakiegoś powodu Ministerstwu Edukacji i znajduje się pod budynkiem na Visagie Street 20 w Pretorii.

Znaleźli ponad stu Robertsów, w tym dziewiętnastu z inicjałem W. i siedmiu Walterów. Żaden nie pasował. Przejrzeli resztę W. Robertsów. Nic. Preston zaczął od akt A. Robertsów i po godzinie udało mu się. James Walter Roberts był starszym sierżantem w czasie drugiej wojny światowej, wzięty do niewoli pod Tobrukiem, uwięziony w północnej Afryce, Włoszech i w końcu we wschodnich Niemczech, po wojnie został w wojsku i awansował do rangi pułkownika, przechodząc w stan spoczynku w roku 1972.

- Niech się pan modli, żeby jeszcze żył - powiedział Viljoen.

- Jeśli tak, na pewno dostaje jakąś emeryturę - stwierdził Preston. - Może figuruje na liście otrzymujących świadczenia socjalne.

Figurował. Pułkownik w stanie spoczynku Wally Roberts spędzał jesień swego życia w Orangeville, małym miasteczku położonym wśród jezior i lasów, sto mil na południe od Johannesburga. Gdy wyłonili się z budynku na Visagie Street, było już ciemno, postanowili więc pojechać tam następnego ranka.

Drzwi porządnie utrzymanego parterowego domku otworzyła pani Roberts i z przerażeniem obejrzała legitymację kapitana Viljoena.

- Karmi ptaki przy jeziorze - poinformowała ich wskazując ścieżkę.

Znaleźli starego żołnierza rozrzucającego kawałki chleba wdzięcznemu stadku ptaków wodnych. Wyprostował się, gdy podeszli, zbadał legitymację, po czym skinął

głową, jakby chciał powiedzieć "Do rzeczy".

Miał już na karku siedemdziesiątkę, ale trzymał się prosto jak drut, w tweedowym garniturze i mocno wypolerowanych brązowych butach, z siwą szczeciną nad górną wargą. Z powagą wysłuchał pytania Prestona.

- Oczywiście, że pamiętam. Wzięli mnie na spytki do niemieckiego komendanta, który wściekał się jak jasna cholera. Przez ten wypadek cały barak stracił

paczki Czerwonego Krzyża. Cholerni młodzi głupcy - dwudziestego drugiego stycznia czterdziestego piątego zostaliśmy ewakuowani na zachód, a w końcu kwietnia wyzwoleni.

- Pamięta pan ich nazwiska? - spytał Preston.

- Jasne. Nigdy nie zapominał nazwisk. Obaj byli młodzi, poniżej dwudziestki, przypuszczam. Obaj kaprale. Jeden nazywał się Marais, drugi Brandt.

Fikki Brandt. Afrykanerzy. Nie mogę sobie jednak przypomnieć ich jednostek.

Wszyscy byliśmy opatuleni w co kto mógł. Rzadko kiedy widziałem oznaki pułkowe.

Serdecznie mu podziękowali i pojechali z powrotem do Pretorii, na następne posiedzenie na Visagie Street. Niestety, Brandy to bardzo popularne holenderskie nazwisko, mające w dodatku drugą formę Brand, bez końcowego "t", ale wymawianą tak samo. Były ich setki.

Do zmroku, z pomocą personelu archiwum, ubierali sześciu kaprali Frederików Brandtów, wszystkich nieżyjących. Dwóch zginęło w akcji w północnej Afryce, dwóch we Włoszech, a jeden w wywróconym podczas lądowania samolocie.

Otworzyli szóstą teczkę.

Kapitan Viljoen z szeroko otwartymi oczami gapił się na to, co leżało przed nim.

- Nie do wiary - powiedział miękko. - Kto mógł to zrobić?

- Kto wie? - odparł Preston. - Ale było to dawno temu.

Teczka była kompletnie pusta.

- Przykro mi z tego powodu - odezwał się Viljoen, gdy odwoził Prestona do Burges Park. - Ale wygląda to na koniec śladu.

Późnym wieczorem ze swego hotelowego pokoju Preston zadzwonił do pułkownika Robertsza.

- Przepraszam, że znowu panu przeszkadzam, pułkowniku. Czy pamięta pan, czy kapral Brandt miał w baraku jakiegoś specjalnego kolegę czy przyjaciela? Z mego własnego doświadczenia wojskowego wiem, że zwykle jest jeden bliski kumpel.

- Zgadza się, zwykle jest. Nie mogę sobie przypomnieć na poczekaniu. Muszę to przespać. Jeśli coś przyjdzie mi do głowy, przekręcę do pana rano.

Pomocny pułkownik zadzwonił, gdy Preston był przy śniadaniu. Głos dochodził urywany, jak gdyby składał dowództwu meldunek z pola bitwy.

- Coś sobie przypomniałem - powiedział. - Te baraki były budowane na jakieś sto osób, ale na końcu byliśmy tam ściśnięci jak sardynki. Ponad dwustu chłopów w jednym. Niektórzy spali na podłodze, inni musieli dzielić z kimś pryczę. Nic z tych rzeczy, wie pan, po prostu taka była konieczność.

- Rozumiem - rzucił Preston. - A Brandt?

- Dzielił pryczę z innym kapralem. Nazwisko Levinson. LPKD.

- Słucham?

- Lekka Piechota Królewska Durbanu. Levinson służył w tej formacji.

Tym razem na Visagie Street poszło szybciej. Levinson nie było już tak popularnym nazwiskiem, a poza tym znali pułk. W piętnaście minut mieli właściwe akta. Nazywał się Max Levinson, urodzony w Durbanie. Wyszedł z wojska przy końcu wojny, nie było więc renty ani adresu. Ale wiedzieli, że miał sześćdziesiąt pięć lat.

Preston próbował szukać w książce telefonicznej Durbanu, podczas gdy Viljoen kazał tamtejszej policji przejrzeć akta. Były dwie opłaty z parkingów i jakiś adres. Max Levinson prowadził mały hotel nad samym morzem. Viljoen zadzwonił i rozmawiał z panią Levinson. Potwierdziła, że jej mąż był w Stalagu 344, ale w tej chwili łowił ryby.

Siedzieli obracając kciukami i czekali. Wrócił o zmroku i rozmawiał z Prestonem. Wesoły hotelarz z drugiego końca linii na wschodnim wybrzeżu.

- Jasne, że pamiętam Frikkiego. Głupi sukinsyn, poleciał w las. Nigdy więcej o nim nie słyszałem. O co chodzi?

- Skąd był? - spytał Preston.

- Z Oos - Londen - stwierdził Levinson bez wahania.

- Jakiego był pochodzenia?

- Nigdy nie mówił na ten temat - odparł Levinson. - Afrykaner, oczywiście.

Mówił biegle w afrikaans a słabo po angielsku. Klasa robotnicza. A tak, przypominam sobie, wspominał, że jego ojciec jest manewrowym na dworcu przetokowym.

Preston pożegnał się i odwrócił do Viljoena.

- Oos-Londen - powiedział. - Możemy tam pojechać?

Viljoen westchnął.

- Nie radziłbym. To setki mil. Jesteśmy dużym krajem, panie Preston. Jeśli naprawdę pan chce, polecimy jutro samolotem. Zorganizuję nam na spotkanie policyjny samochód z kierowcą.

- Nieoznakowany samochód - poprosił Preston.

Chociaż siedziba główna KGB znajduje się w "Centrum" na Placu Dzierżyńskiego 2 w śródmieściu Moskwy i choć budynek ten nie jest mały, jest zbyt zatłoczony, by pomieścić chociaż część z Głównych Zarządów, Zarządów i Departamentów, które składają się na tę potężną organizację. Z tego powodu kwatery główne tych oddziałów porozrzucane są dookoła.

Pierwszy Główny Zarząd znajduje się w Jasieniewie na zewnętrznym ringu wokół Moskwy, prawie dokładnie na południe od miasta. Prawie cały PGZ mieści się w nowoczesnym sześciopiętrowym budynku ze szkła i aluminium w kształcie trzyramiennej gwiazdy, lub raczej znaczka mercedesa.

Został on zbudowany przez Finów na kontrakcie i przeznaczony dla Działu Międzynarodowego Komitetu Centralnego. Kiedy jednak został skończony, nie spodobał się ludziom z Działu, którzy chcieli zostać bliżej Moskwy, przekazano go więc PGZ. Służył jego celom doskonale, jako że znajdował się kawałek poza miastem i z dala od wścibskich oczu.

Członkowie personelu PGZ są nawet w swoim kraju oficjalnie "za zasłoną".

Ponieważ wielu z nich musiało wyjeżdżać za granicę udając dyplomatów, ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali było, by jakiś ciekawski turysta zobaczył ich wychodzących z budynku PGZ i pstryknął im zdjęcie.

Działa w jego ramach jeden Zarząd, który jest tak tajny, że nie ma nawet swej siedziby razem z innymi w Jasieniewie. Jeśli PGZ jest tajny, Zarząd Nielegalnych, zwany też Zarządem "S" jest ściśle

tajny. Jego agenci nie tylko nie widują się z kolegami z PGZ, ale nie spotykają się nawet między sobą. Ich szkolenie i odprawa odbywają się na zasadzie jeden - jeden, tylko instruktor i uczeń. Nie zgłaszają się codziennie do żadnego biura, bo w ten sposób widywaliby się nawzajem.

Z radzieckiego punktu widzenia powód jest prosty. Rosjanie mają obsesję na punkcie tajności i zdrady - nie ma w tym zresztą specjalnie nic komunistycznego, wywodzi się to jeszcze z epoki carskiej. "Nielegalni" to mężczyźni i czasem kobiety, rygorystycznie szkoleni do wyjazdu do obcych państw i życia w głębokim ukryciu.

Bywało jednak, że "Nielegalnych" łapano i że współpracowali oni z przeciwnikiem; inni sami zdradzali i wyjawiali wszystko, o czym wiedzieli. Dlatego właśnie, im mniej wiedzą, tym lepiej. Sprawą oczywistą w szpiegostwie jest, że nie można zdradzić tego, o czym lub o kim nie ma się zielonego pojęcia.

Z tego powodu "Nielegalni" rozlokowani są w wielu małych mieszkaniach w centrum Moskwy i pojedynczo zgłaszają się na szkolenia i odprawy. Aby być blisko swoich "chłopaków", szef Zarządu "S" ciągle urzęduje w Centrum na Placu Dzierżyńskiego. Jego biuro mieści się na piątym piętrze, trzy piętra nad przewodniczącym Czebrikowem i dwa nad pierwszymi vice-przewodniczącymi, generałami Cyniewem i Kriuczkowem.

Właśnie do tego skromnego gabinetu, w środowe popołudnie, osiemnastego marca, w momencie, gdy Preston rozmawiał z Maxem Levinsonem, weszło dwóch mężczyzn, by stanąć przed obliczem kierownika "Nielegalnych", nieprzyjemnego starca, który całe swe dorosłe życie zajmował się profesjonalnym szpiegostwem. To, co mu przedstawili, nie przypadło mu do gustu.

- Istnieje tylko jeden człowiek, który odpowiada tym wymaganiom - przyznał niechętnie. - Jest znakomity.

Jeden z ludzi z Komitetu Centralnego wyjął małą kartkę.

- W takim razie, towarzyszu generale dywizji, bezzwłocznie zwolnicie go z jego dotychczasowych obowiązków i nakażecie zgłosić się pod ten adres.

Kierownik posępnie skinął głową. Znał ten adres. Gdy goście wyszli, jeszcze raz zażądał potwierdzenia ich uprawnień. Nadeszło prosto z Komitetu Centralnego i chociaż nie zawierało wielu słów, nie miał wątpliwości, od kogo przyszło, biorąc pod uwagę formę, w jakiej zostało wyrażone. Westchnął ze zrezygnowaniem. Ciężko było tracić jednego z najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek wyszkolił, naprawdę wyjątkowego agenta, ale z tym poleceniem nie było dyskusji. Był oficerem na służbie

- nie jemu było kwestionować rozkazy. Nacisnął przełącznik swego interkomu.

- Powiedzcie majorowi Waleremu Pietrowskiemu, żeby się u mnie zameldował - oznajmił.

Najnowocześniejszy samolot z Johannesburga do Oos-Londen przyleciał

punktualnie na Ben Schoeman, małe czyste niebieskobiałe lotnisko, które obsługiwało ten czwarty co do wielkości port handlowy i miasto RPA. Policyjny kierowca czekał

w hali przylotów i poprowadził ich do cywilnego forda stojącego na parkingu.

- Dokąd, kapitanie? - rzucił.

Viljoen spojrzał pytająco na Prestona.

- Dyrekcja kolei - oznajmił Preston. - Konkretnie, budynek administracji.

Kierowca skinął głową i ruszył. Nowoczesny dworzec kolejowy w Oos-Londen znajduje się na Fleet Street, a dokładnie naprzeciwko niego stoi kompleks raczej starych i obdrapanych parterowych budynków, pomalowanych na zielono i kremowo -

są to biura administracji.

Gdy weszli, działająca jak "sezamie otwórz się" legitymacja Viljoena szybko zaprowadziła ich przed kierownika działu finansowego. Ten wysłuchał pytania Prestona.

- Tak, płacimy emerytury wszystkim byłym pracownikom kolei, którzy mieszkają w tej okolicy - potwierdził. - Jak brzmi nazwisko?

- Brandt - odparł Preston. - Niestety, nie znam imienia. Ale był manewrowym, wiele lat temu.

Kierownik wezwał asystenta i wszyscy razem przeszli obskurnymi korytarzami do biura akt personalnych. Asystent myszkował przez chwilę, po czym podszedł z jakimś odcinkiem emerytury w rękę.

- Tu jest - powiedział. - Jedyne, jakiego mamy. Poszedł na emeryturę trzy lata temu. Koos Brandt.

- Ile ma lat? - spytał Preston.

- Sześćdziesiąt trzy - oznajmił asystent rzuciwszy okiem na kartkę.

Preston pokręcił głową. Jeśli Fikki Brandt był w wieku Jana Maraisa, a jego ojciec o jakieś trzydzieści lat starszy, to miałby teraz ponad dziewięćdziesiątkę.

- Człowiek, którego szukam, powinien mieć teraz ponad dziewięćdziesiąt lat - zaznaczył.

Kierownik i jego asystent byli nieugięci - nie znali żadnego innego emerytowanego Brandta.

- W takim razie, czy mogliby mi panowie znaleźć trzech najstarszych emerytów, żyjących i pobierających co tydzień pieniądze? - poprosił Preston.

- Nie są ułożeni według wieku - zaprotestował asystent - tylko alfabetycznie.

Viljoen wziął kierownika na stronę i natarczywie przemówił mu do ucha w afrikaans. Cokolwiek powiedział, najwyraźniej zrobiło to na kierowniku wrażenie i odniosło skutek.

- Do pracy - zwrócił się do asystenta. - Jeden po drugim. Wszyscy urodzeni przed tysiąc dziewięćset dziesiątym. Będziemy w moim biurze.

Zajął to godzinę. W końcu asystent przyniósł odcinki emerytury.

- Jest jeden dziewięćdziesięcioletni - oznajmił - ale był tragarzem w hali dworcowej. Jeden ma osiemdziesiąt, były sprzątac. Ten tu ma osiemdziesiąt jeden -

jest byłym manewrowym ze stacji rozrządowej.

Człowiek nazywał się Fourie, a podany adres mówił, że mieszka gdzieś w Quigney.

Dziesięć minut później jechali już przez Quigney, starą, ponad pięćdziesięcioletnią dzielnicę Oos-Londen. Część z jej skromnych parterowych domów była odnowiona, inne - mieszkania biedniejszych białych robotników -

znajdowały się w opłakanym stanie. Zza Moore Street słychać było odgłosy z warsztatów kolejowych i dworców przetokowych, gdzie zbierały się wielkie pociągi, by przewieźć ładunek z doków Oos-Londen do leżącego w środku lądu Transwalu.

Zaraz za Moore Street znaleźli dom, o który im chodziło.

Drzwi otworzyła stara kolorowa kobieta, o twarzy jak marynowany orzech i białych włosach związanych z tyłu w kok. Viljoen przemówił do niej w afrikaans.

Staruszka wskazała palcem w kierunku horyzontu i wymamrotała coś, po czym dokładnie zamknęła drzwi. Viljoen wrócił z Petersonem do samochodu.

- Mówi, że on jest w Instytucie - odezwał się do kierowcy. - Wiesz, o co chodzi?

- Tak, proszę pana. Stary Instytut Kolejowy. Teraz nazywają to Turnbull Park.

Na Paterson Street. Jest to świetlica i klub kolejarzy.

Instytut okazał się dużym parterowym budynkiem na ogrodzonym murem parkingu, przylegającym do trzech własnych trawników do gry w "bowls". Za drzwiami musieli przejść między szeregami stołów bilardowych i świetlic telewizyjnych, zanim doszli do świetnie zaopatrzonego baru.

- Papa Fourie? - powiedział barman. - Jasne, jest na zewnątrz, przygląda się grze w "bowls".

Znaleźli starszego pana przy jednym z trawników, wygrzewającego się w ciepłym jesiennym słońcu i pieszczącego w rękach kufel piwa. Preston wyjaśnił, z czym przychodzi.

Starzec przyglądał mu się przez chwilę, zanim skinął głową.

- Tak, pamiętam Joe Brandta. Od tylu lat już nie żyje.

- Miał syna. Frederika lub Frikkiego.

- Zgadza się. Dobry Boże, zabiera mnie pan w stare czasy, młody człowieku.

Miły dzieciak. Czasem przychodził po szkole na stację a on pozwalał mu jeździć na lokomotywach manewrowych. Całkiem niebezpieczne dla chłopaka w tamtych czasach.

- To byłoby gdzieś pod koniec lat trzydziestych? - spytał Preston.

Stary człowiek pokiwał głową.

- Mniej więcej. Zaraz po tym, jak Joe z rodziną przyjechał tutaj.

- Koło czterdziestego trzeciego chłopak, Frikki, poszedł na wojnę - podsunął

Preston.

Papa Fourie utkwił w nim na chwilę swoje kaprawe oczy, usiłujące spojrzeć w przeszłość, przez ponad pięćdziesiąt lat monotonnego życia.

- Zgadza się - powiedział w końcu. - Chłopak nigdy już nie wrócił.

Powiedzieli Joemu, że zginął gdzieś w Niemczech. To złamało mu serce. Świata nie widział poza tym chłopcem, miał co do niego wielkie plany. Po nadejściu tego telegramu w końcu wojny nigdy już nie był sobą. Zmarł w 1950, zawsze mówię, że z powodu pękniętego serca. Jego żona nie pociągnęła dużo dłużej, może kilka lat.

- Powiedział pan przed chwilą - "zaraz po tym, jak Joe z rodziną przyjechał

tutaj" - przypomniał mu Viljoen. - Z jakiego regionu Południowej Afryki przybyli?

Papa Fourie spojrział zdziwiony.

- Nie przyjechali z Południowej Afryki - oświadczył.

- Byli przecież rodziną afrykanerską - upierał się Viljoen.

- Kto panu to powiedział?

- Wojsko - odparł kapitan.

Starzec uśmiechnął się.

- Przypuszczam, że młody Frikki mógł podawać się w wojsku za Afrykanera -

odezwał się. - Nie, oni przybyli z Niemiec, imigranci. Gdzieś w połowie lat trzydziestych. Joe do śmierci nie mówił dobrze w afrikaans. Chłopak oczywiście tak, nauczył się w szkole.

Gdy wrócili do zaparkowanego samochodu, Viljoen zwrócił się do Petersona i zapytał:

- No i co?

- Gdzie trzyma się tu rejestr imigrantów?

- W podziemiach Union Building, razem z resztą archiwów państwowych -
oznajmił Viljoen.

- Czy tamtejsi archiwiści mogliby coś dla mnie sprawdzić, podczas, gdy my poczekalibyśmy tutaj? -
spytał Preston.

- Jasne, chodźmy na posterunek policji. Lepiej zadzwonić stamtąd.

Posterunek mieścił się również na Fleet Street - dwupiętrowa forteca z żółtej cegły, z nieprzezroczystymi oknami, zaraz przy sali musztry pułku Strzelb Kafrzańskich. Przedstawili swoje życzenie i zjedli lunch w bufecie, podczas gdy w Pretorii jakiś archiwista stracił swą porę lunchu grzebiąc w aktach. Na szczęście, wszystko było skomputeryzowane i szybko pojawił się numer odpowiedniej kartoteki.

Archiwista wyciągnął ją, napisał na maszynie streszczenie i przekazał je na teleks. W

Oos-Londen przyniesiono wydruk Prestonowi i Viljoenowi pijącym kawę.

Kapitan przetłumaczył go słowo w słowo.

- Dobry Boże - wyszeptał, gdy skończył. - Komu mogłoby to w ogóle wpaść do głowy?

Preston wyglądał na zamyślonego. Wstał i przeszedł przez bufet, by porozmawiać z kierowcą, który siedział przy osobnym stole.

- Czy w Oos-Londen jest synagoga? - spytał.

- Tak, proszę pana. Na Park Avenue. Dwa kroki stąd.

Pomalowana na biało synagoga, z czarną kopułą, na szczycie której górowała Gwiazda Dawida, była pusta w to czwartkowe popołudnie, jeśli nie liczyć kolorowego dozorca w starym, wojskowym płaszczu i wełnianym berecie. Dał im adres rabina Bluma, mieszkającego na przedmieściach Salbourne.

Gdy pukali do jego drzwi, właśnie minęła trzecia.

Otworzył je rabin we własnej osobie - rosły, brodaty mężczyzna po pięćdziesiątce, o włosach koloru

stali. Wystarczył jeden rzut oka - był za młody.

Preston przedstawił się.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, kto przed panem był tu rabinem?

- Oczywiście, rabin Shapiro.

- Czy wie pan może, czy on jeszcze żyje i gdzie mógłbym go znaleźć.

- Niech pan wejdzie - powiedział rabin Blum.

Poprowadził wzdłuż korytarza w głąb swego domu i na końcu otworzył jakieś drzwi. Był to pokój, który służył jednocześnie za sypialnię - siedział w nim, przed grzejnikiem gazowym, bardzo stary mężczyzna, popijający czarną herbatę z filiżanki.

- Wuju Salomonie, jest tu ktoś do ciebie - odezwał się Blum.

Godzinę później Preston opuścił dom i dołączył do Viljoena, który wrócił

wcześniej do samochodu.

- Na lotnisko - rzucił kierowcy, po czym zwrócił się do Viljoena. - Mógłby pan zorganizować spotkanie z generałem Pienaarem na jutro rano?

Tego popołudnia jeszcze dwóch mężczyzn zostało przeniesionych ze swoich stanowisk w radzieckich siłach zbrojnych do zadań specjalnych.

Jakieś sto mil na zachód od Moskwy, zaraz przy drodze do Mińska, głęboko w lesie, znajduje się kompleks płaskich anten radiowych wraz ze wspomagającymi budynkami. Jest to jedno ze stanowisk nasłuchowych ZSRR, zbierających sygnały radiowe nadchodzące od jednostek wojskowych Układu Warszawskiego i innych krajów, choć może również słuchać wiadomości przesyłanych między dwoma stronami daleko poza granicami radzieckimi. Jedna sekcja kompleksu jest odgradzona i przeznaczona wyłącznie do użytku KGB.

Z tej właśnie sekcji pochodził starszy sierżant radiooperator, jeden z wybranych mężczyzn.

- To najlepszy człowiek, jakiego mam - skarżył się swemu zastępcy dowodzący pułkownik, gdy ludzie z Komitetu Centralnego opuścili już jego biuro. -

Dobry? Mało powiedziane - jest genialny. Mając odpowiedni sprzęt potrafi złapać karalucha, drapiącego się w dupę w Kalifornii.

Drugi z przeniesionych był pułkownikiem w armii radzieckiej i gdyby nosił

mundur, co mu się nieczęsto zdarzało, jego oznaczenia wskazywałyby, że jest z artylerii. W rzeczywistości był bardziej naukowcem niż żołnierzem i pracował w Kierownictwie Działu

Zaopatrzenia, w Dziale Badań.

- A więc - odezwał się generał Pienaar, gdy usiedli na skórzanych fotelach wokół stołu z kawą - nasz dyplomata Jan Marais. Jest winny, czy nie?

- Winny - odparł Preston - jak wszyscy diabli.

- Myślę, że chciałbym usłyszeć, jak pan tego dowodzi, panie Preston. Gdzie zawinił? Gdzie zdradził?

- Ani jedno ani drugie - oznajmił Preston. - Nigdy nie postawił stopy w niewłaściwym miejscu. Czytał pan jego odręcznie napisaną autobiografię?

- Tak i - na co zwrócił może uwagę kapitan Viljoen - sprawdziliśmy również wszystko w karierze tego człowieka, od urodzenia po dzień dzisiejszy. Nie udało nam się znaleźć ani jednej sprzeczności.

- Bo nie ma żadnych - przyznał Preston. - Historia jego dzieciństwa jest absolutnie wierna, aż do ostatniego szczegółu. Myślę, że nawet dzisiaj mógłby opisywać te same lata przez pięć godzin, nie powtarzając się ani razu i nie myląc w niczym.

- A więc jest to prawda. Wszystko, co jest sprawdzalne, jest prawdą -

stwierdził generał.

- Wszystko, co jest sprawdzalne, tak. Wszystko się zgadza do momentu, w którym tamci dwaj młodzi żołnierze zeskoczyli z tyłu niemieckiej ciężarówki na Śląsku i zaczęli biec. Potem są same kłamstwa. Proszę mi pozwolić wyjaśnić, zaczynając od drugiego końca, od historii człowieka, który skoczył razem z Janem Maraisem, Frikkiego Brandta.

Adolf Hitler doszedł do władzy w Niemczech w 1933 roku. W 1935, niemiecki robotnik kolejowy, Josef Brandt, udał się do poselstwa Południowej Afryki w Berlinie i poprosił o wizę imigracyjną z uwagi na okoliczności losowe - groziło mu rzekome prześladowanie, ponieważ był Żydem. Wysłuchano jego błagania i wydano mu wizę, żeby wyemigrował do Południowej Afryki wraz ze swoją młodą rodziną.

Wasze własne archiwa potwierdzają wniosek o wizę i jej wydanie.

- Zgadza się - potwierdził skinieniem głowy generał Pienaar - za ery Hitlera trafiło do nas wielu żydowskich imigrantów. Mamy dobry rejestr tego uchodźstwa, lepszy niż inni.

- We wrześniu trzydziestego piątego roku - ciągnął dalej Preston - Josef Brandt z żoną Ilsa i dziesięcioletnim synem Friedrichem, wsiedli na statek w Bremerhaven i po sześciu tygodniach zeszedli z jego pokładu w Oos-Londen. Było tam wtedy duże środowisko Niemców, a małe Żydów. Brandt postanowił zostać i poszukać pracy na kolei. Życzliwy urzędnik imigracyjny poinformował miejscowego rabiną o przyjeździe nowej rodziny.

Rabin, energiczny młody człowiek o nazwisku Salomon Shapiro, złożył nowo przybyłym wizytę i próbował im pomóc, zachęcając do włączenia się w życie wspólnoty żydowskiej. Odmówili, a on

uznał, że chcą zasymilować się ze środowiskiem ludzi niemożeszowego wyznania. Był rozczarowany, ale jeszcze nie podejrzliwy. Potem, w 1938 roku, chłopak, teraz zafrykanizowany na Frederika czy Frikkiego, skończył trzynaście lat. Był to czas na bar-micwa, święto inicjacji żydowskich chłopców.

Jest to ważny moment dla mężczyzny, zwłaszcza mającego tylko jednego syna, niezależnie od tego, jak bardzo Brandtowie mogli chcieć się zasymilować.

Chociaż nikt z nich nigdy nie był w "schuli", rabin odwiedził rodzinę, by zapytać, czy chcieliby, żeby on odprawił nabożeństwo. Dali mu ostrą odprawę i jego podejrzenie przerodziło się w pewność.

- Jaką pewność? - zapytał zdumiony generał.

- Że nie są Żydami. Powiedział mi to wczoraj wieczorem. W czasie bar-micwa rabin błogosławi chłopca, najpierw jednak musi być przekonany, że jest on rzeczywiście Żydem. Matka winna przedstawić dokument, zwany ketuba, potwierdzający, że jej ślub był uroczysto dokonany w synagodze, zgodnie z wiarą żydowską. Ilsa Brandt nie miała ketuby, nie mogło więc być bar-micwy.

- A więc podstępem wjechali na terytorium Afryki Południowej - stwierdził

generał Pienaar. - To było cholernie dawno temu.

- Mało tego - dodał Preston. - Nie mogę tego udowodnić, ale myślę, że mam rację. Josef Brandt nie kłamał, kiedy mówił w waszym poselstwie, że grozi mu niebezpieczeństwo ze strony gestapo. Ale nie jako Żydowi. Jako wojującemu niemieckiemu komuniście. Wiedział, że jeśli podałyby ten powód, nigdy nie dostałby wizy.

- Niech pan mówi dalej - ponuro odezwał się generał.

- Jego syn, Frikki, jeszcze zanim skończył osiemnasty rok życia, był

całkowicie przesiąknięty sekretnymi ideałami ojca i stał się zdeklarowanym komunistą, gotowym pracować dla Międzynarodówki. W roku 1943 dwóch młodych ludzi wstąpiło do Armii Południowoafrykańskiej i poszło na wojnę; Jan Marais z Duiwelskloof, aby walczyć za Afrykę Południową i Wspólnotę Brytyjską i Frikki Brandt, aby walczyć za swoją ideologiczną ojczyznę, Związek Radziecki.

Nigdy nie spotkali się w czasie szkolenia czy w konwojowaniu oddziałów, we Włoszech czy w Moosbergu. Spotkali się jednak w Stalagu 344. Nie wiem, czy Brandt miał już do tej pory opracowany plan ucieczki, ale wybrał na swego towarzysza młodzieńca wysokiego i blondyna, takiego, jak on sam. Wierzę, że to on, a nie Marais zainicjował ten bieg w las, gdy zepsuła się ciężarówka.

- A zapalenie płuc? - spytał Viljoen.

- Nie było żadnego zapalenia płuc - powiedział Preston. - Nie wpadli też w ręce polskich katolickich partyzantów. Bardziej prawdopodobne jest, że złapali ich partyzanci komuniści, z którymi Brandt

mógł swobodnie rozmawiać po niemiecku.

Zaprowadzili go pewnie do jednostki Armii Czerwonej, a stamtąd do NKWD, ciągnąc za sobą ufnego Maraisa.

Zamiana miała miejsce między marcem a sierpniem czterdziestego piątego.

Całe to gadanie o lodowatych celach, to bzdury. Z Maraisa wyciągnięto każdy najmniejszy szczegół z jego dzieciństwa i okresu szkolnego, a Brandt uczył się tego dopóty, dopóki mimo swej słabej znajomości pisanego angielskiego, nie był w stanie napisać tego życiorysu z zamkniętymi oczami.

Prawdopodobnie Brandt przeszedł również intensywny kurs angielskiego, zmienili mu też trochę wygląd, włożyli na szyję plakietkę Maraisa, aż w końcu byli gotowi. Jan Marais natomiast, jako osoba niepotrzebna, został prawdopodobnie zlikwidowany.

Przygotowali z grubsza Brandta, dali mu jakieś środki, żeby wyglądał na rzeczywiście chorego i podrzucili do Poczdamu. Spędził jakiś czas w szpitalu w Bielefeld i trochę więcej pod Glasgow. Do zimy czterdziestego piątego wszyscy południowoafrykańscy żołnierze wrócili już do domów i było mało prawdopodobne, żeby wpadł na kogoś z pułku Witz De La Rey. A w grudniu odpłynął do Cape Town, dokąd przybył w styczniu czterdziestego szóstego.

Istniał jeszcze jeden problem. Nie mógł jechać do Duiwelskloof. Nie miał

zresztą zamiaru. Wtedy właśnie ktoś z Kwatery Głównej Obrony wysłał jednak do starego farmera Maraisa telegram z informacją, że jego syn w końcu wrócił, choć już wcześniej stwierdzono o nim "zaginiony, przypuszczalnie nie żyje". Ku przerażeniu Brandta nadszedł i do niego telegram - przyznając, że tutaj zgaduję, ale nie jest to pozbawione sensu - naglący go do powrotu do domu. Ponownie więc udał chorego i poszedł do Wojskowego Szpitala Wynberga. Ale ten sposób nie stanowił rozwiązania, tym bardziej, że stary wysłał telegram, zapowiadając swoją wizytę w Cape Town.

Zrozpaczony Brandt zwrócił się do swych przyjaciół w Międzynarodówce i sprawa została załatwiona. Dopadli starca na pustej drodze w dolinie Mootseki, zostawili na wpół zmienione koło, i zadbali aby wyglądało to na wypadek, którego sprawca uciekł.

Potem to już było jak chleb z masłem. Młodzieniec nie mógł pojechać do domu na pogrzeb, co zresztą wszyscy w Duiwelskloof rozumieli, a adwokat Benson nie nabrał

żadnych podejrzeń, gdy został poproszony o spieniężenie majątku i przesłanie dochodów ze sprzedaży pocztą do Cape Town.

W biurze generała zaległa cisza, zakłócona jedynie przez brzęczenie muchy na szybie. Pienaar kilkakrotnie pokiwał głową.

- To wszystko trzyma się kupy - przyznał w końcu. - Ale nie ma dowodów.

Nie możemy udowodnić, że Brandtowie nie byli Żydami, a co dopiero, że byli komunistami. Czy

może mi pan pokazać cokolwiek, co stanowiłoby to ponad wszelką wątpliwość?

Preston sięgnął do kieszeni i wyciągnął fotografię, którą następnie położył na biurku generała Pienaara.

- To jest zdjęcie, ostatnie zresztą, prawdziwego Jana Maraisa. Jak pan widzi, był we wczesnej młodości niezłym graczem w krykieta. Był serwującym. Jeśli pan się przyjrzy, to zauważy, że jego palce trzymają kulę w taki sposób, aby nadać jej ruch wirowy. Zobacz pan też, że jest on mańkutomem.

Spędziłem w Londynie tydzień, dokładnie obserwując Jana Maraisa; z bliska i przez lornetkę. Prowadzącego samochód, palącego, jedzącego, pijącego - on jest praworęczny. Może pan zrobić z człowiekiem wiele rzeczy, aby go zmienić, panie generale, może pan zmienić jego włosy, mowę, twarz, maniery. Ale nie może pan zmienić leworęcznego zawodnika serwującego podkręconą kulę w człowieka praworęcznego.

Generał Pienaar, który połowę swego życia grał w krykieta, gapił się na leżącą przed nim fotografię.

- Więc co my tam mamy w Londynie, panie Preston?

- Panie generale, ma pan zdeklarowanego agenta komunistycznego, który od ponad czterdziestu lat pracuje w Południowoafrykańskiej Służbie Zagranicznej dla Związku Radzieckiego.

Generał Pienaar podniósł oczy znad biurka i rzucił okiem przez okno na Voortrekker Monument.

- Rozwalę go - wyszeptał - rozwalę go na drobne kawałki i rozrzucę je po stepie.

Preston chrząknął.

- Biorąc pod uwagę, że mamy również kłopoty z powodu tego człowieka, czy mógłbym prosić, aby powstrzymał pan swoją rękę aż porozmawia pan osobiście z sir Nigelem Irvinem?

- Bardzo dobrze, panie Preston - generał Pienaar skinął głową. - Najpierw rozmówię się z sir Nigelem. A pan jakie ma plany?

- Wieczorem jest samolot do Londynu, sir. Chciałbym nim polecieć.

Generał Pienaar wstał i wyciągnął rękę.

- Dobrego dnia, panie Preston. Kapitan Viljoen odprowadzi pana na samolot. I dziękuję za pomoc.

Pakując się, Preston zadzwonił z hotelu do Dennisa Greya, który przyjechał z Johannesburga i odebrał wiadomość do zakodowanego przekazania do Londynu. Po dwóch godzinach dostał odpowiedź. Sir Bernard Hemmings przyjedzie do jego biura nazajutrz, w sobotę, aby się z nim spotkać.

Preston i Viljoen stanęli w hali odlotów przed samą ósmą, właśnie gdy po raz ostatni wzywano pasażerów na lot South Africa Airways do Londynu. Preston pokazał

swoją przepustkę a Viljoen dobrą na wszystko legitymację. Weszli w chłodne i ciemne pole startowe.

- Powiem ci to, Angliku, jest z ciebie cholernie dobry jagdhond.

- Dziękuję - powiedział Preston.

- Wiesz, co to jest jagdhond?

- Sądzę - stwierdził ostrożnie Preston - że myśliwski pies z Cape, jest powolny, niezdarny, ale bardzo wytrzymały.

Po raz pierwszy w tym tygodniu kapitan Viljoen odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Po chwili spoważniał.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Tak.

- Dlaczego położyłeś kwiat na grobie starca?

Preston utkwiał wzrok w czekającym samolocie. Światła jego kabiny błyszczały w mroku w odległości dwudziestu jardów.

- Zabrali mu syna - powiedział - a potem zabili jego, aby się nie dowiedział.

Chyba tak należało.

Viljoen wyciągnął rękę.

- Do widzenia, John i wszystkiego dobrego.

- Do widzenia, Andries.

Dziesięć minut później lecąca gazela południowoafrykańska widniejąca na stateczniku odrzutowca podniosła swój nos ku niebu i poszybowała na północ, do Europy.

11

Sir Bernard Hemmings siedział w milczeniu, mając u boku Briana Harcourt-Smitha. Obaj wysłuchali raportu Prestona do samego końca.

- Wielki Boże - rzekł ponurym głosem sir Bernard, gdy ten zamilkł. - A więc to jednak była Moskwa. To się musi źle skończyć. Szkody są potężne. Brian, czy obaj ci ludzie są nadal objęci inwigilacją?

- Tak, sir.

- Nie zmieniaj tego przez cały weekend. Żadnych działań zmierzających do zatrzymania ich, dopóki

Komitet Koordynacyjny nie dowie się o wszystkim. John, zdaję sobie sprawę, że jesteś zmęczony. Ale czy zdążysz napisać raport przez niedzielny wieczór?

- Tak, będzie gotowy.

- Więc postaraj się, żeby leżał na moim biurku w poniedziałek z samego rana.

Skontaktuję się z członkami Komitetu w ich domach i zwołam nadzwyczajne posiedzenie na poniedziałek rano.

Wchodząc do salonu wytwornej daczy w Usowie, major Walerij Pietrowski był zupełnie roztrzęsiony. Nigdy nie spotkał się twarzą w twarz z sekretarzem generalnym KPZR, ani nawet nie marzył o czymś takim.

Spędził trzy dni w stanie zupełnej dezorientacji, a nawet w przerażeniu. Gdy tylko dyrektor zawiadomił go o odkomenderowaniu do zadania specjalnego, major został odizolowany w położonym w centrum Moskwy mieszkaniu, strzeżonym dzień i noc przez dwóch ludzi z Dziewiątego Zarządu - Ochrony Kremla. Nic dziwnego, że obawiał się wszystkiego co najgorsze, nie mając nawet najślabszego pojęcia czego się mógł dopuścić.

A potem w niedzielny wieczór nagle usłyszał rozkaz, że ma się przebrać w najlepszy garnitur cywilny i zejść w towarzystwie swoich strażników do oczekującej czajki. W całkowitym milczeniu samochód ruszył w stronę Usowa. Daczy, do której go wprowadzono, nie znał wcześniej.

Zdał sobie sprawę gdzie jest dopiero wtedy, gdy major Pawłow powiedział

mu: - Za chwilę przyjmie cię towarzysz sekretarz generalny. Wchodząc do salonu poczuł, że ma zupełnie sucho w gardle. Próbował się opanować tłumacząc sobie, że na każde skierowane przeciw sobie oskarżenie odpowie z szacunkiem i prawdomównie. Przekroczywszy próg zamarł w postawie na baczność. Siedzący w wózku inwalidzkim starzec przez kilka minut przyglądał mu się w milczeniu, po czym gestem polecił mu się zbliżyć. Pietrowski zrobił cztery kroki defiladowym marszem i znowu zastygł na baczność. Ale gdy radziecki przywódca wreszcie się odezwał, w jego głosie nie było ostrego jak uderzenie biczem tonu oskarżenia. Wręcz przeciwnie, przemówił bardzo łagodnie.

- Majorze Pietrowski, nie jesteście manekinem krawieckim. Podejdźcie bliżej, żebym was zobaczył w pełnym świetle. I usiądźcie.

Pietrowski zdębiał. Było wręcz niesłychane, aby młody major miał siedzieć w obecności sekretarza generalnego. Zrobił co mu kazano, siadając na brzeżku wskazanego krzesła, wyprostowany, z nogami nadal na baczność.

- Czy domyślacie się czemu was wezwałem?

- Nie, towarzyszu sekretarzu generalny.

- Tak sądziłem. Konieczne jest, aby nikt o tym nie wiedział. A teraz powiem wam o co chodzi. Macie

do wykonania pilne zadanie. Jego wyniki są niewyobrażalnie wprost ważne dla Związku Radzieckiego i dla zwycięstwa Rewolucji. Jeśli się ono powiedzie, to zyski naszego kraju będą nieopisane. Jeśli zaś nie, poniesiemy katastrofalne straty. Ciebie, Walerij Aleksiejewiczu, osobiście wybrałem dla wykonania tej misji.

Pietrowskiemu zakręciło się w głowie. Strach przed oczekiwaną niełaską i zesłaniem ustąpił miejsca nieopisanemu uniesieniu. Od chwili, gdy jako znakomity, przodujący absolwent Uniwersytetu Moskiewskiego zamiast planowanej przez siebie kariery zawodowej w Ministerstwie Spraw zagranicznych, został wybrany do KGB, gdzie stał się jedną z młodych nadziei Pierwszego Głównego Zarządu; od momentu gdy zgłosił się na ochotnika i został przyjęty w szeregi elitarnego Zarządu Działań Specjalnych, marzył o powierzeniu mu ważnego zadania. Ale w najszańszych nawet marzeniach nie spodziewał się czegoś takiego, jak dziś. Wreszcie ośmielił się spojrzeć sekretarzowi generalnemu prosto w oczy.

- Dziękuję, towarzyszu sekretarzu generalny.

- Kto inny wprowadzi cię w szczegóły - kontynuował przywódca partii. -

Czasu będzie niewiele, ale otrzymałeś najlepsze z możliwych, odpowiadające twoim uzdolnieniom wykszolenie. Otrzymasz też wszystko, co potrzeba dla wypełnienia twego zadania. Istnieje przyczyna, dla której chciałem poznać cię osobiście. Jest coś, co trzeba ci powiedzieć i zdecydowałem, że powiem ci to osobiście. Jeśli misja zakończy się sukcesem, a nie wątpię że tak będzie, po powrocie otrzymasz awanse i zaszczyty przekraczające twoje wyobrażenie. Tego sam dopilnuję. Ale jeśli coś się potoczy w niewłaściwą stronę, jeśli zagrozi ci schwytnie przez policję czy wojsko kraju, do którego zostaniesz wysłany, musisz bez żadnego wahania podjąć takie kroki, które zapewnią, że nie wezmą cię żywego. Czy rozumiesz, Walerij Aleksiejewiczu?

- Tak jest, towarzyszu sekretarzu generalny.

- Być wziętym żywym, być przesłuchanym pod naciskiem, zostać zesłanym - o tak, dzisiaj jest to możliwe, nie ma tak wielkiej odwagi, by się oparła działaniu środków chemicznych - zostać wystawionym na pokaz na konferencji dla korespondentów zagranicznych, to wszystko będzie piekłem za życia. Ale szkody, jakie by wyrządziło takie przedstawienie Związkowi Radzieckiemu, twojej ojczyźnie, byłyby nieoszacowane i nie do naprawienia.

Major Pietrowski wziął głęboki oddech. - Nie zawiodę - oświadczył. - Ale gdyby miało dojść do najgorszego, żywcem mnie nie wezmą.

Sekretarz generalny nacisnął guzik pod blatem stołu i w drzwiach pojawił się natychmiast major Pawłow.

- Idź więc, młodzieńcze. Człowiek, którego być może już spotkałeś w tym domu wyjaśni ci na czym polega misja. Potem udasz się gdzie indziej na odprawę szczegółową. Nie spotkamy się więcej do twego powrotu.

Gdy za dwoma majorami KGB zamknęły się drzwi, sekretarz generalny dłuższy czas wpatrywał się w

migotliwe płomienie na kominku. Jaki wspomniały młody człowiek - pomyślał. Jaka szkoda.

Podążającego za majorem Pawłowem przez dwa długie korytarze do skrzydła daczy przeznaczonego dla gości, Pietrowskiego rozpieprzyły uczucia dumy i oczekiwania.

Major Walerij Aleksiejewicz Pietrowski był niezłomnym rosyjskim patriotą i żołnierzem. Doskonale władający angielskim, znał też wyrażenie "umrzeć za Boga, Króla i Ojczyznę" i rozumiał jego znaczenie. W Boga nie wierzył, ale przywódca jego ojczyzny okazał mu osobiste zaufanie. Idąc korytarzami willi w Usowie major wiedział, że jeśli nadejdzie taki moment, nie zawaha się przed zrobieniem tego, co trzeba.

Major Pawłow zatrzymał się przy jednych z drzwi, zapukał i zaraz je otworzył.

Przepuścił Pietrowskiego przed sobą i zamknął za nim drzwi. Z fotela stojącego przy stole zarzuconego mapami i papierami podniósł się siwowłosa mężczyzna.

Wyciągając rękę, uśmiechnął się. - Więc to ty jesteś major Pietrowski.

Majorowi niespodzianka odebrała oddech. Znał tę twarz, choć nigdy nie spotkał się z tym człowiekiem bezpośrednio. Świeżo przyjmowanym do PGZ

wyjaśniano, że w żargonie Zarządu nazywany jest jedną z Pięciu Gwiazd, człowiekiem cieszącym się powszechnym poważaniem, reprezentującym jedno z wielkich zwycięstw ideologii radzieckiej nad kapitalizmem.

- Tak, towarzyszu pułkowniku - odrzekł Pietrowski.

Philby tyle razy czytał jego akta osobowe, że znał je na pamięć. Wiedział, że Pietrowski ma zaledwie trzydzieści sześć lat, a przez dziesięć przechodził szkolenie, pozwalające mu uchodzić za Anglika. Dwukrotnie odwiedzał Wielką Brytanię dla zaznajomienia się z krajem, za każdym razem głęboko zakonspirowany, nigdy nie zbliżając się nawet na dalszy dystans do ambasady radzieckiej i w obu wypadkach nie mając żadnych zadań.

Jedynym celem takich wizyt było zaznajamianie wywiadowców na stopie nielegalnej zanim stawali się aktywnymi, ze wszystkim, z czym kiedyś się spotkają.

Były to proste rzeczy: jak otwierać konto bankowe, jak się zachować w wypadku drobnej kolizji z innym samochodem, jak się posługiwać londyńskim metrem, a ponadto podczas każdego wyjazdu mieli obowiązek poznawać jak najwięcej aktualnych wyrażeń slangowych.

Philby wiedział, że siedzący przed nim młody człowiek nie tylko mówi doskonałą angielszczyzną, ale także bezbłędnie posługuje się czterema gwarami regionalnymi oraz równie bezbłędnie włada walijskim i irlandzkim. Pułkownik przeszedł na angielski.

- Siadaj - polecił. - W tej chwili nakreślę tylko ogólny zarys zadania. Inni podadzą ci wszystkie szczegóły. Czasu będzie mało, przeraźliwie mało, będziesz więc musiał wszystko to przyswoić sobie znacznie szybciej, niż kiedykolwiek w życiu.

Podczas rozmowy Philby zdał sobie sprawę, że po trzydziestu latach oddalenia od kraju w którym się urodził, pomimo bieżącej lektury wszystkich gazet i czasopism brytyjskich jakie wpadły mu w ręce, mówi językiem przestarzałym i nienaturalnym.

Zabrakło mu praktyki, natomiast młody Rosjanin mówił tak, jak każdy współczesny Anglik w jego wieku.

Naszkiecowanie planu o kodowej nazwie "Aurora" i jego zakresu zabrało Philby'emu dwie godziny. Pietrowski przysłuchiwał się z napiętą uwagą. Plan ocenił

jako pasjonujący i zdumiewająco zuchwały.

- Najbliższe kilka dni spędzisz z zespołem, liczącym tylko czterech ludzi.

Przekażą ci całą masę nazwisk, miejsc, dat, terminów łączności radiowej, punktów kontaktowych zwykłych i zapasowych. Wszystkiego nauczysz się na pamięć. Jediną rzeczą jaką zabierzesz ze sobą będzie bloczek jednorazowych szyfrów szeregowych. I to wszystko.

Wysłuchawszy pułkownika Pietrowski skinął głową.

- Powiedziałem towarzyszowi sekretarzowi generalnemu, że nie zawiodę -

powiedział. - Będzie wykonane zgodnie z rozkazem i na czas. Jeśli części składowe nadejdą, będzie wykonane.

Philby wstał. - Dobrze, w takim razie polecę cię odwiedzić z powrotem do Moskwy, do miejsca gdzie spędzisz resztę czasu aż do wyjazdu.

Philby przeszedł przez pokój do wewnętrznego telefonu, i równocześnie Pietrowski drgnął, usłyszawszy z kąta głośne "gruu". W kącie pokoju, nie zauważony przezeń wcześniej, w obszernej klatce siedział piękny gołąb z jedną łapką w łubkach i zerkał na obu obecnych. Philby odwrócił się do gościa z przepaszającym uśmiechem.

- Nazwałem go Kulasek - oznajmił, równocześnie wykręcając numer telefoniczny wezwania majora Pawłowa. - Zeszłej zimy znalazłem go na ulicy. Miał

złamane skrzydło i łapę. Skrzydło się zagoiło, ale z nóżką nadal są kłopoty.

Pietrowski podszedł do klatki i paznokciem poskrobał jej pręty. Ale gołąb kulejąc odskoczył w drugą stronę. Drzwi się otworzyły i wszedł major Pawłow. Jak zwykle nie odezwał się ani słowem i tylko skinął na Pietrowskiego.

- Do następnego spotkania. Wiele szczęścia! - powiedział Philby.

Członkowie Komitetu Koordynacyjnego siedzieli w milczeniu czytając raport Prestona, póki ostatni z nich nie skończył.

- No tak - odezwał się sir Anthony Plumb, zagajając dyskusję. - Teraz przynajmniej wiemy co, gdzie, kiedy i kto. Ale w dalszym ciągu nie wiemy dlaczego.

- Ani jak wiele - wtrącił się sir Patrick Strickland. - Jeszcze nie rozpoczęła się ocena poniesionych szkód, a my po prostu musimy poinformować o tym fakcie naszych sprzymierzeńców, nawet jeśli nic istotnego, poza jednym fikcyjnym dokumentem, od stycznia nie dotarło do Moskwy.

- W porządku - powiedział sir Anthony. - A więc, panowie, sądzę że musimy się zgodzić, że czas na dalsze dochodzenie już minął. Jak się weźmiemy za tego człowieka? Kto ma pomysł? Brian?

Pod nieobecność dyrektora generalnego Brian Harcourt-Smith jednoosobowo reprezentował MI-5. Przemówił, starannie dobierając słowa. - W naszym przekonaniu siatka składa się tylko z Berensona, Maraisa i wyłączonego Benottiego. Służba Bezpieczeństwa uważa za mało prawdopodobne, aby w sieci było więcej agentów.

Berenson ma tak duże znaczenie, że jak sądzimy cała sieć została stworzona tylko po to, by nim sterować.

Siedzący przy stole skinęli głowami na znak zgody.

- A co proponujecie? - spytał sir Anthony.

- Zdjąć ich wszystkich, zwinąć całą siatkę - odrzekł Harcourt-Smith.

- Ale mamy także do czynienia z obcym dyplomata - sprzeciwił się sir Hubert Villiers z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

- Sądzę, że w tym wypadku Pretoria gotowa będzie zrzec się jego immunitetu -

wtrącił Strickland. - Do tej pory generał Pienaar już z pewnością powiadomił o wszystkim prezydenta Bothę. Gdy już sobie porozmawiamy z Maraisem, oni też będą chcieli położyć na nim rękę.

- No cóż, to chyba już rozstrzygnięte. - Zauważył sir Anthony. - Ale co ty sądzisz, Nigel?

Sir Nigel Irvine gapił się w sufit z roztargnioną miną. Usłyszawszy pytanie jakby ocknął się z marzeń. - Właśnie się zastanawiałem - odrzekł spokojnie. -

Zdejmujemy ich. I co dalej?

- Przesłuchanie - powiedział Harcourt-Smith - wtedy możemy zacząć ocenę szkód i poinformować naszych sprzymierzeńców, podając na osłodę, że cała siatka została zdjęta.

- Tak - rzekł Sir Nigel - to dobrze. Ale wtedy co dalej? - Zwrócił się do sekretarzy trzech ministerstw oraz gabinetu. - Wydaje mi się, że mamy cztery możliwości do wyboru. Możemy wziąć Berensona i wnieść przeciw niemu formalne oskarżenie na podstawie Ustawy o Tajemnicy Państwowej, co aresztowawszy go będziemy zmuszeni zrobić. Ale czy mamy dość dowodów, by

wygrać sprawę w sądzie? Wiemy, że mamy rację. Ale czy możemy to udowodnić oskarżonemu, którego będzie bronił pierwszorzędny adwokat? A poza tym oficjalne aresztowanie i oskarżenie wywołałoby skandal, który z pewnością uderzy rykoszetem w rząd.

Sir Martin Flannery, sekretarz Gabinetu Ministrów, natychmiast pojął trafność uwagi. W przeciwieństwie do innych obecnych wiedział, że istnieje zamiar niespodziewanego ogłoszenia w lecie wyborów. Wiedział, bo premier poinformowała go o tym w najściślejszej tajemnicy. Urzędnik starej szkoły, przez całe życie zatrudniony w aparacie państwowym, sir Martin był absolutnie lojalny wobec obecnego rządu, tak samo jak był wobec trzech poprzednich, w tym dwóch rządów Partii Pracy. Z identyczną lojalnością zachowywałby się wobec każdego następnego, demokratycznie wybranego rządu. Zaciśnął usta.

- Po wtóre - podjął temat sir Nigel - możemy nie ruszać Berensona ani Maraisa, ale postarać się dostarczać Berensonowi fałszywe dokumenty celem przekazywania ich do Moskwy. Ale to by miało krótkie nogi. Berenson ma zbyt wysokie stanowisko służbowe i zbyt dużo wie, aby się nabrać na coś takiego.

Sir Peregrine Jones skinął głową. Wiedział, że co do tego sir Nigel ma rację.

- Albo też możemy zdjąć Berensona i starać się pozyskać jego pełną współpracę w zakresie oceny szkód, na zasadzie umowy o odstąpieniu od oskarżenia.

Jeśli o mnie idzie, nienawidzę koncepcji udzielania zapewnień bezkarności zdrajcom.

Nigdy nie wiadomo, czy powiedzieli prawdę czy nas nabrali, jak to było z Bluntem. A na koniec zawsze to wychodzi na jaw, powodując jeszcze większy skandal.

Hubert Villiers, reprezentujący ministerstwo, któremu podlegali prokuratorzy koronni, bez słów samą miną wyraził aprobatę. On również nienawidził układów o bezkarności dla zdrajców, a wszyscy zebrani wiedzieli, że premier jest tego samego zdania.

- Wydaje się więc, że pozostaje tylko możliwość zatrzymania i ostrego przesłuchania - kontynuował słodkim głosem szef SIS. - Jednym słowem trzeciego stopnia. Prawdopodobnie jestem człowiekiem starej daty, ale nigdy nie miałem do tego zaufania. Człowiek może się przyznać do przekazania pięćdziesięciu dokumentów, ale żaden z nas nie dowie się do śmierci, czy nie było jeszcze pięćdziesięciu.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Wszystkie ewentualności są równie niemiłe - zgodził się Plumb. - Ale jeśli nie ma innych propozycji, wygląda że będziemy musieli zgodzić się z wnioskiem Briana.

- Może jest jeszcze jedna - powiedział łagodnie sir Nigel. - Jest jeszcze możliwość, jak wiecie, że Berenson został w rzeczywistości zwerbowany pod fałszywą flagę.

Większość obecnych wiedziała, co oznacza werbunek pod fałszywą flagę, ale Hubert Villiers i Martin Flannery zrobili zdziwione miny.

Sir Nigel wyjaśnił.

- To oznacza werbunek agenta przez ludzi, którzy udają, iż pracują dla jednego kraju z którym werbowany sympatyzuje, gdy w rzeczywistości pracują dla zupełnie innego. Izraelski wywiad Mossad jest szczególnie wyspecjalizowany w tym zakresie.

Ponieważ dysponują pracownikami, którzy mogą uchodzić za przedstawicieli dowolnego narodu pod słońcem, Izraelczykom udało się zmontować szereg niezwykle szwindli z fałszywą flagą. Na przykład: lojalny zachodni Niemiec pracujący na Bliskim Wschodzie, podczas urlopu w Niemczech spotyka dwóch współrodaków, którzy legitymując się niepodważalnymi dokumentami występują przed nim jako przedstawiciele Bundesnachrichtendienstu, zachodniemieckiego wywiadu. Opowiadają mu historyjkę, że Francuzi, zatrudnieni w Iraku na tej samej budowie co on, przekazują Irakijczykom tajemnice technologiczne absolutnie zakazane przez NATO. Robią to, by uzyskać tam jeszcze większe kontrakty handlowe. Czy Niemiec zachce pomagać swemu krajowi informując, co się tam dzieje? Jako lojalny obywatel, Niemiec oczywiście się zgadza i przez całe lata pracuje dla Jerozolimy. To się wielokrotnie zdarzało. I to by się, wiecie, zgadzało -

kontynuował sir Nigel. - Tyle razy czytaliśmy dossier Berensona, że już tym wszyscy rzygamy. Ale biorąc pod uwagę to, co wiemy teraz, odpowiedzią może być technika fałszywej flagi.

W odpowiedzi Irvine ujrzał szereg gestów potwierdzenia. Dossier Berensona zawierało informację, że natychmiast po ukończeniu uniwersytetu rozpoczął pracę zawodową w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Jego kariera toczyła się całkiem zadowolająco. Trzy razy był na placówkach zagranicznych, stale, choć może nie spektakularnie, awansując w korpusie dyplomatycznym.

W połowie lat sześćdziesiątych ożenił się z lady Fioną Glen i wkrótce potem został wysłany w towarzystwie żony do Pretorii. Tam, zetknąwszy się z tradycyjną i prawie bezgraniczną gościnnością Południowych Afrykanów, poczuł prawdopodobnie głęboką sympatię i podziw dla RPA. Ale w okresie rządów Partii Pracy w Wielkiej Brytanii i buntu w Rodezji, jego coraz większy i jawniejszy zachwyt dla Pretorii nie był dobrze widziany.

Po powrocie do kraju w sześćdziesiątym dziewiątym dowiedział się zapewne, że następnym razem zostanie wysłany na placówkę do mniej kontrowersyjnego kraju, powiedzmy do Boliwii. Członkowie Komitetu mogli się tego tylko domyślać, ale zdawało się prawie pewne, że lady Fiona, która zgodziła się na Pretorię, tym razem tupnęła nogą odmawiając spędzenia trzech lat gdzieś w Andach, z dala od jej ukochanych koni i życia towarzyskiego. Jakkolwiek tam było, George Berenson poprosił o przeniesienie do Ministerstwa Obrony, co uważano za obniżenie rangi. Ale biorąc pod uwagę majątek żony, niewiele go to obeszło. Uwolniony od ograniczeń, jakie nakładała w tym zakresie służba dyplomatyczna, został członkiem kilku towarzystw przyjaźni z Południową Afryką, które z reguły gromadziły przedstawicieli prawicy politycznej.

Sir Peregrine Jones pamiętał, że znane i zbyt jawne prawicowe sympatie Berensona uniemożliwiły mu przedstawienie tego człowieka do uszlachcenia. W tym momencie Jones zdał też sobie sprawę, że to właśnie mogło dolać oliwy do ognia, podsycając rozgoryczenie Berensona.

Godzinę wcześniej, po przeczytaniu raportu, zebrani wyżsi urzędnicy uznali, że południowoafrykańskie sympatie Berensona były tylko przykrywką ukrytego sympatyka Związku Radzieckiego. Ale uwaga sir Nigela rzuciła na wszystko odmienne światło.

- Fałszywa flaga? - zastanawiał się Strickland. - Uważasz, że on naprawdę mógł być przekonany, iż przekazuje tajne informacje Południowej Afryce?

- Zastanawiałem się nad tą zagadką - odrzekł "C". - Gdyby był potajemnym sympatykiem radzieckim albo ukrytym komunistą, czemu Centrum nie miałooby nim sterować przez pracownika radzieckiego? W samej ich ambasadzie znam z pięciu takich, którzy by mogli dobrze wykonywać takie zadanie.

- Cóż, muszę się przyznać, że nie wiem... - powiedział sir Anthony Plumb. W

tym momencie podniósł wzrok i dostrzegł, że sir Nigel Irvine szybko na niego mrugnął. Plumb zmusił się do spuszczenia oczu na leżące przed nim dossier Berensona.

Ty podstępny sukinsynu, Nigel - pomyślał, - ty się wcale nad tym nie zastanawiasz. Po prostu wiesz.

Rzeczywiście, dwa dni wcześniej Andriejew przekazał pewną wiadomość. Nie było tego wiele, ot, taka stołówkowa pogaduszka w ambasadzie radzieckiej. Popijał w bufecie z przedstawicielem Linii N i rozmawiał o sprawach służbowych w ogólności.

Wspomniał, że niekiedy werbunek pod fałszywą flagą może być użyteczny.

Przedstawiciel Zarządu Działań Specjalnych zaśmiał się, mrugnął i postukał palcem wskazującym po nosie. Andriejew był zdania, że ten gest oznaczał, iż w tej chwili w Londynie była jakaś operacja pod fałszywą flagą i że człowiek z Linii N coś o tym wiedział. Sir Nigel, dowiedziawszy się o tym, był tego samego zdania.

I jeszcze coś przyszło do głowy sir Anthony'emu. Jeśli ty naprawdę coś wiesz, Nigel, to oznacza, że masz źródło informacji bezpośrednio w ich rezydenturze. Ty stary lisie! A po tym nasunęła mu się kolejna myśl, i to mniej przyjemna. Czemu Nigel wprost o tym nie powiedział? Wszyscy siedzący przy tym stole są absolutnie godni zaufania, nieprawdaż? Przeszył go chłodny dreszcz. Podniósł oczy.

- W takim razie sądzę, że musimy poważnie zastanowić się nad sugestią Nigela. To ma sens. Co masz na myśli, Nigel?

- Nasz człowiek jest zdrajcą, co do tego nie ma wątpliwości - odrzekł "C". -

Jeśli mu się pokaże dokumenty, które zostały nam anonimowo zwrócone, bez wątpienia dozna wstrząsu. Ale jeśli wtedy da się mu do przeczytania dossier południowoafrykańskie, które przywiózł John Preston, a Berenson jest przekonany, że pracuje dla Pretorii, wątpię czy potrafi wówczas ukryć swe załamanie. Natomiast jeśli jest naprawdę ukrytym komunistą, to będzie wiedział jakie są przekonania Maraisa, a więc nie będzie to dla niego niespodzianką. Uważam, że wyszkolony obserwator będzie w stanie to wykryć.

- A jeśli to był werbunek pod fałszywą flagą? - spytał Perry Jones.

- W takim wypadku, jak sądzę, uzyskamy jego całkowitą i nieograniczoną współpracę w zakresie oceny szkód. Co więcej, uważam, że można go będzie przekonać do zmiany frontu, co pozwoli nam na zmontowanie przeciw Moskwie wielkiej operacji dezinformacyjnej. A to moglibyśmy przedstawić naszym sprzymierzeńcom jako wielką wygraną.

Paddy Strickland z Ministerstwa Spraw Zagranicznych został przekonany.

Zgodzono się na realizację planu sir Nigela.

- Na zakończenie - spytał Plumb, - kto z nim będzie rozmawiał?

Sir Nigel Irvine odkaszlnął. - No cóż, prawdę powiedziawszy, jest to sprawa

“piątki”. Ale operacja dezinformacyjna przeciw Centrum należy do “szóstki”. A ponadto tak się składa, że znam tego człowieka. Prawdę powiedziawszy, byliśmy razem w szkole.

- Wielki Boże! - zawołał Plumb. - Przecież on jest znacznie młodszy niż ty, prawda?

- Dokładnie o pięć lat. Czyścił mi buty.

- W porządku. Czy wszyscy się zgadzają? Czy ktoś jest przeciw? Wygrałeś, Nigel. Bierzesz tego człowieka, jest twój. Opowiedz nam tylko jak ci poszło.

We wtorek dwudziestego czwartego na londyńskim lotnisku Heathrow wylądował południowoafrykański turysta z Johannesburga. Formalności przylotowe załatwił bez trudności.

Gdy wychodził z hali odpraw celnych z torbą podróżną w rękę podszedł do niego młody człowiek i szepnął mu coś do ucha. Tęgi Południowoafrykanin skinął

głową. Młody człowiek wziął jego torbę i zaprowadził do czekającego przed budynkiem samochodu.

Zamiast skierować się do Londynu, kierowca pojechał obwodnicą M-25, a później szosą M-3 w stronę Hampshire. W godzinę później zatrzymał się pod drzwiami wytwornego domu wiejskiego pod Basingstoke. Zdjąwszy palto południowoafrykanin skierował się do biblioteki. Ze stojącego przy kominku fotela podniósł się jego rówieśnik, Anglik ubrany w wiejski garnitur tweedowy.

- Henry Pienaar, jakże się cieszę z ponownego spotkania. Od dawna cię oczekiwałem. Witaj w Anglii.

- Nigel, jak ci się powodzi?

Nim podano lunch szefowie dwóch służb wywiadowczych mieli do dyspozycji całą godzinę. Zasiedli więc do dyskusji nad problemem, który spowodował przyjazd generała Pienaara do domu wiejskiego, utrzymywanego przez SIS dla wybitnych, lecz potajemnie przybywających gości.

Pod wieczór sir Nigel Irvine uzyskał zgodę, której pragnął. Południowi Afrykanie pozostawiają Jana Maraisa na placówce tak długo, jak będzie tego potrzebował Irvine dla zmontowania wielkiej gry

dezinformacyjnej przy pomocy George'a Berensona, oczywiście zakładając, że zgodzi się on współpracować.

Brytyjczycy poddadzą Maraisa ścisłej obserwacji, biorąc na siebie odpowiedzialność, że nie pozwolą by potajemnie zbiegł do Moskwy - ponieważ Południowi Afrykanie mają teraz dokonać oceny własnych strat - i to za okres czterdziestu lat.

Następnie zgodzono się, że po zakończeniu gry dezinformacyjnej, Irvine poinformuje Pienaara, że Marais nie jest już potrzebny. Zostanie odwołany do kraju, Brytyjczycy zapakują go na pokład południowoafrykańskiego odrzutowca, a gdy ten wystartuje, ludzie Pienaara aresztują Maraisa jako znajdującego się na suwerennym terytorium RPA.

Po kolacji sir Nigel przeprosił, że czeka już na niego samochód. Pienaar miał

tu zanoć, następnego dnia zrobić zakupy na londyńskim West Endzie i odlecieć wieczornym samolotem do domu.

- Tylko nie dajcie mu się wymknąć - przypomniał generał Pienaar odprowadzając sir Nigela do drzwi. - Chcę mieć tego skurwysyna u siebie z końcem tego roku.

- Będziesz go miał - obiecał sir Nigel. - Tylko nie wystraszcie go do tej pory.

Podczas gdy szef NIS-u próbował znaleźć na Bond Street coś dla pani Pienaar, John Preston spotkał się na Charles Street z Brianem Harcourt-Smith. Zastępca dyrektora generalnego wprost wychodził ze skóry, by wydać się miłym.

- A więc, John, uważam, że należą ci się gratulacje. Twoje rewelacje z Południowej Afryki zrobiły ogromne wrażenie na Komitecie.

- Dziękuję, Brian.

- Tak, to prawda. Od tej chwili wszystkim pokieruje Komitet. Nie wiadomo dokładnie jakie kroki zostaną podjęte, ale Tony Plumb prosił mnie, bym osobiście przekazał ci wyrazy jego uznania. A teraz... - rozłożył ręce i położył je dłońmi na bibularzu - ...o przyszłości.

- Przyszłości?

- No wiesz, mam pewien dylemat. Pracowałeś nad tą sprawą przez osiem tygodni, z tego pewien czas na ulicach z inwigilatorami, większość w piwnicy w Cork, a wreszcie w Południowej Afryce. Przez cały ten czas twój zastępca, młody March, kierował C.-1 (A) i na dobytek robił to bardzo dobrze. I teraz zastanawiam się, co mam z nim dalej zrobić? Nie uważam, żeby było całkiem przyzwoicie zepchnąć go z powrotem na szczebel zastępcy. Bo przecież obleciał wszystkie ministerstwa, zrobił

kilka niezwykle pożytecznych propozycji oraz parę bardzo pozytywnych zmian.

O, na pewno - pomyślał Preston. March był młodym pracusiem, do tego z pewnością jednym z protegowanych Harcourt-Smitha.

- Tak czy owak w C.-1 (A) byłeś tylko przez dziesięć tygodni czyli całkiem krótko; ale zważywszy jak okryłeś się przez ten czas chwałą, byłby to dobry moment dla dalszych kroków. Porozmawiałem z kadrami i wyobraź sobie co za szczęśliwy zbieg okoliczności: Cranley z C.-5 (C) przechodzi na wcześniejszą emeryturę z końcem tygodnia. Jego żona, uważasz, od dłuższego czasu nie czuła się zdrowa, więc chce ją wywieźć do Krainy Jezior. Dlatego przechodzi na rentę i opuszcza nas.

Pomyślałem, że to będzie coś dla ciebie.

C.-5 (C)? - zamyślił się Preston. - Porty i Lotniska? - upewnił się.

Jeszcze jedno stanowisko łącznikowe. Imigracja. Cło. Oddział Specjalny.

Brygada Ciężkich Zbrodni. Brygada Antynarkotykowa. Wszystko dla obserwowania portów i lotnisk w poszukiwaniu różnych śmierdzących typków, próbujących przedostać się do kraju osobiście lub przetrzymać zakazane ładunki. Preston podejrzewał, że C.-5 (C) zostaje tylko wychwytywać to, co nie będzie należało do zainteresowań tamtych jednostek.

Harcourt-Smith podniósł palec w geście zachęty. - To ważna robota, John.

Oczywiście szczególna odpowiedzialność wymaga szeroko otwartych oczu na próby przenikania zakonspirowanych agentów Sowbloku, kurierów i tak dalej. Bardzo ruchliwe zajęcie, a ty to lubisz.

A także z daleka od centrali w momencie, gdy idzie walka o sukcesję -

pomyślał Preston. Wiedział, że wszyscy od góry do dołu uważają go za człowieka Bernarda Hemmingsa i oczywiście Harcourt-Smith też o tym wie. Przyszło mu do głowy, że mógłby zaprotestować, prosić o spotkanie z sir Bernardem by przedstawić prośbę o pozostanie na dotychczasowym stanowisku.

- W każdym razie chcę, byś tego popróbował - oświadczył Harcourt-Smith. -

Biuro jest w Gordon, więc nie będziesz musiał się przeprowadzać.

Preston zdał sobie sprawę, że został wymanewrowany. Harcourt-Smith pół

życia spędził na pociąganiu za sznurki w biurze centralnym, pomyślał sobie Preston, znowu będę miał pracę terenową, nawet jeśli będzie to tylko jeszcze jedna policyjna robota.

- Oczekuję, że rozpoczniesz od poniedziałku rano - zakończył Harcourt-Smith.

W piątek major Walerij Pietrowski spokojnie przedostał się do Wielkiej Brytanii.

Z Moskwy do Zurichu poleciał na szwedzkich papierach, wsadził je wszystkie do koperty zaadresowanej do jednej ze skrzynek pocztowych KGB w tym mieście, a następnie przekształcił się w szwajcarskiego inżyniera, którego dokumenty czekały już na niego w kopercie na poste restante w urzędzie pocztowym w hali dworcowej.

W Zurichu przesiadł się do Dublina.

Tym samym samolotem poleciał jego konwojent, który ani wiedział ani interesował się tym, co robi jego podopieczny. Konwojent po prostu wykonywał

rozkaz. Obaj spotkali się w pokoju hotelowym na międzynarodowym lotnisku w Dublinie. Pietrowski rozebrał się do naga i oddał całą swą europejską odzież. Przebrał

się zaś od stóp do głów w to, co mu konwojent przywiózł we własnej torbie podróżnej. Był tam brytyjski garnitur oraz neseser, wypełniony zwykłymi w takich wypadkach przedmiotami, jak pidżama, torebka z gąbką, na wpół przeczytana powieść oraz zmiana bielizny.

Konwojent zdjął już z lotniskowej tablicy ogłoszeń kopertę, przygotowaną przez przedstawiciela Linii N w ambasadzie w Dublinie i przypiętą tam cztery godziny wcześniej. Zawierała odcinek wczorajszego biletu na przedstawienie w teatrze Eblana, rachunek na właściwe nazwisko za nocleg ubiegłej nocy w hotelu New Jury oraz powrotną połówkę biletu Aer Lingus na trasę Londyn-Dublin-Londyn.

Wreszcie Pietrowskiemu wręczono jego nowy paszport. Gdy wrócił do hali lotniskowej by się wpisać na odpowiedni lot, nikt nawet okiem nie mrugnął. Był

Anglikiem wracającym do domu po jednodniowym pobycie za interesami w Dublinie.

Między Dublinem i Londynem nie ma odprawy paszportowej; w Londynie przylatujący legitymują się odcinkiem biletu lub kartą pokładową. Przechodzą także koło dwóch obojętnych pracowników Oddziału Specjalnego, którzy udają, że nic nie widzą, ale niezwykle rzadko zdarza się, by nie zobaczyli tego co trzeba. Żaden z nich nie znał twarzy Pietrowskiego, ponieważ major nigdy jeszcze nie przekraczał granicy brytyjskiej na lotnisku Heathrow. Gdyby go zaś zapytali, przedstawiłby bezbłędny brytyjski paszport na nazwisko James Duncan Ross. Tego paszportu nie mogłoby zakwestionować nawet samo Biuro Paszportowe, ponieważ to ono właśnie go wystawiło.

Przeszedłszy przez cło bez odprawy, Rosjanin pojechał taksówką na dworzec King's Cross. Tam udał się do skrytek bagażowych. Klucz już miał. Skrytka była jedną z wielu utrzymywanych bez przerwy w brytyjskiej stolicy przez człowieka Linii N z ambasady, klucz zaś był dawno wykonany duplikatem. Rosjanin wyjął ze skrytki pakiet, zapieczętowany dokładnie tak samo, jak przybył dwa dni wcześniej do ambasady pocztą dyplomatyczną. Człowiek Linii N ani nie oglądał jego zawartości, ani nawet nie zamierzał. A także nie pytał nigdy, dlaczego pakiety mają być zostawiane w skrytkach na głównych dworcach. To do niego nie należało.

Pietrowski nie otwierając pakietu wrzucił go do swej torby. Otworzy go później, w wolnej chwili. I tak wiedział, co zawiera. Z King's Cross pojechał inną taksówką przez cały Londyn na stację Liverpool Street i tam wsiadł do porannego pociągu do Ipswich w hrabstwie Suffolk. Tuż przed kolacją wprowadził się tam do hotelu Pod Wielkim Białym Koniem.

Gdyby jakikolwiek wścibski policjant uparł się, by zajrzeć do paczuszki leżącej w torbie podróżnej młodego Anglika jadącego do Ipswich, byłby zdumiony. W

jednej części pakietu znajdował się fiński automatyczny pistolet "Sako" z pełnym magazynkiem, w którym szczyt każdego pocisku został precyzyjnie nacięty na krzyż.

Wydrążenie zostało wypełnione mieszaniną żelatyny i skoncentrowanego cyjanku potasu. Taki pocisk nie tylko rozkwita wnikając w ciało człowieka, ale także wszelki ratunek przed trucizną jest wykluczony.

Druga część paczki zawierała resztę "legandy" Jamesa Duncana Rossa.

W żargonie wywiadowczym "legenda" oznacza fikcyjny życiorys nieistniejącego człowieka, poparty całą stertą wszelkiego rodzaju i pochodzenia absolutnie autentycznych dokumentów. Zwykle człowiek, który posłużył do stworzenia legendy kiedyś istniał, ale zginął w okolicznościach nie pozostawiających żadnych śladów i nie wzbudzających niczyjego zaciekawienia. Wtedy przejmuje się jego tożsamość i w przeciwieństwie do szkieletu zmarłego, z którym taka operacja nie jest możliwa, wypełnia się ciałem w postaci dokumentacji wspierającej, obejmującej całe życie osobnika w przód i wstecz.

Prawdziwy James Duncan Ross, a raczej to niewiele co z niego pozostało, od lat gniło w głębokim buszu nad Zambezi. Był urodzony w 1950 roku w Kilbride, Szkocja, jako syn Angusa i Kristie Rossów. W 1951 r. Angus Ross, znużony ponurym życiem w ciągle jeszcze stresującej sytuacji systemu kartkowego powojennej Wielkiej Brytanii, wyemigrował z żoną i małym synkiem do tak zwanej wówczas Południowej Rodezji. Jako inżynier znalazł zatrudnienie w branży maszyn i narzędzi rolniczych, a w 1960 r. był już w stanie otworzyć własny interes.

Powodziło mu się doskonale, co pozwoliło wysłać syna do dobrej szkoły podstawowej a następnie do Michaelhouse. Odbyszony służbę wojskową chłopiec wstąpił w roku 1971 do firmy ojca. Ale była to już Rodezja rządzona przez Iana Smitha, a wojna z partyzantami ZIPRA Joshua Nkomo i ZANIA Roberta Mugabe stawała się coraz bardziej zaciekle.

Każdy zdolny do służby wojskowej mężczyzna został zaliczony do sił

rezerwowych, a okresy spędzane w czynnej służbie coraz bardziej się wydłużały. W

1976 r. oddział Lekkiej Piechoty Rodezyjskiej, w którym służył James Ross, w głębokim buszu na południowym brzegu Zambezi wpadł w zasadzkę ZIPRA, a Ross zginął. Partyzanci ZIPRA wkroczyli na miejsce walki, obdarli jego ciało do naga i zniknęli, odchodząc do swej bazy w Zambii.

Ross zgodnie z regulaminem nie powinien był mieć przy sobie żadnych indentyfikujących papierów, ale tuż przed wyruszeniem jego patrolu dostał list od swej dziewczyny i wsadził go do kieszeni swego battle-dressu. List zabrano do Zambii i tam wpadł w ręce KGB.

Bardzo wysoki oficer KGB, Wasilij Sołodownikow, był wówczas ambasadorem w Lusace i sterował całą masą różnych siatek w południowej części Afryki. Jedna z nich przejęła list adresowany do Jamesa Rossa, w domu jego rodziców. Już pierwsze działania sprawdzające co do osoby zmarłego młodego oficera przyniosły wartościową informację: jako urodzeni Brytyjczycy, Angus Ross i jego syn James nigdy nie zrzekli się swego obywatelstwa. Wobec tego KGB wskrzesił

Jamesa Duncana Rossa.

Gdy po uzyskaniu przez Rodezję niepodległości i przyjęciu nazwy Zimbabwe, Angus i Kristie Ross przenieśli się do Południowej Afryki, James rzekomo powrócił

do ojczyzny. Niewidzialne ręce wydobyły z londyńskiego archiwum z Somerset House kopię jego metryki urodzenia, a inne ręce wypełniły i przesłały pocztą wnioski o wydanie nowego paszportu. Właściwy urząd sprawdził dokumenty i paszport wystawiono.

Dla stworzenia dobrej legendy potrzeba tuzinów ludzi i tysięcy godzin. KGB

nigdy nie brakowało ani personelu ani cierpliwości. Otwierano i zamykano rachunki bankowe; prawa jazdy były sumiennie odnawiane nim wygasły; kupowano i sprzedawano samochody, aby nazwisko odnotowywał komputer Centrali Numerów Rejestracyjnych. Przyjmowano pracę i uzyskiwano awanse służbowe; sporządzano świadectwa zatrudnienia; wpłacano regularnie składki na fundusze emerytalne.

Jednym z codziennych zadań niższych funkcjonariuszy wywiadu jest nieustanne aktualizowanie tej masy dokumentacji.

Inne zespoły zajmują się przeszłością. Jak był nazywany jako dziecko? Gdzie chodził do szkoły? Jak chłopcy przeżywali za jego plecami nauczyciela przyrody? Jak się nazywał ich pies?

Gdy legenda zostanie ukończona - a może to zabrać całe lata - a jej nosiciel nauczy się jej na pamięć, jej złamanie wymagać będzie całych tygodni śledztwa, jeśli w ogóle okaże się możliwe. Wszystkie te dane Pietrowski miał po części w głowie, po części w torbie podróżnej. Był i mógł udowodnić, że jest Jamesem Rossem, przenoszącym się z południowozachodnich hrabstw Anglii do wschodnich, by objąć przedstawicielstwo szwajcarskiej spółki handlującej oprogramowaniem komputerowym. Miał zasobne konto w Barclays Bank, Dorchester, Dorset, które miało być w najbliższym czasie przeniesione do Colchester. Nieczytelny podpis Rossa nauczył się naśladować do perfekcji.

Brytania jest krajem niesłychanie szanującym życie prywatne. Jako niemal jedyni na świecie Brytyjczycy nie muszą posiadać żadnych dowodów osobistych. Jeśli o taki dowód są zapytywani, wystarczy okazać adresowany do siebie list, jakby to czegoś dowodziło. Prawo jazdy - choć brytyjskie prawa jazdy są bez fotografii - jest uważane za absolutny dowód tożsamości. Uważa się, że człowiek jest tym, za kogo się podaje.

Walerij Aleksiejewicz Pietrowski, siedząc tego wieczoru przy kolacji w Ipswich, był absolutnie pewien i to pewien z całą słusnością, że nikt nie będzie wątpił, iż jest on Jamesem Duncanem Rossem. Po kolacji pożyczył w recepcji handlową księgę adresową zwaną Żółtymi Kartkami i otworzył dział agencji handlu nieruchomościami.

12

Podczas gdy major Pietrowski zjadał kolację Pod Wielkim Białym Koniem w Ipswich, w apartamencie na ósmym piętrze Fontenoy House w Belgrawii rozległ się dzwonek do drzwi.

Otworzył właściciel, pan George Berenson. Przez chwilę wpatrywał się ze zdziwieniem w postać stojącą na korytarzu.

- Wielki Boże, sir Nigel...

Znali się raczej przelotnie, i to nie tyle z dawnych lat szkolnych, ile z przypadkowych spotkań w kręgach rządowych.

Szef SIS ukłonił się grzecznie, ale bardzo oficjalnie.

- Dobry wieczór, Berenson, czy mogę wejść?

- Oczywiście, oczywiście, bardzo proszę...

George Berenson, choć nie miał pojęcia czemu zawdzięcza wizytę, był zbity z tropu. To, że sir Nigel zwrócił się do niego po nazwisku bez imienia oznaczało, że wizyta odbędzie się w atmosferze uprzejmości, ale bynajmniej nie zapowiadało miłej pogawędki. Nie będą używane przyjacielskie formy "George" czy "Nigel".

- Czy lady Fiona jest obecna?

- Nie, poszła na zebranie jednego ze swych komitetów. Będziemy sami.

Sir Nigel i tak o tym wiedział. Zanim wjechał na górę, siedział w samochodzie oczekując, aż żona Berensona wyjdzie z domu.

Zdjąwszy palto lecz zatrzymawszy aktówkę, sir Nigel zajął wskazany fotel w salonie, nie dalej jak o dziesięć stóp od naprawionego już ściennego sejfu, ukrytego za lustrem. Berenson usiadł naprzeciwko.

- A więc, czym mogę służyć?

Sir Nigel otworzył tekę i starannie ułożył na szklanym blacie stolika do kawy dziesięć fotokopii.

- Może pan, jak sędzę, z niejakim pożytkiem to obejrzeć.

Berenson w milczeniu przestudiował pierwszą fotokopię i podniósł ją, by spojrzeć na drugą z kolei, po czym na trzecią. Przy trzeciej zatrzymał się i złożył

wszystkie z powrotem. Zrobił się bardzo blady, ale pozostał opanowany. Nie odrywał oczu od dokumentów.

- Nie sędzę, bym mógł coś do tego dodać.

- Niewiele - zgodził się spokojnie sir Nigel. - Wróciły do nas jakiś czas temu.

Wiemy w jaki sposób je straciłeś; to bardzo przykry dla ciebie zbieg okoliczności. Po ich zwróceniu trzymaliśmy cię pod obserwacją przez parę tygodni, obserwowaliśmy kradzież dokumentów dotyczących wyspy Ascension, przekazanie ich Bennottiemu i dalej Maraisowi. To się, uważasz, bardzo ładnie poskładało.

Małą część z tego co mówił mógłby udowodnić; większość stanowiła czysty blef. Ale nie chciał, by Berenson domyślił się, na jak słabych podstawach opiera się oskarżenie przeciw niemu. Zastępca szefa zaopatrzenia wojskowego wyprostował się i podniósł oczy. Teraz nadejdzie moment sprzeciwu, próba usprawiedliwienia się, pomyślał Irvine. Zabawne, jak wszyscy oni jednakowo się zachowują. Berenson spojrzał mu w oczy. Z wyzwaniem.

- No to jeśli wszystko już wiecie, co zamierzacie dalej?

- Postawić ci kilka pytań - odrzekł sir Nigel. - Na przykład od jak dawna się to ciągnie i dlaczego się zaczęło?

Mimo wszystkich wysiłków dla opanowania się i zachowania wyzywającej postawy, Berenson był dostatecznie zdezorientowany, by nie zastanowić się nad jedną bardzo prostą sprawą: tego rodzaju spotkania nie należały do zakresu obowiązków szefa SIS. Szpiegów obcych mocarstw zdejmował kontrwywiad. Ale chęć usprawiedliwienia się przeważyła do tego stopnia, że nie był w stanie przeanalizować sytuacji.

- Jeśli idzie o pierwsze pytanie, nieco ponad dwa lata.

Mogłoby być gorzej - pomyślał sir Nigel. Wiedział, że Marais przebywał w Wielkiej Brytanii od prawie trzech lat, ale Berensonem mógł sterować inny zamrożony południowoafrykański radziecki agent jeszcze dawniej. Widocznie tak jednak nie było.

- Co do drugiego zaś, to sądzę, że odpowiedź jest oczywista.

- Załóżmy, że jestem trochę tępy - zaproponował sir Nigel. - Więc mnie oświeć. Czemu?

Berenson nabrał powietrza w płuca. Zapewne, jak wielu przed nim, dostatecznie wiele razy przepowiadał sobie w myśli obronę przed sądem własnego sumienia czy tego, co mu je zastępowało.

- Jestem przekonany i byłem od lat, że jedyną walką na tej planecie godną uwagi jest walka przeciw komunizmowi i radzieckiemu imperializmowi - rozpoczął. -

W tej walce Południowa Afryka jest jednym z bastionów obronnych. Zapewne głównym, jeśli nie jedynym na południe od Sahary. Od dawna uważam, że traktowanie Południowej Afryki jak trędowatego, pozbawianie jej jakiegokolwiek udziału we wspólnym planowaniu odpowiedzi na radzieckie zagrożenie w skali globalnej, jest dla mocarstw Zachodu samobójcze, daremne i opiera się ponadto na wątpliwych moralnie podstawach. Od lat też jestem przekonany, że RPA jest nikczemnie traktowana przez kraje Zachodu, że jest niesłuszne i głupie wykluczanie jej od dostępu do planów NATO na wypadek kryzysu.

Sir Nigel skinął, jak gdyby taka myśl nigdy mu nie przyszła do głowy. - I pomyślałeś sobie, że będzie

rzeczą słuszną i sprawiedliwą naprawienie tego?

- Tak. Tak jest. I niezależnie od Ustawy o Tajemnicy Państwowej nadal jestem tego zdania.

Próżność, pomyślał sir Nigel, zawsze próżność, monumentalne zarozumiałstwo ludzi, nie dorastających do stawianych im wymagań. Nunn May Pontecorvo, Fusch, Prime - czerwona nić biegła przez nich wszystkich. Przypisywanie sobie samemu boskich uprawnień; przekonanie, że tylko zdrajca ma rację a wszyscy dokoła to głupcy. A to wszystko połączone z narkotyczną żądzą władzy, której posiadanie upatruje w manipulowaniu polityką przez przekazywanie tajemnic na zgubę tych, którzy wyprzedzili go na drodze do awansów i zaszczytów.

- Mmmm. A powiedz mi, czy to się zaczęło od propozycji twojej czy Maraisa?

Berenson zastanowił się na moment.

- Jan Marais jest dyplomatą, a więc poza waszym zasięgiem - odrzekł. - Nic się więc nie stanie gdy powiem, jak było. Wyszło to od niego. Nie znaliśmy się, gdy byłem na placówce w Pretorii. Poznaliśmy się tutaj, zaraz po jego przyjeździe.

Okazało się, że mamy bardzo wiele wspólnego. Przekonał mnie, że jeśli kiedykolwiek nastanie czas konfliktu z ZSRR, na południowej półkuli Afryka Południowa będzie stała samotnie, okrakiem na pierwszorzędnego znaczenia drogach komunikacyjnych między Oceanem Indyjskim i Południowym Atlantykiem i z wszelkim prawdopodobieństwem przeciw bazom radzieckim, rozciągającym się przez całą Afrykę. Uznaliśmy obaj, że bez wskazówek co do przyszłych działań NATO w tych dwóch zakresach, Południowa Afryka, choć jest naszym najwierniejszym sprzymierzeńcem w tamtej części świata, będzie obezwładniona.

- Potężny argument - powiedział z zalem sir Nigel. - Wiesz, kiedy ustaliliśmy, że twoim sterującym jest Marais, zaryzykowałem i wprost zapytałem o niego generała Pienaara.

Zaprzeczył, by Marais kiedykolwiek dla niego pracował.

- Oczywiście, że tak zrobił.

- Oczywiście. Ale wysłaliśmy tam człowieka, by sprawdził twierdzenie Pienaara. Być może powinieneś przeczytać jego raport.

Z aktówki wyjął raport przywieziony przez Prestona z Pretorii, z fotografią Maraisa jako chłopca przyklejoną do pierwszej kartki. Berenson wzruszył

ramionami i rozpoczął czytanie siedmiu spiętych arkuszy papieru kancelaryjnego. W

pewnej chwili gwałtownie zaczerpnął powietrza, wepchnął sobie kostki palców do ust i zaczął je przygryzać. Gdy odwrócił ostatnią stronicę ukrył twarz w dłoniach i zaczął

się powoli kiwać w przód i w tył.

- O mój Boże - jęknął. - Co ja zrobiłem?

- Prawdę mówiąc cholerną masę szkód - odrzekł sir Nigel. Zamilkł, by Berenson mógł bez przeszkód wypić w całości swój kielich goryczy. Usiadł

wygodniej i bez cienia litości przyjrzał się rozbitemu moralnie biurokracie. Dla sir Nigela był to po prostu kolejny brudny, drobny zdrajca, który najpierw składa uroczystą przysięgę na wierność swej królowej i ojczyźnie, a potem dla zadowolenia własnej próżności obie je zdradza. Człowiek takiego samego gatunku, choć nie formatu, co Donald MacLean.

Berenson nie był już blady, był szary jak popiół. Gdy odjął ręce od twarzy wyglądał postarzały o wiele lat.

- Czy jest, coś, cokolwiek, co mógłbym zrobić?

Sir Nigel wzruszył ramionami jakby chciał powiedzieć, że nikt tu wiele zrobić nie może. Zdecydował obrócić nóż w ranie jeszcze parę razy.

- Oczywiście jest grupa, która domaga się natychmiastowego aresztowania.

Ciebie i Maraisa. Pretoria pozbawiła go immunitetu. Prokurator już się postara, abyś stanął przed ławą przysięgłych złożoną z ludzi średniej klasy i w średnim wieku.

Ludzi uczciwych, nie żadnych krętaczy. Prawdopodobnie nie dadzą wiary w werbunek pod fałszywą flagą. Mówiliśmy tu o życiu; w twoim wypadku będzie to oznaczało resztę życia, w Parkhurst lub w Dartmoor.

Zamilkł na kilka minut, by ta straszna treść dotarła do Berensona.

- Tak się jednak składa, że na pewien czas udało mi się zahamować działania grupy zwolenników radykalnego rozwiązania. Jest bowiem inna droga...

- Sir Nigel, zrobię wszystko co trzeba, naprawdę zrobię wszystko...

To prawda, pomyślał Szef; absolutna prawda. Bo gdybyś tylko wiedział...

- W tej chwili trzy rzeczy - powiedział głośno. - Po pierwsze będziesz dalej pracował w ministerstwie jak gdyby nic się nie stało. Normalne zachowanie, mina jak co dzień, absolutnie nic odbiegającego od rutyny. Po drugie tutaj, w tym mieszkaniu, po zapadnięciu zmroku, a jeśli będzie trzeba to i w nocy, pomożesz nam w ocenie szkód. Jedynym sposobem zmniejszenia szkody już wyrządzonej jest to, abyśmy się dowiedzieli o wszystkim, co do najdrobniejszych szczegółów, co już poszło do Moskwy. Jeśli zataisz jedną kropkę lub przecinek, posiedzisz o chlebie i wodzie póki nie wyśpiewasz.

- Tak, tak, oczywiście. To potrafię. Pamiętam co do jednego wszystkie przekazane dokumenty. Wszystko... Ale, eee, pan mówił o trzech rzeczach.

- Tak - odrzekł sir Nigel, przyglądając się własnym paznokciom. - Trzecia jest trudniejsza. Zachowasz kontakt z Maraisem...

- Ja... Co?!

- Nie musisz się z nim spotykać. Nawet wolałbym, abyś tego nie robił. Nie sądzę, byś miał wystarczający talent aktorski dla odpowiedniego zachowania się w jego obecności. Tylko bieżący kontakt z szyfrowanymi rozmowami telefonicznymi gdy masz mu coś do przekazania.

Berenson był autentycznie zdumiony. - Przekazania czego?

- Materiałów przygotowywanych dla ciebie przez moich i nie moich ludzi.

Dezinformacji, jeśli wolisz to określenie. Niezależnie od twojej współpracy z ludźmi z Ministerstwa Obrony w zakresie oceny szkód, chcę abyś współpracował ze mną. By wyrządzić Sowietom tym razem prawdziwą szkodę.

Berenson chwycił się tej propozycji jak tonący brzytwy.

W pięć minut później sir Nigel wstał. Grupa oceny szkód zgłosił się po weekendzie. Sam otworzył sobie drzwi wejściowe. Idąc korytarzem w stronę windy odczuwał ciche zadowolenie. Pomyślał o złamanym i przerażonym człowieku, którego zostawił w mieszkaniu. Od tej chwili, ty skurwysynu - pomyślał - będziesz pracował dla mnie.

Sekretarka firmy "Oxborrows" spojrzała na wchodzącego nieznajomego.

Oceniła go pozytywnie. Średniego wzrostu, muskularny, wysportowana sylwetka, miły uśmiech, szatyn z piwnymi oczami. Lubiła piwne oczy.

- Czy mogę panu pomóc?

- Mam nadzieję, że tak. Nie znam tych stron ale powiedziano mi, że wynajmujecie umeblowane domy.

- Ależ tak. Będzie pan musiał pomówić z panem Knightsem, on się zajmuje domami do wynajęcia. Kogo mam zameldować?

Uśmiechnął się znowu. - Ross - przedstawił się. - James Ross.

Nacisnęła guzik i powiedziała do interkomu:

- Panie Knights, przyszedł pan Ross. Poszukuje umeblowanego domu. Czy może pan go przyjąć?

W dwie minuty później James Ross siedział w biurze pana Knightsa.

- Właśnie się tutaj przenoszę by objąć dla mojej firmy okręg Wschodniej Anglii - rozpoczął swobodnym tonem. - Najlepiej by było, gdybym jak najszybciej sprowadził tutaj moją żonę i dzieci.

- W takim razie może wolałby pan kupić dom?

- Jeszcze nie w tej chwili. Po pierwsze chcę się rozejrzeć za czymś odpowiednim. A załatwienie takiej sprawy wymaga nieco czasu. Po drugie, być może będę na tym terenie tylko przez pewien czas. Wie pan, to zależy od mojej centrali.

- Oczywiście, oczywiście. - Pan Knights rozumiał to doskonale. - Wynajem na krótki okres pozwoli panu ustabilizować się do chwili, póki pan nie uzyska pewności czy będzie to dłuższy pobyt.

- Dokładnie tak - odrzekł Ross. - Jak najdokładniej.

- Umeblowany czy nie umeblowany?

- Umeblowany, jeśli dysponuje pan czymś takim.

- Bardzo słusznie - odrzekł pan Knights, sięgając po kilka folderów. -

Wynajem nieumeblowanych jest prawie niemożliwy. Po wygaśnięciu najmu ludzie nie chcą się wyprowadzać. Ale w tej chwili mamy aż cztery do dyspozycji.

Wręczył teczki panu Rossowi. Dwa domy były wyraźnie za duże jak na potrzeby przedstawiciela handlowego i wymagały dużych kosztów utrzymania. Dwa pozostałe mogłyby się nadawać. Pan Knights miał wolną godzinę i zawiózł klienta by je obejrzał. Jeden był w sam raz: mały, czyściutki ceglany domek przy małej, czyściutkiej ceglanej uliczce w małym, czyściutkim prywatnym osiedlu mieszkaniowym koło Belsted Road.

- O ile pamiętam właścicielem jest niejaki pan Johnson - oświadczył pan Knights, gdy schodzili po schodach. - Inżynier zatrudniony na kontrakcie w Arabii Saudyjskiej na okres jednego roku. Ale jeśli idzie o wynajem, to pozostało z tego tylko sześć miesięcy.

- To mi zupełnie wystarczy - powiedział pan Ross.

Dom miał numer 12 przy Cherryhayes Close. Nazwy wszystkich pobliskich ulic kończyły się na "hayes"; tak więc całe osiedle było zwane po prostu "The Hayes".

Była tam Brackenhayes, Gorsehayes, Almondhayes i Heatherhayes. Cherryhayes 12

oddzielał od chodnika sześciostopowy pas trawnika, płotu nie było. Z boku domu stał

dobudowany jednomiejscowy zamknięty garaż, a Pietrowski wiedział, że garaż będzie mu potrzebny. Za domem znajdował się mały, ogrodzony ogródek z wejściem z małej kuchenki. Na parterze przez oszklone drzwi frontowe wchodziło się do wąskiego holu. Naprzeciw wejścia znajdowały się schody na piętro, pod schodami zaś magazynek na szczotki i ścierki.

Ponadto na parterze od frontu był salonik, a przez drzwi między schodami do salonu wchodziło się do kuchni. Na piętrze znajdowały się dwie sypialnie, jedna od frontu, druga od strony ogrodu oraz łazienka z toaletą. Całość wyglądała skromnie i nie rzucała się w oczy, stojąc w rzędzie identycznych

ceglanych pudełek ciągnących się wzdłuż ulicy, zajmowanych głównie przez młode pracujące małżeństwa: było to idealne miejsce dla człowieka, oczekującego na przyjazd żony i dzieci z Dorset po skończeniu roku szkolnego. I nie zwracało niczyjej uwagi.

- Biorę - oświadczył.

- Gdybyśmy teraz mogli wrócić do biura i ustalić wszystkie szczegóły... -

zapropozował mister Knights.

Ponieważ wynajmowano domek z umeblowaniem, szczegóły nie były skomplikowane. Należało tylko podpisać dwustronicową oficjalną umowę najmu poświadczoną przez świadków, wpłacić kaucję w wysokości jednomiesięcznego czynszu i do tego czynsz także za jeden miesiąc. Pan Ross przedstawił świadectwo pracy ze swej firmy w Genewie i poprosił pana Knightsa o telefon do jego banku w Dorchester w poniedziałek rano, celem potwierdzenia czeku, który natychmiast wystawił i podpisał. Pan Knights zaś był zdania, że jeśli czek ma pokrycie a zatrudnienie zostanie potwierdzone, do poniedziałku rano będzie w stanie zakończyć wszelkie formalności ku satysfakcji obu stron. Ross uśmiechnął się. Wiedział, że czek i zatrudnienie będą w porządku.

Tego sobotniego wieczoru również Alan Fox znajdował się w swym biurze, na specjalną prośbę swego przyjaciela, sir Nigela Irvine, który zatelefonował podając, że ich spotkanie jest konieczne. Angielskiego dygnitarza wprowadzono na piętro ambasady amerykańskiej zaraz po dziesiątej.

Alan Fox stał na czele tamtejszej ekspozytury amerykańskiej CIA i miał za sobą długie lata służby. Z Nigelem Irvinem znali się od dwudziestu lat.

- Obawiam się, że sytuacja wygląda tak, jakbyśmy się natknęli na mały problem - oświadczył sir Nigel siadając. - Jeden z naszych urzędników państwowych w Ministerstwie Obrony okazał się śmierzącym jajkiem.

- Och, na litość boską, Nigel, wszystko tylko nie nowy przeciek! - powiedział

z pretensją w głosie Fox.

Irvine miał skruszoną minę. - Obawiam się jednak, że tak to będzie - przyznał.

- Coś jakby podobnego do waszej afery Harpera.

Alan Fox drgnął. Cios był celny. W 1983 roku Amerykanie doznali wielkiej porażki gdy wykryto, że jeden z inżynierów zatrudnionych w Dolinie Krzemowej w Kalifornii przekazał Polakom (a za ich pośrednictwem Rosjanom) cały stos tajnych dokumentów dotyczących systemów sterowniczych amerykańskiej rakiety

“Minuteman”.

A zsumowawszy sprawę Harpera z wcześniejszą aferą szpiegowską Boyce'a, miało się bilans jakoś wyrównany. Brytyjczycy przez długi czas tolerowali amerykańskie złośliwości na temat Philby'ego,

Burgessa i MacLeana, nie mówiąc już o Blake'u, Vassallu, Bluncie czy Prime. I nawet po tylu latach bliźni jeszcze były bolesne. Gdy Brytyjczycy dowiedzieli się o dwóch wypadkach amerykańskich z Boycem i Harperem, poczuli się jakby nieco lepiej. Przynajmniej i w innych krajach zdarzali się zdrajcy.

- Au, Nigel - rzucił Fox - za to cię zawsze lubiłem. Na widok pasa automatycznie uderzasz poniżej.

Fox znany był w Londynie ze swych zgryźliwych dowcipów. Stał się sławny po jednym z pierwszych zebrań Wspólnego Komitetu Wywiadowczego, gdy sir Anthony Plumb pożałował, że w przeciwieństwie do wszystkich innych szefów, nie ma zręcznego akronimu określającego jego stanowisko. Jest po prostu przewodniczącym WKW, ewentualnie Koordynatorem Wywiadów. Czemu nie dostał

takich inicjałów, które tworzyłyby razem krótkie słówko?

- To może - wycedził Fox ze swego końca stołu - Dyrektor Uzgodnionych Przedsięwzięć Alianckich?

Sir Anthony wolał, by w kręgach rządowych nie stać się znany jako DUPA i już nie wracał do sprawy akronimu.

- OK, jak źle to wygląda? - spytał Fox.

- Nie tak źle jak by mogło - przyznał sir Nigel i opowiedział Foxowi wszystko od początku do końca.

Amerykanin pochylił się w jego stronę z zaciekawieniem - chcesz powiedzieć, że naprawdę go przewerbowałeś? I że on będzie im przekazywał wszystko, co mu się każe?

- Ma wybór między tym i więzieniem do końca życia. Przez cały czas będzie pod obserwacją. Oczywiście może mieć uzgodniony z Maraisem szyfr ostrzegawczy, którym mógłby się posłużyć w rozmowie telefonicznej, ale nie przypuszczam by tak zrobił. On naprawdę należy do skrajnej prawicy i to był

werbunek pod fałszywą flagą.

Fox zastanawiał się przez chwilę.

- Jak wysoko w twoim mniemaniu Centrala ocenia Berensona, Nigel?

- Ocenę szkód rozpoczynamy w poniedziałek - odrzekł Irvine. - Ale sądzę, że biorąc pod uwagę jego wysokie stanowisko w Ministerstwie, powinien być w Moskwie oceniany bardzo wysoko. Może nawet aż do sterowania przez dyrektora.

- A czy my moglibyśmy przekazać trochę własnej dezinformacji tym kanałem?

- spytał Fox. Już zaczął sobie wyobrażać, z jaką radością centrala CIA w Langley podrzuciłaby Moskwie pewne nader użyteczne bajeczki.

- Nie chciałbym dopuścić do przecięcia obwodów - zastrzegł się Nigel. -

Musimy zachować niezmienną tempa przekazywania materiałów, jak również ich rodzaj. Ale owszem, w tym wypadku moglibyśmy was włączyć.

- A ty chciałbyś abym przekonał moich kolegów, by was się zbytnio nie czepiali?

Sir Nigel wzruszył ramionami.

- Co się stało to się nie odstanie. Dla podbudowania własnej ambicji dobrze robi podnieść wielki wrzask. Tylko z tego nic nie wynika. A ja chciałbym, byśmy naprawili szkody i wyrządzili inne z naszej strony.

- OK, Nigel, wygrałeś. Powiem naszym, żeby się wstrzymali. Czy dostaniemy ocenę szkód natychmiast gdy zostanie ukończona? A my przygotowujemy parę kawałków na temat naszych łódek atomowych na Atlantyku i Oceanie Indyjskim, które spowodują, że Centrala zacznie szukać nie tam, gdzie trzeba. Będziemy w kontakcie.

W poniedziałek rano Pietrowski wynajął w agencji w Colchester nieduży i skromny samochód rodzinny. Wyjaśnił, że przybywa z Dorchester i poszukuje domu w Essex lub Suffolk. Jego własny wóz pozostał u żony i rodziny w Dorset i dlatego na tak krótki okres nie warto, by kupował coś dla siebie. Jego prawo jazdy z adresem w Dorchester było oczywiście bez zarzutu. Wynajem obejmował także koszty ubezpieczenia. Pan Ross życzył sobie wynająć wóz na dłuższy czas, o ile możliwe na trzy miesiące, opowiadał się też za systemem wpłat okresowych.

Za pierwszy tydzień zapłacił gotówką i wypisał czek na następujący po nim miesiąc. Kolejny problem był nieco trudniejszy i wymagał usług agenta ubezpieczeniowego. Major odnalazł i odwiedził takiego agenta w tym samym mieście, wyjaśniając o co mu chodzi.

Przez kilka lat pracował za granicą i przez cały ten czas miał samochód służbowy. W związku z tym nie rejestrował się w żadnym towarzystwie ubezpieczeniowym w Brytanii. Obecnie postanowił wrócić do kraju i rozpocząć pracę na własny rachunek. Musi więc nabyć jakiś pojazd, a w związku z tym musi się ubezpieczyć. Czy agent może mu w tym pomóc?

Agent zrobił to z rozkoszą. Upewnił się, że jego nowy klient ma prawo jazdy w największym porządku, posiada międzynarodowe prawo jazdy, robi wrażenie człowieka solidnego i porządnego i ma rachunek bankowy, tegoż ranka przeniesiony z Dorchester do Colchester.

Jaki pojazd szanowny klient zamierza zakupić? Motocykl. W samej rzeczy. O

ileż łatwiej się nim poruszać na zatłoczonych drogach. Oczywiście należące do nastolatków z trudnością bywają ubezpieczane. Ale gdy idzie o dojrzałego mężczyznę reprezentującego wolny zawód, nie ma trudności. Pełne ubezpieczenie może byłoby nieco trudniejsze... ach, szanownemu klientowi wystarczy od odpowiedzialności cywilnej? A na jaki adres? Pan poszukuje kupna domu w tym właśnie momencie.

Całkiem zrozumiałe. Przebywa obecnie Pod Wielkim Białym Koniem w Ipswich? To zupełnie

zadowolające. Jeśli więc pan Ross zechce mu podać numer rejestracyjny motocykla gdy tylko go nabędzie, a także zawiadomić o wszelkich zmianach adresu, jest pewien, że będzie w stanie załatwić ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej w ciągu jednego, najwyżej dwóch dni.

Do Ipswich Pietrowski powrócił swym wynajętym samochodem. Cały dzień miał zajęty, ale ku swemu zadowoleniu nie wzbudził żadnych podejrzeń, a mimo tego nie pozostawił żadnych prowadzących do siebie śladów. W agencji wynajmu samochodów i w hotelu podał fikcyjny adres w Dorchester. Natomiast firma wynajmu nieruchomości "Oxborrow's" oraz agent ubezpieczeniowy jako jego adres tymczasowy mieli podany hotel, u "Oxborrow's" znano też numer 12, ulica Cherryhayes. Na okres "poszukiwania" przez niego domu do kupienia, Barclays Bank w Colchester także miał podany adres hotelowy.

Pokój w hotelu postanowił zatrzymać do chwili, gdy agent dostarczy mu polisę ubezpieczeniową, a następnie wyprowadzi się. Szansa, by którykolwiek z jego kontrahentów skontaktował się z drugim była nieskończenie niska. Jeśli nie liczyć firmy "Oxborrow's", trop urywał się w hotelu oraz pod nieistniejącym adresem w Dorchester. Jak długo za wynajem domu i samochodu raty będą regularnie wpłacane, i gdy agent ubezpieczeniowy otrzyma czek z pełnym pokryciem rocznej należności za polisę, nikt się Rossem nie będzie interesował. Barclays Bank w Colchester został

zawiadomiony, by wyciągi z konta nadsyłać mu co kwartał. Ale w końcu czerwca Pietrowskiego od dawna nie będzie w Anglii.

Pojechał do agencji nieruchomości by podpisać umowę najmu i dopełnić reszty formalności.

Tegoż poniedziałkowego wieczoru czołówka grupy oceny szkód przybyła do apartamentu George'a Berensona w Belgawii by rozpocząć pracę. Grupę stanowił

niewielki zespół ekspertów MI-5 oraz analityków z Ministerstwa Obrony. Pierwszym ich zadaniem było zidentyfikowanie co do jednego wszystkich dokumentów, które zostały przesłane do Moskwy. Na wypadek gdyby Berensona zawiodła pamięć, mieli przy sobie kopie rejestru obiegu dokumentów, z zaznaczonymi pozycjami jakie zostały wydane i zwrócone.

Później inni analitycy, opierając się na liście dokumentów przekazanych, postarają się ocenić poniesione szkody i zminimalizować ich skutki, proponując co jeszcze można zmienić, jakie plany należy anulować, które wytyczne taktyczne i strategiczne muszą zostać skreślone, które można pozostawić bez zmian. Zespół

pracował przez całą noc, a następnie zameldował, że Berenson jest wcieleniem chęci współpracy. To co o nim sądzili prywatnie nie weszło do sprawozdania, ponieważ nie nadawało się do druku.

Natomiast inny zespół, pracując w ministerstwie w głębokiej konspiracji, zaczął przygotowywać następną paczkę tajnych dokumentów, które Berenson miał

następnie przekazać Janowi Marais i jego przełożonym, znajdującym się gdzieś tam w Pierwszym Głównym Zarządzie w Jasieniewie.

John Preston przeniósł się do nowego biura jako szef C.-5 (C) w czwartek, zabierając ze sobą teczkę osobiste. Na całe szczęście przeniósł się tylko o jedno piętro, to jest na trzecie w Gordon. Gdy siadł przy biurku, jego spojrzenie padło na ścienny kalendarz. Był pierwszy kwietnia, prima aprilis.

Jakże a propos - pomyślał z goryczą.

Jedynym promykiem słońca na jego osobistym niebie był fakt, że prawie za tydzień jego syn Tommy przyjedzie do domu na wakacje wielkanocne. Nim Julia wróci z wycieczki na narty ze swym chłopakiem do Verbier i zażąda jego towarzystwa na resztę wakacji, będą mieli cały tydzień tylko dla siebie.

Przez pełny tydzień jego małe mieszkanko w Kensington będzie rozbrzmiewało wybuchami entuzjazmu dwunastolatka, opowiadającego o swych przewagach na boisku rugby, kawałach urządzanych nauczycielowi francuskiego, oraz wyjaśniającego konieczność dalszych dostaw dżemu i ciastek, przeznaczonych do nielegalnej konsumpcji w sypialni po zgaszeniu świateł. Uśmiechnął się na myśl o tym wszystkim i postanowił wziąć przynajmniej czterodniowy urlop. Zaplanował już parę interesujących wypraw ojca z synem i miał nadzieję, że spotkają się one z aprobatą Tommy'ego. Marzenia przerwał mu Jeff Bright, jego zastępca jako szefa sekcji.

Preston wiedział, że gdyby nie zbyt młody wiek, Bright otrzymałby to stanowisko. Należał do protegowanych Harcourt-Smitha, a regularne zaproszenia na ciche drinki do zastępcy dyrektora generalnego, podczas których donosił o wszystkim co działo się w sekcji, pochlebiały mu i utrzymywały w stanie głębokiego szczęścia.

Gdy Harcourt-Smith, jak się zapowiadało, zostanie dyrektorem generalnym, Bright zajdzie daleko.

- Pomyślałem sobie, John, że będziesz chciał zapoznać się z wykazem portów i lotnisk, które mamy mieć na oku - powiedział.

Preston zagłębił się w spisach, które zastępca położył mu na biurku. Naprawdę istniało tyle lotnisk przyjmujących i odprawiających loty poza granice Wysp Brytyjskich? A już lista portów do których mogły przybijać statki handlowe z zagranicy ciągnęła się całymi stronicami. Westchnął i rozpoczął lekturę.

Następnego dnia Pietrowski znalazł to, czego szukał. Działając według zasady dokonywania różnych zakupów w różnych miastach na obszarze Suffolku i Essexu, pojechał do Stowmarket. Znalazł tam motocykl BMW model K-100 z wałem korbowym, trzyletni, lecz w doskonałym stanie, wielką, potężną maszynę z zaledwie 22 tysiącami mil na liczniku. W tym samym sklepie sprzedawano również akcesoria: czarne skórzane spodnie i kurtki, rękawice, buty z cholewami zapinane na zamek błyskawiczny i hełmy bezpieczeństwa z opuszczonymi ciemnymi osłonami przeciwsłonecznymi. Zakupił kompletne wyposażenie.

Zaliczka w wysokości 20 procent ceny zapewniła mu motocykl, ale nie z natychmiastową dostawą. Zażądał zamontowania nad tylnym kołem bagażnika, a na nim pudła z włókna szklanego, zamykanego na zamek. Powiedziano mu, że będzie mógł zabrać maszynę za dwa dni.

Z budki telefonicznej zadzwonił do agenta ubezpieczeniowego w Colchester i podał mu numer rejestracyjny BMW. Agent był pewien, że tymczasową trzydziestodniową polisę będzie miał gotową na następny dzień. Wyśle ją do hotelu Pod Wielkim Białym Koniem w Ipswich.

Ze Stowmarket Pietrowski pojechał na północ do Thetford, miejscowości tuż za granicą hrabstwa Norfolk. Thetford nie odznaczało się niczym szczególnym poza tym, że leżało mniej więcej na interesującym go kierunku. To, czego poszukiwał, znalazł zaraz po lunchu. Na Magdalen Street, pomiędzy numerami 13 A i lokalem Armii Zbawienia, znajdowało się cofnięte od ulicy prostokątne podwórze, a na nim trzydzieści jeden zamkniętych boksów garażowych. Na drzwiach jednego z nich wisiał napis "Do wynajęcia".

Odnalazł mieszkającego w okolicy właściciela, wynajął garaż na trzy miesiące, płacąc gotówką i podając fikcyjne nazwisko i adres. Otrzymał klucz. Boks był mały, ale dla jego celów znakomity.

Powiesił tam swoją skórę motocyklową, hełm i buty, a resztę popołudnia poświęcił na zakup w dwóch różnych sklepach dziesięciogalonowych plastikowych beczek. Napelnił je benzyną w dwóch różnych stacjach, a następnie ustawił w swym garażu. O zachodzie słońca wrócił samochodem do Ipswich, zawiadamiając recepcję hotelową, że wyprowadza się nazajutrz rano.

Preston rozumiał, że nudzi się śmiertelnie. Na nowym stanowisku był ledwie od dwóch dni, a spędził je na czytaniu dokumentacji.

Siedząc przy lunchu w stołówce zaczął się poważnie zastanawiać nad przejściem na wcześniejszą emeryturę. Ale z tego wynikłyby aż dwa problemy.

Człowiekowi czterdziestoparoletniemu nie jest łatwo znaleźć dobrą pracę. Tym bardziej, że jego ezoteryczna specjalizacja z trudnością mogłaby zostać zaliczona do nieodparcie interesujących wielkie korporacje.

Drugą przyczynę niepokoju stanowiła jego lojalność wobec sir Bernarda Hemmingsa. Pracował w MI-5 dopiero sześć lat, ale Stary był dla niego bardzo dobry.

Lubił sir Bernarda i zdawał sobie sprawę, że są tacy, którzy tylko czekają, by chorującemu dyrektorowi generalnemu wbić nóż w plecy.

Ostateczna decyzja co do wyboru szefów MI-5 i MI-6 należy w Wielkiej Brytanii do komitetu tak zwanych "Mędrców". W wypadku MI-5 należą do niego zwykle: stały podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych jako ministerstwa kierującego MI-5; stały podsekretarz stanu Ministerstwa Obrony; sekretarz Rady Ministrów oraz przewodniczący Wspólnego Komitetu Wywiadowczego.

Wybranego kandydata "rekomendują" ministrowi spraw wewnętrznych oraz premierowi, czyli dwu najwyższym rangą urzędnikom, których to dotyczy. Niezwykle rzadko ci dwaj odrzucali rekomendację "Mędrców".

Ale przed podjęciem decyzji grube ryby we własny, niemożliwy do naśladowania przez kogokolwiek

sposób, rozpoczną sondowanie. Odbędą się dyskretne lunchy w klubach, drinki w barach, prowadzone zniżonym głosem dyskusje nad filiżanką kawy. W przypadku propozycji na stanowisko dyrektora generalnego MI-5, będzie też konsultowany szef SIS. Ale że sir Nigel Irvine sam był bliski wieku emerytalnego, musiałby mieć bardzo poważne powody, aby wypowiedzieć się przeciwko temu kandydatowi na szefa drugiej służby wywiadowczej, który znajdzie najszczerze poparcie. Zresztą i tak nie będzie musiał z nim współpracować.

Wśród najbardziej liczących się sondaży będzie się też znajdowała opinia odchodzącego dyrektora generalnego MI-5, do którego "Mędracy" się zwrócą. Preston wiedział, że człowiek o tak wysokim poczuciu honoru jak sir Bernard Hemmings uzna za swój obowiązek zebrania opinii własnych szefów sekcji w sześciu wydziałach służby. I niezależnie od własnych uczuć, tę opinię weźmie w najwyższym stopniu pod uwagę. Nie na darmo Brian Harcourt-Smith wykorzystał swój stale rosnący wpływ na codzienny tok służby, by na stanowiskach szefów sekcji umieszczać jednego po drugim swoich ludzi.

Preston nie miał cienia wątpliwości, że Harcourt-Smith chciał pozbyć się go ze służby przed nastaniem jesieni, za przykładem dwóch czy trzech innych, którzy w ciągu ubiegłych dwunastu miesięcy przeszli do cywila.

- Skurwysyn - zawiadomił opróżniony właśnie duży kubek. - Zostanę.

W czasie gdy Preston siedział przy lunchu, Pietrowski wymeldował się z hotelu. Jego bagaż powiększył się o dużą walizkę, pełną kupowanej w okolicy odzieży. W recepcji powiedział, że przenosi się do Norfolk i prosił, by zatrzymywano dla niego wszelką przychodzącą korespondencję, po którą się będzie zgłaszał.

Zadzwoił do agenta ubezpieczeniowego w Colchester i dowiedział się, że tymczasowa polisa motocyklowa jest już gotowa. Rosjanin poprosił, by mu jej nie wysyłano pocztą, sam ją odbierze.

Zrobił to natychmiast, a późnym popołudniem tegoż dnia wprowadził się pod numer 12 na Cherryhayes. Znaczoną część nocy poświęcił na staranną pracę nad jednorazowym szyfrem liniowym, przygotowując zakodowaną depezę, której żaden komputer nie będzie w stanie złamać. Wiedział, że łamanie szyfrów oparte jest na modelowaniu i na wykrywaniu powtórzeń, niezależnie od typu i stopnia skomplikowania komputera użytego do tego celu. Użycie jednorazowego szyfru dla każdego kolejnego słowa krótkiej depezy nie tworzy modelu i nie pozwala na powtórzenia.

W sobotę rano pojechał samochodem do Thetford, zostawił wóz w garażu i przesiadł się w miejscową taksówkę do Stowmarket. Tam potwierdzonym czekiem uregulował resztę należności za BMW, w toalecie przebrał się w skóry i hełm ochronny, które przywiózł w płóciennej torbie, torbę zaś, wraz ze swą codzienną marynarką, spodniami i pantoflami zapakował do bagażnika i odjechał.

Była to długa, wielogodzinna jazda. Dopiero późnym wieczorem powrócił do Thetford, przebrał się, przesiadł z motocykla do samochodu i statecznie pojechał do Cherryhayes Close, Ipswich, gdzie przybył o północy. Nikt nie zwrócił na niego uwagi; ale gdyby nawet tak się zdarzyło, stwierdzono by, że to właśnie ten sympatyczny, młody pan Ross, który wprowadził się w piątek pod numer 12.

W sobotni wieczór starszy sierżant sztabowy armii amerykańskiej Averell Cook wolałby znajdować się na randce ze swą dziewczyną w pobliskim Bedford.

Albo nawet grać w bilard z przyjaciółmi w kantine. Zamiast tego stawiał się na swoją zmianę we wspólnej brytyjsko-amerykańskiej stacji nasłuchowej w Chicksands w Bedfordshire.

Kierownictwo brytyjskiego systemu nasłuchu elektronicznego i łamania szyfrów znajduje się w Głównej Kwaterze Łączności Rządowej w Cheltenham. Ale GKŁR ma swoje ekspozytury w różnych częściach kraju. Jedną zaś z nich, w Chicksands w Bedfordshire, jest obsadzona wspólnie przez GKŁR i amerykańską Narodową Agencję Bezpieczeństwa.

Dawno przeminęły dni, gdy uważni ludzie siedzieli zgarbieni ze słuchawkami na uszach, próbując złapać i zarejestrować kreski i kropki nadawane kluczem Morse'a przez jakiegoś niemieckiego agenta w Wielkiej Brytanii. Zadania nasłuchu, analizowania, odfiltrowywania nie-tak-całkiem niewinnego od niewinnego, nagrywania tego pierwszego i wreszcie odszyfrowywania, przejęły komputery.

Starszy sierżant sztabowy Cook był przekonany, i słusznie, że jeśli którakolwiek z lasu anten nad jego głową przechwyci elektroniczny szept, przekaże go do znajdującej się niżej baterii komputerów. Przemiatanie pasm wykonywane było automatycznie, nagrywanie jakiegokolwiek szeptu w eterze, który nie powinien by się tam znajdować, również automatycznie.

Jeśli taki szept się odezwał, wiecznie czujny komputer sam uruchomi swój obwód "trafnej odpowiedzi" w systemie automatycznego wyszukiwania informacji, umieszczony głęboko w wielobarwnych wnętrzościach maszyny, rejestruje transmisję, natychmiast weźmie namiar jej źródła i poinstruuje swoje siostrzane komputery w innych częściach kraju, by wzięły namiary pelengujące, wreszcie zawiadomi sierżanta.

O godzinie 11-43 wydarzyło się coś, co spowodowało, że główny komputer uruchomił swój obwód "trafnej odpowiedzi". Coś czy ktoś nadał coś nieoczekiwanego i niewłaściwego w kalejdoskopie zmiennych deseni sygnałów elektronicznych, który wiruje w atmosferze naszej planety przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Komputer to odnotował i prześledził. Starszy sierżant sztabowy Cook zapisał sygnał ostrzegawczy i sięgnął po telefon.

To, co komputer wykrył w żargonie GKŁR nazywano "kropką" - krótki, parosekundowy dźwięk, który nie jest odbierany przez ludzkie ucho.

"Kropka" jest końcowym produktem bardzo pracochłonnego postępowania przy przesyłaniu tajnych wiadomości. Najpierw wiadomość zapisuje się "clarisem" czyli zwykłym językiem i to tak zwięźle, jak tylko możliwe. Następnie się ją szyfruje, ale nadal ma ona formę łańcuszka liter lub cyfr. Zakodowana informacja jest następnie wystukiwana kluczem telegraficznym, ale nie do nadajnika, lecz do dziurkacza taśmy. Taką taśmę przewija się potem z maksymalną szybkością, aby wchodzące w skład depeszy kropki i kreski zostały "zgniecione" do jednego piśnięcia, trwającego zaledwie parę sekund. Gdy nadajnik zostaje uruchomiony, operator przesyła tylko ten jeden pisk, następnie spakowuje aparaturę i szybko przenosi się gdzieś indziej.

Tego sobotniego wieczoru w ciągu dziesięciu minut pelengatory wyznaczyły punkt, z którego

nadszedł pisk. Inne komputery, znajdujące się w Menwith Hill w Yorkshire oraz Brawdy w Walii również odebrały ten piszczący telegram i wzięły namiary. Gdy tamtejsza policja przybyła na miejsce, okazało się, że jest to zatoka parkingowa na samotnej drodze w głębi górzejszej części Derbyshire. Nikogo tam nie zastano.

We właściwym czasie zapis telegramu przekazano do Cheltenham, gdzie został spowolniony w taki sposób, by uzyskane kropki i kreski można było zapisać jako litery. Ale po dwudziestu czterech godzinach pracy mózgow elektronowych zwanych łamaczami szyfrów, odpowiedzią było nadal okrągłe zero.

- To "śpiący" nadajnik, ulokowany prawdopodobnie gdzieś w środkowej Anglii, który został uruchomiony. - Taki raport złożył główny analityk dyrektorowi generalnemu GKŁR. - Ale wszystko wskazuje, że nasz człowiek stosuje dla każdego słowa nowy klucz jednorazowego szyfru liniowego. Nie złamiemy go, jeśli nie otrzymamy o wiele więcej materiałów.

Postanowiono utrzymywać nieustanny nasłuch na kanale, którego użył tajny nadajnik, choć było prawie pewne, że jeśli nastąpią dalsze transmisje, zostanie użyty inny kanał.

Krótką notatką służbowa z opisem wydarzenia znalazła się na stosownych biurkach, w tym sir Bernarda Hemmingsa i sir Nigela Irvina.

Telegram dotarł też gdzie indziej, mianowicie do Moskwy. Odszyfrowany przy pomocy duplikatu klucza szyfru jednorazowego, zastosowanego gdzieś w cichym zakątku w Ipswich, zawiadamiał zainteresowanych, że człowiek w terenie ukończył

wszystkie działania przed terminem i gotów był na przyjęcie pierwszego kuriera.

13

Wkrótce nastać miały wiosenne odwilże; tymczasem jednak z gałęzi brzoź i jodeł nisko zwisały festony chrupkiego śniegu. Przez wspaniałe, podwójnie oszklone panoramiczne okno na najwyższym, siódmym piętrze budynku Pierwszego Głównego Zarządu w Jasieniewie wyglądał człowiek. Patrząc daleko przed siebie mógł dostrzec, ponad morzem zimowo ośnieżonych drzew, sam skraj brzegu jeziora, gdzie latem zagraniczni dyplomaci z Moskwy lubili przyjeżdżać dla zabawy.

Generał-porucznik Jewgienij Siergiejewicz Karpow stanowczo wolałby ten niedzielny poranek spędzić z żoną i nastoletnimi dziećmi w ich daczce w Pierediełkinie. Ale nawet gdy osiągnęło się tak wysoki stopień służbowy jak Karpow, pewnymi sprawami trzeba zajmować się osobiście. Taką właśnie sprawą miało być przybycie łącznika z Kopenhagi.

Generał spojrzął na zegarek. Było prawie południe, a kurier się spóźniał.

Karpow odwrócił się od okna, westchnął ciężko i rzucił się w objęcia obrotowego fotela klubowego za biurkiem.

W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat Karpow osiągnął szczyty awansu służbowego i władzy, dostępnego dla zawodowego wywiadowcy w KGB, a przynajmniej w jego Pierwszym Głównym

Zarządzie. Fiedorczyk poszedł jeszcze wyżej, wprost do szefostwa KGB, a stamtąd do ministra spraw wewnętrznych. Ale Fiedorczyk zawsze trzymał się klamki sekretarza generalnego. Co więcej nie był

nigdy człowiekiem PGZ; zdobywał ostrogi miażdżąc krajowe ruchy dysydenckie i nacjonalistyczne.

Ale jak na człowieka, który przez całe lata służył swemu krajowi za granicą - a to w Związku Radzieckim zawsze ujemnie rzutowało na możliwość awansu na najwyższe stanowiska - Karpowowi powiodło się bardzo dobrze. Szczupły, dobrze zbudowany, we wspaniale skrojonych garniturach - uboczny zysk z pracy w PZG, był

już generałem-porucznikiem i pierwszym zastępcą szefa Pierwszego Głównego Zarządu. Z tym stopniem i funkcją był najwyższym zawodowym oficerem wywiadu zagranicznego, odpowiednikiem zastępców dyrektora d/s operacyjnych i d/s wywiadowczych w CIA oraz sir Nigela Irvina w brytyjskim SIS.

Wiele lat wcześniej, z chwilą dojścia do władzy, pierwszy sekretarz przeniósł

Fiedorczyka z przewodniczenia KGB, by go zrobić ministrem spraw wewnętrznych, na jego zaś miejsce awansował generał Czebrikow. To pozostawiło jedno stanowisko wolne: Czebrikow był jednym z dwóch pierwszych zastępców przewodniczącego.

Opróżnione miejsce pierwszego zastępcy przewodniczącego zaofiarowano generałowi-pułkownikowi Kriuczkwowi, który skwapliwie skorzystał z oferty. Ale problem polegał na tym, że Kriuczkow był wówczas szefem PGZ i nie chciał opuścić tego dającego wielką władzę stanowiska. Chciał zajmować oba etaty równocześnie.

Ale nawet Kriuczkow zrozumiał - a Karpow prywatnie uważał, że człowiek ten jest tępy jak wół, - że nie może być w dwóch miejscach na raz. To znaczy na Placu Dzierżyńskiego jako pierwszy zastępca przewodniczącego w Centrali, oraz w Jasieniewie jako szef PGZ.

Tak się przy tym składało, że stanowisko pierwszego zastępcy PGZ, utworzone przed wielu laty, ostatnio nabierało coraz większego znaczenia. Już poprzednio było ono przewidziane dla oficera o wielkim doświadczeniu operacyjnym; faktycznie najwyższe w PGZ, o jakim mógł marzyć zawodowy oficer wywiadu. Z

chwilą, gdy Kriuczkow opuścił "wioskę" - co w gwarze KGB oznaczało Jasieniewo -

stanowisko pierwszego zastępcy stało się jeszcze ważniejsze.

Gdy dotychczasowy szef, generał B. S. Iwanow odszedł na emeryturę, było dwóch ewentualnych kandydatów na jego miejsce. Jednym był Karpow, nieco zbyt młody, ale kierujący ważnym Trzecim Departamentem w pokoju 6013, obejmującym Wielką Brytanię, Australię, Nową Zelandię i Skandynawię; drugim zaś Wadim Wasiliewicz Kripiczenko, wyraźnie starszy, o nieco dłuższym stażu i szefujący Zarządowi "S" czyli Działów Specjalnych.

W charakterze swego rodzaju nagrody pocieszenia Karpow awansował na szefa potężnego Zarządu Działań Specjalnych i zajmował to stanowisko, zapewniające mu fascynującą pracę, przez dwa lata.

A wtedy, wczesną wiosną 1985 r. Kirpiczenko zachował się bardzo przyzwoicie. Jego samochód, jadący prawie setką po obwodnicy Sadowa-Spasska, wpadł w kałużę oleju pozostawioną przez przeciekającą ciężarówkę i całkowicie wymknął się spod kontroli. W tydzień później na cmentarzu Nowodiewiczym odbył

się cichy pogrzeb, a jeszcze po tygodniu jego stanowisko otrzymał Karpow, awansując przy tym z generała-majora na generała-porucznika.

Z radością przekazał Zarząd Działań Specjalnych staremu Borysowi, który był

tam zastępcą od tak dawna, że niewielu zadawało sobie trud by pomyśleć ileż to już lat upłynęło, i który tak czy inaczej na to zasługiwał.

Na biurku Karpowa zadzwonił telefon i generał chwycił za słuchawkę.

- Towarzysz generał-major Borysow na linii do was, towarzyszu.

O wilku mowa - pomyślał. A potem zmarszczył brwi. Miał linię bezpośrednią, nie przechodzącą przez centralę, ale jego stary kolega jej nie użył. Musi więc dzwonić spoza budynku. Poleciwszy sekretarzowi, by przyprowadził do niego łącznika z Kopenhagi gdy tylko się pojawi, Karpow nacisnął guzik połączeniowy i przyjął

telefon Borysowa.

- Paweł Pietrowicz, jakże się macie w tak pięknym dniu?

- Próbowałem was osiągnąć w domu, potem w dacy. Ludmiła powiedziała, że jesteście w pracy.

- I tak jest. Niektórym to dobrze robi.

Karpow łagodnie zażartował sobie ze starego. Borysow był wdowcem, mieszkał samotnie i przepracował w biurze więcej weekendów, niż ktokolwiek inny.

- Jewgienij Siergiejewicz, muszę się z wami zobaczyć.

- Oczywiście. Nie musicie prosić. Chcecie tu przyjechać jutro czy ja mam pojechać do miasta?

- Czy dacie radę zrobić to dziś?

Jeszcze dziwniejsze, pomyślał Karpow. Staremu musiało coś naprawdę zależeć za skórę. A głos miał taki, jakby był pijany.

- Paweł Pietrowicz, czyżbyście sobie popili?

- A może i tak - powiedział kłótny głos w telefonie. - Może człowiekowi potrzeba od czasu do czasu kielicha. Szczególnie, gdy ma problemy.

Karpow zrozumiał, że czegokolwiek rozmowa dotyczyła, sprawa musiała być poważna. Porzucił żartobliwy ton. - Zgoda, stariec - powiedział łagodząco. - Gdzie jesteście?

- Znacie moją chatę?

- Oczywiście. Chcecie, abym tam przyjechał?

- Tak, byłbym wdzięczny - odparł Borysow. - Na którą moglibyście zdążyć?

- Powiedzmy, około szóstej? - zaproponował Karpow.

- Naszykuję butelkę pieprzówki - zakończył głos w telefonie. Borysow rozłączył się.

- Ale nie na mój rachunek - mruknął Karpow. W przeciwieństwie do większości Rosjan, Karpow prawie nie pił. A jeśli już to robił, wołał przyzwoity amerykański koniak albo zwykłe szkockie piwo, które otrzymywał bezpośrednio pocztą dyplomatyczną z Londynu. Wódkę uważał za obrzydliwość, a pieprzówkę za coś jeszcze gorszego.

No i poszło w diabły moje niedzielne popołudnie w Pieriedelkinie - pomyślał, i zatelefonował do Ludmiły zawiadamiając, że nie przyjedzie. O Borysowie nie wspominał; po prostu powiedział, że nie może wyjść z biura i że się spotkają około północy w ich mieszkaniu w centrum Moskwy.

Ale mimo wszystko niezwykła u Borysowa wojowniczość zrobiła na nim wielkie wrażenie. Współpracowali od dawna, zbyt dawna by mógł się poczuć dotknięty. Ale dziwne było tego rodzaju zachowanie u człowieka zwykle tak łagodnego i flegmatycznego.

Tegoż niedzielnego popołudnia parę minut po piątej na londyńskie lotnisko Heathrow przybył rejsowy samolot Aeroflotu.

Wśród załogi każdego z samolotów tej linii znajdował się jeden człowiek, pracujący dla dwóch panów: państwowych radzieckich linii lotniczych i KGB.

Pierwszy oficer Romanow nie był etatowym pracownikiem KGB, po prostu zwykłym agentem, co oznaczało, że informuje o swych kolegach, a od czasu do czasu przewozi raporty i przesyłki.

Załoga zamknęła samolot i pozostawiła go na noc w rękach obsługi lotniska.

Odlecieć do Moskwy mieli nazajutrz. Jak zwykle wyszli przejściem dla personelu, a celnicy tylko powierzchownie zerknęli na ich bagaże. Paru miało prywatne radia tranzystorowe, więc nikt nie zwrócił uwagi na "Sony" Romanowa na pasku u ramienia. Zachodnie towary luksusowe były dla radzieckiego obywatela jedną z dodatkowych atrakcji przy wyjazdach za granicę, i choć ich przydział dewiz wymienialnych był niesłychanie szczupły, wszyscy wiedzieli, że odtwarzacze, kasety magnetofonowe oraz radia i perfumy dla żon w Moskwie miały absolutne pierwszeństwo na liście zakupów.

Po przejściu formalności w Imigracji i Cle, cała załoga wsiadła do mikrobusu jadącego do Hotelu Green Park, gdzie Aeroflot zwykle wynajmował dla niej kwatery.

Ktokolwiek dał Romanowowi to radio akurat na trzy godziny przed startem, musiał

dobrze wiedzieć, że załogi Aeroflotu prawie nigdy nie były inwigilowane na Heathrow. Brytyjski kontrwywiad zdawał się być zdania, że chociaż stanowi to pewne ryzyko, jednak całkiem do przyjęcia w porównaniu z montowaniem operacji obserwacyjnej na wielką skalę.

Wszedłszy do swego pokoju Romanow nie potrafił się powstrzymać od ciekawego zerknięcia na aparat. A potem wzruszył ramionami, zamknął go w walizce i zszedł do baru na drinka z resztą oficerów. Co ma zrobić z radiem nazajutrz po śniadaniu, wiedział dokładnie. Zrobi to, a następnie o wszystkim zapomni. Nie miał

pojęcia, że natychmiast po powrocie do Moskwy zostanie na pewien czas umieszczony w ścisłej izolacji.

Tuż przed szóstą wieczór samochód Karpowa przedzierał się przez zasypaną śniegiem drogę. Generał przeklinał upodobanie Borysowa do zamieszkiwania w domu weekendowym w tak odludnym miejscu.

Wszyscy pracownicy wiedzieli, że Borysow jest odludkiem. W

społeczeństwie, w którym wszelki indywidualizm czy odchylenia od przyjętych norm, nie mówiąc już o ekscentryczności, uważane jest za skrajnie podejrzane, Borysowowi to wybaczone, ponieważ w służbie był znakomity. W tajnym wywiadzie pracował od wczesnej młodości, a niektóre jego mistrzowskie posunięcia w rozgrywkach z Zachodem, w szkołach dla personelu wywiadowczego i w stołówkach dla młodszych funkcjonariuszy opowiadano sobie jako legendarne wprost zwycięstwa.

Po przejechaniu w ten sposób jeszcze pół mili, Karpow dostrzegł światła rosyjskiej chaty z drewnianych bali, ulubionego przez Borysowa miejsca weekendowych odpoczynków. Inni funkcjonariusze zadowalali się, a nawet z radością godzili na lokowanie swych domków wypoczynkowych w zatwierdzonych na ten cel rejonach, zgodnie z zajmowanym przez siebie miejscem w "porządku dziobania".

Rejony takie mieściły się wszystkie na zachód od Moskwy, wzdłuż łuku rzeki za mostem Uspienskim. Ale nie Borysow. Daleko na wschód od stolicy, w sercu lasów, tam właśnie znajdowała się tradycyjna ruska chata, w której bawił się w chłopca podczas weekendów, a także w każdej chwili, gdy mógł się oderwać od swego biurka w urzędzie. Czajka Karpowa zatrzymała się przed drewnianymi drzwiami.

- Poczekaj tutaj - powiedział generał do kierowcy.

- Lepiej zawróćę i podłożę parę polan pod koła, inaczej przymarzniemy na amen - mruknął Misza.

- Karpow kiwnął głową i wysiadł. Nie założył kaloszy, bo nie spodziewał się, że będzie brnął w śniegu po kolana. Potykając się po drodze dotarł do drzwi i walnął

w nie pięścią. Otworzyły się ukazując prostokąt żółtawego światła naftowych lamp i stanął w nich generał-major Paweł Pietrowicz Borysow, odziany w rubaszkę, sztruksowe spodnie i walonki.

- Wyglądasz, jak coś co wylazło z powieści Tolstoja - zauważył Karpow, gdy kolega wprowadził go do salonu, gdzie ceglany piec wypełniony polanami drewna napełniał chatę prawie organicznym ciepłem.

- To lepiej, niż jak coś prosto z wystawy na Bono Street - warknął Borysow, biorąc płaszcz Karpowa i wieszając na drewnianym kołku. Otworzył butelkę wódki tak gęstej, że aż oleistej i napełnił dwa kieliszki. Mężczyźni usiedli po dwóch stronach stołu.

- Twoje - Karpow podniósł kielich na sposób rosyjski, trzymając go tylko kciukiem i palcem wskazującym, z piątym odstawionym.

- Twoje - odrzekł Borysow i opróżnili kieliszki jednym haustem.

Weszła stara chłopka, wyglądająca jak wcielenie Matki Rusi: krępa, z nieruchomą twarzą i siwymi włosami ściągniętymi w koczek. Z trzaskiem postawiła na stole przekąskę złożoną z razowca, cebuli, ogórków i pokrojonego w kostki sera i bez słowa opuściła pokój.

- Więc w czym problem, stariec? - zapytał Karpow.

Borysow był od niego o pięć lat starszy, a Karpow nie po raz pierwszy zauważył jego uderzające podobieństwo do zmarłego Dwighta Eisenhowera. Wiedział

też, że Borysow, w przeciwieństwie do wielu innych pracowników służby, był lubiany przez kolegów i uwielbiany przez młodych podwładnych. Dawno już temu nadali mu czułe przydomki "stariec", słowo niegdyś oznaczające w Rosji wioskowego sołtysa, ale obecnie raczej odpowiednik "Starego" czy "le patron".

Borysow ponuro wpatrywał się w niego przez szerokość stołu.

- Jewgienij Siergiejewiczu, od jak dawna się znamy? - zapytał.

- Dłużej, niż byłbym w stanie zapamiętać - odrzekł Karpow.

- A czy przez ten czas kiedykolwiek wam skłamałem?

Karpow zamyślił się. - O tym nic mi nie wiadomo.

- A czy teraz wy będziecie mnie okłamywać?

- Nie, jeśli nie będę do tego zmuszony - zastrzegł się Karpow. Co u licha znalazło staremu za skórę?

- Więc co do cholery wyprawiacie z moim departamentem? - wrzasnął

Borysow.

Karpow głęboko zastanowił się nad tym pytaniem. - A gdybyście tak powiedzieli, co się dzieje z waszym departamentem?

- Został ograbiony, ot co - warknął Borysow. - I wy musicie za tym stać. Albo przynajmniej wiedzieć. Jak do wszystkich diabłów mam kierować operacjami "S", gdy mi się rabuje moich najlepszych ludzi, najlepsze dokumenty i najlepsze urządzenia? Całe lata sakramencko ciężkiej pracy... wszystko skradzione w ciągu paru dni.

I już po wybuchu, na który Borysowowi zbierało się aż do dziś. Karpow wyprostował się na krześle, a Borysow znowu napełnił kieliszki. Karpow nie dotarłby tak wysoko w labiryncie korytarzy KGB, gdyby nie wyrobił sobie szóstego zmysłu ostrzegającego przed niebezpieczeństwem. Borysow nie był alarmistą, coś się musiało kryć za tym co powiedział, ale Karpow autentycznie nie miał pojęcia co. Pochylił się w stronę gospodarza.

- Pał Pietrowicz - odezwał się, używszy bardzo familiarnego zdrobnienia imienia "Paweł", - tak jak mówicie, znamy się od wielu lat. Wierzcie mi, nie mam pojęcia o czym mówicie. Może łaskawie przestaniecie wrzeszczeć i powiecie o co chodzi?

Borysow złagodniał, chociaż zapewnienie Karpowa, że nie ma pojęcia o co chodzi, zupełnie go zaskoczyło.

- No dobrze - odrzekł takim tonem, jakim tłumaczy się dziecku coś oczywistego. - Po pierwsze z Komitetu Centralnego przyłazi dwóch zbirów i żądają, abym im przekazał mego najlepszego tajnego agenta, człowieka którego przez całe lata osobiście szkoliłem i w którym pokładałem największe nadzieje. Mówią, że ma zostać odkomenderowany do "specjalnej służby", cokolwiek by to miało oznaczać.

Dobra oddaję im mego najlepszego człowieka. To mi się nie podoba, ale wykonuję polecenie. Po dwóch dniach są znowu. Żądają mojej najlepszej legendy, legendy którą montowaliśmy przez dziesięć lat. Jeszcze ani razu od czasu tej kurewskiej afery z Iranem tak mnie nie potraktowano. Pamiętacie sprawę irańską? Do tej pory się po niej nie pozbierałem.

Karpow skinął głową. W owym okresie nie pracował w Zarządzie Działań Specjalnych, ale gdy później przez dwa lata szefował temu Zarządowi, Borysow wszystko mu opowiedział. Podczas ostatnich dni szacha Iranu Wydział

Międzynarodowy Komitetu Centralnego zdecydował, że dobrym pomysłem byłoby wyczarować nielegalne wydostanie się stamtąd całego politbiura Irańskiej Komunistycznej Partii Tudeh.

Ludzie z Wydziału zrobili więc nalot na zazdrośnie strzeżone akta Borysowa i zabrali mu dwadzieścia dwie perfekcyjnie dopracowane irańskie legendy, które trzymał po to, by wysłać ludzi do Iranu, a nie wydostawać stamtąd.

- Obdarli mnie do naga - wrzeszczał wtedy, - tylko po to, aby zapewnić bezpieczeństwo tym

zawszonym, orientalnym przybłędem.

A później poskarżył się Karpowowi: - I to wszystko na nic się nie zdało.

Ajatollah u władzy, Tudeh nadal nielegalna, a my nie jesteśmy w stanie zmontować tam żadnej operacji.

Karpow wiedział, że do dziś ciągnął się smród po tamtej aferze. Ale ta nowa była jeszcze dziwniejsza. Przede wszystkim tego rodzaju żądania powinny być zrobione za jego pośrednictwem.

- Kogo im daliście? - zapytał.

- Pietrowskiego - odrzekł Borysow z rezygnacją. - Musiałem. Zażądali najlepszego, a on był o całe niebo lepszy od pozostałych. Pamiętacie Pietrowskiego?

Karpow skinął głową. Działaniom Specjalnym szefował tylko przez dwa lata, ale pamiętał stamtąd nazwiska najlepszych oraz operacje będące w toku. Na swym obecnym stanowisku tym bardziej miał pełny dostęp do takich danych.

- Na czyje polecenie dokonano tej rekwizycji?

- No, formalnie rzecz biorąc, Komitetu Centralnego. Ale gdy idzie o szczebel... - Borysow pokazał palcem na sufit, z czego wynikało, że ma na myśli niebo.

- Pana Boga? - zainteresował się Karpow.

- Prawie. Naszego ukochanego sekretarza generalnego. Przynajmniej tak to wynika.

- Czy było coś jeszcze?

- Owszem. Zaraz po sprawie legendy te dwa błazny znowu wróciły. Tym razem zabrali kryształ odbiorczy jednego z tajnych nadajników, które wsadziliście do Anglii cztery lata temu. Dlatego pomyślałem, że to wszystko wasza sprawa.

Karpow zmrużył oczy. Gdy był Dyrektorem "S", kraje NATO instalowały u siebie rakiety Pershing 2 oraz Cruise. Na całej kuli ziemskiej Waszyngton rozrabiał, próbując zmieniać rzeczywistość w ostatni akt każdego z filmów z Johnem Waynem, zaś Biuro Polityczne było śmiertelnie zaniepokojone. Karpowowi rozkazano, by zwielokrotnił przygotowania Działań Specjalnych do masowego sabotażu na zapleczu nieprzyjaciela, do uruchomienia w wypadku wybuchu działań wojennych.

Wykonując ten rozkaz, ulokował w Zachodniej Europie znaczną ilość tajnych nadajników radiowych, w tym trzy w Wielkiej Brytanii. Były one pod opieką wyszkolonych, zamrożonych agentów-radiotelegrafistów, którzy mieli rozkaz by siedzieć cicho do momentu, gdy polecą im się odmrozić agent, legitymujący się ustalonym szyfrem identyfikacyjnym. Nadajniki były ultranowoczesne, zapewniające mieszanie sygnałów podczas nadawania i wymagające dla nich rozsortowania zaopatrzenia nadajnika w programowany kryształ. Te zaś były przechowywane w sejfie w Zarządzie Działań Specjalnych.

- Którego nadajnika? - zapytał.

- Tego, który nazywaliście "Poplar".

Karpow kiwnął głową. Znał oficjalne nazwy kodowe wszystkich operacji, agentów i sprzętu specjalnego. Ale był tak długo specjalistą od spraw brytyjskich i znał Londyn tak dobrze, że własne operacje nazywał prywatnymi nazwami kodowymi, opartymi na dwusylabowych nazwach dzielnic Londynu. Trzy ulokowane na jego polecenie w tamtym kraju nadajniki nazywał Hockney, Shoreditch i Poplar.

- Coś jeszcze, Pał Pietrowicz?

- Oczywiście. Te łobuzy ciągle chcą jeszcze. Ostatnio zabrali mi Igora Wołkowa.

Major Wołkow, poprzednio zatrudniony w Departamencie Wykonawczym do chwili, gdy Biuro Polityczne zdecydowało, że dokonywanie zamachów bezpośrednio zaczyna być nazbyt kłopotliwe i wobec tego brudną robotę powinni wykonywać Bułgarzy i wschodni Niemcy. Od tej pory Departament Piąty czyli Wykonawczy przestawił się w większym stopniu na sabotaż.

- Jaką on ma specjalizację?

- Dostarczanie tajnych przesyłek przez granice państwowe, szczególnie w Europie Zachodniej.

- Przemyt.

- Niech będzie przemyt. Jest dobry. Wie więcej niż którykolwiek z naszych ludzi o granicach w tej części świata, przepisach celnych i imigracyjnych, jak je omijać i tak dalej. To znaczy... wiedział, powinien był rzec. Jego też zabrali.

Karpow wstał i pochylił się do przodu, kładąc obie ręce na ramionach starszego kolegi.

- Posłuchajcie, stariEC, daję wam słowo, że to nie moja operacja. Nawet o niej nie wiedziałem. Ale obaj zdajemy sobie sprawę, że musi być na wielką skalę i wtykanie w nią nosa może być niebezpieczne. Opanujcie nerwy, zagryźcie wargi i starajcie się złagodzić skutki strat. Ja zaś postaram się po cichu dowiedzieć co tu jest grane i kiedy będziecie mogli odzyskać swój majątek. Ale zaciśnijcie usta mocniej, niż Szkot portmonetkę. OK?

Borysow uniósł obie ręce otwartymi dłońmi do przodu, gestem absolutnej niewinności.

- Znacie mnie, Jewgienij Sergiejewiczu. Umrę jako najstarszy człowiek w Rosji.

Karpow roześmiał się. Naciągnął płaszcz i skierował się do drzwi. Borysow go odprowadził.

- Jestem tego samego zdania - oświadczył Karpow.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, zastukał w okno kierowcy. - Jedź za mną, póki nie będę chciał wsiąść - powiedział. Ruszył po zaśnieżonej drodze, nie zważając na bryłki lodu przywierające do

jego miejskiego obuwia i drogich wełnianych spodni.

Mroźny powiew nocnego powietrza, uderzający w twarz, odświeżył umysł, neutralizując po trosze działanie wódki. A generał bardzo potrzebował spokojnie przemyśleć sprawę. To czego się dowiedział, wprawiło go we wściekłość. Ktoś - a prawie bez wątpliwości zorientował się o kogo idzie - organizował prywatną operację w Wielkiej Brytanii. Nawet jeśli nie brać pod uwagę, że dla pierwszego zastępcy szefa Pierwszego Głównego Zarządu wszystko to stanowiło potężny afront, on, Karpow, spędził w tamtym kraju tyle lat, od tak dawna kierował tamtejszą agenturą, że uważał

Wielką Brytanię za prywatny obwód łowiecki.

Podczas gdy generał Karpow maszerował drogą pogrążony w myślach, w małym mieszkaniu w Highgate w Londynie, nie oddalonym nawet o pięćset jardów od grobowca Karola Marksa, zadzwonił telefon.

- Czy jesteś w domu, Barry? - zawołał z kuchni kobiecy głos. Z salonu odpowiedział głos męski: - Tak, odbiorę.

Mężczyzna przeszedł do holu i podniósł słuchawkę. Jego żona kontynuowała przygotowania do niedzielnej kolacji.

- Barry?

- Słucham.

- Ach, przepraszam, że ci przeszkadzam w niedzielny wieczór. Mówi "C".

- Ooo, dobry wieczór, sir.

Barry Banks był zaskoczony. Nie było niesłychanym wydarzeniem, ale jednak bardzo rzadkim, by Szef dzwonił do jednego ze swych ludzi do domu.

- Posłuchaj, Barry, o której normalnie przychodzisz rano do biura na Charles Street?

- Około dziesiątej, sir.

- Czy jutro byłbyś w stanie wyjść z domu o godzinę wcześniej i wpaść do Sentinel na słówko ze mną?

- Tak, oczywiście.

- Dobrze. Więc czekam na ciebie około dziewiątej.

W Kwaterze Głównej MI-5 na Charles Street Barry Banks występował jako K.-7. Ale w rzeczywistości był pracownikiem MI-6, którego zadanie polegało na zapewnieniu łączności Sir Nigela Irvina ze Służbą Bezpieczeństwa. Jedząc przygotowaną przez żonę kolację, na próżno próbował się domyśleć czego może chcieć od niego Sir Nigel Irvine i czemu spotkanie ma się odbyć

w godzinach pozabiurowych.

Jewgienij Karpow nie miał cienia wątpliwości, że przygotowywano tajną operację, że ją już uruchomiono i że Brytania była jej terenem. Wiedział, że Pietrowski jest wybitnym specjalistą od udawania Brytyjczyka w samym sercu tego kraju i że legenda odebrana z kartoteki Borysowa pasowała do Pietrowskiego co do joty. Nadajnik Poplar był ukryty w północnej części środkowej Anglii. Jeżeli załatwiono, przeniesienie służbowe Wołkowa w związku z jego specjalnością dostarczenia tajnych przesyłek do Wielkiej Brytanii, musiały też nastąpić inne przeniesienia, ale z innych Zarządów, poza kręgiem zainteresowań Borysowa.

Wszystko to nieomylnie wskazywało, że albo Pietrowski ma się udać głęboko zakonspirowany do Wielkiej Brytanii, albo już się tam znajduje. W samym tym wydarzeniu nie byłoby nic dziwnego, do takiego zadania był przecież szkolony.

Natomiast było dziwne, że Pierwszy Główny Zarząd w jego własnej osobie tak starannie wykluczony z operacji. Biorąc pod uwagę, że on sam był wybitnym znawcą problemów brytyjskich i przebywał w tym kraju, wyglądało to bezsensownie.

Jego powiązania ze sprawami brytyjskimi datowały się od dwudziestu lat, od owego wieczoru we wrześniu 1967 r., gdy rozpoczął połowy w zachodniobrzezińskich barach, gdzie uczęszczali poza służbą brytyjscy żołnierze. Jako bystry i dobrze się zapowiadający zakonspirowany pracownik, takie właśnie otrzymał zadanie.

Zwrócił wówczas uwagę na ponurego, zgorzkniałego młodego człowieka przy barze, którego cywilne ubranie i fason strzyżenia wielkim głosem mówiły: "Brytyjskie Siły Zbrojne". Karpow przysunął się do samotnie popijającego człowieka i dowiedział

się, że jest to dwudziestodwuletni radiotelegrafista w jednostce łączności i zwiadu, czyli nasłuchu Królewskich Sił Powietrznych w Gatow. Był również dogłębnie niezadowolony z losu, jaki zgotowało mu życie.

Od tego września do stycznia 1968 r. Karpow pracował nad żołnierzem lotnictwa, najpierw podając się za Niemca, taka bowiem była jego legenda, a wreszcie przyznawszy się, że jest Rosjaninem. Werbunek okazał się łatwy, tak łatwy, że prawie podejrzany. Ale wreszcie było w porządku; Anglik czuł się pochlebiony, że zwrócił na siebie uwagę KGB, jak każdy nieudacznik nienawidził swej pracy i kraju i zgodził się pracować dla Moskwy. W ciągu lata 1968 r. Karpow osobiście szkolił go w Berlinie Wschodnim, poznając go coraz lepiej i pogardzając nim coraz bardziej. Staż żołnierza lotnictwa w Berlinie zbliżał się do końca, a także jego służba w RAF-ie była na ukończeniu. We wrześniu 1968 r. miał powrócić do kraju i zostać zdemobilizowany.

Zasugerowano mu, by po zwolnieniu z lotnictwa starał się o pracę w Głównej Kwaterze Łączności Rządowej w Cheltenham. Zgodził się na to i w tymże miesiącu to zrobił. Nazywał się Geoffrey Prime.

Karpow, aby móc nadal pracować z Primem został jako dyplomata przeniesiony do ambasady radzieckiej w Londynie i sterował Primem jako jego prowadzący przez trzy lata, aż w 1971 roku

powrócił do Moskwy, przekazując prowadzenie swemu następcy. Ale cała ta sprawa znakomicie wpłynęła na jego karierę i został awansowany na majora, z przydziałem ponownie do Trzeciego Departamentu. Stamtąd zajmował się opracowywaniem materiałów Prima aż do połowy lat siedemdziesiątych. W każdym wywiadzie do podstawowych zasad należy to, że operacja przynosząca doskonały materiał zostaje zauważona i pochwalona, a pochwały odnoszą się także w nierozdzielny sposób do prowadzącego ją oficera.

W 1977 r. Prime zrezygnował z pracy w GKŁR; Brytyjczycy wiedzieli, że jest stamtąd jakiś przeciek i psy gończe zaczęły węszyć. W 1978 roku Karpow powrócił

do Londynu, tym razem jako szef całej rezydentury, w stopniu pułkownika. Prime nadal pozostawał ich agentem a Karpow dokładał wszelkich starań, by go przestrzec przed zwracaniem na siebie uwagi w jakikolwiek sposób. Podkreślił też, że nie ma nawet cienia dowodu co do jego działalności przed 1977 i tylko Prime może sam na siebie ściągnąć oskarżenie.

Byłby do dzisiaj wolnym człowiekiem, myślał wściekły Karpow, gdyby tylko potrafił powstrzymać się od pchania z brudnymi łapami do małych dziewczynek, bo od dawna wiedział o tym zboczeniu Prime'a. W końcu Prime został przyłapany na ordynarnej próbie gwałtu, został aresztowany i sam złożył zeznania. Został skazany z siedmiu artykułów dotyczących szpiegostwa na trzydzieści pięć lat więzienia.

Ale porażka w sprawie Prime'a została dwukrotnie zrównoważona innymi zyskami. Na cocktail party w 1980 r. Karpow został przedstawiony urzędnikowi brytyjskiego Ministerstwa Obrony. W pierwszej chwili nie dosłyszał on nazwiska Karpowa i nim się zorientował, że ma do czynienia z Rosjaninem, przez dłuższy czas prowadzili uprzejmą rozmowę. Ale gdy go już rozpoznał, jego postawa uległa całkowitej przemianie. Nagły lodowaty ton jaki ten człowiek przybrał, ujawnił

Karpowowi, że jest przez rozmówcę zniechęcony czy to jako Rosjanin, czy też komunista.

Nie wytrąciło go to z równowagi, raczej zaciękało. Dowiedział się, że jego rozmówca nazywa się George Berenson, a informacje zebrane w ciągu paru następnych tygodni ujawniły, że jest to skrajny antykomunista i namiętny wielbiciel Południowej Afryki. Karpow odnotował sobie w pamięci, że być może Berenson będzie się nadawał do werbunku pod fałszywą flagą.

W maju 1981 pułkownik powrócił do Moskwy by objąć szefostwo Trzeciego Departamentu i zaczął rozpytywać o ewentualnego południowoafrykańskiego zamrożonego radzieckiego agenta. Zarząd Działań Specjalnych zawiadomił, że ma tam dwóch takich ludzi. Jednym jest oficer Marynarki Wojennej RPA nazwiskiem Gerhardt, drugi to dyplomata Marais. Marais właśnie powrócił do Pretorii po trzyletnim pobycie na placówce w Bonn.

Wiosną 1983 Karpow został generał-mojorem i szefem Zarządu Działań Specjalnych, któremu podlegał Marais. Rozkazał więc, aby Południowoafrykańczyk poprosił o przeniesienie do Londynu dla uwieńczenia długoletniej kariery dyplomatycznej i w 1984 Marais to uzyskał. Karpow osobiście w głębokiej konspiracji poleciał do Paryża i przekazał mu polecenia: ma się zaprzyjaźnić z Georgem Berensonem i zwerbować go dla Południowej Afryki.

W lutym 1985 po śmierci Kirpiczenki Karpow otrzymał swe obecne stanowisko, a w miesiąc później, w marcu, Marais zameldował, że Berenson połknął

haczyk. W tymże miesiącu nadszedł pierwszy plik dokumentów od Berensona i było to czyste, dwudziestoczekaratowe złoto. Od tej chwili osobiście sterował operacją Berenson-Marais jako sprawą szczebla dyrektorskiego, dwa razy w roku spotykając się z Maraisem w zachodnioeuropejskich miastach, by mu pogratulować i wysłuchać raportu z wykonywanego zadania. A tego właśnie dnia w porze obiadowej łącznik przywiózł ostatnią paczkę materiałów Berensona, przesłanych przez Maraisa na adres skrzynki KGB w Kopenhadze.

Okres londyński od 1978 do 1981 roku przyniósł jeszcze i drugi zysk. Zgodnie ze swoim zwyczajem nadał Prime'owi i Berensonowi prywatne nazwy kodowe. Prime to Knights Bridge, a Berenson Hampstead. Ale był jeszcze Chelsea...

Czuł równie duży szacunek dla Chelsea, jak pogardę dla Prime'a i Berensona.

W przeciwieństwie do tamtych dwóch Chelsea nie był agentem lecz kontaktem; człowiekiem wysoko postawionym w hierarchii swego kraju i podobnie jak Karpow, pragmatykiem, kierującym się wyłącznie realiami swej pracy, swego kraju i otaczającego ich świata. Karpowa zawsze zdumiewały dziennikarskie wzmianki w prasie zachodniej, przedstawiające oficerów wywiadu jako żyjących w świecie fantazji; był zdania, że to politycy żyją w wydumanym przez siebie świecie otumanienia i zamroczenia przez własną propagandę.

Oficerowie wywiadu - i z tym się zgadzał - mogli kryć się w cieniu, kłamać i oszukiwać dla wypełniania swych zadań, ale jeśli kiedykolwiek zapuszczali się w świat fantazji - jak to się jakże często zdarzało organizatorom tajnych działań CIA - to wszelkie ich plany fatalnie paliły na panewce.

Chelsea dwukrotnie dał mu do zrozumienia, że jeśli ZSRR będzie kontynuować pewną linię działania, to bardzo szybko nastąpi tak straszliwy bałagan, że obie strony urobią ręce po łokcie by go uporządkować. I dwukrotnie miał

słuszność. Karpow, który dzięki temu mógł uprzedzić kogo należało o grożącym niebezpieczeństwie, został wprost zasypany pochwałami gdy się okazało, że ostrzeżenia były zgodne z rzeczywistością.

Przerwał wspominki i zmusił się do myślenia o bieżącym problemie. Borysow miał słuszność: to sekretarz generalny, tuż pod jego nosem i całkowicie wykluczając KGB od udziału, organizował w Wielkiej Brytanii jakąś osobistą i prywatną operację.

Generał poczuł niebezpieczeństwo: starzec, chociaż tyle lat spędził jako szef KGB, nie był zawodowym wywiadowcą. Być może kariera Karpowa zawiśnie przez to na włosku, ale kluczowe znaczenie miało wykrycie - o co tu właściwie idzie. Ale ostrożnie, bardzo ostrożnie.

Spojrzał na zegarek. Wpół do dwunastej. Przywołał skinieniem swój samochód, wsiadł i pojechał do Moskwy, do domu.

W poniedziałek rano, dziesięć przed dziewiątą, Barry Banks przybył do głównej kwatery SIS.

Sentinel House jest wielkim, kwadratowym i zaskakująco niegustownym budynkiem na południowym brzegu Tamizy, wynajętym przez Radę Miejską Wielkiego Londynu pewnemu ministerstwu: windy działają w nim kapryśnie, a na niższych kondygnacjach z wyłożonych glazurą ścian bez przerwy odpadają płytki, sypiąc się jak ceramiczny łupież.

Banks wylegitymował się przy wejściu i udał się wprost do celu. Szef przyjął

go natychmiast ze zwykłą rubaszną serdecznością, jaką obdarzał ambitnych podwładnych.

- Czy może przypadkiem znasz faceta nazwiskiem John Preston w "piątce"? -

spytał "C".

- Tak, sir. Nie za dobrze, ale widywałem się z nim. Zwykle w barze na Gordon Street, gdy byłem tam przydzielony.

- On kieruje C.-1 (A), prawda Barry?

- Już nie. Został przeniesiony do C.-5 (C). W zeszłym tygodniu.

- Ach, doprawdy? Co za niespodziewane posunięcie. Słyszałem, że w C.-1 (A) bardzo dobrze dawał sobie radę.

Sir Nigel nie czuł potrzeby informowania Banksa, że spotykał się z Prestonem na zebraniach WKW, ani że użył go jako osobistego szperacza w Południowej Afryce.

Banks nic nie wiedział o sprawie Berensona, ani nie musiał wiedzieć. Dlatego Banks gubił się w domysłach, co też Szef może mieć na myśli. O ile mu było wiadomo, Preston nie miał zupełnie do czynienia z "Szóstką".

- Zupełnie niespodziewane. Prawdę powiedziawszy w C.-1 (A) był tylko przez parę tygodni. Aż do Nowego Roku kierował F.-1 (D). Wtedy właśnie musiał zrobić coś, co zaniepokoiło sir Bernarda, a może raczej Briana Harcourt-Smitha. A pierwszego kwietnia znowu go przerzucono.

Aha, pomyślał sir Nigel. Zaniepokoił harcourt-Smitha, doprawdy? To właśnie podejrzewam. Zastanawiające. Głośno zaś powiedział: - A nie wiesz czasem, co takiego zrobił co mogłoby zaniepokoić harcourt-Smitha?

- Coś słyszałem, sir. Od Prestona. Nie mówił tego do mnie wprost, ale na tyle blisko mnie, bym usłyszał. On sam wydawał się zaniepokojony. Z tego co mówił

wynikało, że spędził lata przygotowując raport, który złożył w końcu grudnia. Sądził, że jest wart uwagi, ale Harcourt-Smith polecił go złożyć ad acta.

- Mmm F.-1 (D)... to działalność skrajnej lewicy, prawda? Posłuchaj Barry, chcę żebyś coś dla mnie zrobił. Bez żadnego szumu. Znajdź sygnaturę tego raportu, wydobądź go z archiwum i prześlij mi tajną pocztą, adresując na mnie osobiście.

Zgoda?

Banks znalazł się ponownie na ulicy, podążając na północ w kierunku Charles, tuż przed dziesiątą.

Załoga samolotu Aeroflotu bez pośpiechu jadła śniadanie. O godzinie 9-29

pierwszy oficer Romanow spojrział na zegarek i poszedł do toalety męskiej. Był tam już wcześniej i upewnił się, do której kabiny ma wejść. Druga od końca. Ta ostatnia była już zajęta i drzwi miała zamknięte. Wszedł do sąsiedniej również zamykając drzwi.

O 9:30 na podłodze koło przepierzenia położył małą kartkę, na której nakreślił sześć wcześniej zapamiętanych cyfr. Pod przepierzeniem pojawiła się dłoń, wzięła kartkę, coś na niej napisała i odłożyła z powrotem na miejsce. Romanow ją podniósł. Na odwrocie widniało sześć innych cyfr, na które oczekiwał.

Po tej wzajemnej identyfikacji położył tranzystor na podłodze i ta sama ręka wciągnęła go do sąsiedniej kabiny. Na zewnątrz ktoś korzystał z pisuaru. Romanow spuścił wodę, otworzył drzwi i mył ręce tak długo, póki korzystający z pisuaru nie wyszedł, następnie podążył w ślad za nim. Przy wyjściu z hotelu stał mikrobus do Heathrow. Nikt z załogi nie zauważył, że nie ma już swego "Sony"; myśleli, że niesie go w torbie podróżnej. Przesyłka numer jeden została przekazana.

Tuż przed dwunastą w południe Barry Banks zadzwonił do sir Nigela.

Telefonował przez linię wewnętrzną, zabezpieczoną przed podsłuchem.

- Sir Nigel - powiedział, - zdarzyło się coś dziwnego. Ustaliłem jaką sygnaturę ma ten raport którego pan żąda i poszedłem po niego do archiwum. Archiwistę znam bardzo dobrze. Potwierdził, że znajduje się w dziale "A.a". Ale tam go nie ma.

- Nie ma?

- Nie ma. Został wypożyczony.

- Przez kogo?

- Przez niejakiego Swantona. Znam go. Najdziwniejsze jest to, że Swanton pracuje w dziale finansowym. Więc zapytałem, czy może mi go pożyczyć. I wtedy nastąpiła druga dziwna rzecz. Odmówił, oświadczając, że jeszcze nie skończył go czytać. W archiwum odnotowano, że ma go od trzech tygodni. A przedtem wypożyczano go komuś innemu.

- Babczi klozetowej? - spytał Szeff.

- Prawie. Komuś z administracji.

Nigel zastanawiał się przez chwilę. Najprostszym sposobem wyłączenia dokumentu z obiegu było utrzymywanie go w stanie permanentnego wypożyczenia przez siebie lub przez kogoś z własnych protegowanych. Nie miał wątpliwości, że zarówno Swanton jak ten drugi należeli do młodych ludzi

Harcourt-Smitha.

- Barry, proszę cię o odnalezienie prywatnego adresu Prestona. Następnie przyjdź tu do mnie na piątą.

Tegoż popołudnia generał Karpow siedział przy biurku w Jasieniewie i rozcierał zeszywniały kark. Noc nie przyniosła mu wypoczynku. Przez prawie cały jej czas nie zmrużył oka, leżąc obok śpiącej Ludmiły. O świcie doszedł do wniosków końcowych, a wracanie do nich myślał w chwilach, które wyrywał ze swej codziennej pracy, zupełnie ich nie zmieniało.

Za tajemniczą operacją, montowaną w tej chwili w Wielkiej Brytanii, stał

sekretarz generalny. Ale przecież ten człowiek, pomimo pretensji do biegłego czytania i mówienia po angielsku, zupełnie nie znał tego kraju. Musiał więc opierać się na poradach kogoś, kto go znał. Takich było wielu: w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w Wydziale Zagranicznym KC, w Głównym Zarządzie Wywiadu Wojskowego i w KGB. Ale jeśli wyłączył ze sprawy KGB, czemu miałyby włączyć kogokolwiek z pozostałych?

A więc idzie o osobistego doradcę. Im bardziej zaś Karpow o tym myślał, tym uporczywiej powracało nazwisko jego osobistej "bete noire". Lata temu, jako młody człowiek rozpoczynający wspinaczkę po szczeblach kariery, podziwiał Philby'ego.

Wszyscy to robili. Ale z biegiem lat on szedł w górę, a Philby spadał w dół. Karpow obserwował, jak angielski renegat z czasem zmienia się w zniszczony alkoholem wrak człowieka. Przy czym prawdą było, że od 1951 r. Philby nawet nie powąchał

brytyjskiego tajnego dokumentu (z wyjątkiem tych, które pokazało mu KGB). W 1955

r. wyjechał z Wielkiej Brytanii do Bejrutu i od swej ostatecznej dezercji w 1963 r. nie był nigdy na Zachodzie. Dwadzieścia cztery lata. Karpow oceniał, że obecnie to on lepiej zna Brytanię niż Philby.

Ale to nie wszystko. Generał wiedział, że w okresie swego szefostwa w KGB, na obecnym sekretarzu generalnym, Philby w jakiś sposób zrobił wrażenie: przez swe zachodnioeuropejskie maniere i upodobania, przez pozowanie na angielskiego gentlemana, przez swą niechęć do współczesnego świata z tą całą pop-muzyką, motocyklami i džinsami - a wszystko to było wierną kopią gustów samego sekretarza generalnego. Karpow wiedział z całą pewnością, że sekretarz generalny niekiedy posługiwał się poradami Philby'ego by odrzucać zalecenia Pierwszego Głównego Zarządu. Czemu by nie tym razem?

Wreszcie w materiałach Karpowa znajdowała się informacja, że raz, dosłownie jeden raz, Philby'emu coś się wymknęło, coś niezmiernie interesującego.

Chciał wrócić do swego kraju. Już z tego samego powodu, gdyby nie było innych, Karpow nie miał do niego zaufania. Ani na włos. Przypomniawszy sobie jego pobrużdżoną, uśmiechniętą twarz gdy siedział naprzeciw niego przy stole na noworocznym przyjęciu u Kriuczkowa. Co on wtedy powiedział o Wielkiej Brytanii?

Ze jego departament znacznie przecenia jej stabilność polityczną?

To były kawałki łamigłówek i zaczęły pasować do siebie. Generał zdecydował, że pana Harolda Adriana Russela Philby trzeba sprawdzić. Ale nawet na jego własnym szczeblu wydarzenia były odnotowywane: wypożyczanie dokumentów z archiwum, oficjalne zapytania o informację, rozmowy telefoniczne, notatki służbowe.

Wszystko trzeba będzie przeprowadzić nieoficjalnie, osobiście i nade wszystko tylko ustnie. Sekretarz generalny, gdy się do kogoś zraził, robił się bardzo niebezpieczny.

John Preston przybył wreszcie na ulicę przy której mieszkał i był o sto jardów od bramy swej kamienicy, gdy usłyszał pozdrowienie. Odwróciwszy się ujrzał

Barry'ego Banksa, który przechodził przez jezdnię w jego kierunku.

- Cześć, Barry, góra z górą. Co tu robisz?

Preston wiedział, że pracownik K-7 mieszka daleko na północy, w rejonie Highgate. Może wybierał się na koncert do pobliskiego Albert Hallu.

- Prawdę powiedziawszy czekam na ciebie - odrzekł Banks z przyjacielskim uśmiechem. - Posłuchaj, mój kolega chciałby się z tobą zobaczyć. Zgoda?

Preston odczuł zaciekawienie, ale bez podejrzeń. Wiedział, że Banks reprezentuje "szóstkę", ale nie miał pojęcia kto mógłby chcieć się z nim spotkać.

Pozwolił Banksowi poprowadzić się na drugą stronę, a potem jeszcze sto jardów wzdłuż ulicy. Przy zaparkowanym fordzie granada Banks zatrzymał się, otworzył

tylne drzwi i gestem zaprosił Prestona by spojrzał, kto tam siedzi.

- Dobry wieczór, John. Czy możemy zamienić parę słów?

Zdumiony Preston usiadł w samochodzie obok człowieka ubranego w zimowe palto. Banks zamknął drzwiczki i odszedł.

- Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że jesteś zaskoczony taką formą spotkania, ale nie chciałem robić niepotrzebnego szumu. Doszedłem do wniosku, że nie miałem dotąd okazji, by ci należycie podziękować za zadanie wykonane w Południowej Afryce. To była pierwszorzędna robota. Zrobiła duże wrażenie na Henrym Pienaarze.

Na mnie też.

- Dziękuję, sir Nigel.

Czegóż ten chytry, stary lis od niego chce? Na pewno nie tylko podziękować.

Ale "C" zamyślił się głęboko.

- Tak, jest jeszcze coś - powiedział wreszcie, jakby głośno myśląc. - Młody Barry powiedział mi, że w końcu grudnia złożyłeś wysoce interesujący raport o skrajnej lewicy w naszym kraju. Być może się mylę, ale niektóre działania mogą mieć aspekt międzynarodowy, jeśli rozumiesz co mam na myśli. Idzie o to, że twój raport nie dotarł do naszej firmy. A to szkoda.

- Został zakwalifikowany do "A.a." - powiedział szybko Preston.

- Tak, tak, Barry też mi to zakomunikował. Doprawdy szkoda. Chciałbym na niego zerknąć. Czy jest możliwe by dostać egzemplarz?

- Jest w archiwum - odparł zaskoczony Preston. - To, że został

zakwalifikowany "A.a." nie znaczy przecież, że nie znajduje się w aktach. Wystarczy, że Barry go wypożyczy i prześle tajną pocztą.

- Właśnie, że nie - odrzekł Sir Nigel. - Już został wypożyczony. Przez Swantona. A on jeszcze nie skończył go czytać. Nie chce oddać.

- Ależ on jest z finansowego - zdumiał się Preston.

- Tak - mruknął z żalem. - A przedtem był u kogoś z administracyjnego.

Można prawie pomyśleć, że ktoś stara się, by nie był dostępny.

Prestona zamurowało. Przez przednią szybę widział jak Banks wlecze się po ulicy.

- Jest jeszcze jeden egzemplarz - powiedział. - Mój własny. Mam go w swojej kasie pancерnej.

Banks odwiózł ich na miejsce. W szczyt wieczornym ledwie pełzli z Kensington na Gordon Street. W godzinę później Preston wsadził głowę do granady przez okno i wręczył swój egzemplarz raportu sir Nigelowi.

14

Generał Jewgienij Karpow wszedł wolno po schodach na trzecie piętro bloku przy Prospekcie Miru. Minął ostatnie stopnie, podszedł do drzwi jednego z mieszkań i nacisnął dzwonek. Po kilku minutach drzwi otworzyły się. Stała w nich żona Philby'ego. Z mieszkania dochodziły głosy chłopców, siedzących przy podwieczorku.

Wybrał na swoją wizytę godzinę szóstą po południu, ponieważ spodziewał się, że chłopcy będą już o tej porze w domu - po powrocie ze szkoły.

- Witaj, Erito.

Kobieta odchyliła lekko głowę do tyłu, ledwo dostrzegalnym, ale zdecydowanym gestem niechęci i

rezerwy wobec gościa. Była zawsze gotowa chronić swego męża przed niepożądanymi wizytami. Może wiedziała, że Karpow nie należy do jego zwolenników.

- Towarzyszu generał...

- Czy Kim jest w domu?

- Nie, wyjechał.

- A więc "wyjechał", nie "wyszedł" pomyślał Karpow. Udał zdziwienie. - Och, miałem nadzieję, że uda mi się go jeszcze złapać. Nie wiesz, kiedy wróci?

- Nie. Będę wiedziała dopiero wtedy, kiedy wróci.

- Może wiesz, jak mógłbym się z nim skontaktować?

- Nie.

Karpow zmarszczył brwi. Przypomniał sobie coś, co Philby powiedział wtedy, na tamtym przyjęciu u Kriuczkowa..., że od czasu kiedy miał wylew nie wolno mu prowadzić samochodu. Generał sprawdził już wcześniej, że w podziemnym garażu bloku stoi wołga Philby'ego.

- Wydawało mi się, Erito, że ostatnio ty sama musisz go wszędzie wozić.

Na jej twarzy pojawił się półuśmiech. Nie był to z pewnością wyraz twarzy kobiety, którą mąż porzucił. Raczej pełen zadowolenia uśmiech żony, dumnej z tego, że jej mąż otrzymał awans.

- Już teraz nie. Ma kierowcę.

- To wspaniale. No cóż, przykro mi, że się z nim rozminąłem. Będę próbował

złapać go, kiedy wróci.

Schodząc po schodach, intensywnie myślał nad tym, co usłyszał.

Pułkownikom w stanie spoczynku nie przysługiwał osobisty kierowca. Powróciwszy do swojego mieszkania, znajdującego się o dwie przecznice za hotelem "Ukraina", zadzwonił do bazy KGB i zażądał przywołania do telefonu dyżurnego dyspozytora.

Kiedy się przedstawił, reakcja jego rozmówcy, tak jak się spodziewał, była pełna służbistego szacunku. Miał zamiar to wykorzystać.

- Nie mam zwyczaju rozdawać goździków całymi bukietami, ale za dobrą robotę należy się wam pochwała.

- Dziękuję, towarzyszu generale.

- Chodzi o tego szofera, który wozi mojego przyjaciela, towarzysza pułkownika Philby'ego. Pułkownik wyraża się o nim bardzo dobrze. Powiada, że spisuje się znakomicie. Jeśli mój kiedyś zachoruje, proszę mi właśnie tego szofera przysłać na zastępstwo.

- Dziękuję raz jeszcze, towarzyszu generale. Osobiście powtórzę to kierowcy Gregoriewowi.

Karpow odłożył słuchawkę. Kierowca Gregoriew. Nigdy o nim nie słyszał.

Jednak poufna rozmowa z tym człowiekiem mogła okazać się pożyteczna.

Następnego dnia rano, 8 kwietnia, "Akademik Komarow" minął Greenock i płynął dalej, w górę rzeki Clyde, w kierunku portu w Glasgow. Przedtem statek zatrzymał się na krótko w Greenock, żeby przyjąć na pokład pilota i dwóch celników.

Wypili w kabinie kapitana zwyczajową szklaneczkę i upewnili się, że jednostka płynie pod balastem z Leningradu po ładunek wysoko wydajnych pomp zamówionych w firmie Weir of Cathcart. Celnicy zapoznali się z listą załogi, ale nie zapamiętali żadnego konkretnego nazwiska. Później okaże się, że marynarz Konstantin Siemionow znajdował się na tej liście.

Zgodnie z rutynową praktyką, przyjętą w przypadku nielegalnego przetrzucania radzieckich agentów statkami do innych krajów, nie figurują oni najczęściej w ogóle na liście załogi. Przybywają schowani, często zgięci lub skuleni maksymalnie w specjalnych, maleńkich schowkach lub przedziałach ładowni, tak sprytnie wbudowanych w konstrukcję statku i tak dobrze ukrytych, że nawet najlepsza czarna brygada celników ich nie znajdzie. W takich przypadkach, jeśli z przyczyn operacyjnych, lub innych, zupełnie przypadkowych powodów, agentowi nie uda się zdażyć na ten sam statek, na liście załogi nikogo nie brakuje. Tym razem jednak, operacja była przygotowywana pośpiesznie i zabrakło czasu na dokonanie odpowiednich zabiegów konstrukcyjnych.

Nadetatowy członek załogi przybył wraz z kilkoma innymi ludźmi z Moskwy zaledwie na kilka godzin przed wyjściem "Komarowa" z portu w dawno zaplanowany rejs towarowy do Glasgow i kapitan oraz jego zastępca do spraw politycznych i jednocześnie rezydent służb specjalnych na statku nie mieli innego wyjścia, jak tylko wciągnąć Siemionowa na listę załogi. Jego książeczka żeglarska była w porządku, a kapitana i jego zastępcę zapewniono, że "pasażer" będzie z nimi wracał.

Niemniej jednak Siemionow zajął sam całą dwuosobową kabinę i pozostawał

w niej przez cały rejs, a dwaj autentyczni marynarze, do których należała, mieli już serdecznie dość spania w śpiworach na podłodze salonu oficerskiego. Śpiwory oczywiście uprzątnięto stamtąd, nim szkocki pilot znalazł się na pokładzie. Drugi kurier czekał pełen napięcia na dole, w swojej kabinie na nadejście północy.

Podczas gdy pilot, prowadzący statki po rzece Clyde, stał na mostku

"Komarowa" przeżuwając poranne kanapki, a wzdłuż obu burt przesuwały się pola Strathclyde, w Moskwie było już południe.

Karpow ponownie zadzwonił do bazy samochodowej KGB. Dyżur pełnił tam teraz już inny

dyspozytor. Generał wiedział o tym doskonale.

- Wygląda na to, że mój kierowca ma początki grypy - oznajmił. - Dzisiaj jeszcze ze mną pojeździ, ale na jutro daję mu wolny dzień.

- Dopilnuję, żeby towarzysz generał miał kogoś na zastępstwo.

- Chciałbym, żeby to był kierowca Gregoriew. Czy jest wolny? Słyszałem o nim jak najlepsze opinie.

Rozległ się szelest papieru. Dyspozytor sprawdzał coś w swoich wykazach.

- Tak, owszem. Był oddelegowany, ale mam go już z powrotem w bazie.

- Dobrze. Niech więc jutro o ósmej rano zgłosi się do mojego moskiewskiego mieszkania. Będę miał kluczyki u siebie, a czajka będzie zaparkowana w podziemnym garażu pod moim domem.

To staje się coraz dziwniejsze, pomyślał, odłożywszy słuchawkę.

Gregoriewowi polecono jeździć przez jakiś czas z Philbym. Dlaczego? Czy dlatego, że trzeba było zbyt dużo lub zbyt daleko z nim jeździć, żeby to mogła zapewnić sama Erita? A może chodziło o to, żeby nie wiedziała, dokąd udawał się mąż? Teraz zaś przydzielony mu kierowca wrócił do dyspozycji dyżurnego bazy samochodowej. Co to oznaczało? Prawdopodobnie Philby przebywał gdzie indziej i nie potrzebował na razie kierowcy, przynajmniej do czasu zakończenia operacji, w której brał obecnie udział, niezależnie od tego, na czym ona polegała.

Tego wieczora, Karpow oznajmił swemu stałemu kierowcy (co ten przyjął z wdzięcznością), że następnego dnia ma wolne i może gdzieś wyjechać z rodziną.

Tego samego, środowego wieczora, Nigel Irvine umówił się na wieczorne spotkanie i kolację z pewnym swoim przyjacielem z Oxfordu.

Jedną ze specyficznych cech, dodających aury niezwyklej tajemniczości i uroku College'owi Św. Antoniego Uniwersytetu w Oxfordzie podobnie jak wielu innym wysoce wpływowym instytucjom brytyjskim, jest to, że oficjalnie dla przeciętnych obywateli właściwie prawie go... nie ma.

A jednak naprawdę istnieje, ale jest tak mały i zakamuflowany, że bardzo łatwo całkowicie przeoczyć jego istnienie, którego się nie eksponuje. Nie wiedzą o nim nawet niektórzy znawcy brytyjskich ośrodków akademickich. Budynek, w którym się mieści, jest mały, elegancki i ukryty przed ludzkim wzrokiem. Nie prowadzi się w nim wykładów. Nie kształci studentów. Nie ma tu magistrantów, a więc i magistrów.

Nie nadaje się też żadnych stopni naukowych. Pracuje paru stałych profesorów i docentów, którzy czasem jadają wspólnie posiłki w sali głównej, ale mieszkają w kwaterach rozrzuconych po mieście. Inni pracownicy naukowci tej placówki mieszkają zupełnie gdzie indziej i po prostu bywają tu tylko gościnnie. Czasami College zaprasza także uczonych z zewnątrz - jest to wyjątkowy zaszczyt - do wystąpienia przed tutejszymi pracownikami naukowymi. Ci zaś od czasu do czasu przygotowują i przedkładają swoje opracowania przedstawicielom najwyższych kręgów brytyjskich decydentów

politycznych, którzy te raporty traktują niezwykle poważnie. Fundusze na działalność college'u są przekazywane w sposób równie dyskretny i tajemniczy, jak wszystko, co jest z nim związane.

Tego wieczoru, sir Nigel jadł kolację w sali głównej w towarzystwie swego gospodarza, profesora Jeremy'ego Sweetinga. Po sutym posiłku, profesor zabrał go do swej posiadłości na przedmieściach Oxfordu, na szklaneczkę portweinu i kawę.

- A teraz, Irvine - zaczął profesor Sweeting, gdy usiedli swobodnie przed kominkiem w gabinecie, z butelką Taylora z dobrego rocznika - wyjaśnij, mój drogi, czym mogę ci służyć?

- Powiedz mi, Jeremy - czy nie słyszałeś może przypadkiem o czymś co nazywa się MBR?

Trzymana przez Sweetinga w ręku szklanka portweinu zawisła w powietrzu.

Profesor przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę w milczeniu. Potem odezwał się.

- Wiesz, naprawdę potrafisz w wyjątkowy sposób popsuć człowiekowi miły wieczór, jak się tylko trochę postarasz. Skąd znasz ten skrót?

Zamiast odpowiedzi, Irvine podsunął Sweetingowi raport Prestona. Profesor przeczytał go uważnie, co zabrało mu prawie godzinę. Irvine wiedział, że Sweeting nie jest praktykiem jak John Preston i że rzadko zniża się do całkowitego zstępowania na ziemię. Dysponował jednak encyklopedyczną wiedzą z zakresu teorii i praktyki marksizmu, materializmu dialektycznego oraz nauk Lenina dotyczących zastosowania tych teorii w praktyce zdobywania władzy i walki o nią. Życiowym celem i pasją profesora było czytanie, studiowanie, kojarzenie i analizowanie.

- Nadzwyczajne - powiedział Sweeting zwracając gościowi przeczytany raport.

- Zupełnie różne podejście i oczywiście różna postawa oraz całkowicie odmienna metodologia. Ale, co najbardziej zadziwiające, doszliśmy do tych samych wniosków.

- A czy zechciałbyś może mi łaskawie wytłumaczyć do czego się sprowadzają te wasze wnioski? - spytał miękko sir Nigel.

- To oczywiście tylko teoria - zastrzegł się na wstępie profesor. - Tysiące źdźbeł skoszonej trawy na wietrze, które mogą, ale nie muszą stać się jedną stertą siana. W każdym razie zajmuję się tym od czerwca 1983 roku...

Mówił przez dwie godziny, a kiedy sir Nigel prawie nad ranem odjechał z powrotem do Londynu, pozostawił profesora w głębokiej zadumie.

“Akademik Komarow” stał przycumowany do Nabrzeża Finnieston w samym sercu Glasgow, tak, by olbrzymi żuraw z nadbrzeża mógł rano załadować pompy na jego pokład. W samym porcie nie ma już kontroli paszportowej ani celnej; marynarze z obcych statków po prostu schodzą na ląd przez otwarte nabrzeże, prosto na ulice Glasgow.

O północy, kiedy profesor Sweeting wciąż jeszcze mówił, “marynarz” Siemionow zszedł po trapie,

przeszedł sto metrów wzdłuż nabrzeża, omijając starannie Betty's Bar, przed którego zamkniętymi drzwiami paru pijanych wilków morskich usiłowało protestować, żądając jeszcze jednego drinka, i skręcił w ulicę Finnieston.

Nie rzucał się w oczy; nosił zdarte buty, sztruksowe spodnie, sweter z golfem i skafander. Pod pachą miał worek żeglarski ściągnięty sznurkiem. Przeszedł pod autostradą Clydeside i dotarł do ulicy Argyle, gdzie skręcił w lewo i szedł dalej aż do Patrick Cross. Nie posługiwał się przy tym planem miasta. Później szedł prosto wzdłuż Hyndland Road. Nieco ponad kilometr dalej, dotarł do kolejnej głównej ulicy

- Great Western Road. Swoją trasę zapamiętał szczegółowo wiele dni wcześniej.

Tu spojrzął na zegarek; stwierdził, że ma jeszcze pół godziny, a miejsce spotkania leżało nie dalej niż o dziesięć minut drogi. Skręcił więc w lewo i ruszył w kierunku hotelu Pond, przeszedł obok sztucznego jeziora dla wioślarzy i pięćdziesiąt jardów za stacją benzynową, której światła widział w oddali. Znalazł się już niemal na przystanku autobusowym u zbiegu ulic Great Western i Hunghenden, kiedy ich zobaczył. Usadowili się pod daszkiem przystanku. Było ich pięciu. Dochodziło wpół

do drugiej w nocy.

W innych regionach Wielkiej Brytanii nazywają ich punkami lub skinheadami, ale w Glasgow noszą nazwę Nedów. Pomyślał, że powinien chyba przejść na drugą stronę ulicy, ale było już za późno. Jeden z nich zawołał coś do niego. A potem wszyscy razem wyłonili się spod daszka. Siemionow znał trochę angielski, lecz ich szkocki akcent, połączony ze zniekształconą alkoholem wymową, był dlań zupełnie niezrozumiały. Zatarasowali chodnik, więc zszedł na jezdnię. Jeden chwycił go za ramię i coś krzyknął. Gdyby Siemionow go zrozumiał, wiedziałby, że łobuz chce znać zawartość worka.

Nie rozumiał jednak, potrząsnął więc tylko bez słowa głową i próbował ich wyminąć. Wówczas rzucili się na niego i zasypali gradem ciosów. Kiedy znalazł się w rynsztoku, zaczęli go kopać. Niejasno czuł, że chcą się dostać do jego worka, przycisnął go więc do brzucha obiema rękami i przetoczył się na bok, przyjmując uderzenia na głowę i nerki.

Nad skrzyżowaniem, na którym to się działo znajduje się Devonshire Terrace, ulica z rzędem solidnych, czteropiętrowych domów dla przedstawicieli klasy średniej, z elewacjami z płowego i szarego piaskowca. Na górnym piętrze jednego z tych domów nie mogła zasnąć pani Sylvester. Stara i owdowiała. Samotna i cierpiąca na artretyzm. Usłyszała krzyki dobiegające z ulicy i pokuśtykała do okna. To co zobaczyła, sprawiło, że z nie mniejszym trudem podeszła do telefonu, nakręciła 999 i połączyła się z policją. Powiedziała dyżurnemu policjantowi, na jakie skrzyżowanie ma wysłać wóz patrolowy. Potem jednak, gdy zapytano ją o nazwisko i adres, odłożyła słuchawkę. Szacowni ludzie, a wszyscy mieszkańcy Devonshire Terrace są niezwykle szacowni, nie lubią być w nic zamieszani.

Policjanci, Alistair Craig i Hugh McBain, siedzieli w wozie patrolowym o kilometr od owego skrzyżowania, gdy odebrali komunikat. Ruchu ulicznego prawie wcale nie było, więc dotarli do przystanku w dziewięćdziesiąt sekund. Nedzi zobaczyli światła alarmowe i usłyszeli syrenę. Zaprzestali prób wyrwania swej ofierze żeglarskiego worka i rzucili się do ucieczki w poprzek

trawiastego zbocza, oddzielającego ulicę Hugheneden od Great Western, tak by wóz policyjny nie mógł

ich ścigać. Nim policjant Craig zdążył wyskoczyć z samochodu, po chuliganach nie było już ani śladu, toteż pościg za nimi nie miał żadnego sensu. W każdym razie najpierw należało zająć się ofiarą napadu.

Craig pochylił się nad mężczyzną, który leżał skulony w embrionalnej pozycji i nieprzytomny.

- Karetka pogotowia, Hughie - zawołał do policjanta McBaina, który już zdążył włączyć radio. Ambulans nadjechał sześć minut później ze szpitala Western Infirmary. Do tego czasu, obaj policjanci, zgodnie z obowiązującą procedurą, pozostawili rannego mężczyznę samemu sobie. Okryli go tylko kocem.

Sanitariusze przenieśli bezwładne ciało na wózek noszowy, który wsunęli z tyłu karetki. Craig podniósł worek, wrzucił do pojazdu.

- Ty jedź z nim, a ja pojedę za wami - krzyknął McBain, więc Craig wszedł do karetki. Dotarli na oddział chirurgii urazowej w ciągu niecałych pięciu minut.

Sanitariusze szybko wtoczyli wózek z rannym przez wahadłowe drzwi na korytarz, minęli dwa zakręty i znaleźli się na urazówce. Ponieważ był to nagły wypadek, nie musieli jechać najpierw do izby przyjęć, gdzie zwykły zestaw nocnych pijaków pielęgnował i opatrywał swoje rany cięte i tłuczone, nabyte podczas wcześniejszych kontaktów z różnymi twardymi przedmiotami.

Craig czekał przy wejściu do szpitala, aż McBain zaparkuje samochód.

- Ty, Hughie, wypełnij papierki, a ja pójde poszukać faceta i sprawdzić jego nazwisko i adres.

McBain westchnął. Wypełnianie formularzy przyjęcia trwało godzinami. Craig wziął żeglarski worek i poszedł w ślad za wózkiem na urazówkę. Ten oddział w szpitalu Western Infirmary składa się z długiego korytarza, zakończonego po obu końcach wahadłowymi drzwiami oraz z dwunastu separatek z białymi zasłonami zamiast drzwi, po sześć z każdej strony korytarza. Jedenaście z tych pomieszczeń służy do badania przywożonych tu chorych, a dwunasty jest gabinetem pielęgniarki oddziałowej i znajduje się najbliżej tylnych drzwi, przez które wprowadza się wózki.

W prowadzących z przeciwnej strony drzwiach znajdują się jednostronne lustra.

Łączą one korytarz z poczekalnią, gdzie mogący się poruszać ranni oczekują na swoją kolej.

Pozostawiwszy McBaina przy rejestracji ze stosem formularzy przyjęcia do wypełnienia, Craig wszedł przez lustrzane drzwi i ujrzał wózek z nieprzytomnym mężczyzną na drugim końcu korytarza. Pielęgniarka oddziałowa dokonała pierwszych, rutynowych, pobieżnych oględzin. Stwierdziła, że mężczyzna jeszcze żyje i poleciła sanitariuszom ułożyć rannego na kozetce w jednym z pomieszczeń do badań, żeby wózek z noszami mógł wrócić do karetki. Pielęgniarze wnieśli rannego do boksu naprzeciwko gabinetu pielęgniarki.

Wezwano lekarza dyżurnego - Hindusa, nazwiskiem Mehta. Ten polecił

pielęgniarkom rozebrać rannego do połowy - nie widział bowiem żadnych śladów krwi na spodniach - i przebadał go dokładniej, po czym polecił zrobić mu prześwietlenie. Następnie zajął się kolejnym przywiezionym na dyżur nagłym przypadkiem - ofiarą wypadku samochodowego.

Pielęgniarka oddziałowa zadzwoniła do rentgena, ale był akurat zajęty.

Zapewniono, że zawiadomią ją kiedy tylko będzie wolny. Nastawiła sobie czajnik z wodą na herbatę. Policjant Craig, upewniwszy się, że jego anonimowy poszkodowany nadal leży nieprzytomny po drugiej stronie korytarza, wziął do ręki jego skafander, wszedł do gabinetu siostry oddziałowej i położył go oraz worek żeglarski na stole.

- Siostrzyczko, czy znajdzie się jeszcze dodatkowa filiżanka tego naparu dla mnie? - zapytał z tą szczególną, żartobliwą poufałością ludzi, którzy spędzają długie godziny na swej nocnej pracy, związanej z uprzątnięciem różnych brudów wielkiego miasta.

- Może by się i znalazła - odparła pielęgniarka - ale nie wiem, czemu miałabym ją marnować dla kogoś takiego.

Craig wyszczerzył zęby w uśmiechu. Przeszukał kieszenie skafandra i wydobyl z nich książeczkę żeglarską. Zdjęcie w książeczce przedstawiało człowieka leżącego w pokoju do badań po drugiej stronie przejścia, a tekst był dwujęzyczny -

rosyjski i francuski. Craig nie znał żadnego z nich. Cyrylicy nie potrafił odcyfrować, ale nazwisko marynarza wypisane było tam również alfabetem łacińskim, we francuskiej części.

- Kim jest ten facet? - zapytała pielęgniarka przygotowując dwie filiżanki herbaty.

- Wygląda na marynarza i do tego jeszcze rosyjskiego - odparł Craig zaniepokojony. Mieszkaniec Glasgow pobity przez bandę Nedów, to zupełnie inna sprawa, niż obcokrajowiec i to jeszcze Rosjanin. Mogą być problemy. Aby przekonać się z jakiego statku mógł pochodzić marynarz, Craig opróżnił worek żeglarski.

W środku znajdował się zwykły zrolowany sweter owinięty wokół okrągłej puszeki na tytoń z odkręconym wieczkiem. Wewnątrz puszeki nie było tytoniu, lecz wata otulająca dwa aluminiowe krążki, między którymi znajdował się inny, mniejszy krążek o średnicy dwóch cali, wykonany z jakiegoś matowego, szarego metalu. Craig przyjrzał się trzem krążkom bez większego zainteresowania, ponownie umieścił je w wacie, zakręcił wieczko i położył puszkę obok książeczki żeglarskiej. Nie wiedział, że człowiek, który padł ofiarą napadu, przyszedł już do siebie i przypatruje mu się teraz uważnie spoza zasłony na drzwiach do gabinetu pielęgniarki. Wiedział jednak, że nadszedł już czas, żeby połączyć się z komisariatem i zameldować o rannym Rosjaninie.

- Mogę skorzystać z tego telefonu, kotku? - zapytał pielęgniarki, sięgając po słuchawkę.

- Nie jestem dla ciebie żadnym "kotkiem" - odcięła się siostra, która była tylko odrobinę starsza niż dwudziestoczteroletni policjant. - Boże, coraz większe dzieciaki biorą do policji.

Craig zaczął wykręcać numer. Co działo się w tym czasie w głowie Konstantina Siemionowa, tego się już nigdy nie dowiemy. Oszołomiony i przerażony, prawdopodobnie po doznanych wstrząsie mózgu, widział z pewnością charakterystyczny, czarny mundur brytyjskiego policjanta, odwróconego teraz plecami do korytarza. Widział też własną książeczkę żeglarską oraz ładunek, który miał

dostarczyć do Wielkiej Brytanii i przekazać agentowi koło sztucznego jeziora, leżące na stole w zasięgu dłoni policjanta. Obserwował też zapewne, jak Craig ogląda przesyłkę - on sam nigdy nie odważył się otworzyć puszki - a potem telefonuje.

Prawdopodobnie w wyobraźni zobaczył trwające bez końca przesłuchanie trzeciego stopnia, gdzieś w kazamatach komisariatu policji w Glasgow...

Policjant Craig poczuł nagle, że ktoś odpycha go gwałtownie na bok, co go zupełnie zaskoczyło. Następnie dostrzegł czyjąś wyciągniętą naga rękę, sięgającą i chwytającą puszkę. Zareagował błyskawicznie, rzucając słuchawkę i chwytając napastnika za dłoń.

- Co, u diabła, człowieku... - zawołał, a potem, myśląc, że biedak jest w szoku i ma halucynacje, chwycił Rosjanina i starał się go obezwładnić. Wytracona puszka potoczyła się po podłodze. Przez chwilę Siemionow wlepił wzrok w szkockiego policjanta, a potem, ogarnięty paniką, rzucił się do ucieczki.

- Człowieku, wracaj! - Craig popędził za nim korytarzem.

Shortie Patterson był pijakiem. Tryb jego życia, które poświęcił głównie na degustację produktów miejscowych gorzelni, sprawił, że Shortie był bezrobotny i nie nadawał się do zatrudnienia. Nie był wszakże jakimś zwykłym pijakiem. Stan zamroczenia alkoholowego podniósł do rangi swoistej sztuki. Poprzedniego dnia zainkasował zasilek, po czym natychmiast skierował się ku najbliższej knajpie, gdzie do północy osiągnął stan absolutnego odrętwienia. Nad ranem wszedł w konflikt ze słupem latarni, który nie zechciał pozytywnie zareagować na nalegania Shortiego o pożyczanie paru groszy na kielicha, co tak go zdenerwowało, że postanowił mu przyłożyć za obraźliwe zachowanie.

Właśnie po zrobieniu rentgena złamanej ręki wracał korytarzem do swego boksu na oddziale chirurgii urazowej, kiedy z sąsiedniego pomieszczenia wypadł

mężczyzna z nagą, posiniaczoną piersią i pokrwawioną twarzą, ścigany przez policjanta. Shortie wiedział, co było jego obowiązkiem wobec towarzysza niedoli.

Sam nie kochał w żadnym razie policjantów, którzy wyraźnie chyba nie mieli nic lepszego do roboty, niż wygarnianie go z przytulnych rynsztoków oraz przekazywanie ludziom, którzy kazali mu się kąpać. Gdy uciekający przebiegł, Shorty wysunął stopę.

- Ty głupi łobuzie! - wrzasnął Craig padając na ziemię. Nim zdołał się podnieść, Rosjanin miał już nad nim ponad dziesięciometrową przewagę.

Siemionow wpadł przez lustrzane drzwi do poczekalni. Nie zauważył

znajdujących się po lewej stronie wąskich drzwi, prowadzących na zewnątrz. Wypadł

z niej przez większe, dwuskrzydłowe z prawej strony. W ten sposób znalazł się na korytarzu dla wózków noszowych, którym go wieziono trzydzieści minut wcześniej.

Znowu skręcił w prawo, ale stwierdził, że drogę blokuje mu zbliżający się wózek w otoczeniu lekarza i dwóch pielęgniarek, podtrzymujących butelki z plazmą. Była to wspomniana już ofiara wypadku drogowego. Wózek tarasował cały korytarz, z tyłu zaś dobiegał tupot butów ścigającego policjanta.

Po lewej stronie znajdował się kwadratowy podest z dwojgiem drzwi do windy; jedne właśnie się zamykały, a wewnątrz windy nie było nikogo. Uciekający zdołał się jeszcze precyzyjnie do środka, a gdy kabina ruszyła w górę, usłyszał bezsilne łomotanie policjanta w drzwi. Oparł się plecami o ścianę i przymknął oczy, przybity pasmem nieszczęść, które go spotkały.

Policjant Craig pobiegł schodami. Na każdym podeście sprawdzał światelka nad drzwiami, ale winda nadal jechała w górę. Po przebiegnięciu kilku pięter, Craig był już spocony, wściekły i kompletnie bez tchu.

Siemionow wysiadł na dziesiątym piętrze. Zajrzał przez jedno drzwi, ale prowadziły one na salę pełną śpiących pacjentów. Na podeście były jeszcze drugie, otwarte na klatkę schodową. Pobiegł na górę i znalazł się w kolejnym korytarzu, gdzie znajdowały się jedynie prysznice, spiżarnia i magazyny. Na drugim końcu były ostatnie drzwi, których nie zamknięto w tę ciepłą, wilgotną noc. Prowadziły na płaski dach budynku.

Policjant Craig został nieco w tyle, ale ostatecznie dotarł do drzwi i wyszedł

na dach, wdychając nocne powietrze. Mrużąc oczy, by lepiej widzieć w ciemności, dostrzegł postać mężczyzny, stojącego przy północnej krawędzi dachu. Gniew Craiga gdzieś się ulotnił. Sam bym się pewnie wystraszył, gdybym się obudził w moskiewskim szpitalu, pomyślał. Ruszył w kierunku mężczyzny, wysuwając przed siebie dłonie, by pokazać, że są puste.

- No chodź, Iwan, czy jak ci tam. Nic ci się nie stanie. Dostałeś w łeb i tyle.

Chodź, zjedziemy stąd na dół.

Już dobrze widział w mroku. Twarz Rosjanina była całkiem wyraźna w blasku miasta padającym z dołu. Siemionow przyglądał się zbliżającemu policjantowi tak długo, aż ten był zaledwie o pięć metrów od niego. Wówczas spojrzał w dół. Wziął

głęboki oddech. Zamknął oczy i skoczył.

Policjant Craig jeszcze przez kilkanaście sekund nie mógł uwierzyć własnym oczom, nawet wówczas, gdy usłyszał głucho uderzenie ciała o nawierzchnię parkingu dla personelu szpitala, trzydzieści metrów poniżej.

- Chryste Panie - westchnął - ale się porobiło.

Drżącymi palcami sięgnął po radiotelefon i połączył się z komisariatem.

Sto metrów za stacją benzynową, niemal o kilometr od przystanku autobusowego znajduje się sztuczne jezioro w cieniu Pond Hotel. Z chodnika kamienne schodki prowadzą do alejki wokół jeziora, a tuż przy nich stoją dwie drewniane ławki.

Milczący mężczyzna w czarnym motocyklowym kombinezonie spojrzął na zegarek. Trzecia; spotkanie było umówione na drugą. Dozwolone było najwyżej godzinne spóźnienie. Pozostawało jeszcze drugie, zapasowe miejsce spotkania: w innej okolicy, dwadzieścia cztery godziny później. Jeśli jego kontakt się i tam nie pojawi, trzeba będzie znowu użyć radia. Mężczyzna wstał i odszedł.

Policjant Hugh McBain nie stał przy rejestracji, kiedy uciekinier przebiegał

przez poczekalnię urazówki. Siedział wtedy akurat w samochodzie, sprawdzając dokładnie godzinę o której nadeszła informacja o napadzie. Kiedy wrócił do poczekalni, spostrzegł swego "sąsiada" (tak w Glasgow policjanci nazywają kolegę z tego samego wozu), jak schodzi blady i wstrząśnięty.

- Alistair, masz już wreszcie to nazwisko i adres? - zawołał McBain.

- To jest... to był... rosyjski marynarz - odparł Craig.

- Och, do diabła, tego jeszcze nam było potrzeba. Jak się to pisze?

- Hughie, on po prostu... rzucił się w dół z dachu.

McBain odłożył pióro i z niedowierzaniem spojrzął na swego "sąsiada".

Potem górę wzięły odruchowe reakcje wynikające z dobrego wyszkolenia. Każdy policjant wie, że kiedy coś się stanie, najlepiej działać na pewniaka: postępować ściśle według regulaminu, żadnych kowbojskich numerów, żadnych przemądrzałych własnych posunięć.

- Zawiadomiłeś komisariat? - zapytał.

- Tak, już ktoś tu jedzie.

- Chodźmy sprowadzić lekarza.

Znaleźli dr Mehtë, który ledwie trzymał się na nogach po całonocnym dyżurze.

Poszedł za nimi na parking. Za ledwie dwie minuty zajęło mu badanie roztrzaskanych, skrwawionych zwłok. Stwierdził zgon i nie mając tu już nic do roboty, powrócił do swoich obowiązków. Dwóch portierów przykryło zwłoki kocem, a trzydzieści minut później ambulans zabrał to co z nich zostało do kostnicy na placu Jocelyn, nie opodal Rynku Solnego. Tam inni zajmą się usunięciem ze zwłok pozostałych części garderoby: obuwia, skarpetek, paska, spodni, bielizny i zegarka, a wszystko musiało być włożone do osobnych torebek i oznakowane, by łatwo je można było później odnaleźć.

W szpitalu trzeba było wypełnić jeszcze kolejne formularze (tamte z izby przyjęć, zatrzymano jako

materiał dowodowy, choć teraz już nie były przydatne do niczego), a potem obaj policjanci zapakowali w worki i opisali resztę rzeczy należących do zmarłego. Lista wyglądała tak: skafander - 1, pulower z golfem - 1, płócienny worek żeglarski - 1, sweter (zwinięty) - 1, oraz okrągła puszka od tytoniu -

1.

Nim skończyli, około piętnastu minut po pierwszym wezwaniu Craiga zjawili się inspektor i sierżant z komisariatu, obaj w mundurach, i poprosili o udostępnienie jakiegoś pomieszczenia. Wskazano im pusty gabinet administratora szpitala, w którym spisali zeznania obu policjantów. Po dziesięciu minutach inspektor wysłał

sierżanta do samochodu, aby ten zawiadomił dyżurnego nadinspektora. Była godzina czwarta rano we czwartek, 9 kwietnia, w Moskwie zegary wskazywały już ósmą.

Generał Jewgienij Karpow odczekał, aż znaleźli się poza głównymi ulicami południowej Moskwy, na drodze do Jasieniewa, i dopiero wówczas rozpoczął

rozmowę z szoferem Gregoriewem. Trzydziestoletni kierowca wyraźnie orientował

się, że został osobiście wyróżniony przez generała, więc starał mu się maksymalnie przypodobać.

- Jak wam się podoba praca u nas, Gregoriew?

- Bardzo, towarzyszu generale.

- Można się trochę oderwać, co? Lepsze to, niż tkwić za biurkiem.

- Tak jest, towarzyszu generale.

- Słyszałem, że niedawno jeździliście z moim przyjacielem, pułkownikiem Philbym.

Chwilowe milczenie. Cholera, kazali mu o tym nikomu nie mówić, pomyślał

Karpow.

- Hm... no tak, towarzyszu generale.

- Przed wylewem sam wszędzie jeździł.

- Wspominał mi o tym, towarzyszu generale.

Lepiej od razu nacisnąć. - A dokąd z nim jeździliście?

Dłuższe milczenie. Karpow widział w lusterku twarz kierowcy. Gregoriew był w potrzasku.

- Och, po Moskwie, towarzyszu generale.

- Czy w jakieś konkretne miejsca w Moskwie, Gregoriew?

- Nie, towarzyszu generale. Po ulicach.

- Zjedźcie na bok, Gregoriew.

Czajka wyjechała ze środkowego pasa dla pojazdów uprzywilejowanych, przecięła pasmo prowadzące w kierunku południowym i zatrzymała się w zatoczce na poboczu jezdni.

Karpow pochylił się do przodu. - Czy wiecie, kim jestem, Gregoriew?

- Tak jest, towarzyszu generale.

- I znacie moją rangę w KGB?

- Tak jest. Generał lejtnant.

- Więc proszę sobie ze mnie nie żartować, młody człowieku. Dokąd dokładnie go woziliście?

Gregoriew przełknął ślinę. Karpow obserwował, jak kierowca zмага się ze sobą. Pytanie brzmiało: kto polecił mu zachować milczenie na temat tego, dokąd woził Philby'ego? Jeśli to sam Philby, Karpow przewyższał go stopniem. Ale jeśli ktoś wyżej... w rzeczy samej był to major Pawłow, który mocno przestrzegał

Gregoriewa. Tylko major, ale dla Rosjanina ludzie z Pierwszego Głównego Zarządu nie stanowią otwartego zagrożenia, podczas gdy major Gwardii Kremłowskiej... Ale generał, to w końcu generał.

- Głównie na zebrania, towarzyszu generale. Niektóre w mieszkaniach w centrum Moskwy, ale nigdy z nim nie chodziłem do tych domów, więc nie wiem, do których mieszkań wchodził.

- Niektóre w centrum Moskwy... A inne?

- Przeważnie... nie, myślę, że zawsze w daczce w Żukowce.

Tereny KC, pomyślał Karpow. - Czy wiecie, czyja to daczka?

- Nie towarzyszu generale, słowo honoru. Pułkownik Philby tylko wskazywał mi kierunek. Potem czekałem w wozie.

- Kto jeszcze bywał na tych zebraniach?

- Pewnego razu, towarzyszu generale, dwa samochody podjechały jednocześnie. Zobaczyłem, jak ten, który przyjechał drugim samochodem, wysiada i wchodzi do daczki...

- I poznaliście go?

- Tak jest. Zanim zacząłem pracować w KGB, byłem kierowcą w wojsku. W

roku 1985 wozili jednego pułkownika z GRU; było to w Afganistanie, a nasza baza znajdowała się

w Kandaharze. Pewnego razu ten oficer jechał razem z moim pułkownikiem. Był to generał Marczenko.

No, no, no, pomyślał Karpow, mój stary przyjaciel Piotr Marczenko, specjalista od destabilizacji.

- Czy ktoś jeszcze bywał na tych zebraniach?

- Tylko ten samochód, towarzyszu generale. My, szoferzy, rozmawialiśmy trochę, aby zabić czas i tak dalej. Ale tamten kierowca nie chciał gadać; dowiedziałem się tylko, że wozi członka Akademii Nauk. Słowo daję, towarzyszu generale, to wszystko, co wiem.

- Ruszajcie, Gregoriew.

Karpow oparł się wygodnie i przyglądał się mijanym drzewom, a więc było ich czterech; zbierali się, aby przygotować coś dla sekretarza generalnego.

Gospodarzem był ktoś z KC albo Rady Najwyższej, a pozostali trzej to Philby, Marczenko i nieznany z nazwiska akademik.

Następnego dnia był piątek, należący do "wierchuszki" kończyli pracę, jak najwcześniej się dało, i udawali się do swych podmiejskich dacz. Wiedział, że willa Marczenki znajdowała się w Pieriedielkinie, nie opodal jego własnej. Znał również słabość Marczenki i westchnął. Trzeba będzie zabrać dużo koniaku; zapowiada się trudna rozmowa.

Nadinspektor Charlie Forbes słuchał zeznań policjantów Craiga i McBaina uważnie i beznamietnie. Co jakiś czas tylko wtrącając pytanie wypowiedziane ściszym głosem. Nie miał wątpliwości, że mówią prawdę, ale w policji służył już na tyle długo, że wiedział, iż prawda nie zawsze wystarcza, by się uratować.

Sprawa przedstawiała się źle. Formalnie biorąc Rosjanin był pod opieką policji, mimo że właśnie znajdował się w szpitalu. Na tamtym dachu nie było nikogo poza Craigiem. Nie było wyraźnego powodu wyjaśniającego, dlaczego ten facet miałby skoczyć. Nadinspektora Forbes'a specjalnie nawet nie interesowało dlaczego, gdyż można było założyć, że Rosjanin doznał poważnych obrażeń i wpadł potem w panikę w wyniku halucynacji. Całą swoją uwagę nadinspektor skupiał na ewentualnych konsekwencjach, jakie z zaistniałych faktów mogą wynikać dla policji w Strathclyde.

Trzeba będzie odnaleźć statek, przesłuchać kapitana, przeprowadzić formalną identyfikację zwłok, zawiadomić konsula radzieckiego, a poza tym znowu ta prasa. Ta cholerna prasa, której część bez wątpienia wsiądzie na swego ulubionego konika, pisząc o rzekomej brutalności policji. A najgorsze w tym wszystkim było, że kiedy dziennikarze zadawali te swoje przekłete pytania, on nie mógł na nie znaleźć żadnej odpowiedzi. Dlaczego ten dureń skoczył?

O wpół do piątej praca policyjna w szpitalu została już zakończona. Cała machina ruszy do działania o świcie. Nadinspektor polecił wszystkim udać się z powrotem do komisariatu.

- O szóstej obaj policjanci skończyli pisać swoje długie raporty. Charlie Forbes tkwił w swym gabinecie, starając się jakoś sobie radzić z realizacją wymogów maszyny proceduralnej. Podjęto

poszukiwania, prawdopodobnie bezowocne, kobiety, która wezwała policję. Przesłuchano dwóch sanitariuszy, którzy przyjęli sygnał

McBaina, przekazany przez centralę policyjną. Przynajmniej nie będzie żadnych wątpliwości co do tego, że facet oberwał od Nedów.

Pielęgniarka dyżurna z urazówki złożyła już zeznania. Zabiegany dr Mehta -

też. Portier zaświadczył, że widział, jak półnagi mężczyzna biegnie przez poczekalnię, ścigany przez Craiga. Potem nikt już nie widział żadnego z nich podczas pogoni na dach.

Forbes stwierdził, że jedynym radzieckim statkiem w porcie jest "Akademik Komarow" i wysłał samochód policyjny po kapitana, by ten zidentyfikował zwłoki; zbudził konsula radzieckiego, który oznajmił, że będzie u niego w komisariacie o dziewiątej, niewątpliwie z gotowym protestem. Powiadomił swego dowódcę służby patrolowej oraz prokuratora okręgowego, który w Szkocji pełni również obowiązki koronera.

Rzeczy osobiste denata zostały zapakowane do woreczków i przesłane do komisariatu Patrick (pobicie nastąpiło bowiem na terenie tego rewiru), gdzie miały pozostać pod zamknięciem i nadzorem prokuratora, który obiecał załatwić autopsję na dziesiątą rano. Charlie Forbes wyciągnął się i zadzwonił do bufetu po kawę z bułeczkami.

Podczas gdy nadinspektor Forbes w Komendzie Głównej Policji w Strathclyde zajmował się papierkową robotą, po drugiej stronie ulicy Pitt, w komisariacie, policjanci Craig i McBain podpisali swe raporty i udali się do kasyna na śniadanie.

Obaj byli bardzo strapieni, a swoim zmartwieniem podzielili się z posiwanym sierżantem ze służby cywilnej, który przysiadł się do nich. Po śniadaniu otrzymali pozwolenie, by pójść do domu i trochę się przespąć.

Jednak coś, co powiedzieli podczas tej krótkiej rozmowy, sprawiło, że detektyw podszedł do automatu stojącego przed kasynem i zatelefonował. Tym, kogo oderwał od lusterka z twarzą całą w pianie, był inspektor Carmichael, który uważnie wysłuchał sierżanta, odłożył słuchawkę i dokończył golenia w zamyśleniu. Inspektor pracował w służbie specjalnej.

O wpół do ósmej Carmichael odnalazł dowódcę służby patrolowej, który miał

uczestniczyć w autopsji i spytał, czy może też wpaść. - Serdecznie zapraszam - odparł

główny inspektor - kostnica miejska o dziesiątej.

W tej samej kostnicy, o ósmej, kapitan "Akademika Komarowa" w towarzystwie nieodłącznego zastępcy do spraw politycznych, spoglądał na ekran telewizora, na którym wkrótce pojawiła się poraniona twarz marynarza Siemionowa.

Powoli skinął głową i coś mruknął po rosyjsku.

- To on - oświadczył zastępca do spraw politycznych. - Musimy zobaczyć się z naszym konsulem.

- Konsul przyjedzie do komendy, na ulicę Pitt, o dziewiątej - oznajmił

umundurowany sierżant, który im towarzyszył. Obaj Rosjanie wyglądali na wstrząśniętych i przygnębionych. Przykro jest tracić bliskiego kolegę, pomyślał

sierżant.

O dziewiątej konsul radziecki został poproszony do gabinetu nadinspektora Forbesa. Konsul mówił płynnie po angielsku. Forbes poprosił go, aby usiadł i rozpoczął relację o wydarzeniach ostatniej nocy. Nim zdążył skończyć, konsul już na niego wszedł.

- To oburzające - zaczął. - Muszę niezwłocznie skontaktować się z ambasadą radziecką w Londynie...

Rozległo się stukanie do drzwi i do środka wszedł kapitan w towarzystwie zastępcy. Towarzyszył im ten sam umundurowany sierżant, ale po drodze dołączył

jeszcze jeden mężczyzna, który skinął głową Forbesowi. - Witam pana, nadinspektorze. Czy mogę się przysiąc?

- Proszę bardzo, Carmichael. Myślę, że nie pójdzie gładko.

Ale nie. Zastępca kapitana statku do spraw politycznych był w gabinecie Forbesa zaledwie z dziesięć sekund, gdy już odciągnął konsula na bok i coś gwałtownie mu szeptał do ucha. Konsul przeprosił i obaj Rosjanie wyszli na zewnątrz. Wrócili po trzech minutach. Konsul zachowywał się poprawnie i dostojnie.

Oczywiście będzie musiał skontaktować się ze swoją ambasadą. Oczywiście był

pewien, że policja Strathclyde zrobi wszystko, by ująć chuliganów. Czy będzie możliwe, aby ciało marynarza i jego rzeczy osobiste odpłynęły do Leningradu na pokładzie "Akademika Komarowa", który odbija tego dnia?

Forbes był uprzejmy, ale nieustępliwy. Śledztwo mające na celu aresztowanie bandytów będzie trwało nadal. Tymczasem ciało musi pozostać w kostnicy, a rzeczy zmarłego - pod kluczem w komisariacie Patrick. Konsul skinął głową. On również rozumiał konieczność przestrzegania obowiązującej procedury. Rosjanie wyszli.

O dziesiątej Carmichael wszedł do sali autopsyjnej, gdzie profesor Harland zaczynał właśnie myć ręce. Rozmowa jak zwykle dotyczyła pogody, golfa i spraw życia codziennego. W odległości metra od nich, na płycie stołu sekcyjnego leżało rozbite i zmiażdżone upadkiem ciało Siemionowa.

- Czy mogę spojrzeć? - zapytał Carmichael. Lekarz policyjny skinął głową.

Inspektor przez całe dziesięć minut przyglądał się temu, co zostało z Siemionowa. Postanowił wyjść. Carmichael przeszedł do swojego gabinetu, gdzie przeprowadził rozmowę z Edynburgiem, a

dokładnie mówiąc, ze szkockim Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i Zdrowia, w skrócie nazywanym Urzędem Szkockim, mieszczącym się w Domu św. Andrzeja.

Jego rozmówcą był emerytowany zastępca komisarza policji, zatrudniony w Urzędzie Szkockim tylko w jednym celu - utrzymywania kontaktu z brytyjskim kontrwywiadem wojskowym.

W południe telefon zadzwonił w biurze C.-4 (C) w Gordon. Słuchawkę podniósł Bright, słuchał przez chwilę, a potem podał ją Prestonowi.

- To do ciebie. Z nikim innym nie chcą rozmawiać.

- Kto to taki?

- Urząd Szkocki w Edynburgu.

Preston wziął słuchawkę. - John Preston... Tak, dzień dobry panu...

Słuchał przez kilka minut ze zmarszczonymi brwiami. W notatniku zapisał

nazwisko "Carmichael".

- Tak, chyba lepiej przyjadę. Uprzejmie proszę powiedzieć inspektorowi Carmichaelowi, że polecę samolotem rejsowym o trzeciej i żeby zechciał czekać na mnie na lotnisku w Glasgow. Dziękuję bardzo.

- Glasgow? - zapytał Bright. - Co oni tam narozrabiali?

- Och, jakiś rosyjski marynarz, który skoczył z dachu i który może wcale nie był tym, kim miał być. Wrócę jutro. To pewnie nic ważnego, ale czego się nie robi, byleby wyrwać się z biura.

15

Lotnisko w Glasgow leży trzynaście kilometrów na południowy zachód od miasta i jest z nim połączone autostradą M-8. Samolot z Londynu wylądował tuż po wpół do piątej; ponieważ Preston nie miał innego bagażu poza ręcznym, znalazł się w hallu przylotów już w dziesięć minut później. Podszedł do informacji i poprosił o wywołanie "pana Carmichaela".

Inspektor Służby Specjalnej pojawił się wkrótce i obaj się sobie przedstawili.

Pięć minut później, siedzieli już w samochodzie inspektora i jechali autostradą ku czerniejącemu na horyzoncie miastu.

- Porozmawiajmy w czasie jazdy - zaproponował Preston. - Niech pan zacznie od samego początku i powie mi, co się właściwie wydarzyło.

Carmichale zdał dokładną relację. Wielu rzeczy jeszcze nie wiedział, ale tymczasem zdążył już zapoznać się z raportami obu policjantów, a w szczególności Craiga, mógł więc zdać sprawozdanie

prawie o wszystkim. Preston wysłuchał go w milczeniu.

- I co spowodowało, że postanowił pan zadzwonić do Urzędu Szkockiego i poprosić kogoś z Londynu? - zapytał w końcu.

- Mogę się mylić, ale wydaje mi się, że jest możliwe, iż ów człowiek nie był

wcale marynarzem floty handlowej - powiedział Carmichael.

- Proszę mówić dalej.

- Zastanowiło mnie coś, co Craig powiedział dziś rano w kasynie komisariatu -

oświadczył Carmichael. - Nie byłem przy tym obecny, ale uwagę Craiga usłyszał

sierżant z wydziału kryminalnego, który do mnie zadzwonił. McBain też to potwierdza. Jednak żaden z nich nie wspomniał o tym w oficjalnych raportach. Jak panu wiadomo, podaje się tam wyłącznie fakty, a tu chodziło o domniemania policjantów. Niemniej jednak warto było to sprawdzić.

- Cały czas słucham.

- Oni powiedzieli, że kiedy znaleźli owego marynarza, leżał zwinięty w kłębek, rękami przyciskając do brzucha swój worek. Craig użył nawet wyrażenia, że tamten chronił worek jak dziecko.

Preston także dostrzegł niezwykłość tego faktu. Jeśli człowieka kopią niemal na śmierć, instynktownie kuli się w kłębek, tak jak to zrobił Siemionow, ale rękami zasłania głowę. Dlaczego ktoś miałby przyjmować silne kopniaki na głowę, by chronić bezwartościowy, płócienny worek?

- Wówczas - podjął Carmichael - zwróciłem dodatkowo uwagę na czas i miejsce zdarzenia. W porcie Glasgow marynarze zwykle chodzą do baru Betty's albo Stable. Ten człowiek znajdował się prawie cztery mile od doków. Szedł

dwupasomową autostradą nie wiadomo dokąd, a w okolicy nie ma żadnego baru. Cóż u diabła mógł tam robić o takiej porze?

- Słuszne pytanie - stwierdził Preston. - Co dalej?

- Dziś rano o dziesiątej byłem przy autopsji. Ciało zostało dość solidnie zmasakrowane przez upadek, ale twarz pozostała nietknięta, jeśli nie liczyć kilku sińców. Ciosy Nedów padały głównie na tył głowy i na ciało. Widywałem już twarze wielu marynarzy. Są wysmagane wichrem, ogorzałe, brązowe i pokryte zmarszczkami. Twarz tego człowieka była blada i delikatna; na pewno nie spędził

połowy życia na pokładzie. Poza tym jego ręce. Powinny być brązowe na zewnątrz, a pokryte odciskami od wewnątrz. Były zaś białe i wątłe, jak u urzędnika. Na koniec ząby. Moim zdaniem marynarz z Leningradu powinien mieć zęby leczone w bezpłatnej przychodni, czyli plombę z amalgamatu, a sztuczne zęby ze stali, na sposób rosyjski. Ten człowiek miał złote plombę i dwie złote koronki.

Preston z uznaniem skinął głową; Carmichael był bystry. Zdążyli już dotrzeć na parking przy hotelu, gdzie Carmichael wynajął Prestonowi pokój.

- I jeszcze jeden drobiazg, ale być może znaczący - rzekł Carmichael. - Przed autopsją konsul radziecki był u naszego nadinspektora na ulicy Pitt. Ja też tam byłem.

Wyglądało na to, że ma zamiar złożyć protest, ale wtedy pojawił się kapitan statku w towarzystwie oficera politycznego. Oficer wyciągnął konsula na korytarz i o czymś szeptem rozmawiali. Kiedy konsul wrócił, był pełen uprzejmości i wyrozumiałości.

Zupełnie tak, jakby oficer polityczny powiedział mu coś o zmarłym. Odniosłem wrażenie, że w ogóle nie będą mącić wody, dopóki nie skonsultują się z ambasadą.

- Czy mówił pan komuś ze służby patrolowej, że tu jestem? - zapytał Preston.

- Jeszcze nie - odparł Carmichael. - A powinienem?

Preston potrząsnął głową. - Niech pan zaczeka do rana. Wtedy zadecydujemy.

Może się okazać, że to nic takiego, co podejrzewamy.

- Czy coś jeszcze jest panu potrzebne?

- Kopie zeznań, wszystkich, jeśli się panu uda. A także spis rzeczy, jakie ów człowiek miał przy sobie. Nawiasem mówiąc, gdzie one są?

- Zamknięte w komisariacie w Patrick. Pójdę po nie.

Generał Karpow zadzwonił do znajomego w GRU i opowiedział mu bajeczkę o tym, jak jeden z jego kurierów przywiózł mu z Paryża dwie butelki francuskiego koniaku. On osobiście nigdy nie tyka tego świństwa, ale ma dług wdzięczności wobec Piotra Marczenki i chciałby mu podrzucić koniak do daczki w sobotę czy w niedzielę.

Ale niestety nie zna numeru jego telefonu w Pieriedielkinie. Znajomy podał go Karpowowi i więcej o tym nie myślał.

W większości dacz radzieckiej elity w zimie, przez cały czas przebywa gospodyni lub gospodarz, opalając dom aby później weekendowy odpoczynek właściciela nie zaczynał się w wyziębionym domu. Tak właśnie było u Marczenki.

Słuchawkę jego telefonu podniosła gospodyni. Powiedziała, że owszem, spodziewa się generała nazajutrz, to jest w piątek. Zwykle przybywa około szóstej. Karpow podziękował i odłożył słuchawkę. Postanowił nie brać kierowcy, pojechać sam i zaskoczyć generała z GRU około siódmej.

Preston leżał na łóżku i myślał. Carmichael przyniósł mu wszystkie zeznania złożone w szpitalu i w komisariacie. Tak jak wszystkie oświadczenia składane na policji, były sztywne i oficjalne, zupełnie nie oddające tego, jak naprawdę ludzie opisują to, co widzieli i słyszeli. Fakty, owszem, były, ale nie

wrażenia.

Preston nie mógł tego wiedzieć, ponieważ Craig o tym nie wspomniał, a siostra oddziałowa nie spostrzegła, że nim Siemionow rzucił się do ucieczki korytarzem między rzędami separetek do badania przywiezionych na urazówkę chorych, usiłował pochwycić okrągłą puszkę po tytoniu. Craig napisał po prostu, że ranny mężczyzna “przecisnął się obok”.

Lista rzeczy osobistych też niewiele mu pomogła. Wspominała o puszcze od tytoniu “z zawartością”, co mogło oznaczać kilkanaście gramów tytoniu.

Preston rozważał różne możliwości. Jedna: Siemionow był “nielegalnym” agentem, który miał pozostać w Wielkiej Brytanii. Dedukcja: mało prawdopodobne.

Jego nazwisko znajdowało się na liście załogi statku i nieobecność zostałaby zauważona, gdy statek wypływałby do Leningradu.

Dobrze, więc facet miał przybyć do Glasgow i odpłynąć tym samym statkiem.

Co robił nad ranem na ulicy Great Western? Miał coś zostawić albo spotkać się z kimś. Albo może przyjąć przesyłkę, którą miał dostarczyć do Leningradu. Nawet lepiej, ale tu możliwości się kończyły.

Jeśli zdołał już dostarczyć to, co miał dostarczyć, dlaczego tak chronił swój worek, jakby jego życie od tego zależało? Worek przecież byłby już wówczas pusty.

Jeśli miał coś przyjąć, ale tego jeszcze nie zrobił, na jedno wychodziło. Jeśli zaś już to przyjął, dlaczego nie znaleziono przy nim niczego ciekawego, w rodzaju paczki dokumentów?

Jeśli to, co miał doręczyć lub zabrać, dawało się ukryć na cieple, po co w ogóle brał worek? Jeśli miał coś wszytego w skafander albo spodnie, albo ukrytego w obcasie, czemu nie oddał worka Nedom, którym tylko o to chodziło? W ten sposób mógłby uniknąć pobicia i dotrzeć na miejsce spotkania lub na statek (zależnie od tego, w którą stronę zmierzał), zarobiwszy tylko najwyżej parę sińców.

Preston dorzucił jeszcze kilka możliwości do spisu. Powiedzmy że przybył

jako kurier na osobiste spotkanie z radzieckim głęboko zakonspirowanym agentem, już mieszkającym w Wielkiej Brytanii. Aby przekazać ustną informację? Mało prawdopodobne; istniało wiele innych, lepszych sposobów przekazywania zakodowanej informacji. Aby otrzymać ustny raport? Ta sama sytuacja. Aby wymienić “nielegalnego” rezydenta? Nie, zdjęcie w książeczce żeglarskiej przedstawiało niewątpliwie Siemionowa. Gdyby miał zastąpić innego agenta, Moskwa niewątpliwie dałaby mu drugą książeczkę z odpowiednią fotografią, tak by wycofywany agent mógł powrócić na pokład “Komarowa” jako marynarz Siemionow.

I tę książeczkę miałby przy sobie. Chyba, że była zaszyta w podszewkę... czego?

W podszewkę skafandra? Po co więc dał się pobić, chroniąc worek? W

płócienne dno samego worka? O wiele bardziej prawdopodobne. Wszystko zdawało się koncentrować na tym cholernym worku.

Tuż przed północą zadzwonił do Carmichaela, do domu.

- Czy może pan po mnie przyjechać o ósmej? - zapytał. - Chciałbym pojechać do Patrick, obejrzeć rzeczy zmarłego. Może mi pan to załatwić?

Przy śniadaniu w piątkowy poranek, Jewgienij Karpow powiedział do swej żony Ludmiły: - Czy możesz dziś po południu pojechać z dziećmi do daczki nad Wołgą?

- Oczywiście. Przyjedziesz prosto z biura?

Machinalnie skinął głową. - Spóźnię się. Muszę się spotkać z kimś z GRU.

Ludmiła Karpowa westchnęła w duchu. Wiedziała, że mąż ma pulchną sekretarkę, której wynajmuje mieszkanie nieopodal Arbatu. Wiedziała, ponieważ żony lubią mówić, a w środowisku tak zamkniętym jej przyjaciółki były w większości żonami innych oficerów podobnej rangi. Wiedziała również, że on nie ma pojęcia, iż ona wie.

Miała już za sobą pięćdziesiąt lat życia i dwadzieścia osiem - małżeństwa.

Były to dobre lata, zważywszy na pracę męża, a ona była dobrą żoną. Podobnie jak inne żony oficerów Zarządu straciła już rachubę nieprzespanych nocy, w czasie których jej mąż siedział w pokoju szyfrów którejś z ambasad na obcej ziemi.

Wytrzymywała niezliczone cocktaile dyplomatyczne, nie znając żadnego obcego języka, podczas gdy jej mąż czuł się swobodnie: elegancki, miły, płynnie mówiący po angielsku, po francusku i po niemiecku, wykonywujący swe zadania pod przykrywką ambasady.

Straciła też rachubę tygodni, które spędzała samotnie, kiedy dzieci były jeszcze małe, a on - zaledwie młodszym oficerem. Mieszkali w ciasnej klitce bez żadnej służby, mąż często wyjeżdżał na kursy, wykonać jakieś zadanie, albo tkwił w cieniu muru berlińskiego czekając na kuriera, który wracał na Wschód.

Poznała smak trwogi i przerażenia, które czują nawet niewinni, kiedy z jednej z zagranicznych placówek kolega męża uciekł na zachód i kontrwywiad męczył ją godzinami o to, co ów człowiek lub jego żona mogli przy niej powiedzieć.

Przyglądała się z litością, jak żonę uciekiniera, kobietę, którą może i kiedyś dobrze знаła, ale której teraz nie odważyłaby się dotknąć na odległość nawet wysterylizowaną tyczką, eskortowano do oczekującego samolotu Aeroflotu. To ryzyko zawodowe, powiedział mąż, pocieszając ją.

Od tamtej pory minęło wiele lat. Teraz jej Żenia został generałem, moskiewski apartament był jasny i przestronny, jej udało się wyposażyć daczę tak, jak lubiła: w sosnowe meble i dywany, wygodnie, lecz w stylu ludowym. Z obu synów mogli być dumni: obaj studiowali, jeden medycynę, drugi fizykę. Skończyło się mieszkanie w strasznych kwaterach w ambasadach, a za trzy lata Żenię czekało

przejsiecie w stan spoczynku z dobrą emeryturą. Więc jak raz w tygodniu zajął się jakąś spódniczką, to się pod tym względem po prostu niczym nie różnił od większości swych kolegów.

Może i tak nawet lepiej, niż gdyby miał ją bić po pijanemu, jak niektórzy, albo jak jaki major nieudacznik - zakończyć karierę w którejś z tych okropnych republik azjatyckich. Niemniej jednak westchnęła sobie w duchu.

Komisariat policji Patrick nie należy do najelegantszych budynków w pięknym mieście Glasgow, ale przedmioty osobiste ofiary wczorajszego pobicia i samobójstwa znalazły tu odpowiednie miejsce. Dyżurny sierżant przekazał swoje stanowisko policjantowi, a sam zaprowadził Carmichaela i Prestona na zaplecze, gdzie otworzył

kluczem pomieszczenie pełne szafek. Obejrzał legitymację Carmichaela bez zdziwienia; tak samo bez zdziwienia przyjął wyjaśnienie, że Carmichael i jego kolega muszą obejrzeć rzeczy osobiste ofiary, aby uzupełnić swoje raporty, ponieważ denat był obcokrajowcem i tak dalej. Sierżant dobrze wiedział co to raporty; sam spędził pół

życia wypełniając je. Nie wyszedł jednak z pomieszczenia, podczas gdy obaj przybysze otwierali torebki i przeglądali ich zawartość.

Preston zaczął od butów, szukając wydrażonych obcasów, ruchomych zelówek czy skrytek w noskach. Nic. Skarpetki zajęły mniej czasu, podobnie jak bielizna. Zdjął

kopertę ze strzaskanego zegarka, ale był to tylko zegarek. Na spodnie przeznaczył

więcej czasu; macał wszystkie szwy i zakładki, szukając świeżych nici albo zgrubienia, którego nie dałoby się wytłumaczyć jedynie założeniem materiału. Nic.

Pulower z golfem, który Rosjanin miał na sobie, nie przysporzył mu kłopotu; nie było w nim szwów ani żadnych ukrytych papierów czy zgrubień. Preston poświęcił wiele więcej czasu na skafander, ale też bez powodzenia. Zanim dotarł do worka żeglarskiego, był już prawie pewny, że jeśli tajemniczy towarzysz Siemionow miał coś ze sobą, będzie to w worku.

Zaczął od zrolowanego swetra, który znajdował się w środku, głównie po to, by go wyeliminować. Sweter był czysty. Następnie Preston zajął się samym workiem.

Minęło pół godziny, nim upewnił się dostatecznie, że jego dno składa się naprawdę tylko z dwóch kawałków płótna, bok - z jednego, a oczka u wylotu nie są miniaturowymi nadajnikami, zaś sznurek - ukrytą anteną.

Pozostała więc puszcza od tytoniu. Pochodziła z Rosji: zwykła puszcza z nakrętką, wciąż jeszcze lekko pachnąca ostrym tytoniem. Wata była watą. Co pozostawiało już tylko trzy metalowe krążki do badania.

Dwa błyszczące jak aluminium i ciężkie, trzeci matowy jak ołów i także ciężki. Leżały przed nim na stole. Preston siedział przez chwilę, wpatrując się w nie.

Carmichael spoglądał na niego, a sierżant patrzył gdzieś w dół.

Zagadkowe było nie to, co oznaczały te krążki, ale raczej, że nic nie oznaczały.

Te większe, aluminiowe były ułożone po obu stronach ciężkiego, mniejszego krążka, który miał dwa cale średnicy. Aluminiowe miały po trzy. Preston próbował sobie wyobrazić ich możliwe zastosowanie: radiokomunikacja, kodowanie i dekodowanie, fotografia. Nie znajdował jednak żadnej rozsądnej odpowiedzi. Po prostu metalowe krążki. A jednak był coraz bardziej przekonany, że ten człowiek naprawdę wolał

umrzeć, niż pozwolić, by dostały się w ręce Nedów, którzy i tak by je cisnęli do rynsztoka, albo dać się przesłuchać w ich sprawie.

Wstał i zaproponował lunch. Sierżant, który w swoim mniemaniu zmarnował

cały ranek, schował przedmioty z powrotem do torebek i zamknął w szafce. Następnie odprowadził ich do wyjścia.

Podczas lunchu w hotelu przy sztucznym jeziorze, Preston zaproponował, by przejechali obok miejsca pobicia, przeprosił Carmichaela, mówiąc, że idzie zadzwonić. - To może chwilę potrwać - powiedział. - Niech pan sobie weźmie angielską brandy.

Carmichael wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Dobrze, a toast będzie na pohybel Anglikom.

Gdy Preston znalazł się poza zasięgiem wzroku swego towarzysza, wyszedł z hotelu i udał się na stację benzynową, gdzie zrobił kilka zakupów ze stojaków z częściami zapasowymi w sklepiku przy stacji. Następnie wrócił do hotelu i zatelefonował do Londynu, podając Brightowi numer komisariatu Patrick i dokładną godzinę, o której ma tam zadzwonić.

Pół godziny później Carmichael i Preston znaleźli się ponownie w komisariacie, gdzie już wyraźnie niezadowolony sierżant zaprowadził ich ponownie do pomieszczenia, gdzie znajdowały się rzeczy osobiste denata. Preston usadowił się za stołem, twarzą do telefonu po drugiej stronie pokoju. Przed sobą na barierce, ułożył

część garderoby z poszczególnych torebek. O trzeciej zadzwonił telefon; centrala przełączyła telefon z Londynu na wewnętrzny. Słuchawkę podniósł sierżant.

- To do pana - zwrócił się do Prestona. - Rozmowa z Londynu.

- Mógłby pan odebrać ten telefon? - powiedział Preston do Carmichaela. -

Proszę zapytać, czy to pilne.

Carmichael wstał i podszedł do miejsca, gdzie sierżant trzymał słuchawkę.

Przez krótką chwilę obaj szkoccy oficerowie stali zwrócenii twarzami do ściany.

Dziesięć minut później Preston skończył swoje oględziny. Carmichael odwiózł

go na lotnisko.

- Złożę oczywiście raport - powiedział Preston. - Ale nie mam pojęcia, czym się tak ten Rosjanin przejął. Jak długo te przedmioty pozostaną pod kluczem w Patrick?

- Och, jeszcze wiele tygodni. Tak powiedziano radzieckiemu konsulowi.

Poszukiwania Nedów trwają, ale szanse są małe. Możliwe, że złapiemy któregoś przy innej sprawie i coś piśnie. Ale osobiście wątpię.

Preston zgłosił się do odprawy. Pasażerowie już wsiadali do samolotu.

- Wie pan, najgłupsze w tym wszystkim jest to, że gdyby ten Rosjanin nie stracił głowy, odwieźlibyśmy go na jego statek z przeprosinami, razem z tą jego zabaweczką.

Kiedy samolot był już w powietrzu, Preston poszedł do toalety szukając samotności i obejrzał trzy krążki, które miał zawinięte w chustce. Nadal nic mu nie mówiły.

Trzy podkładki, które kupił w sklepiku przy stacji benzynowej i wymienił na

“zabaweczki” Rosjanina, na razie wystarczą. Tymczasem chciał je komuś pokazać.

Ów mężczyzna pracował poza Londynem i Preston miał nadzieję, że Bright go w porę powiadomił, żeby nie wyjeżdżał z biura.

Kiedy Karpow przyjechał o siódmej do dachy generała Marczenki, było już zupełnie ciemno. Drzwi otworzył adiutant generała, który poprosił Karpowa do salonu. Marczenko wydawał się jednocześnie zdumiony i rozradowany wizytą znajomego z innej, większej służby wywiadowczej.

- Jewgieniju Siergiejewiczu - zahuczał - co cię sprowadza do mojego skromnego domku?

Karpow miał w ręku torbę, którą teraz wysunął przed siebie i zanurzył dłoń w jej wnętrzu.

- Jeden z moich chłopców właśnie wrócił z Turcji, przez Armenię -

oświadczył. - Bystry chłopak, wie, że nie należy wracać z pustymi rękami. Ponieważ w Anatolii wszystko się posypało, zatrzymał się w Erewaniu i złapał te parę butelek.

Pokazał jeden z czterech eksponatów, jakie zawierała jego torba: najlepszy ze wszystkich koniaków armeńskich.

Oczy Marczenki zabłyśły. - Achtamar! - wykrzyknął. - Zarząd ma same najlepsze rzeczy.

- No i - kontynuował swobodnie Karpow - jechałem właśnie do swojej dachy i myślałem: kto mi pomoże zniszczyć ten Achtamar. Odpowiedź nadeszła sama: stary Piotr Marczenko. Zboczyłem więc

nieco z drogi. Zobaczymy, jak smakuje?

Marczenko ryknął śmiechem, a potem zawołał. - Sasza, kieliszki!

Preston wylądował tuż przed piątą, odebrał swój samochód z parkingu i pojechał w stronę autostrady M-4. Zamiast jednak skręcić na wschód w stronę Londynu, pojechał pasmem zachodnim ku Berkshire. W ciągu trzydziestu minut był

już u celu, w instytucji, której siedziba leżała na obrzeżu wioski Aldermaston.

Nazywany po prostu "Aldermaston" Instytut Badań Broni Jądrowej, ulubiony cel wszelkich marszów pokojowych, w rzeczywistości zajmuje się różnymi działami nauki i badań. Faktycznie opracowuje i buduje broń atomową, ale poza tym prowadzi badania w zakresie chemii, fizyki, konwencjonalnych materiałów wybuchowych, inżynierii, matematyki czystej i stosowanej, biologii nuklearnej, medycyny, norm higieny i bezpieczeństwa oraz elektroniki. A ponadto ma bardzo dobry dział metalurgiczny.

Wiele lat temu, jeden z uczonych, zatrudnionych w Aldermaston przeprowadził wykład dla grupy oficerów wywiadu w Ulsterze na temat materiałów do budowy bomb stosowanych najchętniej przez IRA. Preston był jednym z tych oficerów i pamiętał nazwisko owego walijskiego naukowca.

Dr Dafdd Wynne-Evans oczekiwał go w holu. Preston przedstawił się i przypomniał Wynne-Evansowi o jego wykładzie sprzed wielu lat.

- No, no, cóż pan ma za pamięć - odezwał się doktor z charakterystycznym walijskim akcentem. - No dobrze, panie Preston, w czym mogę panu pomóc.

Preston pogrzebał w kieszeni, wyciągnął chustkę i pokazał jej zawartość - trzy krążki.

- Miał je przy sobie ktoś w Glasgow - powiedział. - Nie mam pojęcia co to jest, a bardzo chciałbym to wiedzieć i ewentualnie także do czego można ich użyć.

Doktor przypatrzył się im uważnie.

- Myśli pan, że do jakichś zbrodniczych celów?

- Możliwe.

- Trudno powiedzieć bez prób. - Odparł naukowiec. - Proszę posłuchać: jestem dziś zaproszony na kolację, a jutro moja córka wychodzi za mąż. Czy mogę odłożyć próby do poniedziałku i wówczas pana powiadomić?

- Poniedziałek zupełnie mi wystarczy - powiedział Preston. - Prawdę mówiąc, biorę kilka dni wolnego i będę w domu. Może pan zapisać mój numer w Kensington?

Dr Wynne-Evans poszedł na górę, by zamknąć krążki w sejfie, pożegnał się z Prestonem i pospieszył

na swoją kolację. Preston wrócił do Londynu.

W tym samym czasie stacja nasłuchu w Menwith Hill w Yorkshire odebrała sygnał nadany przez tajną radiostację. Menwith usłyszała ją pierwsza, ale Brawdy w Walii i Hicksands w Bedfordshire także zrobili zamiar i wyliczyły położenie nadajnika. Znajdował się gdzieś w górach na północ od Sheffield.

Kiedy policja z Sheffield dotarła na miejsce, okazała się nim zatoka na mało uczęszczanej drodze między Barneley i Pontefract. W zatoce nie było nikogo.

Tego samego wieczoru jeden z dyżurnych oficerów w sztabie głównym w Cheltenham dał się poczęstować drinkiem przez kierownika zmiany.

- To ten sam drań - powiedział. - Jeździ samochodem i ma dobry sprzęt.

Nadawał tylko pięć sekund, a komunikat sprawia wrażenie niemożliwego do rozszyfrowania. Najpierw był w Derbyshire Peak, a teraz w górach Yorkshire.

Wygląda, że ma bazę gdzieś w środkowej Anglii.

- Szukajcie go - powiedział kierownik zmiany. - Od lat nie mieliśmy nowego nasłuchu. Ciekawe, co nadaje.

A major Walerij Pietrowski nadawał, choć nie sam, lecz przez operatora - on wtedy był zupełnie gdzie indziej - następujący komunikat: "Drugi kurier nie przybył.

Jak najszybciej poinformować o przyjeździe zastępczego".

Pierwsza butelka Achtamaru stała opróżniona na stole, a druga była mocno napoczęta. Marczenko miał już dobrze w czubie, ale nadal potrafił wypić dwie butelki dziennie, jeśli chciał, i wciąż trzymał się nieźle.

Karpow, choć rzadko pijał dla przyjemności, a jeszcze rzadziej - samotnie, zahartował swój żołądek w czasie wielu lat służby dyplomatycznej. Miał mocną głowę, gdy było mu to potrzebne. Ponadto przed wyjazdem z Jasieniewa wmusił w siebie ćwiartkę masła i choć prawie się nim udławił, tłuszcz pokrywał teraz warstewką ochronną wewnątrz żołądka i opóźniał negatywne oddziaływanie alkoholu.

- Co ostatnio porabiasz, Pietia? - zapytał Marczenki.

Oczy generała zwęziły się. - Czemu pytasz?

- Daj spokój, Pietia, znamy się nie od dziś. Pamiętasz, jak ratowałem twój tyłek w Afganistanie trzy lata temu? Coś mi jesteś winien. Powiedz, co się dzieje?

Marczenko dobrze pamiętał. Z powagą skinął głową. W 1984 roku dowodził

wielką operacją GRU przeciwko rebeliantom muzułmańskim nie opodal przełęcz Khyber. Pewien

szczególnie niebezpieczny przywódca partyzantów dokonywał

wypadów w głąb Afganistanu z baz w obozach uchodźców w Pakistanie. Marczenko dość beztrąsko wysłał przez granicę oddział specjalny, by go pochwycił. Oddział

wpadł w tarapaty; proradzieccy Afgańczycy zostali zdemaskowani przez Pathanów i zginęli w mękach. Jedyńy towarzyszący im Rosjanin został oszczędzony; Pathanowie przekazali go władzom pakistańskim północno-zachodniego okręgu granicznego, mając nadzieję wymiany na broń.

Marczenko znalazł się w opałach. Zwrócił się do Karpowa, wówczas szefa wydziału tajnych agentów i Karpow naraził na niebezpieczeństwo jednego ze swych najlepszych zakonspirowanych wywiadowców wśród oficerów pakistańskich w Islamabadzie, aby wyciągnąć Rosjanina i przerzucić go przez granicę. Poważny incydent międzynarodowy mógł zniszczyć całkowicie Marczenkę, a ten dołączyłby wówczas do długiej listy radzieckich oficerów, którym ten żaloszny kraj złamał karierę.

- Wiem, masz rację, wiem, co ci zawdzięczam, Żenia, ale nie pytaj, czym się zajmowałem ostatnie parę tygodni. Zadanie specjalne, bliskie sercu. Rozumiesz: żadnych nazwisk, żadnych dużych grup. - Palcem grubym jak serdelek dotknął z boku nosa i poważnie skinął głową.

Karpow pochylił się naprzód i napełnił kieliszek Marczenki z trzeciej butelki.

- Jasne, wiem, przepraszam, że pytałem - zapewnił go. - Już nic więcej nie powiem.

Nic więcej nie powiem o tej operacji.

Marczenko pogroził mu palcem; oczy miał przekrwione. Przypominał

Karpowowi rannego niedźwiedzia w gęstwinie, tyle, że z umysłem przyćmionym alkoholem, a nie bólem i upływem krwi, wciąż jeszcze niebezpiecznego. - Jaka operacja, żadna operacja, odwołali to wszystko... Przysięgaliśmy zachować tajemnicę... wszyscy. Bardzo wysoko... wyżej, niż możesz sobie wyobrazić. Nic już o tym nie mów, dobrze?

- Ani mi to w głowie - powiedział Karpow, ponownie napełniając kieliszki.

Wykorzystywał stan upojenia Marczenki, by nalewać mu więcej niż sobie, ale i tak miał kłopoty z koncentracją wzroku.

Dwie godziny później w ostatniej butelce Achtamara brakowało już jednej trzeciej. Marczenko leżał w fotelu z brodą na piersiach. Karpow uniósł swój kieliszek w kolejnym z niezliczonych toastów. - Niech żyje zapomnienie - powiedział.

- Zapomnienie? - Marczenko potrząsnął głową, oszołomiony. - Nic mi nie jest.

Dam radę w picu każdemu z was z Zarządu. Nic nie zapomniałem...

- Nie - poprawił Karpow - zapomnienie o planie. Po prostu zapomnijmy o nim, dobrze?

- O Aurorze? Dobrze, zapomnijmy o niej. Ale to był cholernie dobry pomysł...

Wypili. Karpow znowu nalał. - Niech ich szlag trafi - zaproponował. - Niech cholera weźmie Philby'ego... i akademika.

Marczenko skinął głową; koniak, który nie trafił do jego ust, pociekł mu po policzkach.

- Kryłowa? To dupek. Zapomnijmy o nim.

Była już północ, gdy Karpow dotarł, zataczając się, do samochodu. Oparł się o drzewo, wsadził dwa palce w gardło i zwymiotował co mógł na śnieg głębokimi haustami, łapiąc mroźne, nocne powietrze. Zabieg pomógł, ale i tak jazda do jego własnej dachy była koszmarem. Kosztowało go to pocięty zderzak i dwie paskudne rysy na lakierze. Ludmiła jeszcze nie spała; siedziała w szlafroku. Położyła go do łóżka, przerażona, że w takim stanie jechał aż z samej Moskwy.

W sobotę rano John Preston pojechał do Tonbridge, aby zabrać swojego syna, Tommy'ego. Jak zwykle, gdy ojciec zabierał go ze szkoły, chłopiec zasypywał

Prestona słowami, wspomnieniami o tym, co było, planami na najbliższy okres, na wakacje, pochwałami najlepszych przyjaciół i ich zalet, kpinami z niepowodzeń tych, których Tommy nie cierpiał.

Kuferek i neseser leżały w bagażniku, a droga powrotna do Londynu była dla Johna Prestona błogosławieństwem. Wspomnił o kilku rzeczach, jakie zaplanował na wspólnie spędzany tydzień i ucieszył się, że Tommy je zaakceptował. Twarz chłopca wydłużyła się jednak, kiedy przypomniał sobie, że po tygodniu zostanie odstawiony do eleganckiego, sztywnego i niesamowicie kosztownego apartamentu w Mayfair, w którym Julia mieszkała ze swym przyjacielem, producentem konfekcji damskiej.

Człowiek ów mógłby być dziadkiem chłopca; Preston podejrzewał, że gdyby Tommy cobyś zbroił w tym mieszkaniu, doprowadziłoby to do poważnego ochłodzenia atmosfery.

- Tatusiu - zapytał Tommy, kiedy jechali przez most Vaukshall - dlaczego nie mogę mieszkać razem z tobą przez cały czas?

Preston westchnął. Nie było łatwo wyjaśnić dwunastolatkowi problem rozpadu małżeństwa i jego konsekwencji.

- Ponieważ - zaczął ostrożnie - twoja mama i Archie nie są właściwie małżeństwem. Gdybym chciał od mamy rozwodu, mogłaby wystąpić do sądu i otrzymać alimenty. A ja ich, nawiasem mówiąc, najprawdopodobniej nie mógłbym płacić. Nie przy mojej obecnej pensji. W każdym razie nie mam tyle, aby sobie pozwolić na moje utrzymanie, jej i ciebie w szkole. A gdybym nie mógł zapłacić alimentów, sąd mógłby dojść do wniosku, że lepiej ci będzie u mamy. I wtedy nie widzielibyśmy się nawet tak często jak teraz.

- Nie wiedziałem, że to chodzi o pieniądze - mruknął smutno chłopiec.

- Ostatecznie w większości spraw chodzi o pieniądze. To smutne, ale prawdziwe. Wiele lat temu, gdybym mógł zarobić na lepsze życie dla naszej trójki, mama by może ode mnie nie odeszła. Byłem tylko oficerem w armii i nawet gdy odszedłem z wojska do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, moja pensja nadal nie wystarczała.

A co ty robisz w tym ministerstwie? - zapytał chłopiec. Odsunął od siebie temat rozstania rodziców, tak jak zwykle młodzi starają się zapomnieć o czymś, co sprawia im ból.

- Och, jestem tylko drobnym urzędnikiem - odparł Preston.

- Rany, to musi być strasznie nudne.

- Tak - zgodził się Preston. - Chyba jest takie.

Jewgienij Karpow obudził się w południe z monstualnym kacem, który ustąpił dopiero po kilku aspirynach. Po obiedzie poczuł się trochę lepiej i postanowił

wyść na spacer.

Coś go nękało; wspomnienie, półświadomość, że nie tak dawno słyszał gdzieś nazwisko Kryłowa. Niepokoił się tym. Jeden z tajnych informatorów, jakie miał w swojej daczce, zawierał dane akademika: Władimir Iljicz Kryłow, historyk, profesor Uniwersytetu Moskiewskiego, członek partii niemal przez całe życie, członek Akademii Nauk, Rady Najwyższej itp., itd. O tym wszystkim wiedział, ale było coś jeszcze.

Brnął przez śnieg ze schyloną głową, pogrążony w myślach. Chłopcy pobiegli naprzód na nartach, by skorzystać jeszcze z ostatniego sypanego śniegu, nim nadchodzące ocieplenie całkiem go zniszczy. Ludmiła Karpowa szła w milczeniu obok męża. Znała jego nastroje i nie przeszkadzała mu w myśleniu.

Poprzedniego wieczora stan męża mocno ją zaskoczył, ale jednocześnie ucieszył. Wiedziała, że pije rzadko i nigdy aż tak dużo, co wykluczało wizytę u kochanki. Może naprawdę odwiedzał kolegę z GRU, jednego z tak zwanych

“sąsiadów”. Nieważne, był czymś zajęty, z pewnością jednak nie tą kuropatwą z Arbatu.

Gdzieś po szóstej to, czego szukał w zakamarkach pamięci przypomniało mu się. Poszedł kilka kroków naprzód. Raptem zatrzymał się i powiedział:

- Cholera. Oczywiście - i natychmiast się ożywił. Cały uśmiechnięty ujął żonę pod rękę i wrócili do daczki.

Generał Karpow wiedział już, że następnego ranka czeka go kilka godzin cichych studiów w jego gabinecie i że w poniedziałek wieczorem odwiedzi profesora Kryłowa w jego mieszkaniu.

W poniedziałek rano, dzwonek telefonu zatrzymał Johna Prestona tuż przed wyjściem z domu wraz z synem.

- Pan Preston? Mówi Dafydd Wynne-Evans.

Przez chwilę Preston nie mógł sobie skojarzyć tego nazwiska; jednak przypomnienie przebiegu piątkowego wieczoru wróciło szybko.

- Przyjrzałem się pańskiemu kawałkowi metalu. Bardzo interesujący. Czy może pan przyjechać do mnie i chwilę ze mną porozmawiać?

- No, właściwie to wzięłem sobie kilka dni wolnego - powiedział Preston. -

Może być koniec tygodnia?

Po drugiej stronie telefonu zaległa chwilowa cisza.

- Myślę, że lepiej będzie jeśli znajdzie pan czas jak najwcześniej.

- Hm, no tak, czy może mi pan w skrócie powiedzieć przez telefon, o co chodzi?

- Lepiej porozmawiajmy o tym w cztery oczy - odparł Wynne-Evans.

Preston zastanowił się chwilę. Miał właśnie pojechać z Tommym na cały dzień do parku safari w Windsor. Ale park również leżał w Berkshire.

- Może przyjadę po południu, około piątej? - zaproponował.

- Może być piąta - odparł uczony. - Niech pan poda moje nazwisko w recepcji; wskażą panu drogę.

Profesor Kryłow mieszkał na górnym piętrze domu przy Prospekcie Komsomolskim, co dawało mu widok na rzekę Moskwę i wygodne dojście do uniwersytetu na drugim jej brzegu. Generał Karpow nacisnął guzik dzwonka tuż po szóstej, a otworzył mu sam akademik. Przyjrzał się gościowi, nie poznając go.

- Jestem generał Karpow. Chciałbym zamienić z wami kilka słów.

Wyciągnął rękę z legitymacją służbową. Profesor Kryłow obejrzał ją, zwracając uwagę na szarżę i fakt, że jego gość pracuje w Pierwszym Głównym Zarządzie KGB. Następnie zwrócił legitymację i gestem zaprosił Karpowa do środka.

Wprowadził gościa do elegancko umeblowanego salonu, wziął jego płaszcz i poprosił, by usiadł.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? - zapytał usiadłszy naprzeciwko Karpowa. Sam cieszył się powszechnym szacunkiem i poważaniem, więc nie przerażał go widok generała KGB.

Karpow zdał sobie sprawę, że profesor będzie trudniejszym orzechem do zgryzienia. Eritę Philby

mógł wyprowadzić w pole, tak że wyjawiała mu sprawę szofera, Gregoriew musiał ustąpić przed wyższą szarżą, Marczenko był starym znajomym i trochę zbyt mocno popijał. Kryłow jednak był wysoko postawionym członkiem partii, Rady Najwyższej, Akademii i elity państwowej. Karpow postanowił

nie tracić czasu, ale zagrać w otwarte karty, szybko i bezlitośnie. Był to jedyny sposób.

- Profesorze Kryłow, w interesie państwa chcę, abyście mi coś powiedzieli.

Proszę powiedzieć mi wszystko, co wiecie o planie Aurora.

Profesor Kryłow siedział, jakby ktoś dał mu w twarz. Następnie poczerwieniał z gniewu.

- Generale Karpow, zapominacie się - rzucił. - Nie wiem, o czym mówicie.

- Moim zdaniem wiecie - odrzekł Karpow spokojnie - i powinniście mi powiedzieć, co przewiduje ten plan.

W odpowiedzi profesor Kryłow wyciągnął dłoń rozkazującym gestem. -

Wasze pełnomocnictwo proszę.

- Moim pełnomocnictwem jest mój stopień i miejsce pracy - odparł Karpow.

- Jeśli nie macie pełnomocnictwa podpisanego osobiście przez towarzysza sekretarza generalnego, to nie macie żadnych uprawnień - powiedział lodowato Kryłow. Wstał i ruszył w stronę telefonu. - W samej rzeczy uważam, że sposobem waszego postępowania powinni się zainteresować ci, którzy są wyżej od was. -

Podniósł słuchawkę i zaczął nakręcać numer.

- To może nie być najlepszy pomysł - odrzekł Karpow. - Czy wiecie, że jeden z waszych współpracowników, emerytowany pułkownik KGB, Philby już nie daje znaku życia?

Kryłow przestał nakręcać numer. - Co to znaczy: "Nie daje znaku życia"? -

zapytał. W jego głosie, dotychczas całkowicie zrównoważonym, pojawiły się pierwsze oznaki wątplenia.

- Proszę usiąść i wysłuchać mnie - powiedział Karpow.

Akademik zrobił tak jak mu radził. Gdzieś dalej we wnętrzu mieszkania, jakieś drzwi otworzyły się i zamknęły. W tej krótkiej chwili doleciały stamtąd dźwięki zachodniej muzyki jazzowej, które ścichły, gdy drzwi zamknięto z powrotem.

- To właśnie znaczy "nie daje znaku życia" - odparł Karpow. - Nie ma go w domu, szofer został odprawiony, żona nie ma pojęcia, gdzie jest i kiedy, jeśli w ogóle, wróci. - Był to blef i to bardzo słabymi kartami.

Jednak we wzroku profesora pojawił się cień niepokoju. Potem jednak ponownie wrócił do równowagi.

- Nie ma mowy, abym omawiał z wami sprawy wagi państwowej, towarzyszu generale. Myślę, że muszę was pożegnać.

- To nie takie proste - odrzekł Karpow. - Proszę mi powiedzieć, profesorze, macie syna imieniem Leonid, prawda?

- Tak - przyznał. - I co z tego?

- Właśnie chciałbym wam to wyjaśnić - zaproponował Karpow.

Po drugiej stronie Europy John Preston jechał wraz z synem z parku safari w Windsor. Kończył się ciepły wiosenny dzień.

- Muszę jeszcze kogoś odwiedzić, zanim wrócimy do domu - powiedział

ojciec. - To niedaleko i nie zabierze nam dużo czasu. Byłeś kiedyś w Aldermaston?

Chłopiec otworzył szeroko oczy. - W fabryce bomb? - zapytał.

- To nie całkiem fabryka bomb - poprawił go Preston. - Raczej instytut badawczy.

- Rany, nie byłem. Jedziemy tam? Wpuszczą mnie do środka?

- No, wpuszczą mnie. Ty będziesz musiał poczekać w samochodzie na parkingu. To nie potrwa długo.

Skręcił na północ, by dojechać do autostrady M-4.

Wasz syn wrócił dziewięć tygodni temu z wyjazdu do Kanady, gdzie występował jako jeden z tłumaczy delegacji handlowej - powiedział cicho generał

Karpow.

Kryłow skinął głową. - I co?

- W czasie jego pobytu w Kanadzie moi ludzie stwierdzili, że pewna atrakcyjna młoda osoba spędza wiele czasu - zbyt wiele ich zdaniem - w towarzystwie niektórych członków naszej delegacji, szczególnie młodszych, sekretarzy, tłumaczy i tak dalej. Agent ten został sfotografowany i ostatecznie zidentyfikowany jako obywatel amerykański, nie kanadyjski, prawie na pewno zatrudniony w CIA. W rezultacie poddano obserwacji tę osobę i stwierdzono, że spotyka się z waszym synem Leonidem w

pokoju hotelowym. Aby nie owijać w bawełnę, ta osoba miała krótki, lecz gwałtowny romans z waszym synem.

Twarz profesora Kryłowa nabiegła krwią. Wydawało się, że z trudem wymawia słowa. - Jak śmiecie. Jakim prawem przychodzicie tu bezczelnie i próbujecie mnie, członka Akademii Nauk i Rady Najwyższej, prymitywnie szantażować. Partia dowie się o tym. Znacnie prawo: partię może sądzić tylko partia.

Możecie być sobie generałem KGB, ale przekroczyliście swoje uprawnienia o setki kilometrów, generale Karpow.

Jewgienij Karpow siedział, udając upokorzonego, wpatrując się w stół, podczas gdy profesor mówił dalej. - No i co z tego, że mój syn zerznął zagraniczną dziewczuchę, gdy był w Kanadzie. Z pewnością nie wiedział, że ona jest Amerykanką.

Była to może nieostrożność, ale nic poza tym. Czy został zwerbowany przez tę agentkę CIA?

- Nie - przyznał Karpow.

- Czy zdradził jakieś tajemnice państwowe?

- Nie.

- A więc nie macie nic, towarzyszu generale, a tylko maleńką, młodzieńczą nieostrożność. Zostanie upomniany. Ale upomnienie dla waszych ludzi z kontrwywiadu będzie tym ostrzejsze. Czemu go nie ostrzegli? Co się zaś tyczy spraw łóżkowych, nie jesteśmy tak zacofani w Związku Radzieckim, jak się wam wydaje.

Młodzi, silni mężczyźni dobierali się do dziewczyn od zarania dziejów...

Karpow otworzył neseser i wyjął wielkie zdjęcie, jedno ze stosu, jaki tam leżał, po czym położył je na stole. Profesor Kryłow spojrzał na nie i słowa uwięzły mu w gardle. Krew odpłynęła mu z twarzy, która w świetle lampy wydała się szara.

Potrząsnął kilkakrotnie głową.

- Bardzo mi przykro - powiedział Karpow łagodnie - naprawdę bardzo mi przykro. Pod obserwacją był ten amerykański chłopak, nie wasz syn. To stało się bez złych intencji z naszej strony.

- Nie mogę w to uwierzyć - wychrypiał profesor.

- Sam mam synów - mruknął Karpow. - Chyba potrafię zrozumieć, jak się czujecie.

Akademik wciągnął haust powietrza, wstał i wymamrotał: - Przepraszam - i wyszedł z pokoju.

Karpow westchnął i odłożył zdjęcie do neseseru. Z korytarza dobiegł go znowu hałas jazzu, gdy drzwi się otworzyły, nagły koniec muzyki, a potem głosy, dwa głosy, gniewnie uniesione. Jednym był

ryk ojca, drugim nieco wyższy, młodszy krzyk.

Wymiana zdań zakończyła się odgłosem policzka. Kilka sekund później, profesor Kryłow wszedł ponownie do salonu. Usiadł z opuszczonymi ramionami; wzrok miał zamglony.

- Co macie zamiar zrobić? - szepnął.

Karpow westchnął. - Obowiązek nakazuje mi właściwie tylko jedno. Jak powiedzieliście, partia odpowiada tylko przed partią. Zgodnie z przepisami powinienem przekazać raport i fotografie Komitetowi Centralnemu. Znacie prawo.

Wiecie, co robią ze "złotymi chłopcami". Pięć lat, bez prawa odwołania i w ścisłym reżimie. Obawiam się, że w obozie szybko się dowiedzą. Potem młody człowiek, jakby to ująć, będzie należał do wszystkich. Chłopak, który dotąd żył pod kloszem, z trudnością zapewne przeżyje w takich warunkach.

- Ale... - podsunął profesor.

- Ale... mogę uznać, że istnieje możliwość, iż CIA dalej pociągnie tę sprawę.

Mam takie prawo. Mogę uznać, że Amerykanie staną się niecierpliwi i wyślą swego agenta do Związku Radzieckiego, aby odnowił kontakty z Leonidem. Mam prawo uznać, że pułapka na waszego syna może łatwo zostać przekształcona w pułapkę na agenta CIA. Póki sprawa będzie w toku, teczka będzie znajdować się w moim osobistym sejfie, a to może trwać bardzo długo. Mam takie uprawnienia; w sprawach operacyjnych mam taką władzę.

- A cena?

- Myślę, że ją znacie.

- Co chcecie wiedzieć o planie Aurora?

- Proszę zacząć od samego początku.

Preston skręcił w główną bramę Aldermaston, znalazł wolne miejsce na parkingu dla gości i wysiadł.

- Przykro mi, Tommy, ale dalej nie mogę cię zabrać. Poczekaaj tu na mnie.

Chyba nie będę tam długo.

W zapadającym zmroku podszedł do wahadłowych drzwi budynku i przedstawił się dwóm mężczyznom przy wejściu. Obejrzelili jego legitymację służbową i zadzwonili do doktora Wynne-Evansa, który potwierdził zaproszenie do swego gabinetu znajdującego się na trzecim piętrze. Doktor zaprosił Prestona do środka i wskazał mu krzesło stojące przed biurkiem, po czym spojrzał nań zza okularów.

- Mogę pana spytać, skąd pan ma ten mały przedmiocik? - zapytał, wskazując krążek z podobnego do ołowiu metalu, obecnie spoczywającego w zamkniętym szklanym słoju.

- Został odebrany komuś w Glasgow wczesnym rankiem w czwartek. A co z pozostałymi krążkami?

- Och, to zwykłe aluminium, mój drogi. Nie ma w nich nic szczególnego. Po prostu zabezpieczyły trzeci. Mnie interesuje właśnie ten.

- Czy wie pan, co to jest? - zapytał Preston.

Dr Wynne-Evans wydawał się zdumiony naiwnością tego pytania.

- Oczywiście, że wiem - odparł. - Muszę wiedzieć, co to jest, to mój zawód.

Krążek wykonany jest z czystego polonu.

Preston zmarszczył brwi. Nigdy dotąd nie słyszał o takim metalu.

- No więc wszystko zaczęło się w pierwszych dniach stycznia, gdy Philby przedstawił sekretarzowi generalnemu dwa memoranda. Utrzymywał w nich, że w brytyjskiej Partii Pracy istnieje radykalne skrzydło lewicowe, które stało się tak silne, że może przejąć całkowicie kontrolę nad machiną partyjną, kiedy tylko zechce. To zgadza się z moją oceną.

- I z moją - mruknął Karpow.

- Philby poszedł dalej. Twierdził, że wewnątrz tego skrzydła znajduje się silna grupa, jądro, składające się z oddanych sprawie marksistów-leninistów, którzy podjęli decyzję przejęcia władzy w partii, ale nie przed kolejnymi wyborami w Wielkiej Brytanii, lecz dopiero potem, po zwycięstwie labourzystów. Krótko mówiąc, chodziło o zaczekanie na zwycięstwo Neila Kinnocka, a potem zdjęcie go z przywództwa partii. Zastąpić go miał pierwszy brytyjski premier marksistowsko-leninowski, który prowadziłby politykę całkowicie zgodną z radzieckimi interesami zagranicznymi i obronnymi, szczególnie w zakresie jednostronnego rozbrowienia jądrowego i wycofania wojsk amerykańskich z Europy.

- To możliwe - skinął głową generał Karpow. - Zatem powołano wasz czteroosobowy zespół, aby doradził, jak najlepiej osiągnąć zwycięstwo wyborcze?

Profesor Kryłow spojrział na generała zaskoczony. - Tak. Byli w nim Philby, generał Marczenko, ja i dr Rogow.

- Ten arcymistrz szachowy?

- Oraz fizyk - dodał Kryłow. - W rezultacie powstał plan Aurora, który miał

być aktem wielkiej destabilizacji brytyjskiego elektoratu za pomocą wywołania u milionów nastrojów zdecydowanej jednomyślności.

- Mówicie: miał być?

- Tak. Plan był głównie pomysłem Rogowa, który najmocniej za nim optował.

Marczenko też się zgadzał, choć z zastrzeżeniami. Philby, hmm... nigdy nie było wiadomo, co on właściwie myśli. Tylko kiwał głową i się uśmiechał czekając, aż będzie wiadomo, w którą stronę wiatr zawieje.

- Taki właśnie jest Philby - zgodził się Karpow. - I potem przedstawiliście ten plan?

- Tak. Dwunastego marca. Ja byłem mu przeciwny. Sekretarz generalny zgodził się ze mną. Odrzucił go całkowicie, nakazał zniszczenie wszystkich akt i notatek, a nam kazał przysiąc, że w żadnych okolicznościach nie wspomnimy nikomu o tej sprawie.

- Powiedzcie mi, dlaczego sprzeciwialiście się planowi?

- Uznałem go za zbyt ryzykowny i niebezpieczny. Poza innymi kwestiami, jest on całkowicie sprzeczny z Czwartym Protokołem. Jeśli ów protokół zostanie kiedykolwiek naruszony, Bóg jeden wie, co się stanie ze światem.

- Czwarty Protokół?

- Tak. Należący do układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Pamiętacie go, oczywiście.

- Tyle jest do pamiętania - westchnął Karpow. - Przypomnijcie mi.

- Nigdy nie słyszałem o polonie - stwierdził Preston.

- Spodziewam się - powiedział dr Wynne-Evans. - Nie znajdzie go pan w zwykłym warsztacie. Jest bardzo rzadki.

- A jakie ma zastosowanie, doktorze?

- No więc czasami, bardzo rzadko, stosuje się go w medycynie do leczenia chorych. Czy pański człowiek w Glasgow wybierał się na jakąś konferencję medyczną lub wystawę?

- Nie - odrzekł stanowczo Preston - na pewno nie udawał się na żadną konferencję lekarzy.

- W ten sposób wyeliminowaliśmy dziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo co do przeznaczenia tego metalu. Ponieważ ów człowiek, nim pan go uwolnił od jego ciężaru, nie miał uczestniczyć w żadnym sympozjum medycznym, obawiam się, że pozostaje nam druga możliwość, której prawdopodobieństwo wynosi 90 procent. Poza tymi dwoma funkcjami polon nie ma innego zastosowania na tej planecie.

- A to drugie zastosowanie?

- No cóż, krążek polonu tej wielkości, sam niczego nie zdziała. Ale w obecności krążka z innego

metalalu zwanego litem staje się inicjatorem.

- Czym?

- Inicjatorem.

- A cóż to jest, u diabła?

Pierwszego lipca 1968 roku - powiedział profesor Kryłow - układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej podpisały trzy ówczesne mocarstwa jądrowe świata: USA, Wielka Brytania i Związek Radziecki. W tekście układu owe trzy państwa zobowiązały się do nieprzekazywania technologii ani środków materialnych umożliwiających konstruowanie broni jądrowej żadnemu innemu krajowi, nie będącemu wówczas w posiadaniu takiej technologii lub środków materialnych.

Przypomina pan to sobie?

- Tak - odrzekł Karpow - tyle pamiętam.

- Uroczystości podpisania w Waszyngtonie, Londynie i Moskwie zyskały wielki rozgłos na całym świecie. Natomiast zupełnie bez rozgłosu podpisano później cztery tajne protokoły do tego układu.

Każdy z protokołów przewidywał wystąpienie określonego zagrożenia w przyszłości, które w owym czasie było jeszcze technicznie niemożliwe, ale, jak oceniano, pewnego dnia mogło stać się technicznie wykonalne i realne.

W ciągu minionych lat trzy pierwsze protokoły przeszły do historii albo dlatego, że zagrożenie okazało się całkowicie nierealne, albo też dlatego, że gdy tylko stało się realne, szybko opracowano na nie przeciwsrodki. Jednak na początku lat osiemdziesiątych Czwarty Protokół, najtajniejszy, zaczął spędzać specjalistom sen z oczu. Zapisane w nim sprawy stały się koszmarne.

- A co dokładnie ów Czwarty Protokół przewidywał?

Profesor Kryłow westchnął.

- Tu polegaliśmy na opinii doktora Rogowa. Jak wiecie, jest on fizykiem jądrowym; to jego specjalność. Czwarty Protokół przewidywał postęp techniczny w produkcji bomb jądrowych, głównie jeśli chodzi o uproszczenie ich konstrukcji i miniaturyzację. I to właśnie, zdaje się, nastąpiło. Z jednej strony broń ta stawała się coraz potężniejsza, ale i znacznie trudniejsza do skonstruowania, o coraz większych rozmiarach. Inny dział nauki poszedł odmienną drogą. Podstawowa bomba atomowa, którą kiedyś musiał wieźć potężny bombowiec, by zrzucić ją na Japonię, może teraz mieć tak niewielkie rozmiary, że zmieści się w walizce, a konstrukcja jej będzie tak prosta, że da się zmontować z kilkunastu elementów prefabrykowanych z pomocą zestawu narzędzi dla młodych konstruktorów.

- I tego właśnie zakazywał Czwarty Protokół?

Profesor Kryłow potrząsnął głową.

- On siedł jeszcze dalej. Zakazywał wszystkim krajom, które go podpisały, ukrytego wprowadzania na terytorium innego kraju urządzeń jądrowych, w postaci zmontowanej lub zdemontowanej, w celu zdetonowania powiedzmy w wynajętym domu, czy po prostu w centrum jakiegoś miasta.

- Żadnego czterominutowego ostrzeżenia - myślał głośno Karpow - żadnego sygnału radiowego, żadnych możliwości uderzenia odwetowego czy identyfikacji sprawcy. Po prostu megatonowa eksplozja nocnej szafki stojącej w piwnicy.

- Właśnie - przytaknął profesor. - Dlatego nazwałem to koszmarną groźbą.

Otwarte społeczeństwa Zachodu są potencjalnie bardziej narażone, ale my też nie jesteśmy zabezpieczeni przed możliwością przemytu do nas tego rodzaju wyrobów.

Jeśli Czwarty Protokół zostanie kiedykolwiek naruszony, wszystkie istniejące szeregi rakiet i elektronicznych środków przeciwdziałania staną się bez znaczenia.

- A o to właśnie chodziło w planie Aurora.

Kryłow skinął głową. Wyglądało, jakby się zaciął.

- Ale ponieważ - naciskał Karpow - wszystko zostało wstrzymane i zakazane, cały plan stał się, jak to nazywamy u nas, archiwalny.

Kryłow, wydawało się, podchwycił to słowo. - No właśnie. To teraz plan archiwalny.

- Powiedzcie mi więc, na czym miał polegać? - wypytywał dalej Karpow.

- Plan Aurora przewidywał wysłanie do Wielkiej Brytanii wybitnego agenta radzieckiego, który miał wynająć domek na prowincji i stać się jego głównym wykonawcą. Za pośrednictwem licznych kurierów miał otrzymywać przeschumlowane elementy do budowy małej bomby atomowej o mocy około półtony.

- Takiej małej? Na Hiroszimę spadło dziesięć kiloton.

- Nie chodziło o spowodowanie wielkich strat, które sprawiłyby, że wybory zostałyby odwołane. Należało stworzyć rzekomy wybuch jądrowy i w ten sposób skłonić owe dziesięć procent niezdecydowanych wyborców aby przy wyborach poparli jedyną partię opowiadającą się za jednostronnym rozbrojeniem jądrowym, czyli Partię Pracy.

- Przepraszam - powiedział Karpow - proszę mówić dalej.

- Bomba miała zostać zdetonowana na sześć dni przed datą wyborów - rzekł

profesor. - Istotne znaczenie miało miejsce operacji. Wybrano amerykańską bazę lotniczą w Bentwaters w hrabstwie Suffolk. Prawdopodobnie stacjonują tam myśliwce F-5, które są wyposażone w małe pociski jądrowe, przeznaczone do użycia przeciwko zmasowanym zgrupowaniom naszych czołgów, które wyzwalałyby Europę Zachodnią.

Karpow skinął głową. Znał Bentwaters i wiedział, że te informacje są prawdziwe.

- Główny wykonawca - kontynuował profesor Kryłow - otrzymałby rozkaz zabrania nad ranem zmontowanej bomby aż pod samo ogrodzenie bazy znajdującej się w samym sercu lasu Rendlesham. Eksplozja miała nastąpić tuż przed świtem.

Ze względu na niewielkie rozmiary bomby, zniszczenia ograniczyłyby się do samej bazy, która po prostu wyparowałaby, lasu Rendlesham, trzech dworców, wioski, wybrzeża i rezerwatu ptaków. Ponieważ baza znajduje się tuż nad morzem, chmura radioaktywna zostałaby uniesiona wiatrem nad Morze Północne. Gdy już dotarłaby nad wybrzeże Holandii w 95% składałaby się z substancji obojętnych lub opadłaby do wody. Nie chodziło o spowodowanie katastrofy ekologicznej, ale o wywołanie strachu i nienawiści do Ameryki.

- Mogliby w to nie uwierzyć - wtrącił Karpow. - Różne rzeczy mogły się zdarzyć. Główny wykonawca mógł zostać schwytany żywcem.

Profesor Kryłow potrząsnął głową. - Rogow pomyślał o wszystkim.

Opracował to, jak rozgrywkę szachową. Wybrany oficer otrzymał informację, że po naciśnięciu guzika zostało mu jeszcze dwie godziny na oddalenie się z miejsca eksplozji. Tymczasem zapalnik miał zadziałać natychmiast.

Biedny Pietrowski, pomyślał Karpow.

- A jeśli chodzi o prawdopodobieństwo? - zapytał na głos.

- Wieczorem w dniu eksplozji - odrzekł Kryłow - mężczyzna, który jest najprawdopodobniej ukrytym naszym agentem miał polecieć do Pragi i zorganizować międzynarodową konferencję prasową. Izraelski fizyk jądrowy, dr Nahum Wisser.

Zdaje się, że on dla nas pracuje.

Generał Karpow zachowywał kamienny wyraz twarzy. - Zdumiewacie mnie -

powiedział. Znał akta Wissera.

- Miał on kiedyś syna, w którym pokładał wielkie nadzieje. A chłopak był

żołnierzem izraelskim, stacjonującym w Bejrucie w 1982 roku. Kiedy Falangiści zaatakowali palestyńskie obozy uchodźców w Sabra i Szatila, młody porucznik Wisser próbował interweniować. Zginął od kuli.

Zrozpaczonemu ojcu przedstawiono skrupulatnie spreparowane materiały dowodowe, z których wynikało, że jego syna zabiła kula izraelska. W swym rozgoryczeniu i wściekłości dr Wisser, już wcześniej zaprzysięgły przeciwnik partii Likud, przesunął się jeszcze bardziej na lewo i zgodził się pracować dla Rosjan.

W każdym razie Wisser miał oświadczyć przed światem, że przez wiele lat współpracował z Amerykanami nad produkcją głowic jądrowych o niewielkich rozmiarach. Jest to zresztą, jak się wydaje, prawda. Miał również stwierdzić, że wielokrotnie ostrzegał Amerykanów, iż owe miniaturowe głowice nie są jeszcze dostatecznie dopracowane, aby je rozmieszczać. Amerykanie jednak niecierpliwili się, by swoje F-5 wyposażyć w te głowice, a zwolniony udźwig przeznaczyć na dodatkowe zapasy paliwa, które zwiększałyby zasięg samolotów.

Wykalkulowano, że to oświadczenie złożone w dzień po wybuchu, pięć dni przed wyborami, przekształci falę antyamerykanizmu w Wielkiej Brytanii w taki huragan, którego nawet konserwatystom nie udałoby się opanować.

Karpow skinął głową. - Tak, moim zdaniem nastąpiłoby to. Czy coś jeszcze zrodziło się w płodnym umyśle doktora Rogowa?

- O wiele więcej - odparł ponuro Kryłow. Zakładał, że amerykańską reakcją będzie gwałtowne i dramatyczne zaprzeczenie. I wtedy, cztery dni przed wyborami, sekretarz generalny miał oświadczyć światu, że jeśli Ameryka chce wkroczyć w okres szaleństwa, to ich sprawa. On sam jednak nie ma innego wyjścia, jak chronić swój naród i postawić wszystkie swoje wojska w stan gotowości bojowej. Tego samego wieczora jeden z naszych przyjaciół znajdujący się bardzo blisko Neila Kinnocka, miał namówić przywódcę labourzystów, aby poleciał do Moskwy, zobaczył się osobiście z sekretarzem generalnym i interweniował na rzecz pokoju. Gdyby Kinnock się wahał, nasz ambasador miał go zaprosić do siebie na przyjacielską rozmowę o kryzysie. Mając skierowane na siebie obiektywy kamer, na pewno by się nie opierał.

- Z pewnością otrzymaliby natychmiast wizę i odleciałby Aerofłotem następnego rana do Moskwy - kontynuował. - Sekretarz generalny przyjąłby go przed kamerami światowych telewizji, a w kilka godzin później obaj rozstaliby się, wyglądając niezwykle poważnie.

- I zapewne obaj mieliby ku temu niezwykle istotne powody - podsunął

Karpow.

- Oczywiście. Jeszcze gdy znajdowałby się na pokładzie samolotu do Londynu, sekretarz generalny wydałby oświadczenie dla świata, stwierdzające że, wyłącznie w wyniku prośby przywódcy Labour Party, on, sekretarz generalny, odwołuje w całych radzieckich siłach zbrojnych stan gotowości bojowej. Neil Kinnock wylądowałby w Londynie w glorii wielkiego męża stanu. Na dzień przed wyborami wygłosiłby przemówienie do narodu brytyjskiego na temat całkowitego wyrzeczenia się szaleństwa jądrowego raz na zawsze. W planie Aurora zakładano, że wydarzenia tych sześciu dni nadszarpnęłyby tradycyjny sojusz z Ameryką, odizolowałyby Stany Zjednoczone od sympatii Europejczyków i skłoniłyby dziesięć procent brytyjskich wyborców, owe kluczowe dziesięć procent, do głosowania na labourzystów. A potem rządy przejęłaby lewica. I to właśnie, generale, był plan Aurora.

Karpow wstał. - Byliście bardzo uprzejmi, profesorze. I bardzo mądrzy.

Zachowajcie milczenie, a ja zrobię podobnie. Jak sami mówicie, to jest plan archiwalny. Teczka

waszego syna pozostanie bardzo długo w moim sejfie. Żegnaj was. Nie sądzę, żebym jeszcze kiedyś was niepokoił.

Rozparł się na poduszkach, gdy czajka wiozła go Komsomolskim Prospektem.

Wspaniałe, myślał, ale czy starczy czasu?

Podobnie jak sekretarz generalny, on również wiedział o nadchodzących wyborach w Wielkiej Brytanii, wyznaczonych na czerwiec, za dwa miesiące.

Informacje dla sekretarza generalnego nadchodziły w końcu przez jego rezydenturę w londyńskiej ambasadzie.

Wciąż przebiegał w myślach cały plan, szukając słabych miejsc. Jest dobry, pomyślał w końcu, cholernie dobry. Aby tylko zadziałał... Inna możliwość była równoznaczna z katastrofą.

- Inicjator, drogi panie, jest detonatorem bomby - oświadczył dr Wynne-Evans.

- Och - westchnął Preston, czując pewne rozczarowanie.

W Wielkiej Brytanii bomby były na porządku dziennym. Przykre, ale nic szczególnego. Wiele z nich widział w Irlandii. Słyszał o zapalnikach, detonatorach, spłonkach, ale nigdy jeszcze o inicjatorach. Mimo to wyglądało, że Rosjanin Siemionow miał przy sobie element bomby przeznaczonej dla jakiejś terrorystycznej grupy w Szkocji. Jaka to grupa? Nacjoniści szkoccy, anarchiści czy aktywne ugrupowanie IRA? Jednakże ów rosyjski łącznik był nieoczekiwany; warto było z jego powodu pojechać do Glasgow.

- Ten, jak mu tam, inicjator z polonu i litu... czy nadaje się do zastosowania w bombie przeciwpiechotnej? - zapytał.

- O tak, można i tak powiedzieć, drogi panie - odrzekł Walijczyk. - Widzi pan, inicjator, to zapalnik bomby atomowej.

Część trzecia

17

Brian Harcourt-Smith słuchał uważnie, odchylony lekko do tyłu, wpatrując się w sufit i bawiąc wąskim, połączonym ołówkiem, trzymanym w palcach.

- I to jest właśnie to? - spytał, gdy Preston skończył swoje ustne sprawozdanie.

- Tak - odparł Preston.

- Czy ten twój doktor Wynne-Evans jest gotów przedstawić swoje przypuszczenia na piśmie?

- To nie są przypuszczenia, ale realistyczne wnioski, Brian, na podstawie naukowej analizy

możliwości wykorzystania krążka metalu, który ma tylko dwa znane zastosowania. I owszem, zgodził się sporządzić taki raport. Dołączę go do swojego.

- A twoje własne wnioski? Czy może, przepraszam, powinienem powiedzieć raczej: twoja naukowa analiza?

Preston zignorował jego protekcjonalny ton.

- Myślę, że nie ulega wątpliwości, iż marynarz Siemionow przybył do Glasgow, by zdeponować swą puszkę i jej zawartość w skrytce lub przekazać ją komuś osobiście podczas spotkania - powiedział. - Oznacza to, że jest tu gdzieś jakiś głęboko zakonspirowany agent. Sądzę, że powinniśmy spróbować go wykryć.

- Znakomity pomysł. Sęk w tym, że nie mamy żadnego śladu, od którego moglibyśmy zacząć. Zrozum, John, będę z tobą szczery. Stawiasz mnie, jak zwykle, w krańcowo trudnej sytuacji. Naprawdę nie widzę sposobu, w jaki mógłbym tę sprawę pchnąć wyżej, dopóki nie dostarczysz mi odrobinę poważniejszego dowodu aniżeli pojedynczy krążek z rzadkiego metalu, znaleziony przy martwym, rosyjskim marynarzu.

- Został on zidentyfikowany jako połowa inicjatora ładunku nuklearnego -

przypomniał mu Preston. - To nie jest zwykły kawałek metalu.

- Bardzo dobrze. Jedna połówka czegoś, co może być detonatorem czegoś innego, co może być bombą, która mogłaby zostać przekazana jakiemuś Rosjaninowi nielegalnie przebywającemu w Wielkiej Brytanii. Uwierz mi, John - jeżeli przedstawisz mi swój pełny raport na ten temat, zajmę się nim z najwyższą powagą.

- A potem znowu zostanie odłożony ad acta? - spytał Preston. Uśmiech Harcourt-Smitha był wyzywający i groźny.

- Niekoniecznie. Każdy twój raport będzie oceniany tylko ze względu na jego merytoryczną wartość, jak wszystkie inne. Obecnie proponuję, żebyś postarał się znaleźć wreszcie dla mnie jakiś konkretny, nawet słaby dowód, potwierdzający twoją tezę o istnieniu siatki konspiracyjnej.

- W porządku - odrzekł Preston wstając. - Zajmę się tym.

- Zrób to - powiedział Harcourt-Smith.

Kiedy Preston wyszedł, zastępca dyrektora generalnego spojrzął na wykaz numerów wewnętrznych i zadzwonił do szefa Wydziału Kadr.

Następnego dnia, w środę, 15 kwietnia, samolot British Airways z Paryża wylądował na lotnisku w Birmingham. Pomiędzy pasażerami znajdował się człowiek z duńskim paszportem.

Nazwisko w tym dokumencie również było duńskie i gdyby nawet ktoś zadał

mu jakieś pytanie w tym języku, odpowiedziałby na nie całkowicie płynnie. W

rzeczywistości jego matka była Dunką i to ona nauczyła go podstaw tego języka, wygładzonego do perfekcji w kilku szkołach lingwistycznych i dzięki licznym wyjazdom do Danii.

Jego ojciec zaś był Niemcem, a on sam urodził się już po II wojnie światowej w Erfurcie, gdzie dorastał. Dzięki temu formalnie był Niemcem, obywatelem NRD.

Tak się również złożyło, że został kadrowym oficerem wschodnioniemieckiego wywiadu - HVA.

Nie miał pojęcia, jaką wagę ma naprawdę jego misja w Wielkiej Brytanii i nawet nie próbował się tego dowiedzieć. Otrzymał proste, jasne instrukcje i wiedział, że wypełni je co do joty. Bez trudu przeszedł przez odprawę celną i paszportową, złapał taksówkę i kazał się zawieźć do Midland Hotel przy New Street. W czasie podróży i podczas odprawy na lotnisku obchodził się szczególnie ostrożnie ze swoją lewą ręką, na którą założono gipsowy opatrunek. Ostrzeżono go, jeśli to w ogóle w przypadku kadrowego oficera wywiadu było konieczne, żeby w żadnym wypadku nie próbował podnosić walizki "złamaną" ręką.

W pokoju hotelowym natychmiast zamknął drzwi na klucz i zajął się opatrunkiem. Za pomocą metalowych szczypiec, schowanych wśród przyborów toaletowych, ostrożnie rozciął gipsowy pancerz wzdłuż zaznaczonej delikatnie ząbkowanej linii.

Rozciąwszy gips na całej długości, odgiął go trochę, po czym uwolnił z niego kolejno ramię, nadgarstek i dłoń. Zdjęty gipsowy opatrunek włożył do plastikowej torby, którą przywiózł ze sobą.

Spędził w pokoju całe popołudnie i opuścił hotel, już bez gipsu na rękę, kiedy służbę w recepcji rozpoczęła druga zmiana.

Spotkanie zostało wyznaczone na New Street Station, przy kiosku z gazetami.

O ustalonej godzinie zobaczył zbliżającą się ku niemu jakąś postać w czarnym, skórzanym, motocyklowym kombinezonie. Czynności identyfikacyjne trwały zaledwie kilka sekund, plastikowy worek zmienił właściciela, po czym motocyklista oddalił się. Żaden z nich nie zwrócił na siebie niczyjej uwagi.

O świcie, kiedy w hotelu wciąż miała służbę nocna zmiana, Duńczyk zwolnił

pokój, pojechał wczesnym pociągiem do Manchesteru i odleciał z tamtejszego lotniska, na którym nikt go nigdy nie widział - z gipsowym opatrunkiem na rękę czy też bez niego. Przed zmierzchem, via Hamburg, znalazł się z powrotem w Berlinie, gdzie jako Duńczyk przeszedł mur przez Punkt Kontrolny Charlie. Pracownicy wywiadu czekali już na niego po drugiej stronie. Po przedstawieniu raportu, został

poddany rutynowej kwarantannie. W ten sposób kurier numer trzy wykonał swoje zadanie.

John Preston był zaniepokojony i w nie najlepszym humorze. Tydzień wolnego, który zamierzał spędzić wspólnie z Tommym, wziął kompletnie w łeb.

Wtorek miał częściowo zajęty przez spotkanie z Harcourtem-Smithem i Tommy siedział cały dzień w domu czytając i oglądając telewizję.

Preston dotrzymał wprawdzie zaplanowanego terminu ich wspólnej wycieczki do Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud w środę rano, ale po południu musiał przyjść do biura, żeby skończyć pisemny raport. Na swoim biurku znalazł list od Crichtona z Wydziału Kadr. Czytał go z niedowierzaniem. Jak zwykle był

napisany w przyjaznym tonie. Informowano go, że po przejrzeniu akt okazało się, że należą mu się cztery tygodnie zaległego urlopu. Rzecz jasna, powinien znać swoje prawa jako pracownik firmy i wiedzieć, że ma do wykorzystania tyle a tyle wolnych dni itp., itd. Zwykły grzecznościowy bełkot ukrywający rzeczywisty paskudny sens.

Krótko mówiąc, polecono mu bezzwłocznie wykorzystać zaległy urlop, najlepiej poczynając od następnego dnia rano.

- Co za cholerni idioci - powiedział głośno do siebie, mając na myśli całą swoją firmę - niektórzy z nich nie potrafiliby znaleźć nawet puszek konserw bez pomocy myśliwskiego psa.

Zadzwoił do kadr i zażądał rozmowy z Crichtonem.

- Tim? To ja, Preston. Słuchaj, co ten kretyński list robi na moim biurku? Nie mogę iść teraz na urlop. Prowadzę sprawę, jestem w połowie... Wiem, że masz polecenie, żeby nie kumulować zaległych urlopów, wiem, że należy je wykorzystywać, ale ta sprawa jest równie ważna. Gdzie tam, o wiele ważniejsza!

Słuchał przez chwilę suchych wyjaśnień urzędasza, dotyczących strat spowodowanych niewłaściwym systemem urlopowania, po czym przerwał mu.

- Posłuchaj, Tim, dajmy temu spokój! Wystarczy, że zadzwonisz do Harcourt-Smitha. On potwierdzi moje słowa. Mogę przecież wykorzystać ten zaległy urlop latem.

- John - odparł Crichton łagodnie. - Ten list został sporządzony na wyraźny, pilny rozkaz Briana.

Preston wpatrywał się przez kilka chwil w trzymaną w rękę słuchawkę telefonu.

- Rozumiem - rzekł wreszcie i odłożył ją bez słowa.

- Dokąd idziesz? - spytał Bright, widząc, jak kieruje się ku drzwiom.

- Strzelić sobie solidnego drinka, tak by się urznąć - odparł Preston.

Czas przerwy na lunch już dawno minął i bar był prawie pusty. Tłumu spóźnionych amatorów lunchu nie zastąpili jeszcze klienci spragnieni wczesnopołudniowego drinka. Było tu tylko paru ludzi z Charles Street, siedzących naprzeciw siebie w rogu. Usiadł więc przy barze. Chciał być sam.

- Whisky! - odezwał się głośno. - Podwójną!

- Dla mnie to samo - rozległ się za nim jakiś głos. - I tym razem to ja stawiam.

Preston odwrócił się, by zobaczyć za sobą Barry'ego Banksa z K-7.

- Witaj, John - odezwał się Banks - zobaczyłem cię, człapiącego tutaj, jeszcze w holu. A chciałem ci powiedzieć, że mam coś dla ciebie. Szef, nasz Mistrz, jest ci bardzo wdzięczny.

- A... to... Nic takiego.

- Odniosę ci to jutro do biura.

- Nie rób sobie niepotrzebnie kłopotu - gniewnie odrzekł Preston. - Nie będzie mnie, właśnie oblewam tutaj mój czterotygodniowy, przymusowy urlop. Zaczynam od jutra. Załatwiono mnie. Twoje zdrowie!

- Nie przejmuj się - pocieszył go Banks łagodnie - większość ludzi nie może doczekać się chwili, kiedy wyrwie się stąd na trochę.

Zauważył już, że Prestona coś gryzie i chciał, by kolega z MI-5 zdradził mu powód swego przygnębienia. Nie mógł przecież otwarcie powiedzieć Prestonowi, że sir Nigel Irvine wysłał go, by zaskarbił sobie jeszcze bardziej przyjaźń czarnej owcy Harcourt-Smitha, a następnie zdał mu drobiazgowo relację z tego, czego się od niego dowie.

Godzinę i trzy whisky później, Preston był nadal ponury.

- Myślę o tym, czy by stąd wreszcie nie odejść - rzekł nagle.

Banks, dobry słuchacz, który przerywał mu tylko po to, by pociągnąć go za język i wydobyć z niego potrzebne mu informacje, zainteresował się teraz gwałtownie.

- To dość radykalne rozwiązanie. Czy naprawdę jest aż tak źle?

- Słuchaj, Barry. Nie mam się z czego cieszyć, kiedy ktoś, kto powinien z założenia stać po mojej stronie, za wszelką cenę próbuje mnie usadzić. Nie przejmuję się, jeśli próbuje mnie załatwić przeciwnik, bo to normalne w naszej robocie, ale jestem cholernie zaniepokojony, kiedy strzelają do mnie swoi. Czy uważasz, że to pozbawione logiki rozumowanie?

- Masz rację - odparł Banks. - Ale kto strzela?

- Ten nadęty bubek z góry - warknął Preston. - Właśnie przedłożyłem mu kolejny raport, który najwyraźniej nie przypadł mu do gustu.

- I znowu poszedł ad acta?

Preston wzruszył ramionami - Pewno tak.

Drzwi baru otworzyły się, weszła przez nie spora grupa osób z biur mieszczących się na wyższych

piętrach budynku. Pośrodku tej grupy dostrzec można było charakterystyczną sylwetkę Harcourt-Smitha. Był otoczony kilkoma kierownikami sekcji.

Preston opróżnił swoją szklanę.

- No cóż, muszę już iść. Wybieram się z chłopakiem do kina dziś wieczorem.

Kiedy Preston wyszedł, Barry Banks dokończył drinka, nie skorzystał z zaproszenia przybyłych do baru i poszedł do biura. Ze swego pokoju zadzwonił do wydziału "C" w budynku "Sentinela".

Major Walerij Pietrowski dopiero we czwartek nad ranem powrócił do Cherryhayes Close. Maskujący strój motocyklowy i BMW znajdowały się w garażu w Thetford. Kiedy wprowadził wóz do garażu, a potem wszedł do domu, miał na sobie stonowany garnitur i długi deszczowy płaszcz. Nikt nie zauważył ani jego, ani plastikowej torby, którą trzymał w ręku. Zamknąwszy za sobą drzwi, wszedł na piętro i otworzył dolną szufladę dużej bieliźniarki. Wewnątrz znajdowało się tranzystorowe radio firmy Sony. Położył obok gipsowy opatrunek. Nie wiedział, ani nie chciał

wiedzieć, co zawierają oba te przedmioty. Nie należało to do jego zadania. Tym zajmie się dopiero Monter, który przybędzie, aby wykonać swoje zadanie dopiero po bezpiecznym skompletowaniu wszystkich niezbędnych części zawartych w przesyłkach wymienionych na posiadanej przez majora liście.

Pietrowski przed snem zrobił sobie filiżankę kawy. Kurierów było w sumie dziewięciu. To oznaczało dziewięć spotkań według pierwszego wariantu planu i dziewięć operacji rezerwowych w przypadku, gdyby pierwsze spotkania nie doszły do skutku. Miał je wszystkie głęboko utrwalone w pamięci ze szczegółami. Nauczył się jeszcze sześciu dodatkowych wariantów, które oznaczały spotkanie z trzema dodatkowymi kurierami, stanowiącymi nadzwyczajną rezerwę w razie sytuacji wyższej konieczności. Trzeba będzie skorzystać z jednego z nich, gdyż drugi kurier do niego nie dotarł. Pietrowski nie potrafił sobie tego wytłumaczyć.

W odległej Moskwie major Wołkow już wiedział. Konsul powiadomił centralę o tym, że wszystkie rzeczy martwego marynarza zostały zamknięte w sejfie na posterunku policji w Patrick i pozostaną tam bezpieczne przez jakiś czas.

Pietrowski przywołał na chwilę utrwaloną w pamięci listę następnych spotkań.

Czwarty kurier miał przybyć za cztery dni. Spotkanie zaplanowano w West Endzie, w Londynie. Był już świt kwietnia, kiedy zasnął. Na wpół drzemiąc słyszał jeszcze odgłosy jadącej ulicą ciężarówka rozwożącej mleko i stuk butelek stawianych przez roznosiciela.

Tym razem Banks był bardziej otwarty. Czekał na Prestona w holu budynku, w którym mieszkał. Było piątkowe popołudnie, kiedy przed domem zatrzymał się wóz pracownika MI-5. Na tylnym siedzeniu samochodu siedział Tommy. Obaj byli tym razem w Muzeum Lotnictwa w Hendon, gdzie chłopiec rozentuzjasmowany myśliwcami z minionych lat oświadczył, że zamierza być pilotem. Jego ojciec dobrze wiedział, że chłopiec w przeszłości decydował się na wybór już co najmniej sześciu różnych zawodów, był więc przekonany, że i ta pasja minie przed upływem roku.

Cieszył się z udanego popołudnia dla nich obu.

Banks zdawał się być nieco zaskoczony widokiem chłopca. Najwyraźniej nie oczekiwał jego obecności u boku ojca. Skinął głową i uśmiechnął się, a Preston przedstawił go Tommy'emu, mówiąc, że to "ktoś z biura".

- O co chodzi tym razem? - spytał Preston.

- Jeden z moich kolegów chce zamienić z tobą jeszcze parę słów - rzekł Banks powoli.

- Poniedziałek odpowiada ci? - spytał Preston. W niedzielę miał odwiedzić syna do Mayfair i przekazać go Julii.

Teraz. Czeka na ciebie.

- Znowu na tylnym siedzeniu w jakimś samochodzie? - zapytał Preston.

- Nno... nie, tym razem w małym mieszkanku w Chelsea, które trzymamy specjalnie do takich rozmów.

Preston westchnął. - Podaj mi adres. Pojadę tam, a ty zabierz Tommy'ego tymczasem na lody.

- Muszę potwierdzić - oznajmił Banks.

Podszedł do pobliskiej budki telefonicznej i zadzwonił. Preston z synem czekali na chodniku przed domem.

Banks wrócił po chwili kiwając głową twierdząco.

- W porządku - rzekł, podając Prestonowi kawałek papieru.

Preston odjechał swoim samochodem a Tommy z Banksem ruszyli w stronę ulubionej lodziarni chłopca.

Małe dyskretne mieszkanie kontaktowe znajdowało się w eleganckim budynku przy Chelsea Manor Street. Drzwi otworzył sam sir Nigel. Był jak zwykle uosobieniem nieco staroświeckiej uprzejmości. Zapewne gdyby ktoś został

doprowadzony przed jego oblicze przez czterech potężnych drabów, spętany jak kurczak, także powitałby go zwykłym: "Jak miło, że zechciałeś przyjść".

Teraz też odezwał się do niego w podobny sposób.

- Mój drogi John. Jak miło, że przyszedłeś.

Kiedy już usiedli w małym saloniku, Mistrz wyjął oryginał raportu Prestona. -

Moje serdeczne podziękowanie. Niezwykle interesujące.

- Ale widocznie nie w sposób oczywisty wiarygodne - odparł Preston. Irvine spojrzał na niego ostro, ale dobierał słowa bardzo ostrożnie.

- Raczej nie zgodziłbym się z taką oceną.

To rzekłszy, uśmiechnął się i zmienił nagle temat.

- Proszę, nie myśl źle o Barrym, ale poprosiłem go, by miał cię na oku.

Wydaje mi się, że nie jesteś zbyt zadowolony ze swojej obecnej pracy.

- Aktualnie w ogóle nie pracuję, sir. Udzielono mi przymusowego urlopu.

- Tak też myślałem. Czy to ma związek z czymś, co wydarzyło się w Glasgow?

- Nie otrzymał pan raportu o wypadkach w Glasgow z ubiegłego tygodnia?

Dotyczył rosyjskiego marynarza, jak sądzę, kuriera. - To z całą pewnością także sprawa "szóstki" prawda?

- Niewątpliwie wyślą nam ten raport niedługo - odpowiedział ostrożnie Irvine.

- Czy mógłbyś tymczasem opowiedzieć mi o wszystkim?

Preston zaczął od początku i zrelacjonował Mistrzowi całą historię, opatrzywszy ją swoim komentarzem. Sir Nigel siedział głęboko zamyślony.

Analizował dokładnie i uważnie każde słowo zasłyszanej relacji.

Przecież oni naprawdę nie mogą tego zrobić - myślał. - Nie mogą próbować naruszyć postanowień Czwartego Protokołu... A może jednak? Zdesperowani ludzie potrafią niekiedy chwycić się nieprawdopodobnych środków, a on miał wyjątkowe podstawy, żeby sądzić, iż w wielu dziedzinach - w produkcji żywności, w gospodarce, w kwestii Afganistanu i innych - Związek Radziecki był w sytuacji bliskiej załamaniu.

Zauważył, że Preston skończył mówić.

- Wybacz mi, zamyśliłem się - powiedział. - I co, twoim zdaniem, z tego wszystkiego wynika?

- Jestem pewien, że Siemionow nie był marynarzem, tylko kurierem. To, uważam, niezaprzeczalny fakt. Nie wierzę, że chroniłby z taką desperacją to, co przewoził, albo, że popełniłby samobójstwo, by uchronić się od przesłuchań, gdyby wcześniej nie poinstruowano go o znaczeniu misji.

- To brzmi dość rozsądnie - przyznał Nigel. - No więc?

- No więc, jestem pewien, że ktoś miał odebrać od niego ten krążek z polonu -

osobiście bądź za pośrednictwem skrzynki kontaktowej. Znaczy to, że ten ktoś jest tu, na miejscu. Chyba powinniśmy spróbować go wykryć.

Nigel ściągnął wargi. - Jeśli jest najlepszym z ich głęboko zakonspirowanych agentów wywiadu, wykrycie go jest zadaniem o podobnej skali trudności jak znalezienie igły w stogu siana - mruknął.

- Tak, wiem.

- Gdybyś nie został wysłany na przymusowy urlop, co byś zrobił, by go odnaleźć?

- Myślę, sir, że pojedynczy krążek z polonu nie przydałby się nikomu.

Cokolwiek próbuje tu zmontować nasz głęboko zakonspirowany agent - musi czekać na inne elementy. Jak widać po przypadku Siemionowa, ktoś podjął tu polityczną decyzję, że przewiezienie tych elementów pocztą dyplomatyczną nie wchodzi tym razem w grę. Nie wiem dlaczego. Znacznie łatwiej byłoby przecież przekazać tę przesyłkę, zaplombowaną razem z resztą poczty ambasady i potem podrzucić w umówionym punkcie kontaktowym, żeby agent ją odebrał. Wielokrotnie zadawałem sobie to pytanie, ale odpowiedź była wciąż taka sama - nie wiem.

- Jasne - przyznał Mistrz. - A więc?

- Jeżeli naprawdę mamy do czynienia z jednym przypadkowo ujawnionym przez nas elementem bomby, który sam w sobie jest bezużyteczny, to muszą być i inne. Być może kilka z nich zostało już dostarczonych. Ze zwykłego rachunku prawdopodobieństwa wynika, że jeszcze wiele może być kolejno przekazywanych.

Jak wynika z nowych ustaleń, przewożą je "muły" lub kurierzy udający nieszkodliwych marynarzy albo Bóg jeden wie, kogo jeszcze.

- No dobrze, ale co byś w tej sytuacji proponował - spytał Irvine.

Preston wziął głęboki oddech. - Zająłbym się sprawdzeniem wszystkich, którzy przybyli do Anglii z ZSRR w ciągu minionych czterdziestu, pięćdziesięciu a nawet stu dni. Nie możemy liczyć na kolejny napad chuliganów, ale kto wie, mógł być jeszcze jakiś wypadek. Zaostrzyłbym kontrolę wobec przybywających z ZSRR i ze wszystkich krajów bloku wschodniego, próbując przechwycić kolejny dostarczany element bomby. Jako szef C-5 (C), mógłbym to zrobić.

- A teraz myślisz, że nie będziesz miał tej szansy?

Preston pokręcił głową z rezygnacją. - Nawet gdyby jutro pozwolono mi wrócić do pracy, to i tak jestem prawie pewien, że zostałemby wyłączony z tej sprawy.

Wyraźnie uważają, że jestem specjalistą od fałszywych alarmów i niepotrzebnie zakłócam spokój.

Irvine pokiwał głową w głębokim zamyśleniu. - Niesnaski pomiędzy służbami nie są uważane za

rzecz stosowną - rzekł, jakby głośno myśląc. - Kiedy wysłałem cię do Afryki Południowej, twój wyjazd został zatwierdzony przez sir Bernarda. Później dowiedziałem się, że ten przydział, choć czasowy, spowodował, jakby to rzec, pogorszenie stosunków w pewnych biurach na Charles Street. No cóż, nie chcę otwartej wojny z siostrzaną służbą. Z drugiej jednak strony, cała ta sprawa może być tylko wierzchołkiem góry lodowej. Krótko mówiąc masz trzy tygodnie urlopu. Czy nie chciałbyś spędzić tego czasu pracując w dalszym ciągu nad tą sprawą?

- Dla kogo? - spytał zupełnie zaskoczony Preston.

- Dla mnie. Nie musiałbyś przychodzić do Sentinela. Zauważono by cię tam.

Rozeszłoby się to z pewnością.

- Gdzie miałbym więc pracować?

- Tutaj - odparł "C". - Mieszkanie jest małe, ale ze wszystkimi wygodami.

Mam odpowiednie pełnomocnictwa i mogę domagać się dokładnie wszystkich informacji, których ty mógłbyś żądać siedząc za biurkiem. Każdy wypadek dotyczący osoby przyjeżdżającej z państwa bloku wschodniego powinien być odnotowany w naszych kartotekach komputerowych albo zawierających pisemne raporty. Jako że nie masz tu dostępu do akt i do sieci komputerowej, postaram ci się dostarczyć wszystkie potrzebne akta i wydruki zawierające niezbędne dane. Co ty na to?

- Jeśli na Charles Street dowiedzą się o tym, będę skończony w "piątce" -

odrzekł Preston. Myślał o swoich poborach, emeryturze, szansach na otrzymanie nowej pracy w jego wieku i o Tommym.

- Jak myślisz, jak długo jeszcze będziesz pracował na Charles Street pod jej obecnym kierownictwem? - spytał Nigel.

- Niezbyt długo - roześmiał się Preston. - W porządku, sir, zrobię to. Chcę pracować nad tą sprawą. Tu gdzieś jest pies pogrzebany.

Irvine pokiwał głową z aprobatą. - Twardy z ciebie chłop, John. Lubię nieugiętość. To zazwyczaj przynosi rezultaty. Bądź tu w poniedziałek o dziewiątej.

Dwóch moich chłopców będzie na ciebie czekać. Proś ich o co zechcesz, a oni ci to dostarczą.

W poniedziałek rano, 20 kwietnia, kiedy Preston rozpoczął pracę w mieszkaniu w Chelsea, na lotnisko Heathrow przybył światowej sławy czeski pianista z Pragi. Następnego wieczoru miał dać koncert w Wigmore Hall. Władze lotniska zostały o tym uprzedzone, a wszelkie czynności formalne sprowadzono do niezbędnego minimum. Stary muzyk został powitany na lotnisku przez przedstawiciela organizacji Victor Hochhauser, a następnie zawieziony do Hotelu Cumberland wraz ze swoją niewielką świtą. Osobami towarzyszącymi pianiście byli -

jego krawiec, który z pełnym szacunku dla mistrza oddaniem zajmował się jego ubraniami i wszystkimi rekwizytami koncertowymi; sekretarka, zajmująca się sprawami jego korespondencji i wielbicieli, i wysoki, ponury facet nazwiskiem Liszka, zajmujący się sprawami finansowymi i wszelkimi negocjacjami z organizatorami koncertów, który sprawiał wrażenie, że żywi się wyłącznie tabletkami przeciw nadkwasocie żołądka. Tego dnia zażył ich więcej, niż zazwyczaj. Nie chciał

robić tego, czego od niego żądano, ale ludzie z SB okazali się wyjątkowo przekonujący. Nikt o zdrowych zmysłach nie przeciwstawia się świadomie czechosłowackiej SB, bo w przeciwnym razie mógłby zostać poproszony na dalsze rozmowy do jej głównej kwatery zwanej "Monastylem", której wszyscy w tym kraju się boją. Wywiadowcy wyjaśnili Liszce, że jego wnuczce będzie znacznie łatwiej dostać się na studia, jeżeli on byłby gotów im pomóc. Była to elegancko ukryta forma szantażu, z której jasno wynikało, że dziewczyna nie ma szans dostać się na uniwersytet, gdyby odmówił. Kiedy oddali mu jego buty - wyglądały dokładnie tak samo, jak przedtem. Zgodnie z instrukcją miał je tylko nosić przez cały czas lotu i pobytu na lotnisku.

Tego wieczoru jakiś mężczyzna pojawił się w recepcji hotelowej i uprzejmie spytał o numer pokoju Liszki. Odpowiedziano mu z równą uprzejmością. W pięć minut potem, o ustalonej z góry godzinie, rozległo się pukanie do drzwi. W szparze pod drzwiami pojawiła się kartka. Sprawdził kod identyfikacyjny, otworzył drzwi na szerokość kilku cali i wystawił na zewnątrz plastikową torbę z butami. Niewidoczne ręce zabrały ją, a Liszka zamknął drzwi. Kiedy strzępy papieru z podartej kartki zniknęły w muszli klozetowej, splukane wraz ze spuszczoną wodą, odetchnął z ulgą.

Poszło łatwiej niż tego oczekiwał. Teraz, pomyślał, możemy zająć się nareszcie dalszym załatwianiem spraw koncertowych.

Przed północą, w cichym zakątku Ipswich, buty dołączyły do opatrunku gipsowego i radia, znajdujących się w dolnej szufladzie bieliźniarki. Czwarty kurier wykonał swoje zadanie.

Sir Nigel Irvine odwiedził Prestona w mieszkaniu w Chelsea w piątek wieczorem. Pracownik MI- 5 wyglądał na wyraźnie wyczerpanego, a w mieszkaniu walały się dziesiątki dokumentów i papierów. Pracował bez przerwy przez pięć dni -

bez rezultatu. Zaczął od sprawdzenia wszystkich Rosjan, wjeżdżających do Wielkiej Brytanii w ciągu ostatnich czterdziestu dni. Były ich setki: delegaci, handlowcy, przemysłowcy, dziennikarze, związkowcy, zespół śpiewaczy z Gruzji, grupa taneczna Kozaków, dziesięciu ciężarowców wraz z ekipą towarzyszącą, grupa lekarzy udających się na konferencję medyczną w Manchesterze. Wszyscy byli Rosjanami.

Byli na jego listach także powracający z ZSRR różni turyści: ludzie interesujący się kulturą i sztuką, którzy podziwiali Ermitaż w Leningradzie, wycieczka szkolna śpiewająca z Kijowie i delegacja pacyfistów, dostarczająca pożywki radzieckiej propagandzie przez potępianie własnego kraju na konferencjach prasowych w Moskwie i Charkowie.

Na jego liście nie figurowali jednak na przykład członkowie załóg Aerofłotu, gdyż nie byli oni traktowani jako zwykli uczestnicy ruchu lotniczego. Nie mógł więc na niej znaleźć nazwiska pierwszego nawigacyjnego oficera Romanowa. Nie mogło tu być również ani jednej wzmianki o

rzekomym Duńczyku, który przyleciał do Birmingham z Paryża i wyjechał przez Manchester. Do środy Preston doszedł do wniosku, że pozostały mu dwie możliwości - pracować dalej nad przyjeżdżającymi z ZSRR, ale cofając się jeszcze sześćdziesiąt dni lub rozszerzyć zakres poszukiwań na wszystkich przybywających do Wielkiej Brytanii z bloku wschodniego. To oznaczało wiele tysięcy osób. Pozostał przy czterdziestu dniach, ale zajął się też mieszkańcami krajów niekomunistycznych. Groziło to ogromem papierkowej roboty. Pomógł mu trochę urząd celny. Skonfiskowano kilka drobiazgów, ale nie było wśród nich żadnego przedmiotu o niewyjaśnionym przeznaczeniu. Urząd imigracyjny nie zgłosił

przypadku posługiwania się podrobionym paszportem, ale to go nie zdziwiło.

Najdziwniejsze i najbardziej poniszczone fałszywe papiery przedstawiane przez przybyszów z krajów Trzeciego Świata nigdy nie były podrabiane w krajach komunistycznych, gdzie kontrole dokumentów przy wyjeździe są niezwykle surowe i byłoby mało prawdopodobne, aby ktoś posługujący się fałszywym paszportem dotarł

stamtąd aż do Wielkiej Brytanii i żeby tam dopiero wykryto fałszerstwo.

- A do tego - rzekł Preston ponuro - pozostają jeszcze ci, których w ogóle nie jesteśmy w stanie sprawdzić na dobrą sprawę: marynarze przybywający praktycznie bez żadnej kontroli do ponad dwudziestu portów handlowych; załogi pływających statków-przetwórci; załogi samolotów, które są poddawane kontrolom niezwykle rzadko; no i posiadający status dyplomatyczny, który ich osłania.

- Tak jak myślałem - rzekł Nigel. - To niełatwa sprawa. Czy orientujesz się, czego szukamy?

- Tak, sir. Poleciałem jednemu z pańskich chłopców spędzić poniedziałek w Aldermaston na szczegółowych rozmowach z ludźmi, od inżynierii nuklearnej.

Wygląda na to, że ten krążek polonu może stanowić jeden z elementów małej bomby atomowej, prostej i o niezbyt wielkiej mocy. Jeśli w ogóle można powiedzieć, że bomba atomowa może mieć "niewielką moc". - Wręczył Irvine'owi sporządzony w wyniku rozmów z fachowcami spis elementów.

- Tego właśnie, jak sądzę, szukamy.

"C" przyjrzał się sporządzonej liście elementów składowych bomby.

- Czy to już wszystko, czego do tego potrzeba? - spytał w końcu.

- Najwyraźniej tak. Nie wiedziałem, że to może być aż tak proste. Oprócz materiału rozszczepialnego i stalowej obudowy, poszczególne elementy można ukryć bez większej trudności.

- W porządku, co zamierzasz teraz zrobić, John?

- Szukam jakiegoś powtarzalnego elementu, jakiejś prawidłowości, sir. To wszystko, co mogę zrobić. Sprawdzam dane o przyjazdach i wyjazdach na podstawie numerów paszportów. Jeśli użyto jednego lub dwóch kurierów, to zapewne ich pobyt w naszym kraju był niezwykle krótki. Ci ludzie

musieli przybyć tutaj i wyjechać prawdopodobnie różnymi drogami. Jeżeli zdołam odnaleźć jakiś trop, jakiś ślad łączący tych ludzi ze sobą, może uda mi się wyodrębnić całą grupę - bo ja wiem? - na podstawie, na przykład, numerów paszportów. To niewiele - ale nie mam na razie nic innego.

Sir Nigel Irvine wstał.

- Rób to dalej, John. Będiesz miał zapewniony dostęp do wszystkiego, czego zażadasz. Módlmy się tylko, żeby ci, z którymi mamy do czynienia, kimkolwiek by oni byli, potknęli się i użyli do tej roboty przynajmniej dwukrotnie albo trzykrotnie tego samego kuriera.

Major Wołkow był w lepszej sytuacji. Nie działał na ślepo. Nie miał pojęcia, co stanowiły poszczególne elementy przesyłki, ani do czego miały służyć. Wiedział

tylko, że ma dopilnować, aby kurierzy dotarli do Wielkiej Brytanii i bezpiecznie stamtąd powrócili, oraz, że żadna informacja na ich temat nie może dotrzeć do rezydentury KGB w ambasadzie w Londynie.

Miał dokonać przerzutu dziewięciu lub ewentualnie dwunastu przygotowanych kurierów. Kilku z nich nie było zawodowcami, ale w sytuacji, kiedy ich działania zostały idealnie zakonspirowane a podróż związaną z wykonaniem zadania zaaranżowano na parę tygodni, a nawet miesiący wcześniej - jak w przypadku Czecha Liszki - nie miał się czego obawiać.

Aby nie pozbawić generała - majora Borysowa dalszych dwunastu głęboko zakonspirowanych agentów i ich legend, rozszerzył obszar werbunku ludzi do wypełnienia tego zadania poza terytorium ZSRR, korzystając z pomocy trzech siostrzanych służb: St. B z Czechosłowacji, SB z Polski i najbardziej oddanej ale posłusznej Hampt Verwahrung Aufhlowung (HVA) z NRD.

Wschodnie Niemcy były szczególnie dobre. Podczas gdy polskie i czeskie społeczności istniały tylko jako grupy emigrantów w RFN, Francji i Wielkiej Brytanii, NRD miała wielką przewagę z powodu etnicznej tożsamości z RFN i dlatego, że miliony byłych obywateli NRD uciekło na zachód i mieszkało obecnie w RFN. HVA z Berlina Wschodniego miało większą liczbę głęboko zakonspirowanych agentów przebywających w RFN niż jakakolwiek inna służba wywiadowcza bloku wschodniego. Wołkow zdecydował się użyć tylko dwóch Rosjan, którzy mieli pójść w pierwszej kolejności. Nie mógł wiedzieć, że jeden z nich zostanie pobity przez uliczną bandę chuliganów, ani tym bardziej, że przesyłka, którą przewoził fałszywy marynarz, nie była już bezpiecznie ukryta w policyjnym sejfie. Podjął stosowne środki ostrożności, ponieważ leżało to w jego naturze i ponieważ zawsze go tego uczono.

Do przewiezienia kolejnych siedmiu ładunków zamierzał użyć jednego kuriera z Polski, dwóch Czechów (w tym Liszkę) i czterech Niemców. Dziesiąty kurier, ten, który miał zastąpić nieżyjącego drugiego, również pochodził z Polski. Ponieważ w dwóch pojazdach należało przeprowadzić pewne zmiany konstrukcyjne, Wołkow musiał skorzystać z garażu i warsztatu prowadzonego przez HVA w Brunzwiku, w RFN. Tylko dwóch Rosjan i Czech Liszka miało przybyć do Wielkiej Brytanii z krajów bloku wschodniego. Teraz dochodził do tego jeszcze jeden - dziesiąty kurier, który przyleci z przesyłką na pokładzie samolotu Polskich Linii Lotniczych LOT.

Wołkow po prostu nie pozwolił na powstanie powtarzalnego schematu kanału przerzutowego, którego bezskutecznie poszukiwał teraz Preston, pogrążony w morzu papierów w Chelsea.

Sir Nigel Irvine, jak większość ludzi pracujących w centrum Londynu, starał

się spędzać weekendy za miastem, by zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. On i lady Irvine w ciągu tygodnia mieszkali w Londynie, ale mieli również mały, wiejski domek w południowo-wschodnim Dorset, na wyspie Purbeck, w wiosce Langton Matravers.

Tej niedzieli "C" założył tweedowy płaszcz, kapelusz i udał się na skały nad Champan's Pool w St. Albans Head. Słońce świeciło mocno, ale wiał przenikliwy wiatr. Wszedł na szczyt i pogrążył się w rozmyślaniach, od czasu do czasu patrząc na spienione fale Kanału La Manche zwanego tu Kanałem Angielskim. Myślał

intensywnie nad sprawą raportu Prestona. Czy był to tylko zbieg okoliczności? Czy tylko luźne źdźbła trawy wirujące na wietrze? Skąd może mieć pewność? Może to zwyczajne bzdury będące wymysłem obdarzonego zbyt bujną wyobraźnią pracownika pewnej państwowej służby i zdziwaczałego naukowca?

Ale jeśli to wszystko było prawdą, to czy istnieją inne ogniwa łańcucha, prócz małego krążka polonu z Leningradu, który nieproszony trafił do komisariatu w Glasgow? Jeśli ów metalowy krążek był tym, za co uważał go Wynne-Evans, to cóż mogłoby to oznaczać? Czy to możliwe, żeby daleko stąd, za tymi wzbijającymi się o brzeg falami, ktoś naprawdę próbował naruszyć postanowienia Czwartego Protokołu?

A jeśli tak, to kto? Czebrikow i Kriuczow z KGB? Nigdy nie ośmieliliby się zrobić czegokolwiek bez wiedzy sekretarza generalnego. A jeżeli sekretarz generalny miałby stać osobiście za tą sprawą, to... dlaczego? Czemu nie użyto poczty dyplomatycznej?

To byłoby o wiele prostsze, łatwiejsze, bezpieczniejsze.

Pomyślał, że potrafi znaleźć logiczne wyjaśnienie tej ostatniej wątpliwości.

Przekazując przesyłkę za pomocą worka z pocztą dyplomatyczną musiano by korzystać z pośrednictwa rezydentury KGB działającej w ambasadzie. "C" wiedział

lepiej niż Czebrikow, Kriuczow lub sekretarz generalny, że rezydentura była regularnie inwigilowana. Miał tam swoją wtyczkę, jego agentem był tam przecież Andrejew. To zaczynało układać się w logiczną całość. Sekretarz generalny, myślał

"C", miał powód, by być wstrząśnięty ostatnim gwałtownym wzrostem dezercji z KGB. Napływające wiadomości pozwalały stwierdzić, że rozczarowanie ustrojem w Rosji obejmowało coraz szersze kręgi na wszystkich szczeblach struktur społecznych i zaczęło ogarniać nawet elitę. Oprócz zrad i ucieczek rozpoczętych w latach siedemdziesiątych i stopniowo narastających w latach osiemdziesiątych, ostatnio na całym świecie miały miejsce przypadki wydalania dyplomatów radzieckich. Były one spowodowane częściowo ich własną desperacją w usiłowaniach werbowania

agentów za wszelką cenę. Ta desperacja pogłębiała się jeszcze, gdy kolejni, mający osłonę dyplomatyczną, oficerowie prowadzący grę agentów, byli usuwani z placówek, co doprowadziło do całkowitego zablokowania istniejących siatek szpiegowskich tworzonych latami. Nawet kraje Trzeciego Świata, które dziesięć lat temu robiły dokładnie to, czego chciał ZSRR, obecnie same zaczynały egzekwować swoje prawa do niezależności także wydalając radzieckich agentów zachowujących się w sposób wyraźnie niedyplomatyczny.

W tych warunkach przeprowadzenie całej operacji bez wiedzy aparatu KGB

byłoby całkiem prawdopodobne. Nigel słyszał nieraz, że sekretarz generalny stał się aż do przesady uczulony na punkcie penetracji KGB przez agentów zachodnich. W

społeczności wywiadowczej istniało głębokie przekonanie, że każdy agent, który zdradził i uciekł posiada przynajmniej jednego dublera.

Ale wracając do sprawy - pomyślał Irvine - jedno jest pewne, że ktoś stamtąd wysłał kurierów wwożących elementy odpowiedniego ładunku do Wielkiej Brytanii. -

Niebezpiecznego ładunku, mającego spowodować anarchię i chaos w stopniu, jakiego jeszcze nie potrafił sobie wyobrazić, ale w którego próbę wywołania przestawał

obecnie coraz bardziej wątpić. Było też pewne, że ten ktoś pracował dla kogoś innego, bardzo potężnego, kto nie darzył miłością tej małej wyspy.

Nie znajdziesz ich, John - mruknął do siebie i do nieustającego wiatru - jesteś dobry, ale oni są jeszcze lepsi od ciebie. I oni mają wszystkie asy w ręku.

Sir Nigel Irvine był jednym z ostatnich przedstawicieli starej gwardii, człowiekiem mijającej epoki i obowiązujących w niej zasad wychowania. Jednym z tych, których zastępowali teraz we wszystkich strukturach brytyjskiego społeczeństwa nowi, zupełnie inni ludzie. Nawet w najwyższych kierowniczych kręgach pracowników służby cywilnej, gdzie kontynuacja stylu i typu wysokiego urzędnika państwowego była czymś w rodzaju wiernie strzeżonego domowego bóstwa, któremu wszyscy dotąd służyli. Patrzył więc na kanał, tak jak robiło to przed nim wielu Anglików w trudnych momentach i podjął ostateczną decyzję. Nie był do końca przekonany, że jest nowa realna groźba, która zawisła obecnie nad krajem jego przodków. Wiedział jedynie, że możliwość takiego zagrożenia istnieje. To mu jednakże całkowicie wystarczało, żeby uznać za konieczne podjęcie stosownych działań.

Nieco dalej na wybrzeżu, niedaleko Newhawen, niewielkiego portu w Sussex, inny mężczyzna spoglądał w tym samym czasie na spienione fale kanału. Miał na sobie skórzany, czarny kombinezon, a jego kask leżał na zaparkowanym opodal motocyklu marki BMW. Kilko niedzielnych przechodniów minęło go idąc w dół

zbocza, ale nie zwróciło na niego uwagi. Obserwował zbliżający się do brzegu prom, zmierzający w stronę portowej przystani. "Cornuailles" przybędzie z Dieppe za 30

minut. Gdzieś na jego pokładzie powinien znajdować się piąty kurier. Piąty kurier rzeczywiście znajdował się na pokładzie spacerowym promu i również patrzył z niecierpliwością na przybliżające się z każdą chwilą zarysy brytyjskiego wybrzeża.

Był jednym z tych, którzy nie podróżowali samochodem, ale miał w kieszeni bilet na pociąg, który prosto z promu zawoził go do Londynu. Jego paszport wystawiony był

na nazwisko Antona Zelewskiego, co zresztą było całkowicie zgodne z prawdą. Jak zauważył oficer imigracyjny, paszport był RFN-owski - nie było w tym nic szczególnego. Setki tysięcy mieszkańców RFN ma polsko brzmiące nazwiska.

Pozwolono mu przejść dalej bez przeszkód do kontroli celnej. Celnicy obejrzeni jego walizkę i torbę z drobiazgami kupionymi w wolnocłowym sklepie, które nabył na statku. Butelka ginu i zamknięte pudełko, zawierające dwadzieścia pięć cygar, mieściło się w granicach dopuszczalnych limitów przewozu tych artykułów do Wielkiej Brytanii. Celnik pozwolił mu więc przejść dalej i zajął się następnym pasażerem.

Zelewski rzeczywiście kupił pudełko z cygarami w sklepie na pokładzie

“Cornuailles”. Uczyniwszy to, poszedł do łazienki, odkleił z niego nalepkę z napisem:

“Wolne od cła”, a potem nakleił ją na drugie identyczne pudełko, które przywiózł ze sobą. Pudełko zakupione na statku wyrzucił potem za burtę, prosto do pochłaniającego wszystko morza. W pociągu do Londynu Zelewski odszukał wagon pierwszej klasy, znajdujący się tuż za lokomotywą, zajął w nim wybrane wcześniej miejsce przy oknie i czekał. Tuż przed Lewes drzwi otworzyły się i stanął w nich mężczyzna w czarnym skórzanym kombinezonie. Jednym spojrzeniem zmierzył cały przedział, upewniając się, że prócz niego i Niemca nie ma nikogo.

- Czy ten pociąg jedzie prosto do Londynu? - spytał z nieskazitelnym angielskim akcentem.

- Wydaje mi się, że zatrzymuje się również w Lewes - odparł Zelewski.

Mężczyzna wyciągnął rękę, Zelewski podał mu płaskie pudełko cygar.

Mężczyzna włożył je pod kurtkę, zapiał ją na zamek błyskawiczny. Skinął głową i wyszedł. Kiedy pociąg ruszał ze stacji w Lewes, Zelewski zobaczył tego samego mężczyznę raz jeszcze, jak stał na peronie przy torze prowadzącym w przeciwną stronę, czekając na pociąg powrotny w kierunku Newhaven. Przed północą cygara dołączyły do radia, opatrunku gipsowego i butów, znajdujących się już w Ipswich.

Piąty kurier wykonał swoje zadanie.

Sir Nigel miał rację. Do czwartku, ostatniego dnia kwietnia, stopy wydruków komputerowych nie wskazały powtarzalnego schematu działania u żadnego z obywateli państw bloku wschodniego. Niezależnie od tego, z jakich miejscowości i przez jakie punkty graniczne przyjechali przybywający

ponownie do Wielkiej Brytanii w ciągu ostatnich 40 dni. Nie udało się też stwierdzić żadnej prawidłowości sposobu i częstotliwości pojawiania się w Wielkiej Brytanii ani jednej z osób przybyłych z krajów bloku wschodniego w tym samym okresie. Ustalono wprawdzie pewną liczbę paszportów zawierających różne nieprawidłowości, lecz wszystkie okazały się nieistotne, a ich liczba była zgodna z przeciętną normą. Każdy wątpliwy paszport został dokładnie sprawdzony, właściciel przeszukany szczegółowo, a odpowiedzią nadal była jedynie wielka niewiadoma. W końcu na liście zostały tylko trzy paszporty.

Dwa z nich należały do osób uprzednio deportowanych, obecnie poszukiwanych w celu ponownego wydalenia z kraju. Jeden zaś do pewnej ważnej osobistości amerykańskiego świata przestępczego, powiązanej ze światem gier hazardowych i narkotykami. Wszystkie te osoby zostały także dokładnie sprawdzone przed przymusowym wsadzeniem do najbliższego samolotu, który miał je zabrać do miejsca startu, lecz nie zdobyto ani cienia dowodu, że były one kurierami z Moskwy.

Jeśli używają do tego obywatele krajów zachodnich lub też głęboko zakonspirowanych na zachodzie agentów z nienagannymi dokumentami odpowiednich krajów, nigdy ich nie znajdę - pomyślał zrozpaczony Preston.

Sir Nigel odwołał się ponownie do swej długoletniej przyjaźni z sir Bernardem Hemmings'em - by zapewnić sobie współpracę "piątki".

- Mam powód przypuszczać, że Centrala zamierza spróbować przemycić pewnego ważnego zakonspirowanego agenta do naszego kraju w ciągu najbliższych kilku tygodni - powiedział. - Problem, Bernardzie, polega na tym, że nie znam jego tożsamości, rysopisu ani punktu przerzutu. Dlatego też każda pomoc ze strony ludzi na przejściach granicznych byłaby szczególnie cenna.

Sir Bernard potraktował tę przyjacielską prośbę jednoznacznie. Uczynił z niej oficjalną operację całej "piątki" i cała armia podległych mu służb: celnych, imigracyjnych, oddziałów specjalnych i policji portowej - miała oczy otwarte szerzej niż zwykle, zarówno na cudzoziemców próbujących prześliznąć się przez kontrole, jak i na należące do nich dziwne lub zastanawiające przedmioty przewożone w bagażach.

Przekazane przez Nigela wyjaśnienia, były na tyle wiarygodne, że nawet Brian Harcourt-Smith nie łączył w żaden sposób całej sprawy z raportem Johna Prestona dotyczącym krążka polonu znajdującego się jeszcze ciągle w teczce spraw nie zadekretowanych.

Turystyczny dom na kołach, samochód campingowy z pełnym wyposażeniem przybył do Wielkiej Brytanii dokładnie 1 maja. Miał rejestrację RFN. Przypłynął do Dover promem z Calais. Właścicielem i kierowcą wozu, którego papiery były w idealnym porządku, był Helmut Dorn, podróżujący wraz z żoną Lizą i dwojgiem dzieci: 5-letnim Uwe i 7-letnią Brigitte. Kiedy zakończyła się odprawa paszportowa, samochód podjechał do przejazdu na tak zwanej zielonej linii, dla przekraczających granicę wozów, których właściciele nie zgłaszali nic do oclenia. Ale jeden z celników kazał im się zatrzymać. Po ponownej kontroli dokumentów (wszystkie były w porządku) celnik poprosił, by otwarto tylne drzwi wozu. Herr Dorn zrobił, co mu kazano.

Dwoje dzieci bawiło się na podłodze powierzchni mieszkalnej z tyłu samochodu i zamarło w

bezruchu, gdy zobaczyło celnika. Pokiwał przyjaźnie głową i uśmiechnął się do nich. One również się wtedy roześmiały. Rozejrzał się uważnie po czystym i porządnie utrzymanym wnętrzu mieszkalnej części samochodu, a potem zaczął przeglądać szuflady i szafki. Jeśli Herr Dorn był zdenerwowany, ukrywał to wręcz po mistrzowsku.

Większość szuflad zawierała to, co zazwyczaj rodzina zabiera ze sobą na wędrowne wakacje - ubrania, naczynia kuchenne i tak dalej. Celnik uniósł w górę boczne siedzenia, pod którymi również znajdowały się schowki. Jeden z nich przeznaczono tylko na dziecięce zabawki. Były tam duże lalki, niedźwiadek i cały zestaw miękkich gumowych piłek pomalowanych jaskrawo w duże, różnobarwne koła.

Dziewczynka przewyciężając swoją nieśmiałość sięgnęła do schowka i wyjęła jedną z lalek. Mówiła przy tym coś do celnika po niemiecku z dziecięcym zapałem. Nie rozumiał jej wprawdzie, ale pokiwał potakująco głową i uśmiechnął się do niej.

- To bardzo ładnie, dziecinko - rzekł, wysiadł z wozu i zwrócił się do Herr Dorna. - W porządku, sir. Życzę przyjemnych wakacji. Samochód campingowy wyjechał na drogę do Dover, a potem na autostradę prowadzącą do dolnej części hrabstwa Kent w kierunku Londynu.

- Gott sei Dank - westchnął Dorn do żony. - Wir sind durch. Rzeczywiście należało dziękować Bogu, że udało im się przejechać.

Sprawdzała trasę na mapie, ale droga okazała się dość prosta. Autostrada M 20

prowadząca do Londynu, była oznaczona tak wyraźnie, że nie sposób było coś pomylić. Dorn parę razy spoglądał na zegarek. Był trochę spóźniony, ale miał wyraźny rozkaz, że w żadnym razie nie wolno mu przekroczyć obowiązującego ograniczenia prędkości.

Bez trudu odnaleźli wioskę Charing i niewielką knajpkę "Happy Eater", leżącą nieco dalej na północnym krańcu wsi po lewej stronie drogi. Dorn zatrzymał wóz na parkingu. Lisa Dorn zabrała dzieci ze sobą na małą przekąskę. Dorn, zgodnie z otrzymanymi rozkazami, uniósł maskę wozu i włożył pod nią głowę tak, jakby szukał

jakiegoś uszkodzenia silnika. Parę sekund potem poczuł, że ktoś za nim stoi, i podniósł wzrok. Obok niego stał młody Anglik ubrany w czarny, skórzany kombinezon motocyklowy.

- Jakies drobne kłopoty? - spytał.

- To chyba gaźnik - odrzekł Dorn.

- Nie sądzę - odparł motocyklista. - Podejrzewam, że to sprawka rozdzielacza.

A poza tym spóźnił się pan.

- Przykro mi. To przez ten prom. I odprawę celną. Przesyłkę mam z tyłu, w wozie.

Wszedłszy do samochodu, motocyklista wyjął spod kurtki torbę, podczas gdy Dorn pochylił się i

stękając z wysiłkiem i natężając się widocznie wyjął ze schowka na zabawki jedną z leżących tam piłek. Miała tylko około 6 cali średnicy, ale ważyła ponad 40 funtów. Czysty uran 235 jest dwukrotnie cięższy od ołowiu.

Pietrowski musiał użyć całej swojej niebagatelnej siły, żeby przenieść torbę, trzymaną w jednym ręku, jak gdyby nic w niej nie było, do zaparkowanego opodal motocykla. Nie chciał bowiem zwracać na siebie uwagi, i nikt go nie zauważył. Dorn zatrzasnął maskę wozu i wszedł zaraz potem do knajpki, żeby dosiąść się do stolika zajętego przez jego rodzinę.

Motocykl, wraz z ładunkiem umieszczonym w specjalnie skonstruowanym bagażniku z rykiem pomknął w stronę Londynu, Dartford Tunnel i Suffolk. Kurier szósty wykonał swoje zadanie.

4 maja Preston uznał, że zabrnął w ślepią uliczkę. Prawie trzy tygodnie pracy -

i nic. Nadal nie miał właściwie nic prócz zwykłego krążka polonu, który w sumie trafił w jego ręce przez czysty przypadek. Wiedział, że nie jest w stanie sprawić, żeby każdy przybywający do Wielkiej Brytanii był poddawany drobiazgowej osobistej kontroli. Jedyne, co mógł zrobić, to zwrócić baczniejszą uwagę na wszystkich, którzy przyjeżdżali z krajów bloku wschodniego. Miał być również natychmiast informowany o każdym przypadku zatrzymania osoby legitymującej się podejrzanym paszportem. Była jednak jeszcze jedna ostatnia szansa.

Z informacji przekazanych mu przez ekspertów w dziedzinie inżynierii nuklearnej z Aldermaston, wynikało, że trzy elementy składające się na najbardziej uproszczony model bomby atomowej powinny charakteryzować się niespotykane dużą wagą. Pierwszym z nich powinien być blok czystego uranu 235, drugim cylinder lub kula wykonana z ekstra stali twardej o grubości około jednego cala, trzecim -

stalowa rura, również ze stali wysokiej jakości i dobrze utwardzonej, także o grubości jednego cala mierząca około 18 cali długości i ważąca 30 funtów. Zakładał, że przynajmniej te trzy elementy muszą zostać przywiezione samochodami i zalecił

zwrócenie szczególnej uwagi na zagraniczne wozy i ich ładunek, a zwłaszcza na wszystkie przedmioty w kształcie kuli lub cylindra charakteryzujące się niezwykle dużą wagą.

Wiedział, że zakres jego poszukiwań był niezwykle rozległy. Na przejściach granicznych Wielkiej Brytanii stale pojawiał się sznur motocykli, samochodów, ciężarówek i półciężarówek. Równie długi sznur pojazdów opuszczał wyspę każdego dnia. Sprawdzanie przewozów towarowych wystarczyłoby zupełnie. Gdyby każdą z ciężarówek zatrzymywać i gruntownie przeszukiwać, cały kraj zostałby sparaliżowany. Szukał igły w stogu siana, nawet nie mając magnesu.

Ciągłe napięcie zaczęło dawać się we znaki Georgowi Berensonowi. Żona opuściła go i przebywała od dłuższego czasu u swego brata w Yorkshire. Odbył już dwanaście spotkań z ludźmi z ministerstwa i zidentyfikował dla nich wszystkie dokumenty, które przekazał Janowi Marais. Wiedział, że był obserwowany i to wcale nie pomagało jego starganym nerwom.

Nie pomagała mu także, towarzysząca stale podczas codziennej drogi do ministerstwa, przykra

świadomość, że Podsekretarz Stanu, sir Peregrin J. Jones wiedział już o jego zdradzie. Głównym powodem narastającego napięcia był jednak fakt, że od czasu do czasu musiał przekazywać Janowi Marais specjalnie spreparowane dokumenty, które miały za jego pośrednictwem trafić do Moskwy.

Odkąd dowiedział się, że ten obywatel Południowej Afryki jest radzieckim agentem, praktycznie przestał się z nim bezpośrednio spotykać. Czytał jednak dokładnie wszystkie dokumenty, które mu przekazywał - na wypadek, gdyby Marais zażądał

kiedyś wyjaśnień dotyczących spraw zawartych w którymś z nich.

Za każdym razem, gdy przeglądał dostarczane mu spreparowane dokumenty, zadziwiała go bystrość ludzi, którzy je sporządzali. Każdy egzemplarz opierał się na prawdziwym dokumencie, który trafił kiedyś na jego biurko, a zmiany, jakie w nim wprowadzono, były praktycznie niedostrzegalne. Efekt powinien być piorunujący, a Rosjanie otrzymają szereg informacji, które w sumie utworzą fałszywy obraz potęgi i gotowości bojowej sił Wielkiej Brytanii i pozostałych państw NATO.

We środę, 6 maja, na jego biurku pojawiło się siedem stronich oznaczonych napisem Ścisłe Tajne lub Badania Kosmiczne. Kiedy przejrzał jedną z nich, jego brwi uniosły się nagle w geście niemego zdumienia. Przekazał je Benottiemu z lodziarni jeszcze tego samego wieczora, a w 24 godziny potem odebrał zaszyfrowany telefon, który miał oznaczać, że przesyłka bezpiecznie dotarła na miejsce przeznaczenia.

W niedzielę, 10 maja, w zamkniętej i odizolowanej od świata zewnętrznego sypialni mieszkania przy Cherryhayes Close, Walery Pietrowski pochylał się nad przenośnym odbiornikiem radiowym dużej mocy i nasłuchiwał potoku sygnałów Morse'a nadawanych na określonej uprzednio częstotliwości fal radia Moskwa. Jego stacja nie miała nadajnika. Moskwa nigdy nie pozwalała swym cennym agentom narażać się poprzez nadawanie swych meldunków tam, gdzie działały tak dobre brytyjskie i amerykańskie stacje (goniometryczne). Było to duże radio firmy Braun, dostępne w każdym większym sklepie z urządzeniami elektronicznymi, które mogło odebrać prawie każde pasmo fal radiowych na świecie.

Pietrowski był zdenerwowany. Minał już miesiąc, odkąd zrobił użytek z nadajnika firmy Poplar, powiadomił Moskwę o utracie kuriera wraz z ładunkiem i poprosił o ponowne dostarczenie przesyłki. Co drugi dzień wieczorem i co drugi dzień rano, jeżeli tylko nie musiał w ten dzień udawać się na umówione spotkanie, oczekiwał odpowiedzi. Jak dotąd jednak odpowiedź nie nadeszła.

Dziesięć po dziesiątej tego wieczoru usłyszał wreszcie swój sygnał

wywoławczy. Miał już przygotowaną książkę kodów i ołówek. Po krótkiej chwili rozpoczęło się nadawanie przeznaczonej dla niego informacji. Błyskawicznie notował

podawane litery, zbiór liczb niemożliwych do rozszyfrowania, tłumacząc od razu Morse'a na angielski. Niemcy, Brytyjczycy i Amerykanie zarejestrują te same litery i cyfry w swoich stacjach nasłuchowych, ale na nic im się to nie przyda.

Kiedy transmisja się skończyła, wyłączył radio, usiadł przy stole, wybrał

odpowiedni kod i rozpoczął rozszyfrowywanie. Zajęło mu to 15 minut. Kurier dziesiąty zastąpił drugiego. RVT - powtórzone 3 razy. RVT - oznaczało Rendez-vous T.

Wiedział, na czym polegało spotkanie T. Była to jedna z alternatyw planu, którą należało wprowadzić w życie jedynie w razie zaistnienia sytuacji wyższej konieczności, a taka sytuacja właśnie zaistniała. Spotkanie miało nastąpić w hotelu na lotnisku. Wolałby, aby zaplanowano je na jakiejś stacji kolejowej lub w przydrożnej knajpce, ale wiedział, że choć stanowił centralną sprężynę całej operacji - istniało kilku kurierów, którzy z powodów zawodowych przebywali w Londynie jedynie przez parę godzin i nie mogli opuszczać miasta.

Był jednak jeszcze jeden problem. Spotkanie z dziesiątym kurierem miało nastąpić pomiędzy spotkaniami z dwoma innymi. Było zwłaszcza niewiele czasu na dotarcie do miejsca, gdzie miał odebrać przesyłkę od siódmego kuriera. Dziesiąty miał spotkać się z nim w porze śniadaniowej w Post House, na lotnisku Heathrow.

Siódmy będzie zaś czekał na parkingu hotelowym w Colchester, tego samego rana o 11. Miał przed sobą szaleńczą jazdę, ale było to jeszcze wykonalne.

Późnym wieczorem, we wtorek, 12 maja w rezydencji brytyjskiego premiera na Downing Street 10 wciąż paliły się światła. Pani M. Thatcher zwołała swoich najbliższych doradców i członków gabinetu na strategiczną naradę. Jedynym tematem na porządku dziennym tego spotkania były zbliżające się wybory powszechne oraz uzgodnienie związanych z nimi kwestii formalnych i terminowych.

Jak zwykle, na wstępie ona sama przedstawiła jasno swój punkt widzenia.

Była przekonana, że będzie miała prawo po raz trzeci ubiegać się o urząd premiera, mimo że konstytucja pozwalała jej rządzić tylko do czerwca 1988 r. Kilka osób wątpiło od początku w celowość rozpisywania tak wczesnych ogólnokrajowych wyborów. Ale mając doświadczenia z poprzedniej kampanii, nie były pewne, czy ich głosy w ogóle na coś się przydadzą. Gdy brytyjska pani premier była do czegoś przekonana, potrzeba było poważnych kontrargumentów, żeby ją od tego odwieść.

Aktualna statystyka wyników badań popularności świadczyła, że popierano ją w tej kwestii. Przewodniczący Partii Konserwatywnej miał w małym palcu wyniki badań opinii publicznej. Sojusz Liberalów i Socjaldemokratów mógł nadal liczyć na poparcie około 20 procent wyborców. Mogło to oznaczać, że w Wielkiej Brytanii, gdzie bezwzględna liczba otrzymanych głosów nie decyduje o wygranej jak we Francji, ani nie ma proporcjonalnych wyborów przedstawicieli biorących w nich udział partii jak w Irlandii, obowiązująca ordynacja wyborcza dawała sojuszowi zaledwie od 15 do 20 miejsc w Parlamencie. Z 17 mandatów Północnej Irlandii 12

powinno najprawdopodobniej przypaść różnego rodzaju związkowcom, którzy mogli popierać w Parlamencie Konserwatystów a 5 odłomom różnych frakcji nacjonalistów, którzy mogliby w ogóle bojkotować Londyn lub głosować za radykalną lewicą.

Pozostawało zatem 613 okręgów wyborczych, w których odbywała się tradycyjna walka między

Partią Konserwatywną i Partią Pracy. Dla uzyskania bezwzględnej większości Margaret Thatcher musiałaby uzyskać dla swej partii mandaty w 325 z nich.

Ostatnie wyniki badań opinii publicznej wykazały, ciągnął przewodniczący Partii Konserwatywnej, że pozostaje jedynie o cztery punkty za konserwatystami w obecnych szacunkach szans wyborczych. Radykalna lewica stanowiła zawsze mało liczące się ugrupowanie, a skrajna lewica była odrzucana. Ale lewe skrzydło Partii Pracy dzięki przemyślanej zmianie programu oraz publicznym wystąpieniom w telewizji członków opozycyjnego gabinetu cieni przez okres minionego roku zbliżyła się do skrzydła centrystycznego. Partia Pracy prawie odzyskała w tym czasie zaufanie brytyjskiej opinii publicznej, jako alternatywna wobec konserwatystów rządząca siła polityczna. Przewodniczący poinformował swoich zmartwionych kolegów, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy przewaga konserwatystów spadła o dwa punkty i była obecnie o jeden punkt niższa niż trzy miesiące temu. Kierunek spadku popularności był czytelny, potwierdzały go informacje z okręgów wyborczych w terenie. Analiza wskaźników ekonomicznych pozwalała przewidywać, że przez pewien czas sytuacja gospodarcza będzie się kształtować pomyślnie. Dobra pogoda i napływ pracowników sezonowych pozwoliły przejściowo pokonać problemy zatrudnienia. Jesienią jednak należało oczekiwać strajków pracowników sektora uspołecznionego na tle żądań płacowych. Gdyby sytuacja się zaostrzyła popularność konserwatystów mogłaby gwałtownie spaść w zimie i na tym niskim poziomie utrzymać się aż do wiosny.

Około północy zebrani doszli do porozumienia, że wybory należy odłożyć aż do czerwca 1988 lub też zorganizować je nie później niż latem 1987. Tylko jeden punkt wywołał gorącą dyskusję - czas trwania kampanii wyborczej. W Wielkiej Brytanii zazwyczaj trwa ona cztery tygodnie i kończy się w czwartek ostatniego tygodnia. Postanowiono ją skrócić do trzech. Instynkt mówił pani premier, że opozycja w ciągu trzech tygodni nie potrafi przeprowadzić skróconej kampanii.

Chodziło o to aby nie była jeszcze gotowa do wyborów.

Ustalono ostatecznie, że pani premier zwróci się do królowej o audiencję w czwartek 28 maja. Wystąpi wówczas z wnioskiem o rozwiązanie parlamentu i rozpisanie nowych wyborów. Zgodnie z tradycją zaraz po audiencji powinna wygłosić publiczne oświadczenie w swojej siedzibie przy Downing Street 10. Od tego momentu rozpocznie się kampania wyborcza. Datę wyborów ustalono na czwartek 18

czerwca.

Podczas gdy ministrowie jeszcze spali po ciężkich nocnych obradach, na godzinę przed świtem ciężki motocykl marki BMW pędził w kierunku Londynu.

Pietrowski jechał w kierunku Hotelu Post House na lotnisku Heathrow. Zaparkował

motocykl na parking, zamknął go na zabezpieczający zamek, zamknął kask w specjalnym pojemniku zamontowanym za tylnym siodełkiem.

Zdjął z siebie czarny skórzany kombinezon motocyklowy. Pod spodem miał

zwykle spodnie z szarej flaneli. Nieco pomięte, ale przyzwoicie wyglądające. Zdjął

wysokie buty motocyklowe i założył zwykłe półbuty. Z pojemnika wyjął bliżej nieokreśloną marynarkę tweedową i beżowy płaszcz. Kiedy, pozostawiwszy swą maszynę, udawał się w kierunku recepcji hotelowej, wyglądał jak przeciętny człowiek ubrany w zwykły płaszcz przeciwdeszczowy.

Karol Woźniak nie spał najlepiej. Poprzedniego dnia przeżył prawdziwy szok.

Normalnie załogi PLL LOT, gdzie był starszym stewardem, przechodzą przez odprawę celną i imigracyjną, która stanowi jedynie czystą formalność. Tym razem jednak przeszukano ich naprawdę dokładnie. Kiedy zajmujący się nim brytyjski celnik zaczął szperać w jego przyborach do golenia, był niemal chory ze strachu. Kiedy mężczyzna wyjął elektryczną maszynkę do golenia, którą pracownicy SB wręczyli mu w Warszawie tuż przed odlotem, wydawało mu się, że zemdleje. Na szczęście nie była to maszynka na baterie ani do ładowania. W pobliżu nie było również kontaktu, do którego angielski celnik mógłby ją podłączyć. Celnik odłożył więc maszynkę na miejsce i w chwilę po tym zakończył rewizję, która okazała się bezskuteczna.

Woźniak przypuszczał, że gdyby ktoś próbował włączyć golarkę, przekonałby się zapewne, że nie działa. Stwierdziłby wówczas, że coś tu jest nie w porządku, że musi w niej coś być ukryte zamiast zwykłego silniczka. Dlaczego bowiem inaczej zażądano by od niego, żeby zabrał ze sobą w podróż do Londynu tę maszynkę?

Dokładnie o ósmej wszedł do publicznej męskiej toalety na parterze tuż obok recepcji. Trudny do opisanego mężczyzna w długim jasnobieżowym płaszczu mył ręce w umywalce. Cholera, pomyślał Woźniak, kiedy łącznik się zjawi, będziemy musieli poczekać, aż ten Anglik stąd wyjdzie. W tej samej chwili mężczyzna zwrócił się do niego po angielsku.

- Dzień dobry, czy to mundur jugosłowiańskiego pilota?

Woźniak westchnął z ulgą. - Nie. Pracuję w Polskich Liniach Lotniczych.

- Polska to piękny kraj - rzekł obcy, wycierając ręce. Był wyraźnie rozluźniony. Woźniak był w tych sprawach całkowitym nowicjuszem. Przysiągł sobie, że robi to po raz pierwszy i ostatni w życiu. Stał po prostu nieruchomo na pokrytej kafelkami podłodze, trzymając w dłoni maszynkę. - Spędziłem wiele pięknych chwil w pańskim kraju - ciągnął obcy.

- Otóż to - pomyślał Woźniak. Wiele pięknych chwil - kod identyfikacyjny.

Wyciągnął w stronę tamtego rękę z maszynką. Anglik syknął i spojrzał na jedną z kabin. Woźniak zauważył, że jej drzwi były zamknięte. W środku ktoś siedział. Obcy skinął głową w stronę półki nad umywalkami. Woźniak położył na niej maszynkę.

Wtedy Anglik pokazał mu gestem jeden z pisuarów. Woźniak rozpiął rozporek i stanął przed jednym z nich. Był wściekły. - Dziękuję - wymamrotał. - Ja też uważam, że jest piękna.

Mężczyzna w jasnobieżowym płaszczu schował maszynkę do golenia do kieszeni, pokazał Woźniakowi dłoń z rozstawionymi szeroko pięcioma palcami, co miało oznaczać, żeby pozostał w

łazience przez pięć minut i wyszedł. Godzinę potem Pietrowski mknął na swoim motorze przez przedmieście Londynu, graniczące na północnym wschodzie z hrabstwem Essex. Otwierała się przed nim autostrada M-12.

Była godzina dziewiąta.

O tej samej porze prom "Tor Britannia", należący do linii DFOS z Gothenburga, przybijał do nabrzeża Parkston Quay w Harwich, około 80 mil od Londynu na wybrzeżu w hrabstwie Essex. Pasażerowie, którzy zeszli z promu, stanowili zwykłą gromadę turystów, studentów i handlowców. Wśród tych ostatnich był również Stig Lundqvist, prowadzący swego olbrzymiego sedana marki saab.

Z jego dokumentów wynikało, że był on szwedzkim biznesmenem, i była to prawda. Stig Ludqvist był Szwedem. W dokumentach nie wspomniano jednak, że był

także długoletnim komunistycznym agentem, pracującym - podobnie jak Helmut Dorn

- dla cieszącego się złą sławą generała Marcusa Wolfa, Żyda, szefa Wydziału Operacji Zagranicznych NRD-owskiego wywiadu HVA.

Poproszono go jednak tym razem, by opuścił swój wóz i położył walizki na stole, żeby celnicy mogli skontrolować ich zawartość. Zrobił to z uprzejmym uśmiechem. Jeden z celników uniósł maskę saaba i oglądał dokładnie silnik. Szukał

kuli wielkości piłki futbolowej lub cylindra, który mógł zostać zamocowany wewnątrz wozu. Nic jednak nie znalazł. Zerknął pod ramę samochodu, a na koniec do pustego bagażnika. Westchnął. Te polecenia z Londynu przypominały mu czyrak na siedzeniu lub uciążliwy ból w krzyżu. W bagażniku znalazł jedynie pudełko z narzędziami, lewarek i dwie połączone taśmą gaśnice. Szwed stał obok z walizkami w rękach.

- Proszę pana - spytał Szwed - czy wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję, sir. Życzę miłego pobytu.

Godzinę później, tuż przed jedenastą, saab wyjechał na parking przed hotelem Kings Ford Park w wiosce Layer de la Haye na południe od Colchester. Lundqvist wysiadł, przeciągnął się. Na parkingu stało parę wozów, ale ich właściciele udali się zapewne na poranną kawę. Spojrzał na zegarek. Do czasu spotkania pozostało mu jeszcze 5 minut. Zdążył, ale wiedział, że mógł przyjechać na miejsce z godzinnym opóźnieniem. W razie czego znał również termin awaryjnego spotkania. Zastanawiał

się, czy i kiedy na miejscu pojawi się łącznik. W pobliżu nie było nikogo, z wyjątkiem młodego człowieka gmerającego w silniku swego motocykla marki BMW. Lundqvist nie miał pojęcia, jak wygląda jego łącznik. Zapalił papierosa i usiadł w samochodzie.

O jedenastej usłyszał pukanie w szybę. Na zewnątrz stał motocyklista. Lundqvist pocisnął guzik i szyba automatycznie otworzyła się - Tak?

- Czy S na pańskiej tablicy rejestracyjnej oznacza Szwecję czy Szwajcarię? -

spytał Anglik.

Lundqvist uśmiechnął się z ulgą. Obok niego, na siedzeniu leżała gaśnica, którą odłączył po drodze zatrzymując się specjalnie w tym celu. Spoczywała teraz we wnętrzu niewielkiej torby, na siedzeniu obok niego.

- Oznacza Szwecję - powiedział. - Właśnie przyjechałem z Gothenburga.

- Nigdy tam nie byłem - rzekł mężczyzna. - Masz coś dla mnie? - spytał nagle nie zmieniając tonu.

- Tak - odparł Szwed - to jest tu, w torbie, obok mnie.

- Okna hotelu wychodzą na parking - rzekł motocyklista. - Objedź parking i wyrzuć mi tę torbę przez okno. Zwolnij, kiedy będziesz przejeżdżał między mną a oknami. Za 5 minut...

Powrócił do swego motocykla i znowu zaczął grzebać w silniku. 5 minut potem, saab minął go, a torba upadła na ziemię. Pietrowski podniósł ją i wrzucił do otwartego bagażnika, zanim samochód odsłonił ponownie hotelowe okna. Nigdy więcej nie zobaczył już saaba. Wcale zresztą tego nie pragnął. Godzinę później znalazł się w swoim garażu w Thetford, zamienił motor na sedana, ładunek zaś wrzucił do bagażnika wozu. Nie miał pojęcia, co mu dostarczono. Nie należało to do jego zadań.

Wczesnym popołudniem dotarł do domu w Ipswich, a oba nowe elementy przesyłki znalazły się w zamkniętej szufladzie jednej z szafek w jego sypialni.

Dziesiąty i siódmy wykonali swoje zadanie.

John Preston powinien wrócić do pracy przy Gordon Street 13 maja.

- Wiem, że to może frustrujące, ale chciałbym, żebyś nadal pracował nad tą sprawą - rzekł sir Nigel Irvine, podczas jednej ze swych wizyt w Chelsea. -

Zadzwoń, że złapałeś gripę. Jeśli będziesz potrzebował zwolnienia lekarskiego, daj mi znać. Ja to załatwię. Znam paru dobrych lekarzy, którzy zrobią to, o co ich poproszę.

16 maja Preston uznał, że znowu zabrnął w ślepą uliczkę. Służby celne i imigracyjne robiły, co mogły. Intensywny ruch osobowy uniemożliwiał poddawanie szczegółowej kontroli wszystkich przejeżdżających. Od wypadku w Glasgow i śmierci rosyjskiego marynarza minęło parę tygodni. Preston był niemal przekonany, że pozostali kurierzy przemknęli mu już koło nosa. Może wszyscy dotarli do Anglii jeszcze przed Siemionowem, który przybył tu jako ostatni. Może...

Z narastającą desperacją zdał sobie teraz sprawę, że sam nie wie, czy wyznaczył sobie jakąś graniczną dawkę poszukiwań, a jeżeli tak, to kiedy ona minęła.

W czwartek, 21 maja, prom z Ostendy przybił do nadbrzeża w Folkestone. Na jego pokładzie znajdowali się jak zwykle turyści. Piesi i zmotoryzowani. Samochody osobowe i ciężarówki. Ryczący silnikami strumień wielkich TIR-ów przewożących towary z państw EWG z jednego końca Europy do drugiego. Siedem z tych wielkich ciężarówek miało niemiecką rejestrację. Ostenda była

ulubionym portem dla firm północnoniemieckich prowadzących interesy z Wielką Brytanią. Olbrzymi Hanomag, wiozący na swej platformie potężny kontener, nie wyróżniał się niczym szczególnym.

Gruby plik dokumentów, który sprawdzano przez godzinę, okazał się bez wątplenia prawdziwy i nie było powodu, by wątpić, że kierowca pracował dla kogoś więcej niż tylko właściciela firmy przewozowej, której nazwa widniała na drzwiach kabiny samochodu. Nie było również podstaw, by sądzić, że ciężarówka przewozi coś więcej niż opisany w jej dokumentach przewozowych ładunek maszynek do kawy dla pijących masowo poranną kawę Brytyjczyków.

Za kabiną ciężarówki widniały dwie sterzące pionowo w górę długie rury wydechowe, mające odprowadzać spaliny z potężnego dieslowskiego silnika jak najdalej od innych użytkowników szos. Był wieczór. Celnicy na dziennej zmianie byli nieco zmęczeni a więc po niedługim czasie ciężarówka bez zatrzymywania się do dalszej kontroli została skierowana machnięciem dłoni na drogę prowadzącą w kierunku Ashford i Londynu.

Nikt w Folkestone nie mógł przypuszczać, że jedna z pionowych rur wydechowych dymiących ciemną chmurą spalin, gdy auto odjeżdżało spod komory celnej, została sprytnie przerobiona, że miała boczne odprowadzenie spalin i że uzyskano dodatkowe miejsce usuwając tłumiki, by można było zamontować w niej niezbyt długą metalową tuleję. Po zmierzchu, na parkingu w Lenham Kent, kierowca wspiął się na platformę ciężarówki, rozmontował rurę wydechową i wyjął z niej tuleję o długości piętnastu cali, owiniętą w materiał termoizolacyjny. Nie sprawdzał, co przewoził. Przesyłkę wręczył ubranemu na czarno motocykliście, który o określonej godzinie wyłonił się z ciemności. Ósmy kurier wykonał swoje zadanie.

- To nie ma sensu, sir Nigel - rzekł John Preston w piątek wieczorem, zwracając się do szefa SIS. - Nie wiem, co się u diabła dzieje. Przeczuwam najgorsze, ale nie mogę niczego udowodnić. Próbowałem przechwycić choćby jednego z kurierów, ale nie udało mi się. Myślę, że w poniedziałek powinienem wrócić do swojego biura.

- Wiem co czujesz, John - rzekł Irvine. - Ja czuję się podobnie. Daj mi jeszcze tydzień.

- Nie widzę celu dalszych poszukiwań - odparł Preston. Cóż jeszcze możemy zrobić?

- Modlić się, jak sądzę - odrzekł "C" łagodnie.

- Jedna rysa - powiedział ze złością Preston. - Potrzebuję jednej maleńkiej rysy, jakiegoś pęknięcia w ich planie.

19

John Preston znalazł swój ślad, pierwszą rysę planu przeciwnika w poniedziałek wieczorem, 25 maja. Parę minut po czwartej na lotnisku Cheathrow wylądował samolot rejsowy Austriackich Linii Lotniczych z Wiednia. Jeden z pasażerów w czasie odprawy okazał austriacki paszport na nazwisko Franz Winkler.

Urzędnik służby imigracyjnej przyjrzał się zielonemu Reisepass. W plastikowych okładkach

opatrzonemu godłem złotego orła wybitym przy pomocy perforacji na wszystkich jego stronach. Oficer wystukał lewą ręką na klawiaturze komputera numer paszportu, spojrzął na ekran monitora, zamknął paszport i wręczył go właścicielowi ze zwykłym, pozornie obojętnym uśmiechem. -
Dziękuję, sir, następny proszę.

Kiedy Herr Winkler zabrał swoją walizkę i ruszył w stronę przejścia, urzędnik spojrzął w stronę niewielkiego okienka, oddalonego o kilkanaście metrów od jego kabiny. W tej samej chwili nacisnął stopą przycisk alarmowy, zamontowany w podłodze. Stojący w okienku jeden z ludzi z Sekcji Specjalnej zauważył jego spojrzenie. Urzędnik imigracyjny wskazał mu wzrokiem Herr Winklera i skinął

głową. Twarz agenta zniknęła zza kwadratowej szyby. W parę sekund on i jego kolega z wydziału szli już w ślad za Austriakiem. Jeszcze jeden człowiek z Sekcji czekał na parkingu przed lotniskiem. Winkler nie miał ciężkiego bagażu, więc poszedł prosto do odprawy celnej. Zakończywszy ją, spędził chwilą w Banku Midland wymieniając czeki podróżne na gotówkę, podczas gdy jeden z agentów Służby Specjalnej zrobił z tarasu mu zdjęcie. Kiedy Austriak złapał taksówkę przed drugim terminalem lotniska, agenci wsiedli do nieoznakowanego wozu i ruszyli za nim. Kierowca starał się trzymać w jednakowej odległości za jadącą przed nim taksówką. Jeden z detektywów poinformował przez radio Scotland Yard, skąd informację przekazano na Charles Street i do biura w budynku Sentinela.

Winkler dotarł do Bayswater, zwolnił taksówkę przy skrzyżowaniu Edgware Road i Sussex Garden. Potem, z walizką w dłoni, ruszył pieszo w dół Sussex Gardens.

Po jednej ze stron znajdują się tu niemal wyłącznie skromne pensjonaty, w których zatrzymują się chętnie drobniejsi biznesmeni i trafiający tu z sąsiedniego dworca Paddington mniej zamożni turyści. Obserwujący mężczyznę pracownicy Sekcji Specjalnej uznali zgodnie, że nie miał tu wcześniej zarezerwowanego pokoju. Na skraju ulicy zobaczył pensjonat z napisem Wolne Pokoje w oknie i wszedł do środka.

Zapewne musiał wynająć pokój, bo nie zobaczyli go wychodzącego z budynku. W

godzinę po tym jak taksówka Winklera odjechała z lotniska, w mieszkaniu kontaktowym Prestona w Chelsea zadzwonił telefon. Był to jego łącznik z Sentinela.

- Pewien facet właśnie przyleciał na Heathrow - rzekł człowiek z MI-6. Może to oczywiście nic nie znaczyć, ale jego numer paszportu na komputerze wywołał kod alarmowy. Nazywa się Franz Winkler, Austriak. Przybył z Wiednia.

- Mam nadzieję, że go nie zatrzymano - spytał Preston.

Pomyślał, że Austria znajduje się niebezpiecznie blisko Czechosłowacji i Węgier. Jako kraj neutralny jest niezłym punktem wypadowym dla agentów bloku wschodniego.

- Nie - odparł łącznik z Sentinela. - Śledzą go tylko. Nic poza tym. Chwileczkę

- przerwał na moment. - Jest teraz w małym hotelu "B and B" w Paddington.

- Możesz połączyć mnie z "C"? - spytał Preston.

Sir Nigel był na konferencji, ale w parę minut potem zakończył ją i połączył się z nim już ze swojego gabinetu.

- Tak, John?

Kiedy Preston skończył swoją relację ograniczającą się do faktów, które jeszcze nie dotarły do szefa SIS, "C" zapytał go:

- Czy uważasz, że to właśnie człowiek, na którego czekaliśmy?

- To może być kurier - odparł Preston.

- Czego żadasz, John?

- Chciałbym, aby "szóstka" zażądała ekip obserwacyjnych, które przejmą go pod swoją opiekę. Niech jeden z pana ludzi monitoruje wszystkie raporty przychodzące do koordynatora obserwacji na Cork Street i do Sentinela. Chciałbym na bieżąco znać ich treść. Jeśli nawiąże z kimś kontakt - niech pańscy agenci wezmą obu pod obserwację.

- W porządku - zgodził się Nigel. - Zajmę się tym. Barry Banks rozpocznie od zaraz dyżur na Cork Street.

Szef skontaktował się osobiście z dyrektorem wydziału "K" i przedstawił mu swoje żądania. Ten zaś powiadomił o wszystkim wydział "A" i grupa obserwacyjna została wysłana do Aussex Gardens. Dowodził nimi Harry Burkinshaw.

Preston krążył wściekle po swym małym pokoju. Chciał znowu znaleźć się na ulicy, w samym środku prowadzonej akcji, a nie siedzieć tutaj jak jakiś tajny agent, zwyczajny pionek w grze, na której wyniki nie mógł mieć żadnego wpływu. O

siódmej wieczorem ludzie z grupy Burkinshawa zmienili uszczęśliwionych zejściem z posterunku agentów Służby Specjalnej przejmując obserwacje budynku pensjonatu.

Był to ciepły i przyjemny wieczór. Czterej obserwatorzy tworzący obstawę zajęli miejsca wokół hotelu. Jeden w górnej, drugi w dolnej części ulicy, trzeci od frontu, a czwarty na tyłach budynku.

Dwaj inni agenci czekali w wozach zaparkowanych przy Sussex Gardens, gotowi w każdej chwili wkroczyć do akcji, gdyby obserwowany facet miał zamiar udać się gdziekolwiek. Wszyscy agenci zostali wyposażeni w krótkofalówki.

Burkinshaw i szef Wydziału siedzieli w pokoju radiooperatora w biurze przy Cork Street. Barry Banks był tam również. Wszyscy czekali teraz na kolejny ruch Winklera.

Kłopot w tym, że on jak dotąd nie zrobił właściwie nic. Siedział w wynajętym pokoju, przy zasłoniętych zasłonach, zupełnie beczynnie. O ósmej trzydzieści wyszedł, poszedł do pobliskiej restauracji na kolację, po czym powrócił do pensjonatu. Nie zostawił nikomu żadnej przesyłki, niczego nie odebrał, z nikim się nie kontaktował.

Zrobił jednak dwie interesujące rzeczy. Zmierzając do restauracji na Edgware Road, zatrzymał się gwałtownie, przez chwilę oglądał wystawy, a potem nagle zawrócił. To stary numer, mający zdekspirować ewentualnego, śledzącego go wywiadowcę - ale nie zawsze się udaje. Wychodząc z restauracji przystanął za rogiem, zaczekał na niewielką lukę między samochodami i przebiegł na drugą stronę ulicy. Tam znowu zatrzymał się i rozejrzał, czy nikt nie będzie próbował zrobić tego samego. Okazało się jednak, że nikt nie pobiegł w ślad za nim. Winkler przeszedł po prostu pod kontrolę czwartego obserwatora z ekipy Burkinshawa, znajdującego się przez cały czas po drugiej stronie ulicy. Podczas gdy Winkler rozglądał się szukając człowieka, który ryzykowałby życiem przebiegając między samochodami na drugą stronę jezdni, wywiadowca znajdował się o parę metrów dalej, na postoju taksówek.

- To nasz człowiek - rzekł Burkinshaw. - Podejrzany z niego typek. I nie najlepszy.

Ta opinia Burkinshawa dotarła też do Prestona siedzącego nadal w apartamencie na nasłuchu w Helsea. Pokiwał głową z ulgą. Humor zaczął mu się poprawiać. Winkler powrócił tymczasem do pensjonatu i przez całą noc nie opuszczał

swojego pokoju.

Tymczasem w podziemiach Sentinela przeprowadzono krótką i niezbyt skomplikowaną operację. Zdjęcia Winklera zrobione przez agenta Sekcji Specjalnej na lotnisku Heathrow i te, które wykonano w Bayswater pokazano z należnym szacunkiem legendarnej pannie Blodwyn.

To śmieszna sprawa, ale to prawda, że podczas gdy kuzynki CIA używają komputerowego banku danych, w którym zarejestrowane są miliony ludzkich podobizn, by zidentyfikować codzienny zestaw napływających fotografii bieżących, Brytyjczycy korzystają jedynie z pomocy pewnej niezwyklej kobiety. Ta dama w podeszłym już dziś wieku, nierzadko zmęczona, bo wiecznie nagabywana przez swoich młodszych kolegów prośbami o kolejną szybką identyfikację, pracuje w służbie od 40 lat w podziemiach Sentinela, dysponując olbrzymim zestawem zdjęć składających się na "Księgę Twarzy" MI-6. Nie jest to książka w pełnym tego słowa znaczeniu, tylko archiwalne podziemne pomieszczenie, w którym na półkach znajdują się setki tysięcy rzędów posegregowanych dokładnie fotografii, o których jedynie panna Blodwyn posiada wręcz encyklopedyczną wiedzę. Jej umysł przewyższa komputer w bazie CIA. W jej pamięci nie ma miejsca na znajomość szczegółów z historii wojny trzydziestoletniej ani stawek giełdowych na Wall Street. Jej mózg zapamiętuje od lat tylko ludzkie wizerunki. Kształty nosów, linie szczęk, układy oczu, czyjeś obwisłe policzki, wykrój ust, charakterystyczny sposób trzymania szklanki, kieliszka lub papierosa, błysk koronki na zębie podczas uśmiechu - zarejestrowany na zdjęciu w australijskim pubie i zauważony wiele lat później w londyńskim supermarkecie - to wszystko jest zakodowane głęboko w jej przepastnej pamięci.

Pamięć ta stanowi ogromny młyn, w którym obracają się stale, tysiące szczegółów, aby w pożądanym czasie dokonać bezbłędnej identyfikacji każdej fotografii - każdej twarzy. Identyfikacja obcych

agentów lub cudzoziemców, którzy mogą być agentami, jest jednym z głównych zadań każdej organizacji wywiadowczej. W tym celu wszystkie służby robią co roku setki tysięcy zdjęć potencjalnych lub rzeczywistych pracowników lub współpracowników konkurencyjnych służb wywiadowczych.

Zagraniczni dyplomaci, handlowcy, delegacje naukowe i kulturalne, a nawet turyści przybywający do Wielkiej Brytanii z krajów komunistycznych lub z nimi współpracujących, są starannie fotografowani, a ich zdjęcia trafiają do specjalnych archiwów. Archiwalne zasoby tych zdjęć stale się powiększają. W tych dossiers można często znaleźć więcej niż 20 ujęć tej samej osoby. Jeśli na przykład Rosjanin o nazwisku Iwanow towarzyszy radzieckiej delegacji handlowej do Kanady, jego fotografia natychmiast jest przesłana przez Kanadyjską Policję Królewską do Waszyngtonu, Londynu i innych państw członkowskich NATO. Może się okazać, że ten sam człowiek, pod nazwiskiem Kozłow, był pięć lat wcześniej jako dziennikarz w jakiejś republice afrykańskiej na uroczystościach z okazji odzyskania niepodległości.

Jeśli zaistnieją gdziekolwiek wątpliwości co do prawdziwej profesji pana Iwanowa, takie zdjęcie znajdujące się w archiwach może je rozwiać. Można za jego pomocą zidentyfikować długoletniego tajnego agenta lub każdego pracownika KGB. Wymiana zdjęć tego typu między sprzymierzonymi służbami wywiadowczymi, także spoza NATO, na przykład z izraelskimi, jest stale i owocnie z wywiadem Mossad prowadzona. Bardzo niewielu przyjeżdżających z krajów bloku wschodniego, czy Trzeciego Świata nie ma swoich zdjęć w ponad 20 stolicach demokratycznego świata.

Tej nocy, podczas gdy Bayswaters spało, a w ciemnościach kryli się obserwujący dom ludzie Burkinshawa, panna Blodwyn siedziała i patrzyła na utrwalony na zdjęciu wizerunek Franza Winklera. Dwaj ludzie z MI-6 czekali w milczeniu. Po godzinie wstała i powiedziała po prostu: - "Daleki Wschód" i podeszła do regałów z albumami. Był wczesny ranek, wtorek, 26 maja. Nie była to najlepsza fotografia. Zrobiono ją przed pięciu laty. Włosy miał wtedy ciemniejsze i był o wiele szczuplejszy. Było to zdjęcie z przyjęcia w ambasadzie Indii. Mężczyzna stał obok ambasadora i uśmiechał się łagodnie. Jeden z młodych pracowników spojrzał na oba zdjęcia z pewnym powątpiewaniem. - Jesteś pewna, Blodwyn?

Gdyby spojrzenie mogło powodować natychmiastowy paraliż, podający w wątpliwość jej opinię mężczyzna musiałby od razu zainwestować w zakup wózka inwalidzkiego, żeby opuścić pomieszczenie archiwum. Wycofał się szybko i sięgnął

po słuchawkę. - Mamy go - powiedział. To Czech. Przed pięciu laty pracował w ambasadzie Czechosłowacji w Tokio. Nazywa się Jiri Hajek.

O trzeciej nad ranem Preston obudził się, słysząc dzwonek telefonu. Podniósł

słuchawkę, podziękował za telefon i rozłączył się. Uśmiechnął się do siebie i powiedział: - Mam cię!

O dziesiątej rano Winkler wciąż jeszcze znajdował się w hotelu. Kontrolę nad operacją na Cork Street przejął Simon Margery z K-2 (B) - z operacyjnej sekcji czeskiej Wydziału Państw Bloku Wschodniego. Tam gdzie chodziło o obywatela Czechosłowacji - nie mogło zabraknąć jego ludzi. Barry Banks, który spał w biurze, natychmiast poinformował o tym zespół z Sentinelą.

O tej samej porze John Preston skontaktował się z radcą Ambasady USA zajmującym się sprawami prawnymi i poprosił go o osobiste spotkanie. Ten radca Ambasady na Grosvenor Square jest po prostu londyńskim przedstawicielem centrali FBI. Preston przedstawił mu listę swoich potrzeb. Obiecano mu, że otrzyma odwrotny telefon tak szybko, jak tylko nadejdzie odpowiedź z Waszyngtonu, za jakieś pięć do sześciu godzin, uwzględniając różnicę w czasie.

O jedenastej Winkler wyszedł z pensjonatu. Poszedł na Edgware Road, zatrzymał taksówkę i ruszył w stronę Park Lane. Przy Hyde Park Corner taksówka obserwowana przez dwa wozy z wywiadowcami skręciła i pojechała w dół Picadilly, Winkler wysiadł z niej blisko Picadilly Circus i próbował wykonać znowu kilka prostych manewrów, żeby pozbyć się ewentualnego "ogona", którego nawet nie potrafił dostrzec.

- Zaczyna się od nowa - mruknął cichutko Len Stewart. Przejrzał wcześniej raport Burkinshawa i oczekiwał czegoś podobnego do wcześniejszych uników.

Winkler wskoczył gwałtownie pod arkady jednego z budynków i wyłonił się po chwili przy drugim ich końcu. Wszedł na pobliski pasaż i spojrzał kontrolnie za siebie w stronę wejścia pod arkady, z którego przed chwilą wyszedł. Nikt się tam jednak w ślad za nim nie pojawił, gdyż nikt nie musiał tego robić. Jeden z obserwujących go wywiadowców już od pewnego czasu zajmował stanowisko przy południowym końcu arkad. Obserwatorzy znają Londyn lepiej niż jakikolwiek policjant czy taksówkarz.

Wiedzą, ile wyjść ma każdy większy budynek. Gdzie znajdują się arkady, podziemne przejścia i pasáže oraz dokąd one prowadzą. Dokądkolwiek nie udałby się obserwowany, jeden z wywiadowców zawsze będzie przed nim, jeden z tyłu i dwóch po bokach. Zamknięte w ten sposób "pudełko" nigdy się nie "rozpada" i jedynie wyjątkowo sprytny "Joe" jest w stanie zidentyfikować jego poszczególne "ściany".

Zadowolony, że nikt go nie śledzi, Winkler wszedł do budynku Rail Travel Center przy Regent Street. Chciał dowiedzieć się, o której odchodzi pociąg do Sheffield. Szkocki kibic stojący obok niego, próbujący powrócić w ojczyste strony, był jednym z wywiadowców z grupy obserwacyjnej. Winkler kupił za gotówkę bilet drugiej klasy do Sheffield. Dowiedział się, że ostatni pociąg odchodzi ze stacji St.

Pancras o dziewiątej dwadzieścia pięć, podziękował i wyszedł. Zjadł obiad w pobliskiej restauracji, po czym wrócił do Sussex Gardens i pozostał tam przez całe popołudnie.

Preston dowiedział się o pierwszej po południu o zakupieniu przez Winklera biletu do Sheffield. Sir Nigela złapał w chwili, gdy "C" wybierał się właśnie do klubu na lunch.

- Może z tego nic nie wynikać, może to fałszywy alarm, ale wydaje mi się, że nasz ptaszek chce opuścić miasto - rzekł Preston. - Może wybiera się na jakieś spotkania. Jeśli tak, to prawdopodobnie nastąpią one w pociągu albo w samym Sheffield. Być może zwlekał tak długo, bo przyjechał na miejsce trochę za wcześnie.

Sęk w tym, sir, że jeśli wyjedzie poza Londyn, będziemy potrzebować operacyjnego kontrolera, który

pojechałby za nim wraz z grupą obserwatorów. Ja chcę być tym kontrolerem.

- Rozumiem. Niełatwa sprawa. Ale zobaczę, co się da zrobić - sir Nigel westchnął, już po moim lunchu, pomyślał. Przywołał swojego adiutanta. - Odwołaj lunch u White'a. Przygotuj mi samochód. Nadaj telegram. Natychmiast!

Podczas gdy adiutant zajmował się wykonaniem dwóch pierwszych poleceń,

“C” zadzwonił do domu Bernarda Hemmingsa w pobliżu Farnham w Surrey.

- Przepraszam, że cię niepokoję, Bernard. Stało się coś, w związku z czym potrzebuję twojej rady... Nie, lepiej, żebyśmy się spotkali... w cztery oczy... Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, gdybym pojechał do ciebie? Mamy dziś taki piękny dzień... Tak, dobrze. Około trzeciej...

- Telegram? - zameldował się zgodnie z rozkazem adiutant.

- Tak.

- Do kogo?

- Do mnie.

- Oczywiście. Od kogo?

- Od Szefa Rezydentury w Wiedniu.

- Mam go powiadomić, sir?

- Nie ma potrzeby go niepokoić. Załatw tylko, żebym mógł odebrać go od szyfrantów za trzy minuty.

- Oczywiście - a tekst?

Sir Nigel podyktował mu treść telegramu. Wysyłanie do siebie pilnego telegramu mającego usprawiedliwić to, co i tak miał zamiar zrobić, było starą sztuczką, której nauczył się od swego dawnego mistrza, nieżyjącego już sir Maurice'a Oldfielda. Kiedy z centrali szyfrów przysłano mu telegram nadany rzekomo z Wiednia, stary wyga włożył go do kieszeni i zszedł na dół, do czekającego już nań samochodu.

Sir Bernarda Hemmingsa znalazł w jego ogrodzie w Tilford. Siedział tam, z kocem na kolanach, wygrzewając się w majowym słońcu.

- W czym mogę ci pomóc? - spytał jowialnie.

- Drobnostka - odrzekł sir Nigel. - Do Londynu przyleciał ktoś z Wiednia.

Wygląda na austriackiego biznesmena, ale nim nie jest. Ale to tylko kamuflaż.

Zidentyfikowaliśmy go ubiegłej nocy. To Czech. Agent St. B, płotka. Uważamy, że jest kurierem.

Sir Bernard pokiwał głową. - Nawet siedząc tutaj jestem na bieżąco. Słyszałem o tym. Moi ludzie kryją go szczelnie, prawda?

- Owszem. Sęk w tym, że ten facet najwyraźniej zamierza dziś wieczorem wyjechać z miasta. Na północ. "Piątka" będzie potrzebować kontrolera operacyjnego.

Dla grupy obserwacyjnej.

- Oczywiście. To się da zrobić. Brian może się tym zająć.

- Tak. To oczywiście twoja operacja. Ale... Pamiętasz sprawę Berensona? Nie udało się nam wyjaśnić dwóch spraw. Czy Marais komunikował się poprzez rezydenturę w Londynie, czy też używał kurierów z zewnątrz... No i... czy Berenson był jedynym człowiekiem w siatce zwerbowanych do współpracy przez Maraisa?

Może byli jeszcze inni? Kto wie?

- Przypominam sobie. Z odpowiedzią na te pytania będziemy jednak musieli trochę poczekać - dowiemy się tego dopiero wtedy, gdy będziemy mogli uzyskać odpowiedzi na parę pytań od samego Maraisa.

- Zgadza się. Dostałem dziś depezę od szefa Rezydentury w Wiedniu.

Pokazał Hemmingsowi blankiet. Sir Bernard przeczytał telegram, a w miarę jak czytał, jego brwi unosiły się coraz bardziej ze zdziwienia. - Powiązani ze sobą? Czy to możliwe?

- Możliwe. Winkler alias Hajek wydaje się kurierem. Wiedeń potwierdza, że jest on człowiekiem St. B, ale obecnie pracuje dla KGB. Wiemy, że Marais w ciągu dwóch lat, kiedy pracował z Berensonem, był dwukrotnie w Wiedniu. Miały to być zwykłe wyjazdy w celach kulturalnych, ale... kto wie?

- A więc... brakujące ogniwo?

Sir Nigel wzruszył ramionami.

- Po co wybiera się do Sheffield?

- Któż to wie, Bernardzie? Może w Yorkshire działa inna siatka? Może Winkler jest kurierem dla więcej niż jednej siatki agentów?

- Czego chcesz od "piątki"? Nowego przydziału obserwatorów?

- Nie. Johna Prestona. Przypominasz sobie, że najpierw udało mu się wytropić Berensona a potem Maraisa. Podoba mi się jego sposób działania. Ostatnio był na urlopie i trochę chorował. Jutro ma wrócić do pracy. Z całą pewnością nie pracuje obecnie nad żadną poważną sprawą. Formalnie jest

teraz w wydziale C-5 (C) - porty i lotniska. Gdybyś mógł przydzielić go czasowo do K-2 (B), mógłby przejąć funkcję kontrolera operacyjnego grupy obserwacyjnej.

- No cóż, nie wiem, Nigel. To zależy od Briana...

- Byłbym ci niezmiernie wdzięczny, Bernard. Posłuchaj, Preston od początku zajmował się sprawą Berensona. Jeśli Winkler stanowi jej fragment, kto wie, może się nawet okazać, że Preston spotkał się już z nim w trakcie prowadzenia swego śledztwa.

- W porządku - powiedział sir Bernard. - Jest twój. Zaraz wydam odpowiednie instrukcje.

- Jeśli chcesz, mogę się tym zająć. Oszczędzę ci kłopotu. Wyślę kierowcę, żeby zawiózł "papierek" na Charles Street.

Sir Nigel odjechał z "papierkiem" w kieszeni. Był to pisemny rozkaz od sir Bernarda Hemmingsa informujący o czasowym przeniesieniu Johna Prestona do wydziału "K" i przejęciu przez niego funkcji kontrolera operacji "Winkler", w chwili gdy podejrzany opuści stolicę. Sir Nigel wykonał dwie kopie - dla siebie i dla Johna Prestona. Oryginał zawieszono na Charles Street. Ponieważ Harcourt-Smitha nie było w biurze, rozkaz po prostu pozostawiono na jego biurku.

O siódmej rano John Preston opuścił po raz ostatni mieszkanie w Chelsea.

Znów był w akcji i robił to, co lubił. W Sussex Gardens podszedł do Harry Burkinshawa. - Witaj, Harry.

- Dobry Boże, John Preston. Co ty tu robisz?

- Przyjechałem się przewietrzyć.

- Dobra, nie stercz tak na widoku. "Joe" jest po drugiej stronie ulicy.

- Wiem. Ma zamiar wyjechać do Sheffield o dziewiątej dwadzieścia pięć.

- Skąd wiesz?

Preston pokazał mu kopię instrukcji sir Bernarda. Burkinshaw obejrzał ją.

- O ho, ho. Od samego dyrektora generalnego. No, to przyłącz się do rodzinki.

Tylko nie kręć się tutaj.

- Masz wolną radiostację?

Burkinshaw wskazał na drugi kraniec ulicy. - Za rogiem, na Radnor Place.

Brązowa cortina. Krótkofalówka jest w schowku na rękawiczki.

- Zaczekam w wozie - rzekł Preston.

Burkinshaw był zdziwiony. Nikt nie powiadomił go, że to Preston ma pełnić funkcję kontrolera operacyjnego. Nie wiedział nawet, że Preston jest w Sekcji Czeskiej. Podpis DG zrobił swoje. To niezły facet, przynajmniej ze swej strony robi, co będzie mógł - pomyślał. Wzruszył ramionami, włożył do ust miętówkę i wrócił na swoje stanowisko. O ósmej trzydziści Winkler opuścił hotel. Miał ze sobą walizkę.

Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i powiedział kierowcy dokąd ma go zawieźć.

Kiedy tylko został zauważony przez obstawę w drzwiach pensjonatu, Burkinshaw postawił swoich ludzi w stan natychmiastowej gotowości. Wskoczył do pierwszego z czekających wozów, który w chwilę potem ruszył w górę Edgware Road zachowując stumetrowy dystans za taksówką.

Preston wsiadł do drugiego samochodu. Ruszyli w ślad za pierwszym. Jechali na wschód, w stronę stacji kolejowej. Burkinshaw powiadomił o tym centralę. Jego informację otrzymał Simon Margery. - Okey, Harry, nasz kontroler operacyjny jest już w drodze - oświadczył.

- Mamy już kontrolera operacyjnego - odparł Burkinshaw. - Jest już tutaj, z nami.

Była to dla Margery'ego zupełnie zaskakująca wiadomość. Spytał o nazwisko kontrolera. Kiedy je usłyszał, pomyślał, że popełniono omyłkę.

- Przecież on nawet nie pracuje w K-2 (B) - zaprotestował.

- Obecnie pracuje - odparł Burkinshaw. - Widziałem na własne oczy odpowiedni świstek. Podpisał go sam DG.

Margery skontaktował się z Charles Street. Odnaleziono tam i potwierdzono stosowny rozkaz sir Bernarda. Margery załamał ręce.

- Czemu ci faceci na Charles Street, nie potrafią się nigdy od razu zdecydować?

Powiadomił wyznaczonego przez siebie pracownika udającego się właśnie na dworzec St. Pancras, że wydany mu przedtem rozkaz został odwołany. Potem próbował znaleźć Briana Harcourt-Smith'a, żeby mu się poskarżyć.

Winkler zapłacił za taksówkę i przeszedł przez ozdobione pojedynczym łukiem z cegieł wejście do wnętrza dworca zbudowanego w stylu wiktoriańskim. Po drodze upewnił się jeszcze, o której odchodzi pociąg. Śledzący, Preston i czterej wywiadowcy rozplynęli się w tłumie otaczających go pasażerów.

Odjeżdżający o 9-25 pociąg do Sheffield przez Leicester, Derby, Chesterfield, podstawiono na peron II. Odnalazłszy swój pociąg, Winkler przeszedł wzdłuż niego, mijając trzy wagony pierwszej klasy i wagon restauracyjny i w końcu wsiadł do jednego z trzech wagonów drugiej klasy z siedzeniami pokrytymi niebieską tapicerką, znajdującego się na samym końcu składu. Wybrał środkowy wagon, położył walizkę na półce i usiadł, czekając na odjazd pociągu.

Parę minut potem, młody Murzyn ze słuchawkami na uszach i walkmanem u pasa wszedł do wagonu z lotniczymi siedzeniami i usiadł trzy rzędy dalej. Po zajęciu miejsca monotonicznie kiwał głową w rytm płynącej ze słuchawek muzyki reggae.

Zamknął oczy, rozkoszując się muzyką. Jeden z ludzi z grupy obserwacyjnej Burkinshawa dotarł na miejsce. Ze słuchawek nie płynęły wcale dźwięki reggae, tylko instrukcje Harry'ego dotyczące dalszej obserwacji podejrzanego. Drugi z jego ludzi zajął stanowisko w pierwszym wagonie, a sam Harry i Preston usadowili się w trzecim. Winkler znowu został zamknięty w kleszcze "pudełka". Czwarty wywiadowca znajdował się w ostatnim wagonie pierwszej klasy, na wypadek, gdyby Winkler zdecydował się przebiec przez cały pociąg, starając się pozbyć domniemanego "ogona".

Punktualnie o 9-25 pociąg Inter-Cidy 125 opuścił dworzec St. Pancras i ruszył

na północ. O 9-30 Brian Harcourt-Smith, przebywający w swoim klubie, został

poproszony do telefonu. Dzwonił Simon Margery. To, co usłyszał, spowodowało, że DDG "piątki" natychmiast opuścił klub, złapał taksówkę i jadąc wzdłuż West Endu błyskawicznie pokonał dzielącą go od biura na Charles Street odległość około dwóch mil. Na swoim biurku znalazł rozkaz wypisany tego popołudnia przez sir Bernarda Hemmingsa. Zbladł całkiem z wściekłości. Jako że należał do ludzi o sporej wytrzymałości psychicznej, w parę minut zdołał przemyśleć sprawę, po czym podszedł do telefonu i poprosił o rozmowę z radcą prawnym. Radca prawny jest człowiekiem stanowiącym podstawowe ogniwo łączące służby z Wydziałem Sekcji Specjalnej. Czekać na połączenie, Harcourt-Smith sprawdził godziny odjazdu pociągów do Sheffield. Radca prawny musiał oderwać się na chwilę od ekranu telewizora w swoim mieszkaniu w Camberley i podejść do telefonu.

- Potrzebuję pomocy Sekcji Specjalnej, by dokonać aresztowania - rzekł

Harcourt-Smith. - Mam powód, żeby sądzić, że nielegalny imigrant - prawdopodobnie radziecki agent - może próbować wymknąć się spod naszej kontroli. Jego nazwisko brzmi Franz Winkler, przypuszczalnie obywatel austriacki. Podstawa zatrzymania: posiadanie fałszywego paszportu. Przyjedzie pociągiem z Londynu do Sheffield o 11-59. Tak, wiem. Czasu jest niewiele. Dlatego to takie pilne. Tak, proszę powiadomić dowódcę Służby Specjalnej w Yardzie i przygotować operację tak, by aresztowania dokonano zaraz po przyjeździe pociągu na stację w Sheffield.

Odłożył słuchawkę z uśmiechem na ustach. John Preston mógł być kontrolerem operacji mającej na celu obserwację podejrzanego, ale jeżeli chodziło o jego aresztowanie, sprawa nabierała wagi wydarzenia politycznego. Musiał zająć się tym osobiście.

Pociąg był prawie pusty. 60 pasażerów mogło bez trudu pomieścić się w dwóch, zamiast w sześciu wagonach składu. Barney - obserwator z przedniego wagonu, znajdował się w grupie złożonej z około dziesięciu osób. Patrzył w stronę końca pociągu i przez szybę pomiędzy wagonami widział dokładnie czubek głowy Winklera. Wraz z Gingerem, młodym Murzynem siedzącym w tym samym wagonie co Winkler, jechało jeszcze pięciu pasażerów. W trzecim, prócz Prestona i Burkinshawa, było ich dwunastu. Przez godzinę i piętnaście minut Winkler siedział

bezczylnie. Nie czytał nawet, tylko patrzył przez okno na mroczny krajobraz w oddali. O 10-45,

kiedy pociąg zwolnił wjeżdżając do Leicester, wstał. Wziął walizkę, wyszedł z przedziału, minął ubikację i otworzył okno w drzwiach wychodzących na stronę peronu. Ginger poinformował pozostałych, by czekali w pogotowiu. Jakiś pasażer minął Winklera, gdy pociąg zaczął się zatrzymywać.

- Przepraszam pana, czy to już Sheffield? - spytał Winkler.

- Nie, to Leicester - odparł mężczyzna wychodząc na peron.

- Dziękuję - rzekł Winkler. Odstawił walizkę, ale okno pozostawił otwarte.

Przez cały czas rozglądał się po peronie. Kiedy pociąg ruszył, powrócił na swoje miejsce i na powrót odłożył walizkę na półkę. O 11-12 zrobił to samo w Derby. Tym razem zadał swoje pytanie bagażowemu na peronie betonowej hali tamtejszego dworca.

- Derby - odparł bagażowy. - Sheffield to następna stacja. Winkler znowu, przez cały czas postoju pociągu, rozglądał się po peronie, po czym wrócił na miejsce i wrzucił walizkę na półkę. Preston obserwował go przez szybę w drzwiach pomiędzy przedziałami. O 11-43 pociąg wjechał na stację Chesterfield. Tym razem Winkler zostawił walizkę w przedziale, ale wyszedł na korytarz, by ponownie powychylać się trochę przez okno. Patrzył przez chwilę na ludzi wychodzących z wagonów, zmierzających w stronę barier biletowych. Zanim pociąg ruszył, peron opustoszał.

Kiedy to się stało, Winkler jednym gwałtownym ruchem otworzył drzwi, wyskoczył na oddalający się peron i zatrzasnął za sobą drzwi potężnym pchnięciem ramienia.

Rzadko który "Joe" był w stanie przechytryć Burkinshawa. Tym razem jednak przyznał, że został wystrychnięty na dudka. Wszyscy obserwatorzy widzieli całe zajście, ale nie ruszyli się nawet o krok. Gdyby Winkler ich spostrzegł, na pewno zrezygnowałby ze spotkania. Preston i Burkinshaw puścili się pędem w stronę drzwi.

Na miejscu był już Ginger z poprzedniego wagonu. Okno wciąż było otwarte. Preston wychylił się i spojrzał w kierunku peronu. Winkler, zadowolony, że nie miał za sobą

"ogona", szedł spokojnym krokiem w stronę wyjścia.

- Harry, wracaj tu natychmiast samochodem wraz z całą grupą - krzyknął

Preston. Nawiaź ze mną łączność, jak tylko znajdziesz się w zasięgu mojej krótkofalówki. Ginger, zamknij za mną drzwi. Otworzył je, stanął na stopniu, przyjął

pozycję lądowania typową dla spadochroniarzy i skoczył. Spadochroniarz uderza o ziemię z prędkością około 10 mil na godzinę. Prędkość opadania zależy głównie od wiatru. Pociąg jechał z prędkością około 30 mil na godzinę, kiedy Preston uderzył w nasyp, modląc się, by nie natrafić na betonowy słup albo jakiś duży kamień. Miał

szczęście. Gęsta majowa trawa złagodziła nieco efekt upadku a potem stoczył się skulony, z kolanami

ściągniętymi wysoko, ugiętymi mocno łokciami i schyloną głową, w dół nasypu. Harry powiedział mu później, że nie mógł na to patrzeć. Ginger twierdził, że podskakiwał jak piłka na nierównościach nasypu. Kiedy wreszcie legł

nieruchomo, znajdował się w kanale pomiędzy trawiastym zboczem a torem kolejowym. Poderwał się na równe nogi, odwrócił i zaczął biec w kierunku stacji.

Kiedy stanął przed barierką biletową, strażnik właśnie zamykał stację na noc. Spojrzał ze zdziwieniem na dziwną postać w podartym płaszczu.

- Mężczyzna, który wychodził stąd ostatni - wycharczał Preston. - Niski, krępy, w szarym płaszczu nieprzemakalnym. Dokąd poszedł?

Strażnik skinął głową w stronę wyjścia z budynku, a Preston zerwał się do biegu. Strażnik za późno zorientował się, że mężczyzna nie miał biletu. W tej samej chwili Preston dostrzegł tylne światła taksówki ruszającej spod stacji w stronę miasta.

Była to ostatnia taksówka. Wiedział, że mógł skontaktować się z policją, żeby odszukać kierowcę i spytać go, gdzie wysadził swego pasażera, ale był niemal pewien, że Winkler zdecyduje się na krótki spacer do miejsca swego przeznaczenia, opuszczając taksówkę w z góry określonym przez siebie miejscu. Parę metrów dalej, bagażowy kopnięciem próbował uruchomić silnik swojego motoroweru.

- Muszę pożyczyć twój motorower - rzekł Preston.

- Schrzanij! - odparł bagażowy.

Nie miał czasu na wylegitymowanie się czy szukanie dalszych odpowiednich w tej sytuacji argumentów. Światła taksówki z wolna nikły w oddali. Preston nie wahał się dłużej, tylko rąbnął tamtego w szczękę. Uderzył tylko raz. Pod bagażowym ugięły się nogi. Preston złapał padający motorower, odsunął mężczyznę na bok i odjechał. Miał szczęście. Światła uliczne wyraźnie mu sprzyjały. Taksówka znikła już w Corporation Street, a Preston nigdy by jej nie dogonił, gdyby nie czerwone światła przy Bibliotece Centralnej. Kiedy taksówka znalazła się na Wolly Well Street, a potem skręciła w Salter Gate, miała nad nim sto metrów przewagi, a potem na szosie zwiększyła dystans do około kilometra. Gdyby Winkler zamierzał udać się za miasto, i wjechałby na autostradę, Preston nigdy by go nie dogonił. Na szczęście tylne światła taksówki rozbłysły, gdy dystans nie był jeszcze nazbyt wielki. Winkler zapłacił kierowcy przy wjeździe na Ashgate Road. Nadjeżdżający Preston widział

wysiadającego z wozu Winklera, rozglądającego się wokoło. Oprócz motoroweru i samochodu na ulicy nie było innych pojazdów. Preston uznał, że nie pozostało mu nic innego, jak tylko jechać dalej. Minął stojącą taksówkę, jak człowiek spieszący się do domu na spóźnioną kolację, skręcił w Foljembe Road i zatrzymał się. Winkler przeszedł na drugą stronę ulicy. Preston ruszył za nim. Winkler nie obejrzał się za siebie ani razu. Szedł na Compton Street. Podszedł do drzwi jednego z domów i zastukał w nie kilkakrotnie. Preston skryty w cieniu, dotarł do rogu ulicy i stał teraz między kępami krzewów w ogrodzie, przy narożnym budynku. W domu stojącym u wlotu ulicy zapaliły się

światła. Drzwi otworzyły się, do uszu Prestona dotarły odgłosy krótkiej rozmowy, po czym Winkler został wpuszczony do środka. Preston westchnął z ulgą i usiadł za kępą krzewów, przygotowując sobie stanowisko obserwacyjne. Czekala go nieprzespana noc. Z tej odległości nie był w stanie dostrzec numeru domu, do którego wszedł Winkler, ani obserwować tylnej części budynku.

Wyraźnie widział jednak strzelistą, wysoką ścianę stadionu piłki nożnej za domem, miał więc nadzieję, że z budynku nie było drugiego wyjścia. O drugiej nad ranem usłyszał trzask w głośniku swojej krótkofalówki. To Burkinshaw próbował się z nim porozumieć. Po krótkiej identyfikacji podał mu swoją pozycję. O wpół do trzeciej usłyszał za sobą odgłos cichych kroków i syknął, by nadchodzący mógł się łatwiej zorientować, gdzie jest ukryty. Burkinshaw przyłączył się do niego, zajmując stanowisko obok w gęstwinie krzewów.

- Wszystko w porządku, John?

- Tak. Jest teraz w domu. Drugi budynek za drzewem. W szparach między zasłonami widać światło.

- Dobra robota. W Sheffield już na niego czekali. Dwóch ludzi ze Służby Specjalnej i trzech mundurowych. Zrobili to na polecenie kogoś z Londynu. Chcesz go aresztować?

- Ależ skąd. Winkler to kurier. Chcę złapać wielką rybę, która być może znajduje się teraz w tym domu. Co z tym komitetem powitalnym w Sheffield?

Burkinshaw roześmiał się. - Niech Bóg błogosławi londyńską policję.

Sheffield to Yorkshire, tu jest Derbyshire. Jutro rano komisarze policji obu okręgów mają się spotkać w tej sprawie. Zyskałeś dzięki temu trochę czasu.

- Owszem. Gdzie są pozostali?

- U wylotu ulicy. Wróciliśmy taksówką i zwolniliśmy ją, John. Nie mamy ani jednego wozu. Po wschodzie słońca nasze stanowisko obserwacyjne stanie się bezużyteczne.

- Rozstaw dwóch ludzi u wlotu i dwóch u wylotu ulicy - rzekł Preston. - Ja tymczasem pójdę i poszukam posterunku policji. Przydałoby się nam wsparcie. Jeśli nasz "koleś" opuści dom, daj mi znać. W razie czego poślij za nim dwóch chłopaków.

Pozostali dwaj niech mają na oku ten budynek. Wszedł z ogrodu i ruszył na poszukiwanie posterunku. Okazało się, że znajduje się on na Beetwell Street. Idąc tam, zastanawiał się nad pewną sprawą. W roli jaką Winkler odgrywał w tej całej historii było coś niejasnego, coś, co Prestonowi wydawało się zupełnie nonsensowne.

20

Nadinspektor Robin King nie był zbyt uszczęśliwiony, gdy zbudzono go o trzeciej rano, kiedy jednak usłyszał, że na jego posterunku policji znajduje się oficer MI-5 z Londynu i prosi o udzielenie pomocy, natychmiast zgodził się przyjechać.

Zjawił się - nieogolony i nieuczesany, w jakieś dwadzieścia minut później.

Z uwagą wysłuchał Prestona, który wyjaśnił mu istotę całej sprawy: obcokrajowiec podejrzewany o to, że jest radzieckim agentem był śledzony od Londynu, wysiadł z pociągu w Chesterfield i doprowadził obserwujących go ludzi do domu na Compton Street o nie ustalonym, na razie, numerze.

- Chwilowo nie wiem, ani kto tam mieszka, ani dlaczego podejrzany tam przyszedł. Mam zamiar to ustalić, ale nie chcę dokonywać obecnie aresztowania.

Chcę natomiast trzymać ten dom pod stałą obserwacją. Nieco później, rano, będziemy mogli uzyskać szersze pełnomocnictwa za pośrednictwem okręgowego komisarza policji dla Derbyshire. W obecnej chwili zaistniał poważniejszy problem. Mam na tej ulicy czterech ludzi ze służby obserwacyjnej, ale kiedy zrobi się jasno, będą fatalnie rzucać się w oczy. W związku z tym potrzebuję pewnej pomocy.

- Co mogę konkretnie dla pana zrobić, panie Preston? - zapytał oficer policji.

- Czy ma pan na przykład nieoznakowaną furgonetkę?

- Nie. Kilka nieoznakowanych samochodów policyjnych, i parę furgonetek, ale niestety z oznakowaniem policyjnym na karoserii.

- Czy można by zdobyć furgonetkę bez żadnych znaków i zaparkować ją na tej ulicy z moimi ludźmi w środku. Byłoby to chwilowe rozwiązanie.

Nadinspektor połączył się telefonicznie z pełniącym służbę sierżantem. Zadał

mu to samo pytanie i następnie słuchał przez chwilę. - Proszę do niego zadzwonić -

powiedział - i poprosić go, żeby zaraz do mnie oddzwonił. - Odwrócił się do Prestona.

- Jeden z naszych ludzi ma furgonetkę. Jest trochę sfatygowana i koledzy zawsze się z niego nabijają.

W trzydzieści minut później, zaspany policjant spotkał się z zespołem obserwacyjnym przed głównym wejściem stadionu piłki nożnej. Burkinshaw i jego ludzie wskoczyli do środka. Furgonetka zajęła na Compton Street i zaparkowała przed podejrzanym domem. Policjant, zgodnie z instrukcją wysiadł, przeciągnął się i odszedł ulicą sprawiając wrażenie człowieka, który wraca właśnie do domu, po nocnej zmianie.

Burkinshaw zerknął przez tylne okna i połączył się z Prestonem przez radio.

Teraz jest o wiele lepiej - powiedział. - Mamy wspaniały widok na dom po drugiej stronie ulicy. A przy okazji, ma numer 59.

- Wytrzymajcie tam jakiś czas - odpowiedział Preston. - Próbuję zorganizować wam coś lepszego. A tymczasem, gdyby Winkler próbował odejść pieszo, niech śledzi go dwóch ludzi, a dwaj niech pozostaną na miejscu i obserwują dom. Jeżeli odjedzie samochodem, ruszajcie za nim furgonetką.

- Panie nadinspektorze - zwrócił się do policjanta. - Być może, będziemy musieli trzymać ten dom pod obserwacją przez dłuższy czas. A to oznacza, że będziemy musieli skorzystać z jakiegoś frontowego pokoju na piętrze, w którymś z domów po drugiej stronie ulicy. Czy mógłby pan znaleźć kogoś na Compton Street, kto mógłby nam taki punkt obserwacyjny udostępnić?

Naczelnik policji zamyślił się. - Znam kogoś, kto mieszka przy Compton Street - wyjaśnił. - Jesteśmy obaj masonami, należymy do tej samej loży. W taki sposób go poznałem. Dawniej był bosmanem w marynarce wojennej, obecnie jest w stanie spoczynku. Mieszka pod numerem 68. Nie wiem jednak, w którym miejscu ulicy się znajduje.

Burkinshaw potwierdził, że numer 68 znajduje się po drugiej stronie ulicy, dwa domy dalej. Frontowe okno na piętrze, najprawdopodobniej główna sypialnia, stanowiłoby idealny punkt obserwacyjny obiektu. Nadinspektor King zadzwonił z posterunku do swojego znajomego.

Zgodnie z sugestią Prestona powiedział zaspanemu właścicielowi domu, panu Samowi Roystonowi, że jest to operacja policyjna - chcieliby obserwować ewentualnego podejrzanego, który schronił się w domu po drugiej stronie ulicy. Pan Royston, kiedy pozbierał się wreszcie z myślami, stanął na wysokości zadania. Jako praworządny obywatel z całą pewnością udostępnił policji swój frontowy pokój.

Furgonetka dyskretnie okrążyła kwadrat i stanęła na West Street. Burkinshaw i jego zespół prześlizgnęli się między stojącymi tam domami, przeszli przez ogrodzenia ogródków i weszli do domu pana Roystona przy Compton Street przez tylne wejście.

Na chwilę przed tym, gdy letnie słońce oświetliło ulicę, zespół obserwacyjny zainstalował się w nieuprzątniętej sypialni Roystonów za koronkowymi firankami, przez które mogli widzieć po drugiej stronie ulicy dom pod numerem 59.

Pan Royston w szlafroku z wielbłądziej sierści, wyprostowany jakby kij połknął i całym wyglądem dający wyraz dumie patrioty, którego poproszono o to, by dopomógł królewskim funkcjonariuszom, groźnie popatrzył przez firanki na widniejący naprzeciwko dom.

- Napadli na bank, co? A może przemyt narkotyków?

- Coś w tym rodzaju - przytaknął Burkinshaw.

- Cudzoziemcy - warknął Royston. - Nigdy ich nie lubiłem. Nie powinno się ich tu wpuszczać.

Ginger, którego rodzice przybyli z Jamajki patrzył beznamiętnie przez firanki.

Szkot Mungo wnosił z dołu dwa krzesła. Pani Royston, która pozbyła się już swoich papilotów i spinek, wyłoniła się jak myszka z jakiejś kryjówki.

- Czy ktoś życzyłby sobie - zapytała - filiżaneczkę herbaty?

Barney, młody i przystojny, rozpromienił się w najbardziej czarującym ze swoich uśmiechów.

- Byłoby cudownie, mamuśko. - To była dla niej pełnia szczęścia. Zaczęła przygotowywać pierwszą z jak się okazało nie kończących się filiżanek herbaty, napoju którym chyba wyłącznie się odżywiała nie sięgając po bardziej konkretne dania.

Na posterunku policji, urzędujący sierżant ustalił również tożsamość mieszkańców domu 59 przy Compton Street.

- Dwaj cypryjscy Grecy, sir - zameldował nadinspektorowi Kingowi. - Bracia.

Obaj są kawalerami. Andreas i Spiridion Stephanides. Według informacji policjanta zajmującego się tym rewirem, mieszkają tam około czterech lat. Prowadzą chyba knajpkę z kebabami i greckimi daniami na wynos na Holywell Cross.

Preston spędził pół godziny rozmawiając przez telefon z Londynem. Najpierw połączył się z oficerem dyżurnym w Sentinel, który przełączył go do Barry'ego Banksa.

- Barry, chcę żebyś skontaktował się z "C" i poprosił go, żeby zadzwonił do mnie.

Sir Nigel zatelefonował pięć minut później, spokojny i przytomny, zupełnie jakby w ogóle nie spał. Preston poinformował go o wydarzeniach tej nocy.

- Sir, w Sheffield był komitet powitalny. Dwaj z SB i trzech mundurowi z pełnomocnictwami do dokonania aresztowania.

- Nie przypuszczam, żeby to należało do umowy, John. - W porządku. Będę załatwiał to od tej strony. Ustaliłeś już dom. Czy masz zamiar tam wejść?

- Ustaliłem jakiś dom - poprawił go Preston. - Nie mam zamiaru wejść, bo nie sądzę, żeby to był koniec tropu. Jeszcze jedno, sir. Kiedy Winkler wyjdzie i skieruje się w drogę powrotną, chciałbym, żeby zostawiono go w spokoju. Jeżeli jest kurierem, albo przekazuje jakieś polecenia, albo po prostu sprawdza, jego zwierzchnicy będą go oczekiwali z powrotem w Wiedniu. Gdyby się nie pojawił zerwą wszystkie kontakty od góry do dołu.

- Tak - odparł ostrożnie sir Nigel. - Porozmawiam o tym z sir Bernardem. Czy chcesz pozostać tam na czas trwania operacji, czy wrócić do Londynu?

- Wolałbym zostać, jeśli to możliwe.

- W porządku. Załatwię to w ten sposób, że "szóstka" wystąpi z żądaniem na najwyższym szczeblu, aby wszystko co zechcesz było spełnione. A tymczasem zabezpiecz sobie tyły i sporządź swój meldunek operacyjny dla Charles Street.

Kiedy Preston się rozłączył, sir Nigel zadzwonił do sir Bernarda Hemmingsa do domu. Dyrektor generalny "piątki" zgodził się spotkać z nim o ósmej na śniadaniu w Klubie Kawalerii i Gwardii.

- Widzisz więc Bernardzie, że zupełnie możliwe, iż Centrum montuje obecnie w tym kraju operację na zupełnie dużą skalę - powiedział "C" smarując masłem drugą grzanekę.

Sir Bernard Hemmings był głęboko poruszony. Siedział nie tknąwszy nawet jedzenia.

- Brian powinien był mi zameldować o tym incydencie w Glasgow - oznajmił.

- Dlaczego do diabła ten raport wciąż tkwi na jego biurku?

- Wszyscy od czasu do czasu mylimy się w naszych osądach. Errare humanum est i to wszystko - mruknął sir Nigel. - Moi ludzie w Wiedniu uważają, że Winkler był

komiwojażerem dla dawno zorganizowanej siatki agentów i doszedłem do wniosku, że Jan Marais jest jej członkiem. A teraz wszystko wskazuje na to, że mogą to być jednak dwie niezależne operacje.

Przemilczał fakt, że poprzedniego dnia sam wysłał telegram do Wiednia, żeby uzyskać od swego kolegi włączenie Prestona do sprawy Winklera jako kontrolera. Dla

“C” był czas szczerości i czas dyskretnego milczenia.

- A druga operacja, ta, która wiąże się z przechwyceniem w Glasgow? -

zapytał sir Bernard.

- Po prostu nie wiem, Bernardzie - wzruszył ramionami sir Nigel. - Szukamy po omacku w ciemności. Brian najwidoczniej w to nie wierzy. Być może ma rację. I w takim razie okaże się, że to ja zrobiłem z siebie durnia. A poza tym jeszcze sprawa z Glasgow, tajemniczy nadajnik w Midlands, przybycie Winklera. Ten Winkler to szczęśliwy przełom w sprawie, może ostatni, jaki mieliśmy.

- Jakie są wobec tego twoje konkluzje?

Sir Nigel uśmiechnął się przeproszająco. Było to pytanie, na które czekał. -

Nie mam żadnych konkluzji, Bernardzie, jedynie kilka niezobowiązujących wniosków. Jeżeli Winkler jest kurierem, spodziewam się, że nawiąże kontakt z łącznikiem i przekaże przesyłkę albo weźmie przeznaczoną dla niego przesyłkę w jakimś publicznym miejscu. Na parking, nadrzecznym bulwarze, ławce w parku, krześle przy stawie.

Jeżeli przeprowadzana jest jakaś duża operacja, musi być tu zakonspirowany agent wysokiego szczebla. Człowiek, który prowadzi tę grę. Gdybyś był na jego miejscu, to czy chciałbyś, żeby kurierzy kręcili ci się przed domem? Oczywiście, że nie. Miałbyś jeden albo dwa szczeble pośrednie. Napij się kawy.

- Dobrze, zgadzam się. - Sir Bernard poczekał, aż kolega nalał mu kawy do filiżanki.

- Dlatego więc, Bernardzie wydaje mi się, że Winkler nie może być grubą rybą. To płotka, komiwojażer, kurier czy coś w tym rodzaju. To samo odnosi się do dwóch Cypryczyków w małym domu w Chesterfield. Konserwy, nie sądzisz?

- Tak - zgodził się z nim sir Bernard. - Podrzędne konserwy.

- Wszystko zaczyna wskazywać na to, że dom w Chesterfield może być przechowalnią przychodzących przesyłek, skrzynką kontaktową, meliną, albo miejscem w którym trzymany jest nadajnik. W końcu znajduje się w odpowiednim rejonie. Jeden z sygnałów impulsowych przechwyconych przez GCH, nadany był z Derbyshire Peak District, a drugi ze wzgórz na północ od Sheffield. W obu przypadkach można tam łatwo dojechać samochodem z Chesterfield.

- A Winkler?

- Cóż tu można wymyślić, Bernardzie? Technik przysłany, żeby naprawił

nadajnik, jeżeli zaczął sprawiać jakieś kłopoty; inspektor, który sprawdza postępy? W

każdym razie sądzę, że powinniśmy pozwolić mu zameldować, że wszystko jest w porządku.

- I sądzisz, że gruba ryba może pojawić się we własnej osobie?

Sir Nigel wzruszył ramionami. Osobiście obawiał się, że Brian Harcourt-Smith, któremu uniemożliwiono przeprowadzenie aresztowania w Sheffield, mógłby próbować zorganizować atak na dom w Chesterfield. Zdaniem sir Nigela, byłoby to bardzo przedwcześnie.

- Jestem skłonny przypuszczać, że musi tu gdzieś istnieć jakiś łącznik. I albo on przyjdzie do Greków, albo oni do niego - stwierdził.

- Ty coś wiesz, Nigel. Sądzę, że powinniśmy obstawić ten dom w Chesterfield, przynajmniej na jakiś czas.

Szef SIS miał poważną minę. - Bernardzie, stary przyjacielu, tak się składa, że zgadzam się z tobą. Ale ten twój młody Brian sprawia wrażenie, że ma wielką chętkę zacząć działać i dokonać paru aresztowań. Próbował ostatniej nocy w Sheffield.

Oczywiście aresztowania robią dobre wrażenie, ale...

- Zostaw Briana Harcourta-Smitha mnie, Nigel - odparł pośepnie sir Bernard. -

Może cienko pręde, ale stary pies jeszcze potrafi szczeknąć. Wiesz co, mam zamiar osobiście objąć kierownictwo tej operacji.

Sir Nigel pochylił się i położył dłoń na przedramieniu sir Bernarda. -

Doprawdy, bardzo bym tego pragnął, Bernardzie.

Winkler opuścił dom przy Compton Street o wpół do dziesiątej, na piechotę.

Mungo i Barney wyslizgnęli się tylnym wyjściem z domu Roystonów, przeszli przez ogródki i przechwycili go na rogu Ashgate Road. Poszedł na stację, wsiadł do londyńskiego pociągu i został przejęty na dworcu St. Pancras przez nowy zespół.

Mungo i Barney wrócili do Derbyshire.

Winkler nie wrócił do pensjonatu. Cokolwiek tam miał, pozostawił to tak samo, jak walizczkę z piżamą i koszulą w pociągu i udał się bezpośrednio na Heathrow. Zdażył złapać popołudniowy lot do Wiednia. Szef podległej Irwinowi placówki w Wiedniu zameldował później, że na lotnisku spotkali go dwaj ludzie z radzieckiej ambasady.

Preston spędził resztę dnia na posterunku załatwiając mnóstwo administracyjnych szczegółów związanych z organizacją obstawy w terenie.

Biurokratyczna maszyna ze zgrzytem zaczęła działać. Charles Street zwróciła się do Home Office, które z kolei upoważniło okręgowego komisarza policji w Derbyshire do zlecenia nadinspektorowi Kingowi, żeby udzielił Prestonowi i jego ludziom wszelkiej pomocy. King zrobiłby to z przyjemnością tak czy owak, ale dokumenty musiały być w porządku.

Len Stewart z drugim zespołem przyjechali samochodem i zostali umieszczeni w kwaterach nieżonatych policjantów. Obiektywem z długą ogniskową sporządzono fotografie obu Greków, w chwili gdy tuż przed południem wychodzili z Compton Street do swojej knajpki na Holywell Cross i wysłano je do Londynu za pośrednictwem motocyklisty. Z Manchesteru przybyli inni specjaliści, poszli do miejscowej centrali telefonicznej i zainstalowali podsłuch na oba telefony Greków - w domu i tawernie. W ich samochodzie założono elektroniczny sygnalizator lokalizacji.

Późnym popołudniem Londyn rozpracował Greków. Byli braćmi, ale nie Cypryjczykami. Grecy komuniści z wieloletnim stażem, niegdyś aktywiści ruchu ELLAS, wyjechali z Grecji na Cypr dwadzieścia lat temu. Ateny uprzejmie poinformowały Londyn, że prawdziwe nazwisko braci brzmi Costapopoulos. Według danych z Nikozji zniknęli z Cypru osiem lat temu.

Archiwum Biura Imigracyjnego w Croydon powiadomiło, że bracia Stephanides przybyli do Wielkiej Brytanii pięć lat temu jako obywatele cypryjscy i uzyskali zezwolenie na pobyt.

Archiwa w Chesterfield wykazały, że przybyli tu zaledwie trzy i pół roku temu z Londynu, wzięli w długoterminową dzierżawę knajpkę z kebabami i niewielki domek z tarasem przy Compton Street. Do tej pory byli uważani za spokojnych i prawomyślnych obywateli. W ciągu sześciu dni w tygodniu otwierali swoją tawernę w porze lunchu choć interes szedł kiepsko i trzymali zakład otwarty do późna w nocy, kiedy doskonale sprzedawały się kolacje na wynos.

Nikt z posterunku poza superintendentem Kingiem nie znał prawdziwego powodu obstawy i tylko sześciu ludzi zostało powiadomionych. Pozostałych poinformowano, że jest to fragment ogólnokrajowej akcji zwalczania handlu narkotykami. Ludzie z Londynu zostali tu sprowadzeni tylko dlatego, że znają twarze.

Tuż po zachodzie słońca Preston opuścił komendę policji i poszedł przyłączyć się do Burkinshawa i jego grupy.

Przed wyjściem z posterunku gorąco podziękował nadinspektorowi Kingowi za okazaną mu pomoc.

- Czy ma pan zamiar siedzieć tam w czasie zasadzki? - zapytał komendant policji.

- Tak, będę tam - odparł Preston. - Dlaczego pan pyta?

Nadinspektor King uśmiechnął się smutno.

- Przez połowę minionej nocy mieliśmy tu na dole bardzo głęboko urażonego tragarza ze stacji kolejowej. Wygląda na to, że ktoś zrzucił go z jego mopedu na dziedzińcu stacji i odjechał na nim. Odnaleźliśmy moped na Foljambe Road, zupełnie nieuszkodzony. Przekazał nam jednak bardzo dokładny opis napastnika. Mam nadzieję, że nie będzie pan zbyt często wychodził?

- Nie, nie przypuszczam.

- Bardzo rozsądnie - przytaknął King.

Pana Roystona przy Compton Street skłoniono do zachowania zwykłego rozkładu dnia - odwiedzania sklepów z rana i trawnika do gry w kule po południu.

Dodatkową żywność i napoje dostarczono do domu po zapadnięciu ciemności, żeby sąsiedzi nie zastanawiali się, dlaczego tak nagle i w tak wielkim stopniu wzrósł apetyt państwa Roystonów. Dla "chłopców z góry", jak określał to pan Royston, przyniesiono mały telewizor - zaczął się okres oczekiwania i obserwacji.

Roystonowie przenieśli się do sypialni od tyłu, a pojedyncze łóżko z tego pokoju przesunięto do sali frontowej. Zajmowali je na zmianę obserwatorzy.

Przyniesiono również bardzo silną lornetę na trójnogu oraz aparat fotograficzny z obiektywem o długiej ogniskowej do zdjęć w dzień i obiektywem do zdjęć nocnych w podczerwieni. Dwa samochody z zatankowanymi do pełna zbiornikami stały w pobliżu, a ludzie Lena Stewarta prowadzili centrum komunikacyjne na posterunku policyjnym, łącząc przenośne radiostacje w domu Roystonów z Londynem.

Kiedy Preston przybył na miejsce, czterej obserwatorzy sprawiali wrażenie zupełnie zadomowionych. Barney i Mungo, którzy wrócili z Londynu, drzemali -

jeden na łóżku, drugi na podłodze. Ginger siedział w fotelu klubowym i popijał z filiżanki świeżo zaparzoną herbatę; Harry Burkinshaw natomiast tkwił jak Budda w fotelu za koronkowymi firankami wpatrując się w pusty dom naprzeciwko.

Ponieważ spędził pół życia stojąc na deszczu, był teraz w pełni szczęśliwy.

Było mu ciepło, sucho, miał duży zapas miętówek i zdjęte buty. Dobrze wiedział, że bywa gorzej. Obserwowany dom nawet dotykał tylną ścianą do piętnastostopowej wysokości betonowego muru, ogradzającego boisko piłkarskie, co oznaczało, że nikt nie będzie musiał spędzać nocy siedząc skulony w krzakach. Preston postawił

dodatkowe krzesło przy Burkinshawie za aparatem fotograficznym na stojaku i przyjął

filiżankę herbaty od Gingera.

- Sprowadziłeś zespół nielegalnych wejść? - zapytał Harry. Miał na myśli wysoko wykwalifikowanych włamywaczy, którymi Służba Techniczna dysponowała, gdy zachodziła konieczność dokonania potajemnego włamania.

- Nie - odpowiedział Preston. - Po pierwsze nie wiemy, czy w środku nie ma jeszcze kogoś. Po drugie, może tam być cała kolekcja urządzeń ostrzegawczych, które mają na celu informowanie o tym, czy takie włamanie miało miejsce, my zaś możemy wcale ich nie zauważyć. Wreszcie, czekam, żeby pojawił się "Koles". Kiedy się pokaże, bierzemy samochody i śledzimy go. Len przejmie dom.

Rozlokowali się i zapadła cisza. Barney obudził się.

- Czy jest coś w telewizji? - zapytał.

- Nic specjalnego - odparł Ginger. - Wiadomości wieczorne. Ciągłe te same bzdury.

Dwadzieścia cztery godziny później, czwartek wieczorem o tej samej porze, wiadomości stały się bardziej interesujące. Na swoim małym ekranie zobaczyli panią premier, jak w schludnym niebieskim kostiumie stoi na stopniach Downing Street 10, stawiając czoło hordzie dziennikarzy prasowych i telewizyjnych.

Oznajmiła, że wraca z Pałacu Buckingham, gdzie poprosiła o rozwiązanie parlamentu. W wyniku tego kroku, kraj powinien przygotować się do wyborów powszechnych, które odbędą się 18 czerwca.

Cała pozostała część wieczoru była poświęcona tej sensacyjnej wiadomości i przywódcy oraz przedstawiciele wszystkich partii dawali wyraz przekonaniu o przyszłym zwycięstwie.

- Przełącz na totalizator - Burkinshaw zwrócił się do Prestona.

Nie otrzymał odpowiedzi. Preston patrzył na ekran pogrążony w myślach.

Wreszcie wyrzucił z siebie: - Zdaje się, że mam to.

- No cóż, to nie korzystaj z naszej ubikacji - zażartował Mungo.

- Na co wpadłeś, John? - zapytał Harry, gdy ucichł już śmiech.

- Mój nieprzekraczalny termin - odrzekł Preston, ale odmówił jakichkolwiek wyjaśnień.

W 1987 roku niewiele już wyprodukowanych w Europie samochodów miało wciąż staroświeckie, duże, okrągłe reflektory, ale jednym z nich był wiecznie młody austin mini. Właśnie tego typu wóz znajdował się wśród wielu pojazdów przeznaczonych do wyładunku z promu, który przybył do Southampton z Cherbourga wieczorem drugiego czerwca.

Samochód został zakupiony w Austrii cztery tygodnie wcześniej, przeprowadzony do tajnego garażu w Niemczech, tam go zmodyfikowano i przerzucono z powrotem do Salzburga. Wóz miał idealne

austriackie dokumenty, podobnie jak i prowadzący go turysta. Ten ostatni był w rzeczy samej Czechem, drugim i ostatnim wkładem St. B do realizacji planu majora Wołkowa przetrzucenia do Wielkiej Brytanii komponentów, których potrzebował Walerij Pietrowski.

W trakcie kontroli celnej przeszukano austina i nie znaleziono nic podejrzanego. Po wyjechaniu z doków Southampton, kierowca ruszył w stronę Londynu, ale na północnych przedmieściach portowego miasta zjechał z szosy w kierunku dużego parkingu. Zapadł już zmrok i tylna część parkingu była niewidoczna dla tych, którzy wciąż jeszcze podążali główną autostradą. Wysiadł i za pomocą śrubokrętu zaczął demontować reflektory.

Najpierw zdjął chromowany pierścień zakrywający szczelinę między reflektorem i krawędziami błotnika. Następnie, za pomocą większego śrubokrętu, odkręcił śruby mocujące. Kiedy to zrobił, wyjął go z gniazda, odczepił przewody łączące tylną część czaszy z układem elektrycznym samochodu, po czym włożył cały reflektor, który sprawiał wrażenie wyjątkowo ciężkiego, do leżącej obok brezentowej torby.

Wyjęcie obu reflektorów zajęło mu prawie godzinę. Kiedy zakończył pracę, mały samochód patrzył ślepo pustymi oczodołami. Agent wiedział, że rano kupi nowe światła w Southampton, zamontuje je i odjedzie.

Przez chwilę ważył w ręku ciężką brezentową torbę, a potem cofnął się do autostrady i przeszedł trzysta jardów w stronę portu. Przystanek autobusowy był w tym miejscu, gdzie powiedziano mu, że będzie się znajdował. Spojrzał na zegarek -

dziesięć minut do spotkania.

Dokładnie dziesięć minut później mężczyzna w skórzanym stroju motocyklisty podszedł do przystanku. Poza nimi dwoma nie było nikogo. Przybysz popatrzył na szosę i zauważył: - Zawsze bardzo długo się czeka na ostatni nocny autobus.

Czech westchnął z ulgą. - Tak - odpowiedział - ale dzięki Bogu będę przed północą w domu.

Czekali w milczeniu do chwili, kiedy przyjechał autobus do Southampton.

Czech zostawił pakunek na ziemi i wsiadł do autobusu. Gdy tylne światła zniknęły już na drodze prowadzącej do miasta, motocyklista podniósł torbę i odszedł, kierując się w stronę przydrożnej jadłodajni, obok której pozostawił swój motocykl.

O świcie, po postoju w Thetford gdzie przebrał się i zmienił pojazdy, przybył

do domu w Herryhayes Close w Ipswich mając ze sobą ostatnie komponenty z rozplanowanej listy, na które czekał przez te długie tygodnie. Kurier dziewięć wykonał zadanie.

Dwa dni później obserwacja domu przy Compton Street w Chesterfield trwała już tydzień i nie było nic do zakomunikowania.

Dwaj greccy bracia prowadzili niczym nie zakłócone, nienaganne życie.

Wstawali koło dziewiątej, krzatali się po domu, w którym robili wszystko, łącznie ze sprzątaniem i odkurzaniem, i wyjeżdżali przed południem swoim pięcioletnim samochodem do restauracji. Przebywali w niej prawie do północy, po czym wracali do domu spać. Nikt ich nie odwiedzał i prawie nie było telefonów. Te zaś, które odbierali zawierały jedynie zlecenia na mięso i warzywa do ich restauracji lub podobne, niewinne drobiazgi.

Jeżeli chodzi o tawernę przy Holywell Cross, Len Stewart i jego ludzie donosili prawie to samo. Telefon używany był częściej, ale tu również rozmowy dotyczyły zamówień żywności, rezerwacji stolików, czy też dostaw wina. Nie można było zorganizować sprawy tak, żeby obserwator jadał tam co wieczór. Grecy byli najwyraźniej zawodowcami, którzy spędzili całe lata prowadząc konspiracyjny tryb życia i niewątpliwie zwróciliby uwagę na klienta, który przychodzi zbyt często i siedzi zbyt długo. Ale Stewart i jego zespół robili co było w ich mocy.

Główny problem zespołu w domu Roystonów stanowiła nuda. Nawet państwo Roystonowie, po przeminięciu pierwszego podniecenia, zaczęli być zmęczeni niewygodami stwarzanymi przez stałą obecność zespołu Burkinshawa. Pan Royston zgodził się działać jako ochotniczy agitator Partii Konserwatywnej, zdecydowanie odmówił dopomagania komukolwiek innemu - i we frontowych oknach domu widniały teraz plakaty reklamujące miejscowego kandydata z ramienia torysów.

Dzięki temu więcej osób niż zwykle mogło przychodzić i wychodzić, bowiem każdy z rozetką Partii Konserwatywnej, kto przybywał do domu, albo go opuszczał, nie zwracał najmniejszej uwagi sąsiadów. Dzięki temu Burkinshaw i jego zespół

mogli, zaopatrzeni w stosowne odznaki, przespacerować się w czasie, kiedy Grecy znajdowali się w swojej restauracji. To pozwalało przezwyciężyć monotonię.

Jedynym, na którym nuda zdawała się nie robić wrażenia, był sam Harry Burkinshaw.

Dla pozostałych podstawowym sposobem ucieczki od nudy był telewizor, nastawiany cicho, zwłaszcza kiedy Roystonów nie było w domu, a podstawowym tematem porannych i wieczornych wiadomości była trwająca kampania wyborcza. Po tygodniu jej trwania trzy sprawy stały się jasne.

Koalicji liberalno-socjaldemokratycznej wciąż nie udawało się uzyskać zwyżki popularności w wynikach badań opinii publicznej i wyglądało na to, że wszystko stopniowo przekształci się w tradycyjny wyścig pomiędzy konserwatystami i Partią Pracy. Drugim czynnikiem było to, że wszystkie badania opinii wskazywały, iż różnica między obydwoma głównymi partiami jest o wiele mniejsza niż można by to było przewidzieć cztery lata wcześniej, w 1983 roku, kiedy konserwatyści odnieśli druzgocące zwycięstwo. Poza tym badania przeprowadzane na poziomie okręgów wyborczych wskazywały, że wyniki w osiemdziesięciu najbardziej marginalnych okręgach prawie na pewno zadecydują o zabarwieniu przyszłego rządu. Każde badanie wykazywało, że niezdecydowani wyborcy, których liczba waha się między 10

a 20 procentami, stanowią języczek u wagi.

Trzeci element sytuacji polegał na tym, że mimo szeregu problemów ekonomicznych i ideologicznych, oraz wysiłków każdej z partii, by właśnie na niej skoncentrować uwagę, nad całą

kampanią wyborczą zaczynała dominować o wiele bardziej emocjonalna kwestia jednostronnego rozbrojenia nuklearnego. W coraz większej ilości wyników badań opinii, sprawa wyścigu zbrojeń nuklearnych była przez wyborców umieszczana na pierwszym lub drugim miejscu.

Organizacje pacyfistyczne, wyraźnie lewicowe, i wyraźnie wreszcie zjednoczone, rozwijały to, co w gruncie rzeczy stanowiło ich własną, równoległą kampanię. Niemal codziennie odbywały się wielkie demonstracje, znajdujące odbicie w obszernych sprawozdaniach w prasie i telewizji. Ruch pacyfistyczny, choć na pozór nie dysponował żadnymi liczącymi się organizacjami sponsorującymi, był jednak w stanie wynajmować ze swoich połączonych funduszy setki autobusów po kosztach handlowych, żeby przewozić swoich demonstrantów z miejsca na miejsce po całym kraju.

Skrajnie lewicowi luminarze Partii Pracy, jak jeden mąż agnostycy lub ateści, dzielili każdą trybunę - czy to w wystąpieniach publicznych czy w TV - z duchownymi reprezentującymi bardziej radykalne skrzydło kościoła anglikańskiego.

Podczas trwania tych programów członkowie obu grup kiwali głowami z głęboką powagą, zgadzając się z argumentami drugiej strony.

Nieuchronnie więc, choć koalicja nie popierała idei jednostronnego rozbrojenia, głównym celem ataków pacyfistów stała się Partia Konserwatywna, podobnie jak głównym ich sojusznikiem była Partia Pracy. Lider labourzystów, wspierany przez Egzekutywę Krajową, widząc w którą stronę wieje wiatr, publicznie poparł w imieniu swoim i swojej partii, każde z żądań zwolenników jednostronnego rozbrojenia.

Innym tematem obecnym w całej kampanii prowadzonej przez lewicę był

antyamerykanizm. W setkach najrozmaitszych wystąpień nagle okazywało się, że żaden z przeprowadzających wywiad dziennikarzy, czy też gospodarzy programu nie jest w stanie uzyskać od przedstawiciela zwolenników rozbrojenia nawet jednego słowa potępienia Związku Radzieckiego. Stałym motywem była nienawiść do Stanów Zjednoczonych, przedstawianych w roli podżegacza wojennego, kraju imperialistycznego - stanowiącego zagrożenie dla pokoju światowego.

Czwartek, 4 czerwca, kampanię wyborczą ożywiły propozycje Związku Radzieckiego udzielenia, jeżeli Stany Zjednoczone uczynią to samo, bezterminowych

“gwarancji” Europie Zachodniej, zarówno krajom neutralnym jak i członkom NATO, w wypadku utworzenia tam strefy bezatomowej.

Kiedy brytyjski minister próbował wyjaśnić, że usunięcie europejsko-amerykańskich środków obronnych daje się zweryfikować, natomiast zmiana celów radzieckiego uderzenia nuklearnego nie, i że Układ Warszawski ma przewagę 4 do 1

w broni konwencjonalnej nad NATO, jego wypowiedź w czasie lunchu była dwukrotnie zagłuszana okrzykami i minister musiał być uwalniany z pazurów pacyfistów przez członków jego ochrony.

- Można by pomyśleć - mruknął Harry Burkinshaw wrzucając do ust kolejną miętówkę - że te wybory

są ogólnonarodowym referendum w sprawie rozbrojenia nuklearnego.

- Bo są - odparł krótko Preston.

W piątek major Pietrowski dokonywał zakupów w centrum Ipswich. W

sklepie z wyrobami żelaznymi kupił lekki, dwukołowy wózek, o krótkich uchwytach, taki, jakiego używa się do przewożenia worków, pojemników na śmieci czy też ciężkich walizek. W magazynie budowlanym dostał dwie dziesięciostopowe deski.

W sklepie zaopatrzenia biurowego nabył niewielką, stalową szafkę kartotekową - wysoką na trzydzieści, szeroką na osiemnaście i głęboką na dwadzieścia cali - o drzwiczkach z dobrym zamkiem.

Skład drewna zaopatrzył go w rozmaite łaty drewniane, listwy i krótkie belki, a w sklepie dla majsterkowiczów sprzedano mu kompletny zestaw narzędziowy zawierający również szybkoobrotową wiertarkę z kompletem werteł do metalu i drewna, a także gwoździe, wkrety, śruby oraz parę solidnych rękawic ochronnych.

W składzie z materiałami do pakowania zakupił pewną ilość piankowego wypełniacza i wreszcie zakończył ranek w salonie elektrotechnicznym kupując tam cztery prostokątne baterie 9-voltowe oraz zestaw różnokolorowych jednożyłowych przewodów elektrycznych. Musiał wykonać dwa kursy, żeby przewieźć te zakupy swoim pięciodrzwiowym samochodem do Cherryhayes Close, gdzie złożył wszystko w garażu. Po zapadnięciu zmroku przeniósł większą część tych rzeczy do wnętrza domu.

Tej nocy radio przekazało mu alfabetem Morse'a szczegóły przybycia Montera, wydarzenia, którego nie musiał uczyć się na pamięć. Będzie to punkt spotkaniowy X, poniedziałek 8 czerwca. Na styk, pomyślał, cholernie na styk, ale mimo wszystko powinno się udać.

W czasie gdy Pietrowski siedział skulony nad swoją jednorazową tabelą kodową deszyfrując otrzymaną wiadomość, a Grecy podawali moussakę i kebaby kolejce ludzi, którzy opuszczali zamykane sąsiednie bary, Preston znajdował się na posterunku policji i rozmawiał przez telefon z sir Bernardem Hemmingsem.

- Pozostaje pytanie, John, jak długo będziemy w stanie prowadzić akcję w Chesterfield nie mogąc wylegitymować się żadnymi rezultatami - stwierdził szef

“piątki”.

- To dopiero tydzień, sir - odparł Preston. - Bywa, że zasadzka trwa o wiele dłużej.

- Tak, wiem o tym dobrze. Problem w tym, że mamy zazwyczaj więcej punktów zaczepienia. Rozlega się tu coraz więcej głosów radzących, żeby wdrzeć się do tych Greków i zobaczyć co tam chowają u siebie w domu - jeśli w ogóle chowają.

Dlaczego nie chcesz zgodzić się na dyskretne włamanie w czasie, kiedy będą w pracy?

- Dlatego, że uważam, iż są to zawodowcy wysokiej klasy i na pewno spostrzegą, że ich rewidowano. I jeżeli tak się stanie, niewątpliwie będą dysponowali niezawodnym sposobem ostrzeżenia kontrolera przed złożeniem im następnej wizyty.

- Tak. Sądzę, że masz rację. Wszystko to bardzo pięknie, siedzisz sobie przy tym domu, jak pozostawiona na przynętę koza w Indiach czekająca na nadejście tygrysa, ale założmy, że tygrys się nie zjawi?

- Jestem przekonany, że prędzej czy później przyjdzie, sir Bernardzie -

odpowiedział Preston. - Proszę, niech mi pan da jeszcze trochę czasu.

- Dobrze - odpowiedział Hemmings naradziwszy się przez chwilę z kimś obok siebie. - Masz tydzień, John. W następny piątek będę musiał pozwolić chłopcom ze Special Branch wejść tam i rozebrać wszystko na czynniki pierwsze. Spójrzmy prawdzie w oczy, chłopie. Człowiek na którego czekasz, może przez cały ten czas siedzi w środku.

- Nie wierzę w to. Winkler na pewno nie odwiedziłby osobiście legowiska tygrysa. Jestem przekonany, że ten człowiek jest gdzieś w pobliżu i niewątpliwie się tu zjawi.

- Bardzo dobrze. Jeden tydzień, John. Do następnego piątku.

Sir Bernard rozłączył się. Preston wbił spojrzenie w słuchawkę. Wybory miały odbyć się za trzynaście dni. Zaczął czuć zniechęcenie, obawiać się, że popełnił

pomyłkę. Nikt, może za wyjątkiem sir Nigela, nie wierzył w jego przeczucie. Mały krążek polonu i podrzędny czeski komiwojazer nie byli jakimś szczególnym punktem zaczepienia, i mogli nawet nie być ze sobą powiązani.

- W porządku, sir Bernardzie - powiedział do popiskującej słuchawki - jeden tydzień. A potem rezygnuję z tego tak czy owak.

Odrzutowiec linii Finnair z Helsinek przyleciał w następny poniedziałek rano zgodnie z rozkładem i wszyscy pasażerowie przeszli przez Heathrow bez problemów.

Jednym z nich był wysoki, brodaty mężczyzna w średnim wieku, którego fiński paszport zaświadczał, że jest to Urho Nuutila. Jego płynną znajomość języka można było częściowo wytłumaczyć tym, że pochodził z Karelii. W istocie był to Rosjanin o nazwisku Wasiliew, z zawodu specjalista w zakresie inżynierii nuklearnej z Zarządu Artylerii Armii Radzieckiej, Wydziału Badań. Jak większość Finów mówił znośnie po angielsku.

Po przejściu przez kontrolę celną wsiadł do autobusu lotniskowego, który przewiózł go do Heathrow Penta Hotel. Tam wszedł głównym wejściem, minął

repcję i wyszedł przez tylne drzwi prowadzące na parking. Czekał przy tych drzwiach w słońcu późnego popołudnia, niezauważony przez nikogo, aż wreszcie zatrzymał się przed nim niewielki, pięciodrzwiowy samochód. Kierowca miał

opuszczone boczne okno.

- Czy w tym miejscu autobusy z lotniska wysadzają pasażerów? - zapytał.

- Nie - odparł podróżny. - Przypuszczam, że z drugiej strony, od frontu.

- Skąd pan jest? - zapytał młody człowiek.

- Obecnie z Finlandii - odpowiedział brodac.

- W Finlandii musi być chłodno.

- Nie, o tej porze roku jest bardzo gorąco. Głównym problemem są komary.

Młody człowiek skinął głową. Wasiliew obszedł samochód i wsiadł. Ruszyli.

- Nazwisko? - zapytał Pietrowski.

- Wasiliew.

- Wystarczy. Nic więcej. Jestem Ross.

- Czy długo będziemy jechać? - zapytał Wasiliew.

- Około dwóch godzin.

Pozostałą część drogi przebyli w milczeniu. Pietrowski wykonał trzy różne manewry, żeby zorientować się, czy mają za sobą ogon. Nie mieli. Przybyli do Cherryhayes Close w ostatnich promieniach słońca. Na trawniku przed posesją obok, jego sąsiad, pan Armitrage kosił trawę.

- Towarzystwo? - zapytał, widząc Wasiliewa wychodzącego z samochodu i idącego w stronę drzwi wejściowych.

Pietrowski wyjął niewielką walizkę z tyłu samochodu i mrugnął do Armitrage'a. - Z zarządu - szepnął. Muszę się grzecznie zachowywać. Może dostanę awans.

- Och, powinienem był to zgadnąć - uśmiechnął się Armitrage. Skinął głową dodając mu otuchy i kosił dalej.

W saloniku Pietrowski jak zawsze przed zapaleniem światła zaciągnął

zasłony. Wasiliew stał nieruchomo w mroku.

- No, to do roboty - powiedział, gdy zapaliło się światło. - Czy dostał pan wszystkie dziewięć przesyłek, które panu wysłano?

- Tak. Wszystkie dziewięć.

- Sprawdźmy. Jedna piłka dziecięca o wadze około czterdziestu funtów.
 - Jest.
 - Jedna para butów, jedno pudełko cygar, jeden opatrunek gipsowy.
 - Są.
 - Jedno radio tranzystorowe, jedna golarka elektryczna, jedna rura stalowa, wyjątkowo ciężka.
 - To musi być to - Pietrowski podszedł do szafy i wyjął krótki kawałek metalu w termoodpornej izolacji.
 - Tak - potwierdził Wasiliew. - I wreszcie jedna gaśnica ręczna, wyjątkowo ciężka i jedna para reflektorów samochodowych, również bardzo ciężka.
 - Są.
 - No cóż, to wszystko. Jeśli zdobył pan również pozostałe niewinne nabytki, zacznę montaż rano.
 - A dlaczego nie teraz?
 - Proszę posłuchać, młody człowieku. Po pierwsze, piłowanie i wiercenie o tej porze raczej nie spodobałoby się pańskim sąsiadom. Po drugie, jestem zmęczony.
- Przy tego rodzaju zabawie nie należy popełniać błędów. Zacznę rano ze świeżą głową i zakończę do zachodu słońca.

Pietrowski skinął głową.

- Proszę zająć sypialnię od tyłu. Odwiozę pana na Heathrow w środę, na poranny samolot.

21

Wasiliew postanowił pracować w salonie przy zaciągniętych storach i zapalonym świetle.

- Będziemy potrzebowali torbę na odpadki - oświadczył. Pietrowski przyniósł jedną z kuchni.

- Proszę mi podawać przesyłki, kiedy o nie poproszę - rzekł Monter. -

Najpierw pudełko cygar.

Zerwał pieczęcie i podniósł wieczko. W pudełku leżały dwie warstwy cygar -

trzynaście na górze i dwanaście na dole, każde z nich w aluminiowym pojemniku.

- To powinno być trzecie od lewej w dolnej warstwie.

Było. Wyjął cygaro z pojemnika i rozciął je żyłką. Z rozciętych liści tytoniowych wyciągnął wydłużoną, szklaną ampulkę z zatopionym czubkiem i wystającymi dwoma zwiniętymi przewodami elektrycznymi. Detonator elektryczny.

Odpadki powędrowały do worka.

- Opatrunek gipsowy.

Pojemnik był dwuwarstwowy. Pierwszej warstwie pozwolono zastygnąć, zanim wlano do formy drugą. Pomiędzy dwiema warstwami gipsu rozwałkowano, opakowano w polietylenową folię, by zapobiec zawilgoceniu i owinięto wokół

ramienia warstwę szarej, podobnej do kitu substancji. Wasiliew rozdzielił dwie warstwy gipsu, wydobył szarą plastelinę, usunął ochronną folię i ugniótł plastelinę w kulę. Pół funta materiału wybuchowego - plastiku.

Wziął podane mu buty pana Liszki i odciął oba obcasy. Z jednego wyjął

stalowy krążek o średnicy dwóch cali i grubości jednego cala. Jego krawędź była żłobkowana, dzięki czemu tworzył on szeroką, płaską śrubę na jednej płaszczyźnie, w której umieszczono nawet rowek dla śrubokręta o szerokim ostrzu. Z drugiego obcasa wyjął bardziej płaski, dwucalowej szerokości krążek z szarego metalu. Był to lit, obojętny metal, który spojony eksplozją z polonem utworzy środek inicjujący i spowoduje, że reakcja atomowa osiągnie swoją pełną moc.

Uzupełniający krążek polonu został wydobyty z golarki elektrycznej, która sprawiła tyle zmartwień Karolowi Woźniakowi. Zastąpił on krążek utracony w Glasgow. Pozostało jeszcze pięć przemyconych przesyłek.

Termoodporna osłona rury wydechowej ciężarówki hanomag została usunięta, odsłaniając stalową rurę o wadze czterdziestu funtów. Rura miała wewnętrzną średnicę dwóch i zewnętrzną czterech cali, bowiem jej wykonane z utwardzanej stali ścianki miały cal grubości. Jeden koniec zaopatrzony był w kołnierz i nagwintowany wewnątrz, drugi zamykał stalowy kołpak. Kołpak miał w środku niewielki otwór, przez który można było wsunąć elektryczny detonator.

Z tranzystorowego radia pierwszego oficera Romanowa, Wasiliew wyjął

mechanizm czasowy, zabezpieczone stalowe pudełko o wymiarach dwóch paczek papierosów złożonych denkami. Na górnej pokrywie widniały dwa duże przyciski, czerwony i żółty, z dolnej sterczały dwa kolorowe przewody elektryczne, dodatni i ujemny. Na każdym rogu znajdował się występ z otworem, dzięki czemu można było przymocować pudełko do powierzchni stalowej szafki kartotekowej, w której miała zostać umieszczona bomba.

Montarzysta wziął gaśnicę pochodzącą z saaba pana Lundqvista i odkręcił

denko, które zespół przygotowawczy odciął, przymocował ponownie i zamalował, żeby ukryć

miejsce połączenia. Wyjął ze środka nie pianotwórczy środek gaszący, lecz warstwę wypełniacza i na koniec wreszcie ciężki pręt o długości pięciu i średnicy dwóch cali wykonany z przypominającego ołów metalu. Mimo swych niewielkich rozmiarów ważył jednak dobre dziesięć funtów. Wasiliew, zanim zaczął nim manipulować, nałożył grube rękawice ochronne. Był to czysty uran 235.

- Czy to nie jest radioaktywne? - zapytał Pietrowski, który przyglądał się wszystkiemu z fascynacją.

- Tak, ale niezbyt niebezpieczne. Ludzie sądzą, że wszystkie materiały radioaktywne są w równym stopniu groźne. To nie tak. Zegarki z luminescencyjnymi wskazówkami są radioaktywne, ale je nosimy. Uran emituje promieniowanie alfa, ale mało intensywnie. Z kolei pluton jest rzeczywiście zabójczy. Podobnie jak uran, kiedy osiąga stan krytyczny. To nastąpi tuż przed wybuchem, ale jeszcze nie teraz.

Para reflektorów z austina wymagała sporego demontażu. Wasiliew usunął

szkła, elementy żarowe i wewnętrzną czaszę odblaskową. Pozostała para wyjątkowo ciężkich półkul wykonanych z utwardzanej stali o grubości jednego cala. Każda półkula wokół całej krawędzi miała kołnierz zaopatrzony w szesnaście otworów na śruby i nakrętki. Kiedy obie części zostaną połączone, utworzą idealną sferę.

Jedna z półkul miała w dnie nagwintowany wewnętrznie otwór o średnicy dwóch cali. Był przeznaczony do umieszczenia stalowego "korka" z lewego buta Liszki. Z dna drugiej półkuli sterczał krótki odcinek rurki o wewnętrznej średnicy dwóch cali, zaopatrzony w kołnierz i nagwintowany po zewnętrznej stronie. Do niej miała zostać przykręcona stalowa "lufa" z systemu wydechowego ciężarówki hanomag.

Ostatnim elementem była dziecięca piłka przywieziona w furgonetce turystów.

Wasiliew rozciął nagumowaną zewnętrzną warstwę. W świetle lampy błysnął metal.

- To ołowiana izolacja - oznajmił. - Kula z uranu, rozszczepialny rdzeń bomby znajduje się wewnątrz. Wydobędę go później. Również jest radioaktywny, podobnie jak tamta część.

Upewniwszy się, że posiada wszystkie dziewięć części składowych, zajął się stalową szafką kartotekową. Położył ją na tylnej ścianie, otworzył drzwiczki i za pomocą drewnianych listewek i łąt przygotował wewnętrzną ramę o kształcie niskiego łoża spoczywającego na denku szafki. Pokrył tę konstrukcję grubą warstwą pochłaniającej wstrząsy gumowej gąbki.

- Poutykam więcej po bokach i od góry, gdy bomba będzie już w środku -

wyjaśnił.

Połączył bieguny czterech baterii, a następnie owinął całość taśmą izolacyjną.

Wreszcie wywiercił cztery niewielkie otworki w drzwiczkach szafki i przymocował

blok baterii do ich wewnętrznej strony. Było już południe.

- W porządku - rzekł. - A teraz złożymy całe urządzenie. Mówiąc między nami, czy widział pan już bombę jądrową?

- Nie - odparł Pietrowski ochryłym głosem. Był specjalistą walki wręcz, nie bał się pięści, noży czy pistoletów. Ale jowialność i zimna krew z jaką Wasiliew traktował coś, czego siła niszcząca mogła zrównać z ziemią miasto, napawały go lękiem. Jak większość ludzi uważał atomistykę za coś w rodzaju magii.

- Kiedyś miały bardziej skomplikowaną konstrukcję - oznajmił Monter. - Duże wymiarowo, nawet te o niskiej mocy - można było je zrobić wyłącznie w wyjątkowo złożonych warunkach laboratoryjnych. Dziś te wielomegatonowe, bardzo wyrafinowane bomby wodorowe ciągle są takie. Ale podstawowa bomba atomowa została obecnie uproszczona do takiego stopnia, że można zmontować ją w każdym warsztacie. Oczywiście, jeżeli ma się odpowiednie części, wiedzę i zachowuje trochę ostrożności.

- Wspaniale - rzekł Pietrowski. Wasiliew rozcinał cienką ołowianą warstwę ochronną otaczającą kulę uranu 235. Owinięto ją arkuszem ołowiu na zimno jak papierem do pakowania i zaspawano szwy lampą lutowniczą. Rozerwanie tej warstwy nie sprawiało prawie żadnego kłopotu. Wewnątrz znajdował się właściwa kula o średnicy pięciu cali z dwucalowym otworem przewierconym przez środek.

- Chce pan wiedzieć jak to działa? - zapytał Wasiliew.

- Oczywiście.

- Ta kula to uran. Waga - piętnaście i pół kilograma. To zbyt mała masa, poniżej krytycznej. Uran osiąga stan krytyczny w przypadku, gdy jego masa staje się ponadkrytyczna.

- Co to znaczy "krytyczny"?

- Zaczyna się rozszczepianie. Oczywiście nie dosłownie. Mam na myśli rozszczepienie jako termin z zakresu atomistyki. Uran przechodzi na próg eksplozji.

Kula nie jest jeszcze w tym stadium. Czy widzi pan ten pręt?

- Tak.

Był to pręt uranowy z pustej gaśnicy.

- Ten pręt dokładnie pasuje do dwucalowego otworu w środku kuli. Kiedy się tam znajdzie, masa osiągnie stan krytyczny. Tamta stalowa rura spełnia rolę lufy, a pręt uranowy pocisku. Eksplozja ładunku plastikowego wstrzeliwuje pręt do środka tej kuli.

- I wszystko robi bum.

- Niezupełnie. Potrzebny jest jeszcze ładunek inicjujący. Gdyby uran pozostawić w spokoju rozpadłby się całkowicie, wytworzyłby mnóstwo promieniowania, ale nie eksplodował. Żeby zrobić bum, należy bombardować masę krytyczną uranu strumieniem neutronów. Te dwa krążki, z litu i

polonu tworzą ładunek inicjujący. Oddzielnie są całkowicie niegroźne - polon emituje w umiarkowanym stopniu promienie alfa, lit jest obojętny. Ale jeśli się je zderzy, zrobią coś dziwnego. Rozpocznie się reakcja - zaczną wypromieniowywać potrzebny nam strumień neutronów. Poddany temu strumieniowi uran rozpada się, wyzwalaając gigantyczną ilość energii - następuje rozszczepienie materii. Trwa to jedną stumilionową część sekundy. Stalowy reflektor ma utrzymać to wszystko razem przez ten mały okres.

- Kto wrzuca inicjator? - zapytał Pietrowski usiłując popisać się wisielczym humorem.

- Nikt - uśmiechnął się Wasiliew. - Dwa krążki już tam są, ale oddzielnie.

Umieszczamy polon z jednego końca otworu w kuli uranowej, a lit na czubku uranowego pocisku. Pocisk podąża wzdłuż rury, do wnętrza kuli uranowej i lit na jego zakończeniu zderzany jest z polonem oczekującym na drugim końcu tunelu. To wszystko.

Wasiliew za pomocą kropli superkleju przymocował krążek polonu do jednej z powierzchni płaskiego stalowego korka z obcasa buta Liszki. Następnie wkręcił

korek do otworu w podstawie jednej z czasz wykładziny. Wziął uranową kulę i umieścił ją w czaszy. Jej wnętrze miało cztery występy, które odpowiadały czterem wgłębieniom widocznym na powierzchni uranowej kuli. Kiedy wgłębienia i występy dopasowały się do siebie, kula znalazła się we właściwej pozycji. Wasiliew wziął

ołówkową latarkę i zajrzał do otworu prowadzącego przez środek uranowej kuli.

- Jest - oznajmił - czeka na dnie otworu.

Następnie umieścił drugą czaszę na wierzchu, a następnie przez godzinę dokręcał szesnaście śrub umieszczonych na kołnierzu i łączących obie połowy.

- A teraz lufa - stwierdził. Wsunął plastikowy ładunek wybuchowy do wnętrza osiemnastocalowej stalowej rury ugniatając go ściśle lecz delikatnie trzonkiem miotły kuchennej. Pietrowski widział, jak w niewielkim otworze w podstawie rury wybrzusza się plastik. Tym samym superklejem Wasiliew przymocował krążek litu do płaskiego czubka pręta uranowego, owinał całość bibułką, żeby zapobiec przesuwaniu się pod wpływem wibracji i wcisnął pręt w znajdujący się na dnie materiał

wybuchowy. Potem przykręcił rurę do kuli. Całość wyglądała jak szary melon o średnicy 7 cali ze sterczącą z jednego końca osiemnastocalową rączką. Przypominało to przerośnięty granat trzonkowy.

- Prawie gotowe - oznajmił Wasiliew. - Reszta to już konwencjonalna pirotechnika.

Wziął detonator, rozdzielił przewody na końcu i zaizolował każdy z nich taśmą. Gdyby się ze sobą zetknęły, mogłyby nastąpić przedwczesna eksplozja. Do każdego przewodu biegnącego z detonatorem został przymocowany odcinek pięcioamperowego kabelka. Następnie wcisnął detonator w otwór w zakończeniu rury tak, że zagłębił się w plastiku.

Położył bombę jak niemowlaka na łóżeczku z gąbki i obłożył ją dodatkowymi kawałkami wykładziny

z boków i od góry, jakby otulając ją do snu. Na wierzchu pozostały tylko dwa przewody. Jeden z nich został umocowany do dodatniego bieguna bloku baterii.

Trzeci przewód został pociągnięty od bieguna ujemnego i Wasiliew trzymał je teraz wszystkie w rękę. Zaizolował ich końcówki.

- To na wypadek, zwarcia - uśmiechnął się. - Byłoby marnie z nami.

Jedyną nie wykorzystaną częścią było urządzenie czasowe. Wasiliew wywiercił pięć otworów w ścianie stalowej szafki kartotekowej, tuż przy samej górze.

Środkowy otwór przeznaczony był na przewody biegnące od urządzenia czasowego.

Monter przesunął je do wnętrza. Przez cztery pozostałe przechodziły cienkie śruby mocujące urządzenie czasowe na zewnętrznej ścianie szafki. Kiedy Wasiliew skończył tę czynność, posługując się kolorowymi oznaczeniami połączył przewody biegnące od baterii i detonatora z tymi, które wychodziły z urządzenia czasowego.

Pietrowski wstrzymał oddech.

- Proszę się nie bać - widząc to uspokoił go Wasiliew. - Urządzenie było wielokrotnie testowane. W środku jest bezpiecznik i dobrze funkcjonuje.

Upchnął przewody, starannie zaizolował połączenia i zamknął drzwiczki szafki. Przekręcił klucz i rzucił go Pietrowskiemu.

- A więc, towarzyszu Ross, gotowe. Może to pan zawieźć na wózku do swojego samochodu i nic złego się nie stanie. Może pan jechać, gdzie pan sobie życzy, wibracja nie może mu zaszkodzić. I ostatnia sprawa. Ten żółty guzik po silnym naciśnięciu uruchomi urządzenie czasowe, ale nie zamknie obwodu elektrycznego.

Zrobi to zegar dwie godziny później. Po przyciśnięciu żółtego guzika ma pan dwie godziny, żeby wynieść się do diabła.

Czerwony guzik służy do sterowania ręcznego z wyłączeniem automatyki. Po przyciśnięciu go nastąpi natychmiastowa eksplozja.

Nie zdawał sobie sprawy, że się myli. Naprawdę wierzył w to co mu powiedziano. Tylko czterej ludzie w Moskwie wiedzieli, że obydwaj przyciski powodowały natychmiastowy wybuch.

Był już wieczór. - A teraz Ross, przyjacielu, chciałbym coś zjeść, trochę wypić, dobrze się wyspać i jutro rano wrócić do domu. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Nie ma sprawy - odparł Pietrowski. - Postawmy szafkę tam w kącie, między kredensem a stolikiem na napoje. Proszę nalać sobie whisky. Zaraz zorganizuję nam jakąś kolację.

Wyjechali na Heathrow o dziesiątej małym samochodem Pietrowskiego.

Pietrowski zatrzymał wóz na południowy zachód od Colchester, na zakolu drogi gdzie gęstwina leśna dochodziła niemal do samej szosy i wysiadł, żeby się załatwić. Kilka sekund później Wasiliew usłyszał jego pełne niepokoju okrzyki i pobiegł, żeby zobaczyć co się stało. Zakończył życie za zasłoną drzew ze zreżym przetrąconym karkiem. Jego zwłoki pozbawione wszystkiego, co mogłoby je zidentyfikować zostały położone w płytkim rowie i zarzucone świeżymi gałęziami. Może zostaną odnalezione za dzień, może później. Śledztwo policyjne może odwołać się do pomocy fotoreportera z miejscowej gazety, którą jego sąsiad Armitrage zobaczy, albo nie, i albo rozpozna, albo nie rozpozna gościa Pietrowskiego. W każdym razie i tak będzie już za późno. Pietrowski pojechał z powrotem do Ipswich.

Nie czuł żadnych wyrzutów sumienia. Jego rozkazy w sprawie Montera były zupełnie wyraźne. Nie mógł wprost uwierzyć jak Wasiliew był w stanie przypuszczać, że wraca do domu. W każdym razie Pietrowski miał inne problemy. Wszystko było gotowe, ale czasu miał niewiele. Odwiedził Las Rendlesham i wybrał odpowiednie miejsce - w gęstych zaroślach, ale niespełna sto jardów od ogrodzenia bazy USAF

Bentwaters. Nie powinno tu być nikogo o czwartej rano kiedy przyciśnie żółty guzik, żeby spowodować eksplozję o szóstej. Świeże gałęzie zamaskują szafkę i kiedy minuty będą upływać, on będzie pędził w stronę Londynu.

Nie wiedział jedynie, który to będzie ranek. Sygnał o rozpoczęciu operacji nadejdzie, jak wiedział, za pośrednictwem moskiewskiego radia w angielskojęzycznych wiadomościach o dziesiątej wieczorem poprzedniego dnia.

Zostanie przekazany pod postacią umyślnego potknięcia słownego w pierwszej wiadomości odczytywanej przez spikera. Wasiliew nie był w stanie przekazać informacji, ale Moskwa musiała zostać poinformowana, że wszystko jest w porządku.

Oznaczało to, że musi przekazać drogą radiową ostatni meldunek. Potem Grecy będą już zbędni. O zmierzchu ciepłego, czerwcowego dnia opuścił Cherryhayes Close i ruszył spokojnie na północ w stronę Thetford i swojego motocykla. O dziewiątej rozpoczął jazdę na północny zachód w stronę Midlands.

Nudę zwyczajnego wieczoru zakłócono obserwatorom siedzącym we frontowej sypialni na pierwszym piętrze domu Roystonów tuż po dziesiątej, kiedy Len Stewart nawiązał łączność z posterunku policji.

- John, jeden z moich ludzi właśnie jadł w tawernie. Telefon zadzwonił dwa razy, a potem dzwoniący się rozłączył. Potem znowu dwukrotnie zadzwonił i znowu się rozłączył. I znowu, po raz trzeci. Podśłuch to potwierdza.

- Czy Grecy próbowali go odebrać?

- Za pierwszym razem nie zdążyli. A potem nie próbowali. Po prostu dalej obsługiwali gości... Poczekaj... John, jesteś tam?

- Tak, oczywiście.

- Moi ludzie na zewnątrz meldują, że jeden z Greków wychodzi. Tylnym wejściem. Idzie do ich samochodu.

- Dwa samochody i czterech ludzi za nimi - odpowiedział Preston. - Pozostali dwaj dalej siedzą w tawernie. Goniec może chcieć opuścić miasto.

Ale nie opuszczał. Andreas Stephanides przyjechał na Compton Street, zaparkował samochód i wszedł do domu. Za zasłonami zapaliło się światło. Poza tym nic się nie zdarzyło. O 23-20, wcześniej niż zazwyczaj, Spiridon zamknął tawernę i wrócił pieszo, przybywając do domu za piętnaście dwunasta.

Tygrys Prestona zjawił się tuż przed północą. Ulica była zupełnie spokojna, większość świateł, zgaszona. Preston porozstawiał swoje cztery samochody i ich obsady w dość dużej odległości i nikt nie dostrzegł, jak nadchodzi. Pierwszym sygnałem był cichy głos jednego z ludzi Stewarta.

- U góry na Compton Street, przy skrzyżowaniu z Cross Street jest mężczyzna.

- Co robi? - zapytał Preston.

- Nic. Stoi nieruchomo w cieniu.

- Czekać.

W pokoju Roystonów na piętrze było zupełnie ciemno. Zasłon nie zaciągnięto i ludzie trzymali się z daleka od okien. Mungo stał skulony za aparatem fotograficznym z obiektywem do zdjęć w podczerwieni. Preston trzymał przy uchu swoją maleńką radiostację. Sześciuosobowy zespół Stewarta i dwóch kierowców Prestona z samochodami znajdowali się gdzieś na zewnątrz utrzymując stałą łączność radiową. W górze ulicy otworzyły się drzwi - ktoś wypuścił kota. Potem drzwi zamknęły się.

- Ruszył - mruknęło radio. - Idzie w waszą stronę. Wolno.

- Mam go - syknął Ginger siedzący przy jednym z bocznych okien wykuszu. -

Wzrost i budowa średnie, długi, ciemny płaszcz przeciwdeszczowy.

- Mungo, możesz zrobić mu zdjęcie w świetle latarni przed domem Greków? -

zapytał Burkinshaw.

Mungo przesunął nieco obiektyw.

- Mam aparat ustawiony na płamę światła - powiedział.

- Ma jeszcze dziesięć jardów - zameldował Ginger.

Postać w długim płaszczu przeciwdeszczowym weszła bezdźwięcznie w słabe światło rzucane przez latarnię. Aparat Mungo wykonał pięć szybkich zdjęć.

Mężczyzna minął plamę światła i zbliżył się do furki prowadzącej do domu Stephanidesów. Przeszedł krótką ścieżkę i zastukał, a nie zadzwonił, do drzwi.

Otworzyły się natychmiast. W holu nie paliło się światło. Ciemny płaszcz zniknął w środku. Drzwi zamknęły się.

Z drugiej strony ulicy napięcie wyraźnie spadło.

- Mungo, weź film i przekaz do laboratorium policyjnego. Chcę, żeby go wywołali i natychmiast przesłali do Scotland Yardu. Niezwłocznie przekazać dalej na Lombard i do Sentinel. Niech spróbują coś z tego wyciągnąć.

Prestona coś dręczyło. Coś w sposobie poruszania się tego człowieka. Noc była ciepła, po co więc płaszcz przeciwdeszczowy? Żeby nie zmoknąć? Cały dzień świeciło słońce. Żeby coś ukryć? Jasne ubranie, charakterystyczną odzież?

- Mungo, co on miał na sobie? Widziałeś go w zbliżeniu.

Mungo był już w połowie drogi do drzwi.

- Płaszcz przeciwdeszczowy - oznajmił. - Ciemny. Długi.

- Pod nim.

Ginger gwizdnął. - Wysokie buty. Teraz sobie przypominam. Dziesięć cali butów z cholewami.

- Cholera, ma motocykl - stwierdził Preston. Włączył radio. - Wszyscy na ulicę. Pieszko. Nie zapalać silników samochodów. Sprawdzić każdą ulicę w dzielnicy z wyjątkiem Compton Street. Szukamy motocykla z ciepłym blokiem silnika.

Rzecz w tym, pomyślał, że nie wiem, jak długo ma zamiar tu siedzieć. Pięć minut, dziesięć, sześćdziesiąt?

Wezwał Lena Stewarta. - Len, tu John. Jeżeli znajdziecie ten motocykl, chcę, żeby mu założono sygnalizator lokalizacji. Teraz połącz się z nadinspektorem Kingiem. Będzie musiał przeprowadzić akcję. Kiedy "Koleś" odjedzie, ruszymy za nim. Zespół Harry'ego i ja. Chciałbym, żebyś ze swoimi chłopcami przejął Greków.

Godzinę po naszym odjeździe policja może ich brać.

Przebywający na posterunku policji Len Stewart potwierdził polecenie i zaczął telefonować do nadinspektora Kinga do domu.

Minęło dwadzieścia minut, zanim jeden z zespołu poszukiwawczego odnalazł

motocykl. Poinformował o tym Prestona, który wciąż przebywał w domu Roystonów.

- Mam BMW, w górnej części Queen Street. Na bagażniku pojemnik kurierski, zamknięty. Dwa pojemniki po obu stronach tylnego koła, otwarte. Rura wydechowa i silnik jeszcze ciepłe.

- Numer rejestracyjny?

Podano mu numer. Przekazał go Lenowi Stewartowi na posterunek policji.

Stewart poprosił o natychmiastową identyfikację. Okazało się, że jest to numer z Suffolk, zarejestrowany na Jamesa Duncana Rossa zamieszkałego w Dorchester.

- Albo motocykl jest kradziony, albo tablice są fałszywe, albo adres lipny -

mruknął Preston.

Kilka godzin później policja w Dorchester ustaliła, że miała miejsce trzecia ewentualność.

Człowiekowi, który znalazł motocykl, polecono zainstalować urządzenie kierunkowe w jednym z bocznych pojemników, włączyć je i oddalić się od pojazdu.

Ów funkcjonariusz, Joe, był jednym z dwóch kierowców Burkinshawa. Wrócił do swojego wozu, usadowił się za kierownicą i potwierdził, że urządzenie działa.

- OK - oznajmił Preston. - Robimy zamianę. Wszyscy kierowcy wracają do wozów. Trójka Lena Stewarta podejdzie na West Street do tylnego wejścia do naszego punktu obserwacyjnego i zastępuje nas. Natychmiast - cicho i pojedynczo.

Zwrócił się do ludzi, którzy znajdowali się w pokoju. - Harry, zbieraj się.

Wychodzisz pierwszy. Wsiadaj do prowadzącego samochodu, dołączę do ciebie.

Barney i Ginger - wsiadacie do samochodu wsparcia. Jeżeli Mungo zdąży do nas dołączyć, jedzie z nami.

Ludzie Stewarta pojedynczo wchodzili przez tylne drzwi i zastępowali obserwatorów Burkinshawa. Preston modlił się, żeby agent z naprzeciwka nie zechciał wyjść właśnie teraz, kiedy dokonywano zmiany. Opuścił stanowisko ostatni i zajrzał jeszcze do sypialni Roystonów, żeby podziękować za pomoc i zapewnić ich, że do świtu będzie po wszystkim. Szepty, które usłyszał w odpowiedzi, nosiły nutę zaniepokojenia.

Preston prześlizgnął się przez ogródki na West Street i po pięciu minutach dołączył do Burkinshawa i kierowcy Joego siedzących w prowadzącym wozie zaparkowanym na Foljambe Road. Ginger i Barney zameldowali się z drugiego samochodu stojącego na Marsden Street przy Saltergate.

- Oczywiście - stwierdził ponuro Burkinshaw - jeżeli nie jest motocyklem, to zostaliśmy załatwieni na cacy.

Preston siedział z tyłu. Burkinshaw przy kierownicy obserwował monitor zainstalowany na znajdującym się przed nim pulpicie. Przypominał niewielki ekran radaru i w równych odstępach czasu pulsowało na nim rozbłyskujące światelko.

Ukazywało się ono w ćwiartce koła wskazując kierunek w stosunku do osi podłużnej ich samochodu i przybliżoną odległość - obecnie pół mili. W drugim samochodzie znajdowało się takie samo urządzenie, dzięki czemu obaj operatorzy mogli w razie potrzeby wykonać namiar krzyżowy.

- To musi być motocykl - oznajmił Preston z desperacją w głosie. - I tak nie moglibyśmy śledzić go na ulicy. Są zbyt puste, a on zbyt dobry.

- Wychodzi.

Gwałtowne warknięcie z głośnika przerwało rozmowę. Ludzie Stewarta, którzy znajdowali się w domu Roystonów, poinformowali, że mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym wyszedł z drzwi domu naprzeciwko. Potwierdzili, że poszedł w górę Compton Street, w stronę Cross Street i BMW. Potem zniknął im z pola widzenia. Dwie minuty później jeden z kierowców Stewarta zameldował ze swojego samochodu na St. Margaret's Drive, że agent przeciął tę ulicę i że w dalszym ciągu zmierza w stronę Queen Street. Potem nie było nic. Minęło pięć minut. Preston modlił

się.

- Rusza.

Burkinshaw podskakiwał na przednim siedzeniu z podnieceniem zupełnie nietypowym dla tego flegmatycznego obserwatora. Rozbłyskujący punkt przesuwiał

się powoli przez ekran w miarę, jak zmieniał się kąt między motocyklem i samochodem.

- Cel przesuwają się - potwierdził drugi samochód.

- Wypuście go na milę i ruszajcie - polecił Preston. - Zapuścić silniki.

Punkt przesuwiał się na południe i wschód przez śródmieście Chesterfield. Gdy zbliżył się do ronda Lordsmill, samochody ruszyły jego śladem. Kiedy dotarli do ronda, nikt nie miał już wątpliwości. Sygnał z motocykla był silny i równy, przesuwiał

się po A-617 w stronę Mansfield i Newark. Odległość - nieco ponad milę.

Motocyklista przed nimi nie mógł dojrzeć nawet ich światła. Joe uśmiechnął się.

- No, sukinsynu - powiedział. - Spróbuj nas teraz zgubić!

Preston cieszyłby się bardziej, gdyby człowiek przed nimi jechał samochodem.

Motocykle były cholernie trudne do upilnowania. Szybkie i zwrotne, mogły przeciskać się przez tłok na jezdni, który blokował śledzący wóz, mogły wjeżdżać w ciasne alejki albo między przegradzające pachołki tam, gdzie samochód nie był w stanie się zmieścić. Nawet poza miastem mogły skręcić z drogi i pojechać przez łąkę trudną do sforsowania cięższym pojazdem. Najważniejsze, żeby człowiek przed nimi nie zorientował się, że jest śledzony.

Motocyklista był świetnym kierowcą. Utrzymywał się w granicach dozwolonej szybkości, ale rzadko schodził poniżej, nawet zakręty pokonywał nie zmniejszając gazu. Pędził A-617, przemknął pod wiaduktem autostrady M-1, przez uśpione o wczesnym świcie Mansfield i jechał w stronę Newark. Skończyło się Derbyshire, wokół nich były już bogate, tłuste ziemie orne Nottinghamshire, ale motocyklista nie zmniejszał prędkości.

Tuż przed Newark zatrzymał się.

- Odległość szybko się zmniejsza - oznajmił nagle Joe.

- Zgasić światła, zjechać na bok - warknął Preston.

Pietrowski w rzeczywistości zjechał w boczną drogę, zgasił silnik i światła, a teraz siedział przy skrzyżowaniu patrząc w stronę, z której przyjechał. Z hukiem przemknęła obok niego ciężarówka i zniknęła w kierunku Newark. Nic poza tym. W

odległości mili dwa samochody obserwatorów stały na poboczu.

Pietrowski czekał nieruchomo jeszcze przez pięć minut. Potem uruchomił

silnik i ruszył drogą na południowy zachód. Obserwatorzy widząc, że rozbłyskujące światelko na ekranie ruszyło, podążyli śladem, starając się zachować odstęp przynajmniej mili.

Przejechali nad rzeką Trent, gdzie światła potężnej cukrowni płonęły po prawej stronie szosy, i wreszcie dotarli do Newark. Było tuż przed trzecią. W samym mieście sygnał miotał się dziko, w czasie gdy ścigający samochód krążył ulicami.

Wreszcie wszystkim wydało się, że światelko podążyło szosą A-46 w stronę Lincoln i samochody pokonały już pół mili w tym kierunku, gdy nagle Joe wdepnął hamulec.

- Jest od nas na prawo - oznajmił. - Odległość się zwiększa.

- Zawracaj - polecił Preston. Znaleźli właściwy zakręt w samym Newark. Cel pojechał A-17 znowu na południowy wschód w stronę Sleaford.

W Chesterfield akcja policji w domu Stephanidesów rozpoczęła się o 2-55.

Brało w niej udział dziesięciu mundurowych policjantów poprzedzanych przez dwóch ludzi ze Specjal Branch. Gdyby rozpoczęli dziesięć minut wcześniej, zdjęliby radzieckich agentów po cichu. Ale mieli zwykłego pecha. W chwili gdy dwaj funkcjonariusze SB zbliżyli się do drzwi, te się otwały.

Greccy bracia najwyraźniej szykowali się do wyjazdu swoim samochodem i wzięli ze sobą radiostację, żeby nadać meldunek, który był już zakodowany i zarejestrowany w nadajniku. Andreas Stephanides wychodził właśnie, żeby uruchomić samochód, kiedy zobaczył policjantów. Spiridon szedł za nim niosąc nadajnik. Andreas krzyknął krótko, ostrzegając brata, cofnął się i zatrzasnął drzwi.

Policjanci ruszyli do ataku, próbując wyważyć je ramionami.

Kiedy runęły, Andreas znalazł się pod nimi. Wstał walcząc jak dzikie zwierzę w niewielkim przejściu i dopiero połączone siły dwóch policjantów zdołały ponownie powalić go na ziemię.

Funkcjonariusze Specjal Branch przeskoczyli nad kotłownią, szybko zlustrowali pokoje na parterze, porozumieli się z dwoma policjantami na posterunku w ogródku na zapleczu domu, którzy nie widzieli nikogo wychodzącego z budynku i pobiegli schodami na górę. Sypialnie były puste. Znaleźli Spiridona w maleńkiej komórce na poddaszu. Nadajnik. Stał na podłodze. Prowadzący od niego kabel był

podłączony do gniazdka i na płycie czołowej płonęło małe, czerwone światełko. Grek poszedł z nimi nie stawiając oporu.

Nasłuchowa stacja GCHQ w Menwith Hill przechwyciła pojedynczy skondensowany sygnał z konspiracyjnego nadajnika i zarejestrowała go o 2-58

rankiem jedenastego czerwca, we wtorek. Szybko wykonano namiary i ustalono, że sygnał pochodził z punktu na zachodnim krańcu miasta Chesterfield. Natychmiast zaalarmowano miejscowy posterunek, który przełączył rozmowę do samochodu, z którego korzystał nadinspektor Robin King. King wysłuchał wiadomość i odpowiedział Menwith Hill: - Wiem. Mamy ich.

W Moskwie podoficer radiotelegrafista zdjął słuchawki i skinął głową w stronę dalekopisu. - Słabo, ale wyraźnie - stwierdził.

Dalekopis zaczął stukać wyrzucając papierową taśmę pokrytą abrakadabrami bezsensownych zestawów liter. Kiedy ucichł, siedzący przy aparaturze radiowej podoficer oderwał taśmę i przepuścił ją przez dekodery ustawiony na wzór podany przez jednorazową tabelę kodową. Dekoder połknął taśmę, jego komputer dokonał

przekształceń i wydrukował rozszyfrowany tekst. Podoficer odczytał go i uśmiechnął

się. Zatelefonował pod określony numer, przedstawił się, sprawdził tożsamość rozmówcy i rzekł:

- Aurora rozpoczęta.

Za Newark okolica stała się bardziej równinna, a siła wiatru wzrosła. Pościg zaczął przemierzać łagodne pagórki Linconshire, gdzie proste jak strzała drogi prowadziły prosto w stronę Fen. Świetlny punkt rozbłyskiwał równo i mocno prowadząc oba samochody Prestona wzdłuż A-17 przez Sleaford w stronę Wash i hrabstwa Norfolk.

Na południowy wschód za Sleaford Pietrowski znowu zatrzymał się, sprawdzając, czy na ciemnym horyzoncie za jego plecami nie pojawią się światła. Nie było ich. W odległości mili tropiący czekali w ciemności. Kiedy punkt znowu zaczął

przesuwać się po ekranie oscyloskopu, ruszyli za nim.

We wsi Sutterton miała miejsce kolejna chwila konsternacji. Z drugiego krańca śpiącej miejscowości wychodziły dwie drogi - A-16 prosto na południe do Spalding i A-17 na południowy wschód do Sutton i King's Lynn za granicą Norfolk.

Stracili dwie minuty na ustalenie, że punkt przesuwa się z całą pewnością po A-17 w stronę Norfolk. Odległość zwiększyła się do trzech mil.

- Bliżej - poleciał Preston i Joe do momentu, gdy odległość zmniejszyła się do półtorej mili, utrzymywał wskazówkę szybkościomierza koło liczby 90.

Na południe od King's Lynn przekroczyli rozlewisko rzeki Ouse i parę sekund później punkt zakręcił w drogę prowadzącą na południe w stronę Downham Market i Thetford.

- Gdzie on, do diabła, jedzie? - mruknął Joe.

- Musi mieć tu gdzieś w pobliżu bazę - odparł siedzący za nim Preston. -

Tylko trzymaj się go.

Z lewej strony, na wschodnim nieboskłonie pojawił się różowy brzask i sylwetki mijanych drzew stały się wyraźniejsze. Joe wyłączył światła drogowe i włączył mijania.

Daleko na południu światła zmieniły również kolumny autobusów, które z rykiem pełzły po zatłoczonych ulicach do targowego miasta Bury St Edmunds w Suffolk. Autobusów było dwieście i przybyły z różnych stron kraju zatłoczone po brzegi uczestnikami marszu. Inni demonstranci przybywali samochodami, na motocyklach, rowerach i pieszo. Powolna kawalkada obwieszona transparentami i afiszami wyjechała z miasta i ruszyła po A-13, by wreszcie zatrzymać się przy skrzyżowaniu Ixworth. Autobusy nie mogły jechać dalej po wąskich, lokalnych drogach. Zatrzymały się na poboczu głównej szosy tuż przy skrzyżowaniu i wyładowały swoich ziewających pasażerów w rozjaśnione porannym brzaskiem otwarte przestrzenie Suffolk. Porządkowi ponaglaniem i pochlebstwami uformowali ten tłum w coś, co przypominało kolumnę, a w tym samym czasie policjanci z Suffolk siedzieli okrakiem na swoich motocyklach i obserwowali.

W Londynie światła wciąż się paliły. Sir Benrarda Hemmjingsa przywieziono z domu. Powiadomiono go, tak jak sobie tego życzył, że zespół obserwatorów w Chesterfield zaczął śledzić człowieka, na którego czekał. Siedział wraz z Brianem Harcourt-Smithem w znajdującym się w podziemiu pokoju radiowym.

Z drugiej strony miasta sir Nigel Irvine, również obudzony na własne żądanie, znajdował się w swoim biurze w Sentinel House. Na dole, w suterenie, od połowy nocy siedziała Boldwyn i wpatrywała się w twarz człowieka przechodzącego koło lampy ulicznej w małym miasteczku w

Derbyshire. Przywieziono ją z domu w Camden Town już po północy, ale zgodziła się przybyć, bo osobiście poprosił ją sir Nigel. Przywitał ją kwiatami. Dla niego zgodziłaby się przejść po tłuczonym szkłe, lecz dla nikogo więcej.

- Nigdy go tu przedtem nie było - oznajmiła, gdy tylko spojrzała na fotografię -
ale jednak.

Po godzinie zwróciła uwagę na Bliski Wschód. Znalazła, uzyskane dzięki uprzejmości Mossadu, jedno trochę rozmazane zdjęcie sprzed sześciu lat. Mossad nie miał nawet pewności - towarzyszący tekst wyraźnie stwierdzał, że jest to jedynie podejrzenie.

Jeden z ich ludzi wykonał to zdjęcie na ulicy w Damaszku. Został na nim zarejestrowany Timothy Donnelly, handlowiec z Waterford Crystal. Mossad wiedziony intuicją sfotografował go i sprawdził za pośrednictwem swoich ludzi w Dublinie. Timothy Donnelly rzeczywiście istniał, ale nie było go w Damaszku. Zanim to ustalono, człowiek ze zdjęcia zniknął. Nigdy więcej się nie pojawił.

To on - oznajmiła. - Świadczą o tym uszy. Powinien nosić kapelusz.

Sir Nigel połączył się z Cork Street.

- Chyba mamy coś sir Bernardzie - powiedział. - Możemy zrobić odbitkę i przesłać ją panu.

Niemal zgubili go sześć mil na południe za King's Lynn. Ścigające samochody kierowały się na południe w stronę Downham Market, kiedy sygnał zaczął się odchyłać - najpierw prawie niedostrzegalnie, potem bardziej zdecydowanie - ku wschodowi. Preston spojrzał na mapę.

- Skręcił na A-134 - stwierdził. - Kieruje się na Thetford. Zjedź w pierwszą drogę na lewo.

W Stradsett znowu schwycili trop, który poprowadził ich prosto przez gęstniejące lasy - bukowe, dębowe i sosnowe - w stronę Thetford. Wjechali na szczyt Gallows Hill i zobaczyli stare, targowe miasto rozpościerające się przed nimi w słabym świetle poranka, kiedy Joe zwolnił i zatrzymał się.

- Znowu stanął.

Znowu sprawdza, czy nie jest śledzony? Przedtem robił to zawsze w odkrytym terenie.

- Gdzie jest?

Joe spojrzał na wskaźnik odległości i wskazał przed siebie. - Dokładnie w środku miasta, John.

Preston ponownie spojrzał na mapę. Poza szosą, na której stali, z Thetford wybiegało jeszcze pięć dróg. Przypominało to gwiazdę. Robiło się coraz jaśniej. Była piąta rano. Preston ziewnął. - Damy mu dziesięć minut.

Punkt świetlny nie ruszył się po dziesięciu minutach ani po dodatkowych pięciu. Preston wysłał swój drugi samochód po obwodnicy. Z czterech punktów wykonano z niego namiary krzyżujące się z

namiarem pierwszego wozu. Świetlny punkt znajdował się dokładnie w centrum Thetford. Preston ujął mikrotelefon. - OK: chyba mamy jego bazę. Ruszamy.

Oba samochody zbliżyły się do śródmieścia. Spotkały się przy Magdalen Street i o 5-25 znaleziono kwadrat zamkniętych garaży. Joe manewrował

samochodem do chwili, gdy maska wozu zaczęła wskazywać jedne drzwi. Napięcie wzrastało.

- Jest tam - stwierdził Joe.

Preston wysiadł. Z drugiego samochodu dołączyli do niego Barney i Ginger.

- Ginger, możesz obłuzować klamkę?

Ginger bez słowa wziął klucz do świec ze skrzynki narzędziowej jednego z samochodów, nasunął go na klamkę i szarpnął mocno. W zamku coś trzasnęło.

Spojrzał na Prestona, który skinął głową. Ginger uniósł odchylane ku górze drzwi garażu i cofnął się szybko.

Mężczyźni stojący na dziedzińcu patrzyli w bezruchu. Motocykl na podnóżku tkwił pośrodku garażu. Na haku wisiał dwuczęściowy skórzany kombinezon i hełm motocyklowy. Pod ścianą stała para wysokich butów. Na kurzu i smarze na podłodze widniały ślady opon niewielkiego samochodu.

- O Jezu - jęknął Harry Burkinshaw. - To stacja przesiadkowa.

Joe wychylił się z okna wozu. - Cork Street zgłosiła się na sieci policyjnej.

Mówią, że mają zdjęcie en face. Dokąd chcesz, żeby je przesłać?

- Na posterunek w Thetford - odparł Preston. Popatrzył na czyste, błękitne niebo nad głową. - Ale to za późno - szepnął.

22

Tuż po piątej demonstranci ustawili się w końcu po siedmiu w szeregu w kolumnę długą na ponad milę. Jej czoło ruszyło wąską szosą z Ixford, zwaną A-1088, kierując się do wioski Little Fakenham, a stamtąd jeszcze węższą drogą do bazy Royal Air Force w Honington.

Był piękny, słoneczny ranek, nastroje dopisywały, pomimo tej tak wczesnej godziny wyznaczonej przez organizatorów po to, by zdążyć na przyłot pierwszego samolotu American Galaxy z transportem pocisków Cruise. Kiedy czoło kolumny zaczęło falować między żywopłotami okalającymi drogę, tłum rozpoczął rytualne skandowanie swoich haseł: "Nie - rakietom Cruise! Jankesi do domu!" Wiele lat temu, gdy w Honington stacjonowały bombowce Tornado RAF-u, baza ta nie przyciągała uwagi całego narodu. Nieznośny ryk startujących i lądujących maszyn pozostawał wyłącznie lokalnym problemem mieszkańców w Little Fakenham, Honington i Sapiston. Dopiero decyzja przekształcenia Honington w trzecią brytyjską bazę rakiet Cruise zmieniła wszystko.

Bombowce Tornado zostały przeniesione do Szkocji, ale w ich miejsce spokój wiejskiej okolicy zaczęli zakłócać demonstranci, głównie kobiety, mające najczęściej dość dziwne zwyczaje, które ściągnęły tu masowo ze wszystkich stron kraju i zamieszkały na gruntach gminnych w skleconych przez siebie naprędce obozach.

Trwało to już dwa lata.

Marsze protestacyjne organizowano tu już przedtem, ale ten miał być największy. Wszędzie roило się od reporterów z prasy i telewizji, przed czołem kolumny biegł tyłem tłumek kamerzystów filmujących dygnitarzy kroczących w pierwszym szeregu. Znajdowało się wśród nich trzech członków Gabinetu Cieni, dwóch biskupów, jakiś prałat, różni dostojnicy kościołów reformowanych, pięciu przywódców ruchu związkowego i dwóch znanych uczonych.

Dalej ciągnęła kolumna pacyfistów, duchownych, kwaków, studentów, radzieckich marksistów-leninistów, antyradzieckich trockistów, lektorów i działaczy związkowych, niewielka grupa uchylających się od służby wojskowej ze względu na przekonania, trochę bezrobotnych, punków, homoseksualistów i brodatych ekologów.

I na koniec także setki przejętych sprawą zwykłych gospodyń domowych, robotników, nauczycieli i uczniów.

Po obu stronach drogi z przodu ustawiły się protestujące tu stale kobiety mieszkające w skleconych wokół bazy obozach. Większość z nich wymachiwała plakatami i transparentami, niektóre - w męskich kurtkach nieprzemakalnych i ostrzyżone krótko jak poborowi - trzymały się za ręce z młodszymi przyjaciółkami albo biły brawo zbliżającym się demonstrantom. A całą kolumnę poprzedzało dwóch policjantów na motocyklach.

O piątej piętnaście Walery Pietrowski był już za Thetford i jechał jak zwykle uważnie A-1088 na południe, by dalej skręcić na główną drogę do Ipswich i dotrzeć do domu. Przez całą noc nie kładł się ani na chwilę i był bardzo zmęczony. Ale miał

pewność, że jego wiadomość została wysłana przed trzecią trzydziści i Moskwa wie, że jej nie zawiódł.

Przekraczając granicę hrabstwa Suffolk niedaleko Euston Hall, dostrzegł

policjanta siedzącego na swoim motocyklu w pogotowiu, obok drogi. Policjant w tym miejscu i o tej porze był czymś niezwykłym; w ciągu ostatnich kilku miesięcy Pietrowski jeździł tędy wiele razy i nigdy nie napotkał tu policyjnego patrolu.

Milę dalej, koło Little Fakenham naturalny instynkt samozachowawczy obudził jego czujność w jeszcze większym stopniu. Na północnym krańcu wioski stały zaparkowane dwa białe policyjne rowery. Obok nich kilku wyższych rangą funkcjonariuszy dyskutowało nad czymś z kolejnymi dwoma policjantami na motocyklach. Powiedli za nim wzrokiem, kiedy ich mijał, ale go nie zatrzymywali.

Miało to nastąpić dopiero dalej, w Ixworth Thrope. Zostawił właśnie za sobą mijaną wioskę i zbliżał

się do kościoła stojącego po prawej stronie w pewnym oddaleniu za nią, kiedy zauważył policyjny motocykl oparty o żywopłot i sylwetkę policjanta pośrodku drogi, nakazującego mu gestem wyciągniętej ręki, żeby się zatrzymał. Zaczął zwalniać, wsuwając jednocześnie prawą dłoń do kieszeni na drzwiczkach samochodu, gdzie pod zwiniętym wełnianym swetrem leżał jego fiński automat.

Jeśli to była zasadzka, to miał odcięty odwrót. Ale policjant wydawał się sam.

W pobliżu nie widać było nikogo więcej, żadnych mikrofonów radiostacji uniesionych do ust. Zwolnił jeszcze bardziej i zatrzymał się. Wysoka postać w czarnym płaszczu nieprzemakalnym podeszła do okienka od strony kierowcy i pochyliła się ku niemu. Pietrowski ujrzał tuż przed sobą rumianą twarz typowego mieszkańca Suffolku, w której nie dopatrywał się nawet śladu podstępnej przebiegłości.

- Czy zechciałby pan zjechać na pobocze drogi, sir? O tam, przed kościół.

Wtedy nic się panu z pewnością nie stanie.

A więc jednak zasadzka. Groźba była ledwo zawoalowana. Ale dlaczego w takim razie nie było tu nikogo więcej?

- Co się dzieje, jakieś problemy, panie posterunkowy?

- Boję się, że nieco dalej przed panem droga jest, niestety, chwilowo nieprzejezdna, sir. Ale zaraz ją odblokujemy.

Prawda czy pułapka? Może rzeczywiście przewrócił się tam jakiś traktor.

Postanowił nie zabijać policjanta i nie rzucić się do ucieczki. Jeszcze nie teraz. Skinął

głową, puścił sprzęgło, zjechał powoli na placyk przed kościołem i czekał. We wstecznym lusterku zobaczył, że policjant zupełnie przestał się nim interesować i kieruje na ten sam placyk następne auto. To mogło być to. Kontrwywiad. Ale w tym drugim samochodzie siedział tylko jeden człowiek. Samochód zatrzymał się tuż za nim. Jego kierowca wysiadł.

- Co tam się dzieje?! - zawołał do policjanta. Pietrowski słyszał ich rozmowę przez opuszczoną szybę.

- Nic pan nie wie, sir? Marsz protestacyjny. Było o tym we wszystkich gazetach. I w telewizji.

- O, do diabła! - zaklął kierowca. - Nie skojarzyłem, że to właśnie na tej drodze. I o tej porze.

- To nie potrwa długo - pocieszył go policjant. - Przejście nie zajmie im więcej niż godzinę.

W tej samej chwili zza zakrętu wyłoniło się czoło kolumny. Pietrowski przesunął wzrokiem po trzepoczących w oddali transparentach, nastawił ucha na słabo jeszcze słyszalne okrzyki. Na jego twarzy pojawił się wyraz niechęci i pogardy.

Wysiadł, żeby popatrzeć.

Na pustym, wyasfaltowanym placu przy Magdalen Street, otoczonym swymi trzydziestoma garażami, zaczynało się robić tłoczno. Kilka minut po odkryciu porzuconego garażu Preston posłał Barneya drugim samochodem, by gnał co tchu Grove Lane do komisariatu po kogoś do pomocy. O tej porze był tam dyżurny posterunkowy w pokoju zgłoszeń i sierżant popijający herbatę na zapleczu.

Jednocześnie połączył się z Londynem przez radiotelefon policyjny i chociaż była to częstotliwość ogólnie dostępna i korzystając z niej powinien normalnie pozorować rozmowę pracowników wynajmu samochodów, machnął całkowicie ręką na środki bezpieczeństwa i rozmawiał otwartym tekstem z samym sir Bernardem.

- Potrzebuję wsparcia sił policyjnych Norfolku i Suffolku - powiedział. - A do tego helikoptera. Natychmiast albo będzie po sprawie. - Dwadzieścia minut oczekiwania na zamówioną pomoc spędził na studiowaniu szczegółowej mapy wschodniej Anglii, rozłożonej na masce samochodu Joego.

Pięć minut później na plac wjechał zbudzony przez sierżanta z komisariatu motocyklista z thetwordzkiej drogowki, wyłączył silnik i postawił motocykl na nóżkach. Ściągając kask z głowy, podszedł do Prestona.

- To pan jest tym jegomościem z Londynu? - spytał. - Mogę panu w czymś pomóc?

- Chyba że jest pan czarodziejem - westchnął Preston.

Wrócił Barney z komisariatu.

- Oto fotografia, John - powiedział. - Nadeszła, kiedy rozmawiałem z dyżurnym.

Preston wpatrywał się przez dłuższą chwilę w przystojną, młodą twarz sfotografowaną na jakiejś ulicy w Damaszku.

- Ty draniu - wymamrotał pod nosem tak cicho, że nikt tego nie usłyszał. W tej samej chwili nad miastem przemknęły na wschód dwa amerykańskie myśliwce bombardujące F-111, w zwartym szyku i na małej wysokości. Ryk ich silników przerwał i rozbił ciszę budzącego się ze snu miasteczka. Policjant nawet nie podniósł

na nich wzroku. Stojący obok Prestona Barney obserwował ich lot, dopóki nie zniknęły mu z oczu. - Hałaśliwe skunksy - mruczał.

- Och, ciągle tu latają - powiedział miejscowy policjant. - Po jakimś czasie człowiek zupełnie przestaje zwracać na nie uwagę. Startują z bazy w Lakenheath.

- Londyńskie lotnisko też się człowiekowi daje we znaki - powiedział Barney, mieszkający w Hounslow - ale pasażerskie nie schodzą przynajmniej tak nisko. Nie sądzę, żebym długo coś takiego wytrzymał.

- Mnie tam nie przeszkadzają, byle tylko trzymały się w powietrzu - odparł

policjant, odwijając ze sreberka czekoladowy batonik. - Bo kiepsko by było, gdyby tak któryś z nich się rozbił. Są uzbrojone w bomby atomowe. Tyle że małe.

Preston odwrócił powoli głowę od mapy.

- Co pan powiedział? - spytał.

MI-5 zadziałała w Cork Street błyskawicznie. Obywając się bez pomocy doradcy prawnego, zwyczajowego łącznika, sir Bernard Hemmings osobiście zadzwonił do obu zastępców naczelnych konstabli do spraw kryminalnych hrabstwa Norfolk i Suffolk. Zastępca konstabla w Norwich był jeszcze w łóżku, ale jego odpowiednik w Ipswich znajdował się już w swoim biurze, a to z powodu demonstracji, która wiązała połowę sił policyjnych hrabstwa.

Z komendą w Norwich połączono się w tym samym momencie, w którym odezwał się do nich komisariat w Thetford. Zastępca konstabla wydał natychmiast polecenie okazania jak najdalej idącej współpracy; załatwienie wszelkich formalności odłożono na później.

Jednocześnie Brian Harcourt-Smith polował na helikopter. Dwie brytyjskie agencje wywiadowcze mają do swej dyspozycji specjalną eskadrę śmigłowców stacjonujących "w stałej gotowości patrolowej", jak to się nazywa w służbach - w Northolt pod Londynem. Teoretycznie można każdy z nich wezwać natychmiast, ale w praktyce załatwia się to ze znacznym wyprzedzeniem. Na swe natarczywe nalegania zastępca dyrektora generalnego uzyskał odpowiedź, że helikopter może wystartować za czterdzieści minut, a w Thetford będzie za następne czterdzieści. Harcourt-Smith poprosił dysponenta lotniska w Northolt, żeby się nie rozłączał.

- Osiemdziesiąt minut - przekazał informację sir Bernardowi.

Dyrektor generalny rozmawiał właśnie z zastępcą konstabla hrabstwa Suffolk, który zjawił się w końcu w swoim biurze w Ipswich.

- Czy nie macie przypadkiem pod ręką jakiegoś helikoptera? - spytał swego rozmówcę. - Gotowego do startu?

Odpowiedź nadeszła po krótkiej chwili, w czasie której zastępca konstabla porozumiał się wewnętrzną linią ze swym kolegą z kontroli ruchu drogowego.

- Mamy jeden w powietrzu nad Bury St Edmunds - powiedział.

- Proszę go skierować do Thetford i kazać mu wziąć na pokład jednego z naszych pracowników - polecił sir Bernard. - Zapewniam pana, że to sprawa najwyższej wagi - zagrożenie bezpieczeństwa narodowego.

- Natychmiast wydam odpowiednie rozkazy - odparł zastępca głównego konstabla hrabstwa Suffolk.

Preston skinął na thetfordzkiego policjanta, by podszedł do jego samochodu.

- Niech mi pan pokaże wszystkie amerykańskie bazy powietrzne w tej okolicy

- poprosił.

Policjant dźgnął grubym palcem mapę.

- Prawie z każdej strony jest tu jakaś baza, sir. Sculthrope, o tutaj, na północy Norfolk, Lakenhead, i Mildenhall tu, na zachodzie, Chicksands w Bedfordshire, choć zdaje się, że stamtąd już nie latają. No i jeszcze Bentwaters na wybrzeżu Suffolk, o tu, koło Woodbridge.

Minęła szósta. Skłębiony tłum demonstrantów przesuwiał się obok dwóch samochodów zaparkowanych na placu przed kościołem Wszystkich Świętych, małym, lecz bardzo pięknym budynkiem, tak starym jak sama wioska, pokrytym norfoldzką trzcina i wciąż jeszcze nie mającym elektryczności, tak że wieczorne nabożeństwo nadal odprawia się przy świecach.

Pietrowski stał przy samochodzie z założonymi rękami i z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu przyglądał się maszerującym. Ale w myślach nie szczędził im jadowitych komentarzy. Nad polem za jego plecami przeleciał z terkotem na północ helikopter kontroli ruchu drogowego, Pietrowski jednak go nie usłyszał, gdyż okrzyki demonstrantów zagłuszyły hałas silników maszyny.

Po chwili podszedł do niego kierowca z drugiego samochodu; okazał się sprzedawcą herbatników wracającym do domu z seminarium poświęconego urokom handlu maślanymi paluszkami.

- Kupa palantów - mruknął na tyle głośno, żeby Pietrowski mógł go usłyszeć poprzez skandowane głośno hasła: "Nie - rakietom Cruise! Jankesi do domu!".

Rosjanin uśmiechnął się i potaknął głową. Nie doczekawszy się żadnej innej reakcji z jego strony, sprzedawca powlókł się z powrotem do swego samochodu, usiadł na fotelu kierowcy i zabrał się do czytania sterty pism reklamowych.

Gdyby Walerij Pietrowski miał nieco silniej rozwinięte poczucie humoru, sytuacja ta mogłaby wywołać na jego twarzy uśmiech. Oto stał przed świątynią Boga, w którego nie wierzył, w kraju, na którego zgonę usilnie pracował, przepuszczając ludzi, którymi z całego serca gardził. A jednak, gdyby jego misja się powiodła, wszystkie żądania demonstrantów zostałyby spełnione. Westchnął na myśl o tym, jak błyskawicznie poradziłyby sobie z tym pochodem jednostki wojsk wewnętrznych w jego ojczystym kraju, przed przekazaniem wszystkich przewodników manifestacji chłopcom z Piątego Zarządu na wyczerpującą sesję pytań i odpowiedzi w Lefortowie.

Preston wpatrywał się uporczywie w mapę, na której zaznaczył kółkami wszystkie pięć amerykańskich baz powietrznych. "Gdyby był głęboko zakonspirowanym agentem w obcym kraju i realizował zadanie - pomyślał - to chciałby korzystać z osłony jakiegoś większego miasta".

W hrabstwie Norfolk były takie trzy: King's Lynn, Norwich i Yarmouth. W

Suffolk też trzy: Lowerstoft, Bury St Edmunds i Ipswich. Żeby wrócić do King's Lynn, w pobliże bazy amerykańskich sił powietrznych Sculthrope, człowiek, którego ścigał, musiałby go minąć na Wzgórzu Szubienic. Nikt tamtędy nie przejeżdżał. To redukowało liczbę baz do czterech - trzech dalej na zachód i jednej na południu.

Zaczął analizować trasę przejazdu ściganego przez siebie przeciwnika, którą dostał się on z Chesterfield do Thetford. Cały czas na południe, byłoby więc logicznie umiejscowić punkt jego przesiadki z motocykla do samochodu właśnie gdzieś na trasie przejazdu. Gdyby prowadziła ona do domu z radiostacją w Chesterfield z Lakenheath i Mildenhall, sensowniej byłoby wynająć jakiś garaż w Ely czy Peterborough, po drodze do Midlands.

Naszkirował linię na południowy wschód od Midlands do Thetford i przedłużył ją dalej w tym samym kierunku. Prowadziła prosto do Ipswich. Dwanaście mil do Ipswich, w gęstym lesie i tuż nad brzegiem morza, leżała baza Bentwaters.

Przypomniał sobie skądś, że stacjonowały tam F-5, nowoczesne myśliwce bombardujące, wyposażone w taktyczne pociski nuklearne, przeznaczone do powstrzymania zmasowanego natarcia dwudziestu dziewięciu tysięcy czołgów.

Zza pleców dobiegły go trzaski radiotelefonu motocykla. Policjant podszedł i zgłosił się na wezwanie.

- Leci tu helikopter z południa - zakomunikował.

- To po mnie - odparł Preston.

- O... Gdzie ma wylądować?

- Czy jest tu w pobliżu jakiś płaski teren?

- Jest takie miejsce, które nazywamy Łakami - powiedział policjant. - Koło obwodnicy za Castle Street. Chyba powinno tam być dość sucho.

- Niech mu pan powie, żeby tam wylądował - polecił Preston. - Ja tam zaraz będę.

Zwołał swoich ludzi, z których kilku drzemało w samochodach.

- Wszyscy wsiadać. Jedziemy na Łąki.

Kiedy ładowali się do dwóch aut, podszedł ze swą mapą do policjanta.

- Niech mi pan powie, gdyby znajdował się pan tu, w Thetford, i jechał pan do Ipswich, którą drogę by pan wybrał?

Policjant bez wahania wskazał wąską kreskę na mapie.

- Pojechałbym A-1088 prosto do Ixworth, przez to skrzyżowanie i dalej do Elmswell, a stamtąd już główną szosą do Ipswich.

Preston skinął głową.

- Ja też bym tak zrobił - powiedział. - Miejmy nadzieję, że nasz milusiński myśli tak jak my. Proszę tu

zostać i spróbować odszukać wszystkich właścicieli garaży, którzy mogli widzieć samochód zaginionego. Potrzebny mi jest jego numer rejestracyjny.

Lekki śmigłowiec Bella czekał już na łąkach przy obwodnicy. Preston wysiadł z samochodu, zabierając ze sobą osobisty nadajnik.

- Zostań tutaj - polecił Harry'emu Burkinshawowi. - To strzał w ciemno.

Pewnie jest całe mile stąd. Polecę aż do Ipswich i sprawdzę, czy nie uda się czegoś wypatrzeć. Jeśli nie, wracamy do tego numeru rejestracyjnego. Ktoś mógł go zapamiętać. Gdyby miejscowa policja wpadła na trop takiej osoby, będę tam w górze i czekam na informacje.

Pochylił się nieco ku ziemi, przebiegł pod wirującymi łopatkami śmigłowca i wdrapał się do kabiny. Znalazłszy się w środku, pokazał pilotowi swoje dokumenty i skinął głową kontrolerowi ruchu, który wcisnął się za oparcia przednich foteli.

- Przylecieliście migiem! - krzyknął do pilota.

- Byłem już w powietrzu! - odkrzyknął pilot.

Helikopter oderwał się od ziemi i zaczął nabierać wysokości, zostawiając Thetford w dole za sobą.

- Gdzie pan chce lecieć?

- Wzdłuż A-1088.

- Chce pan zobaczyć demonstrację?

- Jaką demonstrację?

Pilot spojrział na niego jak na przybysza z Marsa. Helikopter leciał z nosem opuszczonym ku ziemi wzdłuż nitki A-1088, trzymając się nieco na lewo od niej, żeby Preston mógł widzieć, co się na niej dzieje.

- Demonstrację przeciwko bazie RAF-u w Honington - odparł pilot. - Pisano o tym we wszystkich gazetach. I mówiono w telewizji.

Preston oczywiście widział relację telewizyjną z przygotowań do demonstracji przeciwko istnieniu bazy. Przez dwa tygodnie w Chesterfield bez przerwy oglądał

telewizję. Tylko zupełnie nie skojarzył, że baza leży przy A-1088 między Thetford a Ixworth. Trzydzieści sekund później ujrzał ją na własne oczy.

Po prawej ręce poranne słońce lśniło na pasach startowych lotniska. Ogromny transportowiec American Galaxy kołował na nim tuż po wylądowaniu. Przed kilkoma bramami bazy stały czarne szeregi policjantów z całego hrabstwa Suffolk, tyłem do drutów kolczastych, przodem do

demonstrantów. Policjantów było co najmniej kilkuset. Ciemna strużka maszerujących, powiewających transparentami i wymachujących nimi nad głowami, dopływała do tłumu falującego przed kordonem policyjnym z drogi dojazdowej łączącej bazę z A-1088 i ciągnęła się na tej szosie dalej na południowy wschód aż do skrzyżowania w Ixworth.

W dole pod helikopterem przesuwała się wioska Little Fakenham i pojawiały się pierwsze zabudowania Honington. Można już było rozróżnić stodoły Honington Hall i czerwone ceglane mury Maltingrow po przeciwnej stronie drogi. Tutaj, przy skręceniu na wąską aleję dojazdową do bazy, tłum maszerujących był najbardziej zbity.

Preston poczuł żywsze bicie serca.

Od centrum wioski Honington stał na poboczu drogi sznur samochodów długi na ponad pół mili; byli to wszystko kierowcy, którzy nie uświadomili sobie wcześniej, że przez część wczesnego ranka droga będzie nieprzejezdna albo mieli nadzieję zdążyć się przemknąć. Pojazdów było ponad sto.

Nieco dalej, w samym środku kolumny pochodu, pobłyskiwały dachy dwóch czy trzech następnych samochodów, które najwidoczniej przepuszczono tuż przed zamknięciem szosy, lecz które nie zdołały w porę dotrzeć do krzyżówki w Ixworth i znalazły się w pułapce. Kilka kolejnych aut stało w centrum wioski Ixworth Thorpe i jeszcze dwa nieco dalej, przed małym kościółkiem.

- No, no, kto wie... - mruknął do siebie pod nosem.

Walerij Pietrowski ujrzał, że policjant, który kazał mu się zatrzymać, idzie w jego kierunku. Kolumna maszerujących nieco się przerzedziła - mijał go już jej koniec.

- Przykro mi, że to tak długo trwało, sir. Wygląda na to, że jest ich więcej niż ktokolwiek mógł się spodziewać.

Pietrowski wzruszył przyjaźnie ramionami. - Nic się na to nie poradzi.

Wyglupiłem się, jadąc tą drogą. Myślałem, że zdążę przed nimi.

- Och, nie pan jeden dał się tu złapać. Ale teraz to już nie potrwa długo.

Jeszcze jakieś dziesięć minut będą szli uczestnicy marszu, a potem już tylko kilka furgonetek z megafonami, zamykających pochód. Jak tylko one przejadą, zaraz znów otwieramy przejazd.

Nad polami w przodzie zatoczył szeroki łuk policyjny helikopter. Był to jeden z tych otwartych helikopterów bez drzwiczek, toteż Pietrowski mógł wyraźnie zobaczyć, jak kontroler ruchu mówi coś do mikrofonu.

- Harry, słyszysz mnie? Zgłoś się, Harry, tu John.

Preston siedział obok pozbawionego drzwiczek wjazdu helikoptera i próbował wywołać Burkinshawa.

- Tu Harry, słyszę cię, John - zatrzeszczała w słuchawkach odpowiedź

obserwatora z Thetford, chropawa i słabo słyszalna.

- Harry, tutaj odbywa się demonstracja przeciwko rakietom Cruise. Jest pewna szansa, małe szansa, że nasz milusiński na nią się nadział. Zaczekaj chwilę.

Odwrócił się do pilota. - Kiedy to się zaczęło?

- Jakąś godzinę temu.

- O której zamknęli drogę w Ixworth?

Z tyłu, zza foteli wychylił się kontroler ruchu. - O piątej dwadzieścia -

powiedział. Preston rzucił okiem na zegarek. Szósta dwadzieścia pięć.

- Harry, pędź na złamanie karku A-134 do Bury St Edmunds i skręć w A-45.

Będę na ciebie czekał na skrzyżowaniu 45 i 1088 w Elmswell. Weź tego policjanta z garażu, niech cię pilotuje. I Harry, powiedz Joemu, żeby gnał jak jeszcze nigdy w życiu.

Popukał pilota w ramię. - Niech mnie pan zawiezie do Elmswell i wysadzi na jakimś polu koło krzyżówki.

Drogą powietrzną było to tylko pięć minut. Kiedy przelatywali nad krzyżówką w Ixworth, ujrzał na A-134 długi wąż zaparkowanych na poboczu autokarów, które przywiozły do tej malowniczej, lesistej okolicy główną grupę demonstrantów. Dwie minuty później widział już szeroką, dwupasmową A-45 prowadzącą z Bury St Edmunds do Ipswich.

Pilot wszedł w zakręt, szukając miejsca do lądowania. W pobliżu punktu, gdzie wąska A-1088 wypada na szeroką wstęgę A-45, ciągnęła się spora połać łąk.

- One mogą być podmokłe! - zawołał przekrzykując ryk silnika pilot. -

Zawisnę w powietrzu. Te dwa metry w dół już pan zeskoczy.

Preston skinął głową.

- Niech pan łapie czapkę - polecił kontrolerowi ruchu, który jako jedyny z nich miał na sobie mundur.

- Wysiada pan ze mną?

- To nie moja robota - zaprotestował sierżant. - Ja jestem z kontroli ruchu drogowego.

- Właśnie o to mi chodzi. No już, wysiadamy.

Zeskoczył z wysokości około metra, jaka dzieliła schodki śmigłowca od gęstej, długiej trawy.

Sierżant zrobił to samo, przyciskając czapkę mocno do głowy, by nie zerwał mu jej pęd powietrza rozbijanego łopatkami wirujących rotorów. Pilot podniósł maszynę i zawrócił w stronę Ipswich i swojej bazy.

Preston poprowadził sierżanta przez łąkę, przeleźli razem przez płot i zeskoczyli na A-1088. Sto jardów dalej łączyła się ona z A-45. Przez skrzyżowanie ciągnął w kierunku Ipswich nie kończący się sznur pojazdów.

- I co teraz? - spytał sierżant.

- Teraz staje pan na tej drodze i zatrzymuje wszystkie samochody zmierzające na południe. I pyta pan kierowców, czy jadą tą drogą od samego Honington. Jeśli wjechali na nią na południe od skrzyżowania w Ixworth albo właśnie tam, puszcza ich pan. I daje mi znać, kiedy zjawi się pierwszy, który przejechał przez tę demonstrację.

Podszedł do A-45 i spojrzał w kierunku Bury St Edmunds. - No, dawaj, Harry, dawaj! - zawołał półgłosem.

Wszystkie samochody, jeden za drugim, zatrzymywały się na widok umundurowanego policjanta, ale ich kierowcy zgodnie twierdzili, że wjechali na tę drogę na południe od demonstracji antynuklearnej. Dwadzieścia minut później Preston zobaczył motocykl policjanta z Thetford pędzący na syrenie w jego kierunku, a za nim dwa samochody obserwatorów. Wszystkie trzy pojazdy zatrzymały się z piskiem opon u wylotu A-1088.

Policjant podniósł przesłone kasku. - Mam nadzieję, że pan wie, co pan robi, sir. Chyba jeszcze nikt nigdy nie przejechał tego odcinka w takim tempie. Będzie trzeba potem odpowiedzieć na parę pytań.

Preston podziękował mu i kazał obu swoim samochodom cofnąć się kilka jardów na A-1088. Wskazał ręką na porośniętą trawą skarpe. - Joe, walnij w to.

- Co mam zrobić?!

- Walnąć w tę skarpe. Nie za mocno, żeby nie rozwalić zupełnie samochodu, ale tak, żeby robiło to wrażenie.

Obaj miejscowi policjanci patrzyli z osłupieniem, jak Joe rozbija samochód o przydrożną skarpe. Tył auta stanął w poprzek drogi blokując połowę przejazdu.

Preston wskazał na drugi samochód, stojący piętnaście jardów dalej.

- Wysiadać - polecił kierowcy. - No, chłopcy. Teraz wszyscy razem. Na bok go.

Za siódmym podejściem maszyna MI-5 przewróciła się i stanęła na boku.

Preston wyszukał między krzakami żywopłotu jakiś kamień, wybił nim boczne okienko w samochodzie Joego, zebrał kilka garści szklanych kryształków i rozsypał je po całej drodze.

- Ginger, kładź się na szosie, tu, obok samochodu Joego. Barney, przynieś z bagażnika koc i przykryj go. Całego, z twarzą. No dobra, reszta za żywoplot i pilnować się, żeby was nie było widać.

Przywołał do siebie skinieniem obu miejscowych policjantów. - Sierzancie, doszło do nieprzyjemnego karambolu. Proszę stanąć koło zwłok i podjąć kierowanie ruchem. A pan niech zostawi tu swój motocykl, przejdzie kawałek drogi dalej i każe zwalniać nadjeżdżającym samochodom.

Obaj policjanci otrzymali odpowiednie rozkazy z Norwich i Ipswich. Okazać jak najdalej idącą współpracę ludziom z Londynu. Nawet gdyby zachowywali się jak wariaci.

Preston usiadł pod skarpą z chusteczką przyciśniętą do twarzy, jakby próbował zatamować krwotok ze złamanego nosa.

Nic tak nie ogranicza szybkości ruchu na drodze jak widok leżącego na poboczu ciała. Nic tak nie przykleja twarzy kierowców do bocznych okienek, kiedy powoli przejeżdżają obok. Preston dopilnował, żeby dla samochodów jadących A-1088 na południe "zwłoki" Gingera leżały po stronie kierowcy.

Major Walerij Pietrowski prowadził siedemnasty samochód. Tak jak wszystkie poprzednie auta, skromne rodzinne combi zwolniło na widok machającego ręką policjanta, po czym w ślimaczym tempie przetoczyło się obok miejsca wypadku.

Kiedy lawirowało powoli między dwoma autami niemal zupełnie blokującymi drogę, Preston ujrzał w odległości dwunastu stóp od siebie, spod porośniętej trawą skarpy i na wpół opuszczonych powiek, twarz Rosjanina z fotografii spoczywającej w jego kieszeni, twarz, której rysy wyryły mu się tak dokładnie w pamięci.

Kątem oka dostrzegł, że małe combi skręca w lewo na A-45, przystaje na chwilę, czekając na lukę w strumieniu pojazdów po czym włącza się w sznur aut jadących w stronę Ipswich. W tej samej chwili Preston był już na nogach i pędził do swego samochodu. Na jego wołanie obaj kierowcy i obaj obserwatorzy wyskoczyli zza płotu. Jakiś kierowca zwalniający właśnie przed miejscem wypadku zobaczył z kompletnym osłupieniem, że zwłoki ofiary zrywają się z ziemi i pomagają innym postawić przewrócone auto z powrotem na cztery koła, na które opada z chrzęstem miażdżonego szkła.

Joe usiadł natychmiast za kierownicą swojego samochodu i wycofał go ze skarpy. Przed wskoczeniem do środka Barney wytarł reflektory z błota i trawy. Harry Burkinshaw wziął nie jednego, ale trzy miętusy, a resztę cisnął za siebie. Preston podbiegł do policjanta z Thetford.

- Niech pan lepiej wraca do domu, i bardzo, bardzo dziękuję za wszystko, co pan dla nas zrobił - powiedział, a zwracając się do sierżanta z kontroli ruchu dodał: -

Niestety będę musiał zostawić pana tutaj. Pański mundur za bardzo rzuca się w oczy, żebym mógł zabrać pana z nami. Ale wielkie dzięki za pańską pomoc.

Oba samochody MI-5 zawróciły z piskiem opon, wypadły na A-45 i skręciły w lewo, do Ipswich.

Jakiś przygodny motocyklista, który to wszystko widział, spytał

pozostawionego samego sobie sierżanta.

- Czy oni kręcą jakiś film dla telewizji?

- Wcale by mnie to, cholera, nie zdziwiło - odparł sierżant. - A przy okazji, sir.

Czy nie mógłbym mnie pan podrzucić do Ipswich?

Ruch ciężarówek i samochodów osobowych na drodze do Ipswich był duży i w miarę jak zbliżali się do miasta, gęstniał coraz bardziej. Dostarczał dobrej osłony obu samochodom MI-5, które bezustannie zamieniały się miejscami, żeby cały czas jeden z nich mógł mieć na widoku forda combi.

Wjechali do miasta przez Whitton, ale spory kawałek przed centrum mały ford skręcił w prawo, w Chevallier Street, a potem na obwodnicę, którą dotarł do Handford Bridge, gdzie przejechał na drugą stronę rzeki Orwell. Na południowym brzegu rzeki ścigany nie opuszczał Ranelagh Road, po czym jeszcze raz skręcił w prawo.

- On znów wyjeżdża z miasta - zawyrokował Joe, trzymając się pięć samochodów za ściganym, gdy dotarli do Belstead Road, która jest wylotówką z Ipswich na południe.

Zupełnie niespodziewanie ford zjechał na lewą stronę ulicy i skręcił w małe osiedle domków jednorodzinnych.

- Spokojnie - ostrzegł Preston Joego. - Pod żadnym pozorem nie może nas teraz zauważyć.

Kazał drugiemu samochodowi pozostać przy wylocie alei osiedlowej na Belstead Road, na wypadek gdyby ścigany zatoczył koło i pojawił się z powrotem, a Joe wjechał powoli w zespół siedmiu zaułków tworzących osiedle Hayes. Do wylotu Cheryhayes Close dotarli w chwili, kiedy śledzony przez nich samochód kończył

parkować na podjeździe przed małym domkiem w połowie uliczki. Kierowca właśnie z niego wysiadał. Preston kazał Joemu jechać dalej, póki nie znikną mu z oczu, i dopiero wtedy się zatrzymać.

- Harry, daj mi swój kapelusz i zobacz, czy w schowku jest rozetka konserwatystów.

Była. Została tam sprzed dwóch tygodni, kiedy ten sam zespół użył jej, by wejść i wyjść frontowymi drzwiami do domu Roystonów, nie budząc niczyich podejrzeń. Preston wpiął ją sobie w klapę marynarki, ściągnął płaszcz przeciwdeszczowy, który miał na sobie na poboczu drogi, kiedy po raz pierwszy ujrzał Pietrowskiego, nasunął na czoło filcowy kapelusz Harry'ego i wysiadł z samochodu.

Podszedł do rogu Cherryhayes i Close i ruszył spacerkiem przeciwną stroną uliczki niż ta, po której stał dom rosyjskiego agenta. Dokładnie na wprost numeru 12

znajdował się numer 9. W oknie wisiał plakat socjaldemokratów. Podszedł do frontowych drzwi i

zapukał.

Otworzyła je ładna młoda kobieta. Z głębi domu dobiegł Prestona głos dziecka, a potem mężczyzny. Była ósma rano. Pora śniadania.

- Dzień dobry pani - powiedział Preston zdejmując kapelusz.

- Och, bardzo mi przykro - odparła kobieta na widok jego rozetki - ale doprawdy traci pan czas. My głosujemy na partię socjaldemokratyczną.

- Doskonale państwa rozumiem. Ale mam tu pewną literaturę propagandową i byłbym niezwykle zobowiązany, gdyby zechciała pani pokazać ją mężowi.

Wręczył jej swoją plastikową legitymację służbową, która identyfikowała go jako oficera MI-5. Kobieta nawet na nią nie spojrzała. - No dobrze - powiedziała z westchnieniem. - Ale to i tak niczego nie zmienia.

Zostawiła go na progu i zniknęła w głębi domu. Kilka sekund później Preston zdołał wyłowić uchem prowadzoną szeptem rozmowę. Po chwili z kuchni z tyłu domu wyszedł do przedpokoju jakiś mężczyzna z legitymacją Prestona w rękę. Młody kierownik w jakiejś większej firmie, w ciemnych spodniach i białej koszuli z klubowym krawatem. Bez marynarki; tę miał nałożyć później, bezpośrednio przed wyjściem do pracy. Trzymał w rękę legitymację Prestona i marszczył czoło.

- Co to niby jest? - spytał.

- Dokładnie to, na co wygląda, sir. Legitymacja służbowa oficera MI-5.

- To nie żaden wygłup?

- Nie, legitymacja jest absolutnie prawdziwa.

- Ach tak. I czego pan sobie życzy.

- Czy zechce mnie pan wpuścić do środka i zamknąć drzwi?

Młody człowiek zawahał się na chwilę, po czym skinął głową. Preston jeszcze raz zdjął kapelusz i przestąpił próg, zamykając drzwi za sobą.

Po przeciwnej stronie ulicy Walerij Pietrowski stał w salonie za gęstymi firankami. Był zmęczony, od długiej jazdy bolały go mięśnie, toteż nalał sobie małą whisky.

Wyglądając spoza firanki zobaczył kolejnego niezmordowanego agitatora politycznego rozmawiającego z sąsiadami spod numeru 9. Jego samego odwiedziło trzech w ciągu ostatnich dziesięciu dni, a teraz po powrocie znalazł na progu kolejną stertę broszur propagandowych różnych partii politycznych. Patrzył, jak właściciel domu wpuszcza go do środka. Następny przechrzą - pomyślał. Na wiele im się to akurat zda.

Preston odetchnął z ulgą. Młody człowiek mierzył go nieufnym spojrzeniem. Z

otwartych drzwi kuchni za jego plecami wyglądała żona. Na wysokości jej kolan zza framugi wychynęła buzia małej, mniej więcej trzyletniej dziewczynki.

- Pan naprawdę jest z MI-5? - spytał mężczyzna.

- Naprawdę. Słowo daję, że my nie mamy dwóch głów i zielonych uszu.

Młody człowiek po raz pierwszy się uśmiechnął. - Jasne, nie macie. Tylko że to dla nas ogromne zaskoczenie. Czego pan może od nas chcieć?

- Oczywiście niczego - uśmiechnął się Preston. - Nawet nie wiem, jak się państwo nazywacie. Śledziliśmy z kolegami pewnego człowieka, który według nas jest agentem obcego wywiadu, i człowiek ten wszedł do domu po drugiej stronie ulicy. Chciałbym skorzystać z pańskiego telefonu i może poprosić, żeby pozwolił pan kilku naszym ludziom obserwować ten dom z okna sypialni na piętrze.

- Do domu pod numerem 12? - spytał młody człowiek. - Jim Ross? On nie jest cudzoziemcem.

- Podejrzewamy, że chyba jednak tak. Czy mogę zadzwonić.

- No cóż, tak, proszę bardzo. - Odwrócił się do swojej żony i córeczki. - No dobra, wszyscy wracamy do kuchni.

Preston zadzwonił na Charles Street, skąd połączono go z sir Bernardem, który nadal przebywał na Cork. Korzystając z sieci łączności policyjnej, Burkinshaw zdążył

już zawiadomić Cork w oględnych słowach, że "klient" dotarł do swego domu w Ipswich i że "taksówki" stoją w sąsiedztwie, gotowe na wezwanie.

- Preston? - odezwał się do słuchawki dyrektor generalny. - John? Gdzie dokładnie jesteście?

- W małym zaułku Cherryhayes Close na osiedlu domków jednorodzinnych w Ipswich - odparł Preston. - Dopadliśmy naszego przyjaciela. Tym razem jestem pewien, że to jego baza operacyjna.

- Uważasz, że pora wkroczyć do akcji?

- Tak, sir, tak właśnie uważam. Obawiam się jednak, że może być uzbrojony.

Mam nadzieję, że pan wie, co przez to rozumiem, sir. Nie wydaje mi się, żeby to było zadanie dla Special Branch albo miejscowej policji.

Powiedział dyrektorowi generalnemu, czego sobie życzy, po czym nacisnął

widelki i zadzwonił prywatnie do sir Nigela w Sentinel House.

- Tak, John, aprobuję - powiedział "C", kiedy otrzymał tę samą informację. -

Jeśli ma przy sobie to, co sądzymy, to trzeba zrobić tak, jak mówisz. To robota dla SAS.

23

Wezwanie Special Air Service, brytyjskiej elitarniej i wielozadaniowej jednostki specjalistów od penetracji, obserwacji i - od czasu do czasu - błyskawicznej akcji na terenie miasta, nie jest wcale tak łatwą sprawą, jak wynikałoby to z co bardziej awanturnicznych filmów telewizyjnych.

SAS nigdy nie przystępuje do akcji z własnej inicjatywy. Zgodnie ze swym statutem, może działać na terenie Zjednoczonego Królestwa - tak jak każda inna formacja sił zbrojnych - wyłącznie jako wsparcie władz cywilnych, to znaczy policji.

W ten sposób zwierzchnie kierownictwo każdej takiej akcji pozostaje teoretycznie w rękach miejscowej policji. W praktyce jednak, kiedy SAS dostaje rozkaz wkroczenia do akcji, miejscowej policji radzi się, by przezornie trzymała się z dala.

Prawo stanowi, że formalną prośbę do Home Office o wprowadzeniu do akcji SAS składa główny konstabl hrabstwa, na terenie którego zaistniała alarmowa sytuacja, po stwierdzeniu, że poradzenie sobie z nią przekracza możliwości miejscowej policji. Może być jednak i tak, że konstabl otrzymuje "sugestię" złożenia takiej prośby i wówczas musiałby być bardzo odważnym człowiekiem, by takiej "sugestii" się oprzeć, zwłaszcza jeśli pochodzi ona z samej góry.

Kiedy główny konstabl skieruje swoją prośbę do stałego podsekretarza stanu w Home Office, ten przekazuje ją swemu odpowiednikowi w Ministerstwie Obrony, który z kolei powiadamia o jej wpłynięciu dyrektora operacji wojskowych i dopiero ten ostatni stawia na nogi SAS, stacjonującą w swojej bazie w Hereford.

To, że całą tę procedurę można załatwić w kilka minut, wynika po części stąd, że ćwiczą ją i dopracowywano dotąd, aż zaczęła funkcjonować bez najmniejszych zgrzytów, a po części z tego, że kiedy trzeba działać błyskawicznie, establishment brytyjski ma dość powiązań interpersonalnych, by móc większość wszelkich formalności załatwiać ustnie, a nieuchronne potwierdzenia pisemne odłożyć na później. Brytyjska biurokracja może się wydawać powolna i uciążliwa samym Brytyjczykom, ale w porównaniu z jej europejskimi i amerykańskimi odpowiednikami działa wręcz piorunująco sprawnie.

Większość brytyjskich głównych konstabli ma za sobą odwiedziny w Hereford, w jednostce znanej po prostu jako "Pułk", w czasie których demonstruje im się, jaką dokładnie pomoc mogą na swą prośbę uzyskać. To, co tam oglądają, tylko na bardzo niewielu z nich nie robi silnego wrażenia.

Tego ranka główny konstabl z Suffolk, został powiadomiony przez Londyn o zaistnieniu kryzysowej sytuacji, którą los zesłał mu w postaci agenta obcego wywiadu, ukrywającego się w domu przy Cherryhayes Close, w Ipswich, a podejrzanego o to, że jest dobrze uzbrojony, może nawet w bombę. Konstabl natychmiast skontaktował się z sir Hubertem Viliensem w Whitehallu, który

oczekiwał już jego telefonu. Sir Hubert powiadomił o tym swego ministra i jego kolegę, sekretarza gabinetu, który z kolei poinformował o tym premiera. Uzyskawszy zgodę Downing Street, sir Hubert przekazał tę prośbę, mającą już teraz najwyższą polityczną aprobatę sir Peregrine'owi Jonesowi z Ministerstwa Obrony, który i tak o niej wiedział, ponieważ odbył wcześniej krótką rozmowę z sir Martinem Flannerym.

W sześćdziesiąt minut od pierwszego kontaktku szefa policji w Suffolk z Home Office, dyrektor operacji wojskowych rozmawiał szyfrowaną linią z dowódcą SAS w Hereford.

Schemat jednostek operacyjnych SAS opiera się na podziale czwórkowym.

Czterech ludzi tworzy sekcję, cztery sekcje - pluton, cztery plutony - kompanię. W

drodze rotacji wykonują kolejno wszystkie zadania zlecane SAS w Irlandii Północnej i na Bliskim Wschodzie, biorą udział w działaniach w ramach NATO i ćwiczeniach w dżungli oraz pełnią służbę w kompanii stacjonującej w pogotowiu w Hereford.

Oddelegowanie do każdego z tych zadań trwa od sześciu do dziewięciu miesięcy i w tym miesiącu w Hereford pełniła dyżur kompania "B". Jak zwykle jeden pluton miał półgodzinne pełne pogotowie, a drugi dwugodzinną gotowość. Każdy pluton ma zawsze w swym składzie sekcję spadochronową (skoki z opóźnionym otwarciem), sekcję wodną (wszelkie jednostki pływające i działania podwodne), sekcję górską (alpinisci i grotolazi) oraz sekcję zmotoryzowaną (uzbrojone land rovery).

Kiedy brygadier Jeremy Cripps odłożył słuchawkę w Londynie, rozkaz natychmiastowego wyjazdu do Ipswich otrzymała siódma sekcja kompanii "B" -

sekcja spadochronowa.

- Co pan normalnie robi o tej porze? - spytał Preston właściciela domu, który nosił nazwisko Adrian. Młody kierownik skończył właśnie rozmawiać przez telefon z zastępcą głównego konstabla do spraw kryminalnych przebywającym w swoim gabinecie w komendzie policji w Ipswich na rogu Civic Drive i Elm Street. Jeśli pan Adrian żywił jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do tożsamości swego gościa, który zawitał do jego domu pół godziny wcześniej, to zostały one teraz zupełnie rozwiane.

Preston zaproponował Adrianowi, by zadzwonił sam, co w połączeniu z treścią rozmowy ostatecznie go przekonało, że policja hrabstwa Suffolk w pełni współdziałała z oficerem MI-5 siedzącym w jego salonie.

Upředzono go także, że człowiek mieszkający naprzeciwko może być niebezpieczny i dobrze uzbrojony i że jego aresztowanie musi nastąpić nieco później tego samego dnia.

- Mniej więcej za kwadrans dziewiąta, to jest za dziesięć minut, wyjeżdżam do pracy. Około dziesiątej moja żona, Lucinda, prowadzi Samantę do przedszkola.

Zazwyczaj robi potem zakupy, wczesnym popołudniem odbiera dziecko i wraca do domu. Pieszko. Ja wracam z pracy około wpół do siódmej, oczywiście samochodem.

- Chciałbym, żeby pan się dzisiaj zwolnił z pracy - powiedział Preston. - Niech pan zadzwoni do biura i powie, że jest pan chory. Ale wyjdzie pan z domu o zwykłej porze. Na Belstead Road, tam gdzie odchodzi od niej droga dojazdowa do osiedla, będzie na pana czekał samochód policyjny.

- A co z moją żoną i córeczką?

- Pani Adrian zaczeka tutaj do tej samej godziny co zwykle, po czym opuści dom z Samantą i torbą na zakupy, przejdzie pieszo do tego samego miejsca i dołączy do pana. Czy mają państwo gdzie spędzić dzisiejszy dzień?

- Moglibyśmy pojechać do mojej matki do Felixtowe - odparł nerwowo Adrian.

- Czy mogą się tam państwo zatrzymać do wieczora? A jeszcze lepiej zanocować?

- A co z naszym domem?

- Gwarantuję, że nic złego mu się nie stanie - zapewnił go optymistycznie Preston. Mógł dodać, że albo zupełnie nic mu się nie stanie, albo, jeśli sprawy przybiorą zły obrót, po prostu zniknie z powierzchni ziemi. - Muszę pana prosić, żeby pozwolił pan nam wykorzystać go jako punkt obserwacyjny, z którego moglibyśmy śledzić człowieka z przeciwka. Będziemy wchodzić i wychodzić tylnymi drzwiami.

Obiecujemy absolutnie niczego nie zniszczyć.

- Co o tym sądzisz, kochanie? - spytał Adrian żonę.

Kobieta skinęła głową. - Byle tylko Samanta znalazła się jak najdalej stąd - powiedziała.

- Już za godzinę, obiecuję - zapewnił ją Preston. - Pan Ross z przeciwka nie kładł się przez całą noc, co wiemy na pewno, bo go śledziliśmy. W tej chwili zapewne śpi, a tak czy inaczej policja nie wkroczy do akcji wcześniej niż po południu, a może nawet dopiero przed wieczorem.

- No dobrze - podjął decyzję Adrian. - Zrobimy to, o co pan nas prosi.

Zadzwonił do pracy, żeby wytłumaczyć swoją nieobecność i wyszedł z domu za piętnaście dziewiąta. Z okna swojej sypialni na piętrze Walerij Pietrowski widział

odjeżdżający samochód. Rosjanin szykował się, żeby choć trochę odespać zarwaną noc. Na ulicy nie działo się nic niezwykłego. Adrian zawsze o tej porze wychodził do pracy.

Preston zauważył, że z tyłu domu numer 9 ciągnie się kawałek bezpańskiego terenu. Wezwał Harry'ego Burkinshawa i Barneya, którzy weszli tylnymi drzwiami, skinęli głowami zakłopotanej pani Adrian i wspięli się po schodach do sypialni na piętrze, by powrócić do swego właściwego zajęcia - obserwowania. Ginger znalazł

ćwierć mili dalej jakieś wzniesienie, z którego miał widok zarówno na ujście rzeki Orwell i na znajdujące się tam doki, jak i na małe osiedle domków jednorodzinnych położone u jego stóp. Z pomocą lornetki mógł obserwować tył domu pod numerem 12

przy Cherryhayes Close.

- On się styka tyłem z ogródkiem na zapleczu domku przy Brackenhayes -

zawiadomił przez radio Prestona. - Żadnego ruchu ani w domku, ani w ogrodku.

Wszystkie okna zamknięte. To dziwne przy tej pogodzie.

- Obserwuj dalej - odparł Preston. - Będę cały czas tutaj. Gdybym musiał

gdzieś pójść, odbierze Harry.

Godzinę później pani Adrian opuściła spokojnie dom i wraz ze swą córeczką dołączyła do męża.

W samym Ipswich inna operacja nabierała rozpędu. Główny konstabl, który przeszedł w swej karierze wszystkie szczeble od zwykłego posterunkowego, przekazał szczegóły rozkręcanej operacji swemu zastępcy do spraw kryminalnych, nadinspektorowi Peterowi Low.

Low posłał dwóch swoich ludzi do ratusza, gdzie w wydziale podatkowym uzyskali informację, że dom będący celem operacji stanowi własność niejakiego Johnsona, ale wymiar podatków wysyła się do firmy Oxborrow's, pośredniczącej w wynajmie tej nieruchomości. Wizyta w tej firmie wyjaśniła, że pan Johnson wyjechał

na dłużej do Arabii Saudyjskiej, a dom został wynajęty niejakiemu Jamesowi Duncanowi Rossowi. Do Ipswich przesłano teleksem następane zdjęcie Rossa, alias Timothy Donnelly'ego, zrobione na ulicy w Damaszku i pokazano je agentowi z firmy Oxborrow's, który rozpoznał w nim najemcę.

Wydział mieszkaniowy ratusza podał im także nazwę firmy, która projektowała osiedle zwane Hayes, skąd uzyskano szczegółowe plany wszystkich pięter domku przy Cherryhayes Close 12. Ich pomoc poszła jeszcze dalej. W innych rejonach Ipswich zbudowano według tego projektu kilka innych domów, identycznych w najdrobniejszych szczegółach i okazało się, że jeden z nich stoi w dalszym ciągu pusty. Mógł się bardzo przydać grupie szturmowej SAS. Wkraczając do domu, jej członkowie znalazliby już dokładnie cały rozkład budynku.

Następnym zadaniem Lowa było znalezienie miejsca, w którym grupa SAS

mogłaby po przyjeździe zainstalować swoją "bazę wypadową". Musiało być to miejsce ustronne, dobrze odizolowane i łatwo dostępne, z wygodnym dojazdem i zaopatrzone w telefon. Udało mu się trafić na ślad pustej hali magazynowej przy nabrzeżu Eagle, które właściciel zgodził się wynająć ją policji "dla celów szkoleniowych".

Hala miała wielkie rozsuwane wrota, które po otwarciu mogły przepuścić konwój pojazdów, a zamknięte, skutecznie chroniły wnętrze przed oczami wścibskich; powierzchnię pozwalającą

zbudować w niej z drewna i płociennych zastawek wierną replikę domu w Hayes oraz małe, przeszklone z jednej strony pomieszczenie biurowe mogące posłużyć za pokój operacyjny.

Tuż przed południem na miejskim lotnisku w Ipswich usiadł wojskowy helikopter Scout i wysadził na nim trzech ludzi. Pierwszym z nich był dowódca pułku SAS, generał Cripps, drugim oficer operacyjny, major ze sztabu pułku, trzecim dowódca grupy, kapitan Julian Lyndhurst. Wszyscy trzej ubrani byli po cywilnemu, a mundury mieli w podręcznych walizeczkach. Czekał na nich nie oznakowany samochód policyjny, którym udali się wprost do bazy wypadowej, gdzie policja urządziła im właśnie centrum operacyjne.

Nadinspektor Low przekazał im wszystko, co wiedział, to znaczy tyle, ile jemu samemu przekazał Londyn. Low rozmawiał już z Prestonem przez telefon, ale jeszcze się z nim nie spotkał.

- Słyszałem o jakimś Johnie Prestonie - powiedział generał Cripps -

kontrolerze operacyjnym z MI-5. Jest gdzieś tu pod ręką?

- Chyba nie ruszał się z punktu obserwacyjnego - odparł Low - to jest z domu, który zajął naprzeciwko miejsca przebywania śledzonego. Mogę do niego zadzwonić, żeby wyszedł tylnymi drzwiami i tu przyjechał.

- Zastanawiam się, sir - powiedział kapitan Lyndhurst do swego dowódcy - czy nie powinienem od razu tam pojechać. Miałbym okazję rzucić okiem na "twierdzę", a wracając przywiózłbym z sobą tego Prestona.

- Zgoda, bo i tak musimy posłać po niego samochód - odparł generał.

Piętnaście minut później na wzniesieniu po drugiej stronie ujścia rzeki Orwell policjant pokazał kapitanowi tylne drzwi domu pod numerem 9. Ubrany nadal po cywilnemu dwudziestodwuletni kapitan przeciął kawałek leżącego odłogiem terenu, przeskoczył przez płot i wpadł do środka tylnym wejściem. W kuchni natknął

się na Barneya, który parzył herbatę na kuchence pani Adrian.

- Lyndhurst z Pułku - przedstawił się. - Czy jest tu pan Preston?

- John! - zawołał Barney na górę ochryłym szeptem, bo dom miał sprawiać wrażenie pustego. - Jakiś wojak do ciebie.

Lyndhurst wszedł po schodach do sypialni od frontu, znalazł Johna Prestona i przedstawił się. Harry Burkinshaw wymamrotał coś na temat herbaty i zostawił ich samych. Kapitan obejrzał uważnie dom pod numerem 12 po przeciwnej stronie uliczki.

- Wydaje mi się, że nadal mamy luki w informacjach - powiedział cedząc słowa. - Kto właściwie pańskim zdaniem, znajduje się w tym domu?

- Agent rosyjskiego wywiadu - odparł Preston - mieszkający tutaj pod przybranym nazwiskiem

Jamesa Duncana Rossa. Lat trzydzieści kilka, średniego wzrostu, dobrze zbudowany, zapewne w świetnej kondycji fizycznej. Profesjonalista najwyższej klasy.

Wręczył kapitanowi jego fotografię zrobioną na ulicy w Damaszku. Lyndhurst obejrzał ją z zainteresowaniem. - Czy oprócz niego jest tam ktoś jeszcze?

- Możliwe. Nie wiemy. Na pewno jest tam Ross. Może ma jakiegoś pomocnika. Nie możemy rozpytywać sąsiadów. Na takim osiedlu nie dalibyśmy rady przeszkodzić im w robieniu zbiegowiska. Małżeństwo mieszkające w tym domu zapewniało nas przed wyjściem, że mieszka sam. Ale nie mamy na to pewnych dowodów.

- I zgodnie z informacją, jaką nam podaliście, uważacie, że jest uzbrojony, może nawet potężnie. Za duży kaliber dla miejscowych chłopaków, nawet z karabinami, tak?

- Tak. Naszym zdaniem ma przy sobie bombę. Należy go obezwładnić, nim zdąży jej dopaść.

- Ach, bombę? - powiedział Lyndhurst, na pozór nie wykazując żadnego zainteresowania. Miał za sobą dwie tury służby w Irlandii Północnej. - Dość dużą, żeby rozwalić cały dom albo nawet ulicę?

- Nawet jeszcze nieco większą - odparł Preston. - Jeśli się nie mylimy, to jest to mała bomba atomowa.

Rosły oficer przeniósł powoli wzrok z domu naprzeciwko na Prestona i wlepił

w niego spojrzenie jasnoniebieskich oczu. - O cholera - powiedział. - To jednak robi wrażenie.

- To plus tej sprawy - odparł Preston. - A przy okazji, chcę go dostać w swoje ręce, i to żywego.

- Wracajmy do portu porozmawiać z generałem - rzucił Lyndhurst.

W czasie, gdy Lyndhurst przebywał w domu przy Cherryhayes Close, na lotnisku wylądowały dwa dalsze helikoptery z Hereford - Puma i Chinook. Pierwszy przywiózł członków grupy szturmowej, drugi ich liczne i ogromnie specjalistyczne wyposażenie.

Grupą kierował tymczasowo zastępca dowódcy, stary weteran, Steve Bilbow.

Był to niski, śniady i żyłasty mężczyzna o czarnych, błyszczących oczach jak paciorki, twardy jak skóra na zelówki i zawsze skory do śmiechu. Jak wszyscy wyżsi rangą podoficerowie w Pułku, służył w nim od dawna, w jego przypadku od piętnastu lat.

SAS jest niezwykłą jednostką także pod tym względem: niemal wszyscy oficerowie służą w niej na zasadzie czasowego odkomenderowania z macierzystych oddziałów i po dwóch, trzech latach wracają do siebie. Tylko szeregowi żołnierze pozostają w SAS, i też nie wszyscy, a tylko najlepsi. Nawet dowódca, choć zazwyczaj zostaje nim ktoś, kto ma już za sobą okres służby w Pułku, dowodzi nią zwykle dość krótko. Oficerowie służący w SAS przez dłuższy czas należą do zupełnych wyjątków i są to wyłącznie pracownicy sztabu Pułku zajmujący się jego technicznym zapleczem, zaopatrzeniem i transportem.

Steve Bilbow zaczynał jako żołnierz w sekcji spadochronowej, odsłużył okres odkomenderowania z wyróżnieniem, dzięki czemu zaproponowano mu przedłużenie przydziału, i doszedł do stopnia sierżanta sztabowego. Odsłużył dwie pełne tury pod ogniem w Dhofarze, spływał potem w dżunglach Belize, marzył niezliczenie wiele nocy w zasadzce w Armagh i odpoczywał w Cameron Highlands w Malezji. Pomagał

trenować jednostki zachodnioniemieckiej GSG-9 i pracował z grupą Delta Charlie Beckwitha w Ameryce.

W swojej karierze poznał monotonię nie kończącego się powtarzania ćwiczeń, które pozwalało członkom SAS osiągnąć szczyty formy i zawodowego przygotowania, i pompujące do krwi adrenalinę akcje: bieg po życie pod ogniem rebeliantów do schronienia za kamiennym szańcem w górach Omanu, dowodzenie zakonspirowanym oddziałem do walki z republikańskimi strzelcami we wschodnim Belfaście, pięćset skoków ze spadochronem, z tego większość z bardzo dużej wysokości i z maksymalnie opóźnionym otwarciem.

Kiedy w 1980 roku jego koledzy szturmowali ambasadę Iranu w Londynie, był

niepocieszony, że znalazł się w jednej z rezerwowych sekcji, która nie została wprowadzona do akcji.

Poza nim w skład grupy wchodził fotograf, trzech kolatorów wywiadu, ośmiu snajperów i dziewięciu szturmowców. Steve miał nadzieję i modlił się o to, żeby to jemu powierzono poprowadzenie ataku. Kilka nie oznakowanych samochodów policyjnych zabrało ich z lotniska i zawiozło do bazy wypadowej. Kiedy Lyndhurst wrócił z Prestonem do hali magazynowej, grupa była już na miejscu i rozpakowywała przed oczyma kilku oszołomionych policjantów swój sprzęt.

- Cześć, Steve - przywitał go kapitan Lyndhurst. - Wszystko w porządku?

- Czołem, szefie. W porządku. Tylko sobie to wszystko segregujemy.

- Widziałem twierdzę. To mały domek jednorodzinny. Wiadomo, że jest w nim co najmniej jedna osoba, może dwie. I bomba. Grupa będzie musiała być bardzo mała, dla większej nie ma tam po prostu miejsca. Chciałbym, żebyś ty wkroczył tam pierwszy.

- Niech pan spróbuje mi w tym przeszkodzić, szefie - wyszczerzył zęby w uśmiechu Steve.

W SAS kładzie się nacisk raczej na samodyscyplinę niż na jej zewnętrzne przejawy. Zresztą każdy, kto musi przejść przez wszystko, przez co przechodzą członkowie SAS i nie umie jej w sobie wyrobić, i tak nie zagrzeje tam długo miejsca.

Natomiast tym, którzy potrafią ją w sobie wypracować, niepotrzebne są we wzajemnych stosunkach sztywne formy właściwe w jednostkach liniowych.

Stąd też oficerowie zwracają się do swych podkomendnych - choć nie do siebie nawzajem - po imieniu. Niżsi rangą mają zwyczaj mówienia do swego dowódcy "szefie", ale do dowódcy całej SAS zwracają się zawsze per "sir". W

rozmowach między sobą nazywają każdego oficera Rupertem.

Sierżant sztabowy Bilbow dostrzegł Prestona i twarz mu się rozjaśniła w uśmiechu. - Major Preston... Wielki Boże, kopę lat!

Preston wyciągnął rękę i odwzajemnił się takim samym uśmiechem.

Ostatni raz widział Steve'a Bilbowa, kiedy po strzelaninie w Bogside schronił

się w bezpiecznym domu, gdzie przebywała czteroosobowa utajniona grupa uderzeniowa SAS pod dowództwem Bilbowa. Poza tym obaj byli byłymi spadochroniarzami, a to zawsze łączy.

- Teraz jestem w "piątce" - powiedział Preston. - Jestem kontrolerem działań dla tej operacji, przynajmniej z ramienia "piątki"

- I co tam masz dla nas? - spytał Bilbow.

- Rosjanina. Agenta KGB. Fachurę najwyższej klasy. Pewnie po kursie specnaz, więc będzie dobry, szybki i pewnie uzbrojony.

- Ach, specnaz? No to pięknie. Zobaczymy, czy naprawdę są aż tacy dobrzy.

Wszyscy trzej wiedzieli, co to takiego specnaz, doborowa rosyjska jednostka sabotażystów, radziecki odpowiednik SAS.

- Przepraszam, że przerwę wam te pogaduchy, ale pora na odprawę -

powiedział Lyndhurst.

Obaj z Prestonem weszli po schodach do przeszklonego biura, gdzie zastali Crippsa, majora ze sztabu SAS, zastępcę głównego konstabla do spraw kryminalnych, nadinspektora Lowa i kolatorów wywiadu. Preston przez ponad godzinę przekazywał

im jak najszczegółowiej wszystkie posiadane informacje, a kiedy skończył, zapanowała bardzo poważna atmosfera.

- Czy macie jakieś dowody, że w tym domu znajduje się ładunek nuklearny? -

spytał po dłuższej chwili zastępca konstabla.

- Nie, sir. Przejęliśmy w Glasgow pewien jego element przeznaczony dla kogoś działającego w konspiracji w tym kraju. Chłopcy z zaplecza twierdzą, że jest zupełnie wykluczone, żeby ta rzecz mogła mieć jakiegokolwiek inne zastosowanie.

Wiemy, że przebywający w tym domu mężczyzna jest agentem rosyjskiego wywiadu, bo został rozszyfrowany przez MOSSAD na ulicach Damaszku. Jego powiązanie z tajną radiostacją w

Chesterfield to potwierdza. Dalej pozostaje mi tylko dedukcja.

- Jeśli ten element przejęty w Glasgow nie miałby posłużyć do skonstruowania małej bomby atomowej na terenie Wielkiej Brytanii, to po jaką cholere by go tu w ogóle przysyłali? Na to pytanie nie potrafię znaleźć żadnej innej sensownej odpowiedzi. Co do Rossa, to element ten musiał być przeznaczony dla niego, chyba żeby założyć, że KGB prowadzi na terenie Anglii jakieś dwie równoległe wielkie operacje. QED (Quod erat demonstrandum - co należało udowodnić.)

- Tak - stwierdził z namysłem Cripps - chyba musimy przyjąć ten tok rozumowania. Musimy założyć, że on ma tę bombę przy sobie. Jeśli nie, to z naszym przyjacielem Rossem trzeba będzie porozmawiać bardzo poważnie.

Nadinspektor Low przeżywał istny koszmar. Musiał się pogodzić z faktem, że nie ma innego wyjścia, jak wziąć dom szturmem, ale na myśl o tym, co zostanie z Ipswich, jeśli ładunek eksploduje, oblewał go zimny pot.

- Czy nie moglibyśmy przeprowadzić ewakuacji? - spytał z niewielką nadzieją.

- Zauważyłby - odparł bezbarwnym głosem Preston. - Moim zdaniem, jeśli się zorientuje, że przegrał, to zabierze nas wszystkich ze sobą.

Żołnierze skinęli głowami. Wiedzieli, że znajdując się gdzieś w głębi Związku Radzieckiego sami musieliby zrobić to samo.

Minęła pora lunchu i żaden z nich tego nie zauważył. I tak nie mogliby się zmusić do jedzenia. Całe popołudnie zajęły im przygotowywania do akcji i prowadzenie rozpoznania.

Steve Bilbow pojechał z powrotem na lotnisko z fotografem i jednym z policjantów. We trzech przelecieli jeden jedyny raz wzdłuż ujścia rzeki Orwell, z dala od osiedla Hayes, ale trasą, która pozwalała im mieć je na widoku. Policjant wskazał

im dom, fotograf zrobił pięćdziesiąt zdjęć, a Steve nakręcił kamerą wideo długie panoramiczne ujęcie do odtworzenia w bazie wypadowej.

Cała grupa szturmowa, nadal po cywilnemu, udała się w towarzystwie policjantów do domu będącego wierną kopią celu ataku, zbudowanego przez tych samych architektów według tych samych planów. Kiedy wrócili do bazy, mogli już oglądać twierdzę na zdjęciach i filmie wideo.

Resztę popołudnia spędzili w hali, ćwicząc na kopii domu zbudowanej wewnątrz niej przez policjantów pod nadzorem SAS. Do jej konstrukcji użyto tylko drewnianych łat i płóciennych zastawek, ale idealnie trzymała wymiary i ujawniała pewne niezwykle istotne ograniczenie - wewnątrz domu było bardzo ciasno. Wąskie drzwi wejściowe, wąski przedpokój, wciśnięte w kąt schody, małe pokoje.

Kapitan Lyndhurst postanowił użyć tylko sześciu szturmowców, ku dozgonnemu rozzaleniu pozostałych czterech. W akcji miało wziąć udział także trzech snajperów - dwóch umieszczonych w sypialni na piętrze w domu Adriana i jeden na wzniesieniu, z którego rozciągał się widok na ogród na

tyłach domu pod numerem 12.

Tyłem domu miało się zająć dwóch z sześciu szturmowców Lyndhursta. Mieli wystąpić w pełnym bojowym rynsztunku, ale zamaskowanym obszernymi cywilnymi płaszczami przeciwdeszczowymi. Po dotarciu nie oznakowanym samochodem policyjnym na Brackenhayes Close, mieli wysiąść i nie pytając o zgodę właściciela posesji, przejść przez ogród od frontu, potem boczną ścieżką między domem a garażem i do ogrodu na tyłach domu. Tu mieli zrzucić płaszcze, przeskoczyć przez płot i zająć stanowiska w ogrodzie na tyłach twierdzy.

- Przez ogród może biec przeciągnięta przy ziemi żyłka rybacka - ostrzegł ich Lyndhurst. - Ale raczej bliżej samego domu. Trzymajcie się od niej z dala. Na dany sygnał macie wrzucić jeden granat ogluszający przez okno do sypialni z tyłu domu, a drugi do kuchni. Potem odbezpieczacie broń, ale nie ruszacie się z miejsca. Nie strzelać do wnętrza domu. Steve i jego chłopcy wejdą tam od frontu.

Odpowiedzialni za "tyły" skinęli głowami. Kapitan Lyndhurst wiedział, że nie weźmie udziału w ataku. Były porucznik w dragonach gwardii królewskiej odbywał

pierwszy okres służby w SAS i dostał stopień kapitana, bo w SAS nie ma oficerów niższej rangi. Po powrocie do swego macierzystego pułku miał znów służyć w randze porucznika, choć żywił nadzieję, że uda mu się ponownie dostać do SAS, tym razem na etat dowódcy kompanii.

Znał także zwyczaje panujące w SAS, różniące się od tych, które obowiązują w pozostałych jednostkach wojska - oficerowie biorą udział w walkach na pustyni czy w dżungli, ale nigdy w mieście. Tu w akcjach biorą udział wyłącznie podoficerowie i szeregowi żołnierze.

Główny atak należało przypuścić od frontu; Lyndhurst, jego dowódca i oficer sztabowy byli co do tego zgodni. Zakryta półciężarówka podjeżdżająca pod dom, a w niej czterech szturmowców. Dwóch wyważy frontowe drzwi, jeden Wingmasterem, a drugi siedmifuntowym młotem i nożycami do cięcia metalowych prętów - w razie potrzeby.

W tej samej chwili, w której runą drzwi, do domu wpadnie pierwsza linia szturmowa - Steve Bilbow z kapralem. Para wyważających drzwi odrzuci swoje narzędzia, zerwie z piersi karabiny i wkroczy do holu jako ich wsparcie.

Po wejściu do holu Steve Bilbow skoczy prosto obok schodów do saloniku po lewej. Kapral wbiegnie po schodach i zajmie sypialnię od frontu. Jeden ze wspierających (ten od Wingmastera) wbiegnie na górę za kapralem, na wypadek gdyby obiekt ataku znajdował się akurat w łazience, drugi (ten od młota) wpadnie za Stevem do saloniku.

Dla dwóch szturmowców, zabezpieczających tył domu, sygnałem do wrzucenia granatów ogluszających do dwu tylnych pomieszczeń, kuchni i sypialni, będzie huk Wingmastera z przodu domu. W ten sposób w momencie wyłamania drzwi każdy, kto by się znajdował w kuchni albo tylnej sypialni, będzie się kulił na podłodze, zastanawiając się, co to za kanonada.

Prestonowi, który zaproponował że wróci na punkt obserwacyjny, pozwolono zostać i wysłuchać wszystkich szczegółów planowanego szturmu.

Już przedtem wiedział, że SAS jest jedyną jednostką w armii brytyjskiej, której wolno wybierać sobie uzbrojenie spośród wszystkiego, co dostępne na światowych rynkach. Do bezpośredniego ataku wybrano niemiecki dziewięciomilimetrový szybkostrzelny pistolet maszynowy Hackler i Koch, o krótkiej lufie i składanej kolbie, lekki, łatwy w obsłudze i wysoce niezawodny.

Szturmowcy SAS noszą zwykle pistolety HK na ukos, przez pierś, przypięte dwoma sprężynowymi zatraskami, naładowane i zabezpieczone. W ten sposób mają wolne lewe ręce, by otwierać drzwi, wchodzić przez okno czy rzucać granaty. Kiedy już to zrobią, wystarczy jedno szarpnięcie i w niecałe pół sekundy HK znajduje się w pozycji gotowej do strzału.

Praktyka wykazała, że drzwi wyważa się szybciej odstrzelując oba zawiasy niż wylamując zamki. Do tego celu najlepiej nadaje się krótki, ładowany przesunięciem zamka wzdłuż lufy - czyli przez "pompowanie" - wielostrzałowy Wingmaster Remingtona, ale oczywiście o nabojach z pełnymi kulami, a nie grubym śrutem.

Poza tymi zabawkami para wyważająca drzwi musi mieć młot i nożyce do cięcia prętów - zwane potocznie masłem - na wypadek gdyby pozbawione już zawiasów drzwi trzymały się nadal na zasuwach i łańcuchach od strony zamka. Do tego granaty ogłuszające, oślepiające przejściowo jaskrawym wybuchem i ogłuszające potwornym hukiem, ale poza tym nie wyrządzające żadnej innej szkody. I na koniec trzynastostrzałowy, dziewięciomilimetrový automat Browninga.

W czasie tego szturm, tłumaczył z naciskiem Lyndhurst, najistotniejsze znaczenie będzie miało idealne zgranie w czasie wszystkich elementów akcji. Jej rozpoczęcie wyznaczył na godzinę 21-45, kiedy to na uliczce zapanuje już głęboki, maskujący zmierzch, ale nie będzie jeszcze zupełnie ciemno.

Sam Lyndhurst miał ulokować się u Adrianów, po przeciwnej stronie ulicy, i obserwować dom pod numerem 12, pozostając w radiowym kontakcie z półciężarówką wiozącą grupę szturmową. Gdyby o 21-44 na Cherryhayes Close pojawili się jacyś przechodnie, mógł kazać kierowcy zaczekać, aż znajdą się w odpowiedniej odległości od domu stanowiącego cel akcji. W ten sposób mógł

kontrolować zbliżanie się grupy. Radiostacja samochodu policyjnego, który dostarczy na stanowisko dwóch szturmowców odpowiedzialnych za obstawienie tyłu domu, będzie nastawiona na tę samą częstotliwość, toteż będzie on mógł wysadzić obu swych pasażerów dokładnie dziewięćdziesiąt sekund przed sforsowaniem drzwi.

Dodał do tego jeszcze jedną poprawkę. W momencie, kiedy półciężarówka będzie podjeżdżała do domu pod numerem 12, zadzwoni do Rossa z telefonu Adriana z naprzeciwka. Wiedział już, że we wszystkich tych domach aparaty telefoniczne stoją na małym stoliku w holu. Chodziło o to, żeby odciągnąć rosyjskiego agenta jak najdalej od bomby, bez względu na to, gdzie się znajdowała, i stworzyć szturmowcom szansę pewnego strzału.

Strzelać miało się jak zwykle wedle zasady dwóch szybkich serii po dwa strzały w każdej. Choć HK potrafi opróżnić swój magazynek z trzydziestu pocisków w kilka sekund, szturmowcy SAS strzelają dość celnie, nawet w najbardziej skomplikowanej sytuacji z terrorystami przetrzymującymi zakładników, by ograniczyć się do dwustrzałowej serii z jedną powtórką. Każdy, kto dostanie te cztery kule, natychmiast poczuje się zupełnie fatalnie. A ta oszczędność pozwala zwykle zachować

przy życiu zakładników.

Natychmiast po zakończeniu operacji do akcji wkroczy liczny oddział policji, by zapanować nad tłumem, który bez wątpienia wylegnie na ulicę z przyległych domów. Policja otoczy szczelnym kordonem cały front domu, podczas gdy grupa szturmowa opuści go tylnym wyjściem, przejdzie przez ogród i wsiądzie do swojej półciężarówki, czekającej już na nich na Brackenhayes Close. Także wewnątrz domu przejmie w swe posiadanie władza cywilna. Wczesnym wieczorem oczekiwano w Ipswich sześciuosobowego zespołu ekspertów z Aldermason.

O szóstej Preston opuścił bazę wypadową i wrócił na punkt obserwacyjny do domu Adrianów, do którego wśliznął się niepostrzeżenie tylnym wejściem.

- Właśnie włączył światło - poinformował go Harry Burkinshaw, kiedy Preston wszedł do sypialni na piętrze. Zastłony w oknach saloniku były zaciągnięte, ale przeświecał przez nie lekki odblask, podobnie jak przez szybki w drzwiach frontowych.

- Wydaje mi się, że zaraz po twoim odejściu widziałem jakiś ruch za firankami w sypialni na piętrze - powiedział Barney. - Ale nie zapalał światła. No bo niby i po co miałyby to robić. Było dopiero tuż po lunchu. Tak czy inaczej, nie wychodził z domu.

Preston połączył się z Gingerem obserwującym dom ze wzgórza, ale uzyskał

taką samą relację. Z tyłu domu też nie było śladu żadnego ruchu.

- Za dwie godziny zacznie się ściemniać - dodał Ginger. - Widoczność znacznie się pogorszy.

Walerij Pietrowski spał źle i niespokojnie. Tuż przed pierwszą obudził się zupełnie, usiadł na łóżku podkładając sobie poduszkę pod plecy i spojrzał przez zasłonięte firankami okna sypialni na dom naprzeciwko. Po dziesięciu minutach zwlókł się z łóżka, przeszedł do łazienki i wziął prysznic.

O drugiej przygotował sobie lunch i zjadł go przy kuchennym stole rzucając co jakiś czas okiem na ogród z tyłu domu, gdzie przez całą szerokość biegła cieniotka i zupełnie niewidoczna żyłka rybacka, nawinięta na mały bloczek, przymocowana w nocy do płotu i tylnych drzwi. Drugim końcem przywiązana była do sterty ustawionych jedno na drugich pustych blaszanych pojemników. Kiedy był w domu, napinał linkę, a kiedy wychodził, poluzowywał ją. Jeszcze nikt nie przewrócił z brzękiem sterty pustych puszek.

Popołudnie wlokło się niemiłosiernie. Pietrowski czuł napięcie, wszystkie zmysły pracowały mu na najwyższych obrotach, co nie było czymś niezwykłym, biorąc pod uwagę, co znajdowało się w jego saloniku, uzbrojone i gotowe do odpalenia. Próbował coś czytać, ale nie był w stanie się skoncentrować. Moskwa musiała otrzymać jego wiadomość już dwanaście godzin temu. Posłuchał trochę muzyki nadawanej przez radio, a o szóstej przeniósł się do saloniku. Choć po fasadach domów naprzeciwko mógł się zorientować, że jest piękny letni wieczór, jego własny dom wychodził na wschód, więc o tej porze stał już w cieniu. Od tej chwili w saloniku będzie się robiło coraz ciemniej. Zaciągnął story, jak to zawsze robił, nim włączył lampy do czytania, po czym z braku jakiegoś lepszego zajęcia nastawił

telewizję. W programie jak zwykle dominowała kampania wyborcza.

W bazie wypadowej czuło się narastanie napięcia. Poddawano ostatnim przygotowaniom pojazd grupy uderzeniowej, zwykłego szarego volkswagena, z rozsuwanymi bocznymi drzwiami. W kabinie kierowcy miało jechać dwóch żołnierzy nie biorących bezpośredniego udziału w szturmie, jeden jako kierowca, drugi jako radiooperator utrzymujący łączność z kapitanem Lyndhurstem. Po raz nie wiadomo który z rzędu sprawdzali swoje nadajniki, tak samo jak robiono to ze wszystkimi innymi elementami wyposażenia.

Do drogi wjazdowej do osiedla Hayes półciężarówkę miał podprowadzić nieoznakowany samochód policyjny; dalej już jej kierowca musiał radzić sobie sam -

nauczył się na pamięć planu całego osiedla i wiedział, jak trafić na Cherryhayes Close.

Po znalezieniu się na terenie Hayes, ciężarówka miała przejść pod nadzór radiowy kapitana Lyndhursta, prowadzony z okna sypialni domu Adrianów. Cały tył

volkswagena wyłożono warstwą polistyrenowej gąbki, żeby zapobiec podzwanianiu metalu o metal.

Grupa uderzeniowa ubierała się i “oprzyrządowywała”. Bezpośrednio na bieliznę każdy z jej członków zakłada standardowy jednoczęściowy kombinezon z ognioodpornej tkaniny, który w ostatniej chwili uzupełni czarna, impregnowana kominiarka. Na kombinezon nakłada się, lekki kombinezon kuloodporny firmy British Armour, utkany z kevlaru, materiału zaprojektowanego w taki sposób, by pochłaniał

impet uderzenia kuli, rozkładając go na zewnątrz i na boki od punktu trafienia. Pod ten kombinezon szturmowcy wpychają ceramiczne “amortyzatory”, które mają za zadanie jeszcze bardziej osłabić siłę uderzenia trafiającego pocisku.

Na to wszystko zakłada się uprząż do umocowania uzbrojenia potrzebnego przy szturmie - karabinu HK, granatów i broni ręcznej. Na nogach szturmowcy noszą tradycyjnie buty używane na pustyni, do kostek, na grubych kauczukowych podeszwach, w kolorze, który da się opisać jedynie słowem “brudny”.

Kapitan Lyndhurst porozmawiał po raz ostatni ze wszystkimi członkami grupy uderzeniowej, najdłużej ze swym zastępcą, Stev'em Bilbowem. Oczywiście nie było mowy, żeby życzył im szczęścia - wszystko tylko nie to. Po czym udał się na punkt obserwacyjny.

Wszedł do domu Adrianów tuż po ósmej. Preston bez słów czuł bijące od niego napięcie. O ósmej trzydzieści zadzwonił telefon. Odebrał go Barney, który był

właśnie w holu. Był to już któryś z rzędu telefon tego dnia. Preston uznał, że nieodbieranie ich byłoby bezcelowe - ktoś mógłby wtedy przyjść do domu osobiście.

Wszystkim dzwoniącym mówiono, że państwo Adrian wyjechali na cały dzień do matki, a telefon odebrał jeden z malarzy odnawiających salonik. W nikim to wyjaśnienie nie wzbudziło żadnych podejrzeń. Kiedy Barney podniósł słuchawkę, kapitan Lyndhurst wychodził właśnie z kuchni z

kubkiem herbaty.

- To do pana - powiedział Barney i wrócił po schodach na górę.

Od dziewiątej napięcie coraz bardziej rosło. Lyndhurst spędzał wiele czasu przy radiostacji, pozostając w kontakcie z bazą wypadową, z której o 21-15 wyjechał

w stronę Hayes szary volkswagen pilotowany przez samochód policyjny. O 21-33 oba pojazdy dotarły do skrzyżowania Belstead Road z drogą wjazdową na osiedle, znajdującego się o dwieście jardów od celu. Musieli przystanąć i poczekać. O 21-41

pan Armitrage wyszedł ze swego domu wystawić butelki dla mleczarza. W drodze powrotnej przystanął i doprowadzając Lyndhursta do szału, zaczął w zapadającej ciemności podziwiać kwiaty rosnące w kamiennej wazie pośrodku jego trawnika. Po czym ukłonił się sąsiadowi z przeciwka.

- Wracaj, stary durniu - wymamrotał szeptem Lyndhurst, stojąc w saloniku i nie spuszczać wzroku ze światła lampy przebijającego przez zasłony w oknach twierdzy. O 21-42 nie oznakowany samochód policyjny z dwoma jego ludźmi mającymi zaatakować dom od tyłu zajął stanowisko na Brackenhayes Close i czekał.

Dziesięć sekund później pan Armitrage powiedział sąsiadowi dobranoc i wrócił do siebie.

O 21-43 szary volkswagen wjechał na Gorsehayes, ulicę dojazdową do całego osiedla. Ze swego miejsca przy telefonie w holu Preston słyszał rozmowę Lyndhursta z jego kierowcą. Półciężarówka sunęła powoli i cicho ku wylotowi Cherryhayes Close.

Na uliczce nadal nie było żadnych przechodniów. Lyndhurst rozkazał swoim dwóm "tylnym" wysiąść z samochodu i ruszać.

- Wjeżdżamy na Cherryhayes za piętnaście sekund - rzucił przyciszonym głosem łącznościowiec z volkswagena.

- Zwolnić, macie jeszcze trzydzieści sekund - odparł Lyndhurst. Dwadzieścia sekund później powiedział: - Teraz! Wjeżdżajcie!

Zza rogu wyłoniła się półciężarówka, bardzo powoli, na światłach postojowych. - Osiem sekund - mruknął Lyndhurst do mikrofonu i natychmiast podnieconym szeptem do Prestona: - Niech pan kręci!

Volkswagen przejechał powoli uliczką, minął wejście do domu pod numerem 12 i zatrzymał się na wprost wazy z kwiatami pana Armitrage. Postąpiono tak z rozmysłem; grupa szturmowa chciała podejść do twierdzy z ukosa. Dobrze nasmarowane drzwi rozsunęły się bezszelestnie i w kompletnej ciszy w zapadającą noc wysiadło czterech ubranych na czarno mężczyzn. Nie było żadnej bieganiny, żadnego tupotu nóg, żadnych ochrypłych krzyków. W przeciwiczonej kolejności przecięli spokojnie na ukos trawnik pana Armitrage, obeszlą zaparkowanego forda pana Rossa i stanęli przed drzwiami numer 12. Żołnierz z Wingmasterem z góry wiedział, po której stronie będą zawiasy. Dochodząc do drzwi przyłożył karabin do ramienia. Jednym rzutem oka sprawdził, gdzie dokładnie znajdują się

zawiasy, i starannie wycelował. Tuż za nim jego kolega wziął zamach wielkim młotem. A za ich plecami Steve i kapral odbezpieczyli swoje HK...

Major Walerij Pietrowski z trudem siedział spokojnie w swoim saloniku. Nie mógł skoncentrować się na telewizji, wyczulony słuch podchwytował zbyt wiele odgłosów - brzęk wystawianych przez kogoś butelek na mleko, miauczenie kota, odległy warkot silnika motocykla, buczenie syreny okrętowej frachtowca wpływającego do ujścia rzeki Orwell po drugiej stronie doliny.

O dziewiątej trzydzieści kolejny magazyn aktualności przyniósł kolejne wywiady z ministrami i tymi, którzy ministrami mieli nadzieję zostać. W desperacji przełączył telewizor na BBC 2 tylko po to, by znaleźć tam film dokumentalny o ptakach. Westchnął ciężko. Trudno, lepsze to niż polityka.

Minęło może z dziesięć minut filmu, kiedy usłyszał, jak sąsiad, pan Armitage, wystawia butelki na mleko. "Zawsze tyle samo i zawsze o tej samej porze" -

pomyślał. Potem stary dureń zawołał coś do kogoś po przeciwnej stronie ulicy. W tej samej chwili jakiś obraz na filmie przykuł jego wzrok, wprawiając go w zdumienie.

Dziennikarka rozmawiała z jakimś chudym facetem w czapce jak naleśnik o jego życiowej pasji, którą okazały się gołębie. Mężczyzna trzymał przed kamerą jednego z nich, smukłe stworzenie o charakterystycznym zabarwieniu dzioba i głowy.

Pietrowski poderwał się w fotelu koncentrując na ptaku niemal całą swą uwagę, a resztę poświęcając treści prowadzonego wywiadu. Był absolutnie pewien, że identycznego ptaka już gdzieś kiedyś widział.

- Czy tego pięknego ptaka wyhodował pan z myślą o wystawianiu w konkursach? - spytała dziennikarka. Była nowa, stawiała nieco zbyt błyskotliwe pytania, próbując wycisnąć z tematu więcej, niż był tego wart.

- Wielki Boże, nie! - odparł facet w naleśniku. - Tych ptaków nie hoduje się wyłącznie dla urody. To jest Westcott.

W nagłym przebłysku przypomnienia Pietrowski ujrzał ponownie pokój w apartamencie gościnnym daczy generalnego sekretarza w Usowie. "Znalazłem go zeszłej zimy na ulicy", powiedział wtedy stary zasuszony Anglik, pokazując gołębia strzelającego z klatki bystrymi, mądrymi ślepiami.

- A więc takich gołębi nie ujrzymy na ulicach miasta... - brnęła dalej nieudolnie dziewczyna. I w tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu w holu.

Normalnie Pietrowski poszedłby go odebrać, na wypadek, gdyby to był któryś z sąsiadów. Udawanie przy palącym się świetle, że nikogo nie ma w domu, mogłoby się wydać podejrzane. I nie wzięłoby ze sobą do holu rewolweru. Ale tym razem nie ruszył się z miejsca, nie mogąc oderwać wzroku od ekranu. Telefon dzwonił nadal, coraz natarczywiej. Wraz z głosem z telewizora zupełnie zagłuszył ciche stąpania kauczukowych podeszew po chodniku.

- Oczywiście, że nie - odparł radośnie facet w naleśniku. - Westcotty nie są

“ulicznikami”. To pewnie najdoskonalsza rasa pocztowców, jaka w ogóle istnieje. Ta ślicznotka zawsze pomknie z powrotem do miejsca, gdzie się wychowała. Dlatego właśnie popularnie nazywa się je “domownikami”.

Pietrowski zerwał się z fotela zgrzytając zębami z wściekłości. Ze szpary między poduszką fotela a jego oparciem wyszarpnął wielki, precyzyjny pistolet Sako, z którym nie rozstawał się od chwili przybycia do Wielkiej Brytanii. Wyrzucił z siebie jedno krótkie słowo po rosyjsku. Nikt go nie usłyszał, ale słowo to znaczyło “zdrajca”.

W tym właśnie momencie rozległ się huk, a zaraz potem drugi, w tak krótkim odstępie czasu, że zlały się niemal w jeden. Towarzyszył im brzęk tłuczonego szkła przy drzwiach wejściowych, dwa potężne wybuchy z tyłu domu i tupot nóg w holu.

Pietrowski skoczył do drzwi saloniku, trzykrotnie naciskając spust. Jego Sako Triace, przystosowane do mocowania trzech różnych luf, miało lufę o największym z trzech możliwych kalibrów. I miało w magazynku pięć naboji. Ograniczył się do trzech -

pozostałe dwa mogły mu być potrzebne dla niego samego. Ale te trzy, które wystrzelił, przebiły kiepską stolarzkę zamkniętych drzwi do holu...

Mieszkańcy Cherryhayes Close będą opowiadać o tej nocy do końca życia, ale żaden z nich nie opíše nigdy dokładnie tego, co potem nastąpiło.

Huk Wingmastera wyrwał ich wszystkich z foteli, tak jak wyrwał z drzwi solidne podwójne zawiasy. Natychmiast po oddaniu strzałów pierwszy żołnierz odskoczył w bok i do tyłu, by zrobić miejsce swemu koledze. Jedno uderzenie młota i zamek, skobel i łańcuch po przeciwnej stronie drzwi rozprysły się na wszystkie strony. Wtedy i drugi żołnierz odstąpił do tyłu i w bok. Obaj odrzucili swoje narzędzia i zerwali z piersi HK.

Tymczasem Steve wbiegł już z kapralem przez ziejący otwór. Kapral w trzech skokach znalazł się na szczycie schodów, mając tuż za plecami żołnierza, który wybił

drzwi młotem. Steve przebiegł obok dzwoniącego telefonu, dopadł drzwi saloniku, odwrócił się do nich przodem i został wyrzucony w powietrze. Trzy pociski z Sako trafiły go z wyraźnie słyszalnym “łup” i odrzuciły aż na schody. Żołnierz od Wingmastera po prostu wychylił się przez framugę zamkniętych nadal drzwi i posłał

w nie dwie dwustrzałowe serie, po czym jednym kopnięciem otworzył je, wskoczył do środka przewrotną i zerwał się do przysiadu daleko w głębi pokoju.

Kiedy rozległ się huk wystrzałów, kapitan Lyndhurst otworzył drzwi domu naprzeciwko i obserwował przebieg wydarzeń z Prestonem tuż za jego plecami. W

światle lampy w holu ujrzął, jak jego zastępca podbiega do drzwi saloniku i zostaje od nich odrzucony jak szmaciana lalka. Lyndhurst ruszył przed siebie, a Preston tuż za nim.

Kiedy żołnierz, który posłał dwie serie przez drzwi saloniku, zerwał się na nogi i ujrzał jakąś postać rozciągniętą bez ruchu na dywanie, kapitan Lyndhurst stanął

w drzwiach. Mimo zasnuwającego cały pokój prochowego dymu, wystarczył mu jeden rzut oka, by ogarnąć całą sytuację.

- Idź do holu pomóc Steve'owi - rzucił szorstko. Żołnierz nie dyskutował.

Leżący na podłodze zaczął się poruszać. Lyndhurst wyciągnął spod marynarki swojego Browninga.

Żołnierz dobrze się spisał. Pietrowski dostał w kolano, w dolne partie brzucha i w prawe ramię. Pistolet wypadł mu z ręki i poleciał na drugi koniec pokoju. Pomimo przeszkody, jaką stanowiły drzwi, żołnierz umieścił w celu trzy z czterech wystrzelonych pocisków. Pietrowski cierpiał potworny ból, ale żył. Zaczął się czołgać.

W odległości dwunastu stóp widział płaskie, szare, stalowe pudełko, przewrócone na bok, przyciskami w jego stronę - jednym żółtym i jednym czerwonym. Kapitan Lyndhurst wymierzył starannie i pociągnął za spust.

John Preston przebiegł obok niego tak szybko, że potracił go po drodze w biodro. Padł na kolana obok ciała na podłodze. Leżało na boku z odstrzeloną tylną połową głowy i wciąż jeszcze poruszało ustami jak ryba na desce do krajania. Preston pochylił się nad umierającym. Lyndhurst nadal trzymał broń w pogotowiu, ale teraz agent z MI-5 znalazł się między nim a Rosjaninem. Zrobił dwa kroki w bok, by zapewnić sobie możliwość czystego strzału i zniżył Browninga.

Preston podnosił się z podłogi. Drugi strzał okazał się zbyteczny.

- Lepiej niech ci faceci z Aldermaston obejrzą sobie to - powiedział Lyndhurst, wskazując na stalowy pojemnik w rogu pokoju.

- Chciałem go mieć żywego - powiedział Preston.

- Przykro mi, staruszkule, tego nie dało się zrobić - odparł kapitan.

W tej chwili obaj aż podskoczyli na dźwięk głośnego piknięcia i głosu, który dobiegł ich od strony kredensu. Ujrzeni, że dochodzi z dużego radia, uruchomionego automatycznym wyłącznikiem czasowym.

“Dobry wieczór, tu radio Moskwa, program w języku angielskim. A oto nasz serwis informacyjny nadawany zawsze o godzinie dziesiątej.

Dziś w Terry... przepraszam, powtórzę. Dziś w Teheranie rząd irański oświadczył, że...”

Kapitan Lyndhurst podszedł i wyłączył radio. Leżący na podłodze człowiek wpatrywał się niewidzącym spojrzeniem w dywan, obojętny na zaszyfrowane informacje przeznaczone wyłącznie dla niego.

Zaproszenie na lunch do Brook's Club opiewało na godzinę pierwszą, w piątek, dziewiętnastego czerwca. Preston zjawił się w holu punktualnie, ale nie zdążył

jeszcze zaanonsować swego przybycia portierowi klubu urzędującemu w budce po prawej stronie, gdy ujrzał sir Nigela schodzącego po marmurowych schodach, by go powitać.

- John, mój drogi, jakże to miło z twojej strony, że przyszedłeś.

Przeszli na drinka przed posiłkiem do baru, gdzie rozmawiało się na nieobowiązujące tematy. Preston mógł poinformować Szefa, że właśnie wraca ze szpitala w Hereford, z odwiedzin u Steve'a Bilbowa. Sierżant sztabowy mógł mówić o szczęściu. Dopiero po usunięciu rozplaszczonych pocisków z pistoletu Rosjanina tkwiących w jego ochronnym kombinezonie jeden z lekarzy zauważył na nich lepką substancję i oddał ją do analizy. Roztwór cyjanku nie dostał się do krwioobiegu sierżanta - uratowały go ceramiczne "amortyzatory". Poza tym był ciężko posiniaczony, trochę poobijany, ale ogólnie w dobrej kondycji.

- To wspaniale - powiedział sir Nigel ze szczególnym entuzjazmem. - Nie ma nic gorszego niż stracić dobrego człowieka.

Poza tym niemal wszyscy w barze dyskutowali na temat wyników wyborów, a wielu z obecnych nie kładło się spać do rana w oczekiwaniu na rezultaty głosowania w ostatnich okręgach wyborczych, które miały rozstrzygnąć, kto odniesie zwycięstwo w zażartej rywalizacji.

O wpół do drugiej przeszli na lunch. Sir Nigel zamówił stół w rogu, gdzie można było swobodnie rozmawiać. Po drodze minęli idącego w przeciwną stronę sekretarza gabinetu, sir Martina Flannery'ego. Choć obaj się znali, sir Martin zorientował się natychmiast, że jego kolega "jest zajęty". Dygnitarze dali wyraz temu, że się nawzajem dostrzegają, niemal nieuchwytnymi skinieniami głów, wystarczającymi dwóm absolwentom Oxfordu. Poklepywanie po ramionach lepiej zostawić sobie dla cudzoziemców.

- Zaprosiłem cię tu, John - powiedział "C", rozkładając na kolanach lnianą serwetkę - żeby wyrazić ci swoje podziękowanie i złożyć gratulacje. Wspaniała operacja i znakomite wyniki. Proponuję ci wziąć karkówkę z jagnięcia, doskonałą o tej porze roku.

- Co do gratulacji, sir, obawiam się, że nie bardzo mogę je przyjąć - odparł

cicho Preston.

Sir Nigel przeglądał uważnie menu przez okulary z połówkami szkła.

- Doprawdy? Czy to ma być godna podziwu skromność, czy też nie tak już godna podziwu niegrzeczność? Ach! Fasolka, marchewka i może pieczone ziemniaki, mój drogi.

- Mam nadzieję, że zwykłe poczucie realizmu - dodał Preston po odejściu kelnera. - Czy moglibyśmy porozmawiać o człowieku znanym nam pod nazwiskiem Franz Winkler?

- Którego śladem tak błyskotliwie dotarł pan do Chesterfield.
 - Pozwoli pan, że będę szczery, sir Nigel. Winkler nie zdołałby zgubić kulawego słonia. To był niezdarny stary dureń.
 - Zdaje mi się, że na stacji w Chesterfield omal jednak pana nie zgubił.
 - Fuks - stwierdził Preston. - Przy większej operacji rozstawilibyśmy swoich ludzi na każdej stacji wzdłuż całej linii. Rzecz w tym, że jego manewry były zupełnie nieudolne. Pozwoliły nam się zorientować, że jest zawodowcem, do tego złym, a jednocześnie jemu nie pozwoliły nas zgubić.
 - Rozumiem. Co jeszcze na temat tego Winklera? Ach, jest jagnię, i przyrządzone wprost idealnie.
- Odczekali, aż zostaną obsłużeni i kelner odejdzie. Preston zaczął dziobać w talerzu, zaprzątnięty własnymi myślami. Sir Nigel zjadał z wielkim apetytem.
- Franz Winkler wylądował na Heathrow z autentycznym paszportem austriackim i ważną wizą brytyjską.
 - O tak, bez wątpienia.
 - A obaj wiemy, tak samo jak urzędnik odprawy paszportowej, że obywatele Austrii nie potrzebują wizy by wjechać do Wielkiej Brytanii. Każdy pracownik naszego konsulatu w Wiedniu poinformowałby o tym Winklera. To właśnie ta wiza skłoniła urzędnika imigracyjnego z Heathrow, by wystukać numer paszportu Winklera na komputerze. I okazało się, że paszport jest fałszywy.
 - Wszyscy popełniamy błędy - mruknął sir Nigel.
 - KGB takich błędów nie popełnia. Wystawione przez nich dokumenty są zawsze wręcz nieskazitelne.
 - Nie przeceniaj ich, John. Każda wielka organizacja od czasu do czasu coś fuszeruje. Jeszcze marchewki? Nie? W takim razie może ja...
 - Rzecz w tym, że ten paszport miał aż dwie usterki. Powodem, dla którego komputer zamrugał na czerwono, było to, że trzy lata temu jakiś inny rzekomy Austriak z paszportem o tym samym numerze został aresztowany przez FBI w Kalifornii i w chwili obecnej odsiaduje wyrok z Soledad.
 - Doprawdy? Wielki Boże, to rzeczywiście nie najlepiej świadczy o Rosjanach.
 - Widziałem się z człowiekiem FBI tu, w Londynie, i zapytałem go, o co tamtego faceta oskarżono. Okazało się, że próbował za pomocą szantażu zmusić jednego z pracowników Inter Corporation z Silicon Valley do przekazania mu tajemnic produkcyjnych.
 - To bardzo nieładnie z jego strony.
 - Chodziło o tajemnice produkcyjne urządzeń mających zastosowanie w pociskach jądrowych.

- Z czego wyciągnął pan wniosek...

- Że wjazd Franza Winklera do Wielkiej Brytanii był jak zapalenie ogromnego neonu. Że był to znak, wiadomość - wiadomość na dwóch nogach.

Twarz sir Nigela nadal promieniała dobrym humorem, ale z jego oczu zniknęły iskierki wesołości.

- I jakaż by miała być treść tej niezwyklej wiadomości, John?

- Według mnie brzmiała ona tak: "Nie mogę wam wydać głównego zakonspirowanego agenta, bo nie wiem, gdzie on się znajduje. Ale śledźcie tego człowieka, on was zaprowadzi do nadajnika". I zaprowadził. Toteż urządziłem zasadzkę przy nadajniku i w końcu agent się pojawił.

- Do czego konkretnie zmierzasz? - sir Nigel położył nóż i widelec na pustym talerzu i otarł usta serwetką.

- Do tego, sir, że cała ta operacja została spartaczona, i to od samego początku.

Według mnie można stąd wyciągnąć tylko jeden nieodparty wniosek, a mianowicie, że ktoś po tamtej stronie rozmyślnie nam ją podłożył.

- To wniosek zupełnie niezwyklej. Pozwolę sobie polecić ci babeczki z truskawkami. Jadłem je w zeszłym tygodniu. Oczywiście to już świeży wypiek.

Skusisz się? Dla mnie dwie, jeśli łaska. Tak, tak, z odrobiną kremu.

- Czy mogę zadać jedno pytanie? - spytał Preston, kiedy kelner uprzątnął talerze.

- Jestem pewien, że i tak je zadasz - uśmiechnął się sir Nigel.

- Dlaczego ten Rosjanin musiał zginąć?

- Z tego, co wiem, czołgał się w kierunku detonatora bomby atomowej z absolutnie czytelnym zamiarem uruchomienia go.

- Ja przy tym byłem - powiedział Preston, kiedy przyniesiono babeczki z truskawkami. Odczekał, aż zostaną polane kremem. - Ten człowiek był ranny w udo, brzuch i ramię. Kapitan Lyndhurst mógł go powstrzymać jednym kopnięciem. Nie było najmniejszej potrzeby odstrzeliwać mu połowy głowy.

- Jestem pewien, że poczciwy kapitan chciał mieć po prostu absolutną pewność - zasugerował Mistrz.

- Gdyby ten Rosjanin pozostał przy życiu, sir Nigel, moglibyśmy niezbitnie wykazać winę Związku Radzieckiego, przyłapałibyśmy ich na gorącym uczynku. Bez niego nie mamy nic, czemu nie można byłoby przekonująco zaprzeczyć. Innymi słowy, teraz wszystko musimy na zawsze zatrzymać dla

siebie.

- Nie sposób się z tym nie zgodzić - odparł "C", przeżuając w zamyśleniu kęs kruchego ciasta z truskawkami.

- Tak się składa, że kapitan Lyndhurst jest synem lorda Frintona.

- Doprawdy? Frintona? Czy to ktoś, kogo się zna?

- Najwyraźniej. Chodził pan z nim do szkoły.

- Naprawdę? Tylu nas było. Trudno wszystkich spamiętać.

- A Julian Lyndhurst jest pana chrzestnym synem.

- John, mój drogi, ty rzeczywiście lubisz sobie wszystko sprawdzić!

Sir Nigel dokończył deseru, oparł podbródek na złożonych dłoniach i spojrzał

bez drgnienia powieki na oficera z MI-5. Zachował dobre maniery, ale wesoły nastrój go opuścił.

- Czy coś jeszcze?

Preston skinął poważnie głową.

- Godzinę przed atakiem na dom agenta kapitan Lyndhurst rozmawiał z holu domu po przeciwnej stronie ulicy przez telefon. Sprawdziłem u kolegi, który ten telefon odebrał. Dzwoniono z budki telefonicznej.

- Bez wątpienia był to któryś z jego kolegów.

- Nie, sir. Oni korzystali z łączności radiowej. A o tym, że znajdujemy się w tym domu, nie wiedział nikt oprócz biorących udział w operacji. To znaczy nikt poza dosłownie kilkoma osobami w Londynie.

- Czy mogę zapytać, co mi przez to sugerujesz?

- Jeszcze tylko jeden szczegół, sir Nigel. Tuż przed śmiercią ten Rosjanin wyszeptał jedno słowo. Wydawało się, że ogromnie mu zależy, żeby je wypowiedzieć, nim umrze. Trzymałem akurat ucho tuż przy jego ustach. Słowo, które wymówił, to: Philby.

- Philby? Wielkie nieba, a cóż by to miało znaczyć?

- Chyba wiem, co to miało znaczyć. Moim zdaniem Rosjanin uważał, że Harold Philby go zdradził i według mnie miał rację.

- Ach tak. A czy dostąpię zaszczytu wysłuchania także wniosków, jakie to panu nasuwa? - Szeł mówił

spokojnie, ale w jego głosie nie pozostał nawet ślad poprzedniej dobroduszości.

Preston wziął głęboki oddech.

- Wnioskuje, że zdrajca Philby brał udział w tej operacji, może nawet od samego początku. Jeśli tak, byłby w sytuacji nie mającego nic do stracenia. Tak jak inni, słyszałem pogłoski, że Philby chce wrócić do domu, by tu, w Anglii, dożyć reszty swych dni. - Gdyby ten plan się powiódł, zapewne otrzymałby w nagrodę od swych rosyjskich protektorów zgodę na wyjazd, a od skrajnie lewicowego rządu Wielkiej Brytanii zgodę na wyjazd. Może za rok od dzisiaj. Mógł też powiadomić Londyn o ogólnych zarysach planu, po czym go zdradzić.

- I o wybór którego z tych dwóch wyjść go pan podejrzewa?

- Drugiego, sir Nigel.

- A cóż by mu to, na miłość boską, dało?

- Bilet do domu. Dobicie targu.

- I myśli pan, że to ja miałbym tego targu z nim dobić?

- Ja już nie wiem co myśleć, sir Nigel. Nie wiem, co innego można tu myśleć.

Tu i ówdzie mówi się... o jego starych kolegach, magicznym kręgu, solidarności establishmentu, do którego niegdyś należał - o takich rzeczach. - Preston wbił wzrok w talerz i ledwie napoczętą babeczkę z truskawkami.

Sir Nigel przez długą chwilę wodził wzrokiem po suficie, po czym wydał głębokie westchnienie.

- Jest pan niezwykłym człowiekiem, John. Niech mi pan powie, co pan robi od dziś za tydzień?

- Pewnie nic.

- W takim razie proszę czekać na mnie o ósmej rano przy wejściu do Sentinel House. Niech pan weźmie ze sobą swój paszport. A teraz, jeśli mi pan wybaczy, proponuję, żebyśmy przeszli do biblioteki na kawę...

Człowiek stojący w oknie na piętrze pewnego domu na przedmieściach Genewy obserwował zza firanki odejście swego gościa. Bezpośrednio pod nim pojawiła się głowa i ramiona, po czym gość przeszedł krótką ścieżką do furtki i wyszedł na drogę, na której czekał jego samochód.

Kierowca wysiadł, obszedł auto dokoła i otworzył drzwiczki starszemu mężczyźnie. Po czym wrócił do drzwiczek przy fotelu kierowcy.

Nim wsiadł do samochodu, podniósł wzrok na postać stojącą w oknie na piętrze. Kiedy już znalazł

się za kierownicą, spytał:

- To on? To naprawdę on? Człowiek z Moskwy?

- Tak, John, to on - odparł z tylnego siedzenia sir Nigel. - A teraz na lotnisko, jeśli łaska. - Samochód ruszył.

- No cóż, John, obiecałem ci wyjaśnienie - odezwał się ponownie sir Nigel kilka chwil później. - Proszę pytać.

Preston widział twarz Szefa we wstecznym lusterku. Starszy pan wodził

wzrokiem po przesuwającym się za oknami krajobrazie. - Operacja?

- Miałeś niemal zupełną słuszność. Została zorganizowana osobiście przez sekretarza generalnego za radą i przy współpracy Philby'ego. Zdaje się, że nazwano ją

“planem Aurora”. I rzeczywiście została zdradzona, ale nie przez Philby'ego.

- Dlaczego?

Sir Nigel zamyślił się na kilka minut.

- Na początku byłem przekonany, że możesz mieć rację. Zarówno po zapoznaniu się w grudniu ubiegłego roku z twoimi roboczymi hipotezami zawartymi w tym, co dziś nazywa się raportem Prestona, jak i potem, kiedy wyciągnąłeś swoje wnioski po przechwyceniu przesyłki w Glasgow. Mimo iż Harcourt-Smith odrzucał i jedno, i drugie. Nie miałem pewności, czy jedno wiąże się z drugim, ale skłonny byłem nie odrzucać takiej możliwości. Im bliżej się temu przyglądałem, tym bardziej byłem przekonany, że plan Aurora nie jest operacją KGB. Nie nosił żadnych znaków rozpoznawczych tej organizacji, brak mu było tej charakterystycznej nieskazitelnej precyzji. Sprawiał wrażenie operacji organizowanej w pośpiechu przez kogoś -

jednego człowieka lub grupę ludzi - kto nie ufa KGB. Ale mimo to nadzieja, że zdążysz w porę znaleźć tego agenta, była dość nikła.

- Poruszałem się po omacku, sir Nigel. I wiedziałem o tym. Nie było żadnego logicznego schematu pojawiania się rosyjskich kurierów na naszych przejściach granicznych. Bez Winklera nigdy nie dotarłbym w porę do Ipswich.

Przez kilka chwil jechali w zupełnym milczeniu. Preston czekał, aż Mistrz sam podejmie swoją opowieść.

- No więc przesłałem Moskwie wiadomość - odezwał się w końcu sir Nigel.

- Od siebie?

- Wielki Boże, nie. To by się na nic nie zdało. Za bardzo rzucaloby się w oczy.

Za pośrednictwem pewnego innego źródła, które, jak miałem nadzieję, mogliby uznać za wiarygodne. Muszę wyznać, że nie była to wiadomość zbyt prawdziwa. W naszym zawodzie trzeba czasami mówić rzeczy nieprawdziwe. Ale przekazano ją kanałem, któremu powinni byli, moim zdaniem, uwierzyć.

- I uwierzyli?

- Dzięki Bogu, tak. Kiedy zjawił się Winkler, uzyskałem pewność, że wiadomość dotarła do celu, została zrozumiana i, co najważniejsze, uwierzono w nią.

- To Winkler był tą odpowiedzią?

- Tak. Biedny człowiek. Wierzył, że jedzie z rutynowym zadaniem sprawdzenia Greków i ich nadajnika. Nawiasem mówiąc, dwa tygodnie temu jego ciało wyłowiono z rzeki w Pradze. Utonął. Pewnie za dużo wiedział.

- A ten Rosjanin w Ipswich?

- Właśnie się dowiedziałem, że nazywał się Pietrowski. Zawodowiec najwyższej klasy i patriota.

- Ale i on musiał zginąć?

- John, to była straszna decyzja. Ale nie do uniknięcia. Przybycie Winklera było złożeniem oferty, propozycji targu. Oczywiście nie żadnej oficjalnej umowy. Ot, takiego milczącego porozumienia. Ten Pietrowski nie mógł zostać schwytyany żywcem i poddany przesłuchaniu. To był niedopowiedziany warunek niepisanej umowy z tamtym człowiekiem, który stał w oknie agentury.

- Gdybyśmy dostali Pietrowskiego żywcem, przyparlibyśmy Związek Radziecki do muru.

- Tak, John, tak właśnie by było. Narazilibyśmy ich na ogromne upokorzenie przed całym światem. I co by to dało? Związek Radziecki nie dałby się bezkarnie upokarzać. Musieliby nam się zrewanżować w jakimś innym punkcie świata. Czego byś chciał? Powrotu do najgorszych stron zimnej wojny?

- Po prostu szkoda tracić taką okazję do spuszczenia im wycisku, sir.

- John, to wielki kraj, potężnie uzbrojony i groźny. Związek Radziecki będzie tu i jutro, i za tydzień, i za rok. Musimy jakoś współżyć z nimi na tej planecie. Lepiej niech nimi rządzą pragmatycy i realiści niż zapalczywcy i fanatycy.

- I dla tego celu warto dobijać targu z ludźmi takimi jak ten w oknie, sir Nigel?

- Czasami trzeba to robić. Ja jestem profesjonalistą, on też. Są dziennikarze i pisarze, którzy twierdzą, że my w naszym zawodzie żyjemy w urojonym świecie. W

rzeczywistości jest na odwrót. To politycy żyją swymi marzeniami, czasami niebezpiecznymi marzeniami, jak na przykład marzenie sekretarza generalnego, by uwiecznić swoje imię zmianą

oblicza Europy. - Dobry oficer wywiadu musi myśleć równie trzeźwo jak najtwardszy biznesmen. Musi dopasowywać swe postępowanie do rzeczywistości, John. Kiedy ludzie dają się ponieść marzeniom, kończy się to Zatoką Świń. Pierwsza propozycja przełamania impasu w czasie kryzysu kubańskiego pochodziła od rezydenta KGB w Nowym Jorku. To Chruszczowowi, a nie profesjonalistom, zamarzyła się chmurka z nieba.

- I co dalej, sir?

Stary mistrz wywiadu westchnął ciężko. - Zostawiamy to im. Nastąpi kilka zmian. Dokonają ich w ten swój niezrównany sposób. Człowiek z okna nada im bieg.

Osiągnie następne szczeble w swej karierze. Inni tę karierę zakończą.

- A Philby? - spytał Preston.

- Co Philby?

- Czy próbuje wrócić do domu?

Sir Nigel wzruszył ramionami ze zniecierpliwieniem. - Od lat - odparł. - I tak, owszem, od czasu do czasu, po kryjomu nawiązuje kontakt z moimi ludźmi w naszej ambasadzie w Moskwie. Hodujemy gołębie...

- Gołębie?

- Wiem, że to bardzo staroświeckie. I takie niewyszukane. Ale nadal zdumiewająco skuteczne. W ten właśnie sposób przekazuje nam wiadomości. Ale o planie Aurora nam ich nie przekazał. A nawet gdyby to zrobił... jeśli o mnie chodzi...

- Jeśli o pana chodzi...

- Mogą go diabli porwać - powiedział cicho sir Nigel.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu.

- A ty, John? Zostaniesz w “piątce”?

- Chyba nie, sir. Już się swoje nabiegałem. Dyrektor generalny odchodzi na emeryturę pierwszego września, ale już w przyszłym miesiącu idzie na urlop, z którego nie wróci. U jego następcy raczej nie miałbym szans.

- Nie mogę cię wziąć do “szóstki”, sam wiesz. My nie przyjmujemy w tak późnym wieku. Myślałeś o tym, żeby wrócić do cywila?

- W dzisiejszych czasach nie tak łatwo znaleźć jakąś robotę, kiedy się ma czterdzieści sześć lat i żadnego sensownego fachu - odparł Preston.

- Mam trochę przyjaciół zajmujących się ochroną mienia - mruknął "C". -

Dobry człowiek może im się przydać. Mógłbym zamienić z nimi kilka słów.

- Ochrona mienia?

- Szybów naftowych, kopalń, depozytów, wyścigów konnych. Wszystkiego, co ludzie chcą zabezpieczyć przed kradzieżą lub zniszczeniem. Także ochrona osobista.

To dobrze płatna robota. Pozwoliłaby ci zapewnić przyszłość synowi.

- Wygląda na to, że nie ja jeden lubię sobie wszystko sprawdzić - uśmiechnął

się Preston.

Starszy pan patrzył przez okno jakby na coś odległego w przestrzeni i czasie.

- Ja też miałem kiedyś syna - powiedział cicho. - Tylko jednego. Wspaniałego chłopaka. Zginął na Falklandach. Wiem, co czujesz.

Preston spojrział na niego w lusterku, zaskoczony. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że ten światowy, przebiegły arcyszpieg mógł wozić kiedyś na barana małego chłopca i turlać się z nim po dywanie w salonie.

- Przykro mi, sir. Może rzeczywiście pana o to poproszę.

Dojechali do lotniska, oddali wynajęty samochód i wrócili do Londynu, równie anonimowo jak przylecieli.

Człowiek w oknie patrzył w ślad za odjeżdżającym samochodem Anglika.

Jego własny samochód miał się zjawić dopiero za godzinę. Odwrócił się z powrotem do pokoju i usiadł za biurkiem, żeby jeszcze raz przejrzeć teczkę, którą mu przywieziono i którą nadal trzymał w ręku. Był zadowolony; spotkanie okazało się udane, dokumenty, które otrzymał, zabezpieczą mu przyszłość.

Jako fachowcowi, generałowi porucznikowi Jewgienijowi Karpowowi żal było planu Aurora. To był dobry plan - subtelny, dyskretny i skuteczny. Ale właśnie jako fachowiec wiedział także, że kiedy jakaś operacja zostanie spalona, nie ma innego wyjścia, jak czym prędzej umyć od niej ręce, nim będzie za późno. Każda zwłoka może w takiej sytuacji okazać się katastrofalna.

Przypomniał sobie jasno pakiet dokumentów, który jego łącznik przywiózł od Jana Maraisa z Londynu, dzieło jego agenta Hampsteada. Sześć z nich było normalnym materiałem wywiadowczym pierwszej klasy, jaki mógł zdobyć tylko człowiek o pozycji George'a Berensona. Siódmy dokument wprowadził go w zupełne osłupienie.

Była to osobista notatka Berensona skierowana do Jana Maraisa, sygnowana do przekazania Pretorii.

Pracownik ministerstwa obrony donosił w niej, że jako zastępca dyrektora departamentu zaopatrzenia, odpowiedzialny zwłaszcza za osprzęt nuklearny, wziął udział w spotkaniu w bardzo ścisłym gronie zorganizowanym przez dyrektora generalnego MI-5, sir Bernarda Hemmingsa.

Szef kontrwywiadu poinformował nieliczną grupę zaproszonych, że jego agencja odkryła istnienie i większość szczegółów rosyjskiego spisku, którego celem miało być wwiezienie w częściach, złożenie i zdetonowanie na terytorium Wielkiej Brytanii niewielkiego ładunku jądrowego. Gwoździem informacji było jej zakończenie: MI-5 zaciskała coraz bardziej oczka sieci zarzuconej na rosyjskiego agenta kierującego tą operacją na terenie Wielkiej Brytanii i była najzupełniej pewna, że uda jej się go schwytać wraz ze wszystkimi niezbędnymi dowodami.

Wyłącznie z uwagi na źródło generał Karpow całkowicie uwierzył w treść raportu. Poczł gwałtowną pokusę, żeby pozwolić Brytyjczykom zrobić swoje, ale chwila namysłu przekonała go, że skutki tego byłyby wręcz katastrofalne. Gdyby im się udało, i to bez niczyjej pomocy, nie byłoby w żaden sposób zobowiązani do zatuszowania kosmicznego skandalu. Żeby stworzyć to zobowiązanie, musiał przesłać wiadomość, i to do człowieka, który wiedziałby, co należy robić, do kogoś, z kim mógłby prowadzić interesy mimo wszelkich dzielących ich różnic.

Do tego pozostawała kwestia jego osobistej kariery... Po długim samotnym spacerze w okrytym świeżą wiosenną zielenią lesie w Pieredełkino podjął decyzję zagrania najbardziej ryzykownej karty w swoim życiu. Postanowił złożyć dyskretną wizytę Nubarowi Geworkowiczowi Wartanianowi w jego prywatnym gabinecie.

Wybrał tego człowieka bardzo starannie. Zasiadającego w Biurze Politycznym Ormianina uważano za przywódcę tajnej frakcji partyjnej, której członkowie uważali w skrytości ducha, że pora na zmianę na samym szczycie.

Wartanian wysłuchał go bez słowa, pewien, że stoi zbyt wysoko, żeby jego gabinet mógł być na podsłuchu, i tylko ani na chwilę nie spuścił z generała KGB

swoich czarnych jaszczurzych oczu. Kiedy Karpow skończył, spytał:

- Czy jesteście pewni, towarzyszu generale, że wasze informacje są prawdziwe?

- Mam nagrany na taśmie pełny tekst wystąpienia profesora Kryłowa - odparł

Karpow. - Miałem wówczas w teczce magnetofon.

- A informacje z Londynu?

- Źródło pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami. Sam osobiście prowadziłem tego człowieka przez ponad trzy lata.

Ormiański makler władzy wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, jakby rozważał w myślach wiele spraw, z których nie najmniej ważną było zagadnienie, jak wykorzystać otrzymaną właśnie informację.

- Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to znaczy, że na najwyższych szczeblach władzy w tym kraju podejmuje się pochopne decyzje świadczące o politycznym awanturnictwie. Jeśli dałoby się tego dowieść ale dowód taki musiałby być nie do podważenia, mogłaby zaistnieć konieczność dokonania wielu zmian na samym szczycie. Żegnam, generale.

Karpow zrozumiał. Kiedy w Związku Radzieckim spada ten, który stoi na świeczniku, wraz z nim spadają wszyscy jego poplecznicy. Gdyby doszło do zmian na szczycie, powstałby wakat na stanowisku przewodniczącego KGB, stanowisku, na które Karpow we własnym mniemaniu znakomicie się nadawał. Ale by doprowadzić do zawiązania przymierza odpowiednich sił w partii, Wartanian potrzebował

dowodów, dalszych dowodów, niepodważalnych, namacalnych, udokumentowanych dowodów, że pewna pochopna decyzja omal nie doprowadziła do katastrofy. Nikt nigdy nie zapomniał, jak to Michaił Susłow obalił w 1964 roku Chruszczowa, zarzucając mu awanturnictwo w czasie kryzysu kubańskiego z roku 1962.

Wkrótce po tym spotkaniu Karpow wysłał Winklera, najbardziej zadufanego durnia, jakiego udało mu się znaleźć w kartotekach swoich agentów. Ta informacja została rozszyfrowana i zrozumiana. I oto teraz wreszcie miał w swych rękach dowód, którego tak potrzebował jego ormiański protektor. Jeszcze raz rzucił okiem na dokument.

Raport z wyimaginowanego przesłuchania majora Walerija Pietrowskiego i jego przyznania się Brytyjczykom do winy wymagał wprowadzenia kilku poprawek, ale jego ludzie w Jasieniewie dadzą sobie z tym radę. Formularze raportu z tego przesłuchania były absolutnie autentyczne, a to najważniejsze. Także raport Prestona na tematy czynionych przez niego postępów, odpowiednio zmodyfikowany przez usunięcie wszystkich wzmianek o Winklerze, był fotokopią oryginału.

Nawet sam sekretarz generalny nie będzie w stanie uratować zdrajcy Philby'ego, tak jak nie będzie w stanie, nieco później, ocalić siebie. Już Wartanian tego dopilnuje. I nie zapomni okazać wdzięczności.

Podjechał samochód, by zawieźć go do Zurichu na samolot do Moskwy.

Karpow wstał. To było udane spotkanie. Jeszcze raz potwierdziło, że zawsze warto negocjować z Chelsea.

Epilog

Sir Bernard Hemmings odszedł oficjalnie na emeryturę 1 września 1987 roku, choć od połowy lipca był już na urlopie. Zmarł w listopadzie tego samego roku, zapewniając prawa do swej emerytury żonie i pasierbicy.

Jego następcą na stanowisku dyrektora generalnego nie został Brian Harcourt-Smith. "Mędrcy" zapuścili swoje sondy i choć zgodnie uznali, że w jego próbie zastopowania raportu Prestona i zbagatelizowania znaczenia przesyłki przechwyconej w Glasgow nie można się dopatrzeć niczego złego, to nie sposób było nie uznać tego za dwa poważne błędy w ocenie sytuacji. Z braku innego

poważnego kandydata w samej "piątce", dyrektorem generalnym mianowano człowieka z zewnątrz. Kilka miesięcy później pan Harcourt-Smith złożył rezygnację i został członkiem rady nadzorczej pewnego banku handlowego w City.

John Preston odszedł z MI-5 w początkach września i podjął pracę w agencji ochrony mienia. Otrzymał tam niemal dwukrotnie wyższe wynagrodzenie, co pozwoliło mu wystąpić o rozwód i zasądzenie opieki nad synem, któremu mógł już teraz zapewnić odpowiednie utrzymanie i wykształcenie. Julia niespodziewanie wycofała swój sprzeciw i opieka nad Tommym została mu przyznana.

Sir Nigel odszedł na emeryturę w regulaminowym czasie, z ostatnim dniem tego samego roku, opuszczając swój gabinet tuż przed świętami. Zamieszkał w swoim domu w Langton Matravers i zaczął czynnie uczestniczyć w życiu tej wioski, odpowiadając wszystkim, którzy go o to pytali, że przed przejściem na emeryturę

"robił w Whitehall coś bardzo nudnego".

Jasn Marais został w początkach grudnia wezwany do Pretorii na konsultacje.

Kiedy Boeing 747 Południowoafrykańskich Linii Lotniczych oderwał się od pasa startowego w Heathrow, z kabiny wypoczynkowej załogi wyłoniło się dwóch muskularnych agentów NIS i zakłuło go w kajdanki. Jan Marais chyba nie mógł

cieszyć się z powodu tego nagłego przeniesienia na emeryturę, gdyż spędził ją całą kilka stóp poniżej parteru w towarzystwie potężnie zbudowanych gentlemanów, bez końca stawiających mu wiele różnych pytań.

Ponieważ aresztowania Jana Maraisa dokonano w miejscu publicznym, wiadomość o nim rozeszła się dość szybko, stanowiąc ostrzeżenie dla generała Karpowa, że jego nieczynny agent jest spalony. Generał nie miał żadnych wątpliwości, że Marais, alias Frikki Bandt, nie wytrzyma zbyt długo przesłuchań, toteż czekał na aresztowanie George'a Berensona i nieuchronną konsternację na Zachodzie.

W połowie grudnia Berenson odszedł z ministerstwa na wcześniejszą emeryturę, ale nie został aresztowany. Na osobistą interwencję sir Nigela Irvine'a pozwolono mu zamieszkać na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych z niewielką, lecz wystarczającą rentą od żony.

Wiadomość o tym poinformowała generała Karpowa, że jego agent nie tylko został spalony, ale także przeciągnięty na drugą stronę. Nie wiedział tylko, kiedy Berenson przeszedł na służbę Brytyjczyków. W jakiś czas później agent Andriejew z rezydentury KGB w Londynie doniósł, że wedle krążących pogłosek Berenson zwrócił się do MI-5 natychmiast po pierwszym kontakcie, jaki nawiązał z nim Marais.

Po tygodniu analiz pracownicy KGB z Jasieniewa doszli do wniosku, że owoc trzyletniej współpracy z Berensonem - w rzeczywistości znakomity materiał

wywiadowczy - należy spisać na straty jako informacje podejrzone od samego początku.

To było ostatnie genialne posunięcie Mistrza.